



Migotania

Gazeta Literacka

Nr 1,2 (66, 67) 2020 kwartalnik

Fundacja

ŚwiatłoLiteratury

*„Sinusoida po czasie ocierania się
o nikczemność, odegnie się ku górze”*

U.M. Benka

Polecamy:

Anna Krasuska, (nie)czytanie
Urszula M. Benka, Oświecenie polityczne
Rabindranath Tagore, w tłumaczeniu M. Kisiela
Eugeniusz Kurzawa, Festiwale bardzo wyklęte

Ernest Bryll, nowe wiersze
Małgorzata Dorna- Wędrychowska, o Eduardzie Nikonorowie
Janina B. Sokołowska, wiersze
Bogdan Nowicki, Bogowie maja wełniane nogi

Julian Przyboś

Wiosna 70

*Gdy słońce Raka zagrzewa,
A słowik więcej nie śpiewa...*
JAN KOCHANOWSKI

Dopiero dzisiaj: w jednej na promieniu chwili
półtrwającej, półniknącej w blaskach
zaczęła się najpóźniej, od swojego końca,
wielka,
wysoka
Wiosna świętojańska,
siedemdziesiąte moje wzniesienie się słońca!

Ja nie zamknę, ja światło otworzę w powiekach.

I usłyszę, jak słowik ostatkiem gardziołka
dośpiewa je, pomyli...
zakłaska...

Mam, mam ją, tę półchwile – zniknęła na zawsze,
ale ten sam jej znak mój został na gałązkach
wiosny przyszej, zaprzyszej, niezliczonej, waszej.

Węszę, wącham je – wszystkie i każdą – rozkwitłe,
kiedy miną – dojrzałe w owocach po kwiatach
z przedostatnim przed latem,
z ostatnim po latach
oddechem – zachwytem
– już dziś, tu i teraz! –
naszych na ich słoneczną chwałę współumierań.

Grafika Eduard Nikonorow

W numerze prezentujemy prace Eduarda Nikonorowa
Plakat artystyczny: Eduard Nikonorow
Plakat poetycki: Ludmiła Marjańska

Marek Wawrzkiwicz
Dedykacje (19)
PAN ARTUR

Dziś jest to trudne do zrozumienia, ale w tamtych, zamierzcztych czasach przepaścisty dystans między wstępującymi, a uznanymi i wielkimi był czymś oczywistym. Toteż było dla mnie naturalne, że choć przedstawiałem się parę razy Arturowi Sandauerowi, to Artur Sandauer mnie nie znał. Ja jego tak.

Pierwszy raz widziałem go na własne oczy w drugiej połowie lat sześćdziesiątych kiedy spacerował z Julianem Przybosiem po alejkach ośrodka w Osiekach pod Koszalinem, gdzie na plenerze malarskim towarzyszył swojej małżonce Ernie Rozenstein. Drugi, albo trzeci raz spotkałem go na Kłodzkiej Wiośni Poetyckiej, która, jak sama nazwa wskazuje, odbywała się w Polanicy Zdroju. Siedziałem w pobliżu Juliana Przybosia w kawiarni zdrojowej, a profesor Sandauer mówił o jego twórczości wnikliwie ją analizując. Pan Julian – drobny, siwowłosy, dostoyny – obracał w delikatnych dłoniach czerwone jabłuszko i od czasu do czasu zauważał: Boże, jakie głupstwa on wygaduje...

Blіszą znajomość zawarłem z Panem Arturem w początku lat siedemdziesiątych, kiedy ZLP delegował nas na Dni Poezji im. Puszkina. Już w samochodzie wiozącym nas z lotniska Szeremietiewo do centrum Moskwy podpadł gospodarzom. Miał mianowicie pretensje, że w pięciotomowych, ostatnio wydanych dziełach Aleksandra Siergiejewicza są dwa wiersze; jeden z nich w przekładzie na język polski brzmiałby: z ogrodowej altany wojewoda zdyszany/ bieży w zamek z wściekłością i trwogą... Pan Artur miał za-

strzeżenia co do autorstwa wierszy. Twierdził mianowicie, że „Czaty” i „Trzech Budrysów” napisał jednak Mickiewicz, a Puszkina je tylko przetłumaczył (zresztą genialnie), więc w przypisie powinno to być uwidocznione. Za karę został zesłany na jakiś podrzędny jubileusz literacki do Ałma Aty. Dogonił międzynarodowy tłum uczestników festiwalu puszkiniowskiego, a w tym mnie, dopiero w Pskowie. Był w nowych spodniach. Jak to się stało?

Pierwszego dnia jedliśmy obiad w monstualnej fabryce do mieszkania – hotelu Moskwa. Pan Artur zamówił kotlet kijowski, czyli dewolaj. Energicznie zaatakował nożem i widelcem potrawę, której płynna, tłusta zawartość chlupnęła na kluczową część dolnej części odzienia, tworząc malowniczą i wiecznotrwałą plamę. Zapasowych nie miał. Pomysł ubierania się w kraju silnie socjalistycznym, a w dodatku w Kazachstanie, wydał mi się dość ekscentryczny. W Pskowie mieszkaliśmy w jednym pokoju i tamże zostałem zapytany o trafność zakupu. Spodnie zaczęły się w dole pięć centymetrów powyżej kostek, a w miejscach dolno tylnych wyglądały tak, jakby mieścił się tam worek kartofli. Pochwaliłem.

Skoło o kulinariach: przez dwa tygodnie dzieliłem przy posiłkach stół z panią Eną i panem Arturem; było to na wybrzeżu, w jakimś domu ZAIKSu. Niebezpiecznie robiło się przy zupie pomidorowej: pryskał. Po obiedzie szliśmy na spacer i toczyliśmy długie rozmowy. Pracowałem wówczas nad prze-

kładami wierszy Majakowskiego, a właściwie nad tłumaczeniami wierszy niedokończonych, urwanych, pierwszych wersji tekstów, które później poeta poprawiał. Rozmowy były trudne, profesor prowadził je tak, jakby mnie egzaminował. Język rosyjski znał, oczywiście, biegle, twórczość Majakowskiego też. Przy okazji opowiadał jak tłumaczył Majakowskiego. Po ucieczce z getta ukrywał się kilka miesięcy na strychu jakiegoś domu. Nie miał papieru i ołówka, więc przekładał z pamięci na pamięć: zapamiętany poemat „Dobrze” tłumaczył wers po wersie w pamięci na polski i zapamiętywał ten przekład. Zapisał przekład znacznie później. Jest to wyjaśnienie dość zawiąte, ale nie umiem prościej zrelacjonować tego nienotowanego w historii literatury procesu twórczego.

Po tych spotkaniach nasze kontakty były już częste, sympatyczne i życzliwe, choć nie mogę powiedzieć, że poufale. W tamtych, już późniejszych czasach nie było zwyczaju, że autor leci z wydaną własnym sumptem książką do czytelnika i wpisuje mu cztą dedykację. Wtedy czytelnik kupuje książkę w księgarni i prosi autora o autograf. Tak było z tomem szkiców „Liryka i logika”, na którym widnieje dedykacja: Panu Markowi Wawrzkiwiczowi z życzeniami poetyckiego i redaktorskiego powodzenia – Artur Sandauer.

Przglądam po latach tę rozsypującą się w rękach książkę. Wielkiego umysłu był to człowiek.

MAREK WAWRZKIWICZ

Roman Warszewski

DZIĘKI CI, KORONAWIRUSIE

Świat powinien być wdzięczny koronawirusowi. Od dawna było wiadomo, że zbliża się kryzys. Kryzys od lat wisiał w powietrzu. Jego adwent było można wyczuć niemalże wszystkimi zmysłami. Wieszczili go przede wszystkim ekonomiści. Bo wszyscy spodziewali się, że będzie to kryzys zbliżony do tego z roku 2008 – finansowy, gospodarczy. Nikt nie spodziewał się, że nadejdzie ze strony natury, przyrody.

Pandemia koronawirusa jest bowiem ewidentną zemstą natury. Niezależnie od tego, czy na ludzi wirus ten przeszedł z łuskowców, z nietoperzy, czy z wojskowego laboratorium. Koniec końców jest to zdarzenie o podłożu czysto biologicznym. Jest skowyt natury. Jest odwetem za tysiące lat wyzysku, któremu człowiek poddawał przyrodę. Teraz przyroda zdaje się mówić: „Basta, teraz k... ja”.

Od lat mojej młodości ludzkość była nieustannie ostrzegana, że atak przyjdzie z ekologicznej flanki. Wystarczy przypomnieć Raporty dla Klubu Rzymskiego, przestrzegające świat przed ekologicznymi barierami wzrostu; cykl Raportów o Stanie Świata waszyngtońskiego World Watch Institute kierowanego przez Lestera Browna, czy schyłkową, proekologiczną

twórczość słynnych futurologów – Alvina Tofflera i jego żony Heidi. Ze wszystkich tych publikacji jasno wynikało, że ścieżka rozwoju, jaką obrała ludzkość jest ślepa i błędna. Że przyroda z dziesięciolecia na dziesięciolecie poddana jest nadmiernej presji. Że z punktu widzenia natury i życia jako takiego, ludzka cywilizacja jest rakowatą naroślą, bez której planeta mogłaby trwać i rozwijać dużo lepiej. Że to droga do nikąd. Że ludzkiej egzystencji nie można w nieskończoność opierać na nieodnawialnych źródłach energii, że możliwy będzie ciągły wzrost, wzrost, wzrost... Że jeśli tego nie zreformujemy i nie zmienimy, natura prędzej czy później upomni się o swoje i wyszczerzy kły.

Właśnie wyszczerzyła. Koronawirusem. A nastąpiło to w takim momencie, gdy stało się jasne, że jeśli chodzi o korzystanie z nieodnawialnych źródeł energii, doszliśmy do ściany. Stało się to jasne, a mimo to wciąż trwały przepychanki i licytacje w skali globu i regionów: do gospodarki zerowej dojdziemy w roku 2045, a może 2050, a może jeszcze później, bo przecież... Kwestia koniecznego przetoku znów ginęła pośród stu argumentów przeciwno-emu, przy czym tymi najważniejszymi z nich

były dotychczasowe nawyki i stwierdzenia: „a może wcale nie jest tak źle?”

Teraz, dzięki koronawirusowi, wreszcie powinno być inaczej. Sygnał jest nader wyraźny. Bo choć nie dotyczy on bezpośrednio energetyki, dotyczy przyrody. Nie można powiedzieć, że jest on tylko złudzeniem, lub czyjąś opinią, której można przeciwstawić opinię kogoś innego. Właśnie za to koronawirusowi jestem wdzięczny. Bo, owszem, dostajemy cios za ciosem. Ale są to takie ciosy, po których ludzkość będzie w stanie się podnieść. Jednocześnie są to razy na tyle dotkliwe, że nie będzie można ich szybko zapomnieć.

Na szczęście nie jest to ani nuklearna zima, atomowa hekatomba, ani globalny potop. Ale ostrzeżenie brzmi bardzo wyraźnie. Że nasze relacje z przyrodą wymagają natychmiastowej naprawy. Nie w roku 2030, 2040, czy 2055. Teraz. Natychmiast.

Właśnie za to jestem wdzięczny koronawirusowi. Że ostrzega w taki sposób, że nie można tego zlekceważyć, ale jednocześnie pozwala ludzkości przetrwać.

A jak to wszystko minie – do roboty. Nie ma chwili do stracenia.

ROMAN WARSZEWSKI

Spis treści

Julian Przybóś, Wiosna 70'.....na okładce	
Marek Wawrzkiwicz, Dedykacje no.19, Pan Artur.....str.2	
Roman Warszawski, Dzięki Ci, koronawirusie.....str.2	
Urszula Małgorzata Benka, Oświecenie polityczne, esej.....str.3	
Alina Biernacka, wiersze.....str.6	
Anna Krasuska, (nie) czytanie, esej.....str.8	
Ernest Bryll, wiersze.....str.12	
Czesław Karkowski, Nowy Jork, New York, esej.....str.13	
Robert Gawłowski, wiersze.....str.20	
Komentarz do wierszy Roberta Gawłowskiego, Urszula M. Benka.....str.21	
Andrzej C. Leszczyński, Wola moc, esej.....str.22	
Rabindranath Tagore, Gitanjali. Pieśni ofiarne, komentarz i tłumaczenie Marian Kisiel poezja.....str.24	
Cezary Sikorski, Kuchnia, proza.....str.28	
Marian Lech Bednarek, Wiersze zgryźliwe.....str.35	
Maciej Fróński, Anglia u Larkina.....str.36	
Marek Jagliński, wiersze.....str.37	
Kazimierz Sopuch, wiersze, Z mojego obserwatorium.....str.38	
Anna Piliszewska, Wielki błękit, teleologia barw... esej.....str.40	
Grzegorz Bazyłak, wiersze.....str.42	
Eugeniusz Kurzawa, Festiwalie bardzo wyklete, esej.....str.43	
Jerzy Lengauer, Słobodżanek, OMÓWIENIE.....str.45	
Łucja Dudzińska, wiersze.....str.47	
Rozmowa artystyczna, Zbigniew Kresowaty rozmawia z Łucją Dudzińską.....str.48	
Akinom do Lirka, wiersze.....str.53	
Boris Nosik, Koniec jednej posiadłości.....str.54	
Agnieszka Wiktorowska-Chmielewska, Dreptaniec, proza.....str.56	
Zuzanna Białduń, wiersze.....str.57	
Nikodem Czarnomski, wiersze.....str.58	
Karol Zieliński, wiersze.....str.59	
Roman Warszawski, Góra LGBT.....str.60	
Janina Sokołowska, wiersze.....str.62	
Małgorzata Doma-Wędrchowska, Wizerunek człowieka współczesnego. O E. Nikonorowie.....str.63	
Krzysztof Rudowski, Teatr mój widzę... O „Pasji” Urszuli Małgorzaty Benki.....str.71	
KSIĄŻKA KWARTAŁU:	
Aleksandra Naróg, Przepisywanie mitu, Joanna Sendtāk, Labirynt.....str.72	
Jan Stanisław Smolewski, Nie tylko greckie mity Joanny Sendtāk.....str.72	
Anna Lubierda – Kowal, wiersze.....str.74	
Grzegorz Bazyłak, Globalna winda, lokalna kłątka, esej, INTERPRETACJE.....str.76	
RECENZJE.....str.79	
Jerzy Stasiewicz, Ironia poezji, Małgorzata Kulisiewicz; Jerzy Stasiewicz, Obojętność na skargę Jakuba; Jerzy Stasiewicz, Wiersze z papierowych serwetek; Jerzy Stasiewicz, Karol Genzler – poeta, znaczenia słów; Mateusz Wabik, Między wsią, a miastem; Mateusz Wabik, Pisanie i mrok; Mateusz Wabik, Uczucia, groza, poszukiwania; Andrzej Walter, Na zgłiszczach wierszy; Andrzej Walter, Krajobraz znad wierszy, których nikt nie czyta; Andrzej Walter, Na przekór codzienności.	
Zbigniew Joachimiak, Aneks do kalendarza.....str.88	
Mateusz Wabik, wiersze.....str.92	
Maciej Stępnik, wiersze.....str.93	
Leszek Szaruga, Wyprasowanie (31).....str.96	
JESZCZE WIĘCEJ MIGOTAŃ	
Urszula Małgorzata Benka, Orfeusz w Nigdy, esej.....str.97	
Leokadia Komaisko, wiersze.....str.104	
Maciej Krotke, Trytyka, proza.....str.105	
Marian Lech Bednarek, Diabeł i dwie krowy, proza.....str.106	
Agnieszka Rykowska – Kowalik, wiersze.....str.107	
Gabriel Korbus, wiersze.....str.108	
Andrzej Katzenmark, Femininum czy masculinum? esej.....str.109	
Patrycja Oryl, wiersze.....str.111	
Jerzy Stasiewicz, Szlakiem festiwalu i salonów 2019 roku, esej.....str.112	
Ewa Sonnenberg, wiersze.....str.113	
Marek Wawrzkiwicz, Piszę wiersze, czyli sami siebie tłumaczymy, esej.....str.114	
Dariusz Tomasz Lebiada, wiersze.....str.116	

Urszula Małgorzata Benka

OŚWIECENIE POLITYCZNE

Wbrew bogom czyli od magii i religii do metody naukowej... i z powrotem to kapitalna lektura, a chwila wydania tej książki, zbieżna z rozwojem pandemii Covid-19, nadała jej odniesień bez porównania bardziej eschatologicznych niż praktykowana na codzień teologia. Autor, Krzysztof Dołowy, specjalista z zakresu biofizyki i elektrofizjologii, długoletni kierownik Katedry Fizyki w SGGW, podjął niniejszym ryzykowną grę w obronie wiedzy i rozumu. Świetnie napisana, mocna rzecz! Czuje on, że ma do czynienia z przeciwnikiem dwoistym, z narastaniem ciemnoty wtórnej, tyle że nie na dole społeczeństwa, ale na poziomie elit, wśród ludzi nominalnie wykształconych, uprawiających grę antynaukową z użyciem polityki oraz szczerwanego chamstwa aż po wywracanie do góry nogami reguł społecznego współżycia. Gra ciemnotą tym samym wymknęła się domenie bezpośrednio poruszanej we Wbrew bogom..., to jest naukom, gdzie panowały argumenty metodologiczne dotąd bezsporne. Powiem jeszcze dobitniej: ciemnota nie jest wrogiem nauki, o ile ta posiada argumenty. Wrogiem nauki jest niezgoda na etos myślenia.

Niżej wyjaśnię to dokładniej. Na razie niech wystarczy, że sztyderstwo z dorobku empirii nauk przyrodniczych skutkuje niekontrolowanym zamordyzmem i zamienia oświecenie oraz samą, tradycyjnie dotąd szanowaną wiedzę w grzech o charakterze moralnym, a zarazem w rodzaj... obywatelskiego nieposłuszeństwa. Profesor Krzysztof Dołowy ma świadomość, że dotyka problemu odwagi. Jeśli zataczamy koło w malignę magii, jak sam mówi, to eskalujemy strach, a tylko religie są w stanie podtrzymywać strach. W naturalnych warunkach strach znika wraz z sytuacją zagrożenia; religie impetują kondycje nad-naturalne, nad-prawdy. Mógłby ktoś skojarzyć: Über-prawdy, akcentując lodowaty dla nas posmak tego przedrostka. Książka profesora Dołowego trzyma się oczywistości, poczynając od faktycznej treści wyściowych terminów używanych na gruncie religii – dla przykładu, wyraz „bliźni” w oryginale i tłumaczeniach na angielski (neighbour) oznaczał sąsiada, lecz nie „innego człowieka” ani też „inną istotę” (co nieraz sugerują chrześcijańscy ekolodzy). Obiegowy dzisiaj termin „post-prawda” oznacza raczej tylko nonszalanę wobec faktów; „Über-prawda” – strzał w kark za niesubordynację. Dołowy podsumowuje swoje rozważania albo raczej przestrożę, dotykając tragicznej indolencji moralnej wielkich wyznań, które w całej swojej historii są, mniej lub bardziej jawnie, jak rój os. Dławią wszelkie swoje sublimacje moralne jako odszczepieństwo. Nie jest więc wcale wykluczone, że ekscentryczny w swoim czasie irenizm czyli pacyfizm Erazma z Rotterdamu lub pachnący skandalem teologicznym franciszkański stosunek do środowiska naturalnego ponownie staną się ostupiającym i najsurowiej rugowanym ekscysem.

Od razu powiem, że autor przyczynę upatruje w naturze religii, ich irracjonalności. Tu jednak można podjąć dyskusję. Jeśli bowiem irracjonalność ludzkiego umysłu jest groźna – a oczywiście, jest, to racjonalność też jest groźna. Z perspektywy neurologii obie są jak awers i rewers, a nie tylko jakaś

ewolucyjna pozostałość, którą należałoby usuwać. Być może umysł ludzki jest groźny. Być może sam człowiek jest gatunkiem bardzo groźnym i na gruncie nauk przyrodniczych zaczynamy to wreszcie pojmować, już bez złudzeń, co zresztą podjął dekadę temu Konrad Lorenz w *Tak zwanym złu*. Z takiej perspektywy *Wbrew bogom* jest lekturą fascynującą. Bardzo ważną.

Wiosna 2020 wciąż trzyma w rękawie swojego asa z odpowiedzią, czy fenomen ludzkiego rozumu ma sens z perspektywy życia na planecie, gdzie codziennie ginęły setki gatunków, lecz na opustoszałej ulicy w Delhi przemknęła wiwera malabarska, spory ssak podobny do kota, od wielu lat uznany za wymarły. Profesor Dołowy notował wszakże swoje znakomite refleksje co do konfliktu rozumu i wiary z innego punktu widzenia: wydaje się być mimo wszystko humanistą jak my wszyscy zaskoczonym skalą pandemii Covid-19. To nie zarzut. Ma on słuszność: korygować można jedynie to, co jest dostępne. Dostępne jest nam człowieczeństwo i tylko w tym zakresie wolno nam podejmować decyzje, co oznacza – że na gruncie kultury myślenia, obcowania z własnym rozumem i... rozsądkiem. Przedstawił tedy wyboiste, częstokroć tragiczne dla badaczy drogi, jakimi astronomowie (od nich zaczyna), chemicy, lekarze i obrońcy praw człowieka (w II połowie XX w. uznanych w cywilizowanym świecie zachodnim za wręcz elementarne i naturalne) byli zmuszeni brnąć w lęk przed Kościołem. Lęku także subiektywnym, jak w wypadku Gaussa, który spalił swój matematyczny traktat o geometrii nieeuklidesowej – miał ją za podszept szatana. Jednak sankcjom, karam, poświęca stosunkowo niewiele miejsca; z pewnością nie sposób mu zarzucić epatowania czytelników kolejną porcją martyrologii ludzi nauki. Poprzedził na podnoszonych do rangi dogmatu fragmentach Biblii, jaki nauka bezspornie obaliła, i w zderzeniu z którymi instytucje religijne Europy uznały swoją intelektualną porażkę, ponieważ brakowało im, jak Dołowy świetnie konstatuje, metody. Wszystkie główne odkrycia, wszystkie główne konstatacje naukowe są skonfliktowane z religią, a przynajmniej z ustalonym pojmowaniem Biblii. Ono to, ze swoim *wishful thinking* wyciągało wnioski pochopne, obciążone wadą. Samo takie stwierdzenie wygłaszane w XXI wieku brzmi cokolwiek banalnie. Rzecz w tym, że na naszych oczach ten ustalony konsens co do autorytetu nauki został podważony. Że rodzi się jakaś prymitywna zabawa w okrucieństwo. Potrzeba pastwienia się nad rozsądkiem, a żetelne dociekania, logiczność wnioskowania, prawo do uszanowania potrzeby poznawczej człowieka, są kwestionowane – aczkolwiek nie tyle przez kościoły, co przez politycznych rzeczników Über-prawdy.

Kościół rozmaitych obrządków patrzy raczej wyczekując na efekt tego starcia. Poza kilkoma niszowymi wyjątkami, czuły się bowiem odciążone – a jeśli ktoś by wołał – wyzwolone ze znoju rywalizacji intelektualnej. Znalazły sobie własne pola badawcze, głównie historyczne, etyczne, filozoficzne

cd. str.4

i komparatystyczne, gdzie zresztą przyswoiły sobie większość umiejętności oraz rygorów etosu oświeceniowego, unikając mierzenia się z Bohrami, Einsteinami, Hawkingami, Mendlem i laureatami Nagrody im. Lascara, odpowiedniczki Nobla w medycynie: Jana Pawła II leczono wsak w klinice Gamelli – ale nie relikwiami. Owa wyczekująca bierność ma inne przyczyny niż rywalizacja w orzekaniu „prawdy”. Tutaj – to moje przypuszczenie – wobec coraz szybszych poprawek stanu wiedzy i zmian hipotez – wolą się wyręczać, unikając odpowiedzialności. W Polsce są jednak oznaki dopingu dla antynaukowej psychotechniki.

Ale na czym polega owo Oświecenie? Był to pierwszy racjonalistyczny model patrzenia na świat. Uprawnił do oświaty, do poszukiwania prawdy i – w pierw, bo to konieczny warunek powyższego etosu – do formułowania pytań. Chciałoby się autorowi *Wbrow bogom* przyklasnąć w świadomości jak ważne są obecnie sny oświeceniowe, a zatem bezkompromisowa uczciwość badawcza, ścisłość, bezstronność, odporność na ideologię i polityczne presje oraz wolność głoszenia poglądów, także odstających od aktualnie uznawanych w nauce, ponieważ bez takowej nauka stanęłaby w miejscu. Nadmienię: kurczowa, częstokroć historyczna niepodważalność twierdzeń religijnych, nawet takich, które zostały naukowo obalone (jak płaskość Ziemi albo ruch w stosunku do Stońca, jak stworzenie świata w 6 dni, albo gorsza natura kobiety), trzymały w zakleszczeniu świadomości sakralną wyrażając ją w myśl religijną i powodując jej uwiad i zrakovanie. To samo tyczy się nauk unieruchomionych bez szans na rozwój. Lecz to z kolei oznacza dopuszczenie omyłek nauki, i w efekcie zaśmianie jej błędami. Pytanie, do jakiej grupy należy postulat, aby poprzeglądać się historii błędów nauki, ale nie tylko już w znaczeniu konkretnych teorii, jakie słusznie odrzucono, lecz samej w sobie wadliwości nauki. Nauka bowiem przedstawia zbiór twierdzeń co do faktów oraz metod, ale też strukturę wewnętrzną i zewnętrzną powiązań z resztą dziedzin albo też potrzeb psychiki ludzkiej. Oświeceniowy racjonalizm wręczył model patrzenia na świat – utożsamiany naiwnie z modelem świata. Niezależnie od wiary bądź niewiary w bogów, w istnienie psychiki jako duszy, tym bardziej „niemiętelnej”, warto, jak sądzę, precyzyjnie odróżnić model od obiektu poznania. Model oświeceniowy poznawania określiłam, nieco skrótowo, mianem etosu. Bez etosu traci on sens, staje się kolejną coraz bardziej absurdalną i złoczną ideologią, i nie jest w stanie utrzymać autorytetu, ponieważ ten ostatni, jak nader słusznie Dołowy eksponuje w podsumowaniu, łączy się, wręcz neuronalnie, z zaspokajaniem potrzeby bezpieczeństwa. Jeśli erupcja odkryć naukowych i technicznych niszczy środowisko biologiczne naszego gatunku, to podważa coś zapewne ważniejszego od postępu w konkretnej kwestii badawczej. Etos oświeceniowy zakłada kompleksowość wiedzy, jednakową estymę dla tego, co ufarło się mienić przyrodą, a co fizyką. Są oczywiście tylko aspektami pewnego fenomenu. Jak sam człowiek. Z punktu widzenia wiary w sens postępu, postępu „ku dobru ludzkości” nie sposób uniknąć kolizji psychologii i technicyzacji.

Tu właśnie przed etosem oświeceniowym otwiera się cała amfida niewiadomych. Po pierwsze, pewien odtam filozofii Oświecenia, dla ułatwienia osądu sygnowany nazwiskiem Jean Jaquesa Rousseau, dystansował się od cywilizacji i technicyzacji. Pomimo to uznawał naukę i sprężynę z nią Prawdę

za wartość, czym wkroczył na grząską ziemię wartości. Ten krok powtarza Krzysztof Dołowy. Wie on doskonale, że humanistyka w XX w. doznała nieco podobnych wstrząsów jak nauki ścisłe. Poczynając od namiętnej frazy Fiodora Dostojewskiego „Gdybym miał do wyboru pomiędzy Chrystusem a prawdą, wybrałbym Chrystusa” (co celowo przywołuję, bowiem tym, czym jest ścisłość w fizyce, w humanistyce jest szczerą namiętność). Brak odpowiedzi spowodował odwołanie studiów nad opozycją rozum-wiara.

Po drugie – właśnie owo ustruktrowanie nauki jako systemu czynności. Jeśli raz poruszymy koło zamachowe aksjologii, wypadnie spytać, na jakiej to podstawie konkretna aktywność naukowca ma być wartością. Nie trzeba tłumaczyć, że humanistyczna furia powstała w reakcji na używanie nauki dla potrzeb zbrodniczej polityki. Narzędziami neurologii zaczęła poszukiwać przyczyn „zła”, spętana już w zakresie empirii, jaką postuluje Francis Crick, noblista z 1962, angielski biochemik, genetyk i biolog molekularny, który wraz z Jamesem D. Watsonem, Maurice'em Wilkinsem i Rosalindą Franklin odkrył strukturę molekularną DNA. Otóż w *Zdumiewającej hipotezie* Crick chciałby poznawać pracę mózgu, zwłaszcza spostrzeganie i wnioskowanie, na drodze eksperymentalnej. Co zrodziło natychmiastowe wątpliwości w kwestii dopuszczalnych granic tychże eksperymentów na ludziach. Sam Crick, urodzony w 1916, zdawał sobie sprawę, do czego może wieść nauka immoralna. Że zarówno zbrodnicze ideologie nazizmu i komunizmu opierano na podstawach „naukowych”, szlifowano pracownie w instytucjach badawczych, i – co chyba najistotniejsze – wplaszano całą tę „poznawczo-zastosowawczą” pracę w najnormalniejsze, jak pisze Zygmunt Bauman w *Nowoczesności i Zagładzie*, struktury instytucji cywilizowanego świata. Inaczej mówiąc, gdy Hitler nie przegrał wojny, mógłby podobnie jak ZSRR chlubić się sukcesami w zdobywaniu kosmosu, w mikrofizyce, może nawet w inżynierii genetycznej. Bauman zwraca uwagę, że nawet powojenna socjologia okazała się zupełnie, jako nauka, indolentna w kwestii zrozumienia fenomenu Zagłady, bowiem ta okazała się wprawdzie niekoniecznym, ale integralnym następstwem nowoczesności. Co się zaś tyczy samej flagowej ścisłości dziedziny Cricka i... Dołowego, to Crick ze swojej strony podsumował ją następująco: „Za każdym razem, gdy piszę referat na temat pochodzenia życia, postanawiam sobie, iż nigdy nie napiszę postępu, gdyż jest tam zbyt wiele spekulacji ścigającej zbyt mało faktów.”

Aby lepiej zrozumieć ten jakiś immunologiczny odrzut racjonalności, którego zapowiedzi pojawiły się już razem z szokiem wskutek Hiroshimy, podjęto studia nad początkiem ośrodków naukowych w Europie. Jak wiadomo, były to uniwersytety. Tworzył je kościół, podobnie jak sieć szkół, rozwijał badania nad gospodarką oraz dydaktyką i metodologią nauczania, zgodnie z potrzebą zarządzania i organizacji posiadanej doświadczenia – Marks powiedziałby „osobowych i rzeczowych sił wytwórczych”, co podchwycyło w krajach Karola Wielkiego oraz Alfreda Wielkiego, gdzie władza polityczna drastycznymi środkami zamieniała społeczeństwo w centralistyczne państwa, wyposażone w aparat represji. Ośrodki naukowe dopomogły utożsamieć zgodność świata naukowego z jego obiektywizmem. Związały poznanie z polityką zarządzaną w imię państw. Z bliska, niczym przez lupę, oglądane dzieje uczelni, to nie tylko spory z Biblią faktycznymi albo też insynuowanymi

jej twierdzeniami (bo, co się tyczy astronomii, autorzy pism Tory mieli kontakty z elitami nauk Babilonu i Egiptu), to także przesunięcia na poziomie wspieranych dyscyplin. Przykładem pierwszym z brzegu Akademia Krakowska, która – niestety – stawczyła się uniwersytetem, tj. otworzywszy wydział teologiczny, uprawniający do tej nazwy i rangi, zarzuciła prymat wydziału prawa oraz medycyny. Dotacja królowej Jadwigi poszła właśnie na kształcenie duchownych z zadaniem katolicyzacji ziem litewskich. Co do najnowszych dzisiaj przesunięć ważności, postulowano likwidowanie filologii klasycznych jako „niepotrzebnych”, a ponieważ opór środowiska uczonych był znikomy, „wjechało” i to bardzo szybko w „zbędność” badań prenatalnych oraz seksuologicznych. Po prostu nastąpiła wstępna zgoda na dyscypliny potrzebne bądź drugiej ważności. Od tej chwili „system” został rozchwiejany. Instytuty historii mogły dostawać subsydia na badania martyrologii narodu polskiego, ale już nie Romów polskich albo Niemców po 1945; o Żydach nie wspomnę, bo pojawiła się wręcz ustawa chcącą karać do 3 lat więzieniem za wścibianie nosa w brudy antysemityzmu. Mało tego, bo brudy brudami. Ryzykiem jest honorowanie dokonania polskich Żydów w formie takiej, jak patronat szkoły czy ulicy jakimś Janem Brzechwą czy Ludwikiem Szenwaldem. Lepszy ma być Józef Beck. Lub Łupaszka.

Warto zdać sobie sprawę, że nie sposób rozdzielić konkretnych decyzji w zakresie sponsorowania badań od światopoglądu, o ile istnieją prywatne szkoły lub instytuty, o ile ministerstwa nauki obsadzone są z partyjnego klucza. Osobna jeszcze kwestia: etos naukowy, niekoniecznie utożsamia z etosem mądrości. Etos ten wymaga istnienia wspólnej zgody na dociekanie tego, jaką rzeczywistość jest – co by wkluczało myślenie o tym, jaką „ma” albo „powinna” być. Etos nie istnieje bez mitu. Mało jeszcze wiadomo o micie, o jego fundamentalnym znaczeniu dla kultur, dla indywidualnej psychiki oraz stosunku do... biosfery. W Polsce, gdzie następuje może szczególnie odrażająca postać niekultury i postprawdy, do wcale nie dawna podtrzymywano złudzenie mitu oświeceniowego, patriotycznego jako tchnącej nadzieją na przyszłość puenty „starej”, przedrozbiorowej Rzeczypospolitej, jedynącej z polską szlachą polski lud, na na domiar i Żydów, i inne mniejszości, mit kojarzony z emancypacją zbiorową naszej wspólnoty we wspólnocie euroatlantyckiej. Tym trudniej, smutniej, rozstać się z nim. Dawał jednakże prawo samostanowienia i bezpieczeństwo osobiste. Tracimy poczucie bezpieczeństwa. Nie myślę jednak, aby dzisiaj akurat, tym bardziej podczas pandemii, kiedy piszę te słowa, warto było mieszać współczesne chrześcijaństwo Europy z pokracznym tworkiem, jaki panoszy się w Polsce, a jest tylko przykrywką dla neurotycznej „solidarności cmentarnej”, jak to ujął profesor Zbigniew Mikotejko, agnostyk. To jeszcze jeden powód tego, że wywód Krzysztofa Dołowego byłby pełniejszy, gdyby nie ograniczał się do Biblii jako punktu odniesienia. Biblia w Polsce jest prawie nieznana, na wszelaki sposób sekowana, obchodzona i zakłamywana, także przez polskich bibliistów

Książka Krzysztofa Dołowego zmusza do myślenia i pod tym względem jest bezcenna. Może faktycznie utoruje jakieś nowe i świeże patrzenie na nasze pewniki, a w tym – iż paradygmat oświeceniowy ma dwie twarze jak rzymski bóg Janus: „boga nie ma, czcimy rozum” (i wznoszono świątynie Rozumu) oraz „bądź moim bratem, albo cię zabiję”. Raz dopuściwszy niejednoznaczność

„wyściowego pewnika” Oświecenia, mianowicie istnienie prawdy, rozbijając go na czymś atomos-niepodzielne, schodzilibyśmy na fascynujące piętra poznania innych struktur, innych napięć. Jak w mikrofizyce. Dramat tych najlepszych wywołicielskich intencji Oświecenia tkwi w tym, że świat nauki jako struktura związana z autorytetem i statusem, z pozycją materialną i koniecznością pozyskania pieniędzy, nie została zachwiana, utracono natomiast etos. Elitarność wykształcenia zamieniła się w masowość, ale nie w szczerą poczucie, iż pozostali są nam równi. Furia humanistyczna od połowy XX w. podnosiła żałosną absurdalność produkowania dyplomantów, doktorów, docentów, zawężania specjalizacji.

Krzysztof Dołowy jest umysłem względnie renesansowym i dlatego nie wątpię, że nadmiernie wąskim specjalizacjom naukowym przygląda się z lękiem, podobnie zbiorokratyzowaniu praktykowania nauk. I nie mniej pozostawianiu odłogiem kwestii osobistej moralnej dojrzałości badacza albo wykładowcy, no ale i zwykłego absolwenta. Tak jak organizacyjnej już w placówkach naukowych przewadze zajęć dydaktyczno-administracyjnych nad własnym dociekaniem. Nie chodzi wcale o ostatnie wytyczne 5 lat, lecz ostatnie 35 lat. I o odpowiedź na pytanie, dlaczego, z jakich powodów świat nauki polskiej (tak jak niemieckiej i rosyjskiej tuż przed ich antyreligijnymi „rewolucjami”) okazał się aż tak uległy i bezradny? Dla mnie papierkiem lakmusowym był wykład Zygmunta Baumana na uniwersytecie w Wrocławiu: pojawili się młodzi ludzie w kominiarkach, zapewne bez pojęcia o jego dokonaniach w socjologii, i zaczęli zastraszać całe to eleganckie, wykształcone towarzystwo chamskimi zagrywkami. Wezwano słuby porządkowe. I w tym kłops: nikt nie zdobył się na ripostę, jaka by speszyła bojówkę. Na marginesie rzucę, że owszem, coś podobnego wydarzyło się na wrocławskiej ASP, i wtedy profesor Janusz Jaroszewski podszedł do kącika dla palaczy i rozkoszował się papierosem. Po chwili jeden głupek staje obok i profesor go poczęstował, nawet ognia mu podał. I było po zadymie.

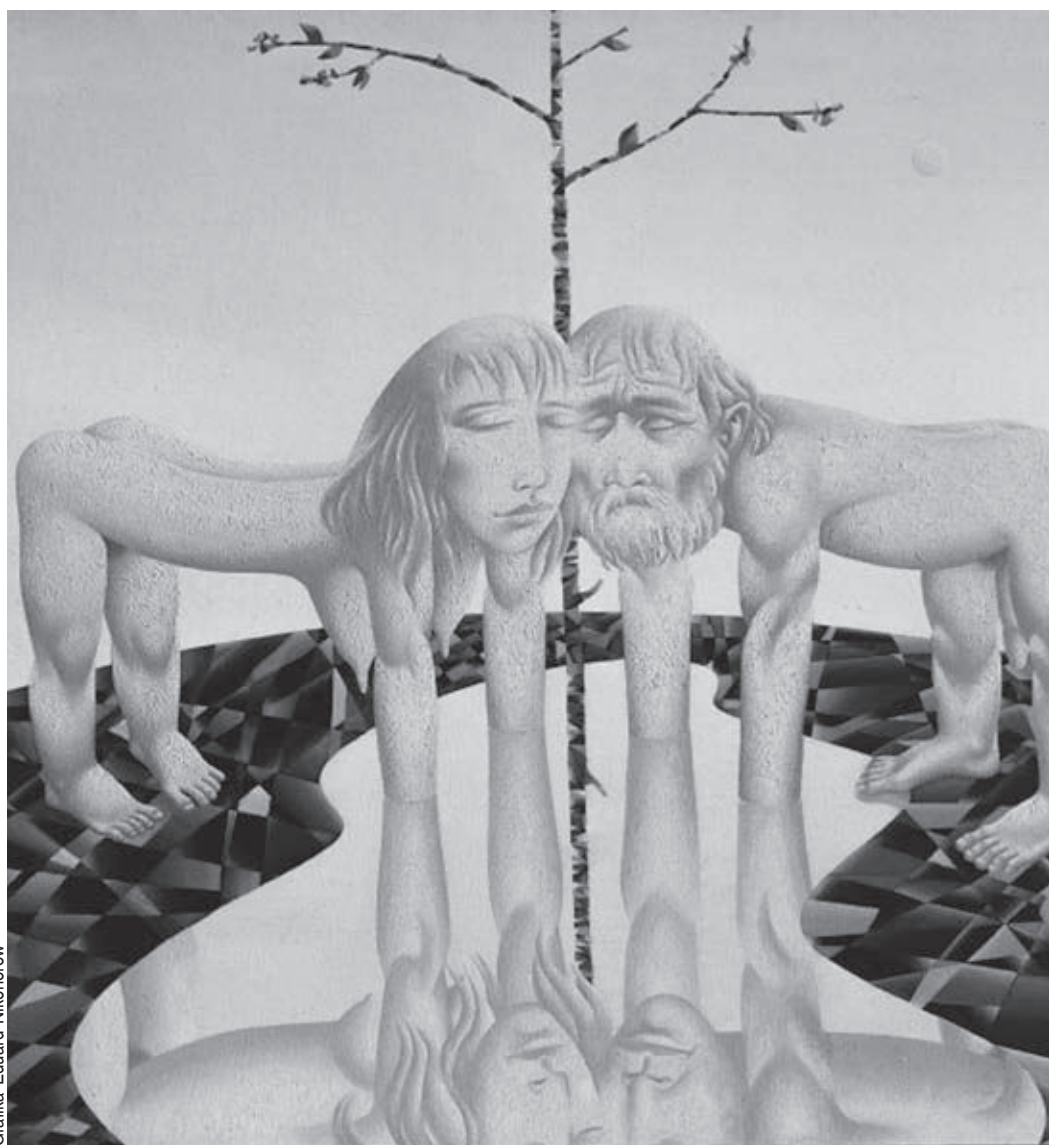
Wiedza w Polsce służyła dla neofeudalizmu. Pozwalała pogardzać innym. Zdobywano ją i przynależne tytuły naukowe nie z ciekawości co do faktów, ale ze strachu i z chciwości. Nikt sobie nie stawiał pytania, po co nam cywilizacja. Zwłaszcza „taka”. Kiedy więc profesor Krzysztof Dołowy podejmuje dyskurs z religią, to redukując ją do Biblii, zdaje się też pomijać fakt, iż tak kanon Biblii, jak całkosztat jej dopuszczalnych odczytań, była wypadkową rozmaitych skutków zmiany wiary w instytucję tyleż ekonomiczną, co polityczną (w rezultacie militarną; na jej wzór również i nauka tego paradygmatu nabrała podległości ekonomicznych, politycznych oraz militarnych; wiele wskazuje, że właśnie jej militarne strony są najsilniej innowacyjne, inspirujące poznawczo). Zgodnie z tym paradygmatem unieważnił zatraconą nieantagonistyczność dociekań naukowych i duchowego samopoznawania – okres ów mienimy „przednaukowym”. Ta, w rzeczy samej przedantyczna, jednia zakładała ekskluzywizm oświaty. Zakładała traktowanie wiedzy jako tantry. Zakładała, że wnikanie w domeny wiedzy w jakiegokolwiek dziedzinie jest aktem sakralnym, o jaki zapytywał Crick – wymaga przeto pewnego już formatu duchowego, pewnej godności charakteru. Być może sam ten termin, „duchowość” wyda się niesto-

sowny w kontekście deklaracji ateistycznej profesora Dołowego. Proszę go potraktować metaforycznie albo też na gruncie neurologii innych żywych istot. Ustawienie człowieka w centrum stworzenia z całą pewnością skutkuje idolatrią jego cywilizacji oraz pradygmatu, jaki tę cywilizację rozwinął – wbrew naturalnemu środowisku. W dziejach ludzkości było zapewne kilka już uderzeń o bandę realiów środowiska. Cywilizacje zanikały po wyjątkowaniu ziemi ornej, po wytrzebieeniu lasów, z powodu chorób oraz konfliktów we własnym tonie. Jeśli człowieka, z czym się zgodzę, uznać za jednego ze ssaków, to – gdyby nie zakazywała tego etyka – można by go obserwować laboratoryjnie, jak dewiuje po dłuższym egzystowaniu w stłoczeniu, w konieczności stosowania się do wyśrubowanych norm oraz zegarka. Sakralność wolno rozpatrywać jako cykliczne uwalnianie się od norm, od rozumowania w kategoriach socjo-centrycznych. Jako przywracanie kosmo-centryzmu. Głupota zaś epoki „postprawdy”, która mierzy i znieważa naszą inteligencję, też wydaje się jakąś statą właściwością funkcji wzrostu wiedzy i samowiedzy. Założyliśmy czemuś (osobny problem, czemu), że od oświeceniowej rewolucji, od zwiaststwa Rozumu nad Ciemnotą oraz Etyki nad Podłością świat już pomaszeruje równą, prostą ulicą do Raju. Do Raju, pozwól sobie mitycznie, wiodą ścieżki wąskie, śliskie, karkołomne. Brukowane ulice – do piekła. To jednak napawa nadzieją. Sinusoida po pew-

nym czasie ocierania się o nikczemność, o obłąd, odegnie się ku górze. Oby to był nowy paradygmat, zrozumienia także dla istnień człowiekowi (nagiej matpie) niepotrzebnych a nawet dokuczliwych.

To prawda, najpiękniejszych odpowiedzi może tu udzielić tylko wiedza ścisła. Pamiętając, że, jak Dołowy sam podnosi już we wstępie, że metodę naukową wprowadzie oświeceniowy ferwor myli z prawdą, ale jest ona narzędziem prowadzącym do poznania. Znaczną część książki zajmują błędy czy ślepe uliczki, w które nauka brnęła, bo robiła złe założenia albo miała niemądrych wykonawców. Ja myślę, że w nauce nie ma prawdy, jest co najwyżej prawda dotycząca pewnego badanego układu, ale ona nie jest uniwersalna, choć może sprawiać takie wrażenie jeśli podobne prawidłowości dotyczą też innych układów lub jeśli badany układ jest bardzo szeroki. Co za szansa dla humanistyki! Najwyższy był czas na taką perspektywę, na odwagę nadziei, że – tutaj użyję słów Cricka – „Kiedyś lepiej poznamy mechanizmy odpowiedzialne za takie funkcje umysłu jak intuicja, twórczość i doznania estetyczne, co być może pozwoli na ich głębsze przeżywanie”, jakie zastąpiła ich konsumpcja. Bez odwagi patrzenia z zewnątrz na codzienny, bezrefleksyjny paradygmat kulturowy trudno o niedokładanie garstek chrustu do stosów, jakie mogą znowu trawić ludzi z WHO, z Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy albo i... kosmonautów.

URSULA MALGORZATA BENKA



Grafika Eduard Nikonorov

Alina Biernacka

Ból

Ból, który figuruje w kartotekach
jako notoryczny przestępca,
stara się umykać przed rozpoznaniem,
zmienia głos, wkłada workowate ubranie,
przemyka pod murami.
Schwyty, wypiera się swojego imienia.
Puszczony wolno, gwizdże na palcach –
zwołuje kolegów – ma gotowy plan
nowego skoku.
Z zaślepioną latarką skrada się moimi tkankami.
Jego celem jest centrum sterowania myślą.
Gdy tam dotrze, w jednej chwili zrozumie,
że jestem w domowym areszcie,
podczas gdy ból, zasłaniając się immunitetem,
nie może być karany, ani uwięziony.

Dni bogactwa

Dni bogactwa zapraszają chętnych do środka.
Wszyscy wiedzą, że ten festiwal pewności i bez troski
nie potrwa długo.
Kupujemy więc przedmioty i cudze myśli,
zamknięte w poręcznych pakunkach książek.
Sny o początku nowych studiów
przypominają nam, że ciągle jest czas
na powrót do roli ucznia czarnoksiężnika.
Kiedy idziemy ulicą, przełamując
nieudolność starości,
ktoś z góry wodzi za nami palcem,
wynik naszych wysiłków jest, być może,
treścią zakładów pomiędzy bogami.
Nie mamy do nich pretensji –
ich dobry humor jest w części
naszą wygraną.
Dookolne skały służą za kryjówkę
śledzącym nas egzaminatorom.
Wysokość, na której się znajdujemy,
nie zniechęca ich do nieustannej oceny
naszych postępów w sztuce przeciwstawiania się
oporowi powietrza.
Jednym gestem potrafią nas zepchnąć pod ziemię,
a tam wrzące jądro dokończy dzieła.

Szarańcza

Podniosła muzyka nie pasuje
do tego poranka – z trudem przebijającego się
przez zaslonę nocy.
Rzucona gazeta chwyta zaczątki światła,
porażona treściami w niej zawartymi.
Ptaki opuściły ogród, wolą przemieszczać się
w kierunku lotniska – tam będą czekały
na rejsowe samoloty, przywożące bociany,
które zarobiły na bilety trudniąc się dilerką.
Pierwsze dni marca nie wnoszą niczego nowe-
go,
prócz wieści o nadciągającej szarańczy.
Rząd zdecydował się podpalić pola,
a ludność emigruje na biegun północny.
Czas się rozregulował, pory roku zanikły.
Nikt nie ujdzie żywy, jeśli nie posiada
ważnego biletu na lot poza Mleczną Droge.
Oczekując na start rakiety,
szykujemy się do przemiany w bakterie.

Czas odosobnienia

Lacrima, lacrima- powtarzają soliści zespołu
starej muzyki, ale łzy nie płyną,
lutnia przejmując temat wiodący.
Za oknami rozpościera się przestrzeń zatruty.
Ludzie, wtrąceni do więzień-domów
śpiewają na balkonach buntownicze pieśni.
Wróg unosi się w powietrzu,
Jest jak Bellerofont.
My, niestety, wyobrażamy Chimere
i wiemy że Bellerofont zwycięży.
Ukrywamy się, ale większość polegnie
wziawszy ostatni oddech.
Czas odosobnienia każe rozwijać
szalone teorie na temat nienaruszalności
ludzkiej rasy.
Jednak każdy następny dzień udowadnia
ich fałsz.
Wkładamy więc list do butelki,
rzucamy w głąb morza i zdajemy się
na osąd barwnych ryb,
które niedługo nauczą się czytać
i będą ostatnimi świadkami
naszej zguby.

Wiosna

Wiosna znieprawiona epidemią,
 pozwala sobie na przewidywanie przyszłości,
 a ta nie kwapi się z nadejściem.
 W zamkniętych sklepach manekiny
 przygotowują kolekcję na czas zarazy:
 czarne szaty zakrywające całą postać
 i obowiązkowe czarczafy.
 Kieszonkowcy popadają w nędzę –
 w pustych tramwajach nie czekają ich żadne łupy.
 Słońce postawiło sobie za punkt honoru
 oświetlać coraz mocniej wyludnione ulice
 i osuszać łyzy osieroconym.
 Wojsko, używane do obstawiania zakazanych wyjść,
 przypomina pachółków mafii narkotykowej.
 Czas zdecydował się na strajk włoski – obraca wokół siebie
 każdą minutę i wzbrania się przed rozwinięciem
 większej szybkości, niż 10 km/ godz.
 Oczekiwanie jest teraz stanem ducha wszystkich,
 którzy pozostali żywi.
 Niektórzy nie wytrzymują napięcia
 i mówią sami do siebie,
 inni łamią zakazy i ostentacyjnie parady ulicami.
 Wulkany dostosowują się do oczekiwań ogółu –
 przygotowują gorące popioły do wystrzelenia w niebo.
 W salach koncertowych opuszczone fortepiany
 narzekają na brak stroicieli,
 a kasy zwracają pieniądze za bilety na rok z góry.
 Prezydenci wizytują szpitale
 i dają się fotografować podczas poważnych obrad
 ze specjalistami od pijaru.
 Ptaki zachowują się wiosną zgodnie z oczekiwaniami
 przyrody – jednak budują po kilka gniazd,
 z obawy przed wysiedleniem w czasie kwarantanny.
 Załączki liści wahają się – nie wiedzą czy warto
 przychodzić na świat w zatrutym powietrzu.
 Jedynie promieniowanie kosmiczne wysyła
 swoje wiązki jak gdyby nic –
 ma nadzieję, że ugasi epidemię tak szybko,
 jak się da.

Czas niewiedzy

--I to już koniec? -- pytam dnia,
 który przyniósł mi tylko niepewność i strach.
 -- Czy pieśń Mahlera wystarczy za odpowiedź?
 Czas niewiedzy prowadzi w głąb złych myśli,
 żadnych znaków przynoszących ulgę,
 obraz katastrofy okazuje się
 jedynym możliwym.
 Żeby nie podzielić losu Edypa,
 wydaje się drakońskie zarządzenia.
 Jednak wiadomo, że nikt nie przechytrzył
 Bogów Olimpu
 i wysiłki, jakie mają przynieść
 radosny koniec, na nic się nie zdadzą.
 Rzucony dysk dosięgnie ofiary,
 a Jokasta zawiśnie zgodnie z wolą Parek.
 Czy cała Ziemia zasłużyła na nowy Potop?
 Jeśli tak, pochylmy głowy,
 żeby nie patrzeć w oczy śmierci,
 która zesłała z obrazów Boscha.

Podziękowanie

Dziękuję wam, Bogowie za to,
 że nie umiem przewidzieć przyszłości,
 za moją ignorancję
 i za stan zagrożenia, w jakim nagle
 znaleźliśmy się.
 Nastąpiła wiosna, w czasie której nie wolno
 odwiedzać ogrodów.
 Wysłuchiwanie komunikatów o liczbie ofiar
 miesza się z wizją upadku ludzkości.
 Żarliwy głos śpiewaczki flamenco
 przywołuje do porządku wąpiących
 w jakąkolwiek przyszłość.
 Nie wszyscy zgina, a ci,
 którym udało się skryć w załomach murów,
 Zaprowadzą ład lepszy, niż ten
 z czasu przed katastrofą.
 Bogowie obserwują skutki zesłanej przez nich
 epidemii, dają znak żeby zakończyć dzieło.
 Chodziło o przetrzebieenie ludzkości,
 czy o umocnienie jedności zamieszkujących Ziemię?
 A może to była tylko zabawa Bogów –
 rodzaj gry w szachy tysiącami ludzkich pionków?

Raport z epidemii

Jak umarli znoszą epidemię?
 Czy zaburzyła ich zwyczaje?
 Śledzą postępy śmierci,
 przyglądają się rosnącym wykresom zarażonych?
 Cieszą się, czy smucą widząc długą kolejkę zmarłych?
 Szykują się na spotkanie z przyjaciółmi?
 A może chcą przekazać żyjącym
 rosnące pod ziemią hadesowe ziele,
 które pozwala na bezbolesny koniec?
 Twórcy marszy żałobnych zaciskają palce,
 by ich wykonania były udane.
 Kruki już organizują liczne Intermezzi –
 będzie o nich głośno z okazji każdego pochodu
 aleją w cieniu starych więzów.
 Czarne konie, które kiedyś brały udział w obrzędach,
 teraz mogą tylko wspominać pochody
 z wysokimi pióropuszcami i białymi kapami
 okrywającymi grzbiety.
 Cmentarze całej Ziemi nigdy nie były tak oblegane.
 Bogowie, wychyleni ze swoich siedzib,
 patrzą ciekawie i obliczają zyski
 płynące z zagłady – mają udziały
 w domach pogrzebowych,
 wynajmują też ciemne chmury,
 które nadają uroczystościom groźny charakter.

MARZEC 2020

Anna Krasuska

(NIE)CZYTANIE

Ja czytam, ty czytasz, on czyta...

Ja myślę, ty myślisz, on myśli...

Ja czytam, ty czytasz, on czyta, my czytamy, wy czytacie, oni czytają...

Czyżby?

Nauka koniugacji na tym przykładzie dalece odbiega od opisu rzeczywistości. Z raportów dotyczących stanu czytelnictwa w naszym kraju, publikowanych od lat przez Bibliotekę Narodową, [pisząc ten tekst korzystałam z ostatniego zestawienia, opublikowanego 24 marca 2019 r. <https://www.bn.org.pl/download/document/1553593649.pdf>], wynika bowiem, że najczęściej ja nie czytam, ty nie czytasz, on nie czyta, my nie czytamy, wy nie czytacie, oni nie czytają. Zleczone przez Bibliotekę badania (realizowane przez firmę Kantar Public) dostarczają niepokojących danych, utrzymujących się na podobnym poziomie przez kilka ostatnich lat: „w 2018 r. czytanie przynajmniej jednej książki w ciągu roku zadeklarowało 37 procent respondentów”. W 2017 roku było to 38 procent, w 2016 i 2015 – też tylko 37 procent ankietowanych. Co ważne, każdorazowo próba badawcza obejmowała osoby w wieku co najmniej 15 lat. I ta cezura jest także znacząca, ponieważ dotyczy uczniów, którzy nabycie umiejętności czytania mają już za sobą i nawyk czytania (żeby nie powiedzieć nałóg) powinni mieć wpojony i ugruntowany po dziewięciu latach szkolnej nauki. Ba, to osoby wprost drogi w edukacji, jeśli bierzemy pod uwagę fakt, że młodzież kształci się do osiemnastego roku życia, a po zdaniem egzaminie maturalnym wiele osób wybiera studia, wszak różnego typu uczelnie (zwłaszcza niepubliczne) działają w każdym trochę większym mieście.

Czy więc można uczyć się, studiować, w ogóle... żyć, nie czytając? lub czytając niewiele?

Czym jest czytanie? Czym jest czytanie literatury? Jak lektura zmienia człowieka? – to pytania, które zadają / powinni zadawać sobie nauczyciele jako eksperci uczący na różnych etapach edukacji, ale też szerzej – wszyscy (szczególnie humaniści). W takich sytuacjach obiektem rozważań staje się najczęściej człowiek, który posiadał już umiejętność czytania, ale z jakiegoś powodu – jakiego? – daleko mu do czynienia użytku zarówno z tej umiejętności, jak i w dalszej kolejności – do czynienia właściwego użytku z rozumem. Nie chcę jednak pójść na skróty i postawić przed sobą gotowy obiekt oględzin, czyli już sprawnie czytającego. Interesuje mnie bowiem, na jakim poziomie alfabetyzacji tenże czytający może zacząć rozumieć, co czyta.

W po pu lar nym ro zu mie niu brak u mie ję t noś ci pi sa nia, czy ta nia i wy ko ny wa nia cze rech pod sta wo wych dzieła ma te ma tych nych przez o so by do ro stę, czy li zgo dnie z kry te ria mi U NES CO przez o so by po wy żej pięć na ste go ro ku ży cia, to a nal fa be tyzm, kó ry u le ga zmniejsze niu dzie ki al fa be ty cji.

Tak widzi tekst osoba, która uczy się czytać. I dopiero kiedy się nauczy („drobna” różnica między aspektem niedokonanym i dokonanym czasownikiem), kiedy będzie obejmowała wzrokiem całe słowa, związki frazeologiczne, możemy powiedzieć, że jest na drodze do zrozumienia tego, co czyta. Bo oczywiście warunkiem zrozumienia tekstu jest rozumienie wieloznaczności uży-

tych słów i związków frazeologicznych, ich znaczeń – dosłownych i metaforycznych. Truizmem jest przypomnienie, że dopiero rozpoznawanie znaczeń tych małych cegiełek tekstu pozwala na odczytanie myśli zawartych w zdaniach, szerzej – w akapitach. A to z kolei pozwala na zrozumienie głównej myśli, przesłania całego tekstu. Świadomość tych wszystkich zależności z jednej strony pozwala postawić zarzut: ależ to duże uproszczenie, schemat! Z drugiej jednak – umożliwia wskazanie niebezpieczeństwa, jakie czyha na czytającego, który zignoruje logikę czytania jako procesu i, na przykład, pominie wcześniejsze etapy, nie rozeznając znaczeń poszczególnych słów, nie określi logicznych związków między elementami tekstu, czy wreszcie nie dostrzeże tekstu jako spójnej całości, ale od razu da sobie prawo do krytycznej oceny zdarzeń i postaw, których dany tekst dotyczy. Jakże często mamy wtedy do czynienia z sytuacją, kiedy skupiamy się na ostatnim poziomie odczytania/wysłuchania tekstu, związanym z jego interpretacją i wartościowaniem, bez zadawania sobie trudu zastanowienia się, czy przypadkiem ta droga na skróty nie spowoduje, iż patrząc – widzimy wszystko oddzielnie, że dom... że Stasiek... że koń... że drzewo...

I okazać się może, że nie tak znowu daleko nam do opisu stanu umysłu pewnych Mieszkańców, sportretowanego jeszcze w czasach międzywojnia przez Juliana Tuwima:

Od rana bełkot. Bełkocą, bredzą,
Że deszcz, że drogo, że to, że tamto.
Trochę pochodzą, trochę posiedzą,
I wszystko widmo. I wszystko fantom. (...)
Jak ciasto biorą gazety w palce
I żują, żują na papkę pulchną,
Aż papierowym wzdęte zakalcem,
Wypchane głowy grubo im puchną.
I znowu mówią, że Ford... że kino...
Że Bóg... że Rosja... radio, sport, wojna...
Warstwami rośnie brednia potworna,
I w dżungli zdarzeń widmami płyną.

Nie wystarczy umieć składać litery.
Nie wystarczy umieć...
Nie wystarczy...

Wyniki egzaminów ogólnokształcących, do których przystępują uczniowie po danym etapie kształcenia, czyli wyniki sprawdzianu (egzaminu obowiązkowego po ukończeniu szkoły podstawowej, a przed ostatnią reformą jeszcze egzaminu gimnazjalnego po ukończeniu gimnazjum) oraz egzaminu maturalnego (co prawda nieobowiązkowego, ale bardzo rzadko nie przystępują do niego abiturienti liceów i techników) – pozwalają prześledzić poziom opanowania umiejętności opisanych w podstawie programowej.

Na stronie internetowej Centralnej Komisji Egzaminacyjnej (też okręgowych komisji egzaminacyjnych) znajdują się dokładne sprawozdania z poszczególnych egzaminów w kolejnych latach. Zawierają one nie tylko analizę statystyczną, ale, co ważne, również odpowiadającą jej analizę jakościową, czyli m.in. opisującą, jaką wiedzę i umiejętności bada dane zadanie o podanych parametrach statystycznych. Dokładnie opisana jest np. łatwość zadań. Parametr ten pozwala określić skalę trudności zadania i odpowiadającej mu badanej umiejętności. Łatwość zadania mieści się w skali od 0 do 1. Jeśli zadanie ma łatwość 0,2 to oznacza, że okazało się trudne (upraszczając: że tylko dwoje uczniów na dziesięciu poprawnie to zadanie miało). Z kolei wartość 0,8 dowodzi łatwości zadania, ponieważ jego poprawne rozwiązanie aż ośmiu uczniom spośród dziesięciu nie sprawiło problemu (przy założeniu, że 10 odpowiada 100 procentom).

Dlaczego pokusiłam się o dokładniejsze przybliżenie tego statystycznego parametru? Ponieważ jeśli odłożymy na bok spory o sam kształt egzaminów, raporty z nich są ciekawą lekcją na temat umiejętności, z którymi sobie nie radzimy, co potwierdza niski wskaźnik łatwości zadań je badających. Do tychże umiejętności, zapisanych w podstawie programowej kształcenia ogólnego (a mnie szczególnie interesujących), należy zaliczyć np. odróżnianie faktów od opinii czy określanie zależności przyczynowo-skutkowych. I tak już od pierwszych egzaminów (sprawdzian i egzamin gimnazjalny od 2002 roku, egzamin maturalny od 2005 roku) da się zauważyć niesatysfakcjonujący poziom opanowania tych sprawności i brak wyraźnych efektów jego poprawy w kolejnych latach. Można przypuszczać, że pewnie jako dorośli też mamy kłopot z biegłością w tym zakresie i dlatego nie potrafimy skutecznie nauczyć swoich dzieci. To niepokojąca obserwacja, gdyż nie dotyczy prozaicznej czynności zakupu chleba w pobliskim markecie (choć trzeba się zastanowić nad jego wyborem, skoro jesteśmy rozpieszczani różnymi rodzajami pieczywa), ale istoty życia społecznego, w którym zarówno odróżnianie faktów od opinii, jak i rozeznawanie związków przyczynowo-skutkowych mają kluczowe znaczenie dla podejmowania decyzji, przyjmowania postaw, wyznawania określonych wartości. Jaki związek ma to ze mną? Na przykład taki, że bardzo niepokoi mnie sytuacja, kiedy o przyszłości mojej i moich najbliższych w demokratycznych wyborach politycznych i społecznych decydują i będą decydowali ludzie, którzy mają takie właśnie niedostatki w zakresie koniecznych umiejętności. Bo przecież deficyt sprawności w tym zakresie powoduje, że stajemy się podatni na różnego rodzaju manipulacje, nie potrafimy dokonać selekcji informacji, zidentyfikować, zweryfikować wypowiedzi. Nie radzimy sobie nie tylko z tekstami pisanymi, ale też graficznymi. Brak edukacji medialnej skutkuje tym, że, jak dowodzą badania, ok. 70 procent odbiorców nie rozumie sensu słów wykorzy-

stywanych w telewizyjnym przekazywaniu wiadomości [<https://www.polityka.pl/tygodnikpolityka/klassykipolityki/1760878,1,kraina-analfabetow.read>]

J. Ponadto sytuację komplikuje sam nadmiar informacji. Przekazywane są one nie tylko przez różne mass-media ale i współcześnie wszechobecne portale społecznościowe, które zalewają nas i przytłaczają nadmiarem informacji, powodując, że tracimy rozeznanie sytuacji i naszego w niej miejsca. *Pamiętacie jak przed erą Internetu ludzie sądzili, że przyczyną głupoty jest brak dostępu do informacji? Cóż... to nie było to.* – Możemy przeczytać w sieci. Nie przestrzegamy otaczającej rzeczywistości syntetycznie, nie tłumaczymy jej sobie, zwalniając się z myślenia i oddając myślenie innym. Innym, czyli myślącym? Innym, czyli może i myślącym ale cynicznym? Hipokrytom, kabotynom? Dowodzi tego kryzys na różnych poziomach życia (politycznego, społecznego czy rodzinnego wreszcie). I tak odbijamy się jak piłeczka pingpongowa, jesteśmy w grze, tworzymy grę, wyrwamy słowa innych z kontekstu, nadajemy im swoje znaczenia, żonglujemy, wyciągając raz Śtaśka... raz konia... raz drzewo...

Najnowsze badania [tekst z 7 września 2018 r. <https://www.polityka.pl/tygodnikpolityka/klassykipolityki/1760878,1,kraina-analfabetow.read>] pokazują, że kontakt ze słowem drukowanym ma tylko trochę więcej niż połowa Polaków, a reszta znalazła się na progu wtórnego analfabetyzmu: nie rozumie, co się do niej mówi i pisze. [dodałabym: zatraćła też umiejętność pisania]. Z wcześniejszych badań socjologów, ale badań przeprowadzanych już w XXI wieku, wynika, że 42 proc. Polaków nie rozumie niemal nic z tego, co czyta, a 35 proc. rozumie niewiele. [<https://www.wprost.pl/117974/analfabeci-xxi-wieku.html>]. Takich danych statystycznych (znajdujących się np. w artykułach o wdzięcznych tytułach, przytoczę dla przykładu: *Kraina analfabetów*, *Analfabetyzm wtórny – plaga*

współczesnego społeczeństwa cyfrowego, *Współcześni półanalfabeci: wykształceni, ale ignoranci*) można znaleźć wiele. Nie napawają one optymizmem, gdyż rzutują na jakość życia każdego, nie tylko samych nieczytających, ale również osób czytających, a może zwłaszcza ich. Dlatego w zaistniałej sytuacji proces czytania staje się procesem heroicznego zmagania o swoje człowieczeństwo, jakkolwiek patetycznie to brzmi. I nie chodzi tu tylko o proste użytkowanie bieżących informacji o świecie, rozumienie tych wiadomości, ale także o tworzenie własnego moralnego kręgosłupa czy o ćwiczenie wrażliwości w zetknięciu z innym, odmiennym. Materiałem, który umożliwia nam budowanie krytycznego myślenia, uczy dialogu z różnymi systemami estetycznymi, wartościami, są bez wątpienia teksty literackie. W przeszłości czytanie kanonu „lektur” budowało naszą wspólnotę narodową i było jednym z czynników obrony przed zniewoleniem. W kraju wolnym i demokratycznym czytanie – w ogóle czytanie, nie tylko kanonu „lektur” – powinno być etycznym obowiązkiem, ponieważ ocala w nas dążenie do utrwalania tych właśnie idei wolności i demokracji, daje szansę stawiania pytań, uczy poszukiwania swojego miejsca w wielokulturowej rzeczywistości oraz kształtuje wyobraźnię.

Jeśli tak dużo dobrego czyni w życiu człowieka czytanie, to dlaczego czyta on coraz mniej?

Co nakręca spiralę nieczytania, czytania bez zrozumienia i związanych z tym konsekwencji?

Należę do pokolenia, które przeżyło i przeżywa skok cywilizacyjny, bo jak inaczej i zwięźle można by nazwać postęp techniczny, który w krótkim czasie zrewolucjonizował chyba wszystkie obszary życia i przyczynił się do zmiany jego stylu. Rozpoczyłam naukę w salach lekcyjnych, których wyposażenie można zobaczyć już tylko w skan-

senie, studiowałam, kiedy nie było komputerów, laptopów, telefonów komórkowych, nie mówiąc o tabletach czy smartfonach itp., ba, nawet korzystanie z kserokopiarki było rzadkim i drogim rarytasem, natomiast koniec mojej pracy zawodowej zbiegł się z sytuacją, kiedy dostępne było już „wszystko”. Całkowicie zmieniły się narzędzia do bezpośredniej obsługi rzeczywistości. Aż chce się krzyknąć: znakomicie! Bo przecież tak bardzo możemy ułatwić sobie życie na każdym jego etapie. I to jest ogromne osiągnięcie, nie do przecenienia!

Ale.

Jest tylko małe „ale”.

Małe „ale”, które zakłóca mi tę sielankę.

Dlaczego? W odpowiedzi muszę sięgnąć do własnego procesu uczenia się, kiedy to niedostatki zewnętrznego oprogramowania musiały zastąpić „własnym oprogramowaniem”. Na początek musiałam nauczyć się szukać potrzebnych materiałów, lektur, źródeł (do dyspozycji były biblioteki, księgarnie, zasoby znajomych). Kiedy już do nich dotarłam i przeczytałam teksty, brak (lub niedostępność) sprzętu do kserowania czy drukowania skutkowało tym, że musiałam nauczyć się notować. Aby sporządzić sensowne notatki, musiałam zrozumieć tekst, który czytam, czyli uporządkować, zhierarchizować informacje, zrozumieć związki między nimi, przypomnieć/poznać konteksty, słowem – nie dokonując przekłamań, przetłóżyć myśli autora na „swój” język. Starłam się rzetelnie odzwierciedlać w notatkach sensy przeczytanego tekstu, abym mogła bez problemu do nich wracać. Ileż razy muszę teraz – tak opowiadając o uczeniu się – użyć słowa musiałam (wszak uczenie się ma represyjny charakter). Dziś wystarczy zrobić: klik. Informacje wyszukuje się błyskawicznie, a całe teksty/zaznaczone fragmenty wpływa drukarka albo gromadzimy je w zasobach na jakimś nośniku. Od razu w hurtowych ilościach! Szybko, bezboleśnie. Jedynie... w tym nadmiarze i pośpiechu zatracamy umiejętność selekcjonowania interesujących nas informacji, gubimy ich rozumienie. Nie przygotowujemy ich dla siebie, nie utrwalamy w „swoim” języku (ba, ileż jest – jeszcze dodatkowo, żeby się nie natrudzić – do dyspozycji „ściągi” czy wyciągów ze „ściągi”, czyli „ściągę ściąg”), słowem – mam duże wątpliwości, czy tak „poznając” jakieś zagadnienie, naprawdę je poznajemy, czy symulujemy, sami przed sobą, że poznaliśmy, że je rozumiemy. Mówimy: rozumiemy, bo to oznacza, że w każdej chwili można wyciągnąć kartkę/wyszukać w zgromadzonych zasobach plik z cudzym tekstem, z cudzym językiem. Zwalniamy się tym samym z intelektualnego wysiłku, skoro mamy „gotowca”. Pesymistyczna refleksja nasuwa się więc dosyć automatycznie: komputer, wszelkie nośniki danych okazały się – w tym zakresie – nie tylko dobrostanem, ale i zagrożeniem dla rozwoju naszego analitycznego i krytycznego myślenia. Kiedy więc natknijemy się na taki opis: *Sylabizują i składają po cichu litery. Uczniowie pierwszej klasy szkoły podstawowej? Nie! Dorośli i młodzież, którzy powinni przecież biegle czytać i do tego rozumieć, co przeczytali. I nie jest to sytuacja z XIX lub początku XX wieku. Według badań międzynarodowych organizacji PISA (Międzynarodowego Programu Oceny Umiejętności Uczniów) i OECD (Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju) trzy czwarte Polaków nie rozumie tego, co czyta.* [<https://portal.librus.pl/rodzina/artykuly/nie-rozumie-my-instrukcji-ulotek-i-umow-czyw-polsce-odradza-sie-analfabetyzm>; tekst z 13 września 2018] – nie będziemy znowu zszokowani.

Grafika Eduard Nikonorow



Nie cytuję tych danych statystycznych, aby lamentować. Postęp techniczny, a więc i cywilizacyjny, towarzyszy nam na co dzień, a jego narzędzia stają się naszą drugą skórą. Problemem jest więc tylko to, na ile jego dobrodziejstwa nas rozleniwiają, jak dalece wyłączają nasze myślenie, jak ograniczają potrzebę i chęć czytania. Jak bardzo skutki wpływu postępu technologicznego na nasze życie podzielą nas w społeczeństwie lub w rodzinie. Śmiem podejrzewać, że nasze wybory w obszarze kultury (szeroko pojętej) będą najistotniejsze dla wyboru przez nas wartości, ideałów, stylu życia, a te z kolei przełożą się na wybory w zakresie życia społecznego i politycznego. Nie odwrotnie! Nie odwrotnie! Więc nie uciekajmy od czytania. Bardzo interesujące byłoby (podejrzewam, że nie tylko dla mnie) badania socjologiczne, które zestawiałyby wybory, jakie dany człowiek dokonuje w sferze kultury (czy czyta, co czyta, jakiej muzyki słucha, jakie typy rozrywki preferuje, jakie filmy ceni najbardziej i dlaczego, itp.) z jego preferencjami ideologicznymi czy politycznymi (nie wiem, czy takie badania są prowadzone).

Aby nie pogłębiał się zarówno analfabetyzm realny (jeśli nie będziemy czytali), jak i analfabetyzm funkcjonalny (kiedy nie będziemy rozumieli tekstu, który czytamy) musimy dać się uwodzić książkom, tak jak dajemy się uwodzić technice cyfrowej. Tak. Ale jak? Powiedzieć łatwo, zrobić trudno.

W raporcie przesłanym PAP w kwietniu 2019 roku na temat badań czytelnictwa w Polsce, przeprowadzonych na zlecenie Biblioteki Narodowej, [<https://www.bn.org.pl/download/document/1553593649.pdf>], zostały wymienione przyczyny braku zainteresowania czytaniem książek. *To style życia i sposoby spędzania czasu wolnego, popu-*

laryzacja rozrywki cyfrowej, niewielkie przełożenie czytania książek w dorosłym życiu na powodzenie na rynku pracy, a także fakt, że za sprawą przemian w dziedzinie technologii komunikacji książki nie są dziś jedynym źródłem wiedzy i informacji.

Warto przyjrzeć się tym trzem głównym powodom „oderwania” współczesnego czytelnika od książki. Nie są one zhierarchizowane pod względem ważności, dlatego na potrzeby tych rozważań zmienię ich kolejność, zaczynając od podkreślenia, że za sprawą przemian w dziedzinie technologii komunikacji książki nie są dziś jedynym źródłem wiedzy i informacji. Socjologowie szacują, że tylko około 30 procent wszelkich tekstów otrzymujemy w formie książkowej, ponieważ pozostałe są przekazywane za pomocą nośników multimedialnych. I nie chodzi tu tylko o zamianę papierowej książki na tablet, ale o mierzającą przewagę wyszukiwania jakichkolwiek informacji za pomocą Internetu. Z kolei ta zmiana narzędzia pociąga za sobą zmianę formy komunikatów między użytkownikami sieci: dominują krótkie teksty (np. esemesy, e-maile), w których jakość zapisu pozostawia wiele do życzenia. Wszystkie te braki z założenia ma rekompensować szybkość przekazu. I tak powstaje nowa norma: prędkość przekazania informacji jest ważniejsza od jej treści. Ostatecznie jakoś się dogadujemy (z naciskiem na „jakoś”), zwłaszcza, że coraz częściej zastępujemy słowa ich skrótami, różnymi znakami graficznymi, w tym emotikonami. Nowe pokolenie, o którym zwykło się mówić, że rodzi się ze smartfonem w ręce, narzuca pozostałym zasady komunikowania, a zatem starsi starając się nadążyć w radzeniu sobie z nowym językiem (nowym, czyli dalekim od poprawności, jaką znają). I w tymże obszarze również możemy mówić o znaczącej różnicy kulturowej, tym razem między pokoleniami.

Kolejną wskazaną w raporcie BN przyczyną nieczytania książek jest *niewielkie przełożenie tej czynności w dorosłym życiu na powodzenie na rynku pracy*. Fakt. W pracy zawodowej nie zdaje się egzaminu z refleksji i przeżyć wynikających z czytania literatury pięknej. Więc jeśli już „coś” jako ludzie dorośli czytamy, to najczęściej tylko teksty niezbędne do wykonywania pracy zawodowej, co nazwałabym czytaniem koniecznym. W cywilizacji internetowej liczy się sztuka wyszukiwania informacji (czy mówiąc inaczej: wyszukiwanie informacji staje się sztuką). A pożądanym bohaterem naszych czasów został, można stwierdzić na podstawie obserwacji, człowiek produktywny w gospodarce rynkowej, czyli taki, który wykonuje pracę przynoszącą mu zysk w skali jego awansu zawodowego lub społecznego. Przy takich standardach życia lektura książek schodzi na odległy plan, gdyż jest z perspektywy zagospodarowania czasu wysoce nieekonomiczna – nie daje bezpośrednich i szybko namacalnych zysków. Dorosły czytający teksty literackie (a zwłaszcza czytający wiersze) jest postrzegany jak niegroźny dziwak, więc lepiej dla niego nie obnosić się z takimi pomysłami na życie. Wszak budowa autorytetu związana z czytaniem i posiadaniem książek mocno została zawężona do środowiska elitarnego, np. nauczycieli akademickich. Dlatego nie powtarzając już danych statystycznych dotyczących nieczytania, warto się zadumać nad tym, że tylko co ósmy Polak ma choćby niewielki domowy księgozbiór [<https://www.polityka.pl/tygodnik-polityka/klasykipolityki/1760878,1,kraina-analfabetow.read>], a czasy, kiedy encyklopedie lub bestsellery kupowano spod lady albo na subskrypcję, są dzisiaj we wspomnieniach cieniem cienia. I na szczęście. Choć czasami wyrzyły się mocniej i pamiętam, jak zdobyć

talonów („zdobycie”, nie „otrzymanie”) na trzy tomy Dziejów literatur europejskich było dla mnie powodem do dumy. Co nie znaczy, że marzy mi się kupowanie książek „na zapisy”, ale ta atmosfera snobizmu związana z ich posiadaniem już tak. Tak jak atmosfera snobizmu czytania.

Obie omówione przyczyny braku zainteresowania czytaniem książek spajają aktualne style życia i sposoby spędzania czasu wolnego, w których niewątpliwie dominuje popularyzacja rozrywki cyfrowej. Swoją tożsamość buduje się obecnie w cyberprzestrzeni, upodabniając do określonych grup społecznych. Popkultura, wzmocniona przez specjalistów od public relations, jednoznacznie narzuca wzorzec, jak należy żyć, jakie mieć aspiracje w zakresie wyglądu, ubioru, zachowania, spędzania wolnego czasu itp. Wynika z tego, że cyfrowa rozrywka, jako stały i zajmujący najwięcej czasu element codzienności młodych ludzi, nie jest tylko przyjemnym spędzaniem czasu. Staje się w ich życiu agresorem, ponieważ wyznacza standardy, które kneblują ich wyobraźnię, emocje, nakazując żyć w świecie pozorów.

Urodzona w sieci,
podłączona do sieci,
kroplówki terażniejszości,
mozolnie zapisuje dzień po dniu.
Kronikarka czasu przeciekającego.

Co robisz? – Siedzę. – Ja też siedzę.
Rachunek prosty – żyje, jednak żyje,
cudownie rozmnożona w wirtualnym świecie.

Klik, klik, klik, klik...
Miarowo bije tętno.
Niezawodnie.
Z małą przerwą na parę godzin snu
i drobne sprawy.

Epilog:
O końcu świata czyta w Internecie,
kiedy ten jej wali się na głowę.
(WIERZ W SIECI Z MOJEGO TOMU ONA I JA.)

W reklamowanych potrzebach konsumpcyjnych nie mieści się literatura. A jeśli mieści to w znikomym zakresie. Czyżby przestrzeń na czytanie nieodwracalnie się skurczyła?

Biorę do ręki wydany trzy miesiące temu Zjadacza książek Lecha M. Jakóba. Co to za gatunek? *Speculative fiction*? *Fantasy*? Nie. Niezupełnie. Tytuł nawiązuje do *helluo librorum* (pożeracza książek) Cycerona. To zbiór 24 bardzo krótkich epizodów z życia książkowego mola, gdyby posłużyć się taką metaforą. Ni mniej, ni więcej zapis przegód związanych z czytaniem przez całe życie. Prowokacyjna jest sama idea takiej książki – wykreowanie bohatera, dla którego esencją bytu jest pochłanianie książek. I „pochłanianie” to właściwe słowo, jako że „czytanie” nie oddaje pasji głównego bohatera. Można by też powiedzieć: ogarniętego żądzą „wielkiego żarcia”. I to na każdym etapie. Ciągłe nienasycone. Który, co najwyżej, zmienia zestaw potraw w zależności od upływającego czasu. Od Brzechwy, Jachowicza, przez Andersena, braci Grimm, Szklarskiego, Londona, Cervantesa, Conrada, Marqueza, Kafkę, Manna.... Nie sposób wymienić tu wszystkich dań. Ale też nie ma takiej potrzeby, bo to



Grafika: Eduard Nikonorov

w większości klasyczne menu. Nie tyle chodzi w nim o epatowanie jakąś zaskakującą recepturą, ile o podzielenie się niebiańską wprost rozkoszą samego jedzenia. Dajmy się uwieść tej atmosferze towarzyszącej pochłanianiu książek.

Nigdy dotąd nie odczuł podobnego odurzenia. (...) Jednak podniebienna rozkosz była tylko częścią ogólnej lekkości. Niepojętej i pociągającej intensywności doznania.

...po prędkim kartkowaniu... (...) Szedł niespiesznie od zdania do zdania, od wersu do wersu, z rozkoszą wyławiając przeoczone sensory i znaczenia pojedynczych fraz. Takie czytanie niósło wysoko. I było jak narkotyki.

W innej z kolei sytuacji często, prawie półleżąc w wygniecionym wgłębieniu fotela, kładł książkę na kolanach i zwlekał z jej otwarciem. Odkładanie tej chwili potrafiło wprawić go w z wolna rosnące drżenie. A razem z żywiej krążącą krwią w całym ciele rozchodziła się fala ciepła. (...) W końcu brat książkę do ręki – czule i delikatnie. Opuszki palców muskały jej brzegi, obwodziły kontur okładki. (...) Przybliżał książkę do twarzy, niemal dotykając ją nosem. Zwłaszcza okolica jej grzbietu niosła intensywniejszą woń. I dopiero wtedy, nasyciwszy inne zmysły... Ach, przerwijmy w tym miejscu...

Gdyby Żładacz książek był utworem muzycznym, to pewnie wybraną formą przekazu emocji związanych z czytaniem byłyby wariacje, jedna główna melodia w kilku-kilkunastu odstonach/zmianach. A ponieważ to tekst literacki, więc mamy opisy różnych uczuć towarzyszących czytaniu, eksponujące przede wszystkim stany gwałtownego pobudzenia, ekspresyjne (wszak tacińskie emovere znaczą poruszać). Co ważne, Jakób wykorzystuje różne środki artystycznego wyrazu, od hiperbolizacji pozytywnego uniesienia, po metafory zmagania czy odrzucenia. Wszak dobra książka ma smak, zapach, duchową adrenalinę. A po złej tylko zgaga. (ze zbioru jego aforyzmów *Do góry nogami*). Słowem – autor pokazuje, jak książka wzrusza, wzbogaca, uwrażliwia, czyni nas ludźmi. Jak ważna jest w naszym życiu. Uświadamia, że czytanie jest jak palimpsest – kontekst, wiedza, wyobrażenia pozwalają dociekać coraz więcej, choć większość Ameryk została już odkryta.

To, za co ja kocham książki, wydaje mi się najbardziej oczywiste i naturalne: książka jest dla mnie poligonem cudzych doświadczeń. Nie muszę ich wypróbować na własnej skórze, we własnym życiu, żeby zastanawiać się, jak sama w danej sytuacji bym się zachowała, jakie wartości wybrała. Mogę bezpiecznie zderzyć swoje myślenie z cudzym, bardzo często złapać się na tym, że wcześniej nawet bym o jakimś problemie nie pomyślała. Dzięki czytaniu mogę też otaczającą rzeczywistość i różne w niej sytuacje (czasami, a nawet zbyt często, przerastające moją wyobraźnię) ośwoić, zinterpretować, przeżyć w sobie i dla siebie. Odkryć to, czego nie podejrzewałam. Albo też nagle uświadomić sobie, że myślałam podobnie, ale nie znalazłam słów, żeby te swoje domysły wyrazić. Literatura daje mi ten język. Gotowy. Wprowadza mnie w swój świat i daje narzędzia do kontaktu z nim. Mało tego, pozwala porozumiewać się ponad czasem, kiedy myśli dawno żyjących pisarzy okazują się aktualne. Brodski w eseju *Cień Dantego* zwrócił uwagę, iż jednym z celów dzieła sztuki jest tworzenie dłużników, paradoks polega na tym, że im głębiej artysta tkwi w długach, tym jest bogatszy. Sparafrazowałabym te słowa, odnosząc je do czytelnika, którym jestem, ponieważ literatura czyni z odbiorcy dłużnika, który, paradoksalnie, im głębiej tkwi w jej czytaniu, tym jest bogatszy.

Zastanawiając się nad (nie)czytaniem, celowo zestawiałam prywatne historie natłoczonego czytacza z powszechnym kryzysem czytelnictwa.

Dlaczego?

Zestawienie skrajnych zachowań – ignorancji, dyletantyzmu z pasją poznawania świata i siebie dzięki czytaniu – pozwala lepiej uświadomić sobie przestrzeń dzielącą te światy. Nasilająca się różnica między tymi stylami życia wydaje mi się najbardziej wyraźnym kryzysem współczesnej cywilizacji, którego skutki możemy odczuwać już niebawem. Coraz większe dysproporcje między tymi dwoma grupami (co pokazują też dane statystyczne) spowodują, że w globalnej wiosce, w której żyjemy, paradoksalnie będzie coraz mniej interakcji. Dodatkowo pogłębiać tę sytuację będzie coraz mniej skuteczne oddziaływanie starszych na młodszych, podłączonych do Internetu i zwalniających się z podejmowania zbudowanego wysiłku umysłowego, nie tylko czytania, ale umiejętności selekcjonowania newsów. Tomasz Lem w wywiadzie w „Gazecie Krakowskiej” o znamiennym tytule *Dziś nikt nie czyta książek. Za to wszyscy je piszą*, mówi o cyfrowym świecie, przytacza reakcję swojego ojca, który do końca nie mógł wyjść ze zdumienia nad rozziwem pomiędzy coraz bardziej wyszukaną techniką a bredniami przez nią przekazywanymi. Stanisław Lem zmarł w 2006 roku. Co powiedziałyby dzisiaj?

Oczywiście, nie można mitologizować. I nie marzy mi się zmaterializowanie utopijnej idei powszechnego czytania. Tak nigdy nie było i nie będzie. W Polsce analfabetyzm zaczął być skutecznie i systemowo likwidowany dopiero po II wojnie, ale przecież nie oznaczało to automatycznej miłości do książek. Po prostu na szkołę nałożono obowiązek nauczania i z biegiem lat przestano o czytaniu mówić, traktując je jako umiejętność oczywistą. Bo czyż mówi się o czynności chodzenia? Chyba tylko przy stawianiu pierwszych kroków, jak przy wypowiadaniu pierwszych słów i przeczytaniu pierwszych wyrazów. Potem wszystkie te umiejętności są traktowane jako bezsporne, więc niegodne zawracania głowy. Tymczasem oczekiwanie, że dzieci same polubią książki, może okazać się dosyć naiwnym życzeniem. Tak jak wiara, że dzieci będą czytały, kiedy nie robią tego ich rodzice czy rówieśnicy. Jeśli wzorzec czerpania przyjemności z czytania miałby być utrwalaony, musiałby być przekazywany z pokolenia na pokolenie (dzieci uczą się przez naśladowanie) – jeśli w domu czytają dorośli, istnieje szansa, że taki nawyk wykształcą też dzieci i raczej bezboleśnie dostosują się do pożądanego standardu. Przy czym w miłości do książek należy je wspierać na każdym etapie ich życia (nie tylko przy okazji reklamowanych akcji „Czytaj Polskę czyta dzieciom”, „Czytaj dziecku 20 minut dziennie. Codziennie” czy „Poczytaj mi mamo”), bo jeśli ta systematyczność obcowania z literaturą zostanie przegapiona, trudniej będzie dzieciakowi dać się uwieść książce w późniejszym okresie. Trudniej, ale nie jest to sytuacja niemożliwa. Sama jestem tego dowodem. Odkryłam tę przyjemność dosyć wcześnie i bez dodatkowych bodźców, chyba że za zachętę uznać: „jak chce, to niech czyta”. I tak już zostało. Sprzyjało mi też szczęście, ponieważ spotkałam mądrych, etycznych nauczycieli (wystarczy dwóch-trzech, żeby zbudować własny mocny kręgosłup i z nieopierzenia przejść w opierzenie). Nie bez znaczenia jest też czas mojego dorastania, też dorastania do lektur. Po prostu wtedy się więcej czytało. Czasami książkę można było dostać na parę godzin, na jedną noc (jeśli poza cenzurą). Najczęściej, jak mówił Petrarca, jedna kazała ślaniać drugiej. Szu-

kało się w nich odpowiedzi, podpowiedzi, dotyczących spraw wielkich i zupełnie prozaicznych, dużo dyskutowało. Zapewne każdy z nas mógłby ułożyć swój własny jadłospis na głód czytania, na zaspakajanie jego różnych smaków, do których chciało się wracać. Ja, na przykład, lubiłam w tamtych czasach wracać do Myśli nieuczesanych Leca, przyjaciel do Narcyza i Złotoustego Hessego – te książki zostały z nami na stałe. Później, już z perspektywy czasu, widać wyraźniej, które lektury i jak wpłynęły na nas szczególnie. Bo nie tylko my pożeraliśmy książki, ale one pożerały też nas.

Któregoś razu przysnił coś, co utkwiło mi w pamięci wyjątkowo boleśnie. Role się odwróciły. Teraz on padł ofiarą. Nie wiadomo, skąd nadleciała duża księga, wyszarpując szponami w powietrze – niczym orzeł zająca. (...) Krzyczał przerażony jeszcze na granicy snu i jawy: *Porwał mnie Wielki Książ!*

To rozpaczliwe wołanie bohatera Żładacza książek Jakóba kaže przypomnieć o destrukcyjnym wpływie na emocje czytelników np. „książek zbójceckich”, o skargach różnych Gustawów, osadzaniu marzeń zainspirowanych lekturą w umysłach pań Bovary, Don Kichotów, Wokulskich, przypomina świadome męczeństwo Kostylewa zachwyconego wielką literaturą Zachodu czy prowokuje do zestawienia fali samobójstw po wydaniu *Cierpień Młodego Wertera* z emocjami bohaterów *Sali samobójców* (filmu Jana Komasy). Tak, literatura bez wątpienia ma nie tylko ogromną siłę oddziaływania metaforycznego, ale też realnego, o czym wiedzą tyrani, którzy kazali w przeszłości księgi palić, umieszczali „niebezpieczne” na liście zakazanych, cenzurowali itp. Oczywiście tekst literacki ma szansę zaistnieć tylko wtedy, jeśli odbiorca go dopetni, jeśli współtworzy jego znaczenia. Bo nie jest tylko tak, że ludzie przestają myśleć, gdy przestają czytać, jak powiedział przed laty Denis Diderot, ale dzięki lekturze poznajemy też siebie, gdyż uzewnętrznia ona nasze emocje, precyzuje marzenia, rozbudza wyobraźnię, jest ćwiczeniem z wrażliwości, jak pisał Leonard Neuger, inspirowe do ważnych życiowych wyborów. Słowem – meblując głowę książkami, uaktywniamy krwiobieg między rozumem a sercem. Odwrotnie – nie czytając, przyczyniamy się do zaniku tych organów. Na zewnątrz przejawia się to w prostactwie myślenia, prymitywizmie języka, w braku wstydu, który kiedyś knebłował ignorantów, a teraz niewiedza nie budzi zażenowania, przykrywa się ją bezczelnością i arogancją. Mediom daleko do pełnienia funkcji arbitra elegancji. Więc na kim ma się wzorować nieczytający Kowalski, jeśli wspólnota czytających drastycznie się kurczy?

Rola książek w życiu człowieka jest nie do przecenienia. Powstało na ten temat wiele prac naukowych, żeby przywołać *Czas lektury i Czytanie z innym* Krystyny Koziółki czy *Dobrze się myśli literaturą* Ryszarda Koziółka. Z kolei w ostatnim roku Marta Fox wydała autobiografię czytelniczki, czyli *Wariatkę, która czyta*, Lech Jakób Żładacza książek. Bez wątpienia książka to artykuł pierwszej potrzeby. Idąc śladem ludzi zafascynowanych czytaniem, ma się świadomość przynależności do tego grona:

Nasi tu byli!

Dobrze się myśli literaturą – możemy powtórzyć za Ryszardem Koziółkiem.

Tak, jeśli się ją czyta. To komfort – gdyby pozostać w kontekście konsumpcji – smakowania, rozgryzania, degustowania, doświadczania, rozkoszowania się... Dieta optymalna.

ANNA KRASUSKA

Ernest Bryll

Przy Obserwatorów

Śnił mi się Piotr i Staszek. W sinawych sztormiakach
Przyszli zbierać załogę. Bo jest znalezione
Morze Metafor i Oksymoronów

Odkrył je Piotr. On zawsze wynajdował znaki
Przejścia tajemne ze słów aż w podślowie
Teraz miał w ręku mapy. Niech się każdy dowie
Że pod bełkotem „dzisiaj” właśnie się otworzył
Głęboki krater. Z niego jak w przestworza
Można popłynąć na głębokie morza
Poezji. Powiadano - dawno zasypane
Piaskiem, błotem, śmieciem
Lecz wody nieznane
Czekają u brzegów na odkrywcę swego

Więc trzeba sklecić okręt napędzany
Nie wiatrem – ten zamilkł – a czym? A słowami
Trzeba załogi do takiej podróży
Okręt jest małoduży – orzech kokosowy
Niepewne losy. Trzeba będzie służyć
Dla wielkich głosów – samemu bez głosu

-No to jak? Trochę czasu masz na przedumanki
Żyjesz więc nie musisz. Ale popatrz rankiem
Gdy z psem wyjdiesz na spacer – jak okręt wypływa
Płytką wodą kanałku przy Obserwatorów

Od burty orzecha Piotr mnie gromko wzywa:
Tam wiersze jeszcze żywe. Porusz się. No, porusz.

2011

Przytul je

Przytul to dziecko- mówi – podając nam syna
Przytul, kiedy nie umiesz nawet się pomodlić
Dotknij tłusciutkich nóżek, spojrzysz w oczy modre
Bo niemowlęta najpierw modre oczka mają

Przytul serce do serca; Tam gdzie się zaczyna
Źródło miłosierdzia. Słyszysz – oddychają
Listeczki płuc. No przytul Je. Czego się boisz?
Zmień mu pieluszki. Czemu życie twoje
Takie przeciwne tobie? Pomóż, posiedź nocą
Przy Dziecku gdy ma kolkę. Pobujaj kołyską
Prosi Maria. – Bądź blisko Dziecka. To jest wszystko
To zawsze się udaje. I trwaj przytulony
Bądź teraz silny, Tyś Dziecka obroną
Nawet gdy w życiu twoim wszystko zagubione
Przytul je...

2010

Piosenka o modzie

Stroiliśmy się w swobody bo takie były mody
Kapelusz miało wielu – ale dmuchnął wiatr
Nosimy inne znaki na głowach nijakich
Inna pogoda. Tak

Dyktatorzy naszego strojenia
Mają inne barwne objawienia
Ciągłe inne ubrania
Niełatwe zadania
Odmieniać się we wszystko co nie jest czym jest

Chcieliśmy. Nie wyszło.
Widać nie chce nas przyszłość
Niezbýt radosna to wieść:

Już nie jesteś nosicielem mody
Nie umiałeś się wypinać do przodu
Zagapiłeś się. Zamyśliłeś
Może o tym, co był kiedyś tobą
Czasy dla nas bardzo niemiłe
Znowu..

2010

Na betonie dorośli bawią się

Na betonie dorośli bawią się jak dzieci
W grę „piekło niebo”. Czas tak miło leci
Gdy z kwadracika na drugi kwadracik
Dziewczyny skaczą zwinnie. Mężczyźni z tupotem
Stąd, gdy trafią w kałużę, gęsto pryska błotem
Ale twarz ocieramy. Gramy wśród przyjaciół

Piekło i niebo jest tylko umową
Nakreśloną kredą. A życie przed tobą
Prawdziwe. A że jesteś bardzo nieprawdziwy
Nikt się nawet nie dziwi

Z boku ktoś sędziuje
Ale kto? Każdy milczy. Wszyscy podskakują
Ma być wesoło dokoła
Kapuriesz

2010

Czesław Karkowski

Nowojorski romans

W metrze naprzeciwko mnie siedziała kobieta. W średnim wieku. Piękna. Ciemna skóra, europejskie rysy, na głowie krwisto czerwony, wysoki zawój. Patrzyłem ukradkiem, ale nie mogłem oderwać oczu. Wkrótce spojrzałem na nią wprost, śmiało i arogancko. Jak młodzieniec dwudziestoletni. Parę sekund konfuzji, jakby pewnego zmieszania. Spojrzała na mnie. „Beautiful” – wyszeptalem. „Thank you” – ruch warg w odpowiedzi. Ponownie oczy w książce, biografii Mickiewicza. Utkwiłem wzrok w kartkach dzieła Mieczysława Jastruna o wieszcu. Emigracja bije z kartek dzieła, emigracja z naprzeciwnika. Która jest prawdziwa? Literackie przetworzenie biografii polskiego poety, wyobrażenie tego, czym żył Wieszcza w Paryżu, czy moje bezpośrednie doświadczenie? Sprawy nieporównywalne. Ja go, czyli Wieszcza rozumiem, ale oni (czyli Autorzy) przykrawają go według własnych wyobrażeń, każde odmienne, ale jakoś wszystkie jednakie. Odosobniony, cierpiący, nostalgiczny, tragicznie rozdarty, itp. Sztampa i banał.

Utkwiłem oczy w książce. Wymachuję otówkami, ale nic nie podkreślam, nie zaznaczam. Nie mam co, nic nie zatrzymuje za interesowania. Ona zaprzęta moją uwagę. Metro pędzi, z przystanku na przystanek, co pewien czas podnoszę oczy, gdzie jesteśmy. Jefferson Street, potem Myrtle Ave. Kobieta w czerwonym zawoju nie patrzy na mnie, ale mam pewność, że jest moim zachwytem świadoma. Ale cóż ja do niej? Wstaję na przystanku, zbieram się do wyjścia, spojrzała na mnie. Lekki skłon głową: „have a nice day” i wychodzę. Odkłania się ze słabym uśmiechem. Wychodzę z metra, idę na schody, wychodzę na odwilż wokół. Ona zostaje w wagonie. Jedzie dalej. Rozchodzimy się na zawsze.

I drugi romans, typowo nowojorski. Znowu w metrze na Manhattanie. Zima. Naprzeciwko na ławce wagonu siedzi kobieta. Średniego wieku, średniej urody. Wystawiła jednak przepiękne nogi. Gołe, co w takim zimnie zwraca uwagę. Jak ona nie marznie? „Wystawiła”, bo odnoszę nieodparte wrażenie, iż zrobiła to celowo. Aby zwrócić na siebie uwagę, zainteresować współpasażerów. Wygląda na przypadek. Ot, wygodniej rozsiadła się na plastikowym siedzeniu. Te nogi jednak ściągają wzrok siedzących wokół. Na pewno mój. Co trochę patrzę na nie, przenoszę wzrok na twórcielkę nóg. Wydaje mi się coraz piękniejsza. Odnoszę wrażenie powstającej między nami więzi. Rośnie we mnie przekonanie, że to dla mnie tak się prezentuje, dla mnie otwiera swe piękno. Kusi. Zachęca.

Wysiadam na 68 Street. Kieruję się ku schodom, do wyjścia. Nieoczekiwanie kątem oka spostrzegam, że idzie w tę samą stronę. Musiała wyjść innym wyjściem z wagonu. Na chodach zrównuje się ze mną. Idziemy razem w górę po schodach, obok siebie. Nie patrzę na nią, ona nie patrzy na mnie. Na podeście rozchodzimy się w dwie strony: ona ku jednemu wyjściu, ja ku drugiemu. Koniec romansu, już się nigdy nie spotkamy. Iskra zgasta, niewyraźne porozumienie ostatecznie skończone. Jeśli w ogóle takowe miało miejsce. Bo wszystko tylko moje złudzenie, „wishful thinking”, chorobliwa wyobraźnia starego człowieka, któremu ciągle wydaje się, że zwraca na

NOWY JORK, NEW YORK

siebie uwagę, że jest atrakcyjniejszy wśród zwyczajnych pasażerów metra.

Wyobrażenie, fantazja, projekcja własnych ukrytych marzeń erotyczno-sentymentalnych? A może trafna intuicja, szansa, kolejna otwierająca się szansa. Tylko na emigracji są możliwe równoległe perspektywy egzystencji. Mogę stać się na nowo, od nowa, być kimś zupełnie innym. Projekcję w nowe życie w Nowym Jorku. Nieustannie, zgoła codzienne stwarzanie się na nowo. Wszystko jest możliwe, otwierają się niezliczone perspektywy, nowe szanse. Od początku, od nowa. To, co było „przed” - nieważne, ale to co „po” staje się przemożnie istotne. Każdy dzień, każda godzina – decyzje do podjęcia. Pójdę w tę albo w inną stronę,

Rower

Magda mieszka w dzielnicy domków jednorodzinnych. Nie specjalnie okazałych, ale też nie mizernych. Średnia klasa amerykańska, dostatnia, ale nie za bardzo bogata. Mieszka z mężem i córką. Jak na niedawnych przybyszów przystało – na dorobku. Oboje pracując, osiedli, kupili dom, spłacając miesięczne raty.

Do przystanku metra ma spory kawałek drogi. O porankach nie za zimnych i nie za gorących idzie zazwyczaj piechotą. Gdy pogoda nie sprzyja, czeka na autobus, niekiedy całkiem długo. Zazwyczaj więc jedzie do stacji rowerem. Podobnie jak wielu innych ludzi, przypina swój pojazd do kraty, schodzi w dół, wsiada do kolejki, jedzie do pracy. Po powrocie bierze rower i wraca do domu. Zwykle jeszcze jest widno, bo z takiego środa przemierzania się korzysta wiosną, latem i jesienią.

Kiedyś wraca z pracy – nie ma roweru! Spieszy się, nie zauważyła, iż nie dopięta zatrasku linki mocującej. Linka została, rower brak.

Zaczęła więc używać roweru męża. Kiedyś przyjeżdża na stację i widzi tam swój zaginiony rower, przypięty grubym tańcuchem do kraty. Niewiele myśląc przymocowała swój rower do swego, ale już w czymś nielegalnym posiadaniu. I weszła do metra. Po powrocie od razu zauważyła, że przy rowerze kręci się nieporadnie jakiś mężczyzna. Chińczyk. Skromnie ubrany, w rękę jakąś tekturową, obdrapaną teczką, twarz w zmarszczkach, spracowane dłonie.

Magda podeszła, spojrzała na mężczyznę i uśmiechnęła się przepaszająco: „I apologize, my fault. By mistake I tied my bike down to yours”. Odpięta męża rower, kiwnęła głową, wsiadła i pojechała do domu.

*

Język polonijny

Od dziesiątków lat w Polsce wyśmiewają się z polszczyzny amerykańskich Polonistów. Mówią pokracczną łamaną polszczy-

zną, „Kara stoi na kornierze” stanowiło od lat przykład tej nieporadności językowej, kaleczenie mowy, świadectwo szybkiego wynarodowienia się. Pośmiewisko: ani to Amerykanie, ani Polacy. Jakiś twór pośredni i pośledni. Niewydarzony. W tej powtarzanej uporczywie anegdotce przezierność poczucie wyższości i lekceważenia wobec licznej Polonii amerykańskiej.

No cóż, rzeczywiście tak mówimy. Dziesiątki lat temu wydawało mi się niewiarygodne, że mogę się wyrażać w sposób tak niezdamy. Nie tylko to robię, ale znajduję w tym „polglish” wiele zalet. Jest mową zwężoną, bliżej przylegająca do realiów tutejszego życia. Na wiele zjawisk nie ma w polszczyźnie zręcznego, adekwatnego określenia, bo przecież nikt mi nie powie, że lepsze od angielskiego, na przykład, „impeachment” jest polskie „impicment”, albo angielskie „roaming” od polskiego „roaming”. Wolę tutejsze „range” od polskiego „zasięgu”, lokalny „desktop” od krajowego „pulpitu”, itd. Wielu słów polskich zwłaszcza dotyczących zjawisk współczesnego życia po prostu nie rozumiem, toteż, na przykład w lokalnych bankach, gdzie mogę wybrać polski jako język operacji finansowych, tego nie robię. Wolę słowa angielskie, znane, bliższe, bardziej swojskie. To samo dotyczy słownictwa komputerowego, elektroniczno-telefonicznego i z wielu innych dziedzin.

Ale co mówię w kraju? Zrobić różnicę, skrać widowisko, zrobić dzień – to tylko przykłady polskich kalek (żart zamierzam!) językowych używanych w Polsce. Krajowcy bynajmniej nie lepsi od nas.

Poza tym codziennosc życia wywiera przemożny wpływ na słownictwo. Jesteśmy więc „na telefonie”, albo „w prysznicu”, oglądamy coś „na telewizji” i zachęcająco powiadamy „porozmawiaj do mnie”.

Wreszcie wybór słownictwa zależy od lokalnych, codziennych sytuacji, kiedy media, wiadomości albo zwyczajna codzienna praktyka podsuwa określenia wzięte wprost z języka w aktualnym obiegu. Akurat piszę ten fragment, gdy nieustannie mówi się w polityce o „Russian connection” i ja też tak mówię, podobnie inni wokół mnie, miast polskich „rosyjskich powiązań”; „Collusion” wydaje się lepszym określeniem od „zmowy”.

Wielu uważa emigrantów za lingwistycznych szczęśliwców. „W marszu”, w praktyce codziennego życia uczą się angielskiego, mają łatwo, są dwujęzyczni.

Nie jest to prawda. Zawsze jeden z języków przeważa. Specjalistyczne badania dowiodły tego nawet w przypadku osób zdawałoby się doskonale dwujęzycznych, powiedzmy ludzi z rodzin amerykańsko-włoskich, czy francuskich. Wniosek z tych studiów: istnieje tylko jeden język macierzysty.

Ostrożniejsi powiadają, że prawda, coraz sprawniej posługujemy się angielskim, ale coraz gorzej – polskim. Trudniej nam o znalezienie

→ cd. str.14

→ trafnego określenia w mowie ojczystej, skoro
cd. ze str.13
ESEJ codzienność podsuwa usłudze w pierwszej kolejności zwrot angielski. Z wygody, praktycznej sprawności, szybszej, bezpośredniej komunikacji wrzucamy coraz więcej słów angielskich. Stąd i owa „kara stojąca na kornierze”. Jeden język zyskujemy, drugi tracimy.

I trzeci pogląd, któremu wraz z wiekiem jestem coraz bliższy. Z czasem oba języki tracimy. Zapominamy, jak mówić po polsku i coraz trudniej wyrażać się nam po angielsku. Stajemy się swoistymi niemowłami: nabyły język znika szybko wraz z upływem lat. Językiem macierzystym, dawno nie używanym, nie wiemy, jak się posługiwać,

*

Samotny tłum

W sylwestrowy wieczór poszedłem na kolację do restauracji. Nie wiedziałem, co z sobą zrobić, akurat nikt mnie nie zaprosił na wspólne spędzenie Sylwestra. Chyba dlatego, że w poprzednich latach odmawiałem konsekwentnie udziału we wspólnym spędzeniu wieczoru kończącego rok. Z powodów jak najbardziej trywialnych. Zawsze, co należy rozumieć: od bardzo dawna - Sylwester był dla mnie najgorszym dniem w roku. Jak przetrwać do północy? Męczyłem się szalenie. Idę wcześniej spać, ale i wcześniej wstaję. Dociągnięcie do północy jest dla mnie heroicznym wysiłkiem. Jeśli już doczekam północy, nie mam siły, by radować się nadejściem Nowego Roku. Myślę tylko o tym, aby pójść spać, do łóżka.

Tym razem zakończenie roku postanowiłem spędzić wśród ludzi, cieszyć się wspólnie odejściem starego i przybyciem nowego roku

Aby skrócić mękę (z mojego punktu widzenia) oczekiwania na północ poszedłem wpierw do kina. Słowo „poszedłem” brzmi neutralnie, ale w praktyce tego wieczoru

nie mogłem dostać się na żaden seans. Wszędzie mnóstwo ludzi, tłoczą się, zajmują wszelkie możliwe miejsca, w których można zabawić się, rozerwać, spędzić czas.

Wreszcie kupiłem bilet na film, którego nie chciałem oglądać. Nie było wyboru. Siedziałem pod ekranem, z głową zadartą do góry, szyją obolałą, mając przed sobą ekran tak wielki, że go nie ogarniałem wzrokiem. Nie pamiętam więc o czym był ów film, ale sadząc po reakcji widowni, był dobry.

Po projekcji wyszedłem na poszukiwanie restauracji. I znowu, podobnie jak z kinem. O swobodnym wyborze nie było mowy. Większość lokali wypełnionych po brzegi.

Wreszcie znalazłem miejsce, gdzie był wolny stolik. Siadłem, zamówiłem jedzenie, rozejrzałem się po niewielkiej salce. Przy stolikach samotne osoby obojga płci, młode pary zajęte sobą.

Aha – powiadam sobie – jestem świadkiem słynnej amerykańskiej samotności, izolacji, odosobnienia w tłumie; gęstwa ludzi takich samych, wszyscy odrębni i wyobcowani. Widzę ludzi zamkniętych w sobie, nie mogących, nie potrafiących przełamać bariery dzielącej hermetyczne wyobcowanie jednych od drugich – jak na obrazach Edwarda Hoppera...

Jem swoją potrawę, rozglądam się. Ciśsza i spokoj. Nadchodzi dwunasta. Restauracja serwuje szampana dla gości. Roznoszą kieliszki wypełnione musującym płynem, zachęcają do wspólnego toastu. Zbieramy się, życzymy sobie „Happy New Year”, wypijamy toast na zdrowie, na pomyślność. Ludzie gromadzą się. Rozmawiają, wymieniają trywialne uwagi, uprzejmości.

Przeglądam się z dystansem, nie czuję z nimi związku. Ku mojemu zaskoczeniu, goście restauracji zachowują się, jak ja. Po paru minutach zbliżenia, serdecznej wymiany spostrzeżeń, jednostki i pary, rozchodzą się do swoich stolików. Z okazji na zbliżenie nie korzystają. Znowu zamykają się w swoich

odrębnych światach, odchodzą w swoją „samotność”. Widzę, doświadczam. Nie jest ona uprzykrzonym stanem konieczności. Nowojorcianie świetnie się czują w tej sytuacji, odrębnie. Rzekoma „samotność” nie jest niechcianym losem, ale świadomym wyborem, czymś, co chcą wybrać, z czego są zadowoleni.

Nie ma czegoś takiego, jak „samotny tłum”, nie widzę go. To fikcja. Siadam przy swoim stoliku, kończę obiad, deser, płacę i wychodzę. Jadę do domu. Czy jestem „samotny w tłumie”? Bynajmniej, czuję się w tej sytuacji doskonale. Większość zapewne podobnie.

Miejskie ptaki

„Rats are pigeons of New York” – głosi popularne powiedzenie: „szczury są gołębiaми Nowego Jorku”. W zależności, czy wypowiedziane z pogardliwą dumą, czy ze zgrozą, komunikuje odmienne treści. W pierwszym przypadku, silnie sugeruje dumę nowojorkczyka, zahartowanego w trudach wielkomiejskiego życia, pełnego obrzydliwości, śmieci na ulicach, ohydliwych i niebezpiecznych. Szczury są jego codziennością, jak gdzie indziej gołębie. Urozmaicają mu codzienną egzystencję, stanowią powszechny widok, zgoła atrakcję. Szczury to „pets” tego miasta i jego mieszkańców, zwierzątka domowe jak koty, psy czy chomiki.

W drugim wypadku wyraża szok przybysza naturalnie, ze strachem konstatującego, iż brud, paskudztwo, szkaradzieństwo stanowią codzienność wielkomiejskiego funkcjonowania. Trzeba stykać się z koszmarem życia tutaj na co dzień, ocierać się oń nieustannie, tkwić na krawędzi osunięcia się w czeluść, gdzie mieszka wszelka nędza tego miasta, bezdomni, szczury. Każdy nowojorczanin jest właścicielem mieszkańcem przedsiönka piekiel, cywilizacyjnego monstrum, w którym normalni ludzie egzystować nie mogą i nie powinni. Ci, co mieszkają, żyją na własną odpowiedzialność.

Nie wiem, ile szczurów zobaczył Garcia Lorca w czasie krótkiego pobytu w Nowym Jorku, ale był miastem wstrząśnięty i przerażony; zafascynowany cywilizacją i stworzony ludzką nowoczesną dżunglą. Uciekł w popłochu.

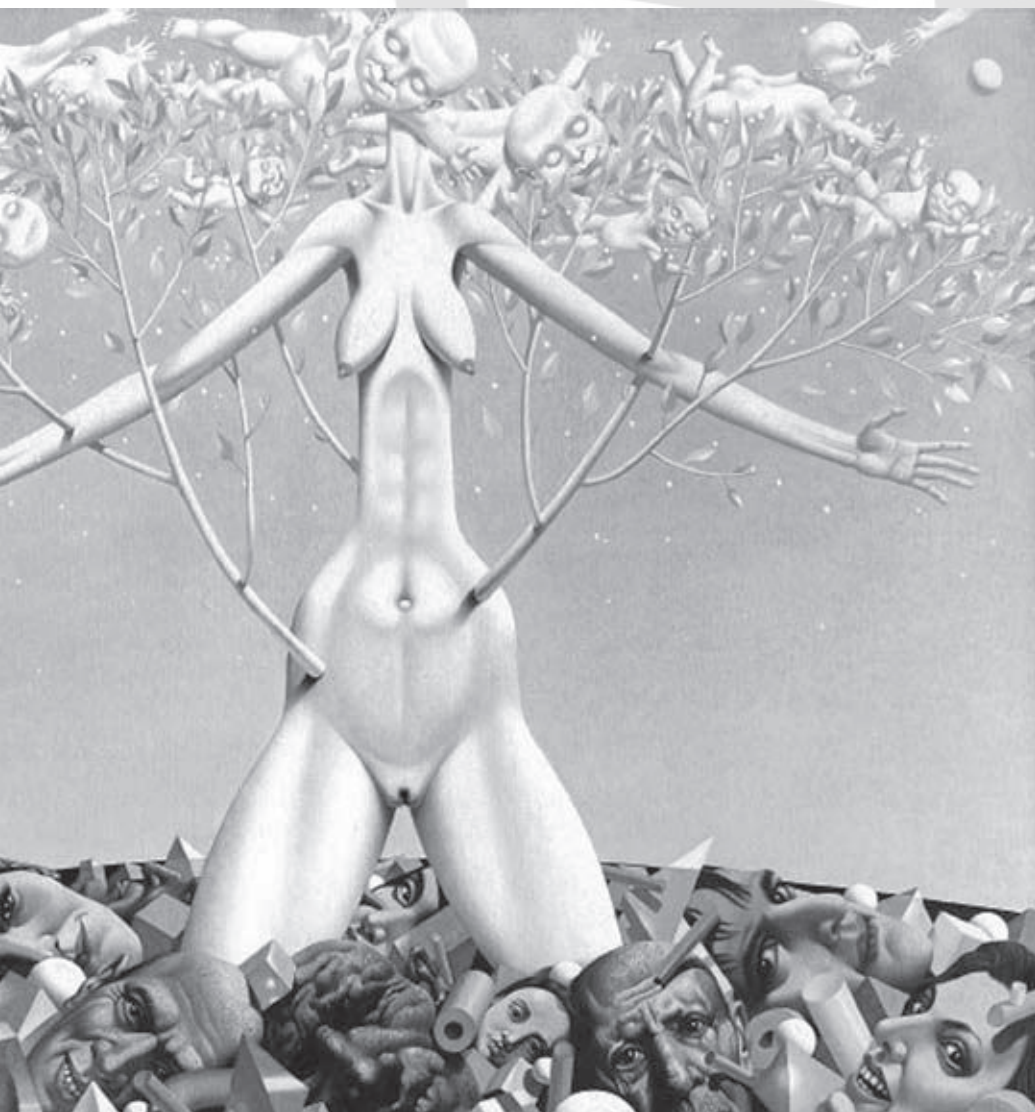
Nowojorskie szczury, których jest zapewne dużo, i podobno różni się szczury „uptown” od „downtown”, a granicą dzielącą jest 34 Ulica, wypatrzeć można na torach metra. Niekiedy wypełzają nie wiadomo skąd, ludzie patrzą na nie z fascynacją, one poruszają się niespiesznie, wyraźnie zaznajomione z tętnem funkcjonowania podziemia miasta. Nim nadjedzie pociąg znikają gdzieś w zakamarkach.

Amerikanie w stwierdzeniu na temat najbardziej zaszczurzonego miejsca/miasta używają określenia „rattiest” – najszczurszy. Nowy Jork bynajmniej nie przewodzi w tym rankingu.

Czasami na chodniku zobaczyć można wielkiego szczura-balon. Napętaną powietrzem kilkumetrową figurę przedstawicieli różnych związków zawodowych ustawia przed siedzibą krwio pijcy-kapitalisty, zawziętego wroga ludu pracy.

Żaś gołębie z miasta przepędzono. Brudzą, roznoszą choroby. Wprowadzono zakaz karmienia gołębi, w wielu punktach miasta ustawiono realistyczne figury sów – mają odstraszać najbardziej zatwardziałe ptaki, które nie chcą się wyprowadzić.

Ale kamienna pustynia miasta bynajmniej nie skamieniała bardziej. Na niewielkim pasie zieleni dzielącym rzęd domów dwu- i trzyrodzinnych na Ridgewood mieszka liczna ptaszarnia. Ptasie radio rozlega się co



Gratka Eduard Nikonorov

rano, do karmnika zlatuje się różnorodne bractwo. Najpiękniejsze, najłatwiej rozpoznawalne – kardynały. Czerwień upierzenia widać w każdych warunkach pogodowych. „Kardynałowa”, mniejsza, o skromniejszym wyglądzie, tylko maźnięta czerwienią.

„Bluejay” przylatuje rzadko. Jest wielkim ptakiem, kolorowym, białoniebieskim. Wydaje głośnie, nieprzyjemne krzyki. Początkowo myślałem, że ktoś trzyma w domu papugi i otwiera im okno na ich wrzask.

Małe czerwone ptaszki (gile?) są najbardziej zadziorne. Kręcą się wokół jedzenia, wojowniczo przepędzają innych chętnych – wielkiej różnorodności gatunków. Turkawki nie wlatują do góry, chodzą po ziemi, zbierają to, co spadnie z góry. Zwłaszcza szafarką dla nich jest wiewiórka, która rozsiada się w karmniku, bierze w przednie łapki ziarenko słonecznika i zajada jedno, po drugim. Rozsypuje przy tym wokół karmie ptasia, strząsa na ziemię. Każdy się pożywi.

Woda

Nowojorska woda do picia. Doskonała, źródłana, krystaliczna. Dopiero tutaj, w tym mieście, mogłem naprawdę delektować się herbatą, moim ulubionym napojem. Czy rzeczywiście? Nie, bo brakowało mi prawdziwej (?). Wszelkobecna Lipton tea w torebkach nie spełniała elementarnych wymogów dobrego napoju. Traciła papierkiem. Cienkusz, deresz – jak powiedział Papkin o winie Rejenta. Była jednak wygodna w użyciu, także z lenistwa, braku czasu, oszczędności, sięgałem po Lipton tea.

Zdezorientowany emigrant pierwszych lat pobytu nie wiedziałem, gdzie się zwrócić po dobrą herbatę w listkach. Poszedłem do chińskiego sklepu w Chinatown i poprosiłem o herbatę Yunan, czy Ulung, już nie pamiętam. Ale były to nazwy znane mi z PRL-u. Sprzedawca wskazał mi na całe półki rozmaitych herbat z tych gatunków. Odszedłem jak niepyszny, nawet chyba nie kupiłem na próbę.

Nowojorcianie piją wodę wprost z kranu. Po ponad 30 latach mieszkania tutaj nie mogę się przekonać do tej praktyki. Lata polskiego wychowania i ostrzeżenia: wodę pić tylko przegotowaną! Surowa może być zgubna – zrobili swoje. „Kranówkę” gotuję.

Miasto ciągnie wodę z gór Catskill, z północy. Widziałem niektóre z pośrednich zbiorników retencyjnych w czasie wypraw rowerowych poza miasto. Wiele z nich. Nic specjalnego. Woda w dużej ilości. Najbardziej imponująca była zapora w Valhalla; potężna, ogromna, spiętrzająca niewyobrażalne tony wody. U jej podnóża park, skwery spacerowe. Ponad ludźmi na ławkach, spacerujących alejkami, odpoczywających, zrelaksowanych, ponad dziećmi na rowerach, na rolkach i innych środkach młodzieżowego transportu dla zabawy i ćwiczenia, góruje gigantyczna, kamienna tama. Huczy i wibruje. W moim wyobrażeniu słyszałem ją nieustannie, ów ciągły niepokój, walkę bez końca – wodę napierającą na kamienny mur i skargę masywnej konstrukcji odpierającej ataki. Parcie spiętrzonej wody i jęk tamy. Wstuchuję się w jej rozpacz. Jakby zapowiadała krącoce wyczerpanie, zaniechanie oporu i rozpad. Wkrótce woda wyleje się w dolinę, zmiecie ludzkie mrowisko, zatopi miasteczko. Tylko ja pogłos tej szaleńczej walki słyszałem, kiedy przyjeżdżałem rowerem do Valhalla, ów pomruk tamy, jej głucho dudnienie o pomoc: ledwie trzymam, już nie daję rady, zaraz się rozsypię, woda, piętra wody wyleją się na park, na miasteczko, na okoliczne osady.

Siadałem na ławce nieopodal kamien-

nej ściany, odpoczywałem przed jazdą z powrotem. Nie byłem specjalnie zmęczony... Wracałem w poczuciu: jeszcze nie dziś, nie teraz, tama z początku XX wieku musi wytrzymać tydzień, miesiąc, lata, a później się zobacz. Wracałem bez uspokojenia. Katastrofa nadciąga, nastąpi, ale jeszcze nie dziś, nie teraz.

Tamę w Valhalla zbudowano rękami emigrantów. Oczywiście, bo ktośby inny podjął się ciężkiej harówki. Głównie Włosi kopali w dół na 35 metrów w głąb, usuwali ręcznie i przy pomocy prymitywnych narzędzi (z dzisiejszego punktu widzenia) zwąły ziemi. Aż dokopali się do litej skały. Cóż innego utrzymałoby ciężar projektowanej ściany z kamiennych bloków i betonu?

Imponujący zbiornik na wodę znajdował się w XIX wieku pośrodku Manhattanu. Tam, gdzie dziś jest Biblioteka Publiczna i parczek na jej tyłach – Bryant Park, jedno z popularniejszych miejsc letniego odpoczynku. Tym razem wzniesiono ogromne mury zawierające pośrodku wodę pitną dla miasta. Na szczycie droga spacerowa wokół tej wodnej warowni. Edgar Allan Poe pisał: „Widok na przechadze wokół zbiornika jest wyjątkowo piękny. Z takiego wzniesienia [15 metrów] można dojrzeć północny zbiornik w Yorkville; całe miasto aż do Battery; i spórą część portu oraz długi wstęgę Hudsonu i Wschodniej Rzeki”.

Przez lata mieszkając w sąsiedztwie jednego z mniejszych, zbiorników wody – Jerome Reservoir na Bronksie. Wielokrotnie szedłem wzdłuż jednego z jego boków, przy którym ustawiono stację filtrów, w drodze do metra nr 4. Otoczony krzakami oraz kołową i dziurawą siatką. Sprawił wrażenie zapomnianego, aż... Po zamachu 9/11, przypomniano sobie o słabo, albo wcale nie zabezpieczonych zbiornikach wody pitnej dla miasta. Łatwy cel dla terrorystów. Ścięto krzaki, po wale ziemnym wokół dzień i noc zaczęły jeździć samochody policyjne. Wkrótce postawiono solidną, wysoką siatkę, obwieszoną tablicami ostrzegawczymi.

5400 Fieldston Rd.

Piękna, szeroka ulica na północnym Bronksie z pasem zieleni pośrodku. Im bardziej na południe, tym elegantsza, zamożniejsza – kamienne domy jednorodzinne, albo kilkunastopiętrowe w zieleni i od ulicy zakryte drzewami. Dalej, w nieco skromniejszej części wielki budynek czynszowy, ogromny, z czerwonej cegły, czwartym bokiem sporego kwadratu otwarty na ulicę – Fieldston. Pozostałe trzy boki to wielopiętrowy masyw gmachu, kamienicy wielomieszkaniowej, z fantazyjnymi „blankami” na szczycie. Wewnętrzny dziedziniec, trawnik, drzewa. Ładnie, zielono, spokojnie.

Północny Bronx jest efektowny, szukowny, doskonały do mieszkania. Miejska zabudowa, duże potacie domków jednorodzinnych. Tu już metropolia nowojorska „rozwiązuje się”, rozpręga w podmiejską przestrzeń. Stopniowo, niezauważalnie staje się przedmieściem („suburb”).

Tutaj mieszkał Józef Wittlin żoną Haliną i córką Elżbietą (Lipton po mężu). Pojechałem na rowerze w tamtą stronę. Blisko od mego mieszkania. Po drugiej stronie Broadway'u, ostro pod górę do Fieldston. Obejrzałem dom, jadąc z powrotem, rozglądałem się, droga prowadzi coraz stromiej w dół. Zagapiłem się, nie zauważyłem grzbiotu w poprzek ulicy, zsuwającego samochodu do wolniejszej jazdy. Rower jechał coraz szybciej, podskoczył na tym wzniesieniu. Wypadek, uderzyłem silnie łokciem o asfalt. Jadąc do domu, łokieć puchnie w oczach. Lokalnym zwyczajem przyłożyłem lód. Powo-

li ulga, ale nie do końca. Ręka dokuczała mi przez lata.

W Ameryce lód jest towarem pierwszej potrzeby, powszechnie używanym, dostępnym wszędzie – jako okład na rany i stłuczenia, a przede wszystkim do chłodzenia płynów w lecie. Po latach przyzwyczajam się powoli, ale nie do końca.

Józef Wittlin dotarł do Nowego Jorku w czasie wojny. Przed wrześniem 1939 roku wyjechał z Polski. Bezpośrednim powodem były gwałtowne, napastliwe antysemickie ataki w prasie Jerzego Pietrkiewicza. Ów Pietrkiewicz, jak wspomina Halina Wittlin, już jako londyński emigrant, literat oraz wykładowca angielskiej uczelni, po wojnie zadzwonił kiedyś do drzwi przy 5400 Fieldston Rd. i prosił pisarza i jego rodzinę, błagał o wybaczenie za swoje nieodpowiedzialne wystąpienia.

Wittlin był na Zachodzie, gdy wybuchła wojna. Rozpoczął gorączkowe działania w dwóch kierunkach: zdobycia wizy z jakiegokolwiek kraju, który chciałby go przyjąć, oraz jednoczesnego ściągnięcia rodziny (żony i córki) z okupowanej Polski.

We wspomnieniach „Z dnia na dzień” napisanych przez Elżbietę Lipton, skomplikowaną drogą przez Holandię, Francję, Hiszpanię, wreszcie Lizbonę matka i córka dotarły do Ameryki.

Józef Wittlin nie znosił Nowego Jorku. Czuł się fizycznie źle, intelektualnie na zewnątrz, na marginesie, tęsknił za Europą, stolicą, w jego wyobrażeniu, życia umysłowego, artystycznego. Jerzy Giedroyc w korespondencji z Wittlinem wyrażał przeciwny pogląd: na Starym Kontynencie panuje zaskorupiały marazm, USA to królestwo wolności. Zawsze tam, gdzie nas nie ma, jest wspanialej.

Smutek, ból Wittlina przerodził się w hipochondrię – ciągle chory, w złym stanie; „jestem straszliwie wyczerpany” – pisał – „chwilowo do żadnej pracy nie jestem zdolny”, „wszelka praca sprawia mi trudności”, „choroba zwała mnie z i tak niezbyt silnych nóg”, „notorycznie w kiepskim nastroju”, i tak dalej. Depresyjny, samolubny, drobiazgowy i małostkowy, doskonały artysta Józef Wittlin fascynował mnie od dawna, głównie dzięki pani Elżbiecie. Czytałem jego esej „Poe w Bronksie”. Wielkie wrażenie. W odpowiedzi napisałem „Poe na Bronksie”. Przesiedziłem parę godzin łącznie w czasie licznych odwiedzin w parczku przy Grand Concourse, gdzie znajduje się domek Poego. Odmienny świat od tego, który on widział. Zupełnie inne doznania.

Wittlin mieszkał do końca przy 5400 Fieldston Rd. Jego życie, ciągłe cierpienie egzystencjalne, a dla mnie pamięć wielomiesięcznego bólu ręki po wypadku w czasie powrotu z rowerowej wycieczki w tę okolicę – póki niechłujny Chińczyk z tej dolegliwości mnie nie wyleczył (patrz hasło: Chińska dzielnica).

Chińska dzielnica

Nawet już w połowie lat osiemdziesiątych, kiedy przyjechałem do Nowego Jorku, Canal Street, uważana za „serce” chińskiej dzielnicy, straciła ów egzotyczny charakter. Tu i ówdzie funkcjonowały wprowadzić chińskie sklepy, głównie jubilerskie, ale większość miejsc przejęli przedstawiciele nędzy świata, aby sprzedać, cokolwiek mieli do zaoferowania. Canal Street przyciągał turystów, nic dziwnego, że szczęścia w handlu w tym miejscu próbowali inni.

Prawdziwa chińska dzielnica idzie w głąb od Canal St. To także okolice Grand Street i obszar małych uliczek dolnego Manhattanu. Pełna egzotyka, której żądni są przede wszystkim turyści. Orient w amerykańskim

ESER
mieście! Sklepy wypelnione importowanymi
cd. ze str.15
towarami, artykuły nieznanego przeznaczenia
spożywczego, odstręczające widokiem i za-
pachem targi rybne, restauracje, restauracyjki
i miejsca produkcji taniego, popularnego ja-
da chińskiego; wylewająca się na chodniki
wszelka tandeta elektroniczna, niezrozumia-
łe szyldy, napisy, reklamy i tłumy, tłumy ludzi
wszędzie. Ciężko się przemieszczać, samochody
dostawcze blokują wąskie ulice, samocho-
dy osobowe poruszają się wolno, bo ciasno,
a przy tym przechodnie wchodzą na ulicę,
aby swobodniej iść. Może to i namiastka za-
ulka miejskiego gdzieś w Chinach.

Nieco lepiej doświadczyłem chińskiej
dzielnicy, gdy zdecydowałem się na akupunk-
turę. Łokieć siłczony w czasie niefortunnego
wypadku w drodze powrotnej z Fieldston Rd.
dokuczał mi bardzo. Prawą rękę miałem moc-
no niesprawną. Poszedłem do lekarza. Unie-
ruchomienie ręki w gipsie na sześć tygodni,
a potem rehabilitacja – brzmiała diagnoza.
Nie wchodziło w ogóle w rachubę. Odmó-
wiłem takiego leczenia.

Zaprzysiężony Chińczyk zaproponował
akupunkturę u specjalisty, u którego sam się
leczył. Posłaliśmy głębiej w chińską dzielnicę,
na drugie czy trzecie piętro. Ów specjalista pra-
wie w ogóle nie mówił po angielsku, tłumacz
był jak znalazł. Duże, przestronne pomieszcze-
nie z rozmaitymi przyrządami. A w nim dość
niechlujnie ubrany w krótkie spodnie (raczej
gacie, które nie wyglądały na czyste) i T-shirt
„lekarz”. Usiadł naprzeciwko mnie, popijał ja-
kiś płyn ze stoika. Patrzył na mnie przez kilka
sekund i chwycił moją rękę. Zaczął kciukami
ją uciskać. Palce miał twarde jak gwoździe,
bolało ogromnie. Uciskał, gniótł, znęcał się.
Potem nakłuł w paru miejscach, podłączył
do prądu: ręka drgała mi jako owe żabie
nóżki Galwaniego.

Spocony, zmaltretowany zadałem na ko-
niec standardowe pytanie: kiedy mam przyjść
ponownie? Zdziwił się. „Nie przychodź, nie
ma potrzeby”.

Zaskoczenie, później rozczarowanie. Nie
czułem żadnej poprawy. Ręka jak bolała, tak
boli. Ale stopniowo, powoli, niezauważalnie,
ból słabł, zanikał, sprawność ręki wracała.
Po pewnym czasie o dolegliwości zupełnie
zapomniałem.

Szybko rosnąca liczba Chińczyków
w Nowym Jorku sprawiła, że dawna chińska
dzielnica nie mogła już pomieścić napływu
przyszłości. Na Queensie zaczęły powstawać
nowe wielkie chińskie dzielnice – w Elmhurst,
całe College Point jest chińskie. To zwarte sku-
piska, a poza nimi mieszkają tysiące innych.

Ta prężna, barwna, odróżniająca się lud-
ność jest stale zasilana nowymi przybyszami.
Dawno temu, na początku lat dziewięćdzie-
siątych od znajomego Chińczyka usłysza-
łem historię, które mnie poruszyło. Załtocene-
nie w mieszkaniach na Chinatown jest tak
ogromne – mówił – że mnóstwo imigrantów,
którzy przybyli tu na zarobek, nie wynajmuje
już mieszkań, ani nawet pokoiów, tylko miej-
sce do spania. Pomieszczenia wypelnione są
sporymi kłatkami do wynajęcia. W nich loka-
torzy przechowują swoje rzeczy, kiedy idą do
pracy, a w nocy zamykają się w nich i śpią.
Dlaczego się zamykają? Żeby współlokatorzy
ich nie zamordowali i nie obrabowali.

Byłem wstrząśnięty tą opowieścią o bez-
względny, brutalny świat azjatyckich
mieszkańców Nowego Jorku. Być może tak
się działo, ale zapewne usłyszałem jedną
z opowieści należącą do bogatego folkloru
miejskich legend.

Urban legends

Każdy przybysz do Nowego Jorku sty-
ka się niemal natychmiast z jego mitologią.
Musi borykać się nie tylko z samym miastem,

z ogromem trudności, jakie sprawia zwłasz-
cza na samym początku organizowania
sobie życia, ale też i z mitami, legendami,
opowieściami na jego temat. Prawdziwymi,
autentycznymi, rzeczywistymi – zaklinając się
ci, którzy je rozpowszechniają. Z czasem
nowy mieszkaniec traci rozeznanie, co jest
prawdą, a co fikcją, albo tylko brzmi jak
prawda; co mogło się wydarzyć, a co raczej
nie. Oblepiony tymi opowieściami, zaczyna
w nie wierzyć, sam je powiela.

„Urban legends”, albo legendy na te-
mat Nowego Jorku, to istotna część życia
miasta. Jedną z najczęściej powtarzanych
dotyczy martwego człowieka w metrze. Nie
jestem w stanie powiedzieć, od kogo ją
usłyszałem – istotą tych legend jest właśnie
to, iż nie wiadomo, kiedy, jakim sposobem
i od kogo się je poznało. Nasiąka się nimi
przez osmozę, przez codzienne obcowanie
z miastem, jego ulicami, tłumem mieszkań-
ców na chodnikach i strugą samochodów,
korytarzami metra oraz wszystkim, co stano-
wi o codziennym bytowaniu w metropolii.

Być może nawet przeczytałem ją w ga-
zecie, ewentualnie w jakiejś książce. Legen-
da ta mówi, że w wagonie metra, albo na
ławce na peronie, zmarł człowiek i tak tkwił
dobę w tym miejscu, albo i dłużej nim ktoś
spozstrzegł, że nie żyje.

Oczywiście, że ma ona bardzo realne
podstawy, choć nie sądzę, aby kiedyś coś
podobnego naprawdę się zdarzyło. Ale
codziennym widokiem są ludzie śpiący,
tkwiący nieruchomo na peronach, czy
w wagonach. Żyją, nie żyją? Oddychają
czy nie? Nikt na nich nie zwraca uwagi,
mijani są obojętnie. Legenda ta w mito-
logicznym trybie wyraża przesłanie: w tym
mieście-molochu: człowiek może umrzeć,
a i tak nikt na to nie zwróci uwagi. Miasto
jest okrutne w obojętności na los jednostki.
Nikt ci tu nie pomoże. Tylko na siebie możesz
liczyć, a jak nie, to giń!

Inna legenda opowiada o tym, że sta-
rzy ludzie, mieszkańcy miasta, przymierają
głodem i karmią się kocim, albo psim je-
dzeniem z puszek, bo na „ludzką” żywność
ich nie stać.

Opowieść pokrewna poprzedniej, z do-
datkiem ważnego szczegółu o charakterze
mitologicznego imperatywu: jak się tutaj nie
pracuje całe życie, to na starość można
skończyć w ubóstwie. Ale też taki koniec
cię czeka, jeśli pracujesz. Miasto obędzie cię
ze skóry, wydrenuje siły, ograbi z pieniędzy
z uwagi na wysokie koszty utrzymania.

To nie tylko nowojorska legenda, ale
ogólnoamerykańska, nie mająca podstaw
w rzeczywistości, choćby z uwagi na fe-
deralny, rozbudowany system rozmaitego
rodzaju pomocy dla ludzi starych, pozbawio-
nych środków do życia. Poza tym, ludzi tej
kategorii, tj. w nędzy, jest niewiele, ale jak
liczna jest ta grupa – temat ten jest przed-
miotem zacieklejczych sporów. Choć można
ich policzyć w skali krajowej (patrz hasło:
Biedacy), to jednak dodatkowe mitologie,
czyli emocje, zacierają jasność obrazu.

Miejskie legendy wędrują z miejsca na
miejsce, nie zdziwiłbym się, gdyby te same
funkcjonowały jako opisy „prawdziwych”
zdarzeń w innych miastach, tącznie z po-
głoskami o pociągu-widmo, który nawiedza
co roku kolejową Penn-Station. Zgodnie z tą
opowieścią pociąg, który przybył do No-
wego Jorku ponad sto lat temu z ciałem
Abrahama Lincolna, wiecznie powtarza swą
wędrowkę wracając do miejsc objazdu po
Ameryce trumny z ciałem zamordowanego
prezidenta: będzie z mieszkańcami tego
krajów wiecznie i wiecznie im przypominał
o dokonanej zbrodni.

Jedną z nowojorskich legend, którą
szczególnie zapamiętałem, to oczywiście

„prawdziwa” historia o pani, która znalazła
na ulicy małego pieska. Szorstkowłosy, ze
spiczastym pyszczkiem, bystrzymi oczkami,
był po prostu uroczy, a ponieważ wyglą-
dał na bezdomnego, więc zabrała go do
siebie.

Krótko cieszyła się nowym towarzyszem
wspólnego mieszkania. Kiedyś po powrocie
z pracy rzuciła się na nią sąsiadka ze skargą,
że ów piesek zjada jej kota.

Niemożliwe – powiada na to bohater-
ka opowieści – to małe, łagodne i wesołe
stworzenie.

W takim razie – mówi sąsiadka – dzwonię
na policję.

Przyjechała policja wraz ze specjalistą
od zwierząt. „To nie piesek – powiada. – To
szczur malezyjski, który statkiem musiał się
dostać do Nowego Jorku.”

Historyjka zabawna, jak przystało na le-
gendę miejską, z przesłaniem: uważaj, kogo
przygarniasz, bądź ostrożny, nie wpuszczaj
obcych do domu choćby nie wiem jak
przyzwyczajony był!

Joanna d'Arc

Przy Riverside Dr na skrzyżowaniu z 93
Ulicą stoi pomnik Joanny d'Arc. W zieleni
na skwerku dzielącym Riverside od Henry
Hudson Parkway, czyli autostrady po za-
chodniej stronie Manhattanu. Dużo drzew
wokół, dużo trawy, samochodów. Pusto,
prawie bezludnie.

Kamienna Joanna w zielonym kolorze na
wysokim białym cokole, podwyższona jesz-
cze o mocarnego konia siedzi wyprostowa-
na, w wyciągniętej w górę ręce wzniesiony
miecz, prowadzi szańce na Nowy Jork, prze-
ciwko wszystkim bezbożnym, obcym, mal-
kontentom, oczajduszom. Jej zapał, bojowy
ferwor, niezauważony. Nikt nie zwraca na
nią uwagi. Pomnik stoi w małym uczęszczanej,
spacerowej części miasta. Zastąpiony liśćmi
drzew, wysoko ponad poziomem wzroku,
jest ideą zrywającą ponad codziennością.
Nic dziwnego, że przechodnie jej nie spo-
strzegają.

Akurat bywałem częściej w tych oko-
licach w odwiedzinach u pewnej, pisarki,
profesorki, tłumaczki. W poszukiwaniu miej-
sca do zaparkowania samochodu nie raz
docierałem aż tutaj, choć to ponad dziesięć
przecznic od miejsca jej zamieszkania. Ale
o miejsce do zaparkowania samochodu
w Nowym Jorku jest niezwykle trudno.

Przeglądałem się pomnikowi. Jakie losy
przyniosły średniowieczną Joannę na nowy
kontynent do cywilizacji przyszłości? Podoba-
ne do tych, jakie kierowały pomnikiem króla
Jagiełły w Parku Centralnym?

Nie, zupełnie inne. Król Polski na koniu ze
skrzyżowanymi mieczami we wzniesionych
do góry rękach, na koniu, opancerzony,
brązowy w kolorze, osiadł w mieście przy-
padkiem. Bezdomny władca znalazł schro-
nienie w mieście emigrantów, uchodźców
i rozbitków dziejowych.

Król Jagiełło znalazł azyl i przystań w No-
wym Jorku, kiedy okazało się, że jest bez oj-
czyzny, jego kraj zajęty, podbity przez obce,
wrogie wojska. Nie miał dokąd wrócić. Zo-
stał, jak wielu późniejszych emigrantów tego
samego okresu – wojennego i powojen-
nego, aż do upadku PRL-u. Wielu wróciło
do kraju, setki tysięcy Polaków w tym kraju
pozostało razem z nim.

Kobieta-rycerz zjawiała się w tym konkret-
nie miejscu Nowego Jorku celowo, zgodnie
z zamysłem grupy entuzjastów, którzy zde-
cydowali, aby postawić w mieście pomnik
Joanny na wieczystą pamiątkę przyjaźni,
najbliższego, serdecznego sojusznictwa
między obu krajami.

Wcześniej Francuzi przystali do Nowego

Grafika Eduard Nikonorow

Jorku pomnik wolności, prezent od narodu dla narodu. Statua Wolności stanęła na wyspie u wejścia do nowojorskiego portu. Za pieniądze zebrane przez węgierskiego emigranta, dziennikarza Józefa Pulitzera, od ludzi, którzy dawali drobne datki na wzniosły cel. W prasie Pulitzera, w oczach czytelników, sprawa wolności była ważniejsza od codziennych kłopotów finansowych.

Inicjatorzy budowy pomnika Joanny d'Arc z ruchu „City Beautiful” chcieli przede wszystkim przystroić, ulepszyć miasto, w dalszej kolejności zaś – uczcić francuską bohaterkę narodową. Przez ozdoby do lepszego życia, społecznej harmonii, zgodnej wspólnoty.

Gdzie miasto, tam i pomniki. W Nowym Jorku – tysiące, a setki w pełnym kształcie. Miasto buduje pomniki, fundując je doraźne organizacje, grupy narodowej, związki, koadicje i stowarzyszenia. Polacy też swoje – pomnik ks. Popiełuszki na Greenpoincie, ławeczkę Jana Karskiego przed siedzibą konsulat RP i nazwę mostu – Kościuszki. Amerykanie łamią sobie języki na tych nazwach.

Czy mam jakiś ulubiony? Trudno powiedzieć, ale chyba jest nim pomnik krawca na 7 Alei i 39 Ulicy. Żydowskiego krawca pochylonego, zgarbionego nad maszyną do szycia. Nieopodal wielki guzik nawleczony na ogromną igłę. Pamiątka po „garment district”, czyli dzielnicy szwalni, pracowni krawieckich ogromnego wysiłku, nędznej płacy i wytężonej, wymuszanej pracy. Tu pracowali też przybysze z regionu polskiego, Żydzi, specjalizacja – głównie krawcy. Zniszczyli wzrok i zdrowie w morderczym zarobku, ale dzieci wykształcili – to późniejsi prawnicy, lekarze, wykładowcy uniwersyteccy, finansisci, elita tego kraju.

A Polacy? Chcieli, aby ich dzieci jak najszybciej stanęły przy nich w fabryce, możliwie prędko rzuciły szkołę i zaczęły pracować, zarabiać. Oby nam się wspólnie dobrze wiodło. Tamci – niech wam będzie lepiej niż mnie.

Biedacy

Miasto pełne biedy. Najbardziej widocznej, narzucającej się oczom. To bezdomni, zajmujący dogodne dla siebie miejsca – pod dachem, możliwe suche, ciepłe i na ludzkim widoku. Wtedy są bezpieczni. Najchętniej zaludniają wagony i perony metra. Siedzą na ławkach w oparze odoru i w otoczeniu swego dobytku. Zwykle załadowanych na wózkach sklepowych. Ludzie omijają ich, przechodzą mimo jak najprędzej.

Nędzarze leżą na ławkach wagonów metra. Zajmują miejsca dla pasażerów. Nikt ich nie rusza. Podróżni zachowują dystans sfłoczeni z dala od śpiącego. Może brudny, zarobaczony, zakaźnie chory, pijany, na narkotykach? Nie wiadomo, jak się zachowa. Większość użytkowników metra przenosi się do innego wagonu. Nowojorczyki wiedzą: jeśli na stację zajeżdża pociąg normalnie załadowany, a w jednym wagonie jest pusto, nie należy tam wchodzić. Zajęty przez bezdomnych. Oczekujący rozbiegają się w dwie strony, by ominąć ten właśnie wagon.

Bezdomni są forpocztą biedy nowojorskiej. W następnej kolejności – żebracy. Często są to jedni i ci sami, ale niekoniecznie. Żebracy „dla sportu” jakby mimochodem zaczepiają ludzi o pieniądze; żebracy „za wodowiu” wchodzą do metra i wygłaszają zwięzłe tyrady na temat nieszczęść i przeciwności losu, jakie na nich spadły i zmusiły do chodzenia po prośbie. Z roku na rok jest ich coraz więcej. Po kilku na jeden pociąg. Dawniej, czyli kiedyś, kilka-kilkanaście lat temu, żebrakami byli ludzie starzy, niedołężni. Coraz więcej ludzi młodych, jak się wydaje – sprawnych. Wykolejeni? Narcomani? Dorabiający do jakichś małych dochodów?

Po nich, niejako trzeci w hierarchii, to uliczni grajkowie, tancerze, performerzy. W lecie – na wierzchu; w zimie – pod spodem, w korytarzach metra: grają, śpiewają, tańczą. Nie wszyscy z nich muszą być biedakami. Wielu szuka publiczności, odbiorców swej sztuki, (często bardzo dobrej), bo nie może ich znaleźć gdzie indziej; przebić się w Nowym Jorku do ucha i oka tych, od których zależeć może ich kariera, do świadomości przyszłego audytora.

Podjeżdżam, że wielu muzyków idzie grać w korytarze metra, aby po prostu znaleźć się w miejscu, gdzie mogą ćwiczyć swą sztukę; zbyt głośną dla domowników i sąsiadów. Człowiek grający na plastikowych wiadrach jak na perkusji, kobziarz, saksofonista – zbyt wiele hałasu w dzielnicy mieszkalnej; tu jest w swoim żywiole. To samo dotyczy jednostek i kameralnych zespołów muzyki klasycznej na flecie, skrzypcach, innych instrumentach. Mogą grać do woli, cieszyć ludzi, nawet może coś zarobić, a zarazem doskonalić swą sztukę bez przeszkadzania innym.

Następnie rozpościerają się strefy, kręgi biedy nie zawsze zauważalnej, ale domyslniej (samotne) matki z dziećmi, ludzie grubi (otyłość sygnalizuje biedę, najtańsze, czyli najgorsze jedzenie), wykonawcy najprostszych zawodów, zwykle źle opłacanych. To także zapewne biedota miasta. Jak liczna? Nie wiem. W każdym razie w skali kraju jest ich – ludzi poniżej oficjalnego progu ubóstwa – ponad 45 milionów. To więcej niż ludność Polski. Stanowią około 14 procent społeczeństwa USA. Ogrom. Nic dziwnego, że media, działacze, politycy poświęcają sprawie ubóstwo tyle uwagi. Standardowy zarzut w formie pytania brzmi: jak to możliwe, że w najbogatszym państwie świata jest taka bieda? Dlaczego nic się nie robi albo zbyt mało, aby ją zważyć?

Sprawa nie jest prosta. Strona przeciwna (ktokolwiek nią jest) powołuje się na dane dotyczące długości pozostawiania jednostek i rodzin poniżej poziomu ubóstwa. Bliśko 80 procent z tej grupy żyje w biedzie rok lub krócej. Czyli kto? Przede wszystkim imigranci (legalni i nielegalni) zaczynający amerykańską karierę od prac najprostszych, najgorzej płatnych; ludzie dotknięci nagłym nieszczęściem – utrata pracy, niespodziewana choroba, kataklizm. Spadają poniżej poziomu biedy, ale szybko się z niej dźwigają. Istotą Ameryki, podkreślając, jest ogromna ruchliwość społeczna, szanse, jakie ten kraj

stwarza każdemu, kto chce i potrafi dać sobie radę. Obrotni, energiczni, pracowici nie będą w tym kraju ubodzy.

I tak spór o biednych w Stanach Zjednoczonych trwa. Każda ze stron sporu ma swoją rację i jak w bajce Ezopa/La Fontaine'a mimo wysiłku ogromnego i najszczerzejszych chęci ruszyć z miejsca nie mogą.

„If you see something, say something”

Slogan tej treści pojawił w wielu miejscach publicznych miasta. Natrętnie narzuca się oczom na stopniach schodów, na ścianach dworców i lotnisk, w metrze, na pocztach i w tysiącach innych lokalizacjach. „Jeśli widzisz coś, powiedz coś”. Po angielsku i po hiszpańsku. Być może w innych jeszcze popularnych językach Nowego Jorku, ale przecież nie rozpoznaję mandaryńskiego, tagalogu czy farsy.

Ostrzeżenie i przypomnienie. Atak terrorystyczny może nastąpić w każdej chwili i w każdym miejscu. Może przyjąć wiele form – bomba w plecaku wciśniętym gdzieś pod ławkę, bezpieczeństwa wiaderko, zaparkowany samochód, nawet kosz na śmieci. Jeśli sami się nie upilnujemy, to nikt nas nie obroni. Każdy powinien zwracać uwagę na to, co się dzieje dookoła, wokół nas: jeden zauważył to, drugi tamto. Zawiadomi, kogo trzeba. Policja wkroczy do akcji. Razem będziemy bezpieczni.

Zwrót ten to zaproszenie do udziału we wspólnej obronie przed tymi, którzy chcą nam zrobić krzywdę, zachęta do przyjęcia obywatelskiej odpowiedzialności za miasto i jego mieszkańców. Do zwracania baczniejszej uwagi na to, co się dzieje dookoła.

Slogan ów zaczął się mnożyć, rozprzestrzeniać po 9/11 – skrótowne określenie na dzień 9 września 2001 roku. Na krótko przed dziewiątą rano tego pięknego, wrześniowego dnia, samolot pasażerski z Bostonu do Los Angeles rozmyślnie rozbił się o jedną z wież World Trade Center. Paliwo do pełna zatankowanego samolotu rozpało ogromny pożar w wieżowcu. W parę minut później nadleciał drugi samolot celując w drugą wież. Po godzinie obie runęły, zapadły się w dół jak podczas kontrolowanej detonacji: równo w dół, a nie waląc się beztadnie na bok, by zasypać, zabić innych. Wzniesiły ogromne tumany pyłu, cementowego kurzu, który oprószył sąsiednie tereny. Brzmi to łagodnie, ale w istocie ów osad materiałów budowlanych zaległ nad całym południowym Manhattanem. Przez miesiące utrzymywał się ów cementowy zgrzyt w zębach.

Potem wróciło normalne życie. Najnormalniejsze jak można, tylko te coraz częściej spotykane wszędzie napisy: „Jeśli widzisz coś, powiedz coś” przypominały, że wszystko może się zdarzyć. Nieoczekiwanie w każdym miejscu.

Od 9/11 minęły lata. Nowojorskie ostrzeżenie rozprzestrzeniło się w całym Stanach Zjednoczonych. Straciło na sile imperatywu. Ludzie informowali policję o ewentualnych zagrożeniach. Żadnej reakcji. Dochodziło

→ str. 18

Wszystkim w końcu do tragedii, jak w zamachu podczas bostońskiego maratonu, jak w strzelaninie we florydzkiej szkole: alarmowano władzę, wszyscy wiedzieli, nie zrobiono nic, lekceważono alarmistyczne ostrzeżenia. Zginęli ludzie. Amerykanie stracili zaufanie do skuteczności tej formy obywatelskiej obrony.

Reklamy, ogłoszenia, plakaty

Żyje z reklamami, myśli reklamami, mówi reklamami. Nie tylko Nowojorczyk, ale wszyscy mieszkańcy tego globu. Nawet w najbardziej zacofanych krajach, a co dopiero w Nowym Jorku.

Ogłoszenia, reklamy zalewają oczy, powódź w mózgu, kakofonia tekstów i obrazów, perswazyjnych, krótkich komunikatów, natrętnych wizerunków. Sztukę zwięzłości opanowano do perfekcji, dobitnej informacji i wartościowania jednocześnie – doskonale.

„Nowojorczanie nie są lepsi od innych. My tylko się tak ubieramy” – reklama ubrań jakiegoś sklepu.

„Nowy Jork: tolerancyjny w sprawie wiary, bezwzględny w sądach, gdy idzie o buty”.

„W domu mego ojca jest mieszkania wiele.” (Jan, 14:2) – Wyraźnie Jezus nie był nowojorczykiem”. – Ironiczny dystans nowojorskiego ogromnego, gigantycznego, nie do przecięcia problemu mieszkaniowego. Mieszkania są, ale ich ceny, koszty czynszów błyskawicznie urastają do monstrualnych rozmiarów. Nawet średnio zamożni wypychani są z co lepszych dzielnic. Nie stać ich.

„Ponad 8 milionów ludzi w Nowym Jorku i my pomożemy ci uniknąć ich wszystkich” – ogłoszenie firmy dostarczającej jedzenie do domu. Nie trzeba wychodzić, żywność i gotowe, wymyślne nawet dania, można zamówić wprost do mieszkania. Wszelkie obecne telefony oraz rozwój internetu to niesłychana wprost okazja dla wszelkiego rodzaju usług wprost do klienta, bez pośrednictwa sklepu, warsztatu, biura. Nie trudzić się, nie fatygować – wystarczy telefon i stosowne „apps” i już masz wszystko załatwione: Towary, usługi wprost do domu, a ty po prostu ciesz się życiem, korzystaj.

W praktyce jest inaczej: nowojorczycy pracują coraz więcej, dłużej, nie mają czasu na zakupy, gotowanie, sprzątanie. Nic nie szkodzi, wszystko to i wiele więcej za odpłatności załatwiają inni.

I podobne: „Gotuj, kiedy już nie żyjesz – mieszkanie w Westchester to samo życie: zamawiasz, my dostarczamy.” A zarazem przypominanie współczesnego stylu bycia: nie polega ono na siedzeniu w domu, gotowaniu; w domyśle – zakupach, sprzątaniem, zmywaniem, zajmowaniu się całym gospodarstwem. Baw się, używaj i przychodź na gotowe, nie zaprzątaj sobie głowy drobiazgami, staraniami o obsługę egzystencji, wprost żyj.

Zmiana tematyki, zmiana nastroju: „dwie wódki temu jeszcze sama mogłaś dojść do domu” i fotografia pijanej dziewczyny na ławce.

„Porcje rosną – inne ogłoszenie oznajmia – także dwa rodzaje cukrzycy”. Apel o zmniejszenie rozmiarów pitej coca coli. I podobne nawołujące o ograniczenie cukru, zwłaszcza w napojach: „twa dziewczyna właśnie zjadła 26 torebek cukru” – i zdjęcie tekturowego kubka z coca colą.

Plakaty kontrowersyjne, wzbudzające emocje: „W wojnie między cywilizowanym człowiekiem, a dzikusem, poprzyj cywilizowanego; poprzyj Izrael, pokonaj Jihad.” Podniósł się wielki krzyk, oskarżenia o nietolerancję narodowo-religijną, ogłoszenia zdjęto.

Reklamy nie mają antagonizować, ale zachęcać, skłaniać, nastrojać przychylnie. Bawić, rozweselać, zaciekawiać. Często ucieka się do oczywistych dwuznaczności, wykorzystuje grę słów, jak reklama na półciężarówkach asenizacyjnych: „We are Number One in Number Two”.

Nowojorskie drzewa

Mnóstwo i zbyt mało zarazem. Nowy Jork, kamienna pustynia, jest jednocześnie bardzo zielonym miastem. Całe ulice gołe, bezdrzewne, beton, chodnik, jezdnia i domy, coraz wyższe domy. Większość ulic jednak obsadzona drzewami. W dzielnicach mieszkalnych, sypialnianych – nawet gęsto zalesionych.

Jaki gatunek zasługuje na miano nowojorskiego drzewa? Platan? Piękne, majestatyczne drzewo o wspaniałej skórze jasnożółtej karnacji, z czasem szarzejącej powłoki pnia i gałęzi z plamami jasnej szarości jak liszaje, odbarwienia na zdrowej skórze.

Coraz silniejsze głębsze rysy na powłoce, zmarszczki, pęknięcia, znak tektonicznych ruchów pnia. Aż pewnego ranka. Nagle jak wąż, platan zrzuci skórę i pojawia się w nowej, czystej okazałości. Wokół pnia odtamki wyliny, twarde, a kruche zarazem strzępy pokrywają spinającą drzewo jak w szczelnym pancerzu. Platan wyzwolony gotów do nowego życia.

Nieopodal mego domu rośnie platan, wielki, okazały, rozłożysty, z daleko wysuniętym konarem. Czasami opadają mnie obawy: jeśli podczas jakiejś wichury, zjawisk częstych w Nowym Jorku, ta ogromna gałąź załamie się, spadając zniszczy dom. Ale platan trwa mimo ciężkich pogodowych przypadłości – nowojorskich wichrów, ogromnych opadów mokrego ciężkiego śniegu, pod którym uginął się i wracał do poprzedniej pozycji po roztopie.

Wyłoniwszy się z zeszłorocznej skorupy pozostawiał po sobie masę drzewnego śmiecia, które trzeba było sprzątać, zamieść, podobnie jak jesienią niewiarygodne mnóstwo zrzuconych przezeń liści. Zamiatając, zgarniając do przezroczystego worków wciąż nowe odrzuty przyrodniczego bytowania, powtarzałem sobie: warto, warto niewielkiego w końcu wysiłku i czasu. Platan wynagradzał wszystkie starania wokół niego. Cieszył się, trwał w milczeniu niezauważony, obojętnie mijany. Był, istniał w solidnej egzystencji, podczas gdy ja, inni ludzie zaledwie w ulotnych przejawach krążyliśmy wokół. Zrzucił rzeszy cięń w lecie, chroniąc przed słońcem nowojorskiego lipca czy sierpnia, zaśmiecał chodnik i całą posesję jesiennymi liśćmi; okazywał pełną goliznę, strukturę budowy zimą. Istniał, był cały rok, przypominał czym jest trwanie.

Może lipa jest nowojorskim drzewem? Rośnie mnóstwo lip w mieście. Niezauważalnych, zwykłych co najwyżej uwag przechodnia „jakieś drzewo”. Co roku w czerwcu Nowy Jork pachnie oształmami, słodkim dusznym oparem z kwitnących na biało lip. Tę słodką woń odnotowywałem zwłaszcza podczas jazdy rowerowym po mieście. Nieoczekiwanie wjeżdżałem w strefę aromatu, poruszałem się w oparze, który dominował, panował nad innymi wyziewami miasta. I znowu, i znowu. Sądząc po tych strefach zapachu musiał lip być w Nowym Jorku bardzo dużo.

Zapach późnej wiosny, przeradzania się w lato narastającego upału. Ciepłe powietrze zmieszane z wonnością podmuchów czyniły zbliżające się lato tym gorętszym, bardziej nęcącym. To woń czarodziejskiej syreny wabiącej w pułapkę dusznego żaru.

Przed moim domem stała duża lipa. Cie-

żyła, latem rzucała zbawczy cień na ganek, jesienią karmiła oczy żółto-zieloną barwą gasnących liści. Pewnego dnia przyjechały służby miejskie, bezceremonialnie ścięły lipę. Nawet mnie nie zawiadomiono o planowanej egzekucji, nawet nie zapukano do drzwi, żeby poinformować o nadchodzącym wykonaniu wyroku. Zabrali się od razu do cięcia. Nawet nie wiedzieli, dlaczego to właśnie drzewo spośród innych na ulicy. Później dowiedziałem się: moja lipa rosta na drodze ważnych podziemnych szlaków wodociągowych, kanalizacyjnych, korzenie niszczyły rury koławity i dziurawiły podskórne tętnice miasta.

Uwolniony od konkurencji sąsiedni platan wystrzelił gałęziami w górę i na bok, rozrósł się, spotężniał.

Może nowojorskim drzewem jest ginkgo. Egzotyczne, nazwą i wyglądem liści przywodzi na myśl daleką Azję – Japonię, Chiny. Powściągliwa elegancja Orientu, subtelna zieleń i gustowna wykwinność liści kształtem przypominających japońskie wachlarze.

Niewielki wzrost drzewek chińskiego miłorzębu (bo taką ma polską nazwę) sugeruje, iż od niedawna zaczęto je sadzić. Niewysokie, rosną powoli, nie zdążyły jeszcze osiągnąć majestatu prawdziwie wielkiego drzewa.

Ginkgo skromne, ginkgo nie rzucające się w oczy, na skraju chodnika, ale na uboczu. Jak w przypadku większości drzew ich czas nadchodzi jesienią. Małe wachlarzyki zielonych liści zmieniają barwę na jasnożółtą. Wprost lśnią z daleka widoczną, cytrynową barwą.

Osobliwością chińskiego miłorzębu jest nierówny proces jesiennego zmiany kolorów. Typowy widok to połowa liści jednego drzewa żółta, połowa zielona. Na przemian, australijskie barwy narodowe. Niezwykły widok, który stopniowo ulega ujednoliceniu.

Wiatry późniejszej jesieni rozsypują po ulicach miasta kolorowe liście. Ginkgo inaczej. Liście opadają w pobliżu pnia, tworząc wokół jednolicie cytrynowy krąg, żółty okrągły dywanik.

Na pewno nowojorskim drzewem nie jest klon. Najpopularniejsze drzewo podmiejskich parków narodowych. Jeszcze w latach osiemdziesiątych był najczęściej spotykanym drzewem na ulicach Nowego Jorku – drzewo Ameryki Północnej, Kanady i Stanów Zjednoczonych. Okazałe ozdobne, różnorodnych gatunkowych odmian.

Aż nastąpiła inwazja. W latach dziewięćdziesiątych coraz częściej zaczęto mówić o nowej pladze. Agresji żuka azjatyckiego, żarłocznego, nienasyconego. Ofiarą jego głodu stały się właśnie klony.

Publikowano podobizny tego żuka z apelem o informowanie, gdzie go dostrzeżono, wszczano w ziemię wokół drzew trujące substancje. Wszystko daremne. Siła biologii potężniejsza nad ludzkie wysiłki zgładzenia życia. Klony marniały, schły jeden z drugim, tysiące, aż wreszcie zaczęto je wycinać, usuwać z miasta, chyba w obawie, żeby ów żuk nie przerzucił się na inne drzewa, kiedy poże już wszystkie klony Nowego Jorku.

Parki nowojorskie

Jest ich dużo, z najbardziej znanym, ogromnym Parkiem Centralnym na czele zajmującym sporą część Manhattanu. Powstał w połowie XIX wieku, kiedy nikt jeszcze nie słyszał o zanieczyszczeniu powietrza, choć Nowy Jork z ówczesną mnogością małych i większych zakładów przemysłowych, musiał być potężnie zadymlony, zakurzony, obasypany sadzą, brudem. Walt Whitman przedstawia wieczorny krajobraz miasta: „ogień z kominów odlewni płonące wysoko i jaskrawo w noc”. Całą dobę pracował przemysł.

Prawie dwieście lat temu wykrojono spory kawał metropolii. Tu zabudowy nie będzie. Niezwykła przezorność. W przeciwnym wypadku ten łakomy teren niemal środka Nowego Jorku natychmiast obrósłby zabudowaniami. Zalano by betonem, obłożono cegłą. Dziś Park Centralny otaczają wysokie budynki mieszkalne. Przylegają ciasno, dzieli je tylko ulica. Napierają na zieleni, wiszą nad nią, pchając się na park. Najdroższa część miasta.

Brooklyn, miasto rywalizujące z Nowym Jorkiem, także stworzył własny teren miejskiej zieleni – Prospect Park. W drugiej połowie XIX wieku, kiedy ta kwitnąca, doskonale zarządzana aglomeracja pod każdym względem współzawodniczyła z dawnym Nowym Amsterdamem usytuowany po drugiej stronie East River. Założono piękne Brooklyn Museum w odpowiedzi na nowojorski Metropolitan Museum; powstała Brooklyn Academy of Music, na co Nowy Jork odpowiedział swoją Metropolitan Opera. Tu powstała wielka biblioteka publiczna, tam równie wspaniała. Rozległy ogród botaniczny, wprawdzie na Bronksie, ale wraz z Manhattanem stanowił jedno miasto, kontra mniejszy, elegancki ogród botaniczny na Brooklynie.

Rywalizacja się skończyła, gdy zbudowano most brooklyński, połączono oddzielne miejscowości w jedną wielką metropolię. Podupadł Brooklyn, zepchnięty do roli podrzędnego dystryktu.

Dziś jest szykowną, odremontowaną, zabudowaną wieżowcami dzielnicą, zieloną, jak i pozostałe.

Nowy Jork jest miastem zieleni – parków, skwerów, trawników, drzew wzdłuż ulic na chodnikach, kwiatów. Nie wiem skąd się wzięła zgroza „betonowej pustyni” i czy ów młot odnosił się w pierwszym rzędzie do współczesnego metropolu, za jaki uchodził Nowy Jork, chorobliwy wykwit cywilizacji. Przypuszczam, że stało się to w latach dwudziestych, kiedy nagradzano literackim Noblem Knuta Hamsuna za „Błogosławieństwo ziemi” i Władysława Reymonta za „Chłopów”, chwalców wsi, etycznego wymiaru życia wiejskiego zgodnego z naturą, gospodarzenia na ziemi. Cywilizacja przemysłowa już na dobre opłonowała Zachód, miasto stało się naturalnym środowiskiem. Pisarze ci, piewcy minionego stylu życia – ich wyróżnienie sygnalizowało nostalgię za minioną, straconą epoką.

Jak nostalgia to i przerażenie cywilizacją, miejską zwartą zabudową z cegły i betonu, ulicami zapelnionymi samochodami, ruchem, zgietkiem, tłumem.

Nowy Jork nie jest „betonową pustynią” ani nigdy nią nie był. Każda z pięciu dzielnic ma swój wielki park, a do tego jeszcze sporo dodatkowej, leśnej zieleni. I jeszcze więcej, czego oko przechodnia nie dojrzy. Stosunkowo nowym zjawiskiem są ogrody na dachach. Nie tam parę doniczek na tarasie, ale cały ogród, ziemia uprawna, trawniki, klomby, rabatki. Zapotrzebowanie na tego typu ekstrawagancję jest tak duże, iż specjaliści od zakładania tego rodzaju skwerków są poszukiwanymi i wysoko opłacanymi fachowcami. Chodzi głównie o system gospodarki wodnej.

Z wysokich budynków rozpościera się niezwykle widok na miasto: zieleni u spodu, zieleni z wierzchu, a pośrodku, jak w kanapce, beton i szkło.

70 Aleja

Na Ridgewood, Queens. Kolejny adres nowojorski, ale ten jest szczególny. Należy do mnie, jak siedem poprzednich. Odcisnąłem tutaj silniejszy ślad niż w innych miejscach miasta. Mieszkam tu najdłużej po gorączkowych emigranckich przenośinach z mie-

sca na miejsca. „W Nowym Jorku zawsze szuka się pracy i mieszkania” – usłyszałem na początku mej drogi obiegującą prawdę. Nieustannie. Tańszego, lepszego. Tańszy to konkretnie, lepszy – to mgła, iluzja, wyobraźnia. Co znaczy lepsze? Ciekawej położone, jak na Neptune Ave. Tak zwany duplex, piękne, wielkie, nad morzem. Wprawdzie lodowato w zimie z powodu przenikliwych wiatrów, ale za to chłodniej w lecie z powodu bryzy z nad morza. Ale w złej dzielnicy. A może lepsze znajdowało się przy Foster Ave., brzydkie i brudne, ale rozłożyste i tanie, dobrze ulokowane, blisko metra.

Ile rodzin mieszkało przedtem przy 6017 70 Ave? Kim byli? Dzielnicę zbudowano ponad sto lat temu jako modelowe osiedle tanich domów dla robotników. W jednym stylu, z jednego rodzaju cegły. Uznane w 2017 roku za zabytek miejski.

Kto tu mieszkał? Emigranci, Amerykanie? Czy byli zadowoleni, szczęśliwi z posiadania domu? Podczas radykalnego remontu łazienki po zerwaniu podłogi pod nią znalazłem amerykańskie gazety z 1957 r. Użyte jako wzmocnienie drewnianej konstrukcji, uszczelnienia luk i szpar. Przed położeniem nowej podłogi wrzuciłem parę polskich gazet. Akurat postępowała inwazja na Irak. Początek kwietnia, armia amerykańska parła bez przeszkód na Bagdad. Kapsułka czasu, ślad po nas: wtedy w kwietniu 2003, mieszkaliśmy my tutaj, Polacy w Nowym Jorku. Przed nami może Niemcy, może Włosi albo Amerykanie, inni. Ile ludzkich żywotów, ile losów indywidualnych, rodzinnych? Wiem tylko o poprzednikach – z byłej Jugosławii. Wiele istnień, mnóstwo ludzi żyło, umierało, wyprowadzali się, wprowadzali.

70 Aleja, niewielka, wąska, senna, prowincjonalna. Nic się tu nie dzieje. Mały fragment wielkich sypialni Nowego Jorku.

Po sprowadzeniu się tutaj należeliśmy do najmłodszych mieszkańców, w sąsiedztwie starszych albo bardzo starych rezydentów. Dwie wiekowe Amerykanki niemieckiego pochodzenia z domu przy rogu ulicy pamiętały jeszcze Ridgewood z lat trzydziestych:

bruk nawierzchni, turkot wozu mleczarza codziennie ze swym towarem, sklep masarza i rzeźnika, Włochów idących do swego kościoła i Niemców – do swojego. Parę ulic dalej resztki szyn zakleszczonych w asfalcie. Pozostałość po tramwaju, kolejce podmiejskiej? Nie pamiętają.

Obok emerytowany listonosz z żoną i lokatorką na piętrze. Wyglądała niekiedy przez okno, gdy wychodziliśmy do ogródka. Wymiana uprzejmości, jakieś zdawkowe rozmowy.

Nieco dalej „oficer”, jak go nazywaliśmy, emerytowany policjant. Ciągłe na służbie, doglądał porządku na ulicy, sam dbał o to, aby opróżnione przez śmieciarzy kubły wróciły na miejsce poza ogrodzenia, znał mieszkańców i ich sprawy, dopytywał się. Samotny w wielkim domu, chyba trochę pił, widziałem, jak wychodził z pobliskiego sklepu z alkoholem. Pałił dużo, zmarł na raka ust, krtani?

Jeździliśmy na tradycyjne czuwania w domach pogrzebowych, czuliśmy się częścią tej maleńkiej społeczności. Żegnaliśmy sąsiadów.

Starowinka, drobna, pomarszczona zajmowała z synem nieodległy dom. Poruszała się wolno, codziennie doglądała roślin i kwiatów na ganku i na schodach wejściowych. Mówiła tylko po hiszpańsku, ale przy pomocy gestów i uśmiechów prosiła, abym w dniach sprzątania stron ulicy przestawił samochód jej syna. Robiłem to przez lata, aż znikła. Nie ma sąsiadki. Jej syn, dziwak i odludek siedzi czasami na schodach, studiując telefon, nie odzywa się.

Po latach nagle; dosłownie jednego dnia ośnienie: uświadomiłem sobie, że jesteśmy najstarsi w całym sąsiedztwie. Wokół mieszkają już młodzi ludzie – albo nowi właściciele, albo po prostu lokatorzy wynajmujący mieszkania. Kolejna zmiana pokoleń, a przy tym znak głębszych procesów zachodzących w mieście – gentryfikacji. Nie ma na słowo i oznaczane zjawisko polskiego określenia: uszlachcenie, nobilitacja dzielnicy.

CZESŁAW KARKOWSKI



Grafika: Eduard Nikonorov

Robert Gawłowski

Z „PAJANÓW I PIEŚNI ACHAJSKICH”

Ładunek dla Koryntu

Księżyc na niebie lśnił i niskie chmury niosły deszcz. Do Lavrio znów wpływała nasza łódź i taka brzmiała pieśń:

*A w Koryncie, w Koryncie
panny na nas czekały,
miały być czyste, och, czyste,
rozum nam odbierały.*

Ładunek srebra na nabrzeżu, dobrze sprawili się kopacze. Do Lavrio znów wpływała nasza łódź i taka brzmiała pieśń:

*A w Koryncie, w Koryncie
zakamarki słodziutkie,
miały być czyste, och, czyste,
jakiż one miłutkie.*

Nie jeden tam, w kopalniach, wyzionął swego ducha. Do Lavrio znów wpływała nasza łódź i taka brzmiała pieśń:

*A w Koryncie, w Koryncie
smagłe słodkie kibicie
miały być czyste, och, czyste,
ech, za krótkie jest życie.*

Leniwie podnieśli się tragarze i lampy zapaliła straż. Do Lavrio znów wpływała nasza łódź i taka brzmiała pieśń:

*A w Koryncie, w Koryncie,
gdzie pijane tawerny,
miały być czyste, och, czyste,
ale kto bywa wierny?*

Księżyc na niebie lśnił i niskie chmury niosły deszcz. Do Lavrio znów wpływała nasza łódź i cichła sprośna pieśń.

Pajan na Posejdona

*Niech niosą nas fale, ku sławie, ku chwale,
niech szcześnie od miecza, kto bogom
zaprzecza.*

*Co tam paradne stroje, i wymyślne łamańce,
my bluźniercza zgraja i tak zatańczymy
w walce.*

*Poniesiemy głowy lub oddamy głowy, gdy
śmieć nas dopadnie, każdy musi być
gotowy.*

*Niech i Posejdon usłyszy te pienia znad wody,
choć wszyscyśmy szpetni, czy stary,
czy młody.*

*Skoro już od zarania nasze dusze chrome,
nie porty, a odmęty ciemne jedynym
są domem.*

Cisza

Ustał wiatr. Ucichło morze. Stanęła flota.
Gdzie okiem sięgnąć chyże, zwinne, łodzie.
Nieznana dal, horyzont napięty jak cięciwa.
Dokąd zaniosą ich wiatry i żagle? Dokąd
zaprowadzą bogowie i gwiazdy? Dawno już
opuścili porty, miasta, wioski, domy, bliskich.
Z odciskami na rękach, z ranami pełnymi soli,
słuchali swych myśli i pomruków Posejdona.
Słowa trzymali pod językiem, żuli je powoli.
Wypatrywali znaków, nasłuchiwali głębin,
lecz milczała otchłań. Tylko płetwy rekinów
cięły toń, kreśliły tajemne koła, pisały im los.
A gdy padła komenda, wiosła znów zanurzały się
w ciszy. Trzeszczały burty, chrobotwały łańcuchy,
skrzypiały chwile. Znów i znów, i znów.

Pajan na Dionizosa

*Uciszcie się kamraci, zamilczcie
góry i doliny, niech ścicznie
morze i ustaną wiatry.
Usłyszcie byka ryk dźwięczący,
ciężarna gałąź winorośli i tyrs
chcą już uczynić swoje.
I niechaj tańczą nam bachantki
te w maskach i bez maski,
ich sromy pełne łaski.
Z tobą napijmy się, o Dionizosie,
z tobą, hop! Boś nam bratem,
w pijanym widzie.*

*Chroń nasze słabe głowy i serca,
i prowadź bezpiecznie przez
najgorsze cieśniny życia.*

Ładowanie

Zobaczyli Troadę. Szczeliny skał wypełniał ich szaleńczy ryk. Odgrazali się wściekle, rzucali obelgami, aż na suchych łodygach drżały drobiny soli. Lecz nikt ich nie witał, nikt nie czekał. Słuchało tylko wybrzeże.

Nie czuli głodu, nie bolały ich mięśnie i kości. Chcieli załatwić to raz, dwa, by było po sprawie. Ale zły znak, nocą z nieba spadały kamienie, burzyło się morze, Atena igrała z Posejdonem. Wiadomo, stare porachunki.

Wróżbici też nie mieli dobrych nowin. Ich oczy widziały zbyt wiele, żeby im wyjawić prawdę. No i nie pora, żeby przestrzegać i straszyć, psuć morale, skoro nieznane czas i miejsce zdarzeń, skoro jeszcze przecież nie stało się, co przyszłe.

Dla pewności otworzyli więc ptaka. Zaglądali do wnętrza. Jego serce wciąż biło, a oni bacznie śledzili rytm i słabnący puls, bo niby tam skryta odpowiedź. A gdy w otwartych ślepiach stygło światło, dojrzeli co? Tylko stojącego obok konia.

Pentada achajska

Ten zestaw pięciu wierszy uformowanych na bardzo starożytną poezję, poezję, o jakiej pokolenie Pindara czy Peryklesa powiedziałoby, że przynależy do „ciemnych wieków”, ma dla mnie wielką wartość. Lubię mrok. Właśnie w nim znajdują się rzeczywiste tygrysy duchowości a tym samym losy poszczególnych społeczności. To do nich gotują się, rozpuszczają bądź twardnieją, bądź gniją składniki pochodzące ze świata zewnętrznego – jak zmiany klimatyczne dające impuls migracjom barbarzyńców, jak epidemie lub podboje, spod których ucieka ten i ów jak ocalały z Atlantydy, jak upadki meteorytów. Na marginesie: taki właśnie wypadek zdarzył się podczas narodzin Zenobii, późniejszej królowej Palmyry. Przemierzała wtedy Pustynię Syryjską zagubiona po burzy piaskowej grupa koczowników. Noworodka – dziewczynkę (matka natychmiast zmarła) porzucono w piasku na pewną śmierć, bo bukiety były już puste. Ledwie się zaczęli oddalać, patrząc: z nieba spada jasna strzała. Kiedy wstrząs ziemi minął, ktoś z tej grupy zawrócił do miejsca uderzenia i ku swojemu osłupieniu ujrzął krater, a na jego dnie sadzawkę wody czystej jak sen. Noworodek leżał u krawędzi rączką wskazując na wodę. Oczywiście, cała ta historia przenika do tygrysi wieków ciemności i w wiekach oświeconych bywa wydobywana, reinterpetowana, tączona z muzyką, teatrem, polityką.

Robert Gawłowski po latach milczenia nabrał tchu i zanurzył głowę w jedną z takich kadzi. Zamiast opowiadać jakieś mity, co zawsze wymusza przesunięcie akcentów, jakąś reinterpetację, uzmysłowił same „fragmenty”, proste czynności, proste odczucia, niczym kilka zaledwie ocalałych metop przastarej mozaiki. Podał się melodyce erosu oraz wojny. Zaczął patrzeć okiem Achaja sunącego pod Troję, panicznie lękającego się Apolla, choć bliźniaczej siostrze tego boga złożono już na samym wstępie wyprawę krwawą ofiarę z córki króla. Ofiara ta jednak mogła, co najwyżej, zapewnić wojownikom neutralność „apollinijskiej przestrzeni sakralnego kosmosu” – na pewno nie bezkarność. Prosty wojownik skupia się na ruchu wiosłem, na gotowości do zabijania. Inny żeglarz skupia się na „przeczystych prostytutkach”, czekających nań w porcie, jak gdyby port był rozkoszną dziurką w strasznym świecie posejdonicznym.

Wszędzie nadmiar a zarazem perfekcyjny kunszt słowa. Swoisty czarny humor: z perspektywy dzisiejszego Zachodu brutalne przedklasyczne piękno Egei wydaje się piekłem na niby, w porównaniu z naszym piekłem, rajem odnalezionym, skąd już nie wypędzi żadna wiedza ani wiedzowładza. Wreszcie może – to moje przypuszczenie – wiersz za wierszem rezonują tutaj jakąś osobistą tajemnicą poety, tak intymną, że pieczętowanie ostoniętą tym wariackim cyklem, z jakiego wybrałam perełek ledwie pięć. Czytelnik zapewne zgaduje, że Gawłowski, który wielokrotnie odwiedzał Helladę, jakby coś go tam wciągnęło, zagląda teraz do własnych tygrysi, wstuchany w melodię ich ciemności, upija ze źródła na spalonej słońcem ziemi. Nie naśladuje Greków. On tylko zaczął ich muz słuchać.

URSULA M. BENKA

Robert Gawłowski (1957) — dziennikarz, krytyk, autor sztuk teatralnych, słuchowisk radiowych i scenariuszy filmowych. Wierszami debiutował w roku 1977. Wydał m.in. zbiory: „Nie ukrywajmy tego szaleństwa” — 1983, „Ograniczony wybór” — 1984, „Marko Polo” — 1987, „Podróż chroniczna” — 1997, „Georg — ostatnie chwile, ostatnie błyski” — 1998 (poemat o Georgu Traklu) oraz manifest poetycki — „Książeczka o poezji” — 1997. Ostatnio publikował w „Twórczości”, „Wyspie” i „Śląsku”.

Andrzej C. Leszczyński

I. Zwykło się sądzić, że spośród władz psychicznych człowieka najbardziej suwerenne są uczucia. „Bo serce nie jest sługa, nie zna, co to pany./ I nie da się przemocą okuć w kajdany” – mówi Telimena w *Panu Tadeuszu*. Bezsilnymi „panami” serca – podobnie jak ciał, które również „nie służą” – byłyby akty rozumu i woli. Szczególnie

nowa! młodego Fryderyka Nietzschego, był Artur Schopenhauer. Gdy mieszkał w Lipsku, przypadkowo wpadło mu w ręce główne dzieło urodzonego w Gdańsku myśliciela, *Świat jako wola i przedstawienie* (tłum. Jan Garewicz). Tak to wspomina (cytuje za: Ivo Frenzel, *Nietzsche*, tłum. Jacek Dziubiński, Wrocław 1994, s. 28-29): „Pewnego dnia znalazłem mianowicie tę książkę w antykwariacie starego Rohna, wziąłem ją jak zupełnie mi obcą do ręki i przerzuciłem strony. Nie wiem, jaki demon podszeptał mi: »Weź tę książkę do domu«. [...] W domu rzuciłem się wraz ze zdobytym skarbem w kąć sofę i pozwoliłem, by ów energiczny, mroczny

Jarosław Janiszewski: „Wyzbądź się swego przywiązania do wygodnego życia – pokaż się w gimnazjum (*gymnos, nagi*), dowiedz, że nie jest ci obojętna różnica między doskonałym a niedoskonałym, zademonstruj, że osiągnięcie – znakomitość, *areté, virtù* – nie są dla ciebie obcyimi słowami [...]”.

Trudno uwolnić się od myśli, że to, co jest przedmiotem powyższych „życzeń”, bierze Nietzsche z własnych doświadczeń. Neurotyczny samotnik, odczuwający wieczną wrogość świata i ludzi, nieustannie chorujący, szukający wolności w samotnych rozmyślaniach – w swej najbardziej znanej pracy *Tako rzecze Zaratustra. Książka dla wszystkich i dla*

WOLA MOCY

znamienna – i zaskakująca – może wydać się niemoc woli, pojmowanej przecież jako fundament świadomego istnienia, stan „posiadania siebie”, źródło wyborów i postanowień („Mam szczerą wolę...”, „ostatnia wola”, „bardziej wolę to, nie tamto” itp.). „To, czym jestem – notuje Marek Aureliusz (*Rozmyślenia*, tłum. Marian Reiter) – składa się z ciała, technienia i woli”. Władysław Kopaliński w *Słowniku mitów i tradycji kultury* pisze, że dawniej wola była językowym synonimem wolności, zdolności „świadomego podejmowania decyzji i wysiłków”. Także dzisiaj nierzadko łączy się obydwa te terminy, co oznaczałoby, że wyrażenie „wolna wola” ma cechy tautologiczne. Kantowska „dobra wola” jest podstawą postępowania zgodnego z prawem moralnym. Bierz się z wolności, nie z przymusu; wyraża ją słowo „chcę” – nie: „muszę” (o. Jacek Woroniecki mówi o woli jako o „centralnym motorze chcenia”). Bogusław Wolniewicz źródło wolicjonalnej atrofii upatruje w przeobrażeniach dzisiejszej kultury, która aksjologię zastępuje psychologią; wartość stała się potrzebą, charakter osobowością, a wola motywacją.

Wolicjonalne „chcenie” nie zawsze odnosi się do podmiotowości indywidualnej, subiektywnej (gr. *hypokeimenikoteta*, [*υποκειμενικότητα*]), wyrażającej się w słowie ja (ego, [εγώ]). Greckie określenie podmiotu *hypokeimenon* (*υποκειμενον*) niczego w tej mierze nie przesądza, wskazuje tylko na pierwotność: *hypokeimai* (*υποκειμαι*) znaczy: znajdować się pod czymś, u spodu czegoś. Wola, jakkolwiek przeczyłoby to potocznym intuicjom, może być pojmowana także jako stan pozaosobowy – jako przedstawna Moc, może coś podobnego do pramaterii, o jakiej mówili antyczni Grecy, że leży u podłoża wszystkich rzeczy, lecz nie jest z jakąkolwiek identyczna. Widziana z ludzkiej perspektywy, podlegająca woli rzeczywistość dzieje się – sama sobie. Sądził tak Kubuś ze znanej powiastki Denisa Diderota; podobnie powie osoba głęboko religijna („niech się dzieje wola nieba”, „wola boska [i skrzypce]” itp.). Okrzyk św. Pawła z *Listu do Rzymian*: „Nie czynię bowiem dobra, którego chcę, ale czynię właśnie zło, którego nie chcę!” też wskazuje na daremność woli „chcianej” (*volonté voulue*), o jakiej pisał Maurice Blondel. Nie można tu oczywiście pominąć Edwarda Stachury, dla którego „się” oznacza mistyczne przebudzenie, osiągnięcie jedności ze światem, przekroczenie opozycji podmiotowo-przedmiotowej. „Ja umarło. Położyło sobie kres. [...] Nie ma ja. Się jest. [...] Czas umarł na czas. Ja umarło na ja. Nie ma ja. Się jest. Się jest się. Się jest duch. Się jest nikt”.

II. Autorem, który jako pierwszy zafascy-

geniusz zaczął na mnie oddziaływać”. Tytułowa „wola” jest u Schopenhauera niepoznawalną (rzecz sama w sobie), odwieczną substancją ujawniającą się w różnych formach czasowych („od bezwiednego parcia ciemnych sił przyrody aż po świadomą działalność ludzką”). Gdyby odnieść ją tylko do człowieka, mogłaby przypominać id, determinującą wszystko nieświadomości (*Unbewusste*), o której pisał Zigmund Freud. Ta bezrozumna, niezniszczalna siła prowadzi do niemożliwych do uniknięcia konfliktów (Schopenhauer przywołuje formułę *bellum omnium contra omnes* – wojny wszystkich przeciw wszystkim). Wola, to bezwzględna wola życia (*Wille zum Leben*). Tak pojmowana, stanowi źródło wszelkiego zła. Można próbować go unikać, pisać Schopenhauer, za pomocą sztuki, kontemplacji estetycznej; a także poprzez ascezę, wyrzeczenie się życia.

I oto przekleństwo tak rozumianej woli staje się dla Nietzschego wyznacznikiem prawdziwego, przeciwnego ascezie człowieczeństwa: silnego, progresywnego, wykraczającego poza właściwą filistrom bierność i chęć utrzymania się przy życiu. (Dygresja pierwsza: Filisterskie cechy widzi u polskich panów Czepiec z *Wesela*: „Duza by już mogli mieć, ino oni nie chcom chcieć”). Konkretyzując metafizyczne rozważania swego mentora i szukając sposobu, by móc zastosować je w praktyce – wiąże wolę z indywidualną podmiotowością i odwraca znaki wartości. Schopenhauerowski pesymizm staje się optymizmem, minorowa impresyjność tamtego języka przeobraża się w rzeszkę, durową ekspresyjność. Można odnieść wrażenie, że z Schopenhauerowskiego „garbu” Nietzsche czyni cnotę – taką, która mimowiednie uwidacznia jego własne braki i jest ich kompensacją. Wola ma być wolą mocy, władzy: *Der Wille zur Macht*. To cecha Nadczłowieka (*der Übermensch*), arystokraty-herosa, który jest celem dla woli. Afirmacja tyczy życia „wstępującego”, nie „dekadencji, rozkładu, słabości”. Pisze: „Ludziom, którzy mnie cokolwiek obchodzą, życzę cierpienia, opuszczenia, choroby, złego traktowania, zbyszczeszczenia [...] Nie mam dla nich współczucia, ponieważ życzę im tego jedynie, co dziś dowiedzieć może, że ktoś posiada wartość lub jej nie posiada – że przetrwa ciężką próbę” (tłum. Stefan Frycz, Konrad Drzewiecki). W *Notatkach z lat 1887-1889* dodaje, że jedyną rzeczywistością jest nie samozachowanie, lecz „[...] chcenie stania się panem, stania się czymś więcej, stania się silniejszym” (tłum. Paweł Pieniążek). (Dygresja druga: Podobny ton można usłyszeć w książce współczesnego filozofa, Petera Sloterdijka pt. *Musisz życie swe odmienić. O antropotechnice*, tłum.

nikogo (tłum. Wacław Berent) odnajduje krępującą przeciwwagę w cnotach mizoginistycznego wojownika, jakim sam nigdy nie ośmielił się być. „Ku wojnie wychowany ma być mąż, niewiasta zaś ku wytchnieniu wojownika: Wszystko inne jest głupstwem”. I zaraz na następnej stronie: „Idziesz do kobiet? Nie zapomnij bicza”. Prowadzi życie zamknięte w rozmyślaniach oraz zapisywaniu tego, co przyniosły – i zazdrości zwierzętom (krowom) braku takich umiejętności; tego, że są wolne od pamięci i wspomnień, od których sam nie umie się uwolnić. „Patrz na stado, które pasie się opodal: nie zna ono wczoraj ani dzisiaj, hasa, żre, odpoczywa, trawi, znowu hasa, i tak od rana do nocy i dzień po dniu. [...] Człowiekowi ciężko na to patrzeć, gdyż pyszni się przed zwierzętami swym człowieczeństwem, a zarazem zazdrości im szczęścia... [...] Dziwi się też samemu sobie, że nie umie nauczyć się zapomnienia i wciąż ogląda się na przeszłość: choćby podążył najdalej i najszybciej, łańcuch podąża wraz z nim. [...] Zwierzę żyje ahistorycznie: mieści się w teraźniejszości bez reszty... Człowiek natomiast zmaga się z wielkim i coraz większym ciężarem przeszłości... Dlatego wzrusza go – niczym wspomnienie utraconego raju – widok pasącego się stada, albo tym bliższy jego sercu widok dziecka, które nie ma w sobie nic przeszłego” (*Niewczesne rozważania*, tłum. Małgorzata Łukasiewicz).

Ivo Frenzel pisze o narastającej u Nietzschego tendencji do ubóstwiania siebie, widocznej zwłaszcza w *Ecce homo*. Przytacza list do Franza Overbecka, w którym Nietzsche pisze o zamiarze wzięcia losów świata w swoje ręce: „Ja sam pracuję właśnie nad memoriałem dla europejskich dworów w celu stworzenia ligi antyniemieckiej. Chcę spętać »rzeszę« żelazną kuszalą i sprowokować do desperackiej wojny. Nie będę miał wolnych rąk dopóty, dopóki nie będę miał w rękach młodego cesarza, wraz z dobytkiem”.

Nie były to ręce zwyczajne. Lou Salomé, rosyjska arystokratka i pisarka, jako młoda dziewczyna z otwartą głową zafascynowała Nietzschego tak bardzo, że oświadczył się jej – nie osobiście, lecz za pośrednictwem przyjaciela, Paula Rée (sic!). Spotkał się z odmową; czy i jaki miała związek z formą oświadczenia, trudno powiedzieć. Oto jak opisała swego adoratora (przytaczam za Ivo Frenzelem): „[...] średniego wzrostu mężczyzna, w nad wyraz prostym, ale i nad wyraz starannym ubraniu, o spokojnych rysach i ze skromnie zaczesanymi do tyłu brzoowymi włosami, łatwo mógł zostać przeoczony. Ładna, w najwyższym stopniu pełna wyrazu linia ust była prawie zupełnie zakryta przez duże, zaczesane do dołu włosy. Miał

cichy śmiech, bezszelestny sposób mówienia i ostrożny, rozważny chód, przy którym pochylał się nieznacznie w ramionach; trudno byłoby wyobrazić sobie tę postać w tłumie – nosiła ona piętno odosobnienia. Nieporównanie pięknie i szlachetnie ukształtowane, tak że mimowolnie przeciągały wzrok, były dtonie Nietzschego, o których on sam sądził, że zdradzają jego ducha... Podobne znaczenie przypisywał swoim nadzwyczaj matym i przepięknie wymodelowanym uszom, o których powiadał, że są to prawdziwe uszy dla niesłyszalnego". (Dygresja trzecia: Ciekawe, że dłońmi – w tym wypadku Adolfa Hitlera – zachwycał się także inny niemiecki filozof, Martin Heidegger. Na wątpliwości, jakie Kanclerz budził u znajomego, odpowiedział: „Proszę się przyjrzyć, jak cudowne są jego ręce”).

Ile było w Nietzschem twardego wojownika, okazało się 3 stycznia 1889 roku na Piazza Carlo Alberto w Turynie. Na widok dorożkarza okładającego batem konia, że szlochom obejmuje szyję zwierzęcia, traci przytomność.

III. Alfred Adler, wiedeńczyk, twórca tzw. psychologii indywidualnej. Całe życie niedomagał zdrowotnie – krzywica, trwałe ślady potrącenia przez samochód. Jako lekarz badał skutki fizycznych i psychicznych ułomności swoich pacjentów. Zobaczył dążenie do ich przezwyciężenia, co rychło uznał za cechę uniwersalną. Wola stania się kimś, kto przekracza własne ograniczenia, siła w dążeniu do wyższości, zapewnia spójność osobowości, buduje poczucie wartości i sensu życia.

Oto sedno: wolę mocy znajduję w sobie ludzie niemocni. Trawieni poczuciem (kompleksem) niższości, zdolni są zrobić wiele, by znaleźć dlań skuteczne remedium, rekompensatę. Bliskie to greckiemu pojęciu *thymos* (θυμός) mówiącemu o życiu, sile, męstwie, gniewie, pragnieniu uznania. Objawami kompleksu niższości jest niska samoocena potwierdzana przez brak osiągnięć najwyższej miary – takich, które mogłyby przynieść pyszne poczucie odrębności i wyższości. Neurotyczne doświadczenie niedoskonałości analizuje Karen Horney (Nerwica a rozwój człowieka. Trudna droga do samorealizacji, tłum. Zofia Doroszowa, Warszawa 1978). Neurotyk to ktoś, kto mówi do siebie: „Zapomnij o haniebnej istocie, którą naprawdę jesteś; tylko to jest ważne, jaki powinien być, żebyś się upodobał do tego ideału; powinieneś umieć się zdobyć na największą wytrzymałość, powinieneś wszystko rozumieć, powinieneś dla wszystkich mieć życzliwość, wszystkich lubić, powinieneś być maksymalnie produktywny”. Horney pisze o tyranii powinności, pogoni za wielkością, ambicjach bez pokrycia, egocentryzmie, pragnieniu perfekcji („całkowite zasoby energii skierowane na realizację własnego »ja« zostają wykorzystane do urzeczywistnienia »ja« idealnego”). I o tym, że istota o „boskiej doskonałości” musi nienawidzić siebie taką, jak jest w rzeczywistości. Leszek Szaruga wiele z takich cech odnajduje w umysłowości polskiej (Nowa Polska (2), „Kwartalnik Artystyczny” 2015, nr 2.): „Nie uznajemy kompromisów, gdyż każdy kompromis traktowany jest jeśli nie wprost jako kapitulacja, to w każdym razie jako klęska lub tylko przegrana. Istotą kompromisu – osiąganego przecież jedynie w dialogu – jest zdolność do ustępstw obu stron, rezygnacji z czasem nawet istotnych żądań czy pomysłów w imię ocalenia tego, co się uważa za wspólną wartość”.

Niedostatki, z których wyrasta wola mocy, mogą dotyczyć tak błahych wydatków, jak wzrost. Stefan Kisielewski w swej teorii kurduplizmu wskazywał,

że największy tyrani byli niscy. Robespierre, Napoleon, Lenin, Stalin; także Putin i Miedwiediew, o którym Luke Harding (wydalony z Rosji reporter „Guardiana”, autor książki *Mafijne państwo Putina*) pisał, że jest jednym z najniższych ludzi w całej Rosji. Michał Wołodyjowski przyznawał otwarcie, że mistrzowski władaniem szabłą kompensował swą fizyczną niepozorność. Andrzej Wajda pokazuje w Dantonie Maksymiliana Robespierrea (a Wojciech Pszoniak) przemawiającego w Konwencie. Kamera fotografuje go przez moment z tyłu, zza mównicy, dzięki czemu widzimy coś, czego nie widzą zgromadzeni na sali: Nieprzekupny staje na palcach.

IV. Jakiś czas temu przeczytałem w „Rzeczpospolitej” (i zapisałem sobie) bieżący komentarz Andrzeja Stankiewicza, a w nim zdanie dotyczące jednego z polskich polityków (trzeba trafiać, też dość niskiego wzrostu). Nie bierze on w swe ręce, jak Nietzsche, losów świata, ale własnego państwa, owszem: „[...] chce zbudować Polskę na nowo, wedle własnej, oryginalnej receptury”. Pamiętam, że poczułem się nieswojo czytając te słowa, bo wedle własnej receptury można przyrządzić bigos albo jajecznicę, można też po swojemu zbudować zamek w piaskownicy. Ale państwo wraz z jego obywatelami? Pamiętam też irytację, jaką wywołało we mnie głupawe hasło, przy pomocy którego nieistniejąca już partia zaznaczała swą obecność: „Polska. Instrukcja obsługi”. Instrukcja obsługi dotycząca do pralki czy aparatu fotograficznego – owszem, jak najbardziej. Ale do państwa? Któż by miał korzystać z takiej instrukcji? Tak czy inaczej była tam mowa o obsłudze państwa, które już istnieje, nie zaś – jak u niewyśokiego polityka – o budowaniu go na nowo.

Polityczna receptura, szczególnie „własna, oryginalna”, ma w znacznym stopniu charakter aprioryczny – rzeczywistość winna się dostosować do tego, co przepisane. Apriorysta dekretuje rzeczywistość, chce, by wypełniła ramy programu, jaki dla niej przewidział. Tendencje do ogólnego regulowania różnych przejawów ludzkiego życia widać w wielu obszarach i do każdego z nich wnosząc coś martwego. Normodawca odnosi się bardziej do własnej wyobraźni, niż do skomplikowanego, budzącego w nim niechęć świata. W ważnej scenie z drugiego aktu *Sprawy Dantona* Stanisławy Przybyśzewskiej – znakomicie pokazanej w filmie

Wajdy – Maksymilian Robespierre i Georges Danton, sami w osobnym pokoju, wykładają swe racje wiedząc, że to ostatnia ich rozmowa. Nieprzekupny mówi o świecie porewolucyjnym wolnym od niesprawiedliwości i przemocy. Lekko podpiity Danton zwraca uwagę na nierealność tej wizji, na to, że prawdziwe oczekiwania ludzi są zupełnie inne i że nie da się ich uszczęśliwić odgórnie, poza ich własnymi pragnieniami.

Skąd się biorą tak megalomańskie zamysły? Z przyrodzonej człowiekowi woli tworzenia? Ta realizuje się zazwyczaj w sztuce, w rzeczywistości wyobrażonej, „sztucznej”. Pamiętam rozmowy z Wojtkiem Misiuro – twórcą Teatru Ekspresji, z którym blisko współpracowałem – związane z jego znakomitą spektaklem *Dantonowicz* (1989); rozmowy o możliwości najbardziej radykalnych rewolucji w sztuce, na scenie, lecz nie takich, które byłyby „reżyserowane” w realnej polityce. Potrzeba twórczości zaspokajana jest oczywiście także w realnym życiu – jako płodzenie i wychowanie dzieci, budowanie domu od fundamentów, wymyślanie nowych przepisów kulinarnych, oswajanie dzikiej natury (pokazuje to literatura amerykańskiego pogranicza), otwartość na nowe doświadczenia itd., itp. Zdaje mi się, że ważnym źródłem nieposkromionych ambicji jest pragnienie stawy oznaczającej trwałe istnienie w pamięci potomnych, o czym pisał Horacy (*Exegi monumentum*). Gwarantujących nieśmiertelność dokonań nie trzeba zresztą szukać w tak wysokich rejestrach, zdarzało mi się spotkać zapamiętanych w sobie politycznych ambicjonerów, którzy po kilku kieliszkach zastanawiali się, czy mają już zagwarantowane miejsce w podręcznikach historii.

Autokratyczny normodawca wyobraża sobie i projektuje taką rzeczywistość, w której poczuje się u siebie, bezpiecznie. Tyle tylko, że realizacja tego projektu nie uwolni go od traumatycznych zaszczości. Max Scheler (*Resentyment i moralność*, tłum. Bogdan Baran) opisuje wewnętrzny stan takiego człowieka. „Zawiść, złośliwość, utajona żądza zemsty osadzają się na dnie duszy, oderwane już od określonych przedmiotów; jako jego trwałe nastawienie kierują instynktownie jego uwagę, niezależnie od własnej woli, na takie zjawiska otaczającego świata, które mogą dostarczyć pożywki dla typowych form wyładowania tych namiętności”.

ANDRZEJ C. LESZCZYŃSKI



Grafika Eduard Nikonov

Rabindranath Tagore

Gitanjali

Uczyniłeś mnie nieśmiertelnym, taka była twa wola. Wciąż opróżniasz nietrwale naczynie i ponownie napętniasz je życiem. Tę maleńką piszczałkę z trzciny niosłeś przez wzgórza i doliny, i grateś na niej melodii wciąż nowe. Od nieśmiertelnego dotknięcia twoich rąk moje słabe serce wypełnia radość i rodzi niewystowioną wdzięczność. Niezliczone dary składasz na małe, drobne dłonie. Stulecia przemijają, ale ty troszczysz się o to, żeby nigdy nie pozostały puste.

2

Kiedy każesz mi śpiewać, wydaje mi się, że z dumy pięknie mi serce. Patrzę w twoje oblicze i łzami zachodzą mi oczy. Wszystkie smutki i kłopoty mego życia przemieniają się w słodką harmonię i duch mój rozwija skrzydła, niczym radosny ptak nad morzem. Wiem, że moja pieśń raduje ciebie. Wiem, że mogę stawić się przed tobą tylko z pieśnią. Twojej stopy, której nigdy nie odważyłbym się dotknąć, dotykam krawędzią szeroko rozpiętego skrzydła mojej pieśni. Odurzony radością śpiewu, zapominam się i nazywam cię przyjacielem. Ciebie, mego pana.

3

Nie wiem jak śpiewasz, mój mistrzu! Słucham cię w milczącym zachwycie. Światło twojej pieśni opromienia świat. Oddech twojej pieśni przepływa przez niebiosy. Święty strumień twojej pieśni niszczy wszelkie przeszkody i gna do przodu. Moje serce pragnie potążyć się z twoją pieśnią, ale wysiłki mego głosu są daremne. Pragnę słowa, ale słowo nie przekłada się na pieśń, więc krzyczę z rozpacz: Ach, wplątałeś moje serce w niekończące się sieci twojej pieśni, mistrzu!

4

Życie mego życia! Zawsze będę się starał utrzymać w czystości moje ciało, wiedząc, że we wszystkich moich członkach jest twój życiodajny dotyk. Zawsze będę się starał strzec moje myśli przed nieprawdą, wiedząc, że ty jesteś prawdą, której światło rozpalisz we mnie. Zawsze będę się starał wyrzucić wszelkie zło z mego serca i żywić w nim miłość, wiedząc, że jesteś w jego najbardziej intymnym zakątku. I będę głosił twoją obecność, ponieważ wiem, że wspierasz mnie w każdym działaniu.

5

Pozwól mi usiąść przy tobie na chwilę, swą pracę dokończę później. Kiedy nie mogę oglądać twojej twarzy, moje słabe serce nie zna spokoju i nie zna wytchnienia, i moja praca jest niekończącą się udręką w bezgranicznym morzu udręk. Dzisiaj lato przyniosło mi przez okno swoje westchnienia i szelesty, i pszczoły śpiewają w kwitnących gajach. Nastął czas, by się spokojnie, twarzą w twarz z tobą, i śpiewać chwałę życia pośród tej ciszy i łaski odpoczynku.

6

Zerwij ten kwiatek i weź go, nie zwlekaj. Boję się, że uschnie i zmieni się w proch.

GITANJALI.

PIEŚNI OFARNE

spolszczył Marian Kisiel

Może nie znajdzie miejsca w twoim wieńcu, ale daj mu doświadczyć twojego dotyku i zerwij go! Boję się, że nie zauważę, jak skończy się ten dzień i upłynie czas ofiary. Chociaż nie jest piękny i słabo pachnie, zerwij go i potąż z innymi, zanim będzie za późno,

7

Moja pieśń odarta jest z wszelkich ozdób. Na jest strojna i dostojna. Ten nadmiar zaciemniłby nasz związek. Przeszkadzałby nam, zagłuszał twój szep. Przed tobą zamierza ze wstydu pycha poeta, siedzę u twoich stóp, mistrzu. Spraw, aby moje życie było proste i szczere, jak piszczałka z trzciny, którą wypełniasz dźwiękami.

8

Dziecko wytwornie ubrane, w złotym tańcu na szyi. Nie cieszy je zabawa. Drogi strój krępuje mu ruchy. Bojąc się podrzeć lub zabrudzić szatę, unika świata. Matko, twoja troska o wygląd dziecka nie jest dla niego dobra. Nie pozwalasz mu dotknąć pyłu ziemi, pozbawiasz je związku z prawdziwym ludzkim życiem.

9

Głupcze, który starasz się nieść siebie samego na swoich ramionach! I modlisz się o miłosierdzie przed swoimi własnymi drzwiami! Oddaj swój ciężar w ręce tego, który jest w stanie podnieść wszystko, któremu to jarzmo jest miłe. Twoje pragnienie od razu zgasi płomień lampy, którą dotyka swoim oddechem. Jest bezbożne, nie przyjmuj darów z jego nieczystych rąk.

10

Oto twój podnóżek. Stopy twoje spoczywają wśród najbiedniejszych, najstańszych, najbardziej dotkniętych przez życie. Kiedy próbuje przed tobą się skłonić, nie mogę dosięgnąć poziomu, gdzie twoje stopy spoczywają wśród najbiedniejszych, najstańszych, najbardziej dotkniętych przez życie. Pycha nie ma dostępu tutaj, gdzie ty chodzisz w skromnym ubraniu najbiedniejszych, najstańszych, najbardziej dotkniętych przez życie. Moje serce nie znajdzie drogi do miejsca, gdzie ty przebywasz wśród najbiedniejszych, najstańszych, najbardziej dotkniętych przez życie.

11

Nie śpiewaj pieśni, nie przebiegaj palcami po paciorkach! Kogo czcisz w tym cichym zakątku świątyni, do której drzwi są zamknięte? Otwórz oczy, a zobaczysz, że twojego boga nie ma przed tobą! On jest tam, gdzie oracz rozrywa twardą ziemię, a kamieniarz układa bruk. Jest z nimi w skwarze i ulewie, a jego ubranie pokryte jest pyłem. Odrzuć swój święty płaszcz i jak on idź do nich. Zbawienie? Jak je odnaleźć? Nasz mistrz z radością przyjął na siebie więzy stworzenia. Jest z nami związany na wieki. Odrzuć medytacje, zostaw kwiaty i kadzidło! Co z tego, że twoje ubranie zamieni się w szmaty! Wyjaż mu na spotkanie i pracuj z nim w pocie czoła.

12

Moja podróż jest długa i moja droga jest

długa. Wsiadłem na wóz o świcie i przedierałem się przez pustynie światów, zostawiając ślady na planetach i gwiazdach. Jest to bardzo daleka, ale i bardzo bliska droga do siebie samego, bardzo zagmatwana, ale prowadząca do pełnej prostoty pieśni. Podróżny musi pukać do wszystkich obcych drzwi, aby znaleźć własne, musi wędrować przez wszystkie światy, aby w końcu dojść do największego ołtarza. Moje spojrzenie błędziło bez granic, i oto zamknąłem powieki i powiedziałem: „Jesteś tutaj!” Pytanie i krzyk: „O, gdzie więc?” – rozlewając się rzekami też, a ich wody zalewają świat wiarą: „Jesteś!”

13

Pieśni, z którą przyszedłem do ciebie, do dzisiaj nie zaśpiewałem. Dni spędzałem na tym, że ciągle stroiłem swą lutnię. Rytm mi się wymknął, słowa nie uspokoiły tak, jak powinny. Tylko moje serce pękało od nieutulonego pragnienia. Kwiat się nie otworzył, z westchnieniem wiał tylko wiatr. Nie widziałem jego oblicza, nie ułowiłem jego głosu. Słyszałem tylko ciche kroki na drodze przed moim domem. Długi dzień minął na przygotowaniach mu miejsca, ale nie zapaliłem lampy i nie mogłem go przyjąć w moim domu. Żyję nadzieją na spotkanie z nim, lecz nie jestem wciąż na nie gotowy.

14

Mam wiele pragnień i żalosny płacz, ale ty zawsze ocalałeś mnie swoją surową odmową. I tą potężną łaską przeniknięte jest całe me życie. Dzień po dniu czynisz mnie bardziej godnym tych prostych, wielkich i nieoczekiwanych darów, posyłasz mi to niebo, to ciało i życie, i rozum, chroniąc mnie przed napadem nadmiernych pragnień. Są chwile, kiedy jestem bezsilny, są chwile, kiedy się budzę i dążę do celu. Ale ty ukrywasz się przede mną. Dzień po dniu czynisz mnie bardziej godnym ciebie, chroniąc przed napadem słabych, nierealnych pragnień.

15

Jestem tutaj, aby ci zaśpiewać. W twoich pokojach mam swój kąt. W twoim świecie nie ma dla mnie zajęcia. Moje zbędne życie może się wypowiedzieć tylko w prostych dźwiękach. Kiedy nadejdzie godzina cichej służby dla ciebie w ciemnej świątyni o północy, o, pozwól mi, mój panie, abym pojawił się przed tobą z hymnem! Kiedy w porannym wietrze zabrmi złota harfa, uszczęśliw mnie swoją obecnością.

16

Zostałem zaproszony na światową ucztę i życie moje zostało pobłogosławione. Moje oczy ujrzały i uszy usłyszały. Przyszło mi zagrać na tej uczcie i zrobić to najlepiej, jak umiałem. Teraz pytam: czy nadeszła ta chwila, abym wszedł i zobaczył twoje oblicze, i przyniósł ci w ofierze moje pokorne pozdrowienie?

17

Wciąż czekam na łaskę, aby oddać się

w jego ręce. Oto dlaczego jestem winny tak wielu zaniedbań. Przyszedł do mnie z przepisami i prawem, żeby związać mnie mocno, ale im wszystkim uciekam, ponieważ czekam tylko na łaskę, aby w końcu oddać się w jego ręce. Ludzie mnie potępiają i nazywają obojętnym, wiem, że mają rację. Dzień targowy się skończył, robotnicy są już wolni. Ci, którzy na próżno mnie wzywali, oddali się w gniewie. A ja czekam tylko na łaskę, aby w końcu oddać się w jego ręce.

18

Chmury się ułożyły piętrami i światło znika. Dlaczego, miłości moja, każesz mi czekać samotnie w drzwiach? W czasie prac południowych stoję w tłumie, ale w ten pochmurny, cichy czas należę tylko do ciebie. Jeśli nie ukazesz mi swojej twarzy, jeśli mnie odrzucisz, nie wiem, jak spędzę te długie, deszczowe godziny. Patrzę na daleką ciemność nieba i, łkając, moje serce błąka się razem z niespokojnym wiatrem.

19

Jeśli będziesz milczeć, napętnię swe serce twoją ciszą i oddam się jej. Będę wstuchiwać się w ciszę, podobną gwiazdzistej nocy, nie zamykając oczu i z pokorą skłaniając głowę. Rano nieuchronnie nadejdzie, ciemność zniknie i twój głos spłynie z nieba złotymi strumieniami. I twoje słowa zabrzmiają jak pieśni z każdego gniazda moich ptaków, i twoje melodie zakwitną w leśnych zagajnikach.

20

Kiedy zakwitł lotos, moje myśli błądziły daleko i o nim zapomniałam. Mój koszyk pozostał pusty, a kwiat nieknięty. Chwilami pierś mi wypętniała smutek i budziła się z drzemki, i w południowym wietrze wyczuwałam jakiś słodki zapach. Ta ledwo wyczuwalna słodycz przeszywała moje serce tęsknotą i wydawało mi się, że był to gorący powiew lata, oczekującego na inkarnację. Nie wiedziałam wtedy, że była tak blisko, że była we mnie, i że ta doskonała słodycz rozkwitła w głębi mego własnego serca.

21

Muszę wysiąść z łódki. Niestety, godziny wolno ciągną się na brzegu! Wiosna rozkwitła i ukryła się. I oto z ciężarem uschniętych, niepotrzebnych kwiatów, czekam i tęsknię. Fale są niespokojne, a na ocienionej ścieżce, trzepocząc, spadają żółte liście. Jakaż pustka! Czy nie czujesz falowania w powietrzu, echa dalekiej pieśni, dobiegającej z tego brzegu?

22

W głębokim zmierzchu deszczowego lipca bezsestnie kroczysz, cichy jak noc, ukrywając się przed wszystkimi. Dzisiaj poranek zamknął oczy, obojętny na natręczywe wezwania burzliwego wschodniego wiatru i gęsta zasłona przestroniła wiecznie lśniące błękitne niebo. Pieśni lasów zamilkły, a drzwi domów zamknięto. Jesteś samotnym wędrowcem na tej opustoszałej ulicy. O, mój jedyny przyjacielu, mój ukochany, drzwi do mego domu są otwarte, nie mijaj ich, jak sen.

23

Nie ma cię w domu w tę burzliwą noc, mój przyjacielu! Jakaż ścieżką miłości podążasz? Niebo jęczy w rozpacz. Nie mogę spać tej nocy. Nie raz otwierałam drzwi i patrzyłam w ciemność, mój przyjacielu! Nic nie zobaczyłam przed sobą. Gdzie się ukryła ścieżka do ciebie? Czy to ty na ponurym

brzegu czarnobrzazowej rzeki, na odległym skraju ponurego lasu, spieszysz do mnie w głuchej ciemności, mój przyjacielu?

24

Gdy zgaśnie dzień, gdy ptaki przestaną śpiewać, gdy wiatr się zmęczy, okryj mnie welonem mroku, jak okryłeś ziemię płaszczem snu i delikatnie zamknąłeś płatki lotosu o zmierzchu. Z wędrowca, który osłabł przed końcem podróży, ma pustą sakwę, ubranie w strzępach i pokryte kurzem, zdejmij wstyd i nędzę, i pod osłoną twojej cichej nocy odnów go jak kwiat.

25

W tę noc spokojnie zasną, całą nadzieję pokładając w tobie. Nie zmuszaj słabnącej duszy, by skromnie ci służyła. To ty zaraz wolał nocy na zmęczone oczy dnia, by wraz z przebudzeniem ożywić je nową radością.

26

Przyszedł i usiadł przy mnie, ale się nie obudziłem. O, biada mi! O, jak twardy miałem sen! Przyszedł w ciszy nocy, w rękach miał harfę i moje sny wypełnił swoją melodią. O, dlaczego moje noce są tak marne! O, dlaczego nie widzę tego, którego oddech dotyka mnie we śnie?

27

Światło! Gdzie jest światło? Rozpal je ogniem pragnienia! Nie pęga w lampie płomyk, takie jest twoje przeznaczenie, serce! Ach, śmierć byłaby dla ciebie najlepsza! Niedola puka do twoich drzwi i mówi, że pan twój nie śpi i wzywa cię na miłosną schadzkę w ciemnościach nocy. Niebo jest w chmurach, deszcz pada nieustannie. Nie wiem, co mnie niepokoi, nie wiem, co ze mną się dzieje. Piorun, który błysnął przed chwilą, uczynił ciemność jeszcze większą, a moje serce błądzi na ścieżce, którą prowadzi mnie muzyka nocy. Światło! Gdzie jest światło? Rozpal je ogniem pragnienia! Wzmaga się burza, szaleje wiatr. Noc jest czarna jak węgiel. Rozświeć ciemności! Zapal pochodnię miłości swoim życiem!

28

Ciężkie są te kajdany, ale serce wypełnia smutek, kiedy próbuję je zerwać. Wiem, jak bezcenne skarby są w tobie ukryte i że jesteś moim najlepszym przyjacielem, ale nie mam dość siły, by pozbyć się śmierci, które wypełniają mój dom. Okrywa mnie całun pyłu i śmierci. I choć go nienawidzę, noszę go z rozkoszą. Moje grzechy są nieprzebrane, winy wielkie, intymny mój wstyd ciężki, ale kiedy przychodzę do ciebie, szukając ocalenia, tak bardzo pragnę, byś mojej modlitwy wysłuchał.

29

Ten, który we mnie mieszka, płacze w lochu. Wznoszę dokoła niego mur, a kiedy rośnie do nieba, tracę sens swojego istnienia. Jestem dumny z wysokości muru. Piaskiem i gliną zalepiam najmniejszą w nim szczelinę, i tracę z oczu sens swojego istnienia.

30

Samotnie wyszedłem na spotkanie. Ale kto idzie za mną w milczącej ciemności nocy? Skręcam, żeby mu uciec. Na próżno. On wzniesia kurz swoją stopą, dotacza swój donośny głos do każdego słowa, jakie wypowiadam. To moje małe „ja”, mój panie, które nie zna wstydu. Lecz ja wstydzę się podejść do twoich drzwi w jego obecności.

31

– Więźniu, powiedz, kto zakut cię w kaj-

dany? – Mój mistrz – odpowiedział więzień. – Myślałem, że przewyższę wszystkich na świecie bogactwem i potęgą, więc ukryłem w swoim skarbcu wszystkie pieniądze mego pana. Kiedy sen mnie zmorzył, położyłem się na postaniu przygotowanym dla mego pana i, obudzwszy się, zobaczyłem, że jestem więźniem własnego skarbcu. – Więźniu, powiedz mi, kto kuł ten niezniszczalny łańcuch? – Ja sam – odpowiedział więzień. – Ja sam kułem go troskliwie. Myślałem, że moja niezwykła moc pokona cały świat, a sam będę wolny. I dzień, i noc pracowałem nad łańcuchem, wypalałem go w płomieniach i uderzałem w żelazo z okrutną, potężną siłą. A kiedy skończyłem pracę i ogniwa łańcucha zostały nierozzerwalnie z sobą połączone, zobaczyłem, że to on mnie uwięził.

32

Wszelkimi sposobami próbuję utrzymać mnie w swoich rękach ci, który mnie kochają na tym świecie. Nie taka jest twoja miłość. Choć jest silniejsza od ich miłości, pozostawia mi wolność. Oni, żebym o nich nie zapomniał, nigdy mnie nie opuszczają. Mija dzień za dniem, a ty wciąż pozostajesz niewidzialny. Chociaż nie przyzywam ciebie w modlitwie, chociaż nie noszę ciebie w swoim sercu, twoja miłość do mnie czeka na moją miłość.

33

Gdy nadszedł ranek, przyszli do mego domu i powiedzieli: – Zajmiemy tylko mały kąt u ciebie. – Powiedzieli: – Pomożemy ci służyć twojemu bogu i pokornie przyjmujemy najmniejszą część jego miłości. – Usiedli i siedzieli cicho i w pokorze. Ale w ciemności nocy brutalnie włamali się do mojej świątyni i z bezbożną chciwością wykradli ofiarę, złożoną na świętym ołtarzu.

34

Niech pozostanie przy mnie tylko to, co najmniejsze, abym mógł powiedzieć: Jesteś wszystkim. Niech pozostanie tylko najmniejsza część mojej woli, abym mógł czuć wszędzie twoją obecność i przychodzić do ciebie z każdą moją biedą, i w każdej chwili ofiarowywać ci moją miłość. Niech pozostanie przy mnie tylko to, co najmniejsze, abym nigdy nie mógł ciebie ukryć. Niech pozostanie przy mnie tylko to, co najmniejsze z moich więzów, abym wciąż był zespolony z tobą więzami twojej miłości.

35

Gdzie myśl jest nieustraszona, a brew podniesiona dumnie, gdzie wiedza jest wolna, gdzie świat nie jest podzielony na klaki, gdzie słowa pochodzą z głębi prawdy, gdzie dążenie bezustannie wyciąga ramiona ku doskonałości, gdzie jasny strumień rozumu nie błądzi po jałowej i martwej pustynie nawyków, gdzie umysł jest skierowany ku wielkim myślom i czynom – w takim niebie wolności, mój panie, niech się obudzi mój kraj.

36

Oto moja gorąca modlitwa, panie. Skrusz, skrusz do końca nędzę mego serca! Daj mi siłę, abym lekko dźwigał radości i smutki. Daj mi siłę, abym mógł pokochać owoce mej pracy. Daj mi siłę, abym nigdy nie odrzucił biednych i nie zgiał kolan przed wyniosłą władzą. Daj mi siłę, abym uniósł się duchem ponad marność dnia. I daj mi moc, bym z miłością podporządkował się twojej woli.

37

Myślałem, że moja wędrówka dobiegła cd. str.26

końca, wyczerpały się siły, droga zamknięta, skończyły zapasy i nadszedł czas, by szukać schronienia w milczącej ciemności. Ale widzę, że twoja wola jest inna. Kiedy na ustach umierają dawne słowa, nowe wyrwywają się z serca, a w miejscu, gdzie kończy się stara ścieżka, otwiera się nowa przestrzeń.

38

Pragnę ciebie, tylko ciebie. Niech moje serce powtarza to bez końca. To, co mnie mami dniem i nocą, fałszywe jest i próżne. Jak noc ukrywa w mroku prośbę o światło, tak w głębi mej istoty rozlega się wołanie: Pragnę ciebie, tylko ciebie! Jak burza zdążając do celu, ze wszystkich sił walczy z ciszą, tak bunt mój powstaje z miłości i wzmaga się jego wołanie: Pragnę ciebie, tylko ciebie.

39

Kiedy zapiekłę się w mym sercu, spłył na mnie ulewą miłosierdzia. Kiedy przestał się cieszyć życiem, wleję w nie strumień pieśni. Kiedy okropny grzechot wypełni moje marne dni, przyjdź do mnie, władczo ciszy, z darem wytnienia. Kiedy moje serce złęknie się i schowa, wyważ drzwi, mój królu, i zjaw się w swoim majestacie. Kiedy chore żądze odbiorą mi rozum, ześlij na mnie, dobry i czujny, twe błyskawice i gromy.

40

Przez wiele dni, mój panie, nie spadła kropla deszczu na moje złaknione sercu. Nieboskłon jest czysty. Ani jeden subtelny obłok go nie zachmurzył i nie ma na nim najmniejszej mgiełki deszczu. Niech zejdziesz, jeśli będzie taka twoja wola, gniewny wichur, czarny jak śmierć i oślepi biciami piorunów niebo od krańca do krańca. Ale rozwieję, mój panie, ten przejmujący, cichy żar, nieruchomy, trawiący i bezlitosny, spalający serce nieutuloną rozpaczą. Niech zstąpi z wysokości chmura miłosierdzia, podobna do pełnych łez oczu matki w dniu gniewu ojca.

41

Dlaczego stoisz za innymi, mój ukochany, ukryty w cieniu? Oni cię potrącają na zakurzonej drodze, nie zauważając, mają za nic. Od dawna czekam na ciebie z utęsknieniem, przygotowałam dla ciebie ofiarę, lecz przechodnie biorą moje kwiaty jeden po drugim i koszę mój jest prawie pusty. Ranek zmienił się w południe. O zmierzchu moje oczy są już ciężkie i senne. Wracający do domu patrzą na mnie i uśmiechają się, a ja płonę ze wstydu. Siedzę jak żebraczka, zakrywając twarz chustką, i kiedy mnie pytają, czy na kogoś czekam, opuszczam oczy i nic nie odpowiadam. O, jak to powiedzieć, że czekam na ciebie, że obiecałeś przyjść. Jak wypowiedzieć, wbrew swemu wstydu, że przynoszę ci w darze tylko biedę? Ach, ukryłam tę dumę w kryjówce swojego serca. Siedzę na trawie i nie spuszczam oczu z nieba i marzę o blasku twojego nagłego zjawienia się: zaświeci światło, złote wiatraki będą się kręcić nad twoim rydwanem, i wszyscy w oszołomieniu stać będą przy drodze, gdy zobaczą, że zstąpisz z rydwanu, aby podnieść z ziemi i posadzić przy sobie tę oberwaną dziewczynę, drżącą ze wstydu, ale i dumy, podobną kotyluszącej się lianie na letnim wietrze. Kolorowe procesje przechodzą obok z hałasem i śpiewem. Czy chcesz wciąż, milczący, stać za innymi, ukryty w cieniu? A ja mam czekać, płakać i marnieć, nadaremnie pragnąc?

42

Wczesnym rankiem szepnęliśmy do siebie, że popłyniemy łódką tylko ty i ja, i żadna dusza na świecie nie dowie się o tej wędrówce bez końca i bez celu. Na tym bezkresnym oceanie, w twoim cichym, uważnym uśmiechu, moje pieśni popłyną wolno, jak fale niezwiązane słowem. Czy już nie pora? Wciąż pracujesz? Oto już wieczór zszedł na ziemię i w słabym świetle dnia morskie ptaki lecą do swoich gniazd. Czy ktoś wie, kiedy opadnie tańcuch i łódka, jak ostatni promień zachodzącego słońca, i zniknie w nocy?

43

Nie czekałam na ciebie, a ty, mój królu, wszedłeś do mego serca nieproszony, jak ktoś z nieznanego mi tłumy i ulotne chwile mego życia utwierdziłeś pieczęcią wieczności. A dzisiaj, kiedy przypadkiem je wspomniłam i zobaczyłam twój znak, zobaczyłam, że są prochem, zmieszane z radościami i smutkami moich zwykłych dni. Nie odwróciłeś się od moich niefrasobliwych zabaw, a kroki, jakie usłyszałam w dziecięcym pokoju, są jak echo idące od gwiazdy do gwiazdy.

44

Oto ma radość: czekać przy drodze, patrzeć jak cień ściga światło, i nadciąga ulewa. Obłoki, światów nieznanych pozostańcy, witają mnie i pędzą przed siebie. Cieszy się moje serce, oddech wiatru jest słodki. Od wschodu do zachodu siedzę na progu domu, wiem, że nadejdzie chwila, gdy cię szczęśliwa zobaczę. Uśmiecham się i śpię. Zapach nadziei unosi się w powietrzu.

45

Czy nie słyszałeś jego cichych kroków? On idzie, idzie, idzie. W każdej chwili, w każdym stuleciu, każdego dnia i każdej nocy on idzie, idzie, idzie. Śpiewałam wiele pieśni, smutnych i radosnych, w każdej z nich był ten refren: on idzie, idzie, idzie. W pachnące dni słonecznego kwietnia, leśną ścieżką, on idzie, idzie, idzie. W mroku deszczowych lipcowych nocy, w ryczącym rydwanie chmur on idzie, idzie, idzie. W smutku po smutku, odciska stopy na moim sercu, od ich dotyku zapala się we mnie radość.

46

Nie wiem, z jak daleka idziesz mi na spotkanie. Twoje słońce i gwiazdy nie mogą cię ukryć przede mną. Przez wiele poranków i wieczorów słysząc było twoje kroki, a twój postaniek stukot do mego serca i potajemnie mnie wzywał. Nie wiem, dlaczego dzisiaj jestem tak niespokojna, dlaczego dreszcz radości ogarnia moją duszę. Czyżbym skończyła pracę? Czuję w powietrzu subtelny zapach twej słodkiej obecności.

47

Prawie cała noc zeszła na daremnym oczekiwaniu na niego. Boję się, że o świcie zapuka do moich drzwi, kiedy spać będę z wyczerpania. Och, przyjaciółki moje, otwórzcie mu drzwi, nie przeszkadzajcie mu wejść. Jeśli dźwięk jego kroków mnie nie obudzi, nie budźcie mnie i wy, proszę was. Nie chcę, by mnie obudził dźwięczny chór ptaków lub burzliwy wiatr o brzasku. Pozwólcie mi spać spokojnie, nawet jeśli mój pan nagle zjawi się w moich drzwiach. O, mój śnie, drogi śnie, czekający tylko na jego dotyk, by zniknąć! O, moje zamknięte oczy, które otwierają się tylko na światło

jego uśmiechu, kiedy staje przede mną, jak sen, który powstał z ciemności snu! Niech zjawi się przede mną, jako pierwszy ze wszystkich światów i kształtów. Pierwszy dreszcz radości mojej przebudzonej duszy niech pochodzi z jego oczu! I niech powrót z ciemności snu będzie powrotem do niego.

48

Z niepokojem szliśmy drogą, na nic nie zwracając uwagi. Poranne morze ciszy pokryło się falami świegotania ptaków. Kwiaty wesoło obsypały pobocze i strumienie złota wypływały ze szczylin chmur. Nie śpiewaliśmy uciśnionych pieśni, nie bawiliśmy się. Nie poszliśmy do wioski na targ. Szliśmy milcząc, nie śmiejąc się. Szliśmy coraz szybciej. Upływał czas, a myśmy wciąż przyspieszali kroku. Słońce było w zenicie i gołębie gruchały w cieniu. Zeschłe liście wirowały w gorącym powietrzu południa. Pastuszek drzewa i śnił w cieniu figowego drzewa i ja położyłem się na trawie u źródła, żeby dać odpocząć zmęczonym członkom. Moi towarzysze wędrówki śmiali się ze mnie. Dumnie unieśli głowy i podążyli dalej. Ani raz nie obejrzeni się, nie usiedli, żeby odpocząć. Zniknęli w oddali w dusznej niebieskiej mgiełce. Szli po wzgórzach i dolinach, i mijali odległe kraje. Chwała tobie, bohaterski oddziale, na twej niekończącej się drodze! Kpiny i obelgi prowokowały mnie do powstania, ale im nie uległem. Rozświetlony w słońcu zielony zmierzch cicho wlewał się w moje serce. Zapomniałem o celu mojej wędrówki i bez walki pogrążyłem się w płataninie cieni i pieśni. Kiedy wreszcie ocknąłem się z drzemki i otworzyłem oczy, zobaczyłem, że stoisz nade mną, i uśmiechasz się do mnie. Niepotrzebnie się martwiłem, że moja droga będzie długa i męcząca i że trudno będzie dotrzeć do ciebie.

49

Zstąpisz z tronu i stanąłeś u progu mojej chaty. Byłam sama, śpiewałam i moja pieśń dotknęła twoich uszu. Zstąpisz z tronu i stanąłeś u progu mojej chaty. W twoim patacu jest wielu wspaniałych śpiewaków i bez przerwy rozbrzmiewają w nim pieśni. Ale moja prosta, smutna piosenka obudziła twoją miłość. Zmieszała się z wielką muzyką świata, a ty z kwiatem jako nagrodą przyszedłeś i stanąłeś u progu mojej chaty.

50

Chodziłam wiejską drogą, od drzwi do drzwi, żebrząc, kiedy jak sen cudowny zjawił się twój złoty rydwan, o, królu królów! Obudziłeś we mnie nadzieję, pomyślałam, że nadszedł kres moich nieszczęsnych dni. Stałam, oczekując jałmużny, jak bogactwa, które zostanie wokół mnie rozrzucone. Rydwan zatrzymał się przy mnie. Twój wzrok padł na mnie i zszedł z rydwanu, uśmiechając się. Czutałam, że w końcu w moim życiu uśmiechnęło się do mnie szczęście. Lecz ty wyciągnąłeś swoją prawą dłoń i powiedziałeś: „A co ty mi dasz?” O, jakiż to był królewski żart: wyciągnąłeś dłoń i prosić o dar żebraczkę! Posmutniałam, stałam w zakłopotaniu, a potem wyjęłam ze swojej torby maleńkie ziarenko i podałam ci je. Jakież wielkie było moje zdziwienie, kiedy wieczorem, opróżniając swoją torbę, zobaczyłam na podłodze maleńkie złote ziarenko. Gorzko zapłakałam i żałowałam, że nie oddałam ci wszystkiego.

RABINDRANATH TAGORE
TŁUMACZYŁ MARIAN KISIEL

Rabindranath Tagore napisał *Gitanjali* w języku bengalskim. Na ten zbiór, który powstawał w latach 1908-1910, złożyło się 157 utworów, później ograniczonych do 103 w autorskim przekładzie na język angielski. Wydanie bengalskie ukazało się w roku 1910, wydanie angielskie – dzięki India Society of London – dwa lata później ze wstępem Williama Butlera Yeatsa. Bengalskie i angielskie wydania różnią się od siebie. Jak podaje Amaresh Datta w *Encyclopaedia of Indian Literature*, do wydania angielskiego weszło 51 wierszy z edycji bengalskiej, a także wiersze Tagorego z innych tomów: osiemnaście z *Gitimalya*, szesnaście z *Naivedya*, jedenaście z *Kheya*, trzy z *Shishu* i po jednym z *Ghaitali*, *Smarana*, *Kalpana*, *Utsarga* i *Achalayatan*.

We wstępie do wydania angielskiego irlandzki poeta napisał: „Po całych dniach nosiłem z sobą wszędzie rękopis tych przekładów – czytałem je w wagonach kolejowych, na platformach omnibusów i w restauracjach; niejednokrotnie musiałem zeszyt zamykać, żeby jakiś człek obcy nie dostrzegł wzruszenia na mej twarzy”. W roku 1913 za swoje dzieło Tagore otrzymał literacką Nagrodę Nobla. W werdykcie Komitetu Noblowskiego podkreślono, że nagroda została przyznana „za pełne głębokiego przeczucia, oryginalne i przepiękne wiersze, w których z wyjątkowym mistrzostwem wyraziło się jego myślenie poetyckie, będące, według jego własnych słów, częścią literatury Zachodu”.

Tytuł poematu odwołuje się do dwóch sanskryckich słów: *git*, czyli „pieśń” i *anjali*, czyli „ofiara”, rozumiana jako podanie bóstwu prezentu ze złożonymi dłońmi. Stąd rozwinięty tytuł jest tłumaczony jako *Pieśni ofiarne*. Elżbieta Walter, śledząca recepcję Tagorego w Polsce, koryguje, że należałoby go tłumaczyć jako *Ofiarowanie pieśni* lub *Ofiara (z) pieśni*. Badaczka przypomniała, że wersję *Pieśni ofiarne* zaproponował pierwszy polski tłumacz Tagorego, Czesław Mossakowski, w wyimkach z *Gitanjali*, ogłaszanych dwukrotnie w roku 1916 i 1918 na łamach „Pro arte et studio”. Ale, przypomnijmy, że już w 1917 roku Maria Teresa Koernerówna tłumaczyła, że podtytuł należy rozumieć raczej jako „Śpiewna ofiara, Bogu złożona w nieśmiertelnym chramie przyrody”. Chramie, czyli – po prostu – w świętym gaju.

Gitanjali znamy, o ile dobrze liczę, tylko z ośmiu polskich tłumaczeń: Czesława Mossakowskiego (jako pierwszy zmierzył się z Tagorem, przełożył 11 pieśni), Marii Teresy Koernerówny (włączyła kilka swoich tłumaczeń z bengalskiego do szkicu *Tabindranath Tagore*), Jana Kasprowicza, Józefa Jankowskiego, Stefana Gawłowskiego, Juliana Przybosa, Roberta Stillera i Leszka Bartoszewskiego. Nieporównywalne były rangi talentów poszczególnych tłumaczy, dlatego też mamy w przekładzie znacznie różniące się wersje poematu (i jego poszczególnych części).

Tylko dwa tłumaczenia – Kasprowicza i Bartoszewskiego – są wydaniem pełnymi. Pierwsze ukazało się w roku 1918 (wznowienie w 1996), drugie w 2014. Obydwa są przekładami z wydania angielskiego. Pierwsze mówi młodopolską manierą, drugie jest bliskie dzisiejszej mowie. Inne polskie próby są wrywkowe, okazjonalne i w większym bądź mniejszym stopniu ulegające czasowi języka. Że angielszczyzna sprzed stulecia domaga się jednak dzisiaj uwspółcześnienia, świadczy edycja Marka Jeffreya Ruskina *Gitanjali (Song Offerings). A new English version* (2013). Dzisiaj jesteśmy także mądrzejsi o krytycznie komentowaną edycję poematu przez S.K. Paula (*The Complete Poems of Rabindranath Tagore's „Gitanjali”. Texts and Critical Evaluation*, 2006), wiemy jak należy poprawnie wydawać utwór owego – jak go nazwała Koernerówna – „ewangelicznego poety, w natchnionych hymnach stawiającego Boga”. Stawiającego w obydwu żywiołach: męskim (przynależnym mądrości) i żeńskim (przynależnym miłości).

Podjmując decyzję spolszczenia *Gitanjali* raz jeszcze, sięgnąłem do edycji innych, niepolkich. Zdumiał mnie zwłaszcza rosyjski przekład Mikołaja Puszesznikowa z 1914 roku, wymykający się archaizacjom i nadmiernemu patosowi. Przekład ten mocno zbliżony jest do języka mówionego. Dlatego poszedłem tropem jego interpretacji. *Gitanjali* – modlitewne pieśni ofiarowane – w moim spolszczeniu przywołują tradycyjną wersję tytułu rozwiniętego: *Pieśni ofiarne*. Nie dlatego, iżbym lekceważył sens właściwego tytułu, ale dlatego, by zachować ciągłość między pierwszym i ostatnim spolszczeniem.

W tej prezentacji przedstawiam pieśni 1-50.

MARIAN KISIEL

Grafika Eduard Nikonorow

Cezary Sikorski

KUCHNIA

W wielkich narracjach ojciec pojawia się nie-spodzianie. Daje niewiele. Produkuje niepokój. Jest specjalistą od niczego. Tylko czasem — w przypisach do ostatnich wydarzeń — jest kimś konkretnym, kto potrafi docenić przypadek i powierzchowność życia. W tej postaci czasem przypomina kogoś bliskiego, co zresztą wcale nie stanowi pocieszenia.

Matka istnieje wbrew ojcu. W natłoku i chaosie egzystencji, z trudem funduje drobnościami własną ontologię. Broni małego detalu nawet wtedy, gdy zawodzą wielkie encyklopedie. W jej perspektywie zdarzenia błahe — czy wręcz niedostrzegalne — uzyskują logiczne uzasadnienie. Jest bowiem przeciwieństwem między czymś a niczym. Samą sobą dowodzi prymatu szczegółów nad całością. I nawet, gdy nie mówi, to i tak pyta, jak mogłyby istnieć te wszystkie wielkie historie, gdyby nie chaotyczne cząstki, z których się składają? Tak — tylko tam, gdzie pojawia się matka, szczegół zamienia się może w historię. Być może bez niej nie byłoby żadnej opowieści. I nigdy fabuła nie płynęłaby z byle jakiego drobiazgu.

Jest jeszcze jedna okoliczność, która odróżnia ojca od matki. O ojcu niby zawsze można pomyśleć. Jak to o niczym. Lecz trudno zbudować zmysłowy dowód na istnienie niczego. Dlatego ojciec — nieokreślony i wydumany — pozostaje po stronie niebytu, gdzie nasze myśli drążą temat nieskończoności i ostateczności. Tymczasem matka po prostu jest. I udowadnia samą sobą, że życie jest jednak możliwe.

*

Może dlatego matka preferuje czas terazniejszy. Ten szczególny, w którym wszystko dzieje się tu i teraz. I nigdy się nie spełnia. Matka wchodzi lub już od dawna jest w kuchni. Stoi na szeroko rozstawionych nogach. Ma kraciastą spódnicę i biały podkoszulek na ramiączkach. Nikt nie pamięta, jak pachnie, gdy spocona zagniata ciasto na wielkiej — pomalowanej ultramaryną — dębowej stolnicy. Lecz trwają aromaty kuchni, którą ożywia jej energia. Niezniszczalna jest przecież ta substancja, która wreszcie transformacji smaku i zapachu. Smażona na smalcu czosnkowa cebula, która walczy ze słodkim aromatem wieprzowych skwarków. Biały, kwaskowy ser, który tworzy galicyjską kompozycję z oparami gotowanych ziemniaków. Drobną pył suchą mąki i wciąż powiększająca się masa ciasta zarabianego na wodzie i jednym jajku. I wreszcie owo rozpostarte w czasie napięcie pomiędzy — czekającymi na swoją kolej — martwymi rzędami zamkniętego w cieście farszu i predystynacją kartofli, mąki, cebuli i sera, spełnione w formie wyjmowanych właśnie z wrzątku — spowitych parą niczym zmarłych chwastów — ruskich pierogów.

*

Ojciec ma zdanie na każdy temat. Także kuchni. To według ojca kuchnię wyzwala Armia Czerwona. W siódmym roku wojny — w napięciu, które wśród żyjących wywołuje wiosenne przesilenie — okrąży ją z trzech stron. Najpierw od południa zbliża się do niej przez Aleję Wiśniową, która aż do Wielkiej Nocy roku 1945 wciąż nazywa się — *Kirsch Allee*. Wzdłuż tej ulicy na kilkanaście tygodni stabilizuje się linia frontu.

Ostrzał z broni lekkiej, średniej, jak również z haubic ustawionych na wprost — prowadzony przez noce i dni — zamienia we wzgórze i doliny wielkie kamienice przylegające do niej od północnej strony. Opór obrońców jest jednak zaciekle, albowiem lęk i bohaterstwo mieszą się w nim w należytych proporcjach.

Do nacierających dość szybko dociera, że kuchnię najłatwiej będzie zdobyć przez przyczółki po jej wschodniej stronie. To dlatego główne siły — w wymęczonych godzinach przedświt — przenoszone są do masywnych kamienic wypełniających obszerny kwartał wzdłuż *Krankhaus Strasse*. Tam, w ordynatorskich apartamentach i w szpitalnych salach otulonych grubymi murami z czerwonej cegły — których przeznaczenie ulega szybko zapomnieniu — mieści się teraz cała logika i sztuka operacyjna wojsk wyzwolicielskich. Niemalże z marszu rugowane są wszelkie oznaki starego porządku. Laboratoria — pełne wymyślnych biur, menzur i fantazyjnych szklanych chłodziń — rozstrzelują się bez wyraźnej przyczyny, w salę operacyjną trafia odwetowy pocisk móżdziejowy, a korytarze i windy wypełnia fetor wojennych toalet. Rychło mroźny wiatr hula po wnętrzach bez drzwi i okien. Ośnieżeni oficerowie grzeją się przy ogniskach z orzechowych mebli, które do apartamentów na *Krankhaus Strasse*, na długo przed wojną, przywieziono z modnych, podberlińskich stolarni. Z zamienionego w warownię szpitala łatwo przebieć się na zachód, by zamknąć dostęp do kuchni od strony ulicy *Sztabowej*, którą póki co zwie się nadal — *Menzel Strasse*.

Przez trzy miesiące szturm i oblężenia nie udaje się jednak okrążyć kuchni ze wszystkich stron. Od zachodu — wprost z ulicy o wdzięcznej nazwie *Strasse der SA.*, która już niedługo nazywać się będzie *Powstańców Śląskich*, a później *Armii Krajowej* — kuchnia wciąż otrzymuje posiłki i regeneruje się na tyle sprawnie, iż dla wszystkich stanowi wzór bezprzykładnego oporu oraz wzorcowej nienawiści wobec nadchodzących ze wschodu porządków.

W wielką sobotę roku 1945 o świcie 750 radzieckich bombowców zamienia miasto w ognisko. Pod osłoną ognia i dymu oddziały szturmowe 294 Dywizji Strzeleckiej przechodzą Aleję Wiśniową aż do rogu naszej ulicy i zajmują pozycje na drugim piętrze wyrafinowanej posesji, w której nawet wejście dla służby — od podwórza — ozdobione jest stiukami oraz marmurem posadзки. Numer tej posesji nie ma znaczenia, gdyż nie przetrwała kilku kolejnych dni oblężenia miasta. Nie zważając na to — zamaskowani przez dym obywatele radzieccy — wchodzą do niej od frontu, usadawiają w oknach ciężkie kaemy, a na balkonach kotwiczą dwa działka przeciwpancerne. Tuż przed południem, kiedy dymy nieco obniżają się, widzą przed sobą wciąż gładki beton jezdni oraz ogród z dwiema starymi lipami, pomiędzy którymi przy *Wölflstrasse* znajduje się wejście do kamienicy pod numerem 16. No a tuż obok niej, na lewo od drzwi wejściowych, tuż przy sypialni ojca i matki — w posesji, której egzystencja okazuje się tak krótka — znajdują się główne gniazda oporu wroga. Na tym skromnym obszarze — rozległym na kilka arów — koncentrują

się teraz działania wojenne. Należy dodać, że to tam — gdzie poprzez boczne wejście do piwnicy wciąż napływały od zachodu wraże posiłki — wciąż kultywowane są rzymsko-germańskie tradycje oraz trwa, w stanie wciąż zdającym do użytku, kuchnia.

*

Zapewne matka widzi to nieco inaczej. Dostrzega małą ważną rolę sierżanta Wasilija Wasiliewicza Wasiliewa, który — razem z innymi brudnymi i wymęczonymi żołnierzami 1 Frontu Ukraińskiego — dociera na *Wölflstrasse* na piechotę. W *Rossijskim Gosudarstwiennym Istorичесkim Archiwie* w Sankt Petersburgu — wciąż znajduje się anonimowa fotografia sierżanta Wasiliewa, który ciągnąc ciężki karabin na kółkach, skręca w prawo z Alei Wiśniowej w *Wölflstrasse*, obok dwóch przetłaczanych na wpół gazowych latarni. Wszyscy żołnierze na fotografii odwróceniem są tyłem, więc nie widać zmęczenia na ich brudnych od ceglanego pyłu twarzach. Trudno rozpoznać na niej sierżanta Wasiliewa, chyba że po okrągłych plecach i przygarbieniu, które nadaje jego sylwetce charakterystyczny wygląd. Sierżant wydaje się przez to dużo starszy niż jest w tej chwili, na zdjęciu. Pochodzi z inteligentkiej rodziny lokalnych dziennikarzy z Charkowa. Ojca pamięta jak przez mgłę, bo też straszna mgła zalega w październiku 1934 roku, gdy Wasilij — mimo że czeka przez całą noc przy oknie — nie widzi powrotu ojca. Matka pozwala mu się wyptakać, a potem zmienia mieszkanie i zawód. Zostaje tokarzem narzędziowym, mieszkając w przyzakładowym hoteliku, ze skromnymi kartkami żywnościowymi, które dają szansę na przeżycie wdowie z jednym dzieckiem. To przy niej budzi się głód w nocy i tylko z opowieści słyszy o ludożercach z Uspien-ska i Sudanki.

Życie nie deprawuje go, gdyż wciąż śmierć mija go z oddali. Może dlatego pozostaje człowiekiem roztropnym, niekiedy dobrym. Nie kradnie zachłannie, bo wie, że tylko cenne drobiazgi mogą z nim dotrzeć z powrotem — do Charkowa. Podobnie z wojennym seksem. Nie gwałci Niemek, bo nie lubi przemocy, poza tym boi się chorób, które zasiał wewnątrz alemańskich kwiatów jego współplemieńcy. Ponadto docenia przeciwnika, więc jeńców dobija prawie zawsze bez specjalnego okrucieństwa.

Miasto, które akurat zdobywa, podoba mu się. Jest bogate i zielone. Domy stoją w nim gęsto, więc jest gdzie się ukryć, a wrogowie znajdują się tak blisko, że niekiedy — strzelając do nich — zapamiętuje rysy ich twarzy.

Przez całą wielką sobotę jego oddział ostrzeliwuje frontowe pokoje w skrajnym budynku, na rogu *Kirsch Allee* i *Wölflstrasse*. Z okien wypadają resztki stolarki, ogień trawi górne piętra. A kiedy haubiczne pociski kruszą wspierające budowlę mury na parterze — zapada się dach. Spadając w dół, zabiera ze sobą stropy trzech pięter wraz ze ścianami działowymi i plutonem wsparcia strzelców alpejskich, którzy razili swoje ofiary z wysokości poddasza. Niemalże w tym samym momencie, gdy pod gruzami znika ostatnia — ozdobiona wesołą szarotką — *Bergmütze*, wzmaga się zachodni wiatr, któ-

ry wydmuchuje dym i smolne iskry w stronę czerwonoarmistów. Sierżant Wasiliew wyteża wzrok, by ogarnąć sytuację, lecz niczego nie widzi. Czuje za to smród palonego mięsa i lęk, że za chwilę wydarzy się coś, czego się nie spodziewa.

Tak jak wówczas, gdy doszedł go po raz pierwszy odór równie dotkliwy. Słodki, duszący zapach, który powraca niczym koszmar. Jest początek wojny. Wasiliew pilnuje pociągu wypełnionego przesiedleńcami. Mróz tężeje, a pociąg bez wyraźnej przyczyny już trzeci dzień stoi na boczniczy w okolicy Ługańska. Wokół cisza. Nie słychać nawet postękiwań wewnątrz wagonów. Mroźne powietrze skrzypi, gdy w zwolnionym tempie idzie wzdłuż boczniczy, otwiera drzwi i pozwala wylać wprost na tory wielodniową zawartość wiader z fekaliami. Drzwi za drzwiami. Wagon po wagonie. W ciszy. Bez słów. To wtedy właśnie z wrót jednego z wagonów wychyla się podrostek, który zamiast wiadra z gównem podaje mu słytywne zwłoki dwojga małych dzieci, prawie niemowląt, chłopca i dziewczynki i prosi, by Wasiliew pochował je gdzie bądź, w jakiejś dziurze nawet przy torach.

Sierżant ma wtedy dwadzieścia lat. Śmierć po raz pierwszy jest przy nim aż tak blisko. Czuje siłę, przeciwko której nic nie można wskórać, a smród sfermentowanego gówna zostaje przy nim na zawsze niczym stygmat śmierci. Bierze więc dzieci bez słowa i — ściskając lodowe truchetka mocno pod pachami — niesie oba w ciemność, aż do budynków stacyjnych, gdzie pozbywa się ich najszybciej jak potrafi — wrzucając je do kloaki. Śmierć odurza, a okrucieństwo oślepia. Więc staje się mrok. I ciemność, która trwa nadal. Podobna, tylko nieco inna od tej, która ogłusza go niczym łoskot walącego się budynku na rogu *Kirsch Allee* i *Wölflstrasse*. Mrok sprawia, że nikt nie wie, którądy można tu wejść i jak można stąd uciec. Świat znika. Fetor i kurz otumaniają. Z trudem dochodzi do niego, że Niemcy, którzy jeszcze żyją, właśnie uciekają w panice. I że jedni — którym udało się przedostać na zachodnią pierzeję budynków — biegną na zewnątrz i przez wejście dla służby chowają się w kuchni. A inni — którym drogę odcięły spadające belki stropowe — jeszcze żywi, choć niczym zombi oślepieni nienawiścią, biegną przed siebie bez pośpiechu, niczym roboty, ku zgubie, w stronę sierżanta, szukając zemsty. I nie wie Wasilij, że są już po drugiej stronie, że nie czują bólu, i że mimo postrzałów wbiegają na schody wiodące na piętro i jeszcze wyżej, tam gdzie kasta załoga cekaemów i przeciwpancernych działek, gdzie Wasilij Wasiliew odwraca się właśnie od ciemności balkonu i nadal nic nie widzi, a nawet nie słyszy tego Niemca, który mimo pulsującej rany na udzie chwytą go za włosy i jednym potężnym pchnięciem bagnetu przebija mu krtań, rozcina tętnicę szyjną i — zatrzymując ostrze na kościach kręgosłupa — prawie odcina mu głowę.

Sierżant umiera 2 kwietnia — tuż po pierwszej wiosennej pełni — a więc w wielką niedzielę, kiedy powraca życie i znów, przez całą wiosnę i lato, gardzimy śmiercią. Odchodzi przekonany, że nie ma innego świata, że w ogóle nie ma nic poza tym mrokiem i smrodem ciał palących się na rogu *Kirsch Allee* i *Wölflstrasse*.

*

Tymczasem dziesięć lat wcześniej święto zmarwychwstania nadchodzi później, w drugiej połowie kwietnia, kiedy pierwotna ekspansja wiosny zazwyczaj przekształca się w monotonną reprodukcję życia i zieleni.

Lecz póki co wiosna jeszcze nie nadeszła. W mieście wszyscy jej oczekują, lecz nadal jest zimno i szaro, bo na zachodzie Europy zalega zimny front. Od Alp aż do Paryża. Gdzie jeszcze w połowie maja Pola Elizejskie przykrywa gruba warstwa świeżego śniegu.

Tymczasem do maja jeszcze daleko. Zbliżają się święta. Pod koniec kwietnia 1935 roku w kuchni — w kamienicy pod numerem 16 przy *Wölflstrasse* — wciąż jeszcze unosi się delikatny, lecz trudny do usunięcia, spłot zapachów czosnku, goździków i szafranu. Choć nikt tu nie gotuje już żadnej potrawy na święto Paschy. Rodzina Rosenthalów, która jeszcze niedawno zajmowała prawie całe pierwsze piętro kamienicy pod numerem 16 nie czeka na pogromy. Przed kryształową nocą sprzedaje wszystkie udziały w *Rosenthaler Mühlenwerke*, spienięża kosztowności i stare meble, po czym wyjeżdża przez Belgię do Kanady.

Mieszkanie po Rosenthalach kupuje za niewielkie pieniądze — niezbyt poważany w mieście — Theo Eichborn, potomek znaczącego rodu lokalnych bankierów, który po przodkach nie dziedziczy rozmachu, więc pożycza raczej sumy drobne, tyle że na lichwiarski procent. W związku z tym w swoim fachu co rusz przekracza kolejne granice nieprzyzwoitości, co odzwierciedla się na jego twarzy: zbyt szerokiej, rozdzielonej wąskimi wargami i zbyt małymi oczami. Prawdopodobnie z tego samego powodu Theo jest człowiekiem ponurym, obdarzonym niezbyt wyszukany poczuć humoru. Zdarza mu się gubić wątek w opowiadanych w męskim gronie dowcipach. Często nadaje niezrozumiały dla innych sens przywoływanym historiom. Poza tym nadużywa alkoholu. No a wtedy zaczyna klepać po pupie pomoc kuchenną, z której żona Theo — Elisabeth musi w końcu całkiem zrezygnować.

Za to jego żona Elisabeth — z domu Litz, która otarła się o wykłady z zachodniej slawistyki na Uniwersytecie Fryderyka Wilhelma — ma wiele zdolności, którymi zjednuje bliskich, a jej pogoda ducha sprawia, że lubiana bywa nawet przez służbę. Ot — wcale nie musi, lecz uczy się dziergać i szyć. Na swoim *Singerze* wyczarowuje dla siebie i swoich przyjaciółek fantazyjne suknie z jedwabiu, na które zaleca wkładać wyłącznie robione własnoręcznie — długie aż za kolana — kardigany.

Ma też dwa duże niemieckie dogi, które nieustannie obślinają wszystkie krzesta i kanapy, jak również gości, nie wspominając o domownikach. Och! Z jaką delikatnością i gracją — godną argumentacji jakiegoś *privatdozenta* z katedry orientalnej filologii — potrafi przekonać wszystkich, że nie ma niczego miłszego w tych stworzeniach niżeli ich — jak to nazywała — *faflunienie*, czemu towarzyszy jej zdaniem produkcja *faflunów*, zwanych przez nią również z angielska *glutami*. I cieszy ją nieoczywista gra słów, w której przemawianie lub szczekanie — niewyraźne z powodu wadliwej konstrukcji narządów mowy — produkuje poza słowami, a więc niejako nadmiarowo, *fafluny* w całkiem nowym znaczeniu, owe bektolliwe szczenięcia, jak i abstrakcyjne słowa, które z istoty rzeczy nasycone być muszą śluzem oraz innymi formami trywialnie materialnymi. Radując się na tę pomysłowość dodaje — by utrwalić swoje intelektualne zwycięstwo nad opornymi wobec zjawiska *faflunienia* — że wystarczy sięgnąć do bogactwa językowego zachodnich Słowian, by cały ten problem przemienić w znaną dla wszystkich, a niekiedy nawet miłą niewyrobinemu podniebieniu, produkcję *gili* lub *baboków*. Czyli owych śląskich kóz,

które mogą być także straszdyłami ukrytymi w ciemnościach. W ten sposób oswoją ostatecznie zastygające na sprzętach oraz ubraniach gości psie smarki.

Ponadto jest bałaganianką, która kreuje wokół siebie radosny chaos. Nie potrafi przypomnieć sobie, gdzie położyła to, co dla innych może być ważniejsze niż dla niej. Jednocześnie pamięta o wszystkim, co w zasadzie nie ma większego znaczenia. Lecz wbrew pozorom jej świat podlega całemu szeregowi zasad, które tworzą zgraną całość. Elisabeth porządkuje bowiem rzeczywistość przekazując całej zewnętrzności radosne uniesienia z przyczyn bagatelnych, nierzadko krótkotrwałych. Nasyca codzienność miłosną czułością wobec wszelkiego szczegółu i lekceważonego z reguły drobiazgu. Na przykład dzieci, jej dzieci — ów ukochany drobiazg, sześciolatka Helena i czteroletni syn Adolf — uwielbiają ją i nie chcą bawić się z nikim innym — tylko z nią. Od rana do wieczora wciąż tylko z nią, bo tylko przy niej czują się jak małe smyki, skore do psot i wariactw. Czy dlatego, że jest niedojrzała, albo — co gorsza — infantylna?

Nic z tego. Zdziwiłyby każdego precyzyjne konstrukty jej myśli. Są tam mistyczne plany, w których rozpisane zostają na role rodzinne komediodramaty z nieodłącznym szczęśliwym zakończeniem. Historie te rozgrywają się w drobiazgowo powymyślanych dekoracjach jej wyobraźni, która nigdy nie próżnuje. Każdy aktor w tym teatrze jest traktowany nadzwyczaj poważnie. Nawet wciąż nieobecny Theo, który pojawia się przecież pod wieczór, nigdy nie jest zbyt późno, powraca dokładnie wtedy, gdy dzień spać musi wyraźna punta lub gdy ktoś, masywny i niewzruszony niczym praociec, wyciągnąć musi rodzinę z tarapatów. To dzięki temu dzieci każdego dnia znajdują w szafie bądź pod poduszką, na spacerze w parku lub w trakcie nauki muzyki, w zabawie lub podczas wieczornych ablucji coś drobnego, coś niedostrzegalnego, lecz przecież wyraźnego, co nadaje ich życiu nowy sens i sprawia, że każda ich chwila staje się tą jedną i najważniejszą; to dzięki temu Theo nie snuje się wciąż pomiędzy kantorem, dłużnikami, żyrantami, trasantami i trasatami, bankrutami i remitentami, i co rusz przechodzi na oświeconą i beztróską stronę życia, gdzie ma szansę — chociaż przez chwilę — wydobyć się ze świata idei oraz z alkoholowego natogu.

Niektórzy wścibscy plotkują o jej przedmażeńskich doświadczeniach, w których środki halucynogenne siasiadowały z niesforą trzodą wspierających ją finansowo kochanków, lecz Theo nie dopuszcza do siebie takich pogłosek. I choć być może jest w nich jakaś częśćka prawdy, Theo niczego nie wypomina. I nie ma nawet jednej rzeczy, którą miałby jej zapomnieć lub wybaczyć, bowiem Theo — ten ponury, flegmatyczny mężczyzna o posturze niedźwiedzia — jest od niej uzależniony znacznie bardziej niż od alkoholu. Wstuchany w niski tembr jej głosu, wciąż spragniony jej delikatnej skóry i pełnych kształtów — nie mógłby przeżyć ani jednego dnia, gdyby co wieczór nie poczuł obok swojej poduszki zapachu jej włosów.

Theo lubi więc wracać do domu, a potem nie mówić lub nic nie mówić — tylko patrzeć jak chodzi z kąta w kąt, jak kręci się wokół siebie i krząta się po mieszkaniu. Lubi po pracy — gdy już pozbiera odsetki od wszystkich pożyczek i długów — zająć na tyły mieszkania, do kuchni, sięść bez słowa i czekać spokojnie na kielszek anizowej wódki, którą Elisabeth podaje mu razem z plastrem krwistej kaszanki lub z kminkową od.

kielbasą. Bo Theo kocha równie mocno swoją żonę, jak wyczarowywane przez nią zimne przekąski i dania prosto z pieca — gorące tak, że aż parzą. Wraca więc co wieczór do domu, by poczuć jak zdobywane przez niego w nerwowej walce abstrakcyjne odsetki zamieniają się w jej rękach w przytulne zapachy i kojące smaki. Tęskni za kuchnią, po której Elisabeth krząta się niczym westalka. Czuje się w niej bezpiecznie.

Siedzi więc Theo w kuchni, póki i ona z niej nie wyjdzie. Długo, czasem aż do środka nocy, bo Elisabeth lubi krzątać się po niej i gotować, gdy na krzesle przy wielkim stole Theo wypija kolejny kieliszek anyżówki lub po prostu drzemie. Nikt tu się wieczorami nie spieszy. Czasu zawsze jest dużo, tak dużo, że na wszystko wystarczy, gdy to, co dobre zaczyna się znów od nowa.

*

I oto znów ta sama kuchnia w apartamencie numer 3 przy Wölflstrasse 16. W czasie niespełnionym. Gdy to, co jest — jest. Bo być musi. Bo nie odchodzi. I powtarza się niczym nieszpory, o zmierzchu każdego dnia. Elisabeth przygotowuje dzieci do snu, potem wchodzi do niej, krząta się i gotuje — czeka na męża. Panuje półmrok, westfalka mruczy cicho, roznosząc ciepło po całej kuchni, więc nie zapala światła. Przysiada na chwilę przy stole i patrzy na drzewa za oknem.

Kuchnia jest obszerna. Cała obłożona dużymi, białymi kafkami, które jedynie pod sufitem wieńczy odmienny szereg z błękitnym szlaczkiem. Po prawej stronie od wejścia stoi w niej cały rząd szafek z talerzami, gamkami i sztućcami, a pośrodku, niedaleko okna zwróconego na zachód, mieści się ciężki, dębowy stół z ośmioma krzesłami, na którym wygodnie jest równocześnie gotować i smakować jej bogate w smaki potrawy. Poręcznie — na półeczce oraz w woreczkach i w koszykach wiszących na ścianie nad szafkami — pomieszczone są przeróżne przyprawy. Pieprz czarny i pieprz zielony, kolendra i ziele angielskie, bazylija i suszona pietruszka, a także warkocze z dymki i suszonych grzybów, jak również pojemniki z solą, tartą papryką i kozieradką. W kuchni działa kuchenka na gaz, lecz tuż obok niej trzaska ogień w żeliwnej westfalce, która w chłodne

dni migocze przez szparki fajerek i dodaje uroku całemu pomieszczeniu.

Zbliża się zmartwychwstanie pańskie roku 1935. Materia kuchni podlega przegrupowaniu i akceleracji. Częstki kulinarnej kreacji — uprzednio bejcowane, marynowane i peklowane — uwalniają się wreszcie z uwięzi, kreując całkiem nowe światy smaków i zapachu. Elisabeth przyrządza to, co Theo lubił najbardziej: żółty chleb z dodatkiem szafranu podawany do pieczonej szynki z musem owocowym. Oraz bigos z czerwonej kapusty okraszony jabłkiem i rodzynkami, przy którym praca trwa od dawna, może nawet od początku Wielkiego Postu, bo powstaje na rozmaitych mięsach, nie tylko surowych i podwędzanych, także na tych najszlachetniejszych, zalanych octem z dodatkiem cebuli tuż po Środzie Popielcowej. A w spiżarni przy kuchni — sąsiadującej z pokojem dla kucharki, który już drugi rok stał pusty — czekają już zapasy: gorzalki czystej i ziołowej, byczego piwa i śląskich mazurków, które Elisabeth piecze od rana. Wielka sobota dobiega końca. Zapada zmierzch, dzieci śpią od dawna w pokoju po drugiej stronie mieszkania. Robi się cicho, gdy tak siedzi przy stole w kuchni i czeka na powrót pana.

— *To jest to, co lubi najbardziej* — myśli i uśmiecha się sama do siebie. A później idzie do łazienki i jego maszynką podgala łono tak, by włoski ułożyły się w kształt serduszka. Wie, że Theo — bardziej niż sznapsa z anyżówki z kielbasą kminkową — pragnie wciąż tulić swoje podbrzusze do jej pełnych energii pośladków.

*

Żołnierze, którzy w wielką niedzielę roku 1945 uciekają z zawałiska na rogu Kirsch Allee i Wölflstrasse i chronią się w kuchni na pierwszym piętrze pod numerem 16, są przez chwilę bezpieczni. Oddział sierżanta Wasiliewa — pozbawiony dowódcy — rozpięcha się w kierunku ulicy Krankenhaus Strasse. Na jego miejsce nie przybywają posiłki, bo dom, w którym leżą zwłoki Wasiliewa — po odwetowym ostrzale przewpancernej forpoczty — wali się kilka godzin później.

Tymczasem ocaleni z gruzowiska przekazują swoich martwych i umierających służbom uprzątającym pole walki. A potem

zalegają pokotem na białej glazurze naszej kuchni. Wprawdzie są zmęczeni, lecz nadal podnieceni walką tak, że — nim posnęli jeden przy drugim — przyglądają się jej dokładnie. Wydaje im się nierealna. Tylko z lekką osmoloną okolicznymi pożarami. Cicha i przytulna: zamknięta w czworoboku grubych murów nośnych kamienicy, oddalona od frontowych pomieszczeń i ulicy, na której wciąż toczą się walki. Przy tym wielka — mogła od zaraz pomieścić nie tylko tę zdegradowaną garstkę żołnierzy z 2 pułku strzelców alpejskich, ale nawet i cały, choć również zdziśiatkowany, pluton grenadierów pancernych, który miał ich pod wieczór zmienić. Nie śmierdzi też w niej trupem. A nawet więcej — wydaje się, że kuchnia wciąż tętni własnym życiem i nadal pachnie w niej tak, jakby jeszcze dzień wcześniej ktoś gotował brokuły lub kalafior. No i ten widok — drzewa i wciąż całe kamienice przy Alle der SA. — przez okno, które nadal jest prawie całe, ma wciąż szyby w wewnętrznych skrzydłach, które powstrzymują chłód na poty zimowego przedwiośnia w roku 1945.

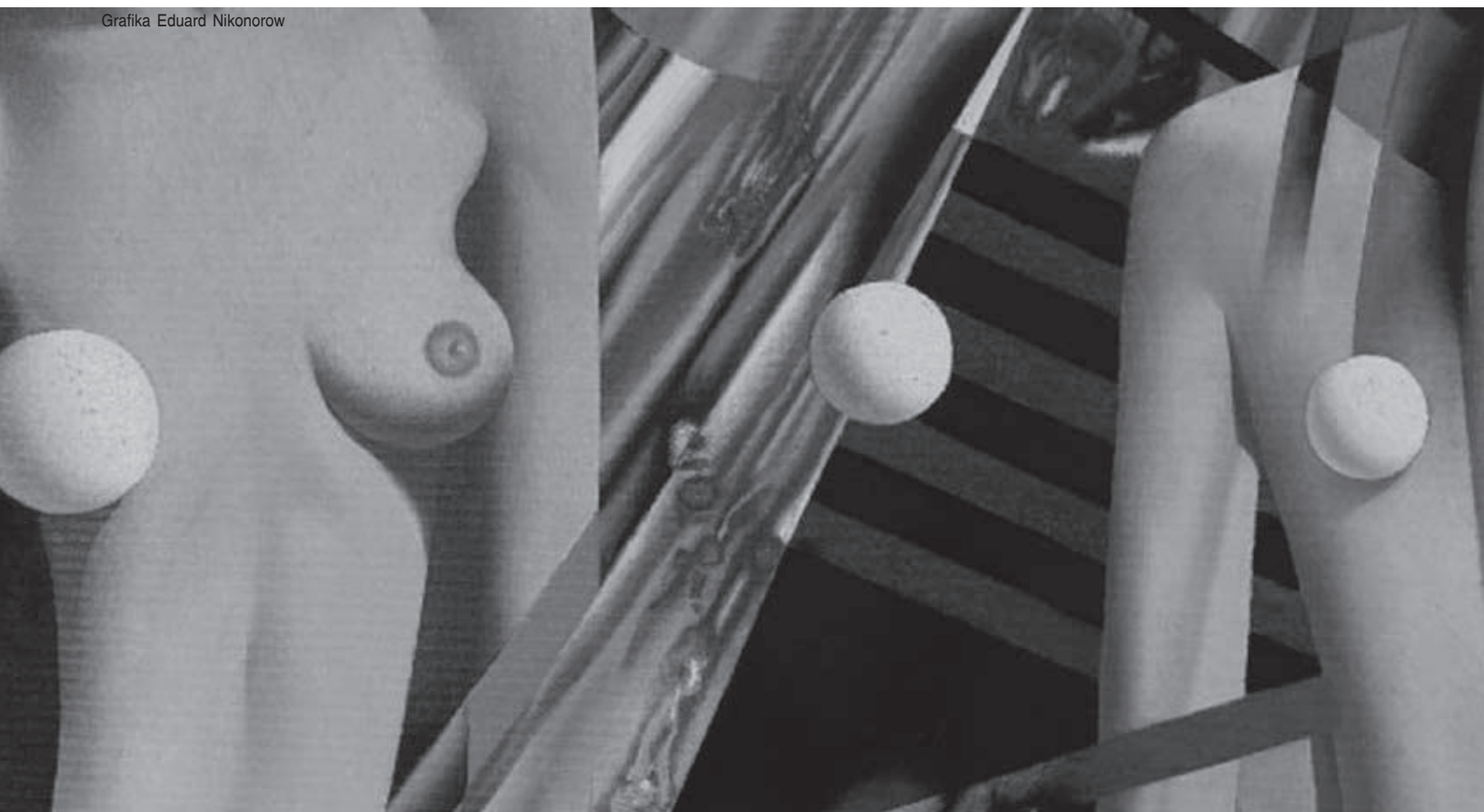
*

Nie śpi tylko jeden z nich. Otfried Wanza, zmęczony wojną czterdziestolatek, który przychodzi na świat w bukowińskiej Mamałydze — jeszcze za życia Franciszka Ferdynanda. Gdy Arcyksiążę ginie, Otfried kończy siedemnaście lat. Już wie, kim nie chce być, choć nadal nie wie, kim jest.

— *Czy jestem tylko częścią w porządku świata? Czy fragment może odróżniać się od całości? Czy mogę iść w swoją stronę, zmierzać drogą inną niż cała reszta?*

Po śladach młodzieńczej wątpliwości dochodzi do kolejnych pytań. Zastanawia się, czy częstki indywidualnych historii wpisane są w jakiś plan? Jeżeli tak, to czy ten plan ma sens? I czy jest w nim jakaś logika, bo przecież równie możliwe jest to, że wszystko jest bezrozumne, jak życie nastolatka na leśnym odludziu?

Otfried czuje, że świat dominuje nad nim. Że fragmenty, z których się składa nie powielają porządku całości. Że nie ma jednego kierunku, a to, co się dzieje dokonuje się poprzez sprzeczności, które popychają takich jak on w te albo we te. Nie wie,



skąd biorą się alternatywy, które naruszają porządek z góry ustanowiony, sprawiają, że mają jednak miejsce odchylenia od wytyczonej drogi. No bo co z nami? Przecież mamy jakiś wybór? Jeżeli już nie z wolnej woli, to może przynajmniej z racji jakiegoś przypadku? Albo szaleństwa?

Otfried nie wie, kto mógłby pomóc mu rozwikłać te problemy. Jest jedyńskim wychowywanym przez ojca — kowala, który dociera na Bukowiłę z Saksonii, pełen zapału do walki przewlekłym ochwatem przednich kopyt. Potrafi więc rozczyszczać chore rogowatości tak, by wyprostować przednią ścianę kopyta i nadać prawidłowy kierunek grotowi strzałki. A potem wykuć w warsztacie taką podkowę, która nie dopuści do ponownego zapadnięcia korony. Ma też swoje sposoby na szczeliny w kopycie i na ropawicę, potrafi odkuć podkowę pantoflową lub gryfowaną, z hacelami dla koni, co ślizgają się po zboczach przy zrywce świerkowych bali i półkiszyców dla żrebiąt lub dla koni o kopytach ściśnionych. Ma więc kowalskie sposoby na wszystko — na kopyta koślawe i na konie z różnymi wadami postawy, gdy ich nogi układają się zbieżnie lub rozbieżnie, gdy ich chód jest zwarty lub rozarty. Lecz na pytania Otfrieda nie zna odpowiedzi. Mieszka z synem z dala od wsi, gospodarzy na kilku morgach, poddając się rytmowi przyrody od świtu do zmierzchu. W tym samym porządku matka Otfrieda — z pomocą rzucawki ciężkowej — oddała już na wstępie wszelkie wątpliwości syna.

*

Sierpień roku 1914 jest upalny i suchy. Drzewa przed domem Otfrieda uginają się pod ciężarem owoców, zeschnięta trawa szeleści, a lustro — w którym chłopiec próbuje dokonać identyfikacji — wisi w sieni, między wielobarwną szafą z biblijnymi scenami a drzwiami do komory. Otfried jest wtedy wysokim młodzieńcem o kręconych blond włosach i ostrych rysach twarzy. Już podoba się kobietom. Lecz jest nieśmiały. Nie ufa swoim emocjom. Boi się odbicia w lustrze. Próbuje więc rozminąć się w nim z sobą samym. Odwraca wzrok od siebie. Patrzy ponad:

— jak po bielonych deskach sufitu idzie powoli biedronka,

— że ma siedem kropek, czarną główkę z jasnymi plamkami przy oczach,

— że gdzieś od dotu, spod szafy dochodzi cichy szelest, może myszy, a może zaskrońca,

— jak przez uchylone drzwi smuga słonecznego światła podnosi ku powale kurz z glinianej podłogi i jak w drobinach pyłu błyska pozor rzeczywistości.

Może dlatego wszystkie szczegóły, które go otaczają, nie mogą utożycić się w całość. Chaos przejmuje inicjatywę, a chłopiec nie jest już pewien niczego. Także odbicia w lustrze.

Rozstrzygnięcie przychodzi tuż przed zmierzchem. Tego wieczora Otfrieda przestaje dręczyć odpowiedzialność za śmierć matki i w nocy — nie czekając na nowy dzień — ucieka od ojca. Z domu zabiera tylko koszulę na zmianę i ciepłe wełniane skarpety, a z warsztatu dwustronny hufmesser, którym ojciec werkuje koniom kopyta.

Wydaje mu się, że zajdzie daleko — aż do Czerniowca, gdzie chce zapisać się na Uniwersytecie Franza Josefa, by studiować filozofię. Nie dociera tam jednak. Mobilizacja dopada go po drodze — w Chocimiu nad Dniestrem. Z pierwszym dniem października 1914 roku — staje się rekrutem wojsk jej cesarskiej mości.

*

Nie trafia jednak do oddziałów bojowych. Służy w formacjach pomocniczych. Powodzi mu się niespodziewanie dobrze. Z całej swojej młodości najlepiej wspomina służbę w upadającym przemyśle zbrojeniowym Austro-Węgier. Nie naraża życia. Jest z dala od krwawych walk i zasadniczych rozstrzygnięć. Korzysta ze swojej urody. Czasem uwodzi tęgie Rumunki, czasem namiętne Ukrainki. Zapomina o filozofii.

W roku 1917, trafia do zakładów w Sokalu, w których od rana do wieczora remontuje zmechanizowany sprzęt artylerii polowej. Pomaga w kuźni, która ratuje spekane łoża wypracowanych oporopowrotników dział z całego frontu wschodniego. Kuźnią kieruje nieco ekstrawagancki — wysoki i bardzo szczupły — młodzieniec, który pochodzi z zacnej wiedeńskiej rodziny i często nuci Mahlera. Austriak jest pasjonatem mechaniki. Specyficznym, bo budowa mechanizmów jest dla niego czymś więcej niżli sprzężeniem właściwości myśli i materii. W każdej chwili swej pracy, z każdej — nawet najprostszej — czynności, która jej towarzyszy, stara się wydobyć, niczym z jakiejś monady, logiczne zasady działania całego świata.

Poza tym Austriak wojuje bez przekonania. Ma do wojny krytyczny stosunek. Otfrieda traktuje inaczej niż resztę. W Sokalu, pośród słowiańskiego żywiołu, tylko Otfried postępuje się dobrze niemieckim, a przy tym — podobnie jak Austriak — chce dostrzec każdą rzecz nie odrębnie, lecz w jakiejś racjonalnej przestrzeni, która nadaje sens nawet przypadkowemu egzystencjom. Różnica kilku lat oraz wykształcenia nie stanowią problemu. Często całe wieczory — patrząc na zdezelowane armaty — dyskutują o tym, jak to wszystko działa, dlaczego nie zawsze działa prawidłowo, a także o tym, co wiemy i co wyznacza nasze granice.

— Spójrz — powiada Austriak do Otfrieda, wskazując palcem przed siebie, na nie wiadomo co. — *U wszystko uporządkowane jest w najmniejszych szczegółach. Nawet chaos jest przeliczalną sumą ukierunkowanych zmian. Podobnie jak nasz język, którego składnia dopuszcza wyjątki, lecz wyznacza im ściśle określone — podporządkowane reguły — znaczenia.*

— *Czy to oznacza, że świat jako całość narzuca każdej swojej części ściśle określone zasady i że nie ma granic pomiędzy fragmentami świata?*

— *Zapewne — dodaje Austriak — bo wiem każda część świata jest takim niby-wszczęświatem, którego zasady są równie silne i powszechne jak reguły istnienia największych całości: planet i gwiazd, galaktyk. Ba — kosmosu. I tego wszystkiego, czego nawet nie potrafimy pomyśleć...*

— *Ale przecież nie możemy sięgać tak daleko — protestuje Otfried. — Poza tym, skąd niby mamy wiedzieć, że porządek widziany pod szkłem lupy jest taki jak ten, którego nasz wzrok nie dosięga? Sądzę, że tylko to, co widzimy jest tym, co wiemy. I że to, co postrzegamy wyznacza granice, za którymi znajduje się wszystko, o czym nie mamy pojęcia. Kiedy patrzę, to wiem — bo widzę, co chcę powiedzieć — powiada Otfried. — A gdy milczę, to dlatego, że nie widzę tego, o czym chciałbym powiedzieć.*

— *O nie, mój mały — uśmiecha się życzliwie Austriak. — To nie jest takie proste. Zazwyczaj wiemy dużo więcej niżli mówimy. I postrzeganie nie ma tu nic do rzeczy. Często mówimy przecież o tym, o czym mówić nie powinniśmy. Nie dlatego, że czegoś dokładnie nie widzimy. Mówimy bowiem także o rzeczach niedorzecznych, logicznie zagmatwanych, skonkretyzowanych w spo-*

sób nie powiązanych z zasadami myślenia. Tymczasem nasz język i jego prawda, czyli reguły logiki, wykluczają takie mówienie. Oczywiście, można tak mówić, ale po co? Chyba tylko po to, by powymieniać jakieś nazwy o wzajemnie wykluczających się sensach lub popaść w jakieś kolejne paradoksy mocy zbiorów, które nakładają się na siebie. Tymczasem to, co się w ogóle da powiedzieć, da się zawsze powiedzieć jasno. To, co nie jest jasne, jest niedorzeczne, więc z punktu widzenia myślenia — raczej nie istnieje. Nasz język wyznacza zatem granice istnienia.

— *Ejże — nie daje za wygraną Otfried. — A co począć z tym wszystkim, co wciąż nam przychodzi do głowy pomimo, że jest całkiem niedorzeczne i zupełnie nielogiczne? I przywołuję najboleśniejszy argument: — Jak mi objaśnisz te drobiazgi niezgodne z wszelkimi zasadami, z których składa się całe nasze życie?*

— *Cóż chłopce — odpowiada tajemniczo starszy — trudno je wyjaśnić. Dlatego lepiej milczeć... Milczeć o tym, o czym nie można powiedzieć.*

*

— *Milczeć, milczeć...* — rzezi Otfried przez usta pełne gruzu. Ledwie oddycha. Leży skonany na podłodze, tuż obok kuchni, w pokoiku dla służby kuchennej, z nogami w spizarcie, choć z głową wciąż skierowaną ku oknu wychodzącemu na zachód. Zredukowany do lęku, nadal sądzi, że spoczywa po dobrej stronie. Czyli nie tam, skąd nadchodzi zagrożenie. Tylko na wszelki wypadek również od tej lepszej strony ostaną głowę fragmentem drzwi do spiżarni i przez szparę między nimi a podłogą patrzy na zapasy zgromadzone na półkach. Kurz z zawałiska powraca na podłogę, więc widzi wyraźnie wszystko, co dają światu dłonie pracowitej gospośi. Pospolite korniszony, zalane octem, w stojach wecka. A obok wyrafinowane naczynia z kamionki ze słodko-kwaśną bergamutką. I drobne szklane beczułki z krwawą papryką. Dalej węgierki owiane dymem, marynowane w jabłkowym occie. I kiszone pomidory w czerwonej kapuście, i soki wolno spuszczone z malin, i inne twory zaprzeczonych letnich upałów i słonecznych jesieni. I ledwo widoczny w kącie, na najwyższej — półce syrop imbirowy. Obok konfitury z cukinii i pomidorów. Wreszcie cesarskie powidła śliwkowe z węgieriek zbieranych po pierwszych przymrozkach — amarone pośród dżemów i owocowych melanży. Poniżej kiszone buraki z anyżkiem i goździkami w stojach wąskich i wysokich. I jeszcze relisz śliwkowy, gruszkowe chutney oraz musy i przeciery z kwaśnych jabłek o skórce szarej, pobłyskującej złotem, gdy na nie spojrzeż można pod światło. Wreszcie tuż obok solone ogórki w śmiesznych pękających stojach, zamykanych na nowoczesne zakrętki, nie na zatrzask. Tak widzi Otfried widnokrąg oddzielający kuchnię od służbówki. Cały świat, który jest nadal, gdy na niego patrzy.

I wspomina rozmowę z Austriakiem; że jednak pozbawiony sensu, nielogiczny drobiazg istnieje, że całe to nic, o którym nie powinniśmy mówić, a tym bardziej myśleć — ma się całkiem dobrze. Że dzięki tym szczegółom, ułomkom i niefrasobliwym fragmentom wyraz życie — a może i samo życie! — nabiera kolorów i kształtów. I na tę krótką chwilę świat Otfrieda znów zawęży się i nie wykracza poza przedmioty postrzegania. Wyjmuje więc przydługą Kriegsbrof. Sięga do cholewy buta po swój hufmesser, spogląda na ostrze. A potem zagiętym szpicem podważa cienką blachę puszkę ze smalcem, nakłada na chleb i —

→ cd. str.32

→ mimo pragnienia — je najwolniej jak umie, cd. ze str.31 smakując każdy kęs.

PROZA

— Świat — myśli — jest większy niż to, co możemy pomyśleć. Większy niż to, co możemy powiedzieć i co wydaje się nie do pomyślenia. A potem próbuje o tym powiedzieć, przemawia w głąb spiżarni, do tych wszystkich frykasów i przekąsek, których być może nigdy nie spróbuje:

— Żyję, wciąż żyję, choć wszystko wokół jest poza granicami!

Ostatnie słowa tłumi jednak tęsknota artystycznej kanonady. To rosyjskie haubice rozlokowane na Alei Wiśniowej strzelają na wprost do budynków, w których schronili się ocaleni z gruzowisk. Jedna po drugiej padają ostatnie ściany nośne sąsiednich budowli. Z hukiem spadają na siebie dębowe belki stropów, stalowe konstrukcje schodów i ogromne fragmenty murów i dachów. Czerwony pył unosi się wysoko do góry, a potem spada na płomienie pożarów. Nie widać wiele. Chyba już nie ma tam Offrieda, który porzuca w popłochu resztki chleba i smalcu. Z ręki wypada mu nóż. Wpada rękojeścią w dół do głębokiej szpary w podłodze, która powstała, gdy drzwi do spiżarni wyrwane zostały razem z futryną i grubym, dębowym progiem. Tak, Offried ucieka. Na pewno. Zsuwa się szybko po gzymsie tuż przy oknie naszej kuchni, przez podwórze na tyłach domu, na zachód, w kierunku *Strasse der S.A.* Tam przypomina sobie o nożu, lecz nie wraca.

*

Gdy pożary wygasły i opadł kurz, okazało się, że kuchnia mieści się w jednym z dwóch ocalałych budynków przy ulicy Pocztowej. Przez kilka tygodni pozostaje bezpieczna. Nie ma dobrej lokalizacji. Poza tym jest zbyt mała nawet na dowództwo plutonu, nie wspominając o jakimś pomniejszym dzielnicowym urzędzie. Stoi więc pusta, bez okna w pokoju dla kuchennej służby, bez drzwi do spiżarni — rozwarła i nieco nadpalona.

Lecz niezadługo szabrownicy docierają do wszystkich jej zakamarków. Najpierw kradną wszystkie talerze i garnki, później żeliwną westfalkę. Pomimo tego, że była

Grafika Eduard Nikonorow

ciężka i nieporęczna, jedzie dumnie na wózku, który ciągną dwa osiaki z Jedwabnego, razem ze stojącym zegarem z bawialni, dałeko, na targ do Łomży.

A gdy już wszystko, co cenne i leży luzem, znika z zasięgu oczu, wówczas ze ścian wyrwane zostają krany i zlew. Ten sam los spotyka — całkiem bezużyteczną w tym nowym świecie — kuchenkę na gaz. Tłuką się również stoje z tym wszystkim, co wydawało się obce i dziwne. W szczególności marynowane bergamutki — aromatyczne gruszki, które zniewalały podniebienia podniebnią słodkością — walają się teraz rozgniecione niczym karaluchy po całej posadzce. W szkle — ostrożnie, by nie uronić — znikają jedynie ogórki. I te kiszzone. I te w occie. W sakach żołnierskich plecaków — na zakąskę.

Wszystko, co stanowiło o istocie kuchni — wszelkie jej cząstki podległe transformacjom peklowania i bejcowania, duszenia i smażenia, nieskończona różnorodność atomów smaku i zapachu zamknięte w glinianych garnekach, szklanych stojakach, w drewnianych i płóciennych pojemnikach na trawy i zioła — ulega gwałtownej anihilacji. Lecz wbrew pozorom ta katastrofa nie oznacza dominacji pustki. Rozkład kulinarnego królestwa kreuje całkiem nowe egzystencje. To prawda — materia kuchni rozkłada się, znika to, co daje zmysłom przyjemność i wytchnienie. Lecz równocześnie powstaje coś całkiem nowego — antymateria kuchni. Arogancka sfera, w której miejsce zapachów zajmuje odór i swąd; smaki stają się żenujące i jałowe; a wszelka strawa staje się szybka i powierzchowna. Degrengolada obejmuje także oczekiwanie i spełnienie. Fantazje i marzenia. I w tym zdegradowanym stanie — bezludna i niepodobna do siebie samej — kuchnia trwa aż do początków jesieni, kiedy po mroźnym poranku wiatr ogołaca drzewa i zagania do niej liście z okolicznych jaworów.

*

Być może wtedy, a może rok wcześniej, matka — niosąc worek z otrębami dla świń, drogą z Jasieni do Brzeska — martwi się tym, że wojna odeszła na zachód, lecz nadal nie

ma co jeść. Czy właśnie wówczas dopadła ją pierwszy okres? Czy wtedy, na tej drodze przestraszyła się krwi, która pociekła siną strugą z podbrzusza aż do tydek i wypełniła ciepłą mazią jej brzozowe drewniaki? Czy porzuciła worek z paszą — wprost do rowu, tuż obok drogi — i pobiegła do strumienia, który do dziś meandruje chaotycznie od wzgórz Bocheńca, poprzez gościniec i łąki, aż do Uszwicy? I czy zanurzyła się w nim, aż po pas — choć był lodowaty — i czy poczuła ulgę, że może zmyć z siebie to, co niczym wojna, przemocą wtargnęło nagle w jej życia? Bez skutku zresztą. — Bo tego odczucia zniewolenia i przemocy, którego dostarczyła jej wojna, już nigdy nie potrafiła się pozbyć.

Może we wspomnieniach rodzeństwa, a może na jakiejś zrudziącej fotografii, która zatrzymała jej chropowatą nastoletniość, stoi blisko ojczyzna i przyrodnych sióstr w grubych pończochach, tłustej spódnicy i watowanych kubraczku. Wokół ponure tło tworzy zleżały śnieg. W dalszym planie — zamglonym przez obiektyw — widać także rachityczne fragmenty małopolskiej architektury. Brudnobiałe i jałowe, pobielone wapnem na długo przed wojną. Lecz żaden fragment tej scenografii nie jest w stanie odwrócić uwagi od jej zapadniętych policzków, uniesionych ku górze chudych ramion oraz intrygujących, nabrzmiałych kolan, które — w kontraście z jej patyczakowatymi piszczelami — wydają się opuchnięte z głodu.

I jeszcze coś, co zaskakuje. Zapewne jest to ostatnia zima wojny. Chłód doskwiera bardziej niż zwykle. Wygląda na to, że jest tam dopiero poranek. Więc trzeba dotrwać do zmierzchu, choć nie wiadomo, czy w ciągu dnia przytrafi się jakieś śniadanie. Cóż z tego, że matka przychodzi na świat z wrodzonym brakiem łaknienia? Cóż z tego, że ta przypadłość pozwala jej przeżyć jałowe przednówki pośród podtarnowskich pagórków w czasach, gdy w nieodległych krainach zdarza się kanibalizm? Cóż z tego, że matka kurczy się tam jakoś sama w sobie i że wygląda tak, jakby wcale nie chciała dorosnąć, a więc stać się kobietą w czasach, kiedy łatwiej i estetyczniej umierają mężczyźni? To wszystko wcale nie dziwi.



Ot — co najwyżej przeczy jedynie istocie tego wspomnienia lub nadaje irracjonalny posmak tej całej — niezbyt zresztą wymyślnej — kompozycji. Jest bowiem coś innego, co intriguje i wierci. Nie brud i śnieg. Nie upadłe rudery i nie ludożerczy nastrój głodu stanowi punkt centralny ujęcia. Lecz jej delikatny uśmiech — nieco swawolny, raczej nieśmiały — z którym matka patrzy na świat i przyswaja bezwiednie jego szkaradny konkretny.

*

Chłopiec stoi na progu kuchni. Uchyła drzwi. Powoli — zagląda w lewo, próbuje zajrzeć w prawo. Lecz nie widzi zbyt wiele. Drzwi rozwierają się jedynie do połowy. Horyzont jest ubogi. Tylko nieliczne szczegóły są w miarę wyraziste. Widzi splekane białe kafle posadzki. Żałosne zmarszczki na niegdyś pięknej, białej terakocie. Tak jak na starej twarzy — wżery nie dzielą kafli chaotycznie. Ich rysunek powtarza profil bezlistnego drzewa lub rycinę rozległego dorzecza — tuż przy zatoce ciepłego morza — w starym, niemieckim atlasie, który ogląda co dzień. Podobnie tajemnicze są fugi pomiędzy fragmentami terakoty. Ich wzór ma moc samoistną. Może tajemnego szfry. Może nieznaną wiadomość, którą jakiś anonim sztuki budowlanej posyła tym, którzy chcą wiedzieć inaczej. Niemalże poza granicą wzroku chłopiec dostrzega w ścianie dziurę — całkiem czarną, z której smoliło aż do sufitu. To wspomnienie symbiozy węglowej kuchni z przewodem kominowym, które zapomniał już swoją przedylekację i jest dziś niczym otwór na krańcu świata. Można przezeń dotknąć gwiazd, obejrzeć kres, przestraszyć się próżni. Jeżeli tylko wierzy się w to, że Ziemia jest płaska.

Chłopiec ma sześć lat. Nie jest zbyt rostry, więc również w przekroju wertykalnym nie dostrzega zbyt wiele. Sufit ma kolor zużytej bieli, którą znaczą ślady zacieków i smród zjętaczanych oparów. Światło dochodzi od okna, za którym słychać śpiew ptaków. I to wszystko. Całą resztę wspomnienia zastania sylwetka matki, która stoi w drzwiach, tuż przed nim i nie pozwala na nic więcej.

*

Matka stoi tyłem do chłopca. Patrzy w głąb kuchni. Choć ma za sobą już dwa porody i jedną aborcję, wciąż pamięta lodowatą kąpiel w doływie Uszwy. Nie czuje się dobrze w swoim ciele. Może to jakiś nieznaną usterka w spirali reprodukcji owych ubogich plemion, które miały za nisko, by żyć w górach i za daleko, by dojechać do Krakowa? A może to tylko jej przypadłość, której źródła nie należy łączyć z boleścią menstruacji. Być może brzydzi się materialnego kokonu, który ją otacza. I tylko dlatego wciąż walczy, bo jeszcze bardziej lęka się wszystkiego, co nie poddaje się kontroli — co egzystuje poza sferą jej wpływu i przeciwdziałania. I właśnie ten spłot defektów jest jej utrapieniem. Czasami sądzi, że lepiej byłoby popaść w przewlekłą — choć może nie w pełni śmiertelną — chorobę, która by ją oddzieliła od chaosu świata, a jednocześnie jest tylko po to, by zaplanować liczenie i porządkowanie rzeczy. Istnieje więc, by odseparować się od świata i zarazem dać mu własny wyraz. Oto widzi fugi kuchennej podłogi — tłuste, pełne zastygłego kurzu i błota. Wie, że to, co je łączy, ma podejrzany kolor i maziowatą konsystencję — niczym jej pierwsza krew miesięczna. I jest pewna, że jej przeznaczeniem jest usunięcie tej zmyzy, codzienne splukanie gnoju w wartkim strumieniu, który — niczym dopływ Kruszwy

— wciąż szumi w jej głowie. I spogląda na kafle terakoty. Są niepowtarzalne i brudne. Splekane i poranione. Jakby na każdy z nich spadł — niczym deszcz — stalowy śrut lub ciężki lodowy grad. I dręczy ją przekonanie, że skuć trzeba wszelkie uszkodzone fragmenty, a w ich miejsce powstawić — choćby w innych kolorze, choćby w innych wymiarach, a może nawet w kształtach — inne kawałki i całkiem odmienne cząstki, które pasować będą do umyślonej, wzorowej całości. Brzydzi ją pejzaż ponad podłogą. Pogrupowane nielogicznie koślawe szafki, w których beztadnie pomieszczone są niezupełne komplety zastaw i sztućców. A ponad nimi ubytki w glazurze, która nie wytrzymała przesilenia historii. I tu trzeba będzie wykonać istotne poprawki. Inne będą szeregi talerzy i widelców, a cała przestrzeń ułoży się na nowo wedle matczynej gramatyki, co być może pozwoli bez lęku spoglądać na kuchnię. I gdy tak patrzy, gdy przegrupowuje, gdy oswaja to, co znajome i eksterminuje obcości, zapomina na chwilę, że tuż za nią stoi chłopiec, który chciałby przejść dalej i zobaczyć to, co wewnątrz. Lecz na razie nie może. Jest wciąż gdzieś poza. Odległy od refleksji, która niezadługo nadejdzie i zaboli, że nikt nie wyjaśni, jak to się łączy ze sobą, i skąd się bierze — i po co.

*

Ojciec stoi w kącie. Tyłem do matki i niewidoczny dla chłopca. W lewej ręce trzyma pędzel, w prawej szpachelkę. Lecz jest daleki od czynu. Bo wojna niby się odsunęła. Odeszła nieco na zachód. Niekiedy mówią nawet, że się skończyła. Lecz ojciec wie, że trwa nadal. Na rogu każdej ulicy i w każdym po trochu. Więc nie ma co zaczynać od nowa. Świat rozpadł się na kawałki i nikt go już nie poskłada. Więc lepiej myśleć o tym, czego nie da się zrobić.

Choćby ta kuchnia. Przytacza go rozległość zniszczeń. I ich nieodwracalność. Spogląda na podłogę. Terakota ułożona z dużych prostokątów w jodełkę, kiedyś była biała i błyszcząca jak lustro gładką politurą. Mogła się w niej obejrzeć perfekcyjna gospodyni. Teraz jest szara. Miejscami nadpalona. Co drugi kafel jest pęknięty. I nie ma ani jednego, który by nie miał większego defektu. A to ukruszony w narożniku, a to ziejże odpryskiem na samym środku, a przy tym ilość rys i wżerów jest nie do zliczenia. Najprościej byłoby wymienić całą, lecz wojna zabrała wszystkie zapasy. Po starym Jorgenie Kaminskim, co to na *Strasse der S.A.* — tuż przy wylocie na Przodowników Pracy — miał *Baustoff und Metal Lager* pozostał tylko zamalowany zieloną farbą sztyl, który w słoneczne dni, przebiegał spod zięjącego pustką *Piwa i alkoholu*. Pomysł, by wypełnić największe ubytki tym, co znaleźć można w gruzach wzdłuż ulicy, wydawał się równie nierealny. A tak nawiasem: jakby to wyglądało, gdyby powklejać obok siebie kafle o różnych rozmiarach, różnych kolorach i wzorach, glazurowane matowo lub z połyskiem? A co z fugami? Także spoiny byłyby w różnych odcieniach, z uwypukleniem szarości zwykłego cementu. Czyż nie inaczej miałyby się sprawy z remontem glazury na ścianach? Stoi więc ojciec w kącie. I myśli, że może ustawić szafki w szeregi, że da radę podeprzeć cegłą te, co kuleją, że uda mu się wytaragować od Wexselberga jakąś gazową kuchenkę i podłączyć ją do kominu tam, gdzie nadal ziejże czarna dziura i śmierdzi sadzą. A podłoga? No cóż, z góry do dotu ściany i podłogę pomalować białą olejką tak, by chociaż na krótki czas było czysto i schludnie. Bo przecież idzie wiosna i już nie za długo Wielkanoc.

*

Tymczasem nadal jest zima, choć już minęła równonoc. Co dzień w południe powierzchnia śniegu roztapia się lekko, lecz w nocy mróz ścina wodę i sprawia, że rano jest ślisko. Nastąpił pochmurny ranek. Nie widać słońca i pada mokry śnieg. Chłopiec wchodzi do kuchni. Kluczy pomiędzy wiadrami z farbą. Ostrożnie, by nie potrącić mieszadeł, pędzli i porzuconych narzędzi. Ojciec nadal jest w pracy. Jeszcze nie wrócił z nocnej zmiany. A kiedy wróci, pójdzie spać, bo kuchnia go przytacza. Matka odsuwa fajerkę, grzebie w żarze pogrzebaczem, a potem odwraca się od kuchni, która trochę dymi, bo zamiast węgla palą się w niej drewniane odłamki gruzowisk.

— Trzeba iść — mówi.

Więc idą. Po chleb i jajka, marchew, pietruszkę i kartofle, na drugą stronę dzielnicy, aż do Powstańców Śląskich, gdzie już działają sklepy i hurtowe magazyny. Wolno — przez gruz i zasy, być może tym skrótem wzdłuż ruin cmentarza żydowskiego i przez zarośnięty stadion. A może raczej jadą. Na sankach, bo do nich można wziąć chłopca i to, co da się kupić. Matka ciągnie je wraz z torbami i chłopcem. Niby wygodnie jest, lecz uwiiera go jej umęczenie. I niczym okamgnienie powstaje obraz. Matka kroczy ciężko tuż przed nim. Na wyciągnięcie sznurka, który łączy ją z chłopcem i z sankami. Jest raczej chuda, lecz napęczniała i nieforemna. Chłopiec czuje jej słabość, słyszy jak sapie i postępuje raz po raz. Żal jej, lecz chyba jest pewny, że inaczej być nie może. Przechodzą więc razem przez góry ruin, ślizgają po gruzach, wchodzą w wąwozy dla osiedleńców i idą nimi aż do pustej ulicy, gdzie uprzątnięto miejsc, gdzie kiedyś stały domy. A potem — tuż za spalonym kościołem — mijają czerwony obelisk wierzy ciśnięt i wkraczają jak na pustynię lub morze — na zakrzaczoną łąkę. Tam matka kluczy pomiędzy zaroślami, gdzie — skryte pod śniegiem, głęboko — wciąż żyją kępy szlachetnej trawy, na której rekord wierności biły dzielne drużyny *Hitlerjugend* z Trebnitz i z Breslau. Tam sanki się ślizgają po lodzie, który przykrył równinę boiska. Tam matka w końcu biegnie, by nie stanąć, bo jak już stanie, to dalej nie ruszy. Zostanie na mrozie z tym chłopcem i z sankami. Więc jeszcze chwila, a wpada w kłus — zdyszana, nisko pochyla głowę i widzi tylko najbliższe kilka metrów lodu i śniegu i nawet nie dostrzega przeszkody. Zanim pomyśli — potyka się. Nie domyślając się — upada i leży beztadnie tuż przed sankami. Bez ruchu. Nie jak matka, ale jak obalony pomnik matki. A chłopiec boi się, drży coraz mocniej, gdy ona leży i wcale się nie podnosi. Już całkiem nic nie widać. Może zastąpiła? Może ją coś pochwyciło i trzyma? Trudno spać, coś więcej ponad lęk. I przerażenie. I coraz głębszy chłód, gdy jej spuchnięte ciało zakrywa to, co legło na przeszkodzie. Może to kamień? Może złodowacią zimokrzew? A może zapomniany trup spoczywa pod nią — tuż pod śniegiem? Chyba nie zwłoki Niemca, ani nie padlina dzika. Raczej już psa. Albo lisa czy kuny. Czegoś, co nie jest duże, lecz krępe i mocno przywarło pod śniegiem do ziemi. Głęboko i niepojętnie. Złodowacięte na wskroś nie wiadomo co. A obok matka. Też nieruchoma. Też nic nie mówi. Więc chłopiec prawie pewien, że matka się nie rusza, bo tamto trzyma ją niczym zmora, szepce bezgłośnie do trupa i do niej:

— Mamo, już lepiej wróćmy do kuchni.

*

W okamgnieniu trudno znaleźć siebie. Prędzej dostrzec można to, co spoczywa od. str.34

obok. Lub jest całkiem obce — na zewnątrz. Zewnętrzne dekoracje pamięci przekształcają się bowiem z łatwością w epickie opowieści. Krótkie spotkanie ze zwłokami wilka, lisa lub kuny może się przekształcić w dramatyczną anegdotę. Matka, której nie chce puścić truchło — zastępie pod tajemnicą śniegu — przyjmuje łatwo formę tajemniczego apokryfu bądź zmysłowej ballady. A więc sceny ważnej, baśniowej czy nawet opatrnościowej. Gorzej z czymś, co wychodzi z wnętrza. Jak ta kuchnia — okruszek historii jednego pomieszczenia, migawka chwili pomiędzy ospałą zimą i rachitycznym przedwiośniem. Raczej zapis czasu, niż miejsca, interwał z tonacji utraty, który lokuje się nie w miejscu, lecz w przemijaniu, gdy nikt nie wierzy, że jeszcze kiedyś będzie ciepło i powrócą się święta zmartwychwstania.

Zatem pogoda, jej zmienne nastroje i klimaty — mają tu duże znaczenie. Zawieszenie między zimą a wiosną — pora nijaka i monotonna, która sprzyja martwocie pamięci — przeszkadza zbieraniu odłamków reminiscencji. Lecz rzecz utrudniają szczególnie te wszystkie drobności. Szczegóły pozabawione ogólnej logiki. Owa pieszczota przypadkowych molekuł. Bo w mgnieniu oka, który mogą wywołać — trudno o obraz całości. Zachowują się tylko wyjątki. I choć przez chwilę wydają się prawdziwe, to wraz z upływem czasu narastają wątpliwości. Czy były to obiektywne fragmenty rzeczywistości, czy może tylko zwrócone na zewnątrz emocje? Czy istniał porządek w zbiegu okoliczności, czy może całe to zajście było jedynie bezładnym zbiorem incydentów?

*

Późny wieczór. Za oknami przymrozek. Chłopiec nie zasnął. Leży w łóżku. W pokoju dla olbrzymów. Skupiony na lęku. Po przeciwległej do kuchni stronie mieszkania. Patrzy w górę. Ciemność zastania wszystkie szczegóły wokół sufitu. Nie widać nawet masywnej lampy z żeliwa i beżowego alabastru. A przecież ozdobne stiuki, które w dzień łączą ze sobą ściany i sufit, są jeszcze wyżej. Więc ich tym bardziej nie widać. Można się tylko domyślać, że sufit trzyma się mocno, a ściany nie zbliżą się nagle do siebie tworząc przestrzeń nikczemną, która służy jedynie agregowaniu zgrozy. Tym bardziej, że stąd trudno uciec. Drzwi są daleko. Za daleko. W mroku wydają się tylko częścią ścian. Zlewają się z nią i w takiej postaci mogą na zawsze pozostać zamknięte.

Co gorsza masywny piec w pobliżu łóżka już dawno wygaś. Zimne powietrze szroni wierzchnią warstwę pierzyny, która otula chłopca pozorem bezpieczeństwa. Lęk potęguje więc zimno. Spod grubej warstwy pierza chłopiec słyszy, jak ożywają ciemne kąty przestrzeni od strony okna, tuż za wężłowym łóżkiem. Słuch mętniejszy i wchłanianie bezkrytycznie niezrozumiałe chrzęsty, niepokojące trzaski, które wysoko podnoszą włoski na jego przedramionach i łydkach. Wraz z nimi nadchodzą całkiem obce dźwięki, które zmuszają do rejterady — ucieczki od maszkar i molochów.

Więc chłopiec jest zdesperowany i wyrwa się z pułapki. Biegnie przez pustą sypialnię. Do pokoju rodziców. I przez kolejne drzwi na całkiem ciemny i długi korytarz. I przez sień łączącą przedpokój z kuchnią. Mija wysokie zakamarki i ciemne zaułki ze ślepyimi oknami, które wychodzą na cuchnący czworokąt fekalnego szybu — biegnie. Cały czas biegnie do kuchni. Tam trzaska drzwiami i pada na zimną posadzkę. Jednocześnie całym sobą przyciska skrzydło kuchennych drzwi do framugi i mocno wierzy w potęgę

ich zamka, bo nie chce, by znów się otworzyły. Niech zostaną zamknięte. On i drzwi w kuchni. Tyle, że to go nie uspokaja. B teraz boi się także czegoś innego. Nie ma już tamtych potworów. Nie ma ciemności. Jest za to ojciec i matka oraz lęk, że go zawrócą. Że będą patrzeć na niego wymownie z powodu jego przypadłości. Od-dycha więc coraz szybciej, zamyka oczy. Przed nim stoi ojciec, który milczy. Nadal coś maluje, coś reperuje, w ręku ma pędzel albo śrubokręt. Lecz chaos remontu deformuje jego zamiary. Pęknięć na ścianie i zarysowań podłogi przybywa. Szafka wciąż mogą się przewrócić. Obok matka. Tyłem do ojca, przy kuchennym stole. Ma nóż, jest zmęczona. Chyba nie cieszą ją święta albo nie wierzy w zmartwychwstanie. Martwi się tym, że znowu kuchnia nie nadąza za jej wyobraźnią, a ona musi do północy pociąć na drobno wiadro warzyw ugotowanych w mundurkach. Na blacie wielkiej białej szafki stygną ziemniaki i marchew. Skórka się na nich marszczy. Kurczy się ich przeznaczenie. Tak — nic szczególnego z nich nie powstanie. Chyba sałatka z majonezem i musztardą. Z dodatkiem nasion groszku i drobkami kiszonego ogórka. Całość okra-si znacząca ilość siekanej cebuli, która — w epoce poprzedzającej dobrodziejstwo lodówki — szybko doda goryczy treściom zamkniętym w szklanych stojach, w spiżarni koło kuchni.

A chłopiec? Zostaje tam jeszcze przez chwilę, utamek czasu, którego rozmiarów nie zapamięta. Trwoga mija bowiem wraz z końcem Wielkiej Soboty. Nadchodzi noc. Odzyskany spokój łączy się z sennością, w której na zawsze utrwala się tylko trywialny smak i zapach cebuli. Wtedy i tydzień później: gdy sałatka warzywna jest już nieco stęchła. Siedem dni po zmartwychwstaniu pańskim, gdy śnieg topnieje i wszystko wy-darzyć się może ponownie.

*

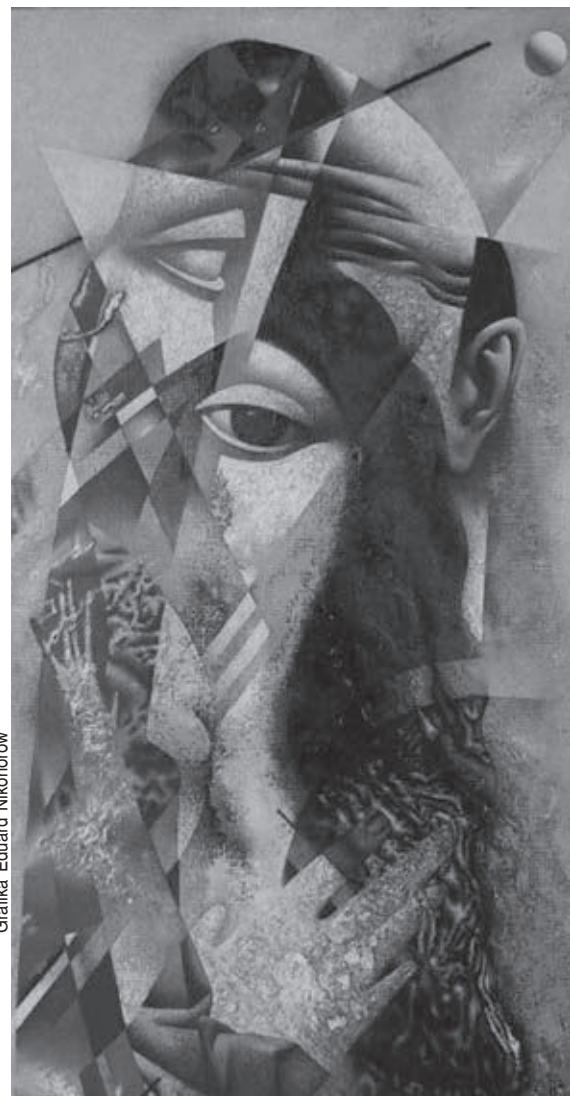
A później nadchodzi wiosna i cały świat dziecinnieje. Maj jest upalny. Przedpołudnie gorące, a chłopiec dziecinnieje. Jakby się cofał w czasie razem z opowiadaniem. Już nawet nie chodzi. Raczej pełza. Lecz wciąż próbuje pomóc ojcu, który kolejny raz ma zamiar malować kuchnię. Kuchnia jest duża. Zbyt obszerna, za wysoka, nie widać końca, gdy chłopiec — z głową blisko podłogi — czołga się powoli od okna do drzwi. Ojciec zaczyna remont. Przykręca. Maluje. Używa tylko bieli, która ma pokryć szkaradne wojenne kolory. Płynie więc szeroką strugą biała olejnicą i wszystko na jej drodze wydaje się znów białe. Lecz praca jest ciężka. Żal ojca. Nie idzie mu zresztą zbyt szybko i dobrze. Trzeba wypełnić ubytki w glazurze. Trzeba pozmienić wzór terakoty. Trzeba zakleić gipsową szpachlą dziury po kulach, które zbłądziły i naznaczyły ściany chaotycznymi wzorami. Zmarszczki po nich są wszędzie. Dziury. Ubytki. Także przy drzwiach do spiżarni, które też trzeba pomalować na białą. Ojciec zdejmuje je z zawiasów. Stawia przy ścianie skrzydło, które przeżyło już wiele. Potem podnosi dębowy próg niczym wieko trumny. Spostreżenie w szparze nóż, który próbuje wyciągnąć trzymając za ostrze. Ciągnie. Mocno. Ku górze. I kałeczy się mocno jego zakrzywionym ostrzem do czyszczenia kopyt. Krew płynie strugą po białych kafkach podłogi. Krew tryska i jest wszędzie. Płynie wstecz — aż do matki. Lecz nie doływa. Tężeje w połowie drogi. Zastyga w ogromną, szerniącą plamę, w której ojciec znika.

Widok na całą spiżarnię jest wreszcie otwarty. Chłopiec już nie wspomina. Teraz

po prostu widzi — puste półki z próżnymi stojami, bez dekl, wypełnione pogruchotanym szkłem. I sprężyny wecka porozrzucające po półkach. Ciężko ogarnąć ten chaos. Od podłogi aż do sufitu — jedynie bezmyślny nieporządek i nieobecność szczegółu. Być może wtedy zapomina, że ojca już nie ma. Chłopiec przemieszcza się więc teraz niczym stworzenie prenatalne. I nikt już nie może go zatrzymać. Przez korytarzyk przy kuchni, ślizga się aż do spiżarni. Lecz tam też tylko nic. I czuć koniec. Lecz się nie zraża. Pełźnie dalej. I głębiej. Niczym embrion. I przez oskrzela — na samym dnie — wchłania atrybuty drobiazgu. Ogarnia wzrokiem zapachy i widzi to, co się już tylko czuje: zaprzeczłość sznurów białego czosnku i warkoczy żółtej cebuli, był niespełniony skrzyni z szarą renetą i niemożliwość szeregu stojów pełnych zmyslnych zakąsek i godnych boskiej nieśmiertelności form uwiecznienia owoców.

Wtedy z najdalszej głębi, z czarnej ciemności, dochodzi go zapach beczki z kiszoną kapustą, która jedzie właśnie na tramwajowej drezynie po nieużytecznym torowisku przy Strasse der S.A., aż do zajezdni, gdzie specjaliści od pirotechniki robią z niej sub-erbombę. A potem turlają ją na pierwszą linię frontu, gdzie tajna broń na bolszewików wybucha niespodziewanie — wbrew nieudacznym kreatorom śmierci — na tyłach domu przy Wölflstrasse 16, tuż koło okna kuchni, w tej samej chwili, gdy — trzymając się rynny — ucieka z niej Otfried Wanze. Ogarnia go podmuch gorącego powietrza. Bez reszty pochłania go jej zapach. Trotyl i zgniła kapusta. Mieszanka, która sprawia, że kuchnia jest wszędzie. Krew transmutuje — w formie konfitur z czerwonych owoców ścieka po półkach i policzkach. Ból jest przepisem, a strach tylko jedną z przypraw. Nawet bolesne rany zestala odtąd perswajda pektyn.

CEZARY SIKORSKI



Grafika Eduard Nikonorov

Marian Lech Bednarek

wiersze zgryźliwe

Pociąg

O czym myśli pociąg
gdy jedzie
z otwartą gębą
można tam peta zgasić
napluć
nasmarkać
naszczać
włożyć buta ze zmęczenia
odgryźć się za to całe spięprzone życie

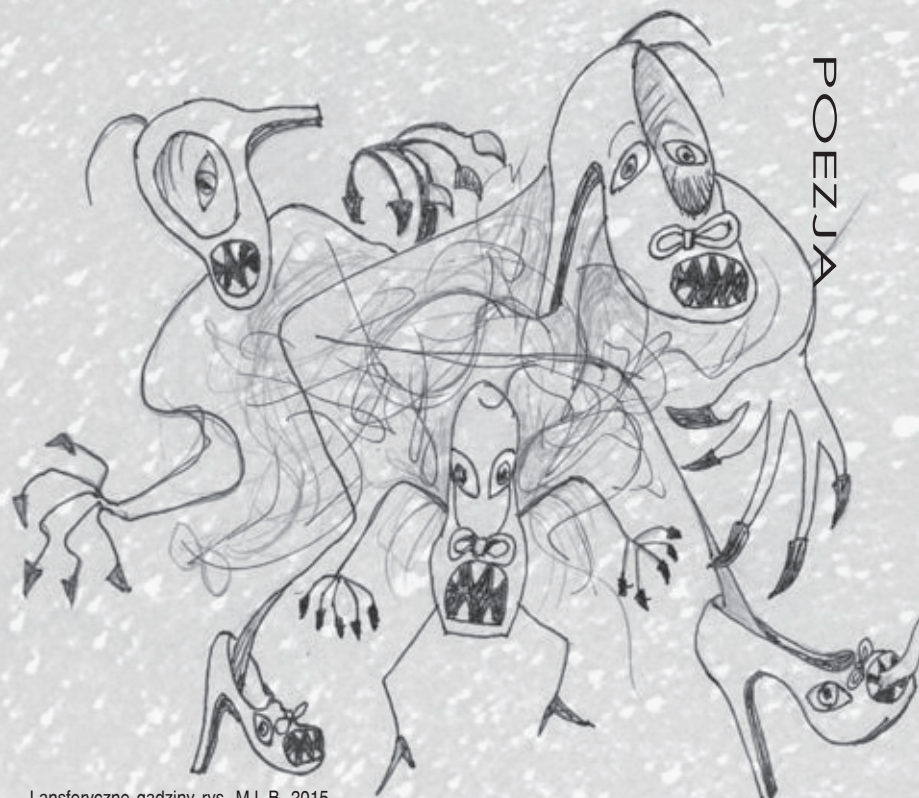
może dusza pociągu tam mieszka?

Ale o czym on myśli
gdy ten na jednej nodze ledwo ledwo
a tamten jak król rozwała się
koszula wyłazi goły brzuch świeci
żyły pocięte za Ewkę
z młodości
teraz to już stare próchno
ręka w kieszeni
portfel gładzi
jej skórę
dawną

O czym myśli ten pocięty żyłętą
pobazgrany mazakami
gdy tylu na niego czeka
a ten tylko śmignął przed nosem
wszystkim
i wysłał esemesa
„przepraszam ale pomyliłem trasę”

Gacie

Zwykły człowiek, gacie tu, gacie tam,
gacie mówienia, gacie patrzenia, gacie my-
ślenia,
strach o gacie, inwestowanie w gacie,
walka o gacie. Tylko miłość bez gaci.
Tak, miłość musi być bez gaci.



Lansferyczne gadziny rys. M.L.B. 2015

Diament

obróbmy ten diament
pracuje nie gorzej niż księżyc i słońce
choć męczy się szybciej

(czy naprawdę moje narzędzia
są sprawne?)

potem ślaniając się idzie na przystanek

(ktoś by to obrabiał ktoś nie)

jej diament lśni
huśtającą się na ramieniu torebką
w domu ratuje się prysznicem kolacją telewizją
ale czy się uratuje?

(ktoś by to obrabiał do bólu
aż bardziej załśni
ale ktoś inny palcem by już nie kiwnął)

potem noc bez kochanka

(ktoś by to obrabiał z ręką w kroczu
ktoś ukradł by opylić za największy szmal
by do końca życia mieć już święty spokój)

ale czy to czy tamto
czy za czy przeciw
pro anty czy post
pospost ultra czy neo
czy vanitas vanitatum
wstaje nowy dzień po dwóch stronach
barykady tego padołu łez
diament chwyta się za brzuch
bo właśnie ciotę dostał

Maciej Froński

Będzie już ponad dwadzieścia pięć lat, odkąd po raz ostatni byłem w Zjednoczonym Królestwie. Licealną fascynację angielszczyzną zastąpiły inne fascynacje, a też trzeba powiedzieć, że nie jest to państwo na moją kieszeń. Tym niemniej pamiętam jeszcze sielskie wzgórza Peak District, na których pasty się owce, pamiętam malownicze ruiny zamku Rhuddlan wśród łuk nad brzegiem rzeki czy górskie jeziora Walii, nad którymi nie nudziłoby się lakiści. Z drugiej strony pamiętam też częstą mżawkę, brzydkie plaże odsłonięte przez odpływ czy miasta pełne szarej, ciężkiej, wiktoriańskiej architektury, między którymi mogliby przemykać urzędnicy bankowi w płaszczach i melonikach. Pamiętam czerstwego, sympatycznego taksówkarza z Manchesteru, ale pamiętam też pełną uprzedzeń społecznych młodzież.

W poezji portrecistą tej mniej ładnej Anglii jest Philip Larkin. Ten urodzony w 1922 i zmarły w 1985 roku poeta, który całe życie spędził pracując jako bibliotekarz na prowincjonalnym Uniwersytecie w Hull, dał się poznać między innymi (co podaje za Andrew Motionem) jako wyraziciel bardzo angielskiej, ponurej precyzyjności w opisie emocji, związków i właśnie miejsc, choć rzadko kiedy są to krajobrazy. A jeśli już, to nad tradycyjną, wiejską Anglią dominuje krajobraz miejski, przemysłowy. Zakupy, rybołówstwo, drobna wytwórczość, zwłaszcza kolej często przyciąga uwagę Larkina.

Oto jak wypowiada się on o swoim rodzinnym mieście, Coventry: (...) „Najpierw ogród: to za jego furtką / Nie oślśniła mnie nigdy żadna absolutna / Teologia natury albo mądry starzec. / Dalej, owa rodzina, w której ciepłe łono // Nigdy się nie wtulałem, nekany depresją! (...)”¹. Depresja, bo zawsze jest jakiś problem w tle, Larkin nie jest przecież pejzażystą w stylu Jacka Merriotta, najbardziej chyba znanego autora brytyjskich plakatów kolejowych. Jeśli depresja, to czemu nie samotnością, tęsknotą za czymś, niespełnionym, a może tylko mniej oczekującym od siebie życiem: „...A w tym pokoju mieszkał pan Bleaney – przez cały / Czas swojej służby, znaczy się, aż go przenieśli”. / Brzeg kwiciastej zastony strzepi się pięć cali / Nad parapetem okna, wpasowując w prześwit // Wąski pasek widoku na puste parcele / Z ich kępami i śmieciem”². Bo przecież zaraz potem czytamy: „(...) draśnięty lękiem, // że w tym jak nam się żyje, odbija się nasza / Natura i że w jego wieku mieć pod niebem / Tę wynajętą klitkę najpewniej oznacza, / Iż nie zasłużył na nic więcej”³(...). No bo w jakiej depresji może być wychowujący się w domu z ogrodem młody Anglik przed utratą Indii? Wróćmy jednak do pejzażu miejskiego: „Tłum za pół ceny, miejski, lecz prosty, mieszkańcy / Przedmieść, gdzie tylko krewny lub komiwojażer / Zajrzy – zamknięci w rybą cuchnącej sielance / Statków, urzędu ceł, zakładów tatuażu, / Muzeum niewolnictwa, ponurych żon w chustkach”⁴. Oczywiście wyobraźni widzę, jak te ostatnie portretuje Edward Burra.

„Żte życia kończą się śmiercią” – jak na billboardzie w jakiejś kampanii społecznej głośił kiedyś obraz – dzisiaj się okazuje, że autorstwa Pawła Susida. „A dobre czym się

kończą?” dopisała złośliwa ręka w alei Powstania Warszawskiego w Krakowie. U Larkina jest podobnie: „Po co są dni? / W dniach mieści się nasze życie. / Jeden po drugim nastają / I budzą nas ze snu. To w nich ma nam być dobrze: / Gdzie żyć, jeśli nie w dniach? // Ach, znaleźć na to odpowiedź, / A zaraz zjawia się ksiądz / I lekarz – obaj pędzą / W długich płaszczach przez pola”⁵. Na to, że poezja Larkina „przedstawia Anglię jako ohydny, upadający kraj”, zwracał uwagę już Czesław Miłosz⁶. Nie zapominajmy jednak, że obok tej brzydkiej Anglii jako jej uzupełnienie istnieje w wierszach Poety z Hull duszna atmosfera klasowego społeczeństwa angielskiego. Larkin atakował je ze zbliżonych pozycji do tych, z jakich w tym samym mniej więcej okresie robił to Latający Cyrk Monty Pythona, krytycznie obserwujący brytyjskie życie, społeczeństwo i instytucje⁷. Niech za przykład posłużą choćby skecze o brudnym widelcu czy o Ministerstwie Głupich Kroków.

A teraz coś z zupełnie innej beczki – być może wcale nie, ale może jednak właśnie dlatego, że tyle u Larkina tej angielskiej brzydoty, jego najbardziej popularnym wierszem pozostaje „This be the verse”, który przedstawiam tutaj we własnym przekładzie:

A niech to idzie tak

Różną ci psychikę rodziciele,
Chcący, niechcący – różną, aż kwili;
Nie dość, że po nich wad masz wiele,
Jeszcze by coś ci dołożyli.

Lecz ich też kiedyś przeczołgali
Durnie od fedor i od pelis,
Co albo byli zdzieciniali,
Albo się prawie pogryźć mieli.

Pałeczka udręczenia coraz
Cięższa przez pokolenia leci;
Zwijaj się, póki jeszcze pora,
I mieć nie próbuj własnych dzieci.

Kurczę, Larkin, mimo że się nigdy nie ożenił, a może właśnie dlatego, miał całkiem bogate życie seksualne, potrafił romanseować z trzema kobietami naraz, a i jako bibliotekarz – pamiętajmy, że bibliotekarz w Anglii to nie to samo, co stereotypowa szara myszka pracująca w polskiej bibliotece – odniósł niesamowity sukces. A jednak nie potrafił go sobie wyobrazić inaczej niż tak, jak go przedstawiła na zdjęciu Fay Godwin – jako dobiegającego pięćdziesiątki tysego mężczyznę w rogowych okularach, duszącego się pod krawacikiem, ściśniętego marynareczką. Gdyby jeszcze miał aparycję Jamesa Bonda, ale nie miał. Może powinien więcej takich wierszy pisać? A może właśnie napisał, tylko trzeba się do tego umieć dokopać?

MACIEJ FROŃSKI

1 I remember, I remember, tł. St. Barańczak, 444 wiersze, Wydawnictwo Znak, Kraków 2017, s. 463.

2 Mr Bleaney, tł. St. Barańczak, tamże, s. 468.

3 tamże, s. 468.

4 Here, tł. St. Barańczak, tamże, s. 467.

5 Days, tł. St. Barańczak, tamże, s. 480.

6 Cytat za: Jerzy Jamniewicz, „Dlaczego Miłosz nie lubi Larkina”, Literatura na Świecie nr 12/1997, s. 208.

7 Tomasz Dobrogoszcz (ed.). „The British Look Abroad: Monty Python and the Foreign”. Lanham, Maryland: Rowman & Littlefield, 2014.

BRZYDKA ANGLIA U LARKINA

Marek Jagliński



„Metafizyka CCLXI”

XI przykazanie –
W porze nocnej
wyobraźni
nie zakłócać
ciszy dnia

Myśli
jak psa wszechświata
trzymać za mordę
zmysłów

Wyprowadzać uczuciami
w obroży marzeń
na spacerzy snów

Na manowce wieczności

„Metafizyka CCLXII”

... jesteś
wciąż na garnuszku
u Boga

za starym piecem
czasu

w którym
diabeł pali
siódmym niebem

„Metafizyka CCLXIII”

Mów mi
duszę
ściszonym głosem
sumienia

Patrz
w szeroko otwarte
oczy słów

na wyciągnięcie
języczka uwagi
w zapomnianej gębie
przestrzeni

między zaciśniętym
w pięść
zębami czasu

„Metafizyka CCLXIV”

W myślach
anielskich łez
unos się
sól ziemi czarnej

Po policzkach sumienia
spływają
myśli Boga

W kałużach duszy
święcony deszcz
nieba

„Metafizyka CCLXV”

Czarny kot
przeszedł mi drogę
na inną wiarę

Pies
z kulawą nogą
na cztery wiatry
nadziei

i nawet
anioł stróż
nie wyściubia miłością
nosa z domu

Marek Jagliński, ur.1962 r we Wrocławiu. W mieście tym zamieszkuje do dzisiaj. Opublikował dziesięć książek poetyckich. Ponadto publikował w almanachach oraz pismach literackich, takich jak: „Metafora”, „Akant”, „Gazeta Kulturalna”, „Rzeczpospolita Kulturalna”, „Okolica Poetów”, „Odra”, „Poezja Dzisiaj” i „Pisarze.pl”. Tłumaczony był na język angielski oraz esperancki.

Kazimierz Sopuch

Z mojego obserwatorium

Jego powrót

Powrót do miasta młodości wydawał mu się łatwy
To było jego miasto, w którym uczył się wszystkiego
I natychmiast uczył innych tego, czego się nauczył

Był lubiany i przyjmowany przez dziewczyny
Wszystkie jednak twierdziły, że jest niezdecydowany
Gdy odjeżdżał z tego miasta obolały,
opuszczony tylko przez jedną
żadna po nim nie płakała

Teraz wraca samotny
Odwiedza swoje dawne dziewczyny
Patrzą i widzą pomięty pergamin
z którego odczytują tylko jedno zdanie:
Zawsze byłeś niezdecydowany
Zaczął im tłumaczyć
że niczego nie rozumiała
Patrzyły pustymi oczami
I wiedziały swoje

Skończyły się odwiedziny
Pozostali nieznani ludzie
I odpadające tynki
z zabytkowych kamienic
Nadszedł czas odwrotu do miejsc
których już nie ma

OLSZTYN, 31.03.18

Ptaków spoczywanie

Nad jeziorem Juno
ptaki swobodnie
towarzyszą ludziom
którzy tu mają
wieczne spoczywanie

Za to że siedzą
na krzyżach wytrwale
daj im o Panie
ptaków spoczywanie

Słońce czy ślota
czy śniegu spадanie
zawsze wśród mogił
słyszeć ich śpiewanie

W chwili ostatniej
w jezioro spadają
Nastaje cisza
i kręgi na wodzie

Za to ich ciche
w jezioro spadanie
daj im o Panie
ptaków spoczywanie

A mnie o Panie
daj wśród tych ptaków
wieczne spoczywanie

Muzie - na pożegnanie

W słońcu jesteś ze mną
znikasz gdy mrok
by wtulić się w ciemność

Osłoń mnie przed ciszą
która trwa bez ciebie
jest szorstka i nieczuła
uwikłana w zło
W tej ciszy zastępnę
choć lawa jest we mnie
stwardnieję wśród skał

Milczysz – zawsze milczysz
Może nie ma cię?

Jesteś małżem ściśniętym
Nawet ostry ból
nie otworzy ciebie

MRĄGOWO, 24.12.17.

Słyszę Cię

Irence

Słyszę Cię codziennie

Kiedy Cię zobaczę
obudzę do życia
abyś była moja

A Ty tylko mówisz ...

Śmiejemy się z siebie
zanurzeni w smutku

Kończysz conocnym
- Śpij spokojnie -
nie dodając
- kochany

Ja
kalecząc siebie
też milczę o kochaniu

Czy zamilkniemy w milczeniu
bez dotyku ramion
chciwych naszego istnienia?

Jesteś poza moim dotykiem
i choć mówisz do mnie
codziennie
pozostajesz „w sobie”

Chciałbym
abyś była „dla mnie”

GDYNIA, 2.11.17.

X X X

Tak – słyszę Cię
Ewo
zjadłś
zakazany owoc
Masz jeszcze drugi -
zostawiasz go temu
którego już nie ma

X X X

W moim raju
rośnie grusza
i ma dwa owoce:
dobra
i zła
Owoc dobra
zostawiam tobie -
ja zjem
owoc zła

X X X

W cieniu naszych słów
rodzi się milczenie
i zamyka nam usta

ZAWADA, 6.05.18

Powoli

Powoli
żegnam się z sobą
Moje obserwatorium
cicho i bezboleśnie
zamiera

Kłaniam się wszystkim drzewom
które posadziłem -
najwyżej
pną się brzozy
Zabrały
moją siłę młodości
i wiarę
w istnienie bez granic

Codziennie patrzę w niebo
by dostrzec
ślad istnienia
w nieskończoności

Drzewa
kłaniają mi się smutno
a pszczoły
przygotowują się do odejścia
ze mną

Wśród niezapominajek
zakopałem moje łzy -
może zakwitną

ZAWADA, 9.05.18.

Wzajemne ocalenie

Maryjce

Mówię jak Chrystus
do Marii – Magdaleny:

Zaprawdę zaprawdę
powiadam ci
nie znasz dnia ani godziny
w której nadejdzie
czas twój

Już stado jastrzębi
krąży nad tobą
by cię rozdziobać

Jestem jedynym
który stępi ich dzioby
i odeśle ptaki
do krain odległych

Fruwam nad tobą
by cię chronić

Zaklinam cię -
bądź moją Marią – Magdaleną
w którą się wtulę
jak ptak w dziuplę
wierząc że będziesz
moim ocaleniem

Pochyl się nade mną
przytul i nakarm
bo zastygam w locie
między niebem a ziemią

Syty i ogrzany
ocalę ciebie

ZAWADA, 17.05.18

Anna Piliszewska

Mors malum non est, sola ius aequum generis humani

Ojcowie liryków funeralnych: Pindar, Symonises z Keon, Newiusz czy też przestawny Owidiusz, znaleźli rychło godnych siebie kontynuatorów – dzieło ich, dotyczące kresu ziemskiego życia, spięte jest bowiem zbyt solidną klamrą z samym faktem istnienia, by nie odcisnęło swego śladu – transcendentalnego piętna na "skórze poezji". Stąd zdaje się być wręcz niemożliwe, by mogło, jako zjawisko literackie, zaledwie krótkotrwale pojawić się i naraz zniknąć niedostrzegalnie. Wręcz przeciwnie! Funeralna poezja musiała rozkwiatać.

świętej, prawie dotykanej, mającej właściwość rytu, a zatem odtwarzania – czyli natury mitu [sen, który jest zapisany, śni się in illo tempore] z semantyką kolorów – ów związek tej wstrząsającej, funeralnej poezji z teleologią barw. Jest to coś, czego nie czyni przed Grajewską doprawdy żaden poeta. Żaden, spośród takich poetów, którzy tykają diapazonów śmierci, doświadczając imaginacji metafizycznej.

Autorka pozostawia sobie margines

konkretnie barwy przywołuje na straż! Pisze: „Smak /lodów truskawkowych wabił mocniej i rower/ srebrno – niebieski. Dobrze ci w błękitcie” [Ed, s.53]

W tomiku przeplatają się różne barwy – od błękitu przez czerwień, po czerń, mając status symboli. Tworzą kształty, tży, wzory.

Barwy snów, barwy marzeń, barwy nagłych odpomnień. Grajewska używa rozmaitych odcieni do zapisu legendy i poetycko czerpie z panoptikum kolorów, jednak w po-

WIELKI BŁĘKIT – TELEOLOGIA BARW RZECZ O CZUŁOŚCI I KOLORACH

Dlatego nikogo nie dziwi fakt, iż kontynuacji tego typu twórczości podjął się chociażby sam Francesco Petrarca.

W Polsce poeta, który dla najbardziej nawet nieoczytanego odbiorcy, kojarzy się z misterną sztuką tworzenia trenu, jest geniusz z Czarnolasu. I bez względu na wciąż toczący się bezsensowny i nierozstrzygalny dyskurs, a ściślej bez względu na niepotrzebnie postawione pytanie: czy Kochanowski powołując do istnienia swe najkongenialniejsze z arcydzieł, wystawił wiecznotrwały monument bardziej sobie czy małej Orszulce, poezja funeralna była, jest, będzie...

W nurt współczesnej funeralnej poezji wpisuje się tom poetycki autorstwa Małgorzaty Grajewskiej zatytułowany *blisko, bliżej, za daleko*, będący nie tylko literackim zapisem, czy raczej dokumentacją *stricto* ludzkiego doświadczania śmierci, lecz równoległe polemiką dotyczącą istnienia, straty, pamięci, eschatologii – nadnaturalnej relacji: z kim – z Bogiem?, z drobinami Logosu uproszonymi na ziemię?, z filozofiami świata?, z życiem jakże układnie sprzężonym z nieuchronnością Mors/Śmierci? Z przynośnością istnienia czy z Niebem? Z dzieckiem, które autorka określa mianem „niebieski chłopiec”...?

Literacki krytyk Leszek Żuliński podaje, że w owych wierszach dzieje się „nieustająca rozmowa z Synem. Rozpamiętywanie (...)”. To racja! Ale jest wiele więcej. Także i sam Żuliński natychmiast dopowiada, iż toczy się tutaj dialog także z „Przeznaczeniem i Absurdum”. I to też! bez wątpienia – jego wnikliwa ocena dotyka wszystkiego tego, co ziemskie i teologalne, tego, co jest między jawą a snem, między teraz a szmerem – szepem pozaziemskości.

Jednakowoż należy tu wyraźnie uwypuklić fakt powiązania poetyckiej czułej imaginacji, *sacrum* i wariabilistycznego czasu – czasu i magicznego, i ruchomego; zmiennego, zaszyfrowanego w przestrzeni

prywatności – przestrzeń dla odrębnego „Ja” inaczej od swych poprzedników; milczy – choć równolegle przecież mówi do wszystkich (potencjalnych odbiorców) właśnie słowem i barwą. „Ja” Grajewskiej jest czułe, wszczepione w czas kolisty, w sen istnienia, i w czas niebieski, odległy, raczej nieokreślony, jednak zawsze podległy ścisłym prawdom barw.

Barwa jest. Barwa dostrzega barwę i się barwą objaśnia – niczym sen czy przypowieść. Barwa jest tym, co konstytuuje sen w przestrzeni rzeczy; jest okrzykiem i ciszą.

Grajewska konkretnymi barwami szkicuje pejzaż świata oraz zaświata, zamazując granice. Szczelina pomiędzy ŚWIATEM a imperium ZAŚWIATA zdaje się być niedostrzegalna. Grajewska, korzystając z prawa poetyckiej iluminacji, wyjaśnia: „granica wytrzymałości przebiega przez pamięć”.

A zatem jej poezja to labirynt cieni, zmuszający odbiorcę do wątplenia w krainę „*mors omnia aequat*”, która podług Klaudiana Klaudiusza równa nas w doświadczaniu (Mors), a równocześnie do zaufania temu, co przekracza omyślność empiryczną człowieka. *Accipiat cineres terra paterna meos*?

Oniryzm i pochód cieni – to jedno.

A przecież w tej poezji jest pierwiastek realny: pierwsza sprawa to ludzki motyw powstania tomiku – odejście niespodziewane. Odejście własnego dziecka. Zapis tego zdarzenia.

Druga sprawa – cierpienie. Wierny zapis cierpienia.

Wszystko to emanuje, wszystko wybiega z wersów. I wszystko chce przemawiać – z jednej strony literą, a z drugiej paletą barw.

Małgorzata Grajewska, jawiąc równocześnie i poetkę, i matkę, i przeobraża się naraz w apologetkę świętej, macierzyńskiej miłości – a czyni to malarsko – stąpa przez świat kolorów; to je stwarza, to przywołuje z przeokrutnej nicości – niczym herold; by mogły świadczyć o jej wierności. Wersami

ezi dominujący błękit sprawia, iż w metafizycznej aurze odstania się świat niebieski.

Kolor błękitny dawniej, konkretnie w starożytności, oznaczał wilgoć i kontemplację, czułość i powietrze. W średniowieczu zaś niepokalanie, w romantyzmie – boleść, w Młodej Polsce – martwość. Natomiast Małgorzaty Grajewskiej błękit jest kolorem sumienia. Jest też Krzyżem Miłości, wiary i wyrazem tęsknoty.

Autorka pisze: „Jesteś nadal błękitny jak szczelina w ziemi. / Oświełam twój kamień. / co może nam się jeszcze zdarzyć?” [Zapach – *uzupełnianie przestrzeni*, s.16.] Cały świat dookolny kipi gamami znaczeń, gdy Grajewska się schyla się w błękitną stronę snu – snu z przestrzeni odpomnień, onirycznych obrazów, cieni, latarni z powietrza. Między pyłem a ziemią.

Błękit chętnie wykorzystywany był w rozmaitych utworach literackich. I tak Bolesław Leśmian w *Przygodach Sindbada żeglarsza* pisze następująco:

Młodzieniec skrzydlatym krokiem udał się ku północnym brzegom wyspy. Szedłem za nim i czułem, że w miarę zbliżania się do celu naszej podróży kwiat płomienny coraz mocniej żarzy się w mym zanadru (...). Gdyśmy wreszcie przez rozwartą na oścież bramę zakłętą grodu wstąpili do jego wnętrza, cudowny i niespodziany widok uderzył moje oczy. Cały gród był błękitny, bowiem król Mirakles od tysiąca milionów lat śnił sen nieustannie i nieprzerwanie błękitny.

Gród Grajewskiej to malowane niebo, w którym skrzydła aniołów; w wierszu *Barwy scalone. Niebiesko – żółta*, nawet w samym tytule widnieje malarski akcent:

jest takie miejsce
gdzie pole rzepaku przekracza granice
nieba
pora nijaka lecz naznaczona konkretną
godziną

jak nieszczęśliwe położenie słońca

skrzydła aniołów na pewno są niebieskie
kołyszą żółtym łańcem w pośpiechu
(...)

horyzont już nie ma znaczenia
poza mną jaskrawe pole
błady błękit ponad”[s.34]
Błękitny jest też chłopiec, który jawi się
w wersach. Grajewska pisze:
Chłopczyku wstań
duch jego nie powrócił i nie powstał nigdy.
Niebieski
za każdym razem przechodzi
przez sen. [Lamentacja pierwsza,
s. 28.].

RW CZYLI ZAŚWIATA

Autorka ubierając sny w błękity, przeciwstawia je innym kolorom, które też są obecne w wierszach:

„(...) zabrałabym
błękitnookiego w daleką podróż (...)”
[Bezistnienie,s.32.]

„Ujrzałem błękitne pałace, błękitne mosty, błękitne drzewa i kwiaty, i ptaki, nawet bruk na ulicach był błękitny” pisze Bolesław Leśmian – świat Sindbada żeglarza jest baśniowy i barwny, a jednak czai się jakaś groza, a przecież mieszka w nim strach. Podobne pierwiastki grozy zawiera też świat Grajewskiej i zaświat:

(...) Ciasno. Cicho. Tylko
niebo otwiera usta i wypuszcza motyle
bielsze od jaśminu.

(...) Wody rozlane błękitem
Wracają do źródeł. (...) [s.38]

Lecz obok tego w wierszach świeci lampa
nadziei:

Kiedyś przyjdzie chłopiec błękitny
i otworzy moje oczy,
aby się razem dokończyć,
rozpocząć. [Na pewno, s.43.]

O poezji zawartej w tomie *blisko, bliżej, za daleko*, sama Autorka mówi, że wiersze jej „pozwołyły zaledwie obrysować ranę” i są liryczną próbą ocalenia pamięci. Bo przecież wierna „pamięć nie chce umierać niczym/ śmiertelne wczoraj”, szuka zatem przestrzeni transcendentalnej, gdzie kiedyś spotka się z dzieckiem; gdzie Bóg, dobro i prawda...

ANNA PILISZEWSKA

Grafika Edward Nikonow



Grzegorz Bazylak

Weekend na Żoliborzu

Tego dnia
zrywane na Podhalu podmuchami historii dachy
z wypożyczalni sezonowych marzeń
starannie omijały wyjątkowo źle zaparkowane
lecz dobrze wypasione porsche carrera ale bezwzględnie
unicestwiały spacerujące po ośnieżonych stokach gór
matki i córki

Tego dnia
wyświetlona na ekranie mego laptopa
mgławica tarantula nachalnie zachęcała do nadawania imion
moich byłych eks natrętnym insektom i karaluchom
aby mogły stać się walentynkową przekąską dla
seksualnie sfrustrowanych mieszkańców zoo
i pstrągów cętkowanych w potajemnie
zarybionych akwaparkach

Weekend W Sopocie

Długo krążyłem
w kwadracie ulic obok placu rybaków
jak nienazwane wyobcowanie
które doprowadza do szaleństwa

Długo krążyłem
wśród barier na moło obwieszonych
zatrzaśniętymi na zawsze kłódkami zakochanych
w zapadającym pod falochronami mroku

Długo krążyłem
wzdłuż napełnionej ciszą styczniowej nocy
piaszczystej plaży na której
wreszcie nie byłem
przedmiotem negocjacji

Długo krążyłem
wokół zalanych słońcem czterech kutrów
które cierpliwie wyciągały na brzeg
nieustające krzyki mew
wpisane w sen modlitwy
o ich połów obfity
i powrót szczęśliwy

Długo krążyłem
krążyłem uparcie
aż usłyszałem twój
„szept głosu głós szeptu
przedzierający się przez krzew mowy”*)

Sopot, HOTEL EUREKA, 22/23-01-2020

Tego dnia
w bezśnieżnej scenerii zimowych ferii
wreszcie skutecznie zatruty mocno zdyspersowanym czadem
jak dwumiesięczne bliźnięta krótko po karmieniu
w szczątkach mojej odciętej głowy
znalazłem w końcu od lat ukrywaną przez komórki
do zwalczania cyberprzestępczości radosną wiadomość
o braku ości w nadziei
i narastającym deficycie mięsa
w poezji

BYDGOSZCZ, 10-02-2020

*) Andrzej Krzysztof Waśkiewicz (1941-2012), Notatka (III),
z tomu „Widmowe światło wspólnoty”, Wyd. Anagram, Warszawa 2001, s. 125.

Eugeniusz Kurzawa

FESTIWALE BARDZO WYKŁĘTE

Książka Bartosza Żurawieckiego „Festiwale wykłęte” w niezwykle interesujący sposób opowiada o dwóch wielkich imprezach muzycznych lat 60., 70. i późniejszych. O Festiwalu Piosenki Radzieckiej w Zielonej Górze i Festiwalu Piosenki Żołnierskiej w Kołobrzegu. To może nieco zaskakujące, że autor takich powieści jak: „Trzech panów w łózkę, nie licząc kota” (2005), „Ja, czyli 66 moich miłości” (2007), „Nieobecni” (2011), „Do Lolelaj. Gejowska utopia” (2017), na dodatek krytyk filmowy i felietonista, wziął się za imprezy – teoretycznie – zupełnie nie z jego bajki. Na dodatek podejmując się tego zadania raczej nie mógł liczyć na poklask ani mainstreamowych mediów, ani urobionej przez aktualną propagandę publiki. Pod adresem obu festiwali bowiem – zwłaszcza w obecnej epoce – padają opinie o ich propagandowym charakterze. Opole i Sopot (pomijając niuanse) uchroniły się od tego piętna, natomiast te dwa ważne wydarzenia muzyczne zostały, już w IV RP – wykłęte, podobnie zresztą jak wykonawcy pojawiający się na tamtych estradach, co na kartach swej opowieści udowadnia autor anonowanej pozycji.

Zauważmy przy tej okazji, jak względnie jest określenie czegoś zwrotem „propagandowy, propagandowa” i jak w naszym, polskim przypadku jednostronne, bo deprecjonujące nasze własne osiągnięcia. Otóż przez niemal wszystkie lata socjalizmu w Polsce, szczególnie w okresie gierkowskim (oczywiście także wcześniej i później), z przyjemnością wręcz chodziliśmy do kina, oglądaliśmy w telewizji filmy produkcji USA, które były ewidentnymi wytworami tamtejszej propagandy. Można wymienić setki tytułów made in USA wciskających nam zaatlantyki punkt widzenia. Znakomitym przykładem jest durny Rambo, żołnierz-agresor z wojny wietnamskiej, który w kilku filmach pozuje na bohatera „białej cywilizacji” walczącego z „żółtkami”. Propaganda USA – kraju, który napadł na Wietnam i w imię obłąkańczej idei „walki z komunizmem” w Azji, tysiące kilometrów od swoich granic – odwraca, w kolejnych odcinkach Rambo, kota ogonem. To „żółtki” są agresorami, sadystami, mordercami, natomiast bohater, szlachetny – i nierozumiany przez własne społeczeństwo – bojownik „za waszą i naszą wolność” jedzie (już po skończonej wojnie) do Wietnamu, do Azji i tam robi zadymę, a w zasadzie (filmowa) masakrę na tubylcach. Choć na początek u siebie, we własnym w kraju. W filmie występuje jednak, paradoksalnie, jako ten dobry, obrońca uciśnionych, wyzwoliciel jeńców etc. Zapewne wielu widzów miało świadomość, że ogląda kłamstwa i nachalną propagandę, lecz machało na to ręką. Atrakcyjnie podane obrazy, kino akcji, oglądało się po raz drugi, trzeci, tym bardziej, że później nasza telewizja chętnie rzecz przypominała. Można by tu jeszcze wrócić do filmów o „szlachetnych kowbojach”, którzy z biodra tłukli całe tabuny „zdziaczonych czerwonoskórych” chroniąc prawo i białe kobiety oraz „białe miasteczka” na prerii, gdzie prawem kaduka koczują wredni czerwonoskórzy. W ten sposób propaganda kowbojska przykryta – jak to się dziś mówi w polskiej polityce – amerykańskie ludobójstwo Indian. Notabene, czy są znane

i popularne filmy na ten ostatni temat? Przychodzi do głowy tylko „Tańczący z wilkami”. Lecz choć obrazów propagandy Zachodu naoglądaliśmy się „połąd”, to jakoś dziwnie mało kto narzekał, wytykał (i wytyka obecnie) nachalność i prostactwo tamtych produkcji. I mało kto mówił o kłamstwie tamtej propagandy. Za to dziś gorliwcy wytykają w historii swego kraju elementy propagandowe. Które oczywiście były, bo niby dlaczego miały nie być...

Wracam do książki Żurawieckiego, jako znakomitego pomysłu na odtłamanie coraz bardziej załganą – obecnie już oficjalnie, państwowo – historię naszego kraju. Co czynią nie tylko przeróżne (niestawne) rządowe instytucje utrzymywane za nasze pieniądze, ale również były (na szczęście!) prezydent. Mówi w książce piosenkarz Adam Zwierz (s. 448): „Spotkałem niedawno prezydenta Bronisława Komorowskiego i opowiadam mu tę historię [dot. festiwalu w Kołobrzegu – przyp. E.K.], a on na to odpowiedział mi z surową miną: «Proszę zapomnieć, że w ogóle był w Polsce taki festiwal!». Ale nie tylko zadanie odtłamiania polskiej historii w dziedzinie rozrywki postawił sobie autor za cel. «Napisałem tę książkę także w akcie solidarności z tymi, którym nakazano milczenie. W prywatnym proteście przeciwko uprzedzaniu i retuszowaniu historii. Wykluczaniu ludzi mających w niej swój udział – czy to się dzisiaj podoba, czy nie» (s. 450).

Rzecz jest napisana według prostego sposobu. Chronologicznie, rok po roku, Bartosz Żurawiecki przeznacza po kilka stron na opisanie wydarzeń kolejnego festiwalu w Zielonej Górze (starszego) i Kołobrzegu. Jest narratorem opowieści, snuje zatem obok siebie dwa festiwalowe wątki, ale jednocześnie stara się przypomnieć i wzbogacić tamte historie wypowiedziami organizatorów, wykonawców, dziennikarzy, obserwatorów ówczesnych imprez. Oddaje im głos bezpośrednio, w mowie niezależnej lub w cytatach. Dużo jest w związku z tym ciekawych, celnych głosów osób, do których po wielu latach, np. od ich debiutu na scenie, dotarł B. Żurawiecki. Niektórzy są zdumieni, że w 2018, 2019 roku ktoś chce z nimi rozmawiać o „niechlubnej” przeszłości, o „czarnych kartach” Polski. Ale rozmawiają. Ba, mimo prawicowej indoktrynacji ostatnich dekad, znajdują się postaci, które z chęcią wypowiadają się o swoich występach w Winnym Grodzie, czy też nadmorskim kurorcie. Liczący 16 stron drobnym tekstem indeks dzieła Żurawieckiego potwierdza rzetelność badań autora i chęć dotarcia do jak najliczniejszego grona reprezentantów festiwalowych wydarzeń.

Są też, co autor punktuje na wstępie, nazwiska które nie chciały się znaleźć w tej pracy, odmówiły kontaktu lub wypowiedzi. Jednakże – co cenne (a nawet bardzo cenne) z punktu widzenia prawdziwości historii kultury polskiej, a także demitologizacji różnych narracji środowiskowych – pisarz i tak prostuje wszelkie konfabulacje, nieścisłości, niedopowiedzenia naszych gwiazd i innych bohaterów swej pracy. Również tych jeszcze żyjących. Dotyczy to np. ich

wypowiedzi prasowych, książkowych na temat udziału w festiwalu piosenki radzieckiej, czy też żołnierskiej, zdobytych nagród, konsekwencji dawnych występów na estradzie. Bo upływające lata i zmiana epoki politycznej spowodowały, że niektóre gwiazdy „zapomnieli”, iż przyjeżdżali ongiś do amfiteatrów w Zielonej Górze i Kołobrzegu, i obecnie w wywiadach, biografjach trudno znaleźć jakiegokolwiek wzmianki na ten temat. Np. Janusz Panaszewicz z Lady Pank „w telewizyjnym programie «Wideołeka dorosłego człowieka» stwierdził: «O ile pamiętam, nie doszło do żadnego mojego występu w Kołobrzegu, czy gdzieś tam. (...)»”. Na co nie bez słodkiej ironii autor książki: „Cóż, pamięć bywa zawodna. Szeregowiec Panaszewicz widnieje na liście laureatów XV Festiwalu Piosenki Żołnierskiej w Kołobrzegu w 1981 roku – otrzymał wyróżnienie w konkursie amatorów. Może to tylko przypadkowa zbieżność nazwisk?” – wyzłościł się Żurawiecki. O festiwalu w Kołobrzegu i Zielonej Górze nie chciała rozmawiać Zdzisława Sośnicka, muzyk Czesław Majewski, piosenkarze Andrzej Frajndt, Roman Gerczak i inni wyliczeni w książce.

Żurawiecki na szczęście obłożył się starymi programami festiwalowymi, dotarł do książek, relacji prasowych, „Gazety Festiwalowej” z Zielonej Góry i punktuje. A przy okazji prostuje różnorakie konfabulacje artystów, których sporo. W książce „Wariatka tańczy” piosenkarka Maryla Rodowicz stwierdza m.in., że juror, „niejaki Andrzej Januszko (...) podczas obrad podobno powiedział, że «Powołanie» to plagiat przedwojennej piosenki «Serce na śniegu»”. Żurawiecki od ręki wyjaśnia: „Rodowicz trochę miesza się fakty, bo przecież «Serce na śniegu» to nie żaden przedwojenny szlagier, ale, jak pamiętamy, całkiem wówczas świeży przebój Arna Babadżaniana z repertuaru Muslima Magomajewa” (s. 170). W innym miejscu swej książki Maryla Rodowicz opisuje bankiet na Festiwalu Piosenki Radzieckiej, który odbywał się po koncercie. „Był tam również człowiek z KC, miły gościu zresztą, Adaś Kaczmarek [...]”. Popijawa trwa w najlepszym i Adaś w pewnym momencie mówi coś w rodzaju: «Zielona Góra, staropolskie miasto». A ja: «Co ty gadasz? – I ciągnę go do okna. – Jakie staropolskie? Zobacz, to jest przecież niemiecka architektura». Na bankiecie mnóstwo oficjeli, polskich i radzieckich, więc Adaś wystraszył się nie na żarty. Złapał mnie za rękę, zatkał mi usta i udając ze się ze mną sytuję, przewrócił mnie na tyłko, które stało obok. Siłą mnie spacyfikował” – stwierdza Rodowicz. Na co Żurawiecki replikuje, nie bez koniecznej z punktu widzenia logiki tego wywodu ironii: „Na bankiecie z udziałem oficjeli stało jakieś tyłko?... Tak czy owak, uczcijmy bohaterską postawę Rodowicz minutą ciszy” (s. 197).

Z rzetelności ustaleń autora dowiadujemy się jednak nie tylko kto konfabulował lub wyczyścił po latach swój twórczy biogram, ale też, kto w danym roku uczestniczył, co śpiewał, kto kierował jury, co donosiła prasa lokalna, a co – szczególnie w przypadku Kołobrzegu – prasa krajowa, cd. str. 44

w tym centralne ograny Wojska Polskiego.

Zdarza się też pisarzowi od czasu do czasu wybiec w przód i donieść czytelnikowi, jak potoczyła się później kariera takiego czy innego festiwalowego debiutanta lub kto z uznanych już artystów „zaszczylił” jedno lub oba wymieniane tu miasta. Pokazuje również jak zaskakująco ułożyły się później losy festiwalowych artystów. Np. aktor Janusz Zakrzęski – stały gość festiwalu – śpiewa w Kołobrzegu nagrodzony za najlepszy tekst utworu „To twoja pieśń”. Pod koniec życia artysta (znany jako „etatowy Piłsudski”) jest współzałożycielem Komitetu Dobrego Imienia Polski i Polaków, który zajmuje się „odkłamywaniem antypolskiej agitacji i promowaniem polskości”.

Od czasu do czasu Żurawiecki odnosi festiwalową rzeczywistość do sytuacji w kraju, Europie (mistrzostwa w piłce kopanej), a nawet na świecie lub w kosmosie (lądowanie człowieka na Księżycu). Są wątki personalne, na pewno ciekawe. Tamara Miansarowa, gwiazda piosenki radzieckiej, wykonawczyni słynnego przeboju *Pust wsiega budieł sołnce*, umiera w 2017 r. W czasie jednej z wizyt w Moskwie spotkała ją spikerka Telewizji Poznań, Maria Wróblewska. „Miansarowa upiła się strasznie z Pisarek i zaczęła płakać. Mówiła, że tu jej nikt nie szanuje, a w Polsce ją na rękach nosili” (s. 39). Ale jeszcze ciekawszym przerwaniem, wtrętem, jest – z ówczesnej perspektywy nieco abstrakcyjne, z dzisiejszej już realne – odnoszenie sytuacji na występach kołobrzeskich, czy w trakcie śpiewania po rosyjsku do sytuacji... środowisk LGBT. Zaskakujące? Ale może uzasadnione? Bartosz Żurawiecki pisze bowiem tak: „Mniejszości seksualne zaczęły, poczwąwszy od końca lat sześćdziesiątych XX wieku, ((wychodzić z szafy)) – również w Polsce, choć u nas proces emancypacyjny zaczął się później niż na Zachodzie, właściwie po 1989 roku; najbardziej demonstracyjne ((wyjścia z szafy)) obserwujemy w ostatnich kilku latach”. Tymczasem, według jego opinii, po 1989 artyści, wykonawcy, ludzie związani z oboma festiwalami, zostali do szafy wepchnięci lub dali się wepchnąć. I większość z nich siedzi w tych ciasnych pomieszczeniach do dziś. „Artyści zielonogórscy i kołobrzescy przeszli proces antyemancypacyjny. Zostali pozbawieni prawa do własnej historii. Do własnej opowieści” (s. 450).

Wśród tych odwołań do tematyki LGBT-owskiej znajdujemy np. szlagier Kołobrzegu pt. „Jakie ładne chłopaki” wykonywany przez Irenę Woźniacką. W nim strofa: „Tęcza nad Polską, a była ulewa // Ziemia paruje, młode wojsko śpiewa”. Żurawiecki komentuje żartobliwie: „Tęczowe wojsko. ((Jakie ładne chłopaki)) to kolejna z kołobrzeskich piosenek, którą można by z powodzeniem śpiewać na Paradach Równości”. W tym przypadku Żurawiecki ma szczęście, że obecne pisowskie Ministerstwo Obrony Narodowej zdecydowanie odcina się od tamtych lat i od festiwalu, gdyż – można mniemać – że dziś „chłopcy z MON” za Chiny nie darowaliby mu tego rodzaju przesłanek konstatacji na temat polskiego wojska. Ale na szczęście Oni nie uznają tamtych mundurowych za „swoje” wojsko. I coś jeszcze istotnego z dzisiejszej perspektywy. Pisarz odnalazł (już wśród późniejszych tekstów piosenek kołobrzeskich) narastające wątki ksenofobiczne: „Nie chciała cudzoziemka dziewczyna tutaj // Bo w swoim posagu miała on tylko AIDS-a” (s. 426). Za uważa też, że wraz z upływem lat Kołobrzeg (a dokładniej: tematyka piosenek) zmienia się w kierunku obecnie nam (nie)miłościwie panującej w polityce kraju wojennej narracji. Narodowej, żeby nie powiedzieć nacjo-

nalistycznej. Równocześnie treść utworów festiwalowych stawała się coraz „luźniejsza”, dopuszczano w nich elementy polityczne wcześniej nie do pomyslenia, zaś ostatnie festiwale (np. w 1988 r.) to już na scenie „Rota”, „Marsz pierwszej brygady”, orzeł w koronie na scenie oraz Piłsudski (oczywiście w roli Janusza Zakrzęskiego).

Od sierpnia 1980 r. organizatorzy Kołobrzegu (zresztą Zielonej Góry też) mieli silną (może niekoniecznie organizacyjnie) konkurencję. Pojawiają się nowe media, nowe imprezy tzw. solidarnościowe. Podczas Festiwalu Piosenki Prawdziwej w 1981 r. zmiany nastrojów, treści utworów można było z łatwością obserwować, później zaś się utrwały. „To powrót prawicowej, bogojczyńskiej i często nacjonalistycznej (...) retoryki” – stwierdza autor książki. Uznaje też, iż ów nawrót „otworzył szeroko drzwi seksizmowi i homofonii, używanymi jako metoda poniżania przeciwnika. Walka z ((komuną)) i wszyskim, co się z nią w nawet nikłym stopniu kojarzy, szybko doprowadziła zarówno do wykluczenia z ((solidarnościowej)) narracji kobiet, jak i tego, że ((prawdziwy Polak)) stał się zaprzeczeniem ((komunisty)) i ((pedała)). Do dzisiaj musimy się zmagać ze smutnymi konsekwencjami tego języka” (s. 341-342). Trzeba by uzupełnić, iż ów „powrót” to po prostu nawiązanie do najgorszych, sanacyjnych, piłsudczykowskich tradycji narracji wojskowej, czyli cofnięcie się (sic!) o ponad pół wieku. Siedzimy w tym głęboko do dziś...

Jednym z istotnych wątków konsekwentnie prowadzonych na kartach książki są cytaty prasowe dotyczące obu wydarzeń muzycznych. Początkowo – czyli w latach 70., potem jeszcze (ale mniej) po stanie wojennym – dziennikarze są zdyscyplinowani, „twórczy”, piszą zgodnie z wymogami czasów socjalistycznych. Jedną tylko Henryka Dobosza w zielonogórskim „Nadodrz” od samego początku kręci nosem i publikuje krytyczne teksty (co znaczy, że jednak – mimo cenzury – było można). Z upływem lat dyżurni żurnalisci może jeszcze nie zmieniają generalnie tonu swych tekstów, jednakże tu i ówdzie pojawiają się uwagi, sygnały niepokorności, wreszcie krytyka. Nie są to wprawdzie opinie krytykujące samą ideę festiwalu, ale np. duchotę w Hali Ludowej w Zielonej Górze, gdzie do chwili powstania amfiteatru odbywała się impreza. Po latach, im bliżej było agonii obu festiwali, tym więcej głosów krytycznych dotyczących wykonawców, konferansjerów, repertuaru, scenografii etc. Zdarzenia polityczne spowodowały, że ostatecznie oba ważne akcenty polskiego życia muzycznego upadły.

Przypomnijmy zatem – dla historii – że w 1962 r. odbył się I Ogólnopolski Konkurs Piosenki Radzieckiej, rok później II konkurs. Na nim drugie miejsce zajmuje Zdzisława Sośnicka. W 1964 odbywa się jeszcze III konkurs, ale od 1965 r. przekształca się w Festiwal Piosenki Radzieckiej. I odtąd liczy się numeracja festiwali. 6 lipca 1989 r. w Zielonej Górze odbywa się jubileuszowy, XXV festiwal, zarazem ostatni, jak się potem okaże. Rosyjski pieśniarz Misin zaśpiewał wówczas – znak czasu – balladę o Chrystusie, a w koncercie galowym wystąpili m.in. Zdzisława Sośnicka, Wanda Kwietniewska, Ewa Kulińska, Felicjan Andrzejczak. Po latach próbowano imprezę wznowić. W 2008 r. odbył się I Festiwal Piosenki Rosyjskiej (laureatami zostali Anna Dereszowska i Michał Szpak). W 2014 r. po przyłączeniu Krymu do Rosji wydarzenie muzyczne zostało zawieszone i w tym stanie trwa do dziś. Łącznie, wliczając konkursy piosenki radzieckiej, odbyło się w Winnym Grodzie 28 imprez muzycznych, dodając piosenkę rosyjską przekraczamy trzydziestkę.

Festiwal kołobrzesci zaczął się w... Po-

łączynie Zdroju. „Wytrzymał” tam tylko dwa lata, po prostu decyzją odgórną przeniesiono go do nadmorskiego kurortu. XXIV spotkanie muzyczne nad Bałtykiem odbyło się w lipcu 1990 r. „W latach 1991-1994 odbywała się impreza zatyłowana Prezentacje Kulturalne Wojska Polskiego ((Arseń Artystyczny)). Do formuły festiwalu powrócono w roku 1995” (s. 445). Po raz ostatni w tej konwencji festiwal odbył się w 1997. Wygrał zespół wykonujący rap... „W 2007 roku na scenie pod pomnikiem kościuszkowców w Warszawie odbył się – zorganizowany z inicjatywy radnego Prawa i Sprawiedliwości (...) – Festiwal Muzyczny ((Żołnierska Nuta)). Wystąpiły dawne gwiazdy kołobrzeskich festiwali: Nina Urbano, Barbara Książkiewicz, Jolanta Kubicka, Ryszard Arning, Bogdan Czyżewski, Wiktor Żatwarski, Tadeusz Woźniakowski, Trubadury, a także Alicja Majewska, Włodzimierz Korcz, Danuta Stankiewicz i Andrzej Dąbrowski. (...) Głódz siedział w pierwszym rzędzie i świetnie się bawił. W pewnym momencie, w trakcie wykonywania jednej z piosenek, na widowni niespodziewanie rozległy się brawa. Okazało się, że przybył prałat Henryk Jankowski” (s. 445-446)...

Książka Bartosza Żurawieckiego okazuje się ważna z kilku powodów. Pokazuje przede wszystkim – krytycznie i dystansem – dwa wielkie, ważne wydarzenia muzyczne o zasięgu ogólnopolskim. Wyjaśnia ich charakter: że to nie tylko chwalebna przyjaźń polsko-radzieckiej i pieśni „polskojezycznej armii” gen. Berlinga, która przeszła szlak Lenino – Berlin, ale przede wszystkim promocja polskich zdolnych piosenkarzy. Także kompozytorów, muzyków, aranżerów etc. Jak mówią niektórzy z uczestników, oba festiwale były wówczas tym, czym dziś jest „Szansa na sukces”, czy inne telewizyjne programy promujące młodych i zdolnych.

Ponadto Żurawiecki stara się „przywrócić” pamięć, nie tylko tym artystom, którzy „zapomnieli”, że naszą ojczyzną jest Polska Rzeczpospolita Ludowa, ale i przeciętnemu (o ile sięgnie po nią) Polakowi, czytelnikowi tejże pozycji. Pokazuje znakomity niekiedy dorobek artystyczny (muzyczny) tamtego okresu. Także i to, że wówczas było normalnie, śmiesznie, czasem głupio i pretensjonalnie, ale i miło sympatycznie, mimo różnych problemów. Ujawnia na tamtym tle ważną dziś kwestię ruchu LGBT, pokazuje rolę mediów, polityków. I funkcję pamięci. Że – niestety – potrafimy wypierać z niej to, co nie jest „właściwe”, a zatem, że dajemy się in gremio, jako naród – łatwo oszukiwać. Nie świadczy to o nas dobrze. Jednakże opasła pozycja Wydawnictwa Krytyki Politycznej pokazuje również, że mimo wieloletniej prawicowej indoktrynacji ludzie w Polsce pamiętają piosenkę radziecką i żołnierską.

W jednym nie mogę się zgodzić z autorem: z dokonaną publicznie tzw. lustracją piosenkarki Reginy Pisarek. Przy czym nie podoba mi się również fakt, iż pisarze, żurnalisci korzystają niekiedy w swych pracach (a kilka takich miałem już w rękach) z akt, dokumentów pewnej niestawnej i kłamliwej z gruntu instytucji, której nawet nie chcę tu wymieniać. Tym sposobem, niestety, Pisarek jako jedyna w liczącej blisko 480 stron książce została napiętnowana. Czy reszta tego środowiska to byli, są, już tylko anieli?

I jeszcze drobne sprostowanie. Spotkanie z Gerardem Nowakiem odbyło się w Zielonej Górze w budynku „Gazety Lubuskiej”, a nie „Wyborczej”.

EUGENIUSZ KURZAWA

Bartosz Żurawiecki „Festiwale wyklete” Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2019 s. 475.

Nie pamiętam, żeby na plakacie teatralnym, stronie internetowej teatru, ulotce reklamującej przedstawienie widniał podtytuł dramatu Tadeusza Słobodzianka. Jednak dopuszczam bardzo prawdopodobną możliwość, że jednak był. „Nasza klasa: Historia w XIV lekcjach”. Dlaczego mogło mi to umknąć? Przyczyną może być zaistnienie tytułu w świadomości społecznej jedynie w głównej wersji, pojawiającej się na stronach internetowych księgarń, wydawnictwa, tekstach krytyczno-literackich, omówieniach, recenzjach, gazetach, czasopismach. Sztuka trwale zapadła w świadomości społecznej, zajęła miejsce w polskiej kulturze, nauce i bliskiej historii. Jej waga kulturowa stała się tak duża, że wystarczy posługiwać się tytułem „Nasza klasa” lub tylko nazwiskiem autora: Słobodzianek (ale można się nie zgodzić: „Nasza klasa” to przede wszystkim ballada Kaczmarek, wcześniejsza o kilkanaście lat).

Oczywiście dzieje się tak z wieloma dziełami sztuki, kultury, literatury. Nie jest to przypadek jednostkowy, wyjątkowy, wybitny. Chociaż... Właśnie, w mojej opinii istnieje pewne „ale” związane z literaturą dotyczącą polskiego antysemityzmu i ogólnie tematyką Zagłady. I mam na myśli pozycje naukowe, ewentualnie quasi-naukowe, w każdym razie szeroko udokumentowane i spierające się z dotychczasową pamięcią.

Treść dramatu zamyka się w niecałych stu stronach i głosach dziesięciu postaci, z których w miarę unormowanej powojennej rzeczywistości PRL-u dożywa siedmioro bohaterów, zaś początków dwudziestego pierwszego wieku tylko czworo. Fabuła niewątpliwie dotyczy wydarzeń opisanych w wydanej dziewięć lat przed „Naszą klasą” książce Jana Tomasza Grossa, „Śsiedzi: Historia zagłady żydowskiego miasteczka” (czy ktoś posługuje się podtytułem, ba, pamięta dokładnie jego treść?): „Ustawiliśmy się grzecznie parami. Jak w szkole. Na wycieczkę. I grzecznie szliśmy do tej stodoły. Dookoła nas szli śsiedzi! I śsiedzi zwałszcza. Krzyczeli: Dobrze wam tak! Bogobójcy! Czorty! Komuniści! O co chodzi? Przecież Zygmunt powiedział, że wywiozą nas do getta w Łomży. Na rogu Cmentarnej stał Rysiek. Brudny. Z obłędem w oczach. Zawołałam: Rysiek! Podeszdeł i uderzył mnie gumą tak, że o mało nie wypuściłam dzieciaka z rąk” [1]. Nie ma wątpliwości, że chodzi o położone 19 kilometrów od Łomży Jedwabne, gdzie 10 lipca 1941 roku spalono w stodole żydowskich mieszkańców miasteczka. Ale to nie wszystko, rok przed dramatem Słobodzianka wydano w Polsce Grossa „Strach: Antysemityzm w Polsce tuż po wojnie: Historia moralnej zapaści”, który także ma odbicie w fabule sztuki Słobodzianka. Wprawdzie kolejna książka tego samego autora, „Złote żniwa: Rzecz o tym, co się działo na obrzeżach Zagłady Żydów” wyszła dwa lata po ukazaniu się „Naszej klasy”, wydaje się jakby Słobodzianek opisywał poruszone przez Grossa kwestie dotyczące przejmowania przez Polaków żydowskiego majątku.

Owa w pewnej mierze wyjątkowość „Naszej klasy” to umiejscowienie jej pomiędzy trzema książkami Jana Tomasza Grossa (abstrahując od daty ukazania się „Złotych żniw”) a wydanymi kilka lat później również znaczącymi dla tematu antysemityzmu, pogromów i przejmowania żydowskiego mienia pracami polskich autorów: „Żyd –

wróg odwieczny?: Antysemityzm w Polsce i jego źródła” Aliny Catej, „Żydokomuna: Interpretacje historyczne” Pawła Śpiwaka i „Okrzyki pogromowe: Szkice z antropologii historycznej Polski lat 1939-1946” Joanny Tokarskiej-Bakir z 2012 roku, „Miasta śmierci: Śsiedzkie pogromy Żydów” Mirosława Tryczyka z 2015 roku, „Młyny boże: Zapiski o Kościele i Zagładzie” Jacka Leociaka z 2018 roku. Słobodzianek „Naszą klasą” sprawi, że ledwie kilkugodzinna lektura, niezwykle prosta w konstrukcji fabuła, odzwierciedlająca kwestie już istniejące dość szeroko w polskiej kulturze dzięki pracom Grossa i medialnym doniesieniom, swoją surową kwintesencją nie tylko rozeszła się po obszarach i środowiskach dotąd zamkniętych na tę tematykę, ale pozwoliła na długotrwałe trwanie w społecznym odbiorze, choćby dzięki wystawianiu na deskach teatrów (jeszcze pod koniec ubiegłego roku można było obejrzeć sztukę w olsztyńskim „Jaraczu”).

Jest film opowiadający o prawdziwym wydarzeniu – akcji antyterrorystycznej mającej na celu uwolnienie pasażerów samolotu uprowadzonego do Ugandy z żądaniem zwolnienia palestyńskich bojowników z izraelskich więzień [2]. Akcja przerywana jest występem znanego izraelskiego baletu Batsheva Dance Company. Tytuł utworu to „Echad Mi Yodea”. Choreografia w znakomity sposób odzwierciedla poszczególne sceny filmu, muzyka jest przejmująca. Nie znam jednak treści utworu, nie znalazłem tłumaczenia. Nie w tym rzecz wszakże. Pierwsze dwie lekcje dramatu pokazują dziesięć osób, z których każda krótko się wypowiada, ale dopiero po wyśpiewaniu chórem piosenki. Nie tylko można sobie wyobrazić (właśnie tak było w jednej ze scenicznych interpretacji dramatu), jak bohaterowie sztuki stoją gdzieś w pustej przestrzeni, może to być na przykład szkolna klasa lub plac w miasteczku, i przed rozpoczęciem zdarzeń stanowiących treść „Naszej klasy” wygłaszają początkowe kwestie w stronę publiczności, czytelników. W „Echad Mi Yodea” występ zaczyna się od stojących nieruchomo w pół cieniu postaci i wolno wypowiadanych słów. Po kilkunastu sekundach rozbrzmiewa muzyka, śpiew, a artyści wykonują gwałtowne ruchy. Ich taniec to przyspiesza, to zwalnia, na moment ustaje, emanuje energią, tragedią, grozą pośpiechu i przerażającym bezwładem... W ten sposób właśnie przemawia Słobodzianek ustami swoich bohaterów: trzech kobiet, siedmiu mężczyzn; pięciorga Żydów i pięciorga Polaków. To czas, w jakim znajduje się nasza klasa i całe miasteczko. Zaczyna się historia gwałtu i paraliżującego strachu. I nie ma co udawać, że nie wiemy, jaki będzie los postaci dramatu. Przecież Słobodzianek w notce odautorskiej pisze, jakie książki i filmy go inspirowały. A zatem dziewczęta i chłopcy przedstawiają się. Mówią o zamierzeniach, marzeniach, decyzjach. Czyli o przyszłości. Czytelnik odbiera to w sposób przejmujący. Zdaje sobie sprawę, że oni mogą tak marzyć w kilka, może kilkanaście lat po odzyskaniu niepodległości Polski. Że jako dorośli znajdują się w innych czasach, w innym ustroju, w innych konfiguracjach społecznych, być może w innych krajach, okaleczeni, z poczuciem winy, wypaleni. Tymczasem nawzajem się podrywają, podszczypują, spierają. Powoli jednak zaczynają

nasikać ideologią. W połowie lat trzydziestych nie dzielą ich szkolne ławki, ale pochodzenie i religia, stosunek do modlitwy, Piłsudskiego, polskiej literatury. Już wiedzą o aktach przemocy wobec Żydów. Traktują Żydów jako zabójców Jezusa. Wydaje się, że niezmienna pozostanie tylko miłość. Słobodzianek nie ma jednak zamiaru wprowadzać do fabuły wątku łzawego romansu. Jest piekielnie wierny historycznym realiom. Czytelnik nie będzie świadkiem oszczędzenia nikogo gwoili czystego, wzniosłego kochania!

Nie ma w tekście sztuki wypowiedzi dłuższej niż kilkanaście wersów. Jedynymi z obszerniejszych są, cytowane przez pozostałych w kraju byłych uczniów, listy z Ameryki od Abrama Piekarsza, przemianowanego na Bakera, który w 1938 roku zszedł ze statku „Batory” na ląd w Nowym Jorku. Słowa i zdania wydają się urywane, szarpane. Z niezwykłą mocą oddają atmosferę niepewności, zagrożenia, ciągłych zmian, czegoś złego czającego się na ulicy, placu, tuż za progiem domu, czasu, gdy pukanie do drzwi, okiennic może zmienić życie w śmierć, sąsiada w mordercę, gwałciciela, bądź zwiastować dramat zaszczutego uciekiniera, jeszcze wczoraj spacerującego w kurzu drogi, lub ustanawiającego prawa z ramienia przybyłej właśnie nowej władzy z flagami o jednym kolorze a tylko zmieniającym się emblematem: „Ktoś wali do drzwi. Serce mi wali ze strachu. Otwieram. Menachem z walizką” [3], „Chwycił mnie za głowę i pociągnął na łóżko. Rysiek zerwał mi bluzkę i spódnice. Nie miałam nic pod spodem. Byłam w domu. Szarpałam się. Próbowalam kopać. Ale ktoś trzymał mnie za nogi [4]. Ile razy przez miasteczko przemaszzerowały wojskowe buty pod swastyką czy sierpem i młotem, tyle nadziei bądź grozy przeżywało dziesięć osób dramatu, to chowając się za opłotkami: „Byłem schowany w poręczkach u Pecynowiczów, przed których posesją bili Jakuba Kaca. Widziałem przez sztachety, jak go kopali i jak naraz przestali” [5], to krwawo komunistyczną ideę, zamieniając Dom Katolicki na kino: „Jak powiedział towarzysz Kac, tu, w byłym Domu Katolickim, będzie kino »Aurora« i jako jego kierownik obiecuję, towarzysze, że nudzić się nie będziecie. Już jutro zapraszam na dzieło, które wstrząsnęło światową kinematografią: »Październik« Eisensteina” [6], w końcu służąc: „Byłem już wtedy szczenem” [7] i poddając się poleceniom hitlerowskiej władzy dać ponieść ku pogromowi: „Pan Amtskomendant i pan burmistrz w trosce o wasze bezpieczeństwo kazali was zamknąć w stodole” [8], „Drzwi zapiarliśmy kotkami i podłożyliśmy kamienie. Głazy właściwie (...). Naftę lat Wasilewski (...). Wszyscy się odsunęli i zapaliliśmy stodołę z czterech stron!” [9], „Jak się wszystko uspokoiło, zakopaliśmy Żydów koło stodoły, co było bardzo nieprzyjemną robotą” [10].

Donosy, pobicia, tortury niosą się krótkimi zdaniami wypowiadanymi przez żywych i umarłych. Koniec wojny symbolicznie przypieczętowany jest listem, pośtańcem śmierci, który odczytuje rabin Abram: „Więc nie ma już naszego Jakuba Kaca pomiędzy żywymi? I Dory? I naszego kolegi Ryśka?” [11]. Abram od czasu emigracji pretenduje do roli sprawiedliwego, lecz naiwne-
→

→ go, bo żyjącego poza czasem miasteczka, ducha klasy z przełomu lat dwudziestych i trzydziestych. Materializuje się wszakże, gdy zamiast korespondencji pisanej staje przed nim jedna z koleżanek z klasy i opowiada o pogromie. Jest to swojego rodzaju cezurą w fabule „Naszej klasy”. Wydawać by się mogło, że zaczyna się współczesność. Inna rzeczywistość z kompletnie różnymi wartościami. Och, nie! Słobodzianek nie daje szansy czytelnikom, żeby uspokoić nastroje. Do końca zostają trzy lekcje, dwadzieścia stron. Następuje czas rozliczeń. Wściekłość, brutalność, siłę zastępują ciężkie, oślisze moralnie, wilgotne od zapachu krwi, gwałtu, wytarzane razem z roztrzaskanym mózgiem w kurzu ulicy, cuchnące spalenizną rozmowy, choćby były prowadzone jedynie w środku człowieczej duszy. Słobodzianek,

Grafika Eduard Nikonorow

porzucając na chwilę okrutny realizm, pozwala czytelnikowi na wyobrażenie, że pośród tego strasznego chaosu staje przybyły zza oceanu siwobrody niczym starotestamentowy prorok rabin Abram. Sprawiedliwa jego ręka jest okrutna. Dosięga nią kolejne pokolenie naszej klasy: „24 czerwca w południe? Boże! Równo trzydzieści lat po tym, jak Zygmunt, Heniek i Rysiek zamordowali Jakuba Kaca na Rynku” [12] i doświadczają ostatnich żyjących, bez względu na to, czy walczą w wojnie Jom Kippur, czy są ubrani w ornaty, czy jako Sprawiedliwi Wśród Narodów Świata oglądają telewizję w domu spokojnej starości, czy mają wspartą partyjno-szpitalną opiekę... Łączy ich jedno: wypowiedane słowa, zdania i myśli są równie głupie, okrutne, niesprawiedliwe, fałszywe, jak te, które stały za ich czynami

w czasie, gdy opierali się o NKWD, Amtskomendanta, UB, biskupa...

JERZY LENGAUER

[1] Tadeusz Słobodzianek, „Nasza klasa: Historia w XIV lekcjach”, „Słowo/obraz terytoria”, 2009, str. 46

[2] „Siedem dni” („Entebbe”), reżyseria José Padilha, 2018

[3] Tadeusz Słobodzianek, „Nasza klasa: Historia w XIV lekcjach”, „Słowo/obraz terytoria”, 2009, str. 32

[4] Tamże, str. 39

[5] Tamże, str. 34

[6] Tamże, str. 23

[7] Tamże, str. 63

[8] Tamże, str. 46

[9] Tamże, str. 46-47

[10] Tamże, str. 49

[11] Tamże, str. 71

[12] Tamże, str. 84



Łucja Dudzińska



Poetka Łucja Dudzińska – foto archiwum rodzinne

Na starość. Oczekiwanie

Miała dom, ale stał się ruiną. Należy zrozumieć, czasem w życiu trzeba robić to, czego się nie chce. Niech więc niszczeje, blakną ściany i wspomnienia.

Patrzeć? Tak i czekać,
ale milczy telefon, milczy dzwonek wypaczonych drzwi.

I tak nie można ich zamknąć, są furtką dla bezdomnych psów i myszy. Często skrzypi podłoga przy omijaniu kupy odpadów uzbieranych spraw i rzeczy. Może warto

czekać na cud – zbić dzban, rozwiązać worek, otworzyć skrzynię, starą szafę i wypuścić dawne życie na wolność.

To nic, że boli serce, prują się ściany i nowe marzenia, odpadają tapety i kolorowe fotografie z rodzinnych wakacji. Pęknięte szyby w oknach pokazują zbity świat.

Sufit? Tak jest sufit,
na nim migoczą gwiazdy jak łzy w wielkim oku nieba.

Każdy ma (jakieś) stygmaty. Sztuka myślenia

Wyobraź sobie, że jesteś otwartą raną, która pamięta los, cios zadany z premedytacją, satysfakcją. Czujesz wtedy ze zdwojoną siłą podmuch wiatru niosący kurz i ziarenka nasion. Chcesz znów stać się embrionem, a możesz tylko przykryć ranę i podnieść głowę albo schować się przed ludźmi. Myślisz: o modlitwie, drugim policzku, niegojących się znakach. Myślisz: o podaniu ręki, uzdrawiającym uśmiechu. Myślisz: broń się, szanuj się, czas nie leczy ran – tworzy blizny.

Radzisz sobie z bólem – do wszystkiego można się przyzwyczaić.

Zastanawiasz się kim jest i kim może stać się człowiek dla innego człowieka. W imię czego: upokarza, rani, dręczy, zabija. Myślisz: wybujałe ego, kompleksy, wynaturzenie. Myślisz: wojna, zaborczość, władza, rywalizacja. Myślisz: pokój, a dziecko z bagnietem staje naprzeciwko ciebie,

bez usprawiedliwienia – ponieważ nie wszystko można zrozumieć.

Reprezentatywna próbka

Dobrze, że „wiesz iż nic nie wiesz”, gorzej z tymi, co im się wydaje, że wiedzą wszystko. Może to dobry kawał (nie życia) opowiadany o zmroku, przy cekinach, bibelotach na wierzchnim ubraniu. Środek skrywa strach – a groźba wychodzi na zewnątrz, gdy otwierają się usta

w języku porozumienia. Wypełniane rubryki w stylu: „zaznacz prawidłową odpowiedź albo zakreśl twoim zdaniem właściwy przedział popełnianych najczęściej błędów”. Każdy sondaż się kiedyś kończy – ostatni gasi

światło. Wszędzie siłą się umysły na pomysły, a dookoła mrok i żal, że czegoś nie zobaczysz.

Po prostu cholerna ściema. Czy manipulacja?

Łucja Dudzińska (1960) poznańska poetka, wydawca, redaktorka dwóch serii wydawniczych, animatorka kultury, członkini Zarządu Głównego i Komisji Kwalifikacyjnej Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Autorka ośmiu tomów poetyckich (w tym dwóch dwujęzycznych). Tłumaczona na dziewięć języków. Inicjator, kuratorka ogólnopolskiej Grupy Literackiej Na Krechę. Fundatorka i prezes FONT. Laureatka nagrody „Fotokreator” za twórczość i animowanie fotografii w woj. wielkopolskim. Uhonorowana przez Kazimierza Rafalika statuetką „Dobry człowiek” (profesjonalizm & bezinteresowność). Stypendystka Marszałka Województwa Wielkopolskiego w dziedzinie kultury.

Łucja Dudzińska

ZBIGNIEW KRESOWATY – Przyznam się, że poszukiwałem klucza do twojej poetyki twórczej, jako osoby i znanej poetki, co bierze się zawsze właśnie z klucza, jaki nosi każdy z nas na szyi w dzieciństwie... Myślę, że ten klucz na szyi gdzieś później gubimy, dorastając... Kończyłaś studium pedagogiczne i studia na Akademii Ekonomicznej w Poznaniu. Wydaje mi się, że znalazłem to COŚ, żeby cię otworzyć. Klucz leży pod korzeniem MANDRAGORY, to tytuł z debiutu poetyckiego podszytego filozofią egzystencjalną... Dużo się wokół ciebie działo i nadal dzieje. Jesteś poetką młodego pokolenia, animatorką kultury, wydawcą i redaktorką poetyckich serii wydawniczych, pomysłodawczynią dwóch konkursów poetyckich, spotkań wART łoży, Integracji Literackich, Rozmów z Poezją, Dyżurów Literackich, WierszYstawki artystycznej, wielu edycji ogólnopolskich akcji literackich popularyzujących czytelnictwo poezji (antyWalentynki Na Krechę – Ludzie Wiersze Piszq) itd., itd. Ale też jesteś laureatką i zauważoną na kilkudziesięciu Ogólnopolskich Konkursach Poetyckich (m.in. OKP im. K. Ratonia, M. Kajki, im. St. Czernika, im. K.K. Baczyńskiego, OKP na Prozę Poetycką im. W. Sułkowskiego, „O strunę Orficką”...). To zadziwiające dużo! – Czy dasz się nazwać „łowczynią” nagród? Publikowałaś w antologiach, almanachach w pismach literackich: „Twórczość”, „Fraza”, „Topos”, „Tekstualia”, „Arkadia”, „Bliza”, „Cegła”, „Wakat”, „Tygiel Kultury”, „Okolice Poetów”, „Prowincja” itp. oraz na tamach: „BL – Biura Literackiego”, „Odry”, „Helikoptera”, „Pisarze.pl, OFF_PRESS”, „Monitora Chicago”...

Wydałaś szereg tomików poezji – te ostatnie zawsze najciekawsze, to *METAMORFORY*. Wybrane jako wybór wierszy i wykrzesać ogień. *taki Stan*. Tłumaczono cię na języki: angielski, grecki, bułgarski, ukraiński, niemiecki, rosyjski, szwedzki, francuski, serbski ...

W 2011 roku założyłaś ogólnopolską Grupę Literacką Na Krechę, od 2016 roku prowadzisz Fundację Otwartych Na Twórczość (FONT) i wydawnictwo.

Może na wstępie sama scharakteryzujesz swoją poetykę, może z *mandragory*? – bo tam jest duży potencjał?

ŁUCJA DUDZIŃSKA: Dziękuję za przedstawienie – toż to (prawie) cały życiorys poetycki. (śmiech) Poruszyłeś kilka wątków, hasła, które kuszą, aby je rozwijać.

Już się odczytałam „wycofywania, przepraszania, że żyję” po dwunastu latach od ujawnienia się z wierszami, i mogę odważnie stwierdzić, że potencjał czuję w każdym wydanym tomiku, a nie tylko w debiucie. Moje książki poetyckie się różnią między sobą. Ukazują inną koncepcję i formę w budowaniu treści przekazu. Każdy może coś znaleźć dla siebie, gdy czyta: wiersze, poemat, tekst piosenki, zapiski, prozę poetycką tworzącą jakąś fabułę albo krótkie formy zbliżone w zamyśle do haiku, ale nie tylko – o czym się przekonamy w kolejnej książce, która ma się ukazać w wersji polsko-angielskiej.

Natomiast trudno jest charakteryzować swoją poetykę – jestem tylko od pisania, czyli pójścia za potrzebą chwili napisania wiersza, ale i dzielenia się tym, co mnie fascynuje, irytuje, wzrusza, zatrzyma w biegu. I ukazuję to, dobierając odpowiednią formę czy kreację, a **charakterystykę twórczości należy pozostawić krytykom, recenzentom.**

„Z MANDRAGORY” W „METAMORFOZY”...

„rozmowa artystyczna” z poetką Łucją Dudzińską



Łucja Dudzińska poetka z Poznania – portret wykonał Zbyszek Ikona-Kresowaty 2014 r.

Twoja propozycja zainspirowała mnie do zaproszenia Ich choćby pośrednio do tej artystycznej rozmowy, a spełnię to, cytując istotne opinie na temat poszczególnych tomów albo całego dorobku (ośmiu książek poetyckich). Recenzenci posługują się profesjonalną analizą. Posiadają wiedzę na temat tego, co już zostało napisane, i z reguły obiektywne, szerokie, wnikliwe spojrzenie. Często zaskakują mnie, nazywając, odkrywając coś, o czym nie miałam pojęcia ani świadomości. Jestem wdzięczna każdemu, kto się pochylił i pochylił nad moim pisaniem. To uczy i kształtuje każdego autora. Aby pisać trzeba mieć dużo pokory wobec słowa, języka i ludzi oraz dużo uważności i dystansu.

„Jaka jest poezja Łucji Dudzińskiej? – Bardzo gęsta od tematów i znaczeń. Ma się wrażenie, że to poetka, która dużo mówi,

dużo i szybko, jakby na nieustannym wydechu. Ale też to, co mówi, wprawia czytelnika w zastanowienie i zadziwienie”. Janusz Drzewucki, „Magazyn Literacki KSIĄŻKI” 2/2019.

„Dudzińska poszukuje, ale nie dąży do rozstrzygnięć ostatecznych, a jej zbiory stanowią dowód na to, że życie to proces, którego ślady nieustannie przesączają się w wiersz i że nigdy nie uzyska ono pełnej, skończonej definicji. (...) Walorem poetyki Łucji Dudzińskiej jest niewymuszony, łagodny język mimo poważnego ciężaru kwestii, których dotyczy. Frazy płyną tu wartko, są naturalną opowieścią, która nie nosi śladów warsztatowego „wymęczenia”. Stąd czytelnik tej książki może odnieść wrażenie, że został dopuszczony do autentycznej tajemnicy”. Anna Dominiak, „eleWator”, nr 26 (4/2018)

„Ale chyba najważniejsze, że **Dudzińska posiada rzadko spotykany dar obserwacji. Ta książka aż kipi od takich szczegółów, szczegółików, z których utkane jest nasze życie.** A to jest właśnie prawdziwa magia, przetrwać codzienność, powtarzalność, na którą skazany jest współczesny człowiek w prawdziwą sztukę. Dudzińska niewątpliwie posiada dar słowa, potrafi nim niezwykle sprawnie operować i pewnie dlatego tę książkę tak dobrze się czyta”.

Barłomiej Siwiec, „Fraza”, 2 (100) 2018 (portret).

„Dla Łucji Dudzińskiej krótka sformalizowana forma haiku (w tomie **Miedziaki. Znalezione**) stała się punktem dojścia, swoistym oddechem – katharsis po psychoanalitycznych poetyckich podróżach wcześniejszych tomików. Twórczą kontynuacją tych właściwości pisania Dudzińskiej, które trafnie scharakteryzował **Paweł Długosz**, jako zdolność doskonałego połączenia umiejętności warsztatowych z filozoficznym dystansem do ludzkiej, codziennej rzeczywistości. **Po „pączkowaniu metafor”, układach rozkwitania, lingwistycznych grach – obfitym „krwawieniu na niebiesko”** (celne określenie **Jolanty Szwarca**) pojawia się lapidarność, ograniczenie formy. Przejście od płynięcia szeroką frazą do kropki kropki – tej samej, przed postawieniem której wzbraniało się liryczne „ja” z Epilogu tomu **OB Krew i woda** – a może po prostu potwierdza tutaj dążenie do kolejnej „mikrografii”, z następnym życiorysem, sytuacją, faktem”. **Katarzyna Michalewska**, „Fraza”, 2 (100) 2018 (portret).

Nie byłam „łowczynią nagród” – nie miałam tyle szczęścia – to kilka zwycięstw i stare dzieje. Najczęściej znajdowałam się w gronie laureatów, będąc aktorem II, III i IV planu – dobrze, że mogę to zdementować – nie wiem czemu kojarzą moje wiersze z nagrodami. (Śmiech) Pojawiłam się w środowisku literackim w 2008 roku z ogromnym, kilkudziesięcioletnim dorobkiem wierszy schowanych w szufladzie. Miałam opory w pokazywaniu, publikowaniu, a konkursy dawały anonimowość oraz możliwą weryfikację pośród już uznanych nazwisk. To pozwoliło docenić swoje pisanie i nie wycofać się, gdy poznałam, jak trudna, niewymierna może być ta twórcza droga. Szybko przestałam wysyłać na konkursy, dając szansę nowym osobom. I sama zająłam się animacją, jurorowaniem, organizowaniem konkursów.

Przeczytałam też gdzieś, że „Przez lata udzielała się na portalach poetyckich w sieci” i to chętnie zdementuję. Byłam aktywna tylko na samym początku, na jednym portalu i szybko zrezygnowałam. Nie odpowiadało mi obserwowanie, jak środowiskowe animacje niszczy wielu dobrych poetów – zaczęłam działać w realnych warunkach. Uważam, że naprawienie świata należy zacząć od siebie, a nie od wytykania publicznie cudzych błędów, gdy nie było tajemnicą, że ten ktoś sam je popełnia. Lubię schodzić z drogi i robić swoje, ale miłe wspominam ten czas. Na tym portalu poznałam wiele piszących osób i zadebiutowałam.

Z. K. Jednak póki co zawracam do tomu z **mandragory**, który ukazał się w 2013 roku nakładem SLKKB w Łodzi, za który otrzymałaś Nagrodę R. Milczewskiego-Bruno oraz dwie nominacje: do Nagrody Złoty Środek Poezji i Nagrody im. K. Iłhakowiczówny za Najlepszy Debiut Poetycki Roku 2013 – gdyż uważam tę książkę za bardzo znaczącą i ważną dla siebie oraz środowiska. Skąd ten pomysł, gdzie znalazłaś ten afrodyzjak? – Omawiałem przecież krytycznie ten tom, ale co ty na taką krytykę, zresztą pozytywną?

Ł.D. Tak, byłam bardzo wdzięczna za recenzję i kolejny punkt widzenia. Zaczęłam sama przyglądać się swoim wierszom. Już ich nie bagatelizowałam. (Zawsze lubiłam cudze wiersze bardziej niż swoje). Debiut uznaję za siedmiomilowy krok w mojej poetyckiej świadomości. **Napisałaś: „Łucja Dudzińska ukazuje także nasze stany przebywania i przebywania pomiędzy żywą a martwą naturą świata, bo z tego się on składa, świata który bywa jednością, choć pełen sprzeczności, przewrotności i groteski oraz mitów z przeszłości idących w swoim uniwersum, bo zawsze odwołujących się także do przyszłości. Pyta ona o samą istotę reakcji, o inne namnożone sensory i ich cele, ale nie jako same w sobie, tylko nam przynależne, jako całe bogactwo bytu”.** „Migotania” 1 (42) 2014. Podobne zdanie w „Nowych Książkach” nr 6/2014 miał **Marrek Czuku** i napisał: „Bohater liryczny tomu Łucji Dudzińskiej to homo viator, poszukujący sensu, znaczeń i ciepła w świecie podzielonym na to, co duchowe i cielesne, męskie i żeńskie, wieczne i przemijające. (...) Wiersze – choć zanurzone w teraz, są skierowane ku przyszłości, pamiętając przeszłość. Stanowią istotną wypowiedź w wielogłosie współczesnych poetek, pokoleń czy środowisk”.

Afrodyzjak? Nie – to mój nick „mandragora” na OKP im. K. K. Baczyńskiego w Łodzi, gdzie wystane wiersze zaowocowały nagrodą „TETIS” wręczaną za zestaw poetycki wyróżniający się nowatorstwem formalnym i niekonwencjonalnością. Kiedy pojawiła się propozycja wydania tomu – tytuł znalazł się sam, jako **z mandragory**, gdyż na konkurs wysyłałam wiersze spójne ze znaczeniem tego magicznego słowa.

Masz rację (nawiązując do poprzedniego pytania) ten klucz może być „pod korzeniem mandragory” – chociaż to był czysty przypadek, że debiutowałam tym zestawem wierszy, mając przygotowane trzy różne projekty na debiut i jeszcze większą ilość wierszy w szufladzie. Nie spieszyło mi się do wydania – cierpliwie czekałam na swoją kolej, szukając akceptacji i dobrego wydawnictwa, równocześnie zajmując się animacją i promowaniem innych poetów. Hasło „mandragora” w pełni wpisuje się w charakterystykę mojej twórczości, bo to i oniryczność wypowiedzi i nieśmiertelny temat miłości czy relacji damsko-męskich, a także ukazywanie wszelkich tajemnic i egzystencjalnych dylematów codzienności. Jak zauważył w podsumowującej recenzji **Szymon Kantorski**, „Fraza” 2 (100) 2018 (portret) „Sam tytuł intryguje, choć może nasuwać czytelnikowi pewien tok myślenia, nie na darmo w jednym z wywiadów poetka mówi o swoich tekstach w kontekście tego co nienazwane. Mandragora, uważana za roślinę leczniczą, kryje w sobie tajemnice. Ma wiele nazw i magiczne konotacje. Bywa symbolem miłości, czasem ciemnym pierwiastkiem, lecz także naiwną wiarą. Jej atrybutem jest bezsprzecznie przemiana. (...) **Autorka dobrze rozpoznaje świat, umie się w nim odnaleźć, zna jego ograniczenia,** (...) Nie jest to na pewno pełen emocji poetycki sprint, (...) Dudzińska porusza się ostrożnie. Niekiedy ruch jest tu koniecznością, niekiedy gestem dobrej woli, czasem konieczną ucieczką. Zawsze jednak jest uświadomioną nam koniecznością, czymś na trwałe wpisanym w tę poetykę, autorkę, także nas samych”.

Wracasz do debiutu z **mandragory**... – i aż się boję czy nie zanudzamy czytelników (śmiech) bo ja nadal jestem pełna wspomnień i emocji – czytając pierwszą kompleksową recenzję, miałam dreszcze, czułam ogromne wzruszenie, bo **Leszek Żuliński** sprawnie rozszyfrował, poukładał, nazwał poszczególne elementy mojej poetyki.

„Latarnia Morska” 2013, „Gazeta Kulturalna” nr 12 (108) 2013. (To dziwne, właśnie sobie uświadomiłam, że z radością, ale mniej emocjonalnie i raczej z dystansem odbieram recenzje niefatrujące w punkt. Już wiem, że gdzieś tkwi we mnie, chociaż nic o nim nie wiem, zanim ktoś go nie wskaże, nie dotknie).

Oto fragment recenzenckich refleksji: „**Po pierwsze** Dudzińska do perfekcji dopracowała swój język „dużych metafor”. Co to znaczy? Ona niemal w ogóle nie stosuje myślenia dyskursywnego czy tzw. „mówienia wprost”. Ona tworzy obrazy i właśnie obrazy stoją się w całości metaforą, ekwiwalentem tego wszystkiego, co wiersz chce pokazać. (...) **Po drugie:** słowa – klucze... np. ta tytułowa mandragora... (...). **Po trzecie:** antynomie! (...) Mógłbym tak dłużej wyłapywać te bieguny. Ta inklinacja to ważny trop, moim zdaniem. Poetka ma świadomość (lub podświadomość) rozdwojenia przestrzeni ontologicznej i aksjologicznej, w jakiej żyje (żyjemy?). Stąd jej „świat przedstawiony” jest dynamiczny, jakby w ciągłym ruchu zderzeń i odkryć wywołujących ontologiczne i emocjonalne virement. (...) **Po czwarte:** niepokój! Tak, to nie są wiersze idylliczne, słoneczne, witalne... (...) **Po piąte:** oniryzmy, imaginacje! Nigdy niedostawne, ale cały ten świat toczy się przed oczyma duszy i wyobraźni. Jest „obrazem wewnętrznym”, mimo że postrzegającym toposy świata zewnętrznego. (...) Wystarczy, że po zamknięciu tego tomu, po powrocie z jego świata zapamiętujemy go. **On dzieje się na dwóch piętrach. Na pierwszym – żywioły i reguły zasadnicze, na drugim – relacje międzyludzkie, osobliwe EGO, czyli terytorium, do którego opisywaniu Łucja jest dalece niedostawna i dalece wymowna.** Nie wiem, do jakiego stopnia jest rozpoznawalna przez czytelników czy jurorów, ale myślę, że to możliwe. Bo Łucja naprawdę zbudowała swój świat ze słów, scen i wizji tak osobliwych, że rozpoznawalnych. I to zawsze jest największy komplement, jakiego rzadko jako recenzent używam”.

Z.K. W 2014 roku nakładem Zaułka Wydawniczego” Pomyłka” w Szczecinie wyszedł tom wierszy Membrana. Cyrkulacje?

Ł.D. Wspomnienie tomu **Membrana. Cyrkulacje**, uświadamia mi, że często wracam do tych wierszy, identyfikuję się z nimi i z ich formą – po prostu to jest mój ulubiony poetycki projekt, pięknie wydany w opracowaniu graficznym **Marii Kuczary**. To bardzo ważna dla mnie książka, która jest jakby kontynuacją tomu z **mandragory**. **Te dwie książki dały mi przepustkę do stania się członkinią Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.** Jeśli oczekujesz mojego ustosunkowania się do zawartości, to na pewno lepiej określi to **Piotr Wiktor Lorkowski**, który w postwii napisał: „to przede wszystkim poezja nastawiona na przekaz i odbiór, zanurzona w fonosferze. (...) Pogłosy i powidoki stara się rozwinąć w poemat, a może lepiej będzie powiedzieć – w traktat o sensorycznej wrażliwości. Taki stan ducha oczekuje od jej podmiotu określonej postawy percepcyjnej, uważnej selekcji wrażeń, sugeruje przybranie postawy obronnej. (...) **Zebrane na tych stronach wiersze prowadzą śmiało grę z rozproszonymi doświadczeniami, które raz narzucają się jak intruzy, innym razem przychodzą jak spontaniczni goście.** Nic chyba nie sugeruje, aby podmiot ich szukał. To one szukają go i znajdują. W sytuacji sporu pomiędzy prawdą objawioną a prawdą doświadczoną poetka oficjalnie zadeklarowała neutralność (zob. Nurt. Pod prąd). Wydaje się jednak, że bliższa jej wrażliwości pozostaje prawda doświadczenia, choćby ze względu cd. str. 50

na jej otwartość i dynamikę, potencjalność czy wreszcie – łatwość, z jaką można wprowadzić doświadczenie do obiegu materii, która gotuje się w jej wierszach, bulgoce, topi lub dla odmiany: krzepnie, krystalizuje się jak sól”.

Z.K. Wybór wierszy pt. *Metamorfozy*, wybrane (wersja polsko-bułgarska) w tłumaczeniu Łyczczara Seliaszki – taki wybór wierszy po osiem sztuk z każdego tomiku i z projektów na tomik. Są tu też wiersze z lat 1972-1997 i oto twoje słowa z tego okresu, skłaniające do głębokiej refleksji o podłożu filozoficznym: „*widziałam upadek człowieka / będąc dzieckiem starał się podnosić z kolan / z donośnym płaczem szukał bezpiecznych ramion / w miarę dorastania nauczył się płakać cicho / nauczył się szybciej powstawać z kolan / nie szukać ramion – zaczął rozglądać się dookoła / aby sprawdzić jak dużo osób widzi upadek / spokój odzyskiwał wtedy gdy świadków było jak najmniej // w końcu otarcia i zranienia bardziej bołą w następnych dniach / a bliźni bołą nawet po latach*”... Może skłonię cię do wypowiedzi, nie do tłumaczenia sensu, bo nie należy wątpić w odbiorcę sztuki, ale o takim szerszym dźwiganu świata i dźwiganu coraz trudniejszym za wyższą cenę, może nawet coraz wyższą?

Ł.D. Ładnie to ująłeś – „dźwiganie świata”. To fragment wiersza „*Samotność kinomana*” i chyba pod takim tytułem, chciałbym kiedyś wydać te moje dawno napisane wiersze.

W tamtych czasach w moim domu panowały warunki, umożliwiające tylko przetrwanie. **Abym się rozwijał, należało nauczyć się poczuć wartości w sobie samej, a nie w tym, co się posiada.** Trudna codzienność, umiejętność jej aprobowania sprawiała, że byłam nastawiona na potrzeby drugiego człowieka, aby wspierać, doceniać go, bo ja sama sobie jakoś radzę. Nie potrafiłam „zawracać głowy” swoimi problemami czy pisaniami wierszyków – przecież dookoła tyle wspaniałych wierszy i poetów. I tak należałam do grona wzorowych uczniów w klasie, nie miałam potrzeby chwalenia się czymś, co traktowałam jako tajemnicę, z której czerpałam siłę i niezależność. Porządkowałam w ten sposób chaos myśli i sytuacji. Nie czułam, że robię coś wartego uwagi. Te zapiski najczęstszymi gdzieś ginęły, ważniejszym był fakt wyrzucenia myśli z wnętrza głowy, wtedy dręczące uczucie zniknęło. To była moja forma dystansowania się do wszystkiego, aby umieć zauważyć jakieś szczególne chwile i pamiętać, że sporo ich było.

Zmysł filozoficzny i egzystencjalny był nieodzowny, aby pokonać problemy i znaleźć sens, zrozumieć jakoś życie, widziane oczami dziecka, które musiało szybko dorosnąć. Przekładało się to na zapisywanie impulsów i refleksji. Stawiałam na język, na konkretne przeżyte, zaobserwowane sytuacje i na wartość wyrazu, powiązania znaczeniowe. Równocześnie, obok wierszy jakie uważałam za wartościowe (i tylko moje), bawiłam się słowem i ćwiczyłam pisanie w rymowankach i rozdmuchiowaniu określeń czy metafor.

Z.K. Dzisiejszy świat jego egzystencja jest dziś, postawiona na głowie. Mało sięgamy do starych filozofii utrwalałych wiekami w prawdach uniwersum. Wielcy filozofowie, poczynawszy od starożytności (Sokrates, Platon, Kartezjusz, Paramides, Arystoteles... Kartezjusz, Chrystus), a później bardziej współcześni (Pascall, Leibniz, Kant, Nietzsche, Heidegger...) pytają nas o rzeczy, które moralnie legły u podstaw szeroko pojętej kultury w dziejach ludzkości. Pytają, oznajmiając nam o aspektach zasad bytu

człowieka w społecznościach, poszukując prawdy czasu w jakim objawił się człowiek, pytają w swoich myślach, snując swoje tezy o to czy zasady moralne mają charakter arbitralny, czy są częścią koncepcji jakiegoś narzuconego porządku na ziemi, tym samym twierdząc, że traktują one o estetyce życia w różnych społecznościach, o czym „nauczał” Chrystus także. (a jest wymieniany przez prof. Kołakowskiego jako historyka filozofii jako jedyny w tamtej stronie świata) – Ale ci wielcy pytają nas, między innymi o Guru, czy można wierzyć w jakąś siłę wyższą, kiedy nic nie wiemy o bytach poza ziemią? – Często, zwłaszcza poeci odnoszą się do Boga... choć pytają o rzeczy stworzone i rzeczywiste, o źródło życia i rzeczy niewidzialne, bywa często w tej sprawie odsyłają nas do własnej intuicji oraz wyczucia mistyki. Przez to ci WIELCY filozofowie pytają nas skąd przyszliśmy i dokąd zmierzamy? – często zaglądamy do tych ustanowionych filozofii, jak twórcy, artyści... często na tych filozofiach tworzymy nie wiedząc, że tak jest!

Ł.D. Poruszyłeś temat – rzekę, i na pewno mniej czy bardziej bezpośrednim odzwierciedleniem odpowiedzi na tak obszerne pytanie – stwierdzenie, można uznać treść tomu *wykrzesać ogień. taki Stan* z niesamowitymi grafikami Marka Koneckiego, z cyklu „skalne ptaki” będące symbolem związku ziemi z niebem.

Tylko mam się jakoś ustosunkować do pytania w tej chwili, więc skupię się chociaż na marginalnym podejściu. Filozofia starożytna, zajmując się zagadnieniami bytu odnosi się do bytu samoistnego, który ze swojej natury już jest wieloznaczny. Na pewno jako poeci powinniśmy stawiać na realny byt o określonej strukturze i założeniach, gdyż tematy pustki i duszy zostały dość mocno wyeksplloatowane. **Uważam, że aktualnie dla nas ważne są: działanie, doznawanie, miejsce, czas, jakość, relacje...** Pamiętam, że struktury bytu tworzą przyczyny: materialne, formalne, sprawcze i celowe. **Filozofia w sztuce uczy nas logicznego podejścia do życia i lubię, gdy przekłada się to na wiersz obudowany swoistą logiką.** Cenię, kiedy podstawą poetyckich rozważań stają się: mistyka, absolut, zmysły, uczucia, pojęcie dobra i zła, pojęcie szczęścia, przemijania, śmierci, i wszelkie sprzeczności związane z miejscem człowieka w świecie.

Postanowiłam po debiucie z *mandragory* iść śladem żywiołów. Odnieść się jakoś do tych symboli – filarów filozoficznych rozważań, chociaż w sposób symboliczny. I tak „powietrze” pojawiło się jako jeden z tematów przewodnich w tomie *Membrana. Cyrkulacje*. „Woda” jako symbol (między innymi znaczeniami) spajała treść tomu *OB-krew i woda*. Konkret tkwiący w historii o życiu i problemach kobiety, zawarty w poemacie *Tupanie. ze sobą po drodze*, stawał na żywioł „ziemi”; natomiast „ogień” stał się alegorią w ostatnim tomie *wykrzesać ogień. taki Stan* dotyczącym (mówiąc w skrócie) inicjacji, tożsamości i stanów emocjonalnych mężczyzny. Dlatego „w skrócie”, gdyż nie chodzi tu tylko o przedstawienie historii, opowieści o Julii czy o Stanisławie, ale o poruszanie istotnych społecznie, socjologicznie tematów. **Magdalena Rabizo-Birek**, profesor UR, tak skomentowała na okładce tom *Tupanie. ze sobą po drodze*: (...) „W tle poematu toczy się druga, intensywna opowieść, która jest równie istotna, co doświadczenia jego bohaterów – to nienazwana z imienia Polska ostatnich kilkudziesięciu lat, dom-świat autorki, podpatrzony i opisany z poetycką trafnością, czułym i wnikliwym okiem. Morze i góry, miasto i wieś, cywilizacja i natura,

przedmioty codziennego użytku i historyczne zdarzenia, zwierzęta, rośliny i ludzie – doczekały się pod piórem poznańskiej poetki wyjątkowo trafnych lirycznych konfliktów. Tupanie Łucji Dudzińskiej – znak bezradnej, dziecięcej kontestacji, ale i dobitnie zaznaczony własny ślad – to poetyckie *cinéma vérité* – paradoksalna prawda fikcji, nieśpiesznie rozwijający się subiektywny dokument, relacja z czyjegoś niepowtarzalnego istnienia w czasie i przestrzeni”.

Także ważnym jest stworzenie (właśnie w poezji) typowych bohaterów – podmiotów literackich, realnych w swoich przeżyciach, rozterkach, oczekiwań, problemach, cechach charakteru i poszukiwaniach nie tylko tożsamości, ale i mistycznych, transcendentnych stanów. **Nie można tych tomów odbierać „płytko” tylko przez pryzmat słowa, autora czy rzeczywistości, bo przekaz jest dużo głębszy.** Niesamowicie trafnie, Kinga Młynarska w zwartej recenzji, na blogu (dajprzeczytac.blogspot.com) „Przeczytane. Napisane”, odczytała zamysł tomu *wykrzesać ogień. taki Stan*. To są momenty, kiedy czytając widzę, jakby mój zamysł został zdemaskowany i czuję dziwne wzruszenie, poczucie jakby wpatrzonych było we mnie tysiące par oczu, przed którymi nic nie da się ukryć. Natomiast **Andrzej Walter** (portal pisarze.pl) zaskoczył mnie ciekawym ujęciem rozważań ze swojego punktu widzenia, takim esejistycznym podejściem do historii Stana i Julii. Przy okazji zdradzę, że wszystkie detale z życia Julii (dzieciństwo, dorosłość, relacje) są fikcją literacką – natomiast to, co dotyczy Stana – jest zastyszczaną, zaobserwowaną prawdą. Wiem, że wykreowanie w tomiku męskiego bohatera lirycznego (przez kobietę) jest dość rzadkie. W poezji stawiam na nieodłączny rys egzystencjalny, tomiki mogą być interpretowane z różnych punktów widzenia. **Żywioły sugerują dodatkowy potencjał interpretacyjny są niezniszczalne, niezmiennie, ta moc tkwi również w bliskim mi poetycko określeniu ich jako „korzenie” kosmologiczne.**

Z.K. Zatem przejdźmy do współczesności. Masz już osiem książek poetyckich. Jak już wspomniałam na początku, poszukiwałam klucza do poetyki życia, co bierze się zawsze z dzieciństwa... Myślę też, że nie, cały czas nosimy ten klucz na szyi, gdzieś go później gubimy, dorastając... Przytoczę sekwencje z twojego wiersza z ostatniego tomu *wykrzesać ogień. taki Stan*:

„*Przywiązane do szyi dzieciństwo. Bajki na żądanie. Oswajanie wiedzy na dobranoc, w stylu: powiedz mi mamo, powiedz mi tato! Nauka wzajemności: jak ty mi, tak ja tobie. Poskramianie zaufania, w stylu: i tak ci nie uwierzę. Później dylemat: gdzie szukać bohaterów? A może szukać romantyzmu?*”

Ł.D. Przytaczasz początek wiersza „*Od dziecka. Klucz*” otwierający historię Stana, ukazujący jego dzieciństwo. Oczywiście jest to dość symboliczny tekst, można go potraktować w sposób uniwersalny. I masz rację czasem nosimy przez całe życie znamie „dziecka z kluczem na szyi”, które samo musi sobie radzić, chociaż ma klucz, ale nie ma domu. Albo chcemy szybko dorosnąć, ale czy kiedyś dorastamy? Może gubimy ten właściwy klucz do domu albo nosimy na sobie – przy sobie pęk kluczy?

Poczułam się poetycko spełniona, czytając notę redakcyjną literaturoznawczyni i komparatystki, prof. UW **Zanety Nalewajk**: „W tomie *wykrzesać ogień. taki Stan*, Łucja Dudzińska z powodzeniem podejmuje wyzwanie wykreowania męskiego bohatera lirycznego oraz prezentuje poetyckie, eksperymentalne studium stanów jego

świadomości, relacji i emocji. Substancją tych wierszy jest nie tylko liryzm, lecz także narracyjność ujawniająca się nie tyle w wyborach gatunkowych autorki, ile w kompozycji tomu. Włączone do niego teksty układają się bowiem w spójną opowieść przesyconą poetyckością, a zarazem odpowiadającą w pełni wymogom prawdopodobieństwa. **Te wiersze są rezultatem wnikliwej obserwacji, której nie powstydziliby się wytrawny prozaik realista, a jednocześnie efektem twórczej pracy nad kształtem i brzmieniem słowa poetyckiego**".

Zbyszek pod pretekstem teraźniejszości nakłonił mnie do zastanowienia się nad przeszłością i faktycznie trudne **dzieciństwo było kluczem do znalezienia mojego intymnego miejsca w pisaniu oraz zapisywaniu siebie i tego co dzieje się dookoła**, chociaż bez szukania odbiorcy, w tajemnicy nawet przed rodziną. Poezję uznaję za sól poprawiającą smak prozy życia. Traktowałam ją więc z umiarem i atencją. Nie nosiłam klucza na szyi, zawsze ktoś był w domu, kochająca mama, dziadkowie. Wspierała mnie cudowna 8 lat starsza siostra. Gdy miałam 14 lat umarła babcia, która praktycznie prowadziła dom. Ojciec, wcześniej od nas odszedł (nie udźwignął życia, będąc więźniem politycznym), a mama ciężko chorowała (skutki traumy i wojny). Natomiast dziadek – Wiktor, bezimienny bohater wojennego czasu, o niesamowitej osobowości i pracowitości – pełnił rolę najważniejszą i żył w pełni sił do 97 lat. Wspomnieniem i ukazaniem mojego wyrastania w słowach i dorastania w życiu jest wspomniany wcześniej tom **OB-krew i woda** – to były dawne moje zapiski z lat 70/80/90, bez świadomości na tamte czasy, że mogą mieć wartość literacką. Opublikowałam je w roku 2015, jako trzeci tomik.

Z.K. Być rozpoznawalnym w poezji dzisiaj – czego trzeba do oryginalności, jaki tworzyć język? – co uświadamiać i oznajmiać? – Jednak trzeba jakiejś filozofii, że tak to nazwę, chcę żebyśmy trochę, o tyle ile można nadal poruszali się po okowach filozofii...

Ł.D. Czy realia życia łączą się z filozofią? I tak i nie – zależy od interpretacji, od podejścia i argumentów. Rozpoznawalność uważam bardziej za socjologiczne zjawisko niezależnie czy wypływa z relacji międzyludzkich, czy twórczości. Cenię sobie indywidualizm, to istota twórczości, **trzeba być człowiekiem, a nie tylko napisanym wierszem**. Nawet takim sprawnym w przyjętej współcześnie stylistyce (czy tzw. „nowomowie” konkursowej, portalowej, młodzieżowej). Jeśli chodzi o moje spojrzenie na wiersze jako redaktor, czy juror, to lubię, gdy coś jest chropowate, ma swoją fakturę zmagania się z żywymi problemami. Te gładkie wiersze, toczą się jak perły i znikają.

Jestem „starej daty” i mam wrażenie, że „mój język” różni się od języka poetów z roczników 80/90, a krytycy mogą traktować mnie jako poetkę debiutującą na równi z nimi, co owszem może rodzić rozpoznawalność, ale i brak zrozumienia.

Czym jest rozpoznawalność? Co nam daje – prócz wiary w siebie, motywację do większej pracy, większą odpowiedzialność za słowo... Kiedyś zaprzeczałam, nie dowierzałam pozytywnym opiniom, wciąż jakbym była niezadowolona ze swojego pisania, nieufna słowom – bo przecież zawsze można coś zapisać lepiej, inaczej. Później nabrałam dystansu, gdy krytycy po ogłoszeniu werdyktu jakiegoś konkursu puczyli mnie, że „mam milczeć o swoich rozterkach albo się chwalić”. (Śmiech) A jeszcze później, gdy nauczyłam się doceniać to, co piszę – nabrałam pewności siebie. Na

pewno istotą wszystkiego jest poświęcenie się poezji. Każdy z nas ma jakieś ograniczenia, jakieś priorytety. **Ważne jest pisanie, działanie na miarę swoich możliwości i w zgodzie ze sobą, a reszta niech dzieje się sama**. I mogę stwierdzić, że u mnie wszystko dzieje się samo, jako ta wartość dodana do wykonanej pracy – wykonywanej kiedyś albo aktualnie. I cieszy mnie zaskoczenie, że jestem w miejscu o jakim, jako ekonomistka, 10 lat temu nawet nie marzyłam i aktualnie piszę, redaguję, wydaję, prowadzę warsztaty – robię to, co wcześniej wydawało się niemożliwe. Jestem też zwolenniczką nabywania wiedzy i rozwijania się przez całe życie, a jeśli się tym można podzielić – to już mamy sens działania. Łatwiej czasem jest dotrzeć do słuchacza, mając empatię i przekazując coś z autopsji, niż wyuczone. **Zgadzałam się z publiczną wypowiedzią Andrzeja Stasiuka: ważniejszy jest instykt literacki, a nie zaliczone szkoły – do wszystkiego można dojść intuicyjnie**.

Aby nadal drążyć i szukać odpowiedzi na Twoje pytanie znów będę posiłkowała się cenną dla mnie opinią: „Łucja Dudzińska jest poetką, która rozwija się w zaskakujący konsekwentny sposób. Wydane przez nią książki są wyjątkowo wyraziste i pozytywnie wyróżniają się w zestawieniu z twórczością innych autorów średniego pokolenia. Niezaprzeczalnym walorem poezji Dudzińskiej jest jej autonomiczność – jej wierszy nie da się pomylić z wierszami innych poetów. To poezja konkretna i doświadczeniowa, ale poddana licznym rygorom stylistycznym. **Ponadto są to wiersze nie tylko świetnie napisane, ale również „o czymś”, co jest dzisiaj rzadkością**”. Na osobną uwagę zasługuje aktywność Łucji Dudzińskiej jako niestrudzonej animatorki kultury. Bez jej zaangażowania krajobraz literacki Poznania byłby o wiele uboższy. **Mariusz Grzebalski** – rekomendacja do UMWW i nota na tomie **Metamorfozy. wybrane**.

Wobec tego może istotą rozpoznawalności jest bycie aktywnym? Jest pisanie „o czymś”? Zagłębianie się w filozofię życia, motywację zachowań, w rozważanie różnego rodzaju dylematów, dociekanie rozwiązań... Nie wiem. Na pewno dla mnie istotny jest zamysł kompozycji całości tomiku i jego spójność, a nie tylko publikacja zestawu wierszy napisanych w danym okresie. **Może tym wyznacznikiem rozpoznawalności jest stawianie wysoko porzeczek?** – wymaganie od siebie i od języka – stawianie na konkret, mądrość życiową, na empatię, tożsamość, ale również i uleganie stanom lirycznym. Czym innym jest powielanie, luźny, niekontrolowany słowotok o wszystkim i niczym (ale można zaobserwować, że to też czasem nie przeszkadza w zdobywaniu nominacji i nagród). **Poezja, to sztuka niewymierzalna, i potęgą jest zastosowana teoria, interpretacja, koncepcja oraz przyjazne środowisko**. Umieć patrzeć na środowisko (i jego podziały) z dystansu, może dlatego, że w nim nie dorastałam, a praktycznie trałam już z jakimś dorobkiem tak jakby z zewnątrz.

Obecnie każdy może pisać i wydawać książki. Dotyczy to prozy i poezji. Nie zachwycam się kombinatorstwem słownym, sytuacyjnym, aby zszokować, znieścacyć, zaistnieć. Taką nieuczciwość literacką łatwo zdementować – czy na tym polega oryginalność? Chyba nie. Padają gdzieś słowa (zwłaszcza na usprawiedliwienie tzw. grafomanii), że pisze się dla ludzi, a nie dla krytyków. Oczywiście, ale są jakieś zasady tworzenia w każdej sztuce, a całokształt jest decyzją wyboru i osobistej etyki. Wiadomo, że nie można podobać

się wszystkim odbiorcom i wszystkim krytykom. **Pytasz o oryginalność** – raczej nie ma jej w banalnych tekstach, w rzucanych hasłach coachingowych, w nadmiernym epatowaniu prywatnością – w tym, co jest powszechne, popularne, chętnie słuchane, oglądane – a to sprzyja przecież licznym polubieniom w mediach społecznościowych, sprzyja zainteresowaniu książkami, spotkaniami. **Trafiamy na błędne koło, z którego wyrwać nas może tylko przypadek albo dobry los. A może umiejętność wyważenia tych elementów sprzyjających oryginalności, rozpoznawalności – czyli bycie na granicy kiczu, na granicy popkultury i sztuki?**

Kolejnym tematem rozpoznawalności (gdzie twórczość często schodzi na plan dalszy, a tym bardziej filozofia) **może być skandalizowanie albo obrażanie i krytykowanie dookoła**, zwłaszcza jak nikt nie pyta o zdanie – wtedy zapamiętują, boją się, starają się pozyskać przychylność. Nie zaistnieją się tak szybko, będąc „dobrym”, życzliwym, czy uczciwym w swoich działaniach i kontaktach.

Istotna jest również przynależność do określonego środowiska, które się wzajemnie promuje albo promuje wybranych. I wtedy jednych się publikuje, a innych nie. Jednych się chwali... – ale gorzej, gdy drugich się niestudnie krytykuje. Pomijanie milczeniem jest stanem naturalnym.

Teraz mogę stwierdzić – tworząc w 2011 roku Grupę Literacką (literacko-artystyczną) Na Krechę, miałam się albo bunt w sobie, aby podjąć działania „ponad podziatami”, pod prąd, więc może cieszyć każda obiektywna życzliwość, ale to sprzyja byciu outsiderem. Może czas to zmieniać?

Z.K. Proszę dopowiedz coś o czym nie powiedzieliśmy, a jest ważne i cenne... Może o innych tomikach? – Czy tytuły wypłynęły z ważnych przeżyć? – Powiesz to oczywiście! ale mi chodzi o jakieś ważne fazy życia, kondycje, etc., które wpłynęły na kolejne tomiki poetyckie.

Ł.D. Nie, u mnie to nie jest oczywiste. (Śmiech)

Takie otwarte pytanie jest chyba najtrudniejsze, i ulegnę znów pokusie rozpisania się. Pozostałmy przy informacjach określających moją twórczość i poetycką formę. Aha i **w drodze jest już dziewiąty tom Prze-myślenie. Brulion personalizowany** w wersji polsko-angielskiej. Po prozie poetyckiej znów stawiam na krótką wypowiedź, ale bez jakichkolwiek rygorów związanych z gatunkową formą zapisu – tom kompletnie inny od dotychczasowych książek, chociaż nadal przesycony filozoficzną strategią.

Na moje podejście do poezji oraz do życia miały wpływ słowa **ks. Jana Twardowskiego „Jeśli nie wiesz dokąd iść, sama cię droga zaprowadzi”** i często podczas tej drogi towarzyszyły słowa **Rafała Wojaczka „Wyrzec słowo, by stwierdzić, że głos jest krzykiem i nikogo to nie obchodzi”**.

Tytuły tomików określają i interpretują znaczeniowo zawartą treść. Lubię pojemny, wielointerpretacyjny charakter wierszy, i odzwierciedla się to przy wyborze tytułu. Nie było to związane z przeżyciami, ani fazami życia – jedynie z możliwością czy zamysłem publikacji, z opanowaniem i uszeregowaniem w spójną całość wierszy, które już powstały, a także związane z nowymi koncepcjami literackimi. Dotyczyło to np. napisania projektu poetyckiego, na tyle ciekawego w zamyśle (**wykrzesać ogień. taki Stan**), aby uzyskać stypendium, co się spełniło w roku 2018. Mam też kolejne pomysły do zrealizowania.

Byłam mile zaskoczona, gdy zwrócono uwagę na tytuły moich tomów i wierszy... Dla mnie one były oczywiste, jako uzupełnienie

→ interpretacyjne tekstu i wyływały instynktownie podczas pisania. Na ten temat mówiłam już w obszernej rozmowie z Jolantą Nawrot, „Fraza” 2 (100) 2018.

Naszą rozmowę powinienam zakończyć cytatem z opinii literaturoznawcy, krytyka, prof. UAM **Jerzego Borowczyka**, który pochylił się nad moimi wierszami jako pierwszy – jeszcze przed publikacją książki. **Opinia została wydrukowana w „Almanachu wierszy niegotowych”,** który ukazał się w ramach Festiwalu „Poznań Poetów” w 2011 roku, a później uzyskałam zgodę na umieszczenie (jako notkę) na okładce tomu **OB-Krew i woda.**

„Po pierwsze, na zauważenie i pewne uznanie zasługuje sztuka tytułowania utworów. Poetka używa tytułu jako sugestii procesualności, jako sygnału, że w wierszu próbuje ująć zarazem pewien wycinek szerszego zjawiska oraz jego stałe składniki. Dobrze służą temu także konstrukcje z kropką wewnątrz tytułu. **Po wtóre,** udają się Łucji Dudzińskiej przerzutnie – niby lekko zarysowane, a przecież sugestywne. **Po trzecie,** dobrze panuje nad kreowanymi przez siebie obrazami – jest to możliwe dzięki konsekwencji w doborze słów i środków stylistycznych (porównania, metafory, skłonność do alegoryzacji) oraz za sprawą przenikliwego spojrzenia osoby mówiącej. **Po czwarte,** można dostrzec w tych wierszach coś klasycznego w sposobie konstruowania lirycznej narracji, ufania takiej opowieści i wynikającej z tego wyrazistości podmiotu mówiącego i jego bohaterów. Są to osoby (albo – jak kto woli – jest to jedna i ta sama osoba) zatrzęsnięte w samotności, w swojej historii, w swoich bliskich (a nadal samotnie), w pokawałkowanym, a przecież niepozabawionym konturów świecie”.

Spotkałam na mojej poetyckiej drodze wiele wspaniałych osób, zarówno artystów i poetów, z którymi współpracuję, dla których redaguję teksty oraz animatorów, recenzentów, literaturoznawców pochyłających się nad moimi wierszami oraz wierszami poetów wydanych w FONT (50 zredagowanych tomików). To rodzi wdzięczność, uświadamia co i jak tworzymy, motywuje do dalszej pracy, nadaje sens literackim działaniom.

Dziękuję za rozmowę, traktuję ją jako podsumowanie mojego dorobku, jako prezent na moje okrągłe urodziny, które w przypadku twórczości mogą być atutem, a w przypadku codzienności... (śmiech) dziwnie się do nich przyznać, gdyż nie korespondują z moją mentalnością.

**Z POETKĄ ŁUCJĄ DUDZIŃSKĄ ROZMAWIAŁ
ZBYSZEK IKONA-KRESOWATY**

Łucja Dudzińska (1960) poznańska poetka, wydawca, redaktorka dwóch serii wydawniczych, animatorka kultury, członkini Zarządu Głównego i Komisji Kwalifikacyjnej Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Autorka ośmiu tomów poetyckich (w tym dwóch dwujęzycznych). Tłumaczona na dziewięć języków. Inicjator, kuratorka ogólnopolskiej Grupy Literackiej Na Krechę. Fundatorka i prezes FONT. Laureatka nagrody „Fotokreator” za twórczość i animowanie fotografii w woj. wielkopolskim. Uhonorowana przez Kazimierza Rafalika statuetką „Dobry człowiek” (profesjonalizm & bezinteresowność). Stypendystka Marszałka Województwa Wielkopolskiego w dziedzinie kultury.

Grafika Eduard Nikonorow

Akinom de Lirka

X X X

migawki z Budy i Pesztu
zwanego od Hadriana Aquincum
liźnięte przez szybę
taniej żółtej taksówki z lotniska..
rozmażane światła Parlamentu
jak nocne błyskawice rozmyte w burzy
odbite w Dunaju

taki sam Corinthia Hotel
jak kiedyś w Pradze i w Istambule
15 i 10 lat temu (żył wtedy Przyjaciół) z witrażami
i ruch głowy czarnej młodszej niż wtedy kobiety
w czerwonej sukni w foyer i zapach
modnych dzisiaj innych niż wtedy
perfum

taniec z obcokrajowcem w ostrych światłach nad rzeką
w zbyt ciężkich butach nawet jak na dzisiaj w marcu
i rosyjska wódka pita przez grubo ciosane
kobiety z Sankt Petersburga
w nadmiarze

później prawie w nocy
mżawka nad wyspą Świętej Małgorzaty
której prawie nie widać w półcieniach deszczu,
mokre włosy i przecucie, że może tu może być dobrze
i spokojnie kiedyś z Tobą..

wiersze

wiersze
tak jak uczucia
nie przychodzą ot tak sobie

męczą się w szarych klatkach
pozbawionych emocji
drżemią śpią i nie śnią
stłoczone na drążkach
zbyt małej woliery

budzi je czasami miłość
wychodzą zdziwione
i nieprzystosowane do życia
ogłuszone szaleństwem świata
potrzebują pomocy
żeby przetrwać
żyją więc
niekiedy zbyt krótko

czytając

[Poetyka, Arystoteles; 1,6180339887]

czytając Arystotelesa
przypominasz sobie wyrazy
kiedyś znane i później
pogubione

wracasz do szlachetnych korzeni
zapomnianych przez paralogizm
otaczającego cię świata i ludzi

zaczyna ci się układać w głowie
złoty porządek
przypominasz sobie o istnieniu liczby ϕ
i boskich proporcji

stworzonych przecież nie przez człowieka

i wtedy widzisz całą harmonię świata...

Boris Nosik

KONIEC JEDNEJ POSIADŁOŚCI... WILLA „BELWEDER” I IWAN ALEKSIEJEWICZ BUNIN

Wspominając to, co bezpowrotnie odeszło wraz z porzuconą na zawsze Rosją szczególnie dręczące dla arystokratycznych wygnańców było właśnie wspomnienie rosyjskiego „szlacheckiego gniazda”. Zapewne dlatego, że na świecie już nic nie pozostało z tamtego zjawiska swobodnego życia w zagubionych wśród głuszy posiadłościach, gdzie w środku nietkniętej ludzką ręką przyrody, w otoczeniu najwyższych darów kultury; literatury, filozofii, muzyki. Te rosyjskie szlacheckie i ziemiańskie domy z ich niezwykłą gościnnością, szczególną szczodrością, z nie kończącymi się rozmowami podczas przedłużających się obiadów, w naturalny sposób wpisane są w historię naszej kultury. Wyobraźmy sobie... długa zima, zaśnieżone białe pustkowia, i nagle słychać skrzypienie sań i dźwięk dzwoneczków, to wódcęga i obieżyświat Aleksandr Puszkina zboczył z Petersburskiego traktu, by rozgrzać się w Malininkach, skuszony myślą o przyjacielskiej biesiadzie, lub oczach Katiienki Wieliaszewej. A pod zielonym baldachimem alei – głosy zawzięcie dyskutujących; a przyjrzymy się bliżej – Tołstoj z Fetem i Turgieniewem. A oto nocne światło w oficynie Priamuchinskiego dworu – tutaj szalony syn Aleksandra Michajłowicza Bakunina zachęca swoich „nieszlacheckich” przyjaciół do studiowania książek Fichtego i Hegla, których sensu sam jeszcze nie pojął...

Na emigracji wszystko to się skończyło – nie było już dworów, służby, zbędnych pieniędzy, za to wokół była taka bieda, że grzechem byłoby manifestowanie swojej zamożności. Ale nawet przy niewielkich możliwościach, tu i ówdzie, powstawały ogniska życia emigracyjnego, na podobieństwo tamtego w byłych „szlacheckich gniazdach”. Jedno z takich miejsc opisał Władimir Nabokow w swojej amerykańskiej powieści „Pnin”, jest to dwór Aleksandra Kukolnikowa, a wspomnienie przywołała podróż autora na letnisko do Michaiła Karpowicza w Vermonte.

Podobne do tamtych szlacheckich dworów były; francuski podmiejski (gmina Fontainebleau) dom Trubeckich lub dom Kowalewskich w Meudon pod Paryżem. Dziwne, ale niektóre z tych cech pod którymi ukrywa się pojęcie „szlacheckiego gniazda” odnajdziemy w sposobie życia mieszkańców Grasse, w Alpach Nadmorskich, niedaleko Lazurowego Wybrzeża, nieopodal Cannes i Nicei. W tej willi przez szesnaście lat, według najlepszych tradycji ziemiańsko-szlacheckiego życia, większą część roku spędzał Iwan Aleksiejewicz Bunin z żoną, gośćmi, przyjaciółmi i rezydentami. Nieprzypadkowo napisałem „dziwne”, gdyż finansowa kondycja Buninów we Francji nie była najlepsza. Niczego z Rosji nie wywieźli, a żyć z pióra na zachodzie nie

mógł nie tylko pisarz rosyjski piszący dla ograniczonego kręgu emigracyjnych czytelników, nie mogli także przedstawiciele jakiegokolwiek literatury europejskiej; chociaż ona właściwie była tutaj „u siebie”, a oni tworzyli w otoczeniu milionowej masy rodaków; Francuzów, Anglików lub Włochów. Poza tym, dla Bunina, który za granicę wyjechał w wieku pięćdziesięciu lat było zbyt późno, nie tylko by zamienić na inny ulubiony zawód, ale także by pozbyć się swoich pańskich nawyków. Na szczęście był ulubieńcem rosyjskiej inteligencji, był jedynym na wygnaniu pisarzem-akademikiem, tak, że nawet ci, którzy czytać nie mieli kiedy, wiedzieli, że Bunin to klasyk i duma Rosji; więc jeżeli nie pomóc Buninowi – to komu? Zatem pomagali. Było na to tysiące sposobów; zbierano pieniądze darczyńców spisując według listy, organizowano wieczory autorskie, spotkania z czytelnikami na które należało kupić bilet, a oprócz tego była także bezpośrednia pomoc filantropów, dobroczyńców i mecenasów.

Zbliżało się duszne paryskie lato, szare niebo wisiało nad szesnaściami dzielnicą i rue Jacques-Offenbach. Wyglądało na to, że koniecznie trzeba stąd wyjechać, wyjechać dokądkolwiek, byle było tam niebieskie niebo, góry i morze – ale za co, skąd wziąć pieniądze? Pomimo biedy Iwan Aleksiejewicz nie zamierzał pracować, chciał żyć jak dawniej, gazeta to praca wyrobnicza, tak mogli sobie pracować Osorgin, lub Ałdanow, pięćdziesięcioletni arystokrata nie będzie tak się męczyć. Więc jechali; Iwan Aleksiejewicz i Wiera Nikołajewna – jechali na śniadanie... do kogokolwiek; a tym razem do „jakiegoś Rozental”. Ucztowano z bogatym jubilerem przy suto zastawionym stole, wspólnymi siłami wspominając ulubione strofy Puszkina – „mróz i słońce, cudowny dzień”. A po obiedzie, ten sam Rozental, wzruszony wspomnieniami bezpiecznego petersburskiego dzieciństwa, zaprasza Wierę Nikołajewną do swojego gabinetu i mówi, że Iwana Aleksiejewicza koniecznie trzeba wywieźć z tego czartowskiego lata, więc o to czek, dać dużo on oczywiście nie może, ale parę tysięcy... Takie zabawne sytuacje opisywała w swoim dzienniku Wiera Nikołajewna. Podobne znajdowały także u Niny Berberowej, czy Janowskiego (Wasilija Siemionowicza) tak, że trzeba byłoby nie mieć sumienia i totalnie nie znać faktów, by przedstawić to w sposób, jaki zrobił moskiewski autor Walentin Ławrow, nowy buninolog.

Na początku lat dwudziestych, dokładnie w 1923 roku, Buninowie po raz pierwszy pojawiają się w górzystym Grasse. Początkowo wynajmowali tam dom wspólnie z Zinaidą

Gippius i jej mężem Dmitrijem Mierieżkowskim, później odkryli „Belweder” – willę na wzgórzu, w pobliżu drogi wiodącej do Nicei, niedaleko parku i nieopodal ulicy księżniczki Poliny. Na wąziutkiej rue de Vieux Logis stoi wbita w ziemię tablica informująca, że mieszkał tutaj rosyjski pisarz Iwan Bunin. W dole ciasne uliczki starego miasteczka, nad nimi na sznurach rozwieszona bielizna, na maleńkich przytulnych placikach stare cerkiewki; wszystko to w sumie bardziej włoskie, niż francuskie. A na górze; willa w ogrodzie, świeże przezroczyste powietrze, widok na daleki maszyn Esterelu i nad tym wszystkim ogromne gwiaździste niebo. Tutaj, aż chce się pisać, więc czego jeszcze można życzyć pisarzowi.

Bunin miał ze sobą książki i stare czasopisma, na przykład; „Otieststwiennye Zapiski”, do których wracał bez końca. Irytowało go jednak, że to wszystko już czytał przed trzydziestoma laty zimą w Oziorkach, w majątku rodziców....

Tutaj, w Grasse, obok niego zawsze była ukochana i oddana żona - Wiera Nikołajewna Muromcewa-Bunina. Od wielu lat są już razem, chociaż ślub wzięli zupełnie niedawno w Paryżu. Poza tym bezustannie pojawiają się goście; przecież tuż obok jest Nicea, a w niej cała kolonia Rosjan i kogo tam nie ma, jest nawet stareńka wnuczka Aleksandra Puszkina. W Grasse mieszka ulubiony, sercu najmilszy Ilja Fondaminski, wiecznie pochłonięty religijną misją, miłośnik do rosyjskiej historii i literatury. Dojeżdża [Igor] Strawiński, bywa tutaj [Mark] Ałdanow, podobnie jak Bunin wielbiciel Tołstoja, są także inni, bardzo wielu innych... więc dyskutuje się tutaj o niuansach sztuki pisarskiej tak, jak bywało to wcześniej w Jałcie u Antona Czechowa.

W 1927 roku do mieszkańców willi „Belweder” dołączyła w charakterze sekretarki młoda pisarka Galina Kuzniecowa i Bunin zakochał się szalenie; zakochał się swoją ostatnią wielką miłością. W wieku pięćdziesięciu siedmiu lat odzyskuje energię, witalność i radość życia, powraca chęć do pracy – pisze wtedy „Życie Arsieniewa”, zaczyna „Ciemne aleje”. A Wiera Nikołajewna? – no cóż - oczywiście jest zazdrosna, ale dla niej najważniejszy jest Jan² i troska o niego. Później dołączy do nich jeszcze pisarz spod Pskowa (wtedy była to Estonia), młody Leonid Żurow, dziwny, trudny człowiek – także zostaje ni to sekretarzem, ni to uczniem Bunina, albo jeszcze jednym rezydentem (darmozjadem). Dobre serce Wierę Nikołajewnej pochyla się i nad tą nieśczęsną istotą... Nie jest to zwyczajny układ, ale ciągle jeszcze w ziemiańsko-szlacheckim stylu. Wczesny ranek w Nadmorskich Alpach; niebo przezroczyste, krystaliczne powietrze;

Bunin zajęty pisaniem powieści nie zapomina o dzienniku: „Alpejski jesienny poranek, w sąsiednim górskim miasteczku dzwonią na mszę. Cisza, świeżość poranka i ten śpiewny dzwon – wszystko odbywa się tak samo, jak tysiąc, jak pięćset lat wcześniej, w czasach rycerzy, panów, królów i mnichów... Obudziłem się o czwartej i wyszedłem na balkon – jakie uroczyste, majestatyczne i cudownie granatowe niebo, a na nim Orion i Syriusz, gwiazdy tak ogromne, że aż przeżegnałem się na ten widok.” A oto jeszcze inny fragment: „Spacerowaliśmy z Galą uliczkami miasteczka rozmawiając o okropnościach życia, był ciemny wieczór, nagle – przed nami piwnica piekarni, rozpalony piec, zapach piekącego się chleba – i jaka słodycz życia... Gdy zapaliłem u siebie światło, chmury nad miastem nabrały ciemno liliowego koloru na pół wyschniętego atramentu. Zgasilem, i – z liliowych stały się fioletowe. Dałby Bóg, by nie „zapeszyc” tego uczucia wewnętrznej świeżości, młodości i wrażliwości.”

Gości jak zwykle dużo. Pewnego dnia pojawiła się nawet zdenerwowana i zdeorientowana radziecka żona Raskolnikowa, byłego bolszewickiego dowódcy-rewolucjonisty, byłego męża Łarisy Reissner³ i byłego ambasadora w Bułgarii. Wezwany nagle na rozprawę do Moskwy⁴ Fiodor Raskolnikow nie pojechał, ukrył się, ale napisał list otwarty do Stalina, a w nim, wszystko co o nim myśli. Śmierć dopada Raskolnikowa w Nicei. A co do Bunina, on także nigdy nie ukrywał tego co myśli o bolszewikach, o Leninie i Stalinie. Później do tej listy dodał jeszcze Hitlera i Mussoliniego, tak, że starania moskiewskiego autora o nazwisko Ławrow, by przekonać w swojej książce o wielkim uczuciu Bunina do towarzysza Stalina, mogły się powieść jedynie w przypadku bardzo naiwnego czytelnika. W 1933 roku małe miasteczko Grasse znane z przemysłu perfumeryjnego po raz pierwszy znalazło się na łamach światowych biuletynów, bo oto, żyjącemu tutaj Buninowi, według zasług, oczywiście przede wszystkim, według zasług, ale, jak widać z literatury wspomnieniowej, także nie bez zabiegów kochających tak jego, jak i samą nagrodę mecenasów – przyznano Nagrodę Nobla w dziedzinie literatury. Tak zaczęła się światowa sława, a z nią wcale nie małe pieniądze. Bunin zamierzał kupić „Belweder”, prowadził nawet pertraktacje z właścicielem, jednak do kupna nie doszło, a pieniądze przeciekły jak woda. Ale co najważniejsze – w tamtym czasie przeżył wcale już nie ziemiańsko-szlachecki, lecz prawdziwy dramat w stylu XX wieku. W Galinie zakochała się młoda, błyskotliwa Marga [Margarita Stiepun] i Galina tę miłość odwzajemniła. Teraz „panie” po kilka dni nie wychodziły ze swojego pokoju na pierwszym piętrze willi „Belweder”. Iwan Aleksiejewicz cierpiąc męki przemierzał ogród, a Wiera Nikołajewna dzieliła ból razem z mężem. Tymczasem mieszkańców w willi przybywało. Szczególnie wielu znalazło się tam na początku wojny; niejednoznaczny - drobne kłamstewka i niedopowiedzenia - dziennikarz Roszczyn, ruchliwy jak żywe srebro sympatyczny Bachrach [Isaak Aleksandrowicz], mała Oleńka i jej mama Lala, Galina i Marga. Pieniądże się skończyły, a razem z wojną przyszła nędza i jeżeli nawet nie był to głód, to jednak wojenne skąpstwo i nieustanne myśli o jedzeniu, o starości i chorobach. Ale ciągle jeszcze „jest pisanie”, ciągle jeszcze Boży Świat miał urok, chociaż i zimą, i wiosną w willi było przeobrażenie zimno. Stąd marzenia o nagrzanym pokoju, o piecu rozpalonym tak, jak to tylko w Rosji może być: „Bo gdyby tak jeszcze duży ciepły pokój z nagrzanym holenderskim piecem! Nawet tego już nigdy nie będzie. A życie przeszło...” W czasie wojny nieustannie nachodziły go myśli o Rosji. Bunin śledzi na

mapie ruchy sowieckich wojsk, współodczuwa z Rosją i razem z nią cierpi. W willi „Jeannette” dokąd się przeprowadzili wychwytyje audycje Moskiewskiego radia, tak bardzo chce wiedzieć jak tam jest. Audycje te wywołują w nim dwojakie uczucia, po pierwsze cieszy go klęska Niemiec, ale także nie czuje zadowolenia z tego, co dzieje się w kraju. W przeciwieństwie do Makłakowa, który zdążył „polizać” życia w niemieckim obozie, a także do starszka Miliukowa, Kuskowej, czy metropolity Eulogiusza; Bunina nie porwał pro-sowiecki wojenny patriotyzm... a w Grasse pojawili się rosyjscy jeńcy w niemieckich mundurach; później w miejscowej knajpie rosyjskie dziewczęta w Dzień Zwycięstwa tańczyły z amerykańskimi lotnikami, i to był już koniec ubogiego, ale szczęśliwego dworsko-ziemiańskiego życia Iwana Aleksiejewicza Bunina w małym alpejskim miasteczku Grasse, w pobliżu Francuskiej Riwiery – drugiej co do wielko-

ści kolonii rosyjskich emigrantów we Francji. Pochowano Bunina na sławnym cmentarzu Sainte Geneviève-des-Bois pod Paryżem, największej nekropolii rosyjskich uchodźców. Tam, gdzie spoczywają członkowie rodziny carskiej, książęta, dworzanie, duchowni, byli ministrowie, byłe baleriny i byłe nianie ze swoimi podopiecznymi, dziećmi, których rodzice ciągle mówili: „kiedy będziemy w Rosji” ...ale do Rosji wrócić nie mogli.

PRZEKŁAD KRYSZYNA ŚMIECHOWICZ

¹Paryskie mieszkanie Buninów było przy rue Jacques-Offenbach.

²Wiera Nikołajewna zwracając się do męża używała imienia „Jan”.

³Łarisa Reissner „bogini rewolucji”, według legendy to ona oddała pierwszy strzał z krążownika „Aurora” – sygnał do szturm na Pałac Zimowy.

⁴Uznany za „wroga ludu” i pozbawiony obywatelstwa ZSRR Raskolnikow ukrywał się we Francji. Oficjalnie jako przyczynę śmierci podano samobójstwo



Grafika Eduard Nikonow

Agnieszka Wiktorowska-
Chmielewska

DREPTANIEC

Chodzą w kółko, tupią, drepczą. Tup-tup, tup-siup. Bioderkami kręcą. Uśmiechają się. Między uszami zachciewajki, wiraże nieukształtowanych myśli, nalot ze snów, zielono i burzo. W prawo, w lewo, w takt muzyki, na trzy czwarte, zwinnie, bez wysiłku, niczym powietrze wpływające i opuszczające płuca. Pokracznie, bez rytmu i rytmicznej spójności, jakby stół nadepnął, a potem z zawziętością rozgniół na miazgę uszko.

Nieważne jak, ważne żeby wirować. Współistnieć w tłumie zgrabnych i nieogolonych tydek, nylonów, przewiewnych materiałów i zapachu kremów. Żeby kurz wzbił się z drewnianej podłogi, w szczelinach między klepkami ginęło roztopce.

Muzyka prowadzi, uwodzi, zwodzi. Nogi drepczą, uszy nadstuchują, ręce szybują, szykują się do walki. *Mój, mój ci on* – lata między szarą a białą masą słowa. *Mój, on ci mój, mój być musi i tylko mój* – przebiega między płatem czołowym a potylicą. Przepychają się, wymieniają spojrzenia pękate od ostrzeżeń. Eter iskry. Odległość pomiędzy kurczy się i dusi. Częściczki atomów objają się o siebie, siła wprawia energię w ruch, ciepło ogarnia ciała. Szat. Rozprzestrzenia się. Muzyka wypełnia instrumenty. Umysł. Pomieszczenie. Skoczne nutki wchodzą w stopy, mięsiste i żylaste uda, pośladki i pośladki. Przepływają przez drobne ramiona i z pasją rzeźbione barki. Uruchamiają mimikę twarzy. Potęgują kolory różu i płatków maków na policzkach. Krwinki przejmują władzę nad wyglądem, zdradzają stopień zaangażowania i chcenia. Poziom chcicy.

Raptem urywa się. Nanosekunda ciszy, moment zawahania i... rzucają się. Skaczą niczym olimpijczycy unoszeni na tyczkach, próbujący pobić rekord własny, kraju i świata. Wyciągają ręce do sufitu, do nieba, do nagrody. Nie widzą nic, ani nikogo. Nie liczy się nikt ani nic. Jest tylko ona. Ona. Piękna i ponętna. Wymarzona, obracana po nocach w wyobraźni, w dzień na języku. Obietnica lepszego. Nagroda dla wytrwałego. Meta niespełnienia, braku, samotności.

Nadal w zasięgu, na wyciągnięcie ręki, palców, paznokci. Nadal w powietrzu, lecz już coraz bliżej. Już prawie, już, o! Zgodnie z prawem grawitacji zbliża się w kierunku ziemi, wyciągniętych ramion, podłogi. Szybkuje lekko, bez sprecyzowanego wyboru. Droczy się i wystawia na próbę. Taka śliczna, nieskalana, a jednocześnie niewzruszona.

Bum! I leży. Szpilki, sandały, półbuty kołtują się, depczą po sobie bez skrępowań, nie szczędzą kopnięć i haków. Nóżka nóżkę kryje. Czubek kostkę atakuje. A masz! A tup! A co ci będę szczędzić.

Złapanie. Karty rozdane. Szczęście znalazło już swoje ręce, przeznaczenie, dom. Jest radość, jest krzyk. A to co? Nie! Ach, tylko nie to! Pojawiają się kolejne dłonie. Kościste, długie paluchy wyrwywają trofeum. Paluchy są zimne, bezwzględne, gotowe na wszystko. To paluchy z tych, co nie cofną się przed niczym. Prędzej potamią się niż puszczą. Odpuszczają. Lada moment obietnica pęknie niczym wazon po zetknięciu z marmurową posadzką. Lada moment, lecz wciąż jest szansa. Jeszcze nic nie jest przesądzone, jeszcze się toczy, droczy, oczkiem zalotnie mruga. Wazon nadal leci, nie dotarł jeszcze do punktu krytycznego, do punktu unicestwienia wazonowego bytu. Jakież ręce, jakież pełne wrażliwości i poświęcenia serce mogą go uratować. Gorzej gdy tych rąk robi się

za wiele. Wtedy trudniej się zdecydować, wątpliwości szarpia, łatwo popełnić błąd. Ulec złudnemu poczuciu bezpieczeństwa.

Zimne, kościste paluchy kontra drobne paluszki pierwszego szczęśliwca. Walka trwa. Sypią się płatki, zdobienia, nadzieje. I nagle... dotacza trzecia para rąk. Obca, szorstka, spocona. Para, która z niejednego garnka jadła, z niejednego rondla wygrzebywała resztki. Która często i gęsto powtarza: Jak nie ma co pokazać, to się nie pokazuje, a potem z przekąsem dorzuca: *Trzeba mieć sprzęt. Ja mam.* Para, która w zasadzie jest jak jedna ręka. Ręka złakniona. Lepka. Zdesperowana. Ręka która jednym ruchem zgarnia sprzed nosa innym ręką ich marzenia o zwycięstwie, odbie-

ra wizję o nastaniu ich czasu. Ręka, której łokcie znają swoje obowiązki i z których wprost idealnie się wywiązują. Bo sama ręka ma inne zadanie, ona jest od zgarnięcia zdobyczy, chwycenia jej mocno między paluchy i nie wypuszczenia. Zniszczenia jak trzeba, lecz w żadnym przypadku nie może dopuścić do utraty łupu, choćby nie wiadomo co i gdzie, choćby nie wiadomo komu. I to jest zadanie ręki, nadrzędne, łokcie zaś muszą pamiętać, że ich obowiązkiem jest torowanie drogi. I nieważne jak i gdzie, i nieważne kogo.

Zrobią wszystko, by zdobyć ten bukiet, nawet jeśli z późnowiosennych żonkili.

AGNIESZKA WIKTOROWSKA-CHMIELEWSKA



Grafika Eduard Nikonorov

Zuzanna Biaduń

Rozmowa z ignorantką w sobotni poranek przed sklepem z warzywami

antypoetycko polemizowałam z chudymi nogami
i resztą ciała, podającymi się za
kobietę
nic do niej nie docierało;
ja do niej poważnie o poważnych sprawach
rynek, polityka, pieniądze
słowem: wszystko, co się kalkuluje w naszym
wieku dwudziestym pierwszym
a ta
o kształtach
o formach
dziecinada bez dwóch zdań
- kobieto
mówię resztkami sił - ty nic nie wiesz o dzisiejszym świecie!

w odpowiedzi suprematyzm i dadaizm

załamalam się zupełnie
cóż za ignorantka

Commedia dell'arte w każdy czwartek o 17:08

wysłałam na balkon, jak co tydzień, na seans degrengolady
wyborny
a ta gra aktorska! aż idzie uwierzyć, że oni tak
naprawdę
jakie to byłoby straszne, żyć w karykaturze
własnego świata

Nad naturą ludzką rozważania przy sałacie

przy okazji niedzielnego obiadu, nabiwszy sałatę
na widelec, zastygłam w bezruchu
zmroziło mnie
quo vadis
quo vadis, kobieto z sałatą na widelcu

to nie czas na takie rozmyślania! - próbowałam się
strofować, ale niespokojny duch od zawsze we mnie
drzemał
i niekonwencjonalny, jakby nie patrzeć

quo vadis
widelcu
z kobietą na sałacie
kontemplując sałatę, nie zauważyłam, że wystygła mi
reszta obiadu

trudno
odgrzeję

(ludzie z obrazów też się śmiali)

wielkie sylwetki
znane z kilku cytatów portretu wiersza
żyją w zastygłym uśmiechu
zimno obrazu studzi ich zapał
odbiera kolory ruch blaknie i ginie
oczy patrzące na mnogość pokoleń
tak samo nieruchome jak w dniu powstania

zamordowani przez własne podobizny
zostaną na zawsze kawałkiem płótna



Nikodem Czarnomski

wernisaż

obrazy, obrazki, obrazeczki, dzieła, dziełka, dziełuszka.
zachwyty na dzisiejszym wernisażu wydają się rosnać
wprost proporcjonalnie do liczby obecnych.

zachwyty amatorów,
zachwyty znawców,
zachwyty ostentacyjne,
zachwyty zachwycające,
zachwyty swoim własnym niezachwyceniem,
zachwyty zachwykami wszystkich uczestników tego zbiorowego zachwycenia.

-podoba mi się ten kolor, jest bardzo kolorowy.

-doprawdy, kolor jest bardzo kolorowy, ale mnie jednak
najbardziej urzeka perspektywiczność tej perspektywy
oraz bijąca obrazowość z tego obrazu.

mężczyźni w średnim wieku na czas wystawy, zdawali
się założyć pieluchy i starając się, odwrócić uwagę od
swojej ignorancji, usypywali jak największą babkę z piasku pod nieobecność mamy.

wino było darmowe.

olimpiada filozoficzna

koszule i marynarki.

przechodząc się dziś po kolegium, można odczuć nie-
spotykaną dotąd dorosłość i powagę.

ale dorosłość wyjątkową, bo dorosłość nie dorosła i nie-
poważną w swojej dorosłości.

na terenie kolegium, a przynajmniej dawnego kolegium,
bo dziś przypominało to bardziej pole walki, gdzie z braku
pełnoprawnych żołnierzy powołano do walki cywilów,
toczyła się wydaje nieskończona bitwa.

litery wypływane z ust chłopców, układały się w abso-
lutne słowa.

bóg, polityka, historia.

historia, bóg, polityka.

polityka, historia, ale przede wszystkim bóg.

słowa te wirowały w powietrzu, a używane były z takim
niezrozumieniem i taką nieodpowiedzialnością, jak w
przypadku niemowlęcia bawiącego się nabitym rewol-
werem.

nazwiska i poglądy, słowa i definicje, metafory i po-
równania.

platon; ale jak platon skoro arystoteles?

niemożliwe, że arystoteles skoro augustyn i tomasz, a
przede wszystkim schopenhauer i hegel.

autorytaryzm - totalitaryzm,

racjonalizm - empiryzm,

arystokracja - oligarchia,

wojna - pokój,

czarne - białe,

bóg - nie bóg.

a ja stałem obok, ładny, nawet zadbane i stwierdziłem,
że jakieś chyba zbyt obfite dla mnie to wszystko.

Komisja wojskowa

dostałem wezwanie w celu stawienia się na komisję
wojskową w godzinach popołudniowych.

wstałem w południe, zjadłem śniadanie i wyszedłem,
bo spóźnienie w tym wypadku byłoby całkowicie nie-
wskazane, a co najważniejsze nie na miejscu.

wjechałem windą na najwyższe piętro i wylegitymowa-
łem się, po czym usiadłem z resztą powołanych.

siedzieliśmy i czekaliśmy na swoją kolej tak długo, że
sens siedzenia zaczął się nam powoli rozmywać.

osobiście nie wiedziałem już, czy czekam na książeczkę
wojskową, strzał w tył głowy, czy powołanie do pracy
w łagrach.

poczułem jednak, że w całym tym siedzeniu coś mi
nie pasuje - wszyscy milczeli.

milczeli męsko, milczeli z pełną męskością, bo gdyby
w takich okolicznościach nie milczeli, to ich męskość
nie byłaby pełna, a męskość niepełna w ogóle nie jest
męska.

zdałem sobie sprawę, że jestem zmuszony obnażyć
śmieszność tej męskości, bo jeżeli ja tego nie zrobię,
to prawdopodobnie nikt inny też tego nie zrobi.

założyłem nogę na nogę i lekko odkasznąłem.

wszyscy zamarli.

cisza została teraz wyniesiona do granic absurdu, kując
aż w uszy swoją bezdźwięcznością.

ciesząc się chwilą uwagi, podrapałem się po ramieniu,
po czym poprawiłem sobie włosy.

tego już było za wiele.

odwrotu nie było, przekroczyłem rubikon.

kpiłem sobie.

pokpiwałem sobie z ich męskości i z męskości samej
w sobie przede wszystkim.

każdy patrzył na mnie jak na psychopatę.

„zlituj się, jak nie nad nami to chociaż nad naszymi
dziećmi” - mówiły oczy reszty powołanych, w których
dostrzec można było już łzy.

co mniej wytrwałe osoby zaczęły mdleć.

„nikodem czarnomski” - usłyszałem wołanie.

wstałem od stolika i poszedłem do pokoju badań.

przy drzwiach oddałem dokumentację i przystąpiłem
do badania.

badanie przebiegło bez większych problemów, a ja ode-
brałem książeczkę wojskową z wpisaną kategorią - D,
niezdolny do czynnej służby wojskowej.

nie wiem czy kategoria ta została mi przypisana za
sprawą ekscesów z poczekalni, czy dokumentacji in-
formującej o moim długotrwałym leczeniu psychia-
trycznym, ale nie interesowało mnie to.

wychodząc, przechodziłem obok kuluaru.

jedna grupa schowana za szafką w postaci przewró-
conego stołu broniła się, podczas gdy druga, dokonując
szturmu, strzelała do tej pierwszej z ostrej amunicji.

wyszedłem niezauważony.

jeśli ten konflikt się rozprzestrzeni, uciekam do argen-
tyny lub brazylii.

wojsko mnie nie potrzebuje.

Karol Zieliński
warunki kontraktu

miejsca nasycone skojarzeniami
kawiarnie kościoły a nawet synagoga

wspólne wzruszenia
brzmieniem treścią
na auli akademickiej

czekolada za zdany egzamin
herbata z imbirem po pracy
subtelne dowody zainteresowania

dziś raczej jest cisza
zwroty grzecznościowe
cztery razy do roku

może po zmianie statusu
nie wypada inaczej

pesymizm

przez pięć tuzinów dni
może nastąpić przewrót

przykre projekcje
mnożą się samowolnie
z obawą realności

dojrzałem do rozmowy
arka nastroju nie nadpływa

miniona sposobność
straszy rozpadem
w próżni wahania

paradoks

aby zakończyć męską inicjację
chciałbym
poczuć się chłopakiem

który na szkolnej uroczystości
tak naturalnie
całował koleżankę
po włosach

zanim znachorzy od dorastania
zaszczepili procesory
wstydu
analizy
rozwagi

skaza

obszerne królestwo bylin
pod bladym płótnem sklepienia

leпки aromat sadów
łagodnie wypełnia umysł

tylko na horyzoncie
wiosenny sen zakłóca
krematoryjny komin

sprawy małżeńskie

ślady palców na ścianie
zapalone światło w łazience
wypuszczony luzem pies

korzenie sporów
dwojga praktycznych ludzi

refleksje nad zagadkami bytu
są im zbyt proste
jak wymysły
nieżyciowych odmieńców

spotkanie z m. (minione i przeszłe)

poprosiłem o skrawek ożywienia
roześmiał się oczami

co będzie gdy niebawem
rozbiorę słowa z upiększeń
odkrywając przyłądki zamiaru

kiedys zrozumiesz
dlaczego ty

Karol Zieliński, ur. 1984, absolwent historii UMCS, muzyk-harmonijkarz, poeta i autor tekstów piosenek. Publikował w „Akancie”, Angorze, oraz Głosie Humanisty UMCS. W 2019 zdobył wyróżnienie w Turnieju Jednego Wiersza im. Ryszarda Szocińskiego.

Roman Warszawski

GÓRA LGBT

Po około dwóch godzinach jazdy, z trasy Cuzco – Puno skręcamy w głąb gór, na wschód. Droga coraz węższa, coraz bardziej kręta i bardziej gruntowa, a przez zaparowane szyby niewiele widać.

Gdy się przejaśnia, z coraz większym zachwytem staram się rozszyfrować krajobraz za oknem. Wytania się najpierw z różu, a następnie spośród czerwieni wschodzącego słońca. Typowa „puna”. Już jesteśmy bardzo wysoko. Kępy sztywnej trawy przypominają złe wysuszone pędzle. To krajobraz jak z Ayacucho, z Huantry, czy z Uchuraccay – z okolic najodleglejszych, najbardziej odstrzężających.

W pewnym momencie stajemy. Pada komenda: „Chicos” (czyli chłopcy), a teraz będzie śniadanie! Co na to „chicas” (czyli dziewczyny), które tu także są? Jemy w jakby w wąskiej oborze, na której środku ustawiono długie stoły, a z jego obu stron dość wysokie ławki bez oparcia. Bo po co miałyby być zbyt wygodnie?

Posiłek jest bardzo skromny. Bułki (oczywiście do bólu białe, bo to Peru...), marmelada, masło, na szczęście kawa, „mate de coca”, a także kakao, zwane tu czekoladą. Z tego skromnego repertuaru wybieram bułkę (fe...), kakao i „mate de coca”. Potem znów jazda: drogą jeszcze bardziej krętą, jeszcze węższą, jeszcze bardziej gruntową – jakby dopiero przed chwilą zbudowaną.

Po 30 minutach dojeżdżamy do czegoś w rodzaju chwilowego plateau. Jest tu już sporo autobusów i brama z napisem „Bienvenidos a Winicunca” – Witajcie w Winicuncu! Jeśli ktoś przez te wszystkie godziny zapomniał dokąd i po co tak tarabanił się niewygodną drogą pod górę, teraz mógł sobie przypomnieć.

Winicunca to miejsce całkiem nowe. To odkrycie ostatnich lat. Góra niemożliwa – trudna do wyobrażenia. Jako dziw nad dziwy, przyciąga coraz więcej ludzi. To Góra Siedmiu Kolorów lub Góra Tęczowa. Jak niektórzy mówią: Góra LGTB.

W wyniku topnienia wiecznych śniegów, kilka lat temu odsłoniła swoje przedziwne zbocza. Zdobiące je różnokolorowe pasy do złudzenia przypominające tęczę. Im wchodzi się wyżej, tym wyraźniej widać. Tym większe wrażenie. Najlepszy widok roztacza się ze szczytu – z wysokości 5400 m n.p.m.

Na plateau, na którym teraz jestem, można wynająć konia, żeby wjechać mniej więcej do połowy zbocza. Ale koń kosztuje aż 80 soli i z grupy, z którą przyjechałem, nikt się na to nie decyduje. Z Vicky – dość oschłą przewodniczką ruszamy do przodu, przedtem jednak dostajemy pomarańczowe kamizelki, żebyśmy nie pogubili się po drodze. A więc na szlaku będzie ścisk. No cóż, Winicunca jest coraz popularniejsza...

Wokół dużo lam i alpaki. (Alpaki mają okrągłe głowy, lamy podłużne.) Ta wysokość to ich kraina. W oddali prymitywne zabudowania, głównie z kamienia. (Bo to także kraina kamienia.) Na razie idę w środku grupy, ale czuję się na tyle dobrze, że mam ochotę wyrwać do przodu. (Przed

startem można było także wypożyczyć kijki nordic-walking za 5 soli, ale oczywiście nie wypożyczyłem.) „W grupie jest większość miejscowych, więc ewentualne współzawodnictwo z nimi może nie być takie proste” – myślę. – Zobaczymy”.

Szczególnie mocno wygląda grupka trojga oberwańców, których kierowca zabrał z drogi na krótko przed miejscem, w którym jedliśmy śniadanie. Dwóch facetów i jedna kobieta, jakby Cyganka. To raczej Hiszpanie, a nie Peruwiańczycy.

„Zobaczymy” – myślę i idę dalej. Śniadanie jedliśmy na wysokości 4500 m n.p.m.. Teraz jesteśmy jakieś 200–300 metrów wyżej. Szczyt jest na wysokości 5400 m n.p.m., a więc o 200 metrów wyżej niż mój dotychczasowy rekord wysokości z masywu Chimborazo w Ekwadorze. „Tym lepiej – myślę. – Przecież trzeba iść do przodu. Zobaczymy”.

Idzie się dobrze i dość szybko. U celu ma być podobno bardzo mało powietrza, ma wiać jak cholera, ciemnieć w oczach i być bardzo zimno.

„Zobaczymy”. Niebo czyste, bez jednej chmurki. Słońce zaczyna walić ze wszystkich sił. Kapelusz zmieniam na wełnianą czapkę, którą na szczęście wzięłem ze sobą. Przesuwam się na czoło grupy. Zaczyna się strome podejście. Dochodzi aż do horyzontu. Co jest dalej?

Nie wiadomo. I to jest właśnie główny trick tej trasy. Podejście – w dali bieli się wielki „nevado” ale nie Ausangate (ten widoczny będzie dopiero później) – po dotarciu do horyzontu nieco skręca albo w prawo, albo w lewo, więc z dołu nie sposób określić jego długości. Co najgorsze, dzieje się tak nie raz, lecz... kilka razy, co dezorientuje i skrajnie wkurza! A wysokości z każdym krokiem przybywa, co staje się zauważalne, a raczej odczuwalne. Z kolei podejście przez owe lekkie zakosy zdaje się nie mieć końca...

Oddycham swoim ulubionym góskim sposobem, dysząc, prawie jak Szarapowa na korcie. Wydaje mi się, że ma to coś wspólnego z superwentylacją, o której czytałem w książkach Stanisława Groffa. Po około dwóch godzinach, po lewej stronie zaczyna się wielokolorowe zbocze, a w oddali pojawia się siodło, do którego – jak sądzę – mam dojść i tam będzie szczyt. Ścieżka znów skręca, raz jedną, raz w drugą stronę, lecz na tym odcinku przebieg szlaku jest bardzo czytelny i nie pozostawia złudzeń – do celu nadal jest bardzo daleko.

Jestem pierwszy w grupie, ale idę coraz wolniej. Szybkie tempo z początku podejścia zbiera teraz krwawe żniwo. W pewnej chwili pojawia się stęp, a na nim napis „Fin de Caballos” – Koniec koni. A do celu jeszcze hen daleko, co najmniej dwa, trzy zakosy i to te najbardziej strome, najbardziej bezwzględne. Ci, którzy zapłacili 80 soli, muszą czuć się bardzo zawiedzeni. A schodzący, prowadzący zwierzęta „arrieros” kuszą, och jak kuszą – za pomoc w podejściu chcą teraz tylko 10 lub 20 soli.

Moje „zobaczymy” staje się coraz bar-

dziej nikłe. I choć dalej dzielnie – i ze świątem – pnę się pod górę – w końcu znika, tak samo jak w wyniku ocieplenia klimatu zniknął śnieg i lód z tej góry, co ujawniło jej niesamowite kolory.

Na ostatnim odcinku przed końcem podejścia wyprzedzają mnie chyba tych troje oberwańców, choć głowy bym nie dał. Bez odpoczynku jestem w stanie iść tylko 5–6 kroków, a potem STOP. Idąca przede mną Amerykanka idzie w tym samym rytmie i próbuje za to nawet przeproszać. A ja na to, że OK., że no problem, że w to mi graj, bo przecież pełzną tak samo wolno.

Wreszcie jestem.

Doszedłem.

Jestem na siodle, gdzie znajduje się coś w rodzaju kamiennego „corralu” (czyli ogrodzenia), za którym kryją się sprzedawcy... coca-coli (tak!) i wody mineralnej! Coca-cola i „gaseosas” nawet tu mnie dognały, a nawet wyprzedziły! Są nawet nieodłączne dzieci chcące pozować do zdjęć, choć zimno jak sto diabłów i wieje jak cholera. Po lewej stronie widać wielokolorowe, tęczowe zbocze Winicunki, a po prawej jakby wykonany z kryształu masyw Ausangate.

Ale zaraz potem następuje rozczarowanie.

Ogromne.

Bo to wcale nie koniec.

To jeszcze nie szczyt.

Trzeba iść jeszcze wyżej.

Do szczytu brakuje bardzo długa prosta.

Tęczowa góra to wcale nie to, co widziałem przed chwilą, lecz dwa piramidalnie zbiegające się zbocza, które w pełnej krasie można zobaczyć dopiero wtedy, jak wejdzie się jeszcze wyżej – na koniec ostatniej prostej.

Najpierw jednak proszę kogoś, żeby zrobił mi zdjęcie z tym, co poprzednio wzięłem za Winicunkę. Pada na jakiegoś blondyna, który najpierw mnie poprosił o wyświadczenie takiej samej przysługi.

Zaraz potem idę dalej. A właściwie pełzną. Już nie jestem pewny, czy ten gość od zdjęcia na pewno był blondynem... Co chwile muszę siadać na kamieniu. A kiedy z niego wstaję mam mgłę przed oczami i szum w uszach. O rany! Zaraz padnę! Ale będzie! Jestem coraz bardziej pewny, że jest to niemożliwe do uniknięcia.

W 1998 roku, coś takiego zdarzyło mi się na płaskowyżu Marcahuasi. Więc teraz, kiedy nagle staje mi się biało przed oczami, w uszach szumi, a świat jakby się oddalał, stawał się zbędny, bardzo daleki i niepotrzebny, napinam całą swoją siłę, wolę i wołam do siebie: NIE!, NIE!, NIE! TYLKO NIE TO!

NIE CHCĘ TEGO!

Odpływam, a jednocześnie jakimś wewnętrzny głosem, który pamięta, czym coś takiego się kończy (i jaki byłby to teraz kłopot!) krzyczę na siebie i do siebie, i nie wiem do kogo jeszcze. I jakoś mi się udaje. Szerokim, jak najszerzym haustem, zgarniam rozrzedzone powietrze. Zapieram się na litanii, która oddziela mnie od nicości. Mgła się rozstępuje, a szum w uszach wypierają

dźwięki, które przed chwilą pozostawiły mnie na pastwę losu.

„Och jak dobrze!”

„Ulga!”

Strasznie się cieszę. Jak bardzo. Ale... powtarza się to jeszcze TRZY RAZY! A za każdym razem ten sam strach, to samo przeżenie i rozpacz: czy uda mi się przetrwać, nie upaść, nie stracić przytomności tuż przed szczytem, na wysokości 5400 m n.p.m.?

Ale nie padam.

Znów jakoś.

Nie wiadomo jak.

Nieważne. Liczy się to, że nadal stoję na nogach.

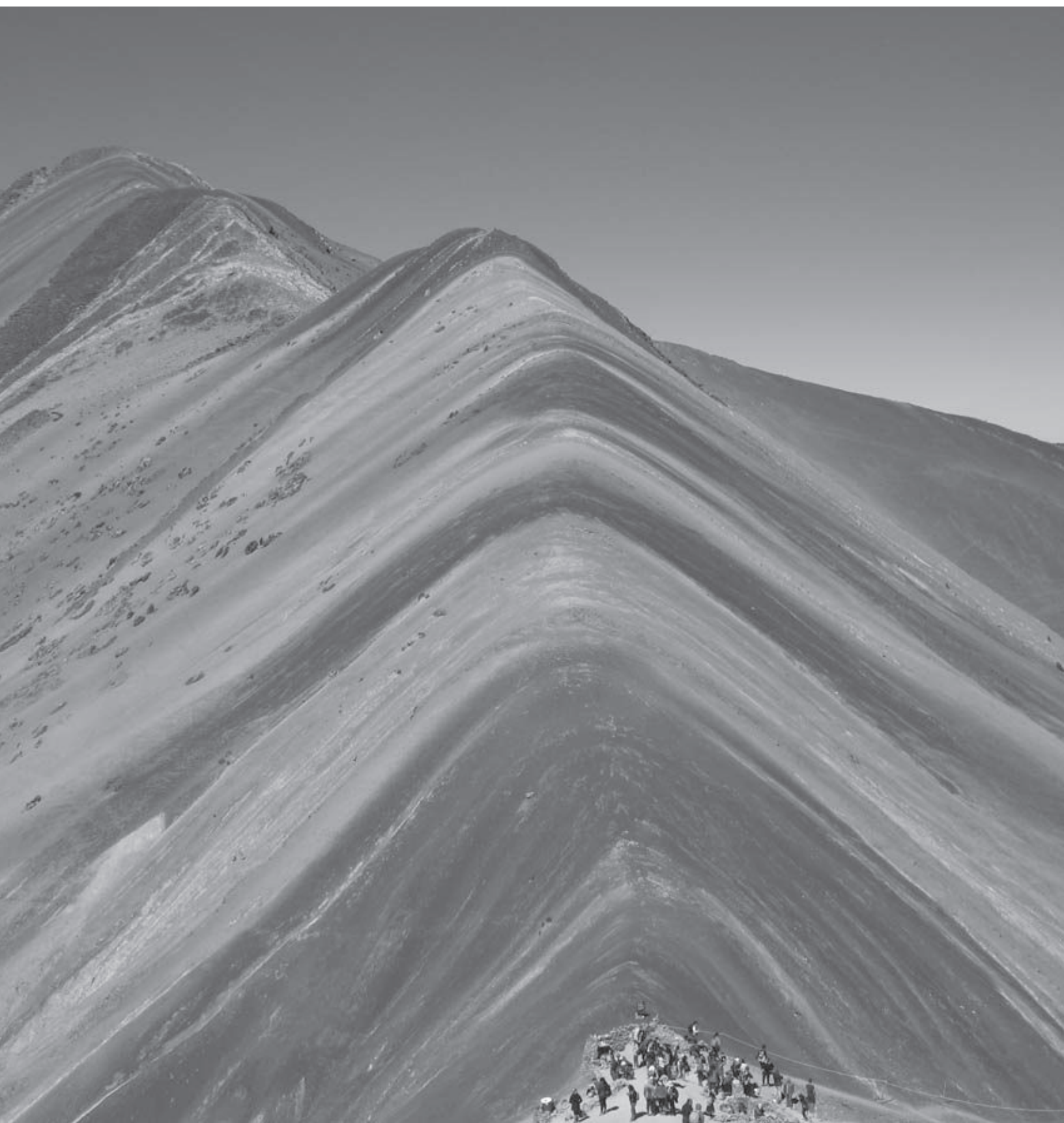
W końcu docieram do końca mordegi. Teraz to już na pewno szczyt. Wyżej tylko niebo. Przede mną wspaniały widok na wielobarwną zebrowaną Winicunkę. Widok jedyny w swoim rodzaju. Nic dziwnego, że staje się coraz bardziej sławny na świecie i przez wielu Peruwiańczyków uznawany jest coś w rodzaju nowego Machu Picchu.

Wieje, a właściwie piądzi. Słońce wali po oczach, a z zimna grabieję ręce. Jest dokładnie tak, jak mówili na dole. Nie sposób dłużej wystać na szczycie. Odwrót. Ja w dół, a w górę sznureczek tych, którzy później wstali z łóżka, lecz chcą zobaczyć to, co ja widziałem przed chwilą.

PS:

Krótko przed moją wspinaczką, peruwiański parlament podjął rezolucję uznając Winicunkę za chlubę i dziedzictwo narodowe, które trzeba rozstawiać na świecie i ze wszech miar hołubić. Ja potrafię wyobrazić sobie parlament – Sejm – który (jakby taką górę miał na podległym sobie terytorium) byłby w stanie uznać ją za ohydztwo i świętokradztwo, dokąd nie należy dopuszczać ludzi.

ROMAN WARSZEWSKI



Janina Barbara
Sokołowska

Miasto i miasteczko

chodząc po parku szukamy ławki. ptaki wróciły
do Zagłębia – mówi znajoma. trzeba czekać aż ślady
zmyje deszcz. wiesz. tak długo nie było tu wróbli

kiedy to miasto stało się moje? miasto kamienne
brudne kaszlące dymem. gościnne. ciągiem ulic
twarzy zapisanych na dysku wciągnęło w swój tryb
za plecami terkotanie przydrożnych łbów i cikliwy śpiew
szyn. roztraskana dusza kuśtyka w resztkach pamięci

ciche miasteczko skurczyło się. to ja jestem tam obca
nie. to nie ja. nie tamta wesoła dziewczyna ze zdjęcia
torba na zakupy przypomina: nie zapomnij kupić mięsa
przy Kościuszki. będzie na jutro

Przedwieczorny grill

będzie nas mniej niż tamtego lata wykruszamy się
z tego świata. i dodając sobie odwagi mówię na głos:
z naszej półki już biorą

kroję w plastry mięso posypuję bazylią. ponoć to roślina
święta na stole władców. co więc znaczą sunące obłoki
jak statki wiozące zmarłych do przystani
tyle ich jest ile kształtów w wietrznym powietrzu

a przecież buchał ogień pod korony sosen
my śpiewaliśmy o nieboszczyku co był dumny
gdy wchodził do trumny
bo nam się zdawało że wykpiemy się śmierci

choć gorycz wyśpiewuje w ciszy i trzeba dostrzec
migające świetliki by nie patrzeć żałobnie

ze sterty suchych drewn unosi się dym
gdzieś znika. jak my. bezszelestnie

Książka 80. w prawie lustrzanym odbiciu

możemy skreślić cały ten rozdział
i przemycaną nadzieję

z liści starych drzew zmyć drobinki
pełzającej pamięci

pominać niedorzeczne pochody
dla upamiętnienia robotniczej krwi

zburzyć pomniki i groby niechcianych
bohaterów wrośniętych w zmarzlinę
zupełnie bezkarnie

przywołać chaos osiemdziesiątego
wymachując flagą na świeżym powietrzu

no i przenigdy nie zamykać naszej historii
bo nie wiadomo kiedy się powtórzy

widzicie kochani na ostatniej stronie
to światło w kawałkach. które nadejdzie?

Małgorzata Dorna -
Wędrychowska

(w naszych krzykliwych, jarmarcznie kolorowych czasach) rodzajem dziwacznej, spełnianej z pasją – profesji. Wpadamy zatem do Luwru na moment, by (czyniąc zadość swej próżności, nieokrziesaniu, głupocie) zafundować sobie efektowne selfie „na tle”. Tłem może być dzieło sztuki, znana z pocztówki fasada, może być sala muzeum, tłum zwiedzających lub drugi człowiek, najlepiej „celebryta” czyli ktoś, kto demonstruje

ARTYSTYKA
mniejsze rodziny (...) więcej wiedzy, ale mniej rozumu; Więcej ekspertów, a zarazem więcej problemów; (...) To czas, w który mnóstwo wystawiamy w oknie, nie mając nic w pokoju.”

Używając wygodnego (porządkującego) zjawisko nadmiaru) eufemizmu – należałoby stwierdzić, że dzieło sztuki, jako przedmiot wyjątkowy, łączący w sobie walor duchowy

WIZERUNEK CZŁOWIEKA WSPÓŁCZESNEGO. W KRĘGU MALARSKICH NARRACJI EDUARDA NIKONOROWA

„Sztuka jest sprawą poważną” (Le Corbusier)

1. Twarzą w twarz z Mone Lisą

„Tłusta i niezbyt ładna Włoszka
Na suche skały włos rozpuszcza
Od mięsa życia odrąbana
Porwana z domu i historii (...)
Między czarnymi jej plecami
A pierwszym drzewem mego życia
Miecz leży

WYTOPIONA PRZEPAŚĆ” ZBIGNIEW HERBERT,
„MONA LISA” (FRAGMENTY)

Człowiek XXI wieku wchodzi do Luwru na moment, krokiem niedbałym, w pośpiechu. Bez poczucia przekroczenia Rubikonu, w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku, niemal „zawodowego” turysty. Turystyka stała się bowiem

publicznie niekończące się świętowanie, celebrowanie pustki. Wewnętrznej pustki, rzecz jasna! Pustki, która w kulturze powszechnego nadmiaru powinna budzić niepokój.

Człowiek XXI stulecia kocha bowiem tak zwany „lans” i popkulturowy przepych, przybiera maski i role, mówi „tekstem” by (jak zachęcają specjaliści od marketingu) wybrać ostatecznie „najlepszą wersję samego siebie”. Obnosić tę wersję, bez cienia wątpliwości, czy zażenowania, bez potrzeby refleksji nad sobą, z uporem, wytrwale, konsekwentnie i bez zastanowienia. Istotę „kultury nadmiaru” (termin ten wszedł już na stałe do słownictwa socjologów i historyków, badaczy postmodernistycznej cywilizacji) w sposób syntetyczny i prosty określają słowa XIV-tego Dalajlamy, który stwierdza: „Mamy większe domy, ale

wości, idei z tym, co przynależne sferze materii, tworzywa – należy dzisiaj do grona obiektów lub rzeczy „niekoniecznych”.²

„Wszyscy stoją tyłem do obrazu! Nikt w oczy Lizy nie spogląda, wszyscy sobie robią z nią sweet focie! Smartfony w dłoniach wyciągniętych, nie sposób się przez ciżbę tę przecisnąć ku płótnu, bo każdy wściekły od razu, że mu wchodzi w kadr” – pisał przed kilkanaście laty Wojciech Kuczek, dramaturg, poeta, eseista, laureat prestiżowej nagrody Nike. Nieprzypadkowo opinię tę powtórzyła Maria Poprzeczka, historyk i teoretyk sztuki w swym eseju na temat znaczenia autoportretu w sztuce współczesnej, opublikowanym w łamach magazynu „Książki”.³

W długiej połowie XX wieku, kiedy to Luwr pełnił jeszcze rolę muzeum, a nie wybiegu dla wykreowanych, odzianych w kostium nowoczesności turystów - Zbigniew Herbert, skazany na zapomnienie poeta, poeta „z dalekiej prowincji”, uchodzącej niegdyś za centrum kulturowego Wszechświata, znawca literatury antyku, interpretator wątków mitologicznych, postrzegający współczesnego sobie Europejczyka na prawach „barbarzyńcy w ogrodzie” – określał Monę Lisę nieco przewrotnym, metaforycznym terminem - „Jeruzalem w ramach”. Nowego Jeruzalem – przybytku Boga i ludzi, symbolizującego (zgodnie z nauką Kościoła) nowy porządek świata.

Herbert jawi się dzisiaj jako przedstawiciel pokolenia filozofów i intelektualistów, pokolenia pozbawionego zdecydowanie zbyt wcześnie onirycznych ogrodów beztroskiego dzieciństwa, jako wieczny wędrowiec i tułacz, ostatecznie zawsze „obcy”, przeszyty autoironią i smutkiem, naznaczony piętnem obecności śmierci nie budzącej zdziwienia, dotknięty tragizmem wojny nie wyzwalającej odruchu protestu, czy buntu. Wiersz poświęcony Mone Lisie pochodzi z tomu „Studium przedmiotu”, zbioru wydanego w 1961 w Warszawie, w kraju zniewolonym, oddanym we władanie ZSRR, w kraju traktowanym jak karta przetargowa (karta znaczona i trefna), wykorzystana w rozgrywkach wielkich „mocarstw, uczestników Konferencji Jaltańskiej.

Poeta szedł zatem ku Mone Lisie z daleka (tekst naznaczony jest piętnem wypowiedzi autobiograficznej), ku „Jeruzalem w ramach”, ku owej (jakże odległej i obcej) niezbyt ładnej Włoszce, szedł przez „rozstrzelane lasy i powieszone mosty” i „barkowe niebo całe w błęklach aniołów...” Doszedł sam, inni nie doszli, innych pochłonięta cześć. Doszedł by zatrzymać się w „mierzwie wycieczki” i doświadczyć nagle głębokiego rozczarowania, jakże przykrej, niechcianej

→ str. 64



Grafika Eduard Nikonorow



obecności obcej kobiety, w której spojrzeniu „śpią ślimaki”... Oto odległość życia od sztuki. Oto kontemplacja kanonu piękna na gruzach cywilizacji. Oto próba określenia własnej tożsamości wobec (lub być może) przeciwno kanonowi.

SZTUKA

Eduard Nikonorov tworzył wersje portretu Mone Lisy, portretu jaki utrwalił się w świadomości zbiorowej Europejczyków na prawach symbolu, kanonu uniwersalnego piękna - dwukrotnie: raz jakby w tle, w otoczeniu kaskady spadających owoców („Pears” 2014), raz traktując jej wizerunek jako element dwudzielnego struktury obrazu („Composition” 2014). Za każdym razem mamy tutaj do czynienia nie tylko z malarstwem, ale także z próbą podjęcia dialogu z czasem minionym, z tradycją, zabrania głosu w dyskursie prowadzonym (ponad głowami odbiorców) przez wieki. Znany, niemal banalny portret, utrzymany w sepi i nakładanych laserunkowo, ciepłych brązach, imitujących starą fotografię - stanowi tutaj zaledwie pretekst do wypowiedzi na temat miejsca współczesnej sztuki oraz kanonu uniwersalnego, poddanego w wątpliwość piękna, wreszcie na temat pozycji artysty w kontekście kultury XXI stulecia.

Dla człowieka poprzedniego stulecia, owego „mieszkańca masowej wyobraźni” (jak konstatał fakt zanurzenia się w kulturze popularnej, znany ze swej przewrotności krytyk KTT) Mona Lisa mogła stanowić kwintesencję bezdyskusyjnego, w istocie martwego, czytane w oderwaniu od historycznego, czy społecznego kontekstu, uniwersalnego - piękna. Piękno to utożsamiano jeszcze ciągle, podążając tropem myśli antycznych filozofów z etyką. Istotę obdarzoną atrybutem „nieziemskiej” urody (zgodnie z antyczną zasadą harmonii, proporcjonalności i ładu) powinny być cechować określone przymioty ducha: dobro, szlachetność, wzniosłość.

Wychowanemu w kręgu wartości kultury śródziemnomorskiej, średnio wykształconemu Europejczykowi wizerunek „tajemniczo uśmiechającej się”, zatrzymanej w wystudiowanej pozie kobiety - otwierał sferę sacrum. Przestrzeń Sztuki (pisanej przez duże „S”, ze zrozumiałym szacunkiem, podziwem) wydawała się jeszcze wówczas (mimo doświadczeń futurystów, gotowych „spalić Luwr”) obszarem tyleż niedostępnym co nobilitującym. I wydaje się, że dopiero awangarda ostatnich dziesięcioleci dwudziestego wieku zdemaskowała, obnażyła bezlitośnie jej umowność, jej wszechogarniającą nudę i ostateczną śmierć. Artyści, odrzucający zdecydowanym, teatralnym, nonszalanckim gestem, to wszystko, co przynależne kanonowi - zaczęli prowadzić wówczas własne, subiektywne narracje, nie tylko poświęcone reinterpretacji urody owej „tłustej i niezbyt ładnej Włoszki”, w której spojrzeniu „śpią ślimaki”, ale także wszystkiego, z czym mogłaby się kojarzyć. Nieprzypadkowo także, właśnie wówczas w paryskich sklepach pojawiły się rolki papieru toaletowego z nadrukiem symbolicznie odnoszącym się do dzieła mistrza Leonarda, podobny nadruk można było znaleźć na szarym, ordynarnym papierze, w który zawijano kietbasę.

W Gdańsku, na czarno-białych plakatach zapowiadających wystawę młodych ekspresjonistów Mona Lisa wystąpiła w czapce rosyjskiego rewolucjonisty, na tle potraktowanego graficznie, szkicowo muru, zaklejonego nadmiarem ulotek, kartek jakby wydartych wprost z „podziemnej” gazety, celowo „byłe jakich”, drukowanych na „bibule”. Kilkanaście lat wcześniej, ten sam grafik (nieoceniony prześmiewca i szyderca - Jerzy Krechowicz) pokazywał był portret renesansowej damy na tle szarej, jesiennej

ulicy, gdzie znak parkingowy, bezlistne drzewa, katuże, bryzgi i błoto, jakiś zdezelowany rower i stara „Warszawa”, gdzie mocno złachany, zbrukany „socjalistyczny” śnieg.

Eduard Nikonorov, artysta mentalnie obcy, niezakorzeniony w przestrzeni popkulturowej Europy - proponuje własne widzenie, własną narrację na temat Mone Lisy, a w konsekwencji na temat wizerunku człowieka w sztuce. To człowiek pozostający w tle, osamotniony, skrywający pod maską tajemniczego uśmiechu, pod maską słodczy, spokoju swój wewnętrzny dramat. To również człowiek znieruchomiły, jakby zastępy w swym smutku, świadomy wyraźnego pęknięcia, gdzieś wewnątrz. Poeci romantyzmu i baroku pisali o człowieku rozdartym, rozdwojonym w sobie. Dzisiejsza humanistyka podobny stan umysłu i ducha nazwałaby zapewne mianem dysonansu poznawczego, walki wewnętrznej, stanem transgresji, przekraczania (wyznaczonych kulturowo) granic.

Ten stan transgresji widać wyraźnie w pracy zatytułowanej „Composition”, w której wizerunek Mone Lisy zostaje przepotwory, rozcięty. Powstaje w ten sposób dyptyk, którego jedną część stanowi tradycyjny portret, podczas gdy druga przywodzi na myśl skojarzenia z obrazem twarzy zatoniętej, rozbitej, kompozycyjnie niespójnej. Całość zbudowana jest zgodnie z zasadą kontrastu: trwanie i bezrucz wobec pełnego ekspresji zderzenia różnych elementów, przeniesionych niemal dosłownie z wirtualnej przestrzeni. Dramaturgię portretu, paradoks przedstawionego wizerunku kobiety (pokazanej raz syntetycznie, drugi raz w momencie rozpadu lub autokreacji, tu i teraz, in statu nascendi) podkreśla fakt, że oba fragmenty twarzy, zestawione, zderzone ze sobą malowane są tą samą techniką laserunku, przenikających się, transparentnych barw, precyzyjnie, z ogromną dbałością o detal. Obie części portretu nasycone są jasnym, przeźroczystym światłem, sączącym się od wewnątrz, z drugiego planu, światłem nie mającym konkretnego źródła, metaforycznie - przynależnym Bogu, od Niego pochodzącym, Jemu przypisanym. Tak, więc Eduard Nikonorov prowadzi swoją narrację z umiarem godnym filozofa, odwołującego się do źródeł myśliciela, stawiając jednocześnie pytanie o sens i cel istnienia, o wizerunek człowieka wobec obecności Absolutu, wreszcie o istotę owej części Boga w człowieku.

Czym jest dla Eduarda narracja? Czy opowieścią porządkującą zbiór zapamiętanych scen i zdarzeń w rodzaj continuum, w logiczną i przemyślaną całość? Czy może poszukiwaniem tożsamości tego, kto opowiada? Czy wreszcie rodzajem autoterapii, wyrośnięj z chęci uwolnienia się od zapisanych w podświadomości obsesji, obaw i lęków? Owo dążenie do porządkowania, opisywania świata językiem własnym i nieodgadzionym, zawołanym, objawianym w nagłym błysku świadomości, w ośnieniu - pojawia się raz jeszcze w ostatnim wizerunku Mone Lisy. Oto Ona, naga, odkryta, pozbawiona teatralnej pozy, pozbawiona przypisanej roli, obnażona zda się do ostatka, wystawiona na ciekawskie spojrzenia tłumy. Oto Ona pod pręgierzem natarczywych i bezczelnych oczu tych, którzy ośmielają się wtargnąć w Jej iliryczny (po kobiecie poetycki) świat z aparatem lub smartfonem w dłoniach. Oto Jej harmonijne, proporcjonalne ciało, posagowo piękne i czyste przeciwko ich ciałom rozdętym, konwulsyjnie wykrzywionym, poskręcanym, prefensjonalnie odzianym, zakrytym, jakby przeniesionym z malarstwa Hieronima Boscha. Oto Ona samotna i spokojna wobec ich wielości i małości zarazem.

Wydaje się, że narracyjność, pojmowana jako stan umysłu i ducha - należy do grona nielicznych, możliwych do zaspokojenia (w sposób łatwy i nader przyjemny) niezbyt wyszukanych potrzeb człowieka naszego, zdominowanego przez media - stulecia. W istocie - storytelling (termin wykorzystywany przez teoretyków kultury powszechnie) staje się dostępną zbiorowością, często także jedyną i naturalną - formą demonstrowania własnego „Ja”, faktu egzystencji człowieka w popkulturowym, wielobarwnym, nieustannie zmieniającym się świecie. Opowiadane publicznie historie, kreowanie własnego wizerunku, przyjmowanie kolejnych masek i ról daje bowiem poczucie trwałości, niekiedy zastępuje osobowość, tożsamość, kiedy indziej czyni nas po prostu szczęśliwymi, bardziej spełnionymi i zakorzenionymi w świecie realnym.

Potrzeba porządkowania i interpretowania własnego życia, dokumentowania go w sieci i na portalach mediów społecznościowych, potrzeba pokazywania (jak głosi popularna reklama) „najlepszej wersji samego siebie” dopada nas w najmniej oczekiwanych momentach. Żyjemy zanurzeni w różnego rodzaju (naznaczonych piętnem autobiografii) historiach, zapisujemy swe czytelne ślady (dość wątpliwej estetycznie i etycznie) obecności w niekoniecznie eleganckich, rozpisanych na głosy anegdotach. Przeglądamy się w ułamkach faktów i zdarzeń, we fragmentach zapamiętanych mimochodem scen. Współczesny człowiek kocha opowieści, postrzega własne życie jako rodzaj autobiograficznego continuum, które można by poddawać barwnym, niekończącym się ocenom i interpretacjom.

Jak bowiem podkreślał w swych rozważaniach, poświęconych istocie powieści Henry James, znany polskimi czytelnikowi jako autor „Portretu damy” - „główna powieść nie posiada jednego, a miliony, niezliczoną ilość możliwych okien”.⁴

W galerii lub salonie sztuki - każde okno to osobna, zamknięta w ramy, pokazana w wydzielonej przestrzeni - kompozycja. Im bardziej otwarta do wewnątrz, im mocniej nasycona światłem lub cieniem, im bardziej syntetyczna i niedopowiedziana, niedookreślona - tym bardziej intrygująca. W sztuce liczy się bowiem to, co nieujawnione do końca, nieodkryte, co daje szansę na wielość interpretacji, skojarzeń. Otwieramy zatem owe okna, podejmując wyprawę w nieznane, nie tyle starając się odczytać otaczający nas świat (ten bowiem coraz bardziej uproszczony, banalny i oczywisty, dotknięty piętnem zdehumanizowanej cywilizacji) ile świat stworzony okiem i dłonią malarza, świat osobny, wpisany w rytm Jego osobistych narracji. Świat naznaczony obecnością artysty, którego autoportret wewnętrzny, autoportret zapisany w dziele intryguje i kuszy, uwodzi, prowokuje do snucia własnych, subiektywnych opowieści, konstruowania własnych wersji zdarzeń, tematów i wątków.

2. Domniemany portret artysty - wizerunek zapisany w dziele

Wydaje się, że autoportret jako szczególna forma narracji, odślaniająca, odkrywająca to, co trudne do pokazania w sposób bezpośredni, ujawniająca psychikę i osobowość modela - interesować krytyków „od zawsze”. Działo się tak ze względu na jego niekonwencjonalny charakter, na fakt uwieczniania na płótnie nie tyle wizerunku powszechnie szanowanej osoby, zastygłej w wystudiowanej pozie (jak miało to miejsce w przypadku portretów malowanych na zamówienie, z czytelną intencją, przestaniem) ile wizerunku samego artysty. Nierzadko był

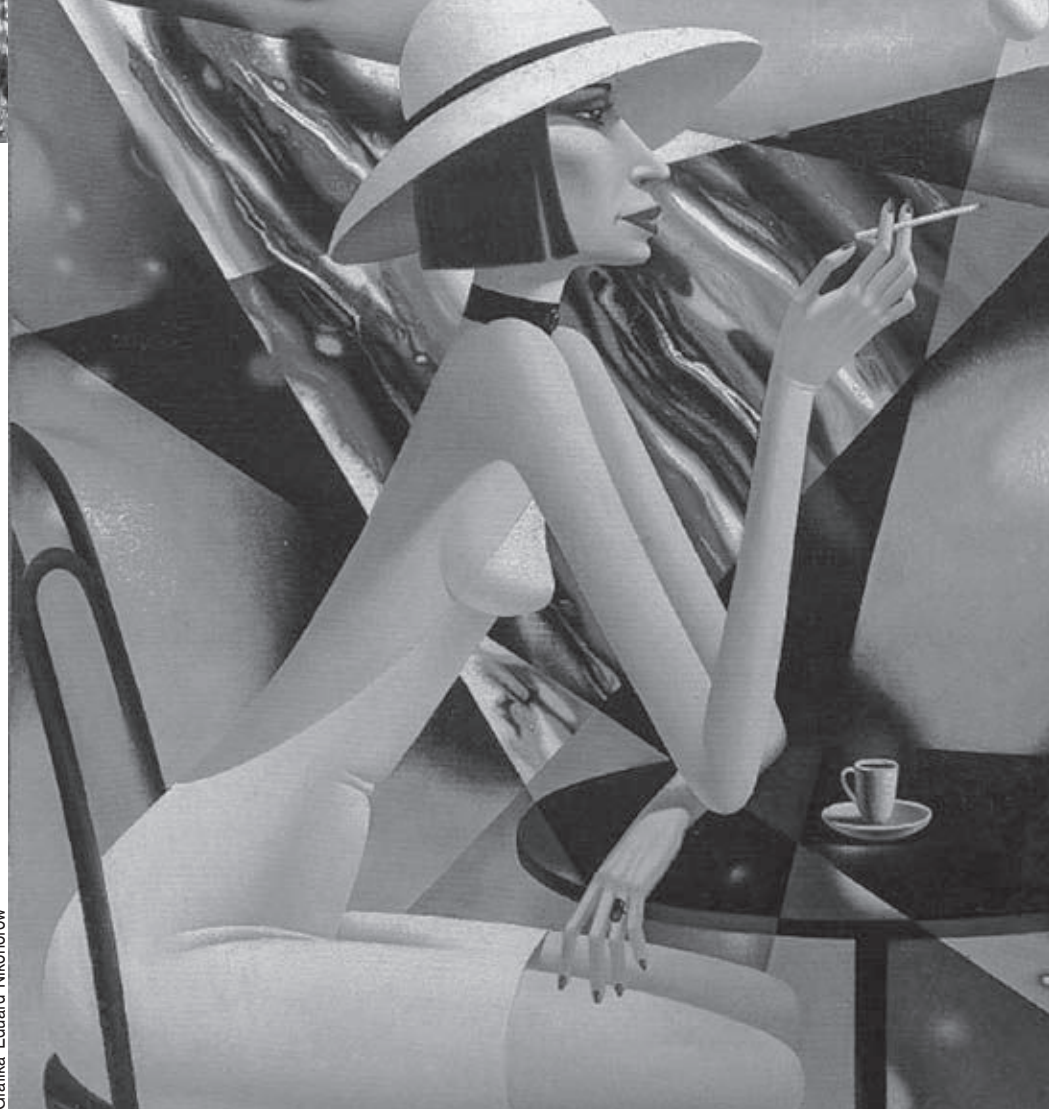
to wizerunek „ukryty”, pokazany „przy okazji”, jakby w tle, w dolnym rogu obrazu, na marginesie centralnej części kompozycji.

Obszernie na ten temat wypowiada się Alina Kowalczykowa, doszukując się nie tylko elementu skandalu w autoportrecie romantycznym, ale także podejmując wnikliwą analizę owego „pogranicza sztuk”, przez pryzmat którego wrażliwy, odczytany odbiorca zwykł patrzeć na dzieło.⁵ Jak bowiem pisze autorka przywołanego tutaj tekstu – autoportret jako wypowiedź skierowana bezpośrednio ku odbiorcy pozwala twórcy „lekceważyć konwencje, przedstawiać to dokładnie, co chce przekazać widzowi, ponieważ ukazuje siebie, ponieważ sam sobie jest modelem.” i w efekcie pomaga artyście „w odkryciu inaczej nieosiągalnej prawdy o sobie, a przed światem ekspozować nie tylko jego wygląd, lecz także, o wiele szerzej niż portret cudzy, władające nim emocje i idee.”⁶ Tak, więc autoportret to rodzaj wyznania, wypowiedzi najbardziej osobistej i subiektywnej z możliwych, rodzaj wybranego świadomie kostiumu, w którym artysta staje wobec widza w pełnym blasku reflektorów jak aktor na scenie. Aktor dający sobie prawo do wygłaszania monologów, nie wchodzący w relacje z innymi postaciami, aktor skoncentrowany w równej mierze na sobie, co na odbiorcy, domniemanym współtwórcy spektaklu.

Eduard Nikonorov nie maluje autoportretów, co nie znaczy, że w cyklach jego malarskich wizji, w sekwencjach (stanowiących continuum) obrazów – nie sposób odnaleźć wypowiedzi na temat stratusu i egzystencji artysty. Nie maluje ich i nie nazywa, gdyż prowadzi nas ku wypowiedzi autobiograficznej nie wprost, a przez meandry i zakola galerii, przez ukryte w mroku korytarze, spełniając odwieczny postulat marzycieli i idealistów, tych wszystkich dla których dzieło okazuje się aktem (niemal mistycznego) ofiarowania. Wręczając nam klucze do „korytarzy snów” zaprasza nas na samotną wędrówkę po wyobrazonej galerii, funkcjonującej w przestrzeni granicznej, gdzieś we Wszechświecie, na styku tego, co minione i przyszłe, na granicy wielu, dopełniających się i przenikających wzajem – czasów.

„Cudowność to mowa duszy zbiorowej” pisała Maria Janion, odwołując się do „Manifestu surrealizmu” Bretona z 1924 r., dając tym samym dowód, że potrzeba wyprawy w głąb „korytarzy snów” była nie tylko właściwa romantikom, ale także ich następcom, tym wszystkim, którzy doświadczali niezgody na świat zastany, wszelkiego typu buntownikom, artystom, postrzegającym „fantastyczność” jako remedium na całe zło epoki, w której przyszło im żyć.⁷ Dla teoretyka literatury, traktującego pojęcie romantyzmu bardzo szeroko, na prawach specyficznej estetyki i w konsekwencji, przywiązania do konkretnych mitów, symboli i postaw – „Manifest” Bretona i jego interpretacja, dokonana przez pryzmat filozofii Freuda i Junga, interpretacja z 1937 r. – niesie w sobie znamiona optymizmu, których próżno by poszukiwać w literaturze gofickiej, do której owa wypowiedź Bretona nawiązuje.

Postulat, by „zwrócić klucze do korytarzy snów” nabiera w kontekście prowadzonych tutaj rozważań – szczególnego znaczenia i staje się zapowiedzią zwycięskiej walki o ujawnienie „drugiego dna” epoki, o zastąpienie „mitu ucisku przez mit wyzwolenia”. Postulat ten sugeruje także potrzebę ponownego odczytania wszelkich tekstów kultury, odczytania przez pryzmat surrealistycznego obrazowania i „typowo surrealistycznych” motywów, przez pryzmat tak zwanej „nowej estetyki” pragnącej przełożyć język Ducha na język



Grafika Eduard Nikonorov

Materii, język najgłębszych ludzkich przeżyć na język wizji malarskiej, obrazu.

Wyobraźmy sobie zatem pomieszczenia współczesnej galerii sztuki, zbudowanej na planie koła, oświetlonej naturalnym światłem, jak w projektach Le Corbusiera. Wyobraźmy sobie rotundę wypełnioną powietrzem i światłem, wpadającym, sączącym się z wolna przez otwory wycięte w płaskim, uniesionym na filarach dachu. W zamkniętej, geometrycznej formie czas zdaje się płynąć inaczej: alinearnie, na przekór chronologii, wbrew owej wewnętrznej logice, następujących po sobie zdarzeń i scen. To czas ulegający zatrzymaniu, pokazany w nagłym błysku flesza, czas oświetlony punkto-wo, czas archetypu i symbolu, barw i brył pierwotnych, czas mitu. To także czas obnażony, zdemaskowany i odkryty, przynależny sferze odwiecznych tęsknot, niespełnień (zagubionego we Wszechświecie) człowieka. Wreszcie – czas paradoksalnego zamknięcia, geometrycznych pułapek (na miłość, na życie, na śmierć), czas jakże abstrakcyjnego w swej istocie, obcego i nieznanego, niepoznanego ostatecznie – sacrum.

Wyobraźmy sobie sterylną przestrzeń nowoczesnej galerii, podzieloną labiryntem białych ekranów, konstrukcją stelaży, z wyraźnie wyznaczonymi liniami i kierunkami komunikacji, owych otwartych promenad i arterii, o których wspominał Le Corbusier, porównując dzieło architekta do struktury żywego organizmu.⁸ Poczujmy obecność światła, matowego, zastygłego w pionach, niemal materialnego, nie tworzącego iluzji, a także światła rozproszonego, nasyczonego wszechobecną bielą. Wyobraźmy sobie wreszcie pomieszczenia pustej jeszcze galerii, owe niezaludnione wnętrza, zdominowane obecnością zamkniętej w klatkach prostopadłościowości ciszy. Popatrzmy na woskową doskonałą geometrię podziatów, niezakończonych jeszcze obecnością arte-

faktów, śladem myśli i uczuć tego, kto je stworzył. Poczujmy wagę minimalistycznego, ascetycznego piękna, piękna opartego na kontrastach, na dramatycznych kontrastach, na spięciach wyznaczonych strukturą przecinających się linii i płaszczyzn, otwartych i zamkniętych przestrzeni.

Doceńmy znaczenie pustki, owej przestrzeni „pomiędzy”, przestrzeni (jak pisał językiem godnym prawdziwego poety Le Corbusier) „niewystawionej”, nienazwanej, nieskonkretyzowanej jeszcze w artystycznym, arbitralnym geście. Pozwólmy sobie na kontemplację owej czysty i bieli. To świat na moment przed „wielkim wybuchem”, świat zastygły w (pełnym napięciu) oczekiwaniu aż na scenie galerii pojawi się Homo – Creator, Artysta radykalny w swych działaniach, Bóg i Demiurg, Konstruktor i Destruktor razem.

Poproszony o wybór materiału wizualnego do książki, Eduard Nikonorov – przesyła mi w pierwszym mailu kilka, znaczących dla siebie obrazów. Są to, jak pisze skromnie – prace szczególnie bliskie ich twórcy, niekoniecznie najnowsze, wyrażające jednak w sposób zdecydowany i pełny charakter jego ostatecznych wyborów, sposób myślenia o człowieku i sztuce. O człowieku zanurzonym w Uniwersum sztuki, kultury, cywilizacji, o człowieku przynależnym Naturze, z Niej wyrosłym i Jej ostatecznie przypisanym. O człowieku dla którego sztuka jest życiem, a życie istotą tworzenia, doświadczającym obecności Absolutu niemal w każdym artystycznym wyborze i geście. Zgodnie zatem z intencją ich twórcy, owych kilka, z rozmysłem wybranych dzieł – wyznacza punkt wyjścia, początek narracji, opowieści jaka stać się może osobistym doświadczeniem każdego, kto przyjmie „reguły gry”, kto otworzy wrota ku „korytarzom snów” i zdecyduje się na wejście w przestrzeń owego nie istniejącego faktycznie, wirtualnego salonu sztuki.

→
cd. str. 66

→ Dajmy się zatem ponieść urodzie opo-
cd. ze str. 65
SZTUKA
wiesci, pozwólmy się uwieść i oczarować
owej magicznej, wszechobecnej w życiu
współczesnego człowieka istocie „stroytel-
ling”, pamiętając że tok i rytm narracji wy-
znacza nie tylko przestrzeń architektoniczna
galerii, ale także (a może – nade wszystko)
każde z wyeksponowanych na jej ścianach
dzieł, które niby wielkie okno, otwarte non-
szalancim, pełnym pasji i uwagi gestem
– wiedzie nas ku nowym, nieznanym, led-
wie przeczuwalnym, objawionym w nagłym
błysku świadomości - światom.

Oto dwie kompozycje, dwie dopełnia-
jące się wzajem prace, umieszczone na
wprost wejścia, wpisane w sterylną biel,
pachnącej jeszcze farbą ściany: „Artysta
i Muza” oraz „Święto życia i śmierci”. W świa-
domości odbiorcy tworzą dyptyk. Łączy je
wewnętrzna dramaturgia, owo zderzenie
dwóch pierwotnych elementów: pierwiastka
żeńskiego, który Corbusier definiował jako
„intensywne światło słońca Morza Śródziem-
nego” z pierwiastkiem męskim, opisanym
przez architekta w kategoriach „bezkre-
snej podmiotowości wyrastającej przeciw
zachmurzonemu niebu”.⁹

Można by w tym miejscu zadać pytanie
o sens odniesień do architektury, a nade
wszystko – do twórczości Le Corbusiera. Sko-
ro jednak nasza wirtualna galeria ma być
galerią współczesną, przestrzenią bliską es-
tetycznym potrzebom człowieka XXI wieku –
pojawienie się nawiązań do myśli genialne-
go architekta okazuje się swoistym kluczem
odczytania całości i wydaje się (w pewnej
mierze) umotywowane. W pracach Nikono-
rowa czytelna jest przede wszystkim struktu-
ra, swoista „architektura” kompozycji. Ona
to bowiem decyduje o szczególnym cha-
akterze wypowiedzi artysty, a także o sile,
sugestywności i czytelności przekazu.

Oto „Artysta i Muza” – praca najbardziej
charakterystyczna, reprezentatywna dla
owej kolekcji kilku, wybranych przez artystę
dzieł, które można by umieścić obok siebie,
na szczytowej ścianie galerii, usytuowanej
na wprost wejścia, od której (przez kolej-
ne okna obrazów) przechodzić będziemy
w głąb, aż do miejsca w którym dopełnią
się pamiętne, naznaczone Apokaliptyczną
groźbą, ostatecznym sensem słowa: „Cave,
Grafika Eduard Nikonorow

Cave, Deus videt” („Strzeż się, strzeż się, Bóg
widzi”). Wbrew wewnętrznej dramaturgii,
budowanego „na śpięciach” obrazu, dra-
maturgii przywodzącej na myśl skojarzenia
z istotą ekspresji, tak intensywnie obecnej
w kulturze lat osiemdziesiątych – kompozycja
Nikonorowa urzeka precyzją i rygiorem. Na
pozbawionej głębi, iluzji trójwymiarowości,
malowanej laserunkiem płaszczyźnie, sym-
bolizującej zamknięcie, osaczenie w kwa-
dracie oswojonego, odkrytego do ostatka,
połyskliwego, martwego (być może także
nudnego za sprawą na monotonii błękitu)
nieba – wykłwita niespodziewanie niby eg-
zotyczny ptak, wabiący ferią intensywnych
barw – wizerunek artysty. Artysty unoszą-
cego się niby Ikar, artysty wspartego na
skrzydle obrazu-latawca. Artysty (Chrystu-
sa?) z ramionami rozpiętymi na taflę obrazu
jak na współczesnym hologramie krzyża.

Ecce Homo! Młody i silny mężczyzna,
odziany w robociarski drelch, otulony mięk-
ko układającą się materią jak całunem.
Ecce Homo! Sylweta odwróconego i wy-
wróconego człowieka, szybująca w pustych
i martwych przestrzeniach, o ciele dziwacz-
nie poskręcanym, wbrew anatomii, wbrew
samej istocie lotu. Ecce Homo! Zunifikowany
ubiorem, kostiumem i poprzez ową unifikac-
ję uprzedmiotowiony, przypisany plebejskiej
kulturze i sferze.

„Wznoszą się prostaczkowie i osiągnąją
Niebo, a my ze swoją wiedzą pograżamy
się w piekło.” – powtarzał za św. Augusty-
nem, nie bez gorczy i żalu – wybitny polski
poeta.¹⁰

Tak, więc ku górze polatuje artysta –
„prostaczek”, naiwny cudowną naiwnością
dziecka, obdarzony dziecięcą intuicją i wia-
rą. W pamięci zapisuje się jednak nie tyle
masywna sylwetka lecącego, ile jego twarz.
Nade wszystko – twarz. Twarz naznaczona
piętnem bolesnego skupienia, przypomi-
niająca maskę pośmiertną Chrystusa, syna
cieśli, twarz zastygła w bezruchu i uroczy-
stym milczeniu, zawieszona w ciszy, twarz
oddzielona od korpusu, „osobna”, twarz
rozpiętego na krzyżu Ikar.

U dotu kompozycji – fragment ko-
biecego aktu o idealnych, harmonijnych
i mocno przestylizowanych, przeestetyzo-
wanych kształtach. To Muza, o piersiach

pełnych i młodych, o wysklepionych po-
łuku udach, o kruchej, zda się przezroczystej
dłoni, położonej na własnym ciele w geście
dziewczęcego zawstydzenia. To Muza dla
Artysty-Ikara. Naznaczona przygaszonym,
przechodzącym w bladą szarości błękitem.
Obecna i nieobecna zarazem, przynależna
sferze doznań intelektualnych, duchowych,
świadek ikaryjskich lotów wprost w słońce.
Oto Muza o ciele lekkim i zwinnym jak po-
łyskliwy obłok, pozbawiona urody ziemskie-
go, dotkniętego zmysłowością, pozornego
jakoż utłudnego trwania.

Odwołując się do rozważań teoretyków
sztuki, badaczy czasu i przestrzeni w ma-
larstwie, przekonanych że każde dzieło, nie-
zależnie od intencji jego twórcy stanowi
rodzaj opowieści, odautorskiej, subiektyw-
nej narracji – proponuję spojrzeć na obraz
„Artysta i Muza” przez pryzmat teorii Jana
Białostockiego, filozofa, krytyka, pisarza
i eseisty, którego teksty (obecne nadal
w programach renomowanych uniwersy-
tetów) ukształtowały myślenie i wrażliwość
współczesnych bywalców galerii. Jako wielki
miłośnik Rembrandta, znawca dzieł Cara-
vaggia, Dürerra i Berniniego – Białostocki
wyróżnia dwa, pozostające w wyraźnej
opozycji, skonstrastowane ze sobą sposoby
przedstawiania czasu w malarstwie.¹¹

Jednym z nich okazuje się czas „momen-
talny”, poruszony i ulotny, czas wypełniony
zdarzeniami, czas „ujawniony poprzez ruch
i zmianę”. W ujęciu drugim, przynależnym
sferze sacrum i mitu – czas pojmowany
jest jako trwanie, „wypełnione ciągłą eg-
zystencją” lub (jak mawiała w cyklu swych
Gdańskich wykładów Maria Janion) jako
„kolisty czas wiecznych powrotów”. Zna-
mienny okazuje się fakt, że obecności czasu
„momentalnego” doświadczamy bezpo-
średnio, jakby „od wewnątrz”, pozwalając
porwać się wirowi myśli i zdarzeń, mozaice
fragmentarycznych, układających się jak
szkiełka w kalejdoskopie – scen. To także
czas estetyki barokowej, odstaniający nagłe
pęknięcia, otchłanie, czas zwielokrotniony
w ustawionych przemysłnie zwierciadłach,
niekiedy z lekka przykurzonych, odbijających
wizerunek niepełny, nieostry, otwierających
się ku nowym, nieznanym obszarom. Tak,
więc czas „momentalny”, ziemski, człowie-





Grafika Eduard Nikonorov

czy to czas chropawy i niedoskonały, oddany we władanie Demiurga raczej, niż Boga. Inaczej jest z zawieszeniem, zatrzymaniem malarskiej lub literackiej narracji. Wchodzimy wówczas w sferę sacrum, doświadczając przynależnych jej zdarzeń „od zewnątrz”, patrząc na zatrzymane w bezruchu sceny z filozoficznym dystansem, z perspektywy medytacji, kontemplacji, mentalnego i faktycznego oddalenia.

W intuicyjnym, emocjonalnym obrazowaniu Eduarda Nikonorova oba czasy, pozornie wykluczające się wzajem – tworzą zapis symultaniczny, naznaczony wewnętrzną dramaturgią, tragizmem egzystencji człowieka, o której z taką rozpaczą i bólem pisał barkowy poeta: „Pokój – szczęśliwość, ale bojowanie / Był nasz podniebny: on srogi ciemności/ Hetman i świata łakome marności/ O nasze pilno czynią zepsowanie.”¹² Warto tutaj przypomnieć, że w poezji metafizycznej wczesnego baroku pojawia się nowy, naznaczony piętnem niepokoju, cierpienia, pozostający w widocznej opozycji do renesansowej harmonii i wyważonego, idealnego, proporcjonalnego piękna – psychologiczny portret człowieka. To człowiek skazany na „wieczne bojowanie”, rozdarty wewnętrznie, doświadczający potrzeby poszukiwania własnej tożsamości w świecie, w którym wszelkie zasady moralne i wartości zostały zakwestionowane. To także człowiek „w grzechach ciężkich ponurzony”, wołający z otchłani do Boga, który nie jest już przyjacielem i opiekunem jak ów Kreator „uhaftowanego gwiazdami nieba”, ku któremu kierował swe spokojne myśli, przepojony ufnością i epikurejską radością, potrzebą „smakowania” życia – Jan Kochanowski. Człowiek epoki baroku pozostaje bowiem samotny, skazany na klęskę w swym „ziemskim bojowaniu”, a jeżeli spogląda nawet ku niemu z oddalenia Bóg, to patrzy okiem chłodnym i obojętnym, okiem sprawiedliwego, okrutnego Sędziego, czyniącego beznamietnie swą powinność. W malarstwie Nikonorova wystanniczka takiego właśnie Boga – okazuje się Muza, piękna i niedostępna, nieczuła.

Podobny wizerunek kobiety stanowi oś kompozycyjną obrazu „Święto życia i śmierci”, tyle tylko, że tutaj symbolizuje on Naturę, nie – Muzę. Wydaje się, że owa personifikacja Natury, a właściwie jej poetyckie wyobrażenie, pozwalające doszukiwać się w smukłym, strzelistym akcie kobiecym

uosobienia drzewa – epatuje wszechogarniającym spokojem. A przecież Natura jawi się nam zazwyczaj jako istota niespokojna, kapryśna, brutalna, przepojona witalizmem i mocą, wydana na pastwę żywiołów, których sama staje się częścią i prapoczątkiem, praźródłem. Zatem Natura, przyjmująca symboliczną postać drzewa – okazuje się bardzo odległa, daleka od wszelkich prób interpretacyjnych uogólnień, uproszczeń i banalnych skojarzeń. Wynika to zapewne z faktu, że drzewo w świecie poetyckich wyobrażeń, łączy w sobie (jak chciał tego twórca krytyki tematycznej, francuski filozof i myśliciel – Gaston Bachelard) żywioł powietrza i Ziemi.¹³ Drzewo istnieje bowiem by trwać, przynależy sferze mitu i sacrum, korona jego wznosi się ku bezkresowi nieba, zanurza się w żywiole powietrza, podczas gdy jego korzenie, tworzące niemal symetryczne odwzorowanie korony, kierują się do wewnątrz, ku wnętrzu żywiołu Ziemi, ku ognistemu jej jądro, ku centrum ukrytego pod darnią kosmosu.

Tak, więc drzewo, traktowane jako uosobienie szlachetnej twardości, niezłomności, stanowiące obiekt religijnego kultu, obdarzone utajonym życiem duchowym, związane pierwotnie z rytuałem tanecznych korowodów i naznaczonych teatralnością obrzędów pogańskich – posiada na gruncie literatury i sztuki swą własną kosmologię. W tradycji chrześcijańskiej mianem „Drzewa Życia” nazywa się krzyż, symbol śmierci i odrodzenia, cierpienia i nadziei. W średnio-wiecznej Europie, w czasach zrozumiałej bliskości człowieka i Natury, zaskończoną popularnością cieszyła się legenda, poświęcona tajemnej mowie drzew.¹⁴

I tak cyprys oznaczał wieczność, drzewko oliwne – pokój, palma – nieśmiertelność, a cedr utożsamiano z osobą Zbawiciela. Adresatowi, opartych na koncepcie, zaskakujących w swym ostatecznym przesłaniu prac Nikonorova – nie dane (niezależnie od symboliki barw i utajonej mowy form, czasami organicznych, czasami – geometrycznych, porządkujących podobnie jak narracyjność – Wszechświat) zaznać ukojenia. Spokojne, wyważone obrazowanie, podbudowane precyzją odwzorowanych przedmiotów, zwodniczo pogodna kolorystyka, wreszcie skala, wielkość obrazów, skonstruowana z ogromnym ładunkiem emocji, tak że „wybuchają” one przed oczami oszołomionego widza – wszystko to zdaje się kwestionować

możliwość pograżenia się w ciszy, ucieczki w sennie widziadła, w przestrzenie onirycznych, kających niepokój i smutek (zapewne „rajskich”) ogrodów.

W malarstwie Nikonorova drzewo symbolizuje życie subtelne i uduchowione, wysublimowane, pozbawione cienia zmysłowości. To właśnie w kruchym i jakże delikatnym wizerunku Drzewa-Kobiety konkretyzuje się Duch Wszechświata, Jego (owego Ducha lub inaczej – uniwersalnego Wszechbytu) piękno i tajemnica istnienia. W kompozycji „Święto życia i śmierci” z ciała kobiety, z przestylizowanego, sprężystego pnia, pełnego urody, młodzieńczej świeżości i mocy – wyrastają delikatne gałązki. Podczas gdy korona surrealistycznego drzewa rozpyta się w pastelowych, zasnutych lekką mgiełką, szlachetnych szarościach i bielach, z cieniutkich gałązek i witek wykwiatają rozmięgotane kolorem i światłem listki. Dominuje tu barwa perłowa i jeżeli zagłębić się w rozważania dotyczące symbolicznej mowy kolorów – należałoby odwołać się zarówno do Mitologii, do momentu narodzin Afrodyty, kiedy to z rozprysków piany morskiej powstały perły, jak i do metaforyki Biblijnej, gdzie perła kojarzona była ze wzniosłością, szlachetnością, bogactwem i wiarą. Malarz nie wydaje się być jednak, ani piewca Mitologii, ani (tym bardziej) zwolennikiem Biblijnego, zbyt łatwego w interpretacji – obrazowania. Jego drzewo wyrasta ze śmietniczka cywilizacji, na którym obok wielobarnych, niepotrzebnych, bezużytecznych przedmiotów porzucano ludzkie głowy i twarze, znieruchomiłe jak rytualne maski, teatralne w swej dramaturgii i wymowie.

Co zatem pozostaje artyście? Artyście skazanemu nie tyle na rolę obserwatora, snującego swe efektowne narracje poza sceną, poza wykreowaną przez siebie przestrzeń Theatrum Vitae? Czy pierwotny, rytualny bunt twórcy – odwiecznego maga, kapłana i pielgrzyma, świadomego swej misji wędrowca? Czy wysoki, elektryzujący krzyk, metaliczny i czysty, wynikający z mentalnej niezgody na rzeczywistość, z odwagi, z potrzeby zapisania wykreowanego wizerunku, wyraźnie, ostrą kreską, skierowaną jak ostrze sztyletu, wprost w serce? Czy może raczej szept, monolog wygłaszany „na stronie”, poddający wnikliwej wivisekcji własne wnętrze? Gdzieś w tle pozostaje fascynacja teatralnością, miłoś do sceny, na której dokonuje się obrzędu inicjacji i przekroczenia, cd. str.68



apoteozy i upadku, obnażenia i odkrycia, demonstracji maski i roli, sceny gdzie mówi się zdecydowanie i wyraźnie – własnym, niekiedy przykrym dla odbiorcy tekstem. Gdzieś w tle lub może raczej w kulisach – pozostają: Tanatos i Eros. Dwaj Bogowie, dwaj reżyserzy (inscenizatorzy?) spektaklu.

Bliskość Tanatosa sprawia, że twórca w sposób bardzo intensywny, wyrazisty – decyduje się pozostawić ślad. Bliskość Erosa przesądza, że jest to ślad obecności nie tylko artysty, ale także człowieka, dotkniętego piętnem prawdziwie „ziemskich” potrzeb. Śladem obecności artysty okazuje się dzieło, śladem obecności człowieka – zapis wizerunku, twarzy, która pod wpływem obecności śmierci – powoli przeistacza się (przepoczwacza) w maskę. To maska ze stygmatem swojego, pozbawionego elementu walki – trwania, to maska śmierci, piękna i jakże okrutna, uduchowiona i naznaczona zmysłowym pragnieniem. To maska pozostawiona, porzucona teatralnym, nonszalanckim gestem na śmietniku rekwizytów i kostiumów, w prywatnym Aterier malarza i eksperymentatora, alchemika i straceńca, być może – ostatniego przedstawiciela coraz bardziej dziś nieobecnej - Bohemy.

3. Domniemany wizerunek Boga – „Strzeż się, strzeż się – DEUS VIDET...”

„Poszukuje się Jezusa Chrystusa. Zawód: robotnik. Miejsce zamieszkania – nieznane. Bezwyznaniowiec. Bezpartyjny. Nie występuje publicznie.” – pisał w swym pamiętniku, w pamiętniku aktora – skandalisty, Klaus Kinsky i dodawał: „Nie, nie tego Jezusa ze szpetnych kolorowych obrazków. Nie tego o chorobliwie żółtej skórze...”¹⁵ Kinsky pisał wściekły, beczelnie oskarżał społeczeństwo, demaskował mieszczańską pruderię i fałsz.

Nie dokonywał jednak w kontekście tamtej kultury, kultury lat 70-tych minionego stulecia, zdecydowanie świeckiej, na miarę buntowników i konfesorów, oczarowanych ruchami pokolenia hippies i filozofii New-Age – żadnego przekroczenia, przełamywania tabu, nonszalanckiego wejścia w sferę sacrum. Niewątpliwie nie grożono mu sądem, banicją, nie wznoszono dla niego stosu, nie budowano szafotu. Był znanym, cenionym aktorem, nie oddzielał życia od sztuki, przypisano mu maskę skandalisty, prowokatora, mającej prawo do kaprysów i dziwactw, nie liczącej się z nikim i niczym – „gwiazdy”. Wchodził w rolę do końca, trzymając się wyznaczonej przez siebie konwencji. Jego grę cechowała chropawość, przypominająca poczynania niemieckich ekspresjonistów, zachowania – obca mentalności Polaków swoboda i szczerość, bezpośredniość, odwaga i „luz”.

Zapisane w pamiętnikach myśli Klaus Kinsky’ego, wielkiego aktora i jeszcze większego skandalisty, przedstawiciela niegdyśjszej Bohemy – powracają, gdy spacerując w przestrzeni wirtualnej galerii pozowałam sobie (nie jako krytyk a raczej jako „osoba prywatna”) na zadanie fundamentalnego pytania, o znaczenie owej odwiecznej relacji: Człowiek – Bóg, wizję zapisane na płótnie – Dzieło Stworzenia. Kim zatem jest Bóg dla Edwarda Nikonorova?

Do „Tajemnej wieczery”, być może do wieczery „ostatniej” zasiada się w obecności „dworzan”, w kłębowskiu, w płataninie karykaturalnych, pełnych ekspresji, rozrastających się w organiczne struktury, płasko malowanych – form. To ciała uchwycone in statu nascendi, w momencie tworzenia się i rozpadu, dziwaczne i niespokojne, z odsoniętą tkanką, znaczonego złotem i czerwienią – ornamentu. Teatralność masek zastępują szeroko rozwarłe, czarne, po-

tyskliwe, wyraziste jak u lalek oczy. Teatralność gestów – fragmenty przestylizowanych, pozbawionych zmysłowości dłoni. Wielość przesłan, architektonicznych podziałów, wyznaczonych zastygłymi pionami światła – przywodzi na myśl dobrze zbudowaną scenografię. Brak tu jednak Chrystusa, brak Boga. Brak tu także człowieka.

Umowność czasu i miejsca nadaje surrealny wymiar zapisanej na płótnie scenie. Czas materializuje się, ulega nagłemu zagęszczeniu. Miejsce, niby znajome, niemożliwe do jednoznacznego nazwania – wymyka się logice interpretacji. Na proscenium tradycyjnie – stół. Symbolicznym atrybutem uczyły stają się „przybrudzona” barwnymi plamami – surowa płachta, zapewne Inicjnego – obrusu. Skojarzenia z wieczernią, która ostatnia – wydają się naturalne, jednak niezupełnie oczywiste. Zderzenie tego, co przynależne materii z tym, co przepojone duchowością – staje się zatem wyzwaniem, prowokacyjnym, obrazoburczym i wielce teatralnym gestem. Idealna forma jasnego ostrosłupa, umieszczonego centralnie, z matowym, zda się skamieniałym jabłkiem na szczycie – sugeruje uroczyste milczenie, dumnego przedstawiciela królewskiego rodu. Obecność „uczłowieczonego” Boga zostaje tutaj sprawnie zastąpiona obecnością martwego przedmiotu. Dramatyczne, bolesne przesłanie okazuje się aż nazbyt czytelne: w świecie, w którym nie ma człowieka – nie pojawi się Bóg. Będzie patrzył z wysokości, z oddalenia, okiem chłodnym i obojętnym, w milczeniu.

Za sprawą „Tajemnej wieczery” wchodzimy niepostrzeżenie w świat barokowego obrazowania, które (paradoksalnie) okazywać się może nam szczególnie bliskie i równie znajome jak znajome stają się lęki i obawy człowieka przełomu XVI i XVII stulecia, któremu dane było doświadczać reformacji i kontrreformacji, wojen religijnych, momentów zwątpienia i uniesień fanatycznej wiary, poczucia nietrwałości, kruchości żywota i trwałości naznaczonych wyrafinowaną ornamentyką przedmiotów, a wreszcie – bogactwa dworskich strojów, teatralności dworskich rytuałów i tajemniczości przeglądających się w przemysłnie ustawionych zwierciadłach, fragmentów pałacowych wnętrz.

Kiedy w połowie XX wieku – Michel Ragon, francuski teoretyk sztuki, rzucił hasło „Salut au baroque” (powitanie barokizmu) czyniąc w swym przekonaniu gest nobilitujący prace uczestników zbiorowej wystawy „Divergences 6” – wywołał skandal w środowisku, a wybitny architekt Le Corbusier – miał poczuć się osobiście obrażony.

Terminy „barok”, czy bardziej metaforyczny – „barokizacja”, stosowane wobec tych zjawisk i dzieł sztuki, które cechuje retoryczność, bogata ornamentyka, które zadziwiają, zaskakują, szokują za sprawą wyszukanego konceptu, pomysłu – miały jeszcze wówczas znaczenie zdecydowanie pejoratywne. Dzisiaj mianem barokizacji określa się zarówno rodzaj obrazowania, którego odczytanie wymaga znajomości specyficznego kodu, obrazowania przyswojonego przez współczesnych surrealistów i konceptualistów, kryjącego unikalny podtekst, obwarowany wielością zabiegów formalnych, tak jak niegdyś treść barokowego wiersza obwarowana była nagromadzeniem antytez, paradoksów, oksymoronów i symboli, jak i rodzaj (niepozbawionego tragizmu) portretu psychologicznego człowieka.

Tytuł wystawy malarstwa Edwarda Nikonorova „Cave, cave, Deus videt” („Strzeż się, strzeż się, Bóg widzi”) odsyła nas zarówno do inskrypcji ze słynnego dzieła Hieronima Boscha „Stół mądrości”, jak i do filozofii

oraz sposobu myślenia charakterystycznego dla dojrzałego baroku, którego Bosch (jeśli wziąć pod uwagę retoryczność i nadrealne obrazowanie jego dzieł) okazuje się niewątpliwym prekursorem. „Duch barokowy nie wie, czego chce. Chce on (...) zarazem ciężać i wzłatać. Chce on – przypominam sobie jednego aniołka z kościoła w Salamance – zarazem wznosić i opuszczać dłoń. Poprzez formę spirali jednocześnie oddala się i przybliża... Zonglując, bawi się zasadą sprzeczności” – pisał, starając się uchwycić istotę barokowego, przewrotnego odczuwania rzeczywistości – Eugenio d’Ors.¹⁷ Świat człowieka baroku, zagubionego między sferą sacrum i profanum, wydany na pastwę niepewności i lęku – to świat dynamiczny, poruszony, oparty na kontrastach, dramatycznych kontrpunktach, na śpięciach. Człowiek epoki baroku, którego osobowość przeciwstawiana jest zazwyczaj uładowanej, uporządkowanej wewnętrznie osobowości renesansowego humanisty – jawi nam się jako istota pełna wewnętrznych sprzeczności, wiodąca niekończącą się walkę ze światem, szatanem i ciałem, jako istota rozdarta wewnętrznie lub (jak pisał przedstawiciel metafizycznego nurtu polskiego baroku, Mikołaj Sęp-Szarzyński) – „rozdwojona w sobie”.

Co prawda portret bohatera (lub może raczej – bohaterów) malarskich wizji Eduarda Nikonorova – to wizerunek zwielokrotniany, powtórzony konsekwentnie i z rozmysłem w przenikających się, celowo płaskich, przypominających tafle zwierciadeł i luster – formach trójkątów, rombów, kwadratów, układających się w magiczny konstrukt jak szkiełka w kalejdoskopie. To także portret oparty na koncepcji, wyrazistym pomysłem, organizującym całą strukturę obrazu. Istotą bowiem nawiązujących do estetyki baroku dzieł – okazuje się element zaskoczenia, przewrotnej, wykorzystującej bogactwo, ozdobność form – gry, jaką podejmuje artysta z odbiorcą.

Fascynacja barokiem, pojmowanym nie tyle w kategoriach anachronicznego stylu wypowiedzi, ile w odniesieniu do zaskakującej, zadziwiającej postawy estetycznej, wyrażającej zachwyt, afirmację konceptu i równocześnie skonstrastowane z nim poczucie nieuchronności klęski, owo „Vanitas Vanitatum” („marność nad marnościami”) – okazuje się także esencją postmodernistycznego postrzegania, współczesnego nam świata. Zapewne to w owym podobieństwie losów, doświadczenia wiecznej niepewności, chaosu i niepokoju upatrywać należy przyczyn naszego zainteresowania zarówno środkami barokowej ekspresji jak i treścią, przesłaniem konkretnych, malarskich dzieł Edwarda Nikonorova. To w końcu świat bez Boga, świat pogrążony w chaosie, świat w którym nie pojawi się Mesjasz, bowiem nie ma w nim także człowieka. Być może był kiedyś człowiek, pozostawił swój ślad, zapisany w pozbawionym zmysłowości faterale efemerycznego, kruchego i odrealnionego ciała. Nieprzypadkowo bowiem wizerunki zapisanych na płótnie ludzi (lub może istot duchowych, przybierających antropomorficzne kształty) utrzymane są w bielach, szarościach, przygaszonych, delikatnych błękitach. To raczej puste skorupy, niż ciała. Kostiumy teatralne, oczekujące spokojnie na tchnienie życia, przebrania w których aktor nie pojawi się nigdy.

Nasze życie, przepojone „duchem barokizmu”, ideą sprzecznych intencji, nieodkreślonych celów, nasze życie naznaczone piętnem wewnętrznego rozdarcia, owego „rozdwojenia w sobie”, o którym tak sugestywnie pisał poeta – jawi się jako alegoryczny obraz nieustannej, podsycaanej

niedobrymi wieściami ze świata – niepewności.

Jak w barokowych zwierciadłach – przeglądamy się w pracach Eduarda Nikonorova. Ze źle ukrywaną obawą spoglądamy w potyskliwą, iskrzącą światłem, płaską, odbijającą geometryczne struktury taflę. W efekcie zwracamy się ku owym utrzymanym w czerwieniach i w brązach, w szarościach, czerniach i ciepłych, znaczących światłem bielach – formom, tworzącym się i rozpadającym przed naszymi oczami. Nic bowiem trwałego, wiecznego, nic oprócz nieustannej obecności śmierci, której do ostatek oswoić nie sposób.

W geście determinacji, rozpaczmy szukamy bezpiecznych przystani. Tulimy się do swego wielokrotnionego wizerunku z kompozycji „Rodzina”. Podejmujemy dyskurs z przeszłością, powracającą wizerunkiem Mony Lisy, z pustym i obcym symbolem, z kanonem martwego w istocie, idealnego piękna. Oddajemy się w opiekę surrealistycznej, smutnej „Madonny”, o twarzy naznaczonej piętnem trójkątów, pociętej geometrią linii, z naroślami dziwacznych oczu, zneruchomiątych, otwartych. Widzimy swój, jakże tragiczny portret, wielokrotniony portret sobowtóra, człowieka portret własny, zapisany na utamkach szachownicy, jak w okrucinach diabelskiego zwierciadła.

Tak, więc stojąc samotnie na Theatrum Mundi doświadczamy odwiecznego dramatu, skazanego na ziemski byt człowieka, zanurzonego w materii światła i mroku, porzuconego w świecie dysharmonii, kontrastów; człowieka opuszczonego, oddanego we władanie (jak chcieli tego poeci metafizyczni) dwóch, zmagających się ze sobą, toczących odwieczną walkę sił: „Hetmana Ciemności” oraz patrzącego z oddalenia, okiem chłodnym i obojętnym – Stwórcy, czyniącego sobie przedmiot zabawy z człowieka, owe „Boże Igrzysko”, pod milczącą kopułą niebios, gdzie nawet tęcza układa się we fragmenty czarno-białej, niekompletnej, zdeformowanej szachownicy.

Grafika Eduard Nikonorow

4. Czy stać się „Galernikiem wrażliwości”?

Przechadzając się wskroś pawilonów wirtualnej galerii Eduarda Nikonorova, a przede wszystkim jej najważniejszej części, zaprojektowanej na planie koła, konkretyzującego się w świadomości odbiorcy jako obraz symbolicznego aktu zniewolenia, osaczenia w przestrzeni – nie zagłębiam się już w architektoniczno-filozoficzne teorie Le Corbusier. Czynię to, jak mawia się w kręgach humanistów – „programowo”, z pełną świadomością konsekwencji. Wypadałoby bowiem zakończyć rozważania na temat twórczości Eduarda, Jego malarskich i estetycznych wizji – kompozycyjnym domknięciem, ramą. Ja jednak, pełna wewnętrznej spójności, przepojona umiarem i rozsądkiem (godnym starzejącego się elegancko teoretyka sztuk wizualnych, a sztuki życia z pewnością) przypominam sobie konwersatoria, prowadzone przez prof. Marię Janion pod koniec lat siedemdziesiątych i na początku osiemdziesiątych na Uniwersytecie Gdańskim. Tamte spotkania, osnute aurą skandalu i niemal mistycznego wtajemniczenia, spotkania dochodzące do skutku pomimo przeciwności losu, niekiedy w obecności dobrze zakamuflowanych cenzorów, spotkania adresowane zarówno do doktorantów, pracowników Uniwersytetu jak i do najmłodszych adeptów filologii polskiej i nauk humanistycznych – należały do wydarzeń znaczących i można (bez cienia przesady) powiedzieć, że ukształtowały osobowość niejednego ze współczesnych nam pisarzy, historyków i teoretyków, krytyków, badaczy, wreszcie – odbiorców i świadomych uczestników kultury.

Ukształtowała się także wówczas, za sprawą owych cyklicznych dyskusów – specyficzna wizja wolnej i niezależnej kultury, pojmowanej w kategoriach „wspólnoty wielu świadomości” i traktującej człowieka w sposób całościowy, holistyczny. Kultury skierowanej zarówno „przeciw romantycznej genialności uczucia” (romantyzm potocznie

utożsamiano wówczas, dość powierzchownie – z taną egzaltacją, uczuciowością, podobnie jak barok – z mrokiem i nadmierną ornamentyką, rozbuchanym bogactwem form) jak i przeciwko „płaskości oświeceniowego zdrowego rozsądku”, którego pochwałę głoszą nieodmiennie, z morderczą konsekwencją, przez wieki – władze każdego, z totalitarnych państw.¹⁸ W istocie owe humanistyczne dyskursy, których literackim i naukowym plonem stały się, wydawane przez Wydawnictwo Morskie „Transgresje” – otwierały uczestników i słuchaczy na kulturę nowoczesnej Europy, na szeroko pojmowaną tradycję, ukazując korzenie (rodzącej się dopiero) kultury ponowoczesnej, globalnej i precyzyjnie określając grono jej adresatów. Maria Janion wieszczyła wówczas narodzić się i upadek demokracji, ostrzegała przed fascynacją cywilizacją Zachodu, przed przejmowaniem popkulturowych wzorców, przed brakiem tolerancji, upadkiem „człowieka w człowieku”. Tak, więc konwersatoria gdańskie otwierały nas (nierzadko sceptycznych, krytycznych jak ja słuchaczy) – na kulturę uniwersalną, „wysoką” (prawdziwa zawsze jest taka!) oraz – na wszelkiego rodzaju wypowiedzi „z pogranicza”, na przenikanie się, dyfuzję kierunków i ważnych idei, na różnorodne środki wyrazu i media: począwszy od dramatu i literatury, po malarstwo, happening, performans, na filmie i gatunkach pokrewnych, skończywszy.

Termin „transgresje”, przeniesiony z nauk przyrodniczych, a nade wszystko z psychologii i filozofii – nabrał wówczas nowego znaczenia, kojarząc się nie tylko z przekraczaniem granic, wdzieraniem się na nowe terytoria, ale także z nowym obliczem odważnej, bezkompromisowej humanistyki, anektującej pomijane dotąd wątki i problemy.

W krótkim wprowadzeniu do I tomu, który został zatytułowany „Galernicy wrażliwości” – zapisano: „Zajmowaliśmy się i nadal zajmujemy różnymi świadectwami – literackimi, filozoficznymi, biograficznymi, egzystencjalnymi – przekraczania granic. cd. str.70





Przekraczania siebie, przekraczania norm, konwencji, ról, przyjętych wyobrażeń, przekraczania tego, co dane i gotowe przez ludzi, którzy chcieli, „przejsć na drugą stronę”, „przeniknąć poza horyzont.”¹⁹

SZTUKA

Dobitym świadectwem owego „przekraczania”, „transgresji” staje się, epatujące ferią barw, pozornym nadmiarem form i przypisanych im treści, metaforyczne, mistyczne w istocie – malarstwo Nikonorova. Artysta odwołuje się w nim do konwencji opowieści, która (jeżeli zestawić ją z wewnętrzną dramaturgią dzieła) nabiera charakteru mocnej, miejscami chropawej, brutalnej, prowadzonej „po męsku” narracji, narracji godnej bohatera tragicznego, rodem z dramatów Shakespeare’a, owego wiecznego buntownika, poszukiwacza piękna i intelektualnej przygody, głębokich, zmysłowych doznań i szalonych, romantycznych uniesień. Jest to równocześnie opowieść niejednoznaczna i nieco przewrotna, prowadzona z energią i entuzjazmem chłopca, niekiedy naiwnego, niezwykle dziecka, ulegającego urodzie stworzonych przez siebie, poruszonych, dynamicznych, pełnych powietrza i światła światów. To także szczególny rodzaj „story telling”, prowadzenia odautorskiej opowieści, która płynnie przechodzi w cykle, sekwencje kompozycji w bielach, szarościach, czerwieniach, w przenikające się i dopełniające wzajem (na miarę dobrze skonstruowanej prozy) tematy, dygresje i wątki. Opowieści obdarzonej atrybutem zmienności i ruchu, nie wolnej (jakby na przekór sile i sugestywności przekazu) od refleksji i filozoficznych przemyśleń, skojarzeń. Domniemana autobiografia Eduardo, zapisana w obrazach, mimo wszystko dość powściągliwych, oszczędnych – okazuje się wreszcie czarującą, uwodzającą odbiorcę historią poszukiwań i uniesień artysty, historią życia barwnego i bogatego, składającego się na rodzaj wyznania, artystycznego credo, w istocie na obraz czyli na prawdę o osobowości jej twórcy – otwartą.

Malarstwo surrealistyczne, naznaczone bogactwem barwowych, poruszonych form to także sztuka momentalnego gestu, zasygnalizowanego wrażliwymi, delikatnymi pociągnięciami pędzla, śladami intensywnej obecności autora, a także jego wewnętrznej walki, śladami mentalnych, umysłowych faktów zapisanych w obrazie. Chodzi tu przede wszystkim o fakty natury psychicznej, atakujące odbiorcę wyrafinowaną groteską, naznaczone piętnem tragicznego paradoksu ludzkiej egzystencji, dramatycznego, bolesnego pęknięcia, rozdarcia, sankcjonującego istnienie przepaści lub może kosmicznej odległości Ducha i Materii, świata stworzonego przez Demiurga i Boga, Kreatora i De-konstruktora zarazem.

Ten bowiem kto dokonuje wiwisekcji własnej psychiki – równocześnie tworzy ją, in statu nascendi, w niepokornej materii obrazu, w obecności widza, na nowo, zamykając żywioł własny, nieokreślonych uczuć w umowne ramy rozpoznawalnego stylu, wypracowanej przez siebie konwencji. Malarstwo to zawiera bowiem bogate, utajone treści, głęboko skrywane, nieuświadomione, symboliczne skojarzenia i sensory. Jest aktem kreacji i równocześnie aktem osobistego niszczenia. Odwołując się do istoty psychoanalizy – odkrywa to, co nieujawnione, co niemożliwe do ostatecznego nazwania, co w istocie tłumione przez kulturę i konwencję, co jawi się jako rodzaj psychicznego faktu. Faktu czyli Prawdy jedynej, bolesnej, doświadczanej bezpośrednio, w akcie nagłego obnażenia.

Eduardo Nikonorow staje przed nami odkryty, na wielkiej i pustej scenie, bez maski, bez kostiumu, bez jednej, sobie przypisanej,



Grafika Eduardo Nikonorow

przez siebie wybranej – roli. Jak wielki aktor, który daje się ponieść tekstowi i wygłaszając pamiętny monolog Makbeta, ze sztyłem unoszącym się na wyrzkości wzroku, na ostrzu którego i na rękojeści „widać krwi kropelki, których przed chwilą, jeszcze tam nie było” – wie, że wszystko już się dokonało w Jego sercu i głowie. Jak Hamlet muśnięty ledwie skrajem sukni kruchej, efemerycznej, otulonej wionią fiołków Ofelii, zauroczony teatrem, oczarowany teatralnością scenicznego gestu i słowa, patetyczny i liryczny zarazem, z sercem spopielonym i pustym, wystygłym, naznaczonym piętnem zbrodni i zemsty, rycerskiej powinności i etyki. Jak wiecznie młody Romeo, o sercu gorejącym i czystym... Jak oni wszyscy jednakowo... Jak wszyscy bohaterowie tragiczni, dokonujący „przejścia poza horyzont”, do miejsc skąd nie powraca się łatwo, być może – nie powraca się NIGDY.

MALGORZATA DORNA (WENDRYCHOWSKA) –
PIŁA, LIPIEC/SIERPIEŃ, 2018

¹ Za: T. Szlendak, *Kultura nadmiaru w czasach niedomiaru*, Podsumowanie i wnioski z obrad III Elbląskiego Forum Kulturoznawczego, http://www.bibliotekaelblaska.pl/tl_files/biblioteka/dane/kultura_nadmianu_web.pdf (dostęp 28 VI 2018)

² B. Chaciński, za: *Kultura nadmiaru w czasach niedomiaru*, Podsumowanie i wnioski z obrad III Elbląskiego Forum Kulturoznawczego, dz. cyt.

³ M. Poprzęcka, *Ludzkości portret własny*, Książki, Nr 3/14, październik 2014

⁴ H. James, *Przedmowa*, Portret damy, Biblioteka Virtual Universal, 2008, s. 6

⁵ A. Kowalczykowska, *Element skandalu w autoportrecie romantycznym [w] Teksty Drugie*, 6/2004, s. 212 – 224

⁶ Tamże, s. 212

⁷ M. Janion, *Romantyzm, rewolucja, marksizm*, Colloquia gdańskie, Wyd. Morskie, Gdańsk 1972, s. 390

⁸ Flora Samuel, *Le Corbusier in detail*, Elsevier, Architectural Press, Oxford 2007, s. 127

⁹ *Antropomorphism (w) Flora Samuel, Le Corbusier in detail*, Elsevier, Architectural Press, Oxford 2007, s. 41 – 44

¹⁰ Św. Augustyn, za: Julian Tuwim, „Znów to szuranie, belkotu chór...”, <https://literatura.wywioty.pl/wiersz-klasyka/24323-julian-tuwim-znow-to-szuranie.html>, (dostęp: 29 VII 2018)

¹¹ J. Białostocki, *Sposoby przedstawiania czasu w sztukach wizualnych jako nośniki znaczenia (w) tegoż, Refleksje i syntezę ze świata sztuki*, Cykl drugi, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1987, s. 55 – 61

¹² M. Sęp Szarzyński, *Sonet IV O wojnie naszej, którą wiemy z szatanem, światem i ciałem*, <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/sonet-iv-o-wojnie-naszej-ktora-wiemy-z-szatanem-swiatem-i-cialem.html> (dostęp: 1 VIII 2018)

¹³ G. Bachelard, *Wyobraźnia poetycka*, PIW, Warszawa 1974

¹⁴ J. Sprutta, *Krzyż mistyczny jako Drzewo Życia w sztuce średniowiecza (w) Studia Gnesnensia*, T. XXIX, 2015/5, s. 329 – 338

¹⁵ K. Kinsky, *Ja chcę miłości*, Wyd. DA CAPO, Warszawa 1992, s. 11

¹⁶ A. Baranowa, *Powitanie barokizmu; Wokół związków nowoczesności z tradycją (w) Barok i barokizacja. Materiały sesji Oddziału Krakowskiego Stowarzyszenia Historyków Sztuki*, 3-4 XII 2004, Kraków 2007, s. 357 – 369

¹⁷ A. Baranowa, *Powitanie barokizmu*, dz. cyt.

¹⁸ Wykorzystane w tym fragmencie określenia pochodzą ze wstępu pióra Marii Janion do wydanej nakładem PIW w 1984 roku, fundamentalnej dla badaczy kultury pozycji „Humanistyka: poznanie i terapia”. Autorka poszukiwała w owym szczególnym dla polskiej kultury czasie, w czasie utraty nadziei, po tragicznych doświadczeniach stanu wojennego, odpowiedzi na pytanie o to „jak uprawia się i jak można uprawiać humanistykę w drugiej połowie XX wieku.” Zadając zatem pytania o cele, narzędzia i problemy współczesnej humanistyki – pisała nie tylko o jej (humanistyki) funkcjach poznawczych, ale i o „humanistykę nastawioną na misję terapeutyczną”. (M. Janion, *Humanistyka: poznanie i terapia*, PIW, Warszawa 1984, s. 7)

¹⁹ Galernicy wrażliwości, pod red. M. Janion, S. Rosiek, Wyd. Morskie, Gdańsk 1981

Krzysztof Rudowski

TEATR MÓJ WIDZĘ... O „PASJI” URSZULI BENKI

OMÓWIENIE

Nikogo z wybrańców, którzy mieli okazję poznać genialny prozatorski fresk Urszuli Benki o biblijnej Magdalenie, nie zdziwiła apokryficzna opowieść traktująca o Pasji. Zdumiewać może jedynie temperatura tych mikropoematów tchnących właśnie pasją, jaka konieczna była do ich powstania.

Zbiór rodzi się wyjątkowo długo; blisko trzydzieści lat. Ale wszystkie wielkie dzieła literackie potrzebowały czasu. Nie ma bowiem wątpliwości, iż by tworzyć teksty wielkiego kalibru, konieczny jest właśnie czas; czas do namysłu, czas na wnikliwe studia nad tematem, a przede wszystkim – to wie każdy wtajemniczony, czyli każdy artysta – czas oczekiwania na natchnienie. A „Pasji” Urszuli Benki nie da się inaczej określić, niż *n a t c h n i o n a*.

Dobrze znamy osoby dramatu: Judasz, Herod, Łotr... Ale nigdy nam ich mało, jak nigdy mało nam chleba powszedniego. To bowiem pokarm naszych dusz od chwili narodzin po chwilę śmieci, a im do niej bliżej, tym bliżsi stają się ci, którzy zdają relację z Pasji.

Można się domyślić, że pierwsza Stacja dotyczy Jakuba, syna Zebedeusza, tego samego, który spoczął w Santiago de Compostela. U Benki apostoł tańczył nocą w oliwniku; w tekście wręcz fizycznie czujemy rytm wyimaginowanej melodii. Dlaczego Druga Stacja poświęcona jest Judaszowi? Dlaczego jest tak rozbudowana, układa-

jąc się w pełen napięcie poemat? Możemy zadać wiele pytań, a każde będzie miało umocowanie w wątpliwościach, jakie od dwóch tysięcy lat ma każdy, kto pisze o Judaszu Iskariocie; również autorka.

Tymczasem kolejne Stacje ukazują topografię miasta, które zaczyna przypominać załki Dublina, szczególnie gdy oddajemy głos Tłuszczy przekrzykującej się niczym przekupnie na targu. Mamy dramat, który staje się integralną częścią dzieła, jak dramat, który wtargnął w tekst dwudziestowiecznego „Ulissesa”.

Dlaczego raz jeszcze zburzona zostaje proporcja i Stacja V, poświęcona Herodowi, przemienia się w tętniący namiętnościami epos? Czy zasadą jest oddanie głosu na dłużej postaciom negatywnym? Może po to tylko, by je obronić, a może przemienić, jak na kartach Ewangelii przemienia się wodę w wino? Na myśl przychodzi sienkiewiczowski monolog, osadzony w retoryce Szekspira, w którym spiera się ze sobą u progu wielkiego powstania Hetman Kozacki. W czymże lepszy Jordan od Dniepru, w czymże?

Do głosu dochodzi liryka, czysta poezja płynąca wprost z krzyża, na którym cierpi Łotr. Nie dziwi nas odpuszczenie mu grzechów. Za tak piękne strofy.... Ale ro-

mantyczna wizja Magdaleny (jakże bliskiej autorce, skoro poświęciła jej prawie tysiąc stron powieści) nie ma sobie równiej w tym zestawieniu. Chciałoby się rzec: najczystsza, najpiękniejsza. Trudno więc się dziwić, że za nią przychodzi Dziecko, które rodzi się przecież z miłości; z Miłości.

Trochę rozważ, może tylko rozsądku, jeśli za życia posiadamy gotowy grób. Ale przecież legenda głosi, że Józef z Arymatei był tym, który dźwiżył kielich. Oddajemy tymczasem głos Łazarzowi – ludowemu poecie, a zaraz potem dialog Damy i Sowizdrzała barwy gwiazdnej poezji.

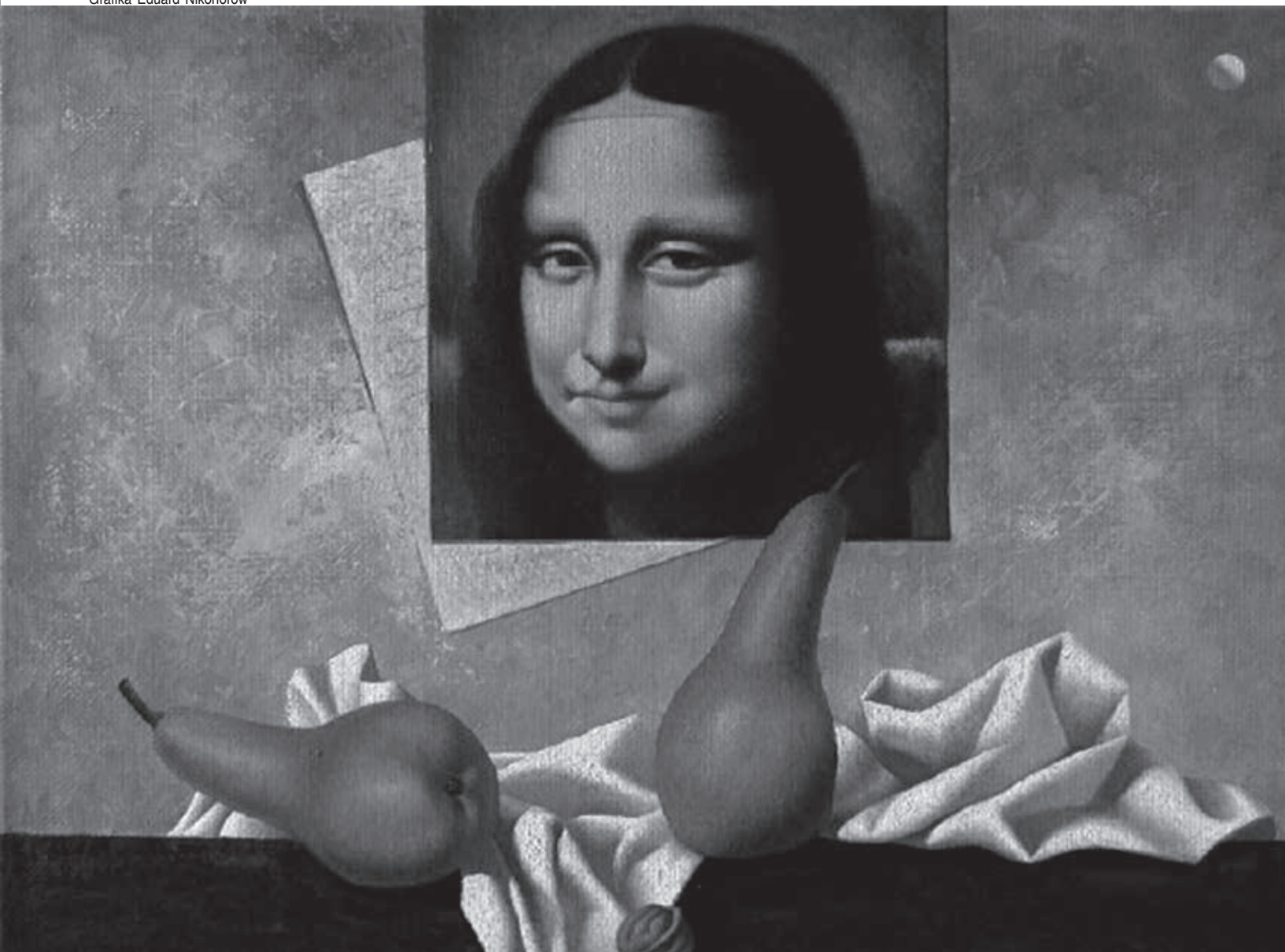
Pointa jest wszystkim. Jest ostatnim rozdaniem, jak „rozbójnik” w karcianej grze kierki. Dla mnie tchnie powagą borgesowskiego „Innego poematu o darach” (w kongenialnym przekładzie Stachury), w którym autor dziękuje boskiemu labiryntowi skutków oraz przyczyn za świat, drobniaczkowo wyliczając jego składowe, wśród których nie zabrakło podziękowania za ostatni dzień Sokratesa, za Swdenborga i za apteczną woń eukaliptusów.

Dotączę do tego pięknego poematu tylko jeden wers:

za „Pasję” Urszuli Benki

KRZYSZTOF RUDOWSKI

Grafika Eduard Nikonorow



Aleksandra Naróg

PRZEPISYWANIE MITU

Joanna Sendłak, Labirynt, Fundacja Światło Literatury, Gdańsk 2019

Najnowszy zbiór opowiadań Joanny Sendłak, *Labirynt*, prezentuje narracje zarazem zbliżone, jak i znacząco odmienne od znanych czytelnikom z poprzedniego tomu, *Atotsi*. Podobnie jak w *Atotsi*, autorka nadal poszukuje odpowiedzi na pytanie o istotę nowoczesnej rzeczywistości, przełamując ustalone granice czasu i przestrzeni. Opisuje postacie postawione w sytuacjach przełomu, na nowo go odkrywające to, co jedynie pozornie znane i wędrujące pomiędzy przeszłością, teraźniejszością a przyszłością. Tym razem jednak, tworzywem dla literackiej wyobraźni pisarki staje się tu wielorako reinterpretowany mit.

Mit jest w klasycznym ujęciu antropologicznym jedną z kluczowych figur doświadczenia oraz literackiej wyobraźni. Staje się podstawowym elementem narracji – jak uważał Northrop Frye, odgrywa rolę wyjaśniającą różnorodność elementów życia; toczy się poza czasem, stając się zarazem ramą dla kolejnych, wciąż przepisywanych, opowieści. Sendłak, tocząc literacką grę z gatunkiem mitu, tworzy z niego osnowę do własnych poszukiwań artystycznych. Wykorzystuje go do kształtowania wieloperspektywicznej ponownej lektury pozornie znanych, archetypowych opowieści.

Zbiór *Labirynt* tworzą cztery opowiadania: poza tekstem tytułowym, to *Strażnik obrazów*, *Fotel zapomnienia* oraz *Malarz Podziemi*. Bohaterami narracji są postacie noszące imiona mitologiczne, a ogniwem spajającym poszczególne teksty staje się wielowarstwowy i wielopokoleniowy mit o Tezeuszu i Ariadnie. Labirynt Minotaura przenosi się jednak w narracji Sendłak do futurystycznego muzeum, a bohaterowie znanej od wieków opowieści wędrują pomiędzy swoimi archetypowymi oraz całkiem współczesnymi rolami – Ariadna

pracuje w muzeum, Tezeusz jest wziętym politykiem, a królowa Amazonek, Antiope, okazuje się trenerką kadry zapasniczek. Postacie żyjące współcześnie mają w sobie jednak nieustanny cień pamięci mitu, który wywołać może dotyk, zasłyszane słowo lub sen. Żyje on w nich niczym archetyp i przeplata się z czasem teraźniejszym, komplikując i uniwersalizując ich losy. Narracja autorki *Labiryntu* oparta jest na wielogłosowej perspektywie, w której opowieści postaci mitycznych współlistnieją z narracją bohaterów współczesnych. Perspektywy czasowe mitu i współczesności momentami zacierają się, by innym razem okazać się niemożliwymi do przekroczenia. Konwencja powieści kryminalnej czy fantastycznonaukowej przeplata się tu z intymną, emocjonalną prozą, pozwalającą czytelnikowi na próbę empatycznego wniknięcia w psychologię cierpiących czy przeżywających uniesienia postaci.

Jednym z kluczowych tematów prozy Sendłak – podobnie, jak w zbiorze *Atotsi* – okazuje się doświadczenie kobiece. Mity są dla autorki *Labiryntu* przede wszystkim źródłem możliwości opowiedzenia męskiej, utrwalonej wizji historii z perspektywy kobiecej. Szczególnie porusza w tym kontekście opowiadana w *Fotelu zapomnienia* historia żony Tezeusza, Antiope. W świecie mitologicznym jest ona królową Amazonek, w świecie współczesnym natomiast – zapasniczką, boleśnie odrzuconą przez zaślepiętego wizją sukcesu męża. Mężczyźni w świecie opowiadań autorki *Atotsi* często są figurami słabymi i zagubionymi, ustępującymi duchowo i intelektualnie silnym, skomplikowanym bohaterkom kobiecym. Ariadna, Persefona, Antiope czy Fedra to w *Labiryntie* archetypy różnorodności kobiecych doświadczeń, cieleśnie

odczuwające bieg wydarzeń. Mit staje się z tej perspektywy oddaniem głosu dotychczas niemy, odsuniętym na drugi plan postaciom, które mogą okazać się duchowymi przewodniczkami również w świecie współczesnym. Podobny zabieg stosowała już Margaret Atwood w *Penelopiadzie* czy Olga Tokarczuk w *Annie In w grobowcach świata*. Czego może brakować narracjom Sendłak w odniesieniu do tych znakomitych literackich wzorców, to większa doza skomplikowania językowego, formalnego oraz wielopoziomowej ironii – często bowiem strategię narracyjną autorki okazują się nieco zbyt przewidywalne i łatwe do rozszyfrowania.

Autorka *Labiryntu* stawia w swoich opowiadaniach pytanie o granice wolności ludzkich poczynań oraz uniwersalizm mitycznego doświadczenia. Teraźniejszość często – jak w opowiadaniu *Strażnik obrazów* – okazuje się jedynie iluzją: „Czas jest dziwnym zjawiskiem, pozostaje nierealny, ponieważ nic, co istnieje, nie może być czasowe, wszystko zależy od naszej świadomości. Ani przeszłość, ani teraźniejszość czy przyszłość nie są częściami czasu, tylko świadomość układa zdarzenia. Ale czy teraźniejszość nie jest iluzją? Przecież jest jednocześnie przeszłością i przyszłością, kto potrafi ustalić granicę? To zabawne, nasza świadomość zakłada istnienie czegoś wcześniejszego i późniejszego, jeśli o mnie chodzi, doskonale wiem, że wszystko dzieje się równocześnie, ale tylko Ja, Kronos, tego doświadczam, żadna ludzka istota nigdy nie poczuje pełni (...). Nawet ty, jeśli pamiętasz, zobaczysz szeregi zdarzeń, ciągi egzystencji, fragmenty przyszłości, potem znikniesz, odpłyniesz, jak fala. Czas przypomina taflę jeziora, po której rozchodzą się kolistie zagięcia myśli (...).”

ALEKSANDRA NARÓG

Jan Stanisław Smalewski

NIE TYLKO GRECKIE MITY JOANNY SENDŁAK

Urzeczony językiem literackim wyjątkowej propozycji lektury najnowszego zbioru opowiadań Joanny Sendłak „LABIRYNT” zastanawiam się nad spójnością czasu. Czy świadomość bycia sobą jakiegokolwiek postaci może mieć ścisły związek z przeszłością? A jak mają się do tych doznań takie zjawiska – imaginacje jak: mity i baśnie, sny, fikcja budowana w oparciu na magii, czy jakiegokolwiek inne majaki, halucynacje i przywidzenia?

Czy Czytelnik, którego urzeka literatura scene fiction, a jednocześnie nie stroni od klasyki, mógł spodziewać się, że znajdzie się twórca sprawnie poruszający się w tematach łączących te światy? – Rzeczywistości i utudy. Światy: współczesny i osnuty na mitologii antycznej? – Joanna Sendłak jest właśnie takim twórcą. Jest autorką łączącą te światy.

Współczesność bardzo oddaliła się od pradawnych wierzeń i teorii istnienia świata opartych na przekazach ustnych w postaci legend. Nauka odkrywa wciąż nowe zjawiska regulujące życie na Ziemi, przybliża możliwości eksploracji kosmosu, bada związki

pomiędzy życiem na ziemi i możliwościami jego istnienia we wszechświecie.

Nadal jednak nie rozstrzyga, nie wyjaśnia do końca wszystkich nurtujących człowieka pytań i kwestii: skąd przyszliśmy, dlaczego tacy a nie inni jesteśmy, dokąd jako ludzkość zmierzamy?

Wszystkie religie na świecie, których wpływ na sferę duchową życia człowieka jest nadal ogromny, wciąż skutecznie posługują się, opierają na wierzeniach, których naukowe uzasadnienie coraz bardziej odbiega od realiów „prawdziwej” rzeczywistości.

W naszej kulturze, której związki z kulturą antyczną pozostają wciąż silne, zachowało się mnóstwo elementów niezwykle ciekawych, zarówno co do ich autentyczności, jak i mitologii – podań i legend, które swego czasu przełożyły się na cały obszar kultury, a w tym na takie dziedziny jak kultura, sztuka, architektura, literatura (proza, a zwłaszcza poezja), muzyka.

Joanna Sendłak w kolejnym już zbiorze opowiadań, tym razem pt. *LABIRYNT*, oferuje

nam niezwykle ciekawe połączenie treści: akcji toczących się na przemian w świecie współczesnym i osnutych na mitologii.

Ponieważ dla zobrazowania tego tematu, trudno by było posłużyć się jakimś wybrany fragmentem któregoś z opowiadań Autorki, spróbuję pokazać próbkę tego rodzaju rozwiązań literackich w moim własnym ujęciu. Podkreślam – zobaczcie: Ja tylko naśladuję, to Joanna Sendłak tak pisze:

Moje imię Tezeusz. Prapra...babka Ajtra królowna z Trojzeny dała mi początek z prapra...dziadkiem Posejdonem – greckim bogiem mórz, jezior, rzek, żeglarzy i rybaków. Byłem bratem, młodszym Hadesa i starszym Zeusa.

– A ja jestem córką... Ale nie odkrywam wszystkiego od razu. Nie sięgammy tak blisko, spójrzmy głębiej – wstecz, gdzie ty od radzający się ciągle w nowych wcieleniach królewiczów greckich i ziemskich władców wód wszelakich, tudzież żądz złowrogich kapryśnych i srogich kochanków...

– ...Ale i mężów walecznych, herosów – dodaj. – Prężnych, wiotkich niczym oliwna gałąź, ostrych jak święty miecz, którego w sekretnym miejscu pozostawił dla mnie pod głazem przyjazny mi Egeusz.

– Wiem o tym Tezeuszu, ale to się zdarzyło, gdy jeszcze na Ziemi nie było chaosu, gdy bogowie sprawnie i sprawiedliwie kierowali Jej losami. Cóż teraz można o tym czasie powiedzieć? Gdzie doszukiwać się prawd o nas, gdy opuszczeni przez bogów błąkamy się w świecie iluzji i wszechobecnej samotności?

– Już ty nie narzekaj. Jak masz na imię? Nie powiedziałaś mi.

– Mam na imię Ona.

– Ona? Jesteś zatem córką...

– Byłam... córką twojej babki. I twojego stryja Pallas, którego synowie czyhali na tron królewski, snuli zbrodnicze zamiary. I z powodu których musiano cię wychowywać poza murami miasta, w ukryciu przed żądnymi władzy bestiami, jakimi otaczali się twoi krewni. Mam ich przywołać, czy wolałbyś, żebym na ten temat milczała?

Tezeusz zawahał się. – Ona, to znaczy prapra...córka jego...? Nie, to niemożliwe, żeby ta wykształcona, rezolutna, powabna i gibka w słowie kobieta ubrana w dzinsy, sprawnie postępująca się laptopem, rozmawiająca z bogami za pomocą komórki i zapisująca swe myśli w niedostępnej kiedyś dla niego chmurze wyobraźni, mogła być krewną.

– Widzisz Tezeuszu. Gdy ty dorastałeś, ja biegałam boso po cypryjskich plażach, kryłam się w gąszczach oliwek przed pożądliwym wzrokiem twojego ojca Posejdona. To ja widziałam jak dojrzewając, dobywałeś spod skały miecza Egeusza. I znajdujesz tam zaczarowane sandały. Prawda, że do tej pory nosisz je na swych stopach, że to one przywiodły cię tutaj do Gdańska? Wprawdzie w niczym nie przypominaś Neptuna, którego pomnik stoi na Starym Mieście, ale...

– Dość! Zamilcz wścibska kobieto. Czyjakolwiek córką byś nie była, powinnaś wiedzieć, że Neptun podobnie jak ja, zawsze nosił przy sobie książęcy trójząb władcy mórz, że po nim rozpoznawany był wśród wszystkich greckich herosów...

– Przecież to wiem... A miecz, Tezeuszu? Gdzie twój miecz z rękojeścią wysadzaną drogocennymi perłami wyjętymi z muszli między najdzińszych głębin i najstraszniejszych morskich otchłani?

– Miecz? – zdziwił się Tezeusz. – Miecz musiałem oddać w depozyt, przybываяc na wernisaż otwarcia muzeum, spowodował alarm na elektronicznej bramce obsługiwaną przez strażników. O Zeusie!! Dobrze, że przypomniałaś mi o mieczu. Muszę go natychmiast odebrać.

– A ja, zamiast tłumaczyć się przed tobą, już dawno powinnam być w antykwariacie na Grunwaldzkiej. Tam mój znajomy antykwariusz, właściciel fabryki snów i poniekąd mistrzowsko władający piórem poeta oraz myśliciel czeka na moje opowiadanie o twojej krwawej ciotce i jej zazdrośnym kochanku.

– Niech zgodnę, piszesz o wnuczce Pelopsa?

– Nie zgaduj, piszę zupełnie o kimś innym. O kimś, kto bezpośrednio przyczynił się do spalenia Aleksandryjskiej Biblioteki, a potem pod osłoną ciemności, zanim przystąpił jej zgliszczu, wyniósł kilkadziesiąt bezcennych papirusów, dzięki którym mogę teraz ożywić czasy twoich i moich przodków. Mój znany, szlachetnie i równie wysoko co my

urodzony antykwariusz pokazał mi w swoich zbiorach kilka cennych pamiątek po nich. – Zaraz, zaraz, czyż nie widziałam wśród nich twojego miecza?!

Oczywiście to wystarczyło, by Tezeusz doprowadzony do granic niepokoju, a może i szaleństwa, bo porywczy człowiek był to bardzo; co też zapewne przyszło mu dziedziczyć po swych ateńskich przodkach; uniósł się w swoich sandałach od Egeusza niczym grzbiet wzburzonej fali Bałtyku i zamieniając w miejskiego gołębia, pomknął w stronę muzeum, gdzie pozbawiono go królewskiego miecza. – Na wernisażu otwarcia tego znacznego przybytku miecz nie będzie ci potrzebny, Tezeuszu – chytrze tłumaczył mu strażnik.

– Spotkała się pani z Tezeuszem? I cóż słychać u niego? – Strażnik obrazów i książ, zacny właściciel fabryki snów wcale nie wydawał się być zaskoczony jego obecnością w Gdańsku. Być może ukrywał nawet przed Oną, że spotkali się podczas wernisażu w muzeum. Czyż to nie On odziany w szatę lśniąca blaskiem gwiazd Andromedy zagroził mu w podziemiach wejście do tajemnej komnaty, z której można było jedynie trafić do królestwa Hadesa?...

Chyba nie ma lepszego sposobu, by wprowadzić Czytelnika w świat opowieści spisanych przez Joannę Sendtąk w nowej jej książce pt: *LABIRYNT*. W Jej świat, który podobnie jak cały tygiel współczesnych wyzwań stanowi mieszankę fantazji z rzeczywistością. W prozie Joanny Sendtąk fantazji opartych na mitologii greckiej. – Tę akurat pamiętam z czasów szkolnych, gdy *Mity greckie* Jana Parandowskiego były lekturą szkolną.

Nie wiem do dzisiaj, czy zalecaniej z powodu rozpoczętej przez komunistów walki z katolickim państwem, czy może decydując o ofiarowywaniu nam tę lekturę przyświecał inny cel, ukryty przed partyjnymi cenzorami? Cel podania młodzieży odtrutki na okrucieństwa minionej wojny i jej bogów: Hitlera, Stalina i im podobnych. Być może i jedno, i drugie miało tu jakieś znaczenie.

Autorka *LABIRYNTU* Joanna Sendtąk oparła swój warsztat literacki na linii osobistego wektora w tym wykreście; na duchowości i bajecznych mocach wyobraźni łączącej dwa, a może nawet i więcej światów, bo przecież poza dualizmem wywodzącym się ze zła i dobra, bliśnie są jej także światy: równoległy, powrotny i świat mroków zapomnienia.

Kim jest przywołany na wstępie Tezeusz? To bohater obszernego tytułowego opowiadania *Labirynt*. A także innego: *Fotel zapomnienia*. Bohaterski heros przedzierający się przez gąszcz wierzeń i podań świata antycznego do towarzyszącej nam współczesności osnutej na mitologii.

Ona – to między innymi bohaterka opowiadania „Fotel zapomnienia”. Nie przypadkowo przeze mnie utożsamiona z Autorką, gdyż tak naprawdę może być każdą z kobiet, które zarówno w czasach pradawnych jak i współczesnych oszukiwane są przez życie. Kobiety poszukujących miłości, a w niej – poprzez jakże częstą iluzoryczność doznań, zwłaszcza tych szczęśliwych, miłosnych – porównujących się do boginek, nimf, księżniczek i wszelkiej proveniencji spadkobierczyń piękna.

Ona – jako Autorka tych arcyciekawych, współbrzmiających ze sobą opowieści osnutych na mitologii i umiejscawianych we współczesności, jest włączką sławnej polskiej kompozytorki Grażyny Bacewicz oraz

córką malarki i poetki – Aliny Biernackiej, o której twórczości miałem przyjemność pisać w poprzednim numerze kwartału.

Autorka *Ona* zatem jak nikt inny ma prawo wierzyć, że losy ludzkie – mimo swej kruchości doczesnej – ściśle są splecione z potomkami ze znacznie odleglejszych epok. Sama jest przecież, biologicznie, genetycznie skazana na artystyczne dokonania.

Jest ISTOTĄ wrażliwą na piękno, historię, miłośniczką muzyki, malarstwa i poezji. – Taki też tytuł – pisany w odwrotnym zwierciadle (*ATOTSI*) nosi jej poprzedni zbiór kilkunastu opowiadań wydany w 2019 r. również przez Fundację Światła Literatury w Gdańsku.

Nie tylko zabieg takiego ciekawego ujęcia literackiego prozy Joanny Sendtąk zaciekawia i przyciąga uwagę czytelnika. Przyciągają ją, a w niektórych przypadkach mocno wzmacniają i podkreślają: wartości literackie warsztatu porównywanego nawet (co – uwaga! – zdarzało się jeszcze przed otrzymaniem Nobla) z perfekcyjnym językiem prozy Olgi Tokarczuk. – Zrobił to po poprzedniej Jej publikacji Roman Warszawski, z którym ja również się zgadzam.

To bajecznie fantastyczna literatura. Bajecznie ukoloryzowana fantazją wypetnioną dużą ilością barw i odcieni. Każdy opisany szczegół ma swój kolor. Bogactwo strojów, ich przepych, blaski drogocennych kamieni i pereł wydają się jednak pozostawać naturalne w swej istocie i do cna prawdziwe, przez co mogą stawać się balsamem dla serc utrudnionych współczesnym życiem czytelników.

To – z punktu widzenia literackich wartości – świetna proza, której obrazy nie tylko skrojone są sprawnym piórem Autorki, ale do tego ozdobione poetyckością opisów. Mają w sobie wiele poezji. Szybie pomiedzy obrazowaniem zdarzeń antycznych i rzeczywistości jest misterne, staranne i tak spasowane pomiędzy prawdą a fikcją, że trudno dostrzec granice, łatwo ulega się utudzie, że tak naprawdę wszystko dzieje się na gorąco, tu i teraz, i jest ściśle od siebie zależne.

To proza o zacięciu filozoficznym, głęboko zmysłowym. Niosąca odrębne wartości poznawcze. Roman Warszawski na 4 stronie okładki książki napisał: „...Uczucia czy emocje zawarte w mitach ulegają się w realność. Bohaterowie szukają siebie, swojej tożsamości, wewnętrznej harmonii, sensu istnienia. To próba pokazania ciągłości ludzkiej działalności i myśli na przestrzeni tysięcy lat... Pokazuje jak jest, a jak być mogło. A może nawet powinno”.

Lekturę książki Joanny Sendtąk *LABIRYNT* szczególnie polecałbym także adeptom literatury. Z warsztatu literackiego Autorki można się uczyć, można podglądać jak należy barwić postacie literackie, by były prawdziwe. Jak opisywać ich fizyczność, dzieląc pomiędzy złe i dobre cechy. Jak tworzyć iluzoryczność postaci pojawiających się czasowo na danej sytuacji, chwilę.

Jak tworzyć nastroje, wyzwalając emocje.

W tych nie tylko greckich mitach Joanny Sendtąk, które – co muszę na koniec podkreślić – są mini-utworami prozatorskimi o charakterze powieści, jest wiele odniesień do współczesności. Obserwacja, umiejętność porównywania do naszych codziennych spraw i doznań, wyzwała refleksje, zastanawia, zmusza do podejmowania takich, a nie innych – trafnych decyzji, działań.

JAN STANISŁAW SMALEWSKI

Anna Luberda-Kowal

Urodzisz się, Ryfka. Moja w tym głowa.

Sodówka na Szerokiej pod dwudziestym szóstym
smakowała w tamte rozgrzane godziny,
zanim strach zaschnął w gardle.
Zadeptane zdjęcia z rozdartych walizek.
Kobiety ze wsi, zawsze milczące,
miały historie do odkupienia.
Zgarbiony starzec z workiem na plecach,
przecięty w pół zagięciem fotografii.

Mówił do niej: *Ty się, Ryfka, nie martw.*
To boli. Potem nie będziesz już sama.

Jeszcze podnoszę kolejną macewę.
chodniki Szerokiej kiedyś przestaną krzyżeć.

Zniknąć miasto.
Sumienie między bajki włożyć.

za ścianą cisza

miała pochmurne oczy ciepłe dłonie pachnące cynamonem
zdejmowała nam klucze z szyi wręczając bezprzymiotne oczy
miała ślepą kuchnię i syna gdzieś daleko

z naszą dorosłością zamknął jej się świat
w blokowym spacerniaku podnosząc bezprzymiotne oczy
pokazywała niebu swoje skrzywdzenie
chodziła wzdłuż muru krzyżąc jego imię
w ręce zawsze garnuszek z mlekiem może łzami

nie pamiętam jej głośnego śmiechu
tylko stalowy kolor chmur pod powiekami

* * * (czterdzieści dwie minuty temu)

czterdzieści dwie minuty temu odgryziono mi język.
czas zaczął skapywać bordowymi kroplami.
bezwład. przez niedopatrzenie lub raczej z czystego okrucieństwa
zostawiono mi rozek kartki.
właśnie teraz, gdy słowa pochowały się w ciszę,
mogłabym tym ogryzkiem rozerwać powietrze.

a gdyby zostawić nas w ciemności
pozbawionych mowy?
wytęsknilibyśmy historię piękna czy brzydoty?

niedomknięta

opowiem ci bajkę na sen
tylko jedną
żeby na poduszce zapachniał tatarak...

przyszła jakby zawsze była we mnie
przez niedomkniętą furtkę
nie poruszając niczego

rozplatała język na brzegu
woda rozpuściła jej sól
przyjęła skargi
odwzajemniła szept pluskiem
i nie było już niczego więcej
nad wieczór
i smutek odchodzący

czułem ją powietrze jaśniało iluzją
rozrzedzał się czas
wszystko co nie było moją nocą moim dniem
czyste łaknienie

jeszcze faluje tatarak
skrzyp furtki zwodzącej pomostem

ulica Świetlickiego

przecież mijam pana niedokładnie
nie przystaję z czerwoną torebką
prosząc o próbkę pisma jak w banku
czasem jest pan z suką
czasem ze śledziem
najczęściej z toastem
nad kontenerem z przeszłością
wyssaną z kamienicy

nie czytuję pana
lecz badam pana wpływ
na moje cokolwiek
taka sucha od niechcenia
wymiana potoczności

otwieram kolejny tomik
i z karty tytułów
wybieram porcję bólu
z kacem
ze śledziem
lub bez

Anna Luberda-Kowal

Poetka i tłumaczka języka angielskiego z krakowskiego Kazimierza.

Od 2013 publikuje wiersze na portalach literackich (poema.pl, liternet.pl, poemax.pl, osmepietro.pl) oraz fb (fanpage Alga) jako Alga i Ana Mada. Zwycięzczyni, finalistka i wyróżniona w ogólnopolskich konkursach poetyckich. 2020. Publikowała w e-Tygodnik Literacko-Artystyczny pisa-rze.pl, „Salon Literacki”, Kwartalnik Literacko-Artystyczny sZAFa; Śląska Strefa Gender; Babiniec Literacki, Internetowe Czasopismo Biblioteka SynEkdochy, nowemyśli.pl.

Autorka przekładów poezji na język angielski (Spillwords.com) i z języka angielskiego. Członkini Stowarzyszenia Salon Literacki od 2017 roku.



Gratka Eduard Nikonorow



Globalna winda, lokalna klatka

Można zaproponować bardzo prawdopodobną hipotezę, że powieść „Klatka” Zbigniewa Wilczyńskiego (04.04.1954 - 22.11.2008) zawiera wiele elementów trwającego przez całe wieki zachodniej cywilizacji i opisanego szczegółowo przez Michela Foucault (1926-1984) „dyskursu szafotu” [1], który niespodziewanie odżywa w obliczu spotęgowanej atmosfery kaźni i nieuchronnej egzekucji, a nawet potrójnej egzekucji: głodem, utonięciem i porażeniem prądem elektrycznym, jaką stopniowo i z oporami uświadamiają sobie przypadkowo uwięzieni w urwanej windzie trzej bohaterowie tej powieści, a właściwie trzej, przypominający nas samych, swoiści skazańcy: oportunistą Doner, tępawą Włodarek i wyrachowany Brodacz.

Według Foucaulta dopełnieniem rytuału klasycznej pojętej egzekucji jest także samooskarżenie i ostatnie słowo skazańca, uwiarygadniającego w ten sposób kaźń, której jest poddawany, co stanowi także „przedłużenie mechanizmu, za pomocą którego kaźń ujawniała prawdę **t a j n e j** i pisemnie potwierdzonej procedury ustalania kary” [1, s.65]. Paradoxs polega na tym, że w powieści Wilczyńskiego każdy z tych trzech mimowolnych skazańców, na co dzień zwykłych i przeciętnych ludzi, nie zdaje sobie sprawy dlaczego, kiedy i jaki „uprawniony organ” oraz „wymiar sprawiedliwości” podjął nieodwołalną decyzję o postawieniu ich w tak krańcowej sytuacji, w której „żądano od zbrodniarza, aby osobiście usankcjonował własną karę” [1, s.64]. W omawianej powieści, tym czymś, co wydało na nich taki ostateczny wyrok było ich własne głębokie „przekonanie, iż wszystko znajduje się na odpowiednim miejscu, iż każdy jest tym, kim powinien być” [2], podczas gdy taki „obiektywny punkt widzenia porządku jest idea nie do pomyślenia. Na taki *ład* nie ma miejsca w świecie rzeczywistym” [2, s.88], bo przynajmniej od czasów biblijnego Adama i Ewy wśród ludzi „tam gdzie pojawia się fałsz, rodzi się przyjemność” [2, s.87-88], która powoduje, że podstawą społecznego funkcjonowania staje się „strategia nie-istnienia, strategia gorszego, strategia złudzenia, strategia uwodzenia” [2, s.88].

W powieści Wilczyńskiego zaintonowane w panicznym strachu i urwane nagle przez brutalnego Włodarka słowa pacierza to radykalne zaprzeczenie przeświadczeń, a zarazem głęboko pobożnej, dziecięcej modlitwy napisanej w 1923 roku przez wielkiego Irlandczyka Jamesa Joyce’a (1882-1941), który „na ogół skrupulatnie unikał wypowiedziania się na tematy religijne” [3], a zawartej w pośmiertnej publikacji jego miniatur prozatorskich zredagowanej przez Danisa Rose’a: „Ojcze wasz, któryś jest w glebie, każde wymię twoje, wnijdź w królestwo swoje, bądź rola twoja, jajko w niebie, ptaki na ziemi, chleba naszego przedawnego daj nam dzisiaj i podpuść nam nasze miny, jakoimy podpuszczamy naszym piwowącom, i nie budź nas na kurwischczenie, ale nas baw wodą złego” [4].

Wydana dopiero w 2018 roku powieść „Klatka” Zbigniewa Wilczyńskiego, pomimo upływu prawie 30 lat od momentu powstania jej pierwszej wersji, stanowi wstrząsający opis transgresywnej sytuacji [5] spowodowanej nieoczekiwaną awarią windy, ale i niezbywalnym „ludzkim pragnieniem zastąpie-

nia rutyny przez coś wyjątkowego” [5, s. 112]. Sytuacji, w której dochodzi do spotęgowania narzuconej przez społeczną wspólnotę międzypokoleniowej gry przemocy, inteligencji i przystosowania, aby „poprzez zawieszenie podziału na aktorów i widzów” [5, s.113], doprowadzić do ukazania „tworzącego tę wspólnotę obszaru nieoznaczoności, znikania, negacji i wymazywania” [6], gdy „czekanie staje się obłędem” [7], a wyzwaniem – „nie pojawianie się tam, gdzie ktoś być powinien” [2].

Winda w budynku jest czasami jak „lulus, który w zubożałym, cierpiącym mieście osadził się jak kamień nazębny w schorzących ustach” [8]. Przykładem może być secesyjna winda zainstalowana w funkcjonującym do dzisiaj w centrum Łodzi sześciopiętrowym hotelu „Savoy”, wybudowanym w 1911 roku przez wiedeńskiego spekulanta Salomona Ringera, która dostarcza do dzisiaj niezwykłych wrażeń i może być miejscem cudownej duchowej przemiany dla niejednego „biednego wędrownika” [8, s.46-52], jak w przypadku byłego żołnierza Gabriela Dana bohatera powieści „Hotel Savoy” austriackiego pisarza Józefa (Josepha) Rotha (1894-1939): „wsiadam do windy, ściany jej ozdobione są lustrami; stalowa lina wysiłguje się z rąk starszego mężczyzny, liftboya, skrzynia unosi się, wzbijam się – i mam wrażenie, że jeszcze przez dłuższą chwilę będę tak leciał do góry. Rozkoszuję się jazdą, obliczam, po ilu stopniach byłbym zmuszony wspinać się z trudem, gdybym nie siedział w tej cudownej windzie; zrzucam gorycz, nędzę, tułaczkę, bezdomność, głód, całą przeszłość **ż e b r a k a** – głęboko w dół, skąd mnie, wzbijającego się w górę, nigdy nie osiągną” [9]. Jednak, jak się wkrótce okazało, owa winda faktycznie zabierała udręczonego wojennego rozbitkę Gabriela Dana w absurdalną podróż „między światem dolnym i górnym, do odwróconego świata, gdzie niebo jest na dole a piekło na górze” [10].

Winda jako wehikuł przenoszący w kilka chwil do lepszego świata został wykorzystany przez młodego, ambitnego nowojorskiego architekta Petera Keatinga, gdy na początku swojej kariery, „przeszedł przez drzwi obrotowe, minął olśniewający marmurowy hol i znalazł się w pokrytej złotem i czerwonym lakierem windzie, z której trzydzieści pięter wyżej wyszedł wprost na mahoniowe drzwi” [11] gabinetu swego przyszłego szefa i wspólnika Guya Francoona. Keating to fikcyjna postać wykreowana w wyobraźni amerykańskiej pisarki i twórcy filozofii obiektywizmu Ayn Rand (1905-1982), nomen omen urodzonej w carskiej Rosji córki majątnego petersburskiego aptekarza. Tak było w początkach ubiegłego wieku, ale już w połowie tamtego stulecia, przeżycia orwellowskiego bohatera Winstona Smitha w spotkaniu z uniuruchomioną londyńską windą są tylko źródłem stresu i frustracji: „skierował się w stronę schodów. Sprawdzanie czy winda działa, nie miało żadnego sensu. Nawet w najlepszych okresach rzadko bywała czynna, obecnie zaś, w ramach oszczędności nie włączano prądu przed zmrokiem” [12].

Natomiast przy końcu XX wieku winda, jak w powieści Zbigniewa Wilczyńskiego, może już tylko w niekontrolowany sposób

spadać w dół, stając się miejscem cierpienia, okrucieństwa, przemocy, destrukcji i śmierci. Motyw spadającej windy został tutaj użyty jako pesymistyczna metafora dokonanej przez „uspołecznioną” ludzkość w ubiegłym stuleciu, nie omijając Polski, „postępu w naszym świecie, który oznacza postęp bólu” [12, s.302]. Ten metaforyczny ujęty przez łódzkiego pisarza proces, pomimo narzuconych w ostatnich latach ekonomiczną presją rozmaitych transformacji i bezwzględnie unifikującej globalizacji, trwa nieprzerwanie do dzisiaj, ponieważ „zadeklarowany cel liberałów – spełnić wszelkie materialne warunki wolności – jest w naszych czasach równie oddalony od momentu realizacji, jak wówczas, a kto wie, być może dziś oddalony jest nawet bardziej” [13]. Każda z postaci opisanych w „Klatce” Wilczyńskiego, a szczególnie Powata, J.E.Bankowicz i młodzieżowa paczka wokół Doroty, stara się choćby w niewielkim stopniu, nawet groteskowo i na drodze przestępstwa, sprostać sposobowi życia narzuconego przez rodzącą się w Polsce od lat 70. XX w. kulturę konsumpcjonizmu.

Podjęcie tego tematu stanowi przejaw znakomitej intuicji pisarza, zdającego w ten sposób relację o rozpowszechnionych już dzisiaj po całym świecie „zajęciach i nawykach, którym z czasem zawierzaliśmy, mniemając, że tworzą **niezawodną** recepturę na potwierdzenie naszego **iluzorycznego** statusu” [13, s.209]. Tego rodzaju psychologiczno-socjologiczne ambicje literackie Zbigniewa Wilczyńskiego zostały zauważone już w 1989 roku przez recenzentów jego debiutanckiej powieści „Sen pod wiatr” (MAW, Warszawa 1988). Pojawiają się w tych recenzjach stwierdzenia, które z pewnością można również zastosować do nigdy za życia autora nie wydanej powieści „Klatka”, jak to, iż „autor ma inne ambicje i chodzi mu raczej o pogłębioną powieść psychologiczną, autor penetruje psychologiczne mechanizmy ludzkich reakcji” [14] oraz że „autor jest świetnym obserwatorem i podglądaczem rzeczywistości. Maluje kapitalne obrazy obyczajowe” [15], a także profetyczne sentencje Tadeusza Wacha (1961-2016) z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego [16] w rodzaju: „jeśli jednak przyjmujemy, iż rzeczywiście w naszym kraju nie wszystkie fortuny zawiązać można uczciwej pracy, a więc, że istnieje wiele czynników sprzyjających korupcji, że materialną zamożność uzyskać można za pomocą praktyk seksualnych, że zatrzeć można granicę między życiem porządnym a nieporządnym, to uznać wypada, iż książka trafnie opisuje rzeczywistość” [17].

Przedstawione w powieści „Klatka” liczne przykłady „moralnej obojętności” i przenikająca wszystko aura „ogólnej tolerancji” to w istocie „dwa sposoby uchylecia się od odpowiedzialności” [18], co w obliczu tragicznych i nieodwracalnych skutków będących efektem takich ludzkich postaw sprawia, że autor w pełni afirmuje kateryczne stwierdzenie mówiące o tym, iż „że są „szarzy” ludzie, ale nie mogą istnieć „szare” zasady moralne. Moralność jest czarno biała. Jeśli ludzie usiłują osiągnąć kompromis między czarnym a białym, to czarne zwykłe wygrywa, a białe przegrywa” [18, s.145].

Być może dlatego właśnie Zbigniew Wil-

czyński, pomimo wielu przeciwności losu, o których jego przyjaciel Marek Koprowski (1947-2009) pisał w 1989 roku: „Nie głąskano go życie po głowie, doświadczając tragicznie, chcąc jakby zbadać, ile może wytrzymać człowiek. Nie rezygnował. Jednocześnie, by z czegoś żyć, pracował: najpierw w fabrycznym magazynie, później u rzemieślnika lepiąc gipsowe świnki skarbonki, jeszcze później wyciszając drzwi” [15, s.39-40], a także prowadził moralnym przymusem, bo „jest niepokorny, zadziorny, nikomu nie czapkuje i nie wślizguje się w taski. Potrafi celnymi argumentami wygrywać polemiki z tzw. autorytetami. Jest precyzyjny” [15, s.39], napisał po latach repliki swoich powieści: „Drugi sen pod wiatr” i „Drugiego człowieka nocy”, które stanowią wyraz jego głębokiego przekonania o tym, że „nie można doprowadzić do zwycięstwa własnych przekonań, pomagając w rozkrzewianiu się przekonań przeciwnych. W każdym kompromisie pomiędzy pożywieniem a truczną zwycięzcą może być jedynie śmierć. Na każdym kompromisie pomiędzy dobrem a złem skorzystać może jedynie złoto” [18, s.126-127].

Wiele wskazuje na to, że autor „Klatki” mógł być od początku lub stopniowo stawat się randystą. Na przykład, już w pierwszych zdaniach jego powieści oraz fundamentalnego dzieła filozofii obiektywizmu pod tytułem „Atlas zbuntowany” [19] spotykamy niemal identyczną postać wótczęgi. U Wilczyńskiego milczący cmentarny wótczęga Zmyślony ma w lipcowym słońcu „twarz jak stare kowadło”, natomiast według Ayn Rand, która twierdziła, że „tworząc sprowadzamy abstrakcję z powrotem do jej konkretnego znaczenia” [19, s. 12], wychylający się z miejskiego mroku rozmowny nowojorski wótczęga ma „twarz ogorzałą od wiatru, pooraną brudnymi znużeniami i rezygnacją” [19, s.16]. Nieco inny typ tego rodzaju postaci można spotkać na ulicach Dublina, gdzie „na krawężniku, przed domem kościelnego Jima Geary, siedział stary wótczęga, mamrocząc, wysypując piasek i kamyki z wielkiego, brunatnozakurzonego, rozdziawionego buta” [20] lub w mroźny grudniowy dzień na ulicach Moskwy, gdzie „widać wielu żebraków. Zagadują przechodniów i występują z długimi tyradami. Jeden zaczyna cicho wyć, ilekroć miją go przechodzień” [8, s.60].

Opisany w powieści „Klatka”, która powstała zaledwie w kilka lat po wstrząsających Peerelem wydarzeniach sierpnia 1980 roku, nieludzki i pełen bestialskiej przemocy sposób w jaki młodzi ludzie traktują wótczęgę o nazwisku Zmyślony jest wyraźnym rewersem przemocy symbolicznej w postaci „legalnej przemocy” oraz „dobrej przemocy”, propagowanej obecnie całodobowo przez wszędobylskie me(r)dia, a przede wszystkim drastycznym przeciwieństwem tego, co było przez długie wieki normą w krajach chrześcijańskiej Europy i urzeczywistniało się poprzez to, że „solidarność całej warstwy ludności z tymi, których nazwalibyśmy dziś drobnymi przestępcami – wótczęgami, fałszywymi żebrakami, naciągaczami, biednymi młodzieżkami, spekulantami i tandeciarzami – objawiała się ustawicznie: świadectwem tego jest opór wobec wobec rejestrów policyjnych, polowanie na szpicli” [1, s.62].

Niewątpliwie tytuł i treść powieści Zbigniewa Wilczyńskiego „Klatka”, jako utworu przesyconego opisami rozmaitych przejawów przemocy, dotyczy także tkwiącej w każdym z nas możliwości „wsydliwego przebudzenia się „zwierzęcia w człowieku”, które to zwierzę raczej należy trzymać w ukryciu i pod kluczem w KLATCE, bo przetrwało nieokiełznane obyczajowe reformy nowoczesności

i wyszło z nich bez uszczerbku” [13, s.30-31]. Dlatego autor „Klatki” podzielał opinię noblisty Jamesa Joyce’a o tym, że „przemoc i pożądanie są tak naprawdę tym, czym oddycha literatura, a celem literatury jest poznanie” [3, s.63,66]. Tak samo Wilczyński zgodziłby się z poglądem sformułowanym współcześnie w odpowiedzi na propagowany przez Ayn Rand kult indywidualizmu, jaki cechuje odrzuty liberalny i pacyfistyczny kapitalizm, że „przemoc nie jest złośliwym konstruktem umysłu, widmem przeszłości. Realna przemoc nie jest też przygodna. Rodzi się ze społecznej niezgody, dysfunkcji, z gniewu” [21].

„Klatka” to także tytuł wydanej w 1961 roku i wznowionej w 1972 roku powieści tragicznie zmarłego Kazimierza Kummera (1934-1962), zwanego bydgoskim Céline, dziennikarza, radiowca i prozaika, uwięzionego i skazanego w 1953 roku na rok obozu pracy przez peerelowskie służby, absolwenta polonistyki na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu [22]. Fabułę tej powieści stanowią pełne nieuniknionego absurdu i grozy perypetie zmobilizowanego we wrześniu 1939 roku młodego polskiego żołnierza w mieście nad Brdą, ukazując problem bezradności człowieka wobec uwięzionej patriotyczną tradycją przemocy i ciągłego odrzadzania się złudzeń na temat wolności w życiu społecznym. Żołnierza, który najpierw dowiaduje się, że „mieliśmy się bronić, a atakować tylko wtedy, kiedy nadarzy się po temu okazja” [22, s.389], potem zostaje sam na sam z niemieckim szpiegiem, którego puszcza wolno, trafia do rodziny swego rówieśnika Jerzego, którego ojciec nie chce uciekać z Bydgoszczy, bo jak twierdzi „całe życie walczyłem aby tu była Polska” [22, s.397]. W ciągu kilku kolejnych dni bohater powieści Kummera bije się w Bydgoszczy z niemieckimi dywersantami, o których mówi „to skurwysyny” [22, s.400], następnie zostaje uwięziony przez niemieckich oprawców, zmieniony w głodomora, aż wreszcie na wiosnę 1940 roku kończy „tkwiąc w klatce jak zwierzę” [22, s.454] i obserwuje jak „chłopi powoli, niezdarnie wyzbywali się grzechów, bo oto Bóg zmarłych wstawał, tak jak zawsze zmarłych wstawał o tej porze” [22, s.454], a następnie „podskakując w klatce, zatykając usta by nie krzyczeć, objął żandarma, który śmignął konie po zadach, a szkapę rwały przed siebie, i tak jechali dalej” [22, s.454]. Ostatnie sceny tej powieści to „konfrontacja historii zmienionej w „przewalający się przez pola tuman kurzu” z perspektywą sakralną i horyzontem metafizycznym, a więc czymś trwałym, co przynosi nadzieję oczyszczenia” [23].

W cztery lata po „Klatce” Kummera została wydana kolejna powieść pod tym tytułem [24], którą napisał Tadeusz Kwiatkowski (1920-2007), znany wówczas szeroko prozaik, satyryk, dramaturg, scenarzysta filmowy (m.in. głośnych filmów Wojciecha Hasa (1925-2000), uchodzący za żywą kronikę starego Krakowa, przyjaciel Karola Wojtyły (1920-2005) i Tadeusza Kantora (1915-1990). Akcja tej powieści toczy się prawdopodobnie w Krakowie podczas jednego wieczoru na zorganizowanym po latach koleżeńskim zjeździe byłych uczniów tej samej klasy maturalnej przedwojennego gimnazjum. Bohaterem „Klatki” Kwiatkowskiego jest sfrustrowany i zagubiony w post-stalinowskiej i gomułkowskiej Polsce artysta, reżyser i były dyrektor teatru w jednej osobie, który nie rozmawia z ojcem od dwóch lat i „wierz, że to co robi, robi jak najlepiej, stwarza nowe wartości, które przejdą do historii” [24, s.9] oraz „że czysty zysk wypłaca następne pokolenia” [24, s.15]. Stopniowo w atmosferze beztroskiego balu i radosnej

popijawy okazuje się w toku rozmów, sprzeczek i kłótni prowadzonych z dawnymi szkolnymi kolegami, że „jest tylko jednym z wielu, że artysta bez odbiorcy nie istnieje, że ludzie chcą żyć, coraz lepiej żyć, szczęśliwi ludzie, jutro, pojutrze, robią to, co wybrali, bawią się, nie mają przeszkód, usunęli sobie przeszkody, nie szarpną się, że gdyby miał drugi zawód, skończyłby z teatrem, odsunąłby się od tego gnoju” [24, s.136]. W trakcie balu coraz bardziej rozgoryczony bohater powieści Kwiatkowskiego stwierdza, że trzeba „skończyć z tym wszystkim, wszędzie mur nie do przebicia, wszędzie obcy, zajęci swoimi sprawami, przetwarzające matych emocji, matkę przyczepione do dna rzeczywistości, koledzy, jacy koledzy, czy można w ogóle przyjaźnić się z drugim człowiekiem, czy można obdzielić jedną kromką dwóch ludzi” [24, s.168]. W końcu w odpowiedzi na natrętne pytania jednego z dawnych kolegów oświadcza: „zepchnięto mnie na bocznice, mam tylko asystować, wszelki bezuch jest dla mnie klęską, ci którzy przestawili zwrotnice są moimi wrogami” [24, s. 177], co przypomina refleksje żołnierza z omawianej wcześniej „Klatki” Kummera. W końcu po wypiciu niezliczonych ilości wódki bohater „Klatki” Kwiatkowskiego deklaruje, że „chce pokazywać na scenie nie to, jak powinno być, lecz jak jest, fotografię moralności współczesnej” [24, s.191], a gdy o świecie po całonocnym balu jego uczestnicy rozchodzą się do domów i zaczęto się pożegnać „ściskanie, całowanie, zapewnienia przyjaźni i wierności” [24, s.210], przychodzi mu na myśl, że „pogodzi się z ojcem, posiedzi na prowincji, odpocznie” [24, s.212], a gdy wreszcie wkłada klucz do zamka swego mieszkania, widzi „ściany szare, wąską smugę słońca, półki z książkami, dwadzieścia kilka metrów kwadratowych, ani ładny ten pokój ani brzydki, jak wczoraj, przedwczoraj i wiele tygodni temu, samotność materialna, prawie dotykalna” [24, s.213] i znajduje pod drzwiami telegram z depezą, że „ojciec zmarł w południe” [24, s.214].

Gdyby nie upadło wydawnictwo MAW (Młodzieżowa Agencja Wydawnicza) to powieść „Klatka” Zbigniewa Wilczyńskiego ukazałaby się prawdopodobnie w roku 1990 lub 1991, przekazując nam obraz rozpadającej się w tym czasie kiszczakowo-jaruzelskiej Polski.

Tymczasem w roku 2012 ukazuje się powieść „Klatka” napisana przez Sarę Antczak (ur. 1992) ówczesną studentkę polonistyki, dziennikarstwa i komunikacji społecznej na Uniwersytecie Wrocławskim [25], w której na zasadzie „fotografii rzeczywistości” opisane zostały niezwykle bezkompromisowo i realistycznie szczegóły codziennego życia, jakie stało się udziałem wyposażonego w komórki, paszporty, stypendia i zakupy z Lidla unijnoeuropejskiego pokolenia milenialsów [26]. Życia pełnego pijatyk, testowania dopalaczy, ćpania, oblewania, balang i praktykowania rozmaitych odmiann seksu. Przy czym nie dotyczy to życia jakiegoś społecznego marginesu ale opisanych w tej powieści współczesnych polskich studentów dziennikarstwa i medycyny we Wrocławiu, Poznaniu i Krakowie. Można nawet odnieść wrażenie, że powieść Sary Antczak to dalszy ciąg wydarzeń sprzed ponad 30 lat z udziałem wydatnej Patrycji, Agnieszki, Moniki, Rafała, Roberta i Doroty opisanych na stronach „Klatki” Zbigniewa Wilczyńskiego.

W obu tych powieściach Dorota to imię najbardziej agresywnej dziewczyny, która w ostatniej scenie powieści Antczak, po tym jak „wysprzątała cały dom, ugotowała obiad, a potem przebrała się i zrobiła makijaż” [26, s.223] usiłuje w akcie całkowite

nożem swego zatrudnionego w korporacji i wracającego z podróży służbowej męża, gwałtciela jej siostry Edyty Kosińskiej (urodzonej w 1992 roku jak skrupulatnie podaje autorka powieści), zwanej Endi, która jako studentka zapisała się na śmierć w akademiku, podczas gdy jej były chłopak Dominik Zaruszewski, kiedy się o jej śmierci dowiedział, wpadł w rozpacz, depresję i obłąd oraz „próbował poderżnąć sobie gardło przy goleniu” [26, s.221]. Zanim do tego doszło Dominik prowadzi dyskusje na temat tego, co dla ludzkości zrobili humaniści, których dorobek według niego kumpli z akademika, gdzie „cuchnie jak w jakimś menelskiej norze” [26, s.55], stanowią „sejki durnych teorii, analizowanie książek pijanych pisarzy i obrazów naćpanych artystów, tak jakby komukolwiek było to do czegoś potrzebne” [26, s.54]. Dominik zdradza Endi, studentkę kulturoznawstwa, z ambitną Blanką, studentką medycyny i córką ojca pijaka, która według niego kumpli „nikomu nie pożyczą notatek, drze się jak rozmawiamy na wykładach i jest taką suką, że mogłaby pracować w dziedzinie” [26, s.56]. Dominik stara się zbliżyć do Blanki, przychodzi do jej pokoju, a wtedy słyszy od niej przemilgą zachętę: „przestań próbować mi kurwa pomóc! Idź sobie!” [26, s.57], a gdy Dominik postać chwilę w drzwiach i czując się ponizony wreszcie poszedł, stwierdza „chciałam wyc tak jak w dzieciństwie, chciałam, żeby ktoś mnie przytulił, nie można sobie pozwolić na **u p a d e k**, kiedy wiesz, że nikt cię nie podniesie” [26, s.74]. W dalszym ciągu powieści Antczak dowiemy się, że Dominik i Blanka będą razem, dostaną eurostypendium do Londynu i zaczną planować w typowym dla wielu pokoleń młodych Polaków stylu: „żeby zostawić w tyle getto zwane Polską i rozpocząć Prawdziwe Życie. Tu nic nas nie czeka! Nie będę wstawać rano i jechać tramwajem do publicznego szpitala, siedzieć tam dziesięć godzin i wracać na jakieś brudne osiedle pełne pijaków i kiboli! Nie chcę takiego życia! Zasluguje na coś więcej niż Polska! Oboje zasługujemy!” [26, s.176-177], a potem zaczną razem marzyć „jak będzie wyglądała ich przyszłość. Wyprowadzą się do Anglii i wezmą ślub. Będą bogaci i szanowani” [26, s. 182].

Omówione cztery powieści o tym samym tytule „Klatka” kończą się wspólnym dla nich motywem gwałtownej śmierci i nieodwracalnej zagłady (wojna, choroba, samobójstwo, morderstwo) oraz nawiązują do autentycznych wydarzeń, które miały miejsce kolejno w Polsce sanacyjnej (Kummer), stalinowsko-gomułkowskiej (Kwiatkowski), gierkowsko-jaruzelskiej (Wilczyński) i unijno-europejskiej (Antczak). Cztery dopełniające się wzajemnie powieści, które powstały w czterech krótko różnych okresach geopolityczno-społecznych i w czterech odległych, także kulturowo, miastach: Bydgoszcz, Krakowie, Łodzi i Wrocławiu. Powieści, które można podsumować jako inspirowany nazbyt okcydentalnym myśleniem natrętny opis permanentnego „doświadczenia peryferyjności” [27], jako katastroficzne zderzenie z sytuacją epizootyczną kraju przynębiającą opowieść o tym, że w trakcie kolejnych dziesiątek lat od uzyskania porzecznej niepodległości ofiarne i z mozołem posuwamy się po „własnej drodze” [28], a co wydaje się raczej przechodzeniem z jakiejś jednej do innej idiomatycznej klatki, potwierdzającym jedynie „realność procesu doganiania” [29] oraz trafność paradoksu Czerwonej Królowej [30]. Cóż z tego, że zmieniają się rozmiary kolejnej klatki, a pręty błyskają złotem dla nielicznych, gdy ukazani w tych czterech powieściach rozgoryczeni ludzie żyjący

w aksjologicznym zamęcie z uporem twierdzą, że „człowiek rozsądny nie osiąga nic” [3, s. 67], że „każdy ma gotowe wytłumaczenie **na złamanie** swoich zasad. Prawda jest taka, że łamiesz się, jeśli jesteś do tego przygotowany” [31].

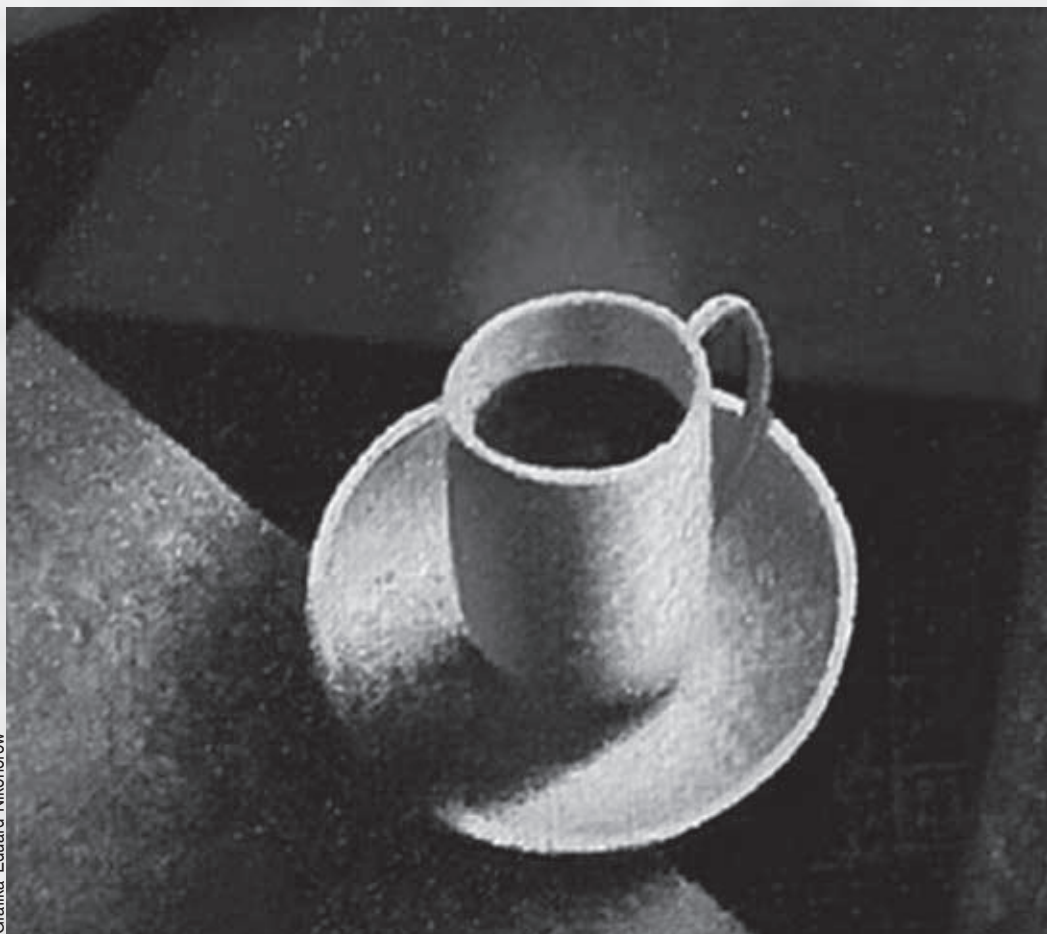
GRZEGORZ BAZYŁAK

- [1] M. Foucault, Nadzorować i karać. Narodziny więzienia, przeł. Tadeusz Komendant, Wyd. Aletheia, Warszawa 2009, s. 64.
 [2] J. Baudrillard, Zbrodnia doskonała, przeł. Sławomir Królak, Wyd. Sic!, Warszawa 2008, s. 87.
 [3] A. Power, Rozmowy z Jamesem Joyce'em, przeł. Janusz Ruszkowski, Paweł Laskowicz, Wyd. Czyły Barbarzyńca, Warszawa 2010, s. 55.
 [4] J. Joyce, Finn's Hotel, Edited by Danis Rose, lthy Press, Dublin 2013; J. Joyce, Hotel Finna, przeł. Jerzy Jamniewicz, Wyd. WAB-Grupa Wydawnicza Foksal, Warszawa 2015, s. 16.
 [5] J. Baudrillard, Pakt jasności. O inteligencji zła, przeł. Sławomir Królak, Wyd. Sic!, Warszawa 2005, s. 112.
 [6] J. Jopek, Wolalabym nie, Seria Interpretacje, t. 73, wstęp Małgorzata Sugiera, Księgarnia Akademicka, Kraków 2015, s.164-165.
 [7] J. Jopek, Tylko fragment. Dramaturgia Mieczysława Piotrowskiego, Seria Interpretacje, t. 61, red. nauk. Małgorzata Sugiera, Księgarnia Akademicka, Kraków 2012, s. 112; R. Barthes, Fragmenty dyskursu miłosnego, przeł. Marek Bieńczyk, wstęp Michał Paweł Markowski, Wyd. KR, Warszawa 1999, s. 85.
 [8] W. Benjamin, Dziennik moskiewski, przeł. Bogdan Baran, przedmowa Gershom Scholem, Wyd. Aletheia, Warszawa 2012, s. 38.
 [9] J. Roth, Hotel Savoy, przeł. Izidor Berman, Wist, Łódź 2012, ss.162
 [10] J. Skowroński, Przedmowa, w: J. Roth, Hotel Savoy, przeł. Izidor Berman, Wist, Łódź 2012, s. xiv.
 [11] A. Rand, Źródło, przeł. Iwona Michałowska-Gabrych, Wyd. Zysk i S-ka, Poznań 2015, s. 43.
 [12] G. Orwell, Rok 1984, przeł. Tomasz Mirkowicz, Wydawnictwo Literackie Muza, Warszawa 2017 s. 7.
 [13] Z. Bauman, Retrotopia. Jak rządzi nami przeszłość, przeł. Karolina Lebek, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2018, s. 186-187.

[14] MoK, Literatura piękna. Zbigniew Wilczyński, Sen pod wiatr, „Świat Książki-Dwutygodnik”, Warszawa, 1989, 2(11), s. 9.

- [15] M. Koprowski, Debiut pod wiatr, „Kalejdoskop-Informator kulturalny”, Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miejskiego w Łodzi, 1989, 12(10), s. 39-40.
 [16] B. Śliwerski, Niespodziewana śmierć pedagoga resocjalizacji dr hab. Tadeusza Wacha, adiunkta KUL, 30 grudnia 2016, <http://sliwerski-pedagog.blogspot.com/2016/12/niespodziewana-smierc-pedagoga.html>; dostęp: 30.08.2018.
 [17] T. Wach, Opowieść o zmasakrowanym włamywaczu, „Nowe Książki”, Warszawa, 1989, 50(5), s. 12-13.
 [18] A. Rand, Cnota egoizmu. Nowa koncepcja egoizmu, przeł. Jerzy Łoziński, Wyd. Zysk i S-ka, Poznań 2015, s. 130-131.
 [19] A. Rand, Atlas zbuntowany, przeł. Iwona Michałowska-Gabrych, Wyd. Zysk i S-ka, Poznań 2015, ss.1178.
 [20] J. Joyce, Ulysses, przeł. Maciej Słomczyński, Wyd. Znak, Kraków 2013, s. 122.
 [21] R. Szczepankiewicz, Wstęp, w: Powrót przemocy, A. Stańczak, A. Gajowiak, B. Stokłosa, B. Zająć, M. Kostrzewa, B. Panek, B. Żarnow (red. nauk.), UMCS-FHU Pandora, Lublin 2015, s. 8.
 [22] K. Kummer, Opowiadania i słuchowiska. Klatka, Wyd. Episteme, Lublin 2015, ss. 509.
 [23] T. Burek, Wstęp. Zagadkowy talent, w: K. Kummer, Opowiadania i słuchowiska. Klatka, Wyd. Episteme, Lublin 2015, s. 6.
 [24] T. Kwiatkowski, Klatka, Wyd. Literackie, Kraków 1965, ss. 214.
 [25] <https://saraantczak.wordpress.com/autorka/>; dostęp: 5.09.2019.
 [26] S. Antczak, Klatka, Wyd. Jirafa Roja, Warszawa 2012, ss. 227.
 [27] K. Pobłocki, Kapitalizm. Historia krótkiego trwania, Fundacja Bęc Zmiana, Warszawa 2017, s. 21, 317.
 [28] M. Piechowiak, Dobro wspólne jako fundament polskiego porządku konstytucyjnego, Biuro Trybunału Konstytucyjnego, Warszawa 2012, ss. 495.
 [29] W. Orłowski, Czy Polska dogoni Niemcy?, Wyd. Naukowe PWN, Warszawa 2015, s. 34.
 [30] Musisz biec ile sił, aby pozostać w tym samym miejscu, w: L. Carroll, Alicja w krainie czarów, przeł. Antoni Marianowicz, Nasza Księgarnia 1977, ss. 116.
 [31] M. Puzo, Głupcy umierają, przeł. Jarosław Rybski, Wyd. Albatros, Warszawa 2016, s. 109.

Zbigniew Wilczyński, KLATKA, Wyd. OŁOSL, Łódź 2018, ss. 278, ISBN-978-83-951344-0-1



Grafika Eduard Nikonorow

Ironia poezji Małgorzaty Kulisiewicz

Ciekawe bywają drogi książek od autora do pióra recenzenta.

Jedenasty listopada, telefonuje Jasio Szczurek, jest w Krakowie w Hotelu Europejskim na promocji najnowszego tomu Konfraterni: *Pod rękę z wierszem przez obszar pamięci*. Siedzą w kawiarni grupą poetów, delektując się przednią kawą, wyborem winem. Chciałby mi przedstawić ciekawą osobę, panią Małgorzatę Kulisiewicz. I przekazuje telefon: – Panie Jurku, jestem uręczona wstępem do książki Jana. Może skreśliłby pan kilka słów o moich *Ciasteczkach z ironią*, wydanych w ramach biblioteki „Poezji Dzisiaj”.

– Chętnie, bo znany jest mi *Kot Wittgensteina* i inne wiersze oraz pojedyncze liryki rozsiadane po czasopiśmie i antologiach.

Wieczorem SMS-em przesyłam adres domowy na podany numer. Po kilku dniach listonosz wręcza opaską białą kopertę ze starannie wykaligrafowanym moim imieniem i nazwiskiem, ulicą. Takie listy przyciągają do siebie, są oznaką szacunku. Jest kilka słów napisanych odręcznie, ciepłych i rzeczowych. Nie widać tu zbędnego pośpiechu i gonitwy w poszukiwaniu straconego czasu na bezustanne sprawdzanie facebooka. To świadczy o klasie poetki, absolwentki filmoznawstwa i polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego, autorki esejów, recenzji filmowych i literackich, publikacji historycznych, realizatorki reportaży telewizyjnych. Spod jej pióra wyszły tomy poezji: *Inni Bogowie*, znany mi *Kot Wittgensteina...*, trzymane w rękach *Ciasteczka z ironią*, opowiadania drukowane w prasie i na portalach. Poetka Krakowa to już wiele znaczy, jak wielokrotnie podkreśla Józef Baran. Choć początkowo walczył z tym zaszufladkowaniem.

Zacznę od wiersza „Nikt 2018”. Pan Nikt to praktycznie każdy z nas. Autorka ustawiła datę, chyba tylko dlatego, że w tym roku zwróciła uwagę na bezdomność, może to podkreślenie uniwersalności problemu? A ona przecież przeżywała swoje apogeum po przełomie ustrojowym w naszym kraju. I dotyczyła nie tylko szarego obywatela (robotnik, rolnik, biznesmen, jak wtedy określano handlujących na tózkach – sprzedających szwarc, mydło i powidło), ale także wykładowców uczelni, księży, pracowników biur, zarządców hoteli robotniczych, kierowników stołówek przyzakładowych. Wytworzyła się wtedy grupa społeczna z torbami plastikowymi w ręku. Prawdziwego bezdomnego poznawało się po talerzu i tyżce w bagażu. Wielu jednak z tych ludzi poczuło prawdziwą wolność psychiczną i uważali takie życie za dar Boży, stając się Odsyami od dworca do dworca, poprzez klatki schodowe, studzienki ciepłownicze, kanały. Do miejsca wiecznego spoczynku. Wybawieniem był denaturat (whisky na kościach), atak niespodziewanego mrozu.

...myje się w pożyczonej wodzie,
oddycha pożyczonym powietrzem,
na ziemi niczyjej.

Kraków powitał go

drobną mżawką

i zapaleniem okostnej.

Kiedy miasto stanie się jego,

zębów już nie będzie.

(„NIKT 2018”, w: „CIASTECZKA Z IRONIĄ”, STR. 3)

Pan Nikt staje się nowym społeczeństwem korporacyjnym. Małym trybikiem wielkiej maszyny. Jest anonimowy. To dobrze, w każdej chwili można go wymienić na lepszy model. Przebojowość staje się dekalogiem. Tylko niewielu starszych ludzi pamięta, że dzisiejsza przebojowość jeszcze niedawno oznaczała chamstwo. Tak wiele wypaczeń w dzisiejszym świecie się zdewałowowało. I to postępuje nadal.

... korporacyjne korytarze,
uśmiech dolepiany taśmowo.

Niedługo wszczepią nam czipy.

Kierowani z komputera głównego,

krzyknijmy bezgłośnie szepem:

nie-wolność,

nierówność

nie-braterstwo.

(„NIKT 2018”, w: OP. CIT. STR. 5)

Dobitnie to wytapuje językiem współczesnym Małgorzata Kulisiewicz. Nie bawi się w odniesienia do mitologii i świata pogańskiego Słowian, z którego wynieśliśmy patrzanie na wszystkie strony świata, drepząc w miejscu. Ja jednak podskórnie wyczuwam kulturę dawnych przodków poprzez amulety (magia bierna), mające nas chronić przed nieszczęściami, czarami, urokiem. Nawlekamy na rzemyki kły zwierząt, okrągłe kamyki z otworami, strzałki piorunowe, muszle. Kreatorzy mody wmawiają nam, że to dodatek stroju dodający gracji, wdzięku, kobiecości, męskości człowieka światowego. Ale przecież człowiek, niezależnie od miejsca zamieszkania, jest taki sam. Wszędzie trapią go problemy, choroby, stany ducha, niepewność jutra. Pan Nikt to współczesny Alosza Popowicz (jeden z bohaterów rosyjskich bylin). Ale nad nim czuwa:

Bóg Ojciec

z witraża Wyspiańskiego

u Franciszkanów (...)

naznaczając go

na syna marnotrawnego.

(„NIKT 2018”, w: OP. CIT. STR. 11)

który powraca do Ojca, roztrwoniwszy majątek, żyjąc rozpustnie, zostaje przyjęty z radością, odziany w najlepsze szaty. Ubito tucznego cielca na ucztę. – *Umarł i ożył, zginął, a odnalazł się.*¹ – mówi ojciec urażonemu starszemu synowi. Kulisiewicz tym utworem za św. Łukaszem daje przykład, że błędzić jest rzeczą ludzką. Gdzieś tam czeka na nas rodzicielska, matczyńska, dziecięca bezinteresowna miłość. Bo człowiek nigdy nie jest sam. Nawet jak się zagubił w dołbach i pułapce cielesności współczesnego świata. Czuwa nad nami ten Najważniejszy, Jedyne, który dał rozum i wolną wolę. Ale czy my potrafimy z tego korzystać? Czy nie staliśmy się niewolnikami Ciemnogrodu? I co dziś rzekłby Stanisław Kostka Potocki, widząc dziesiątki kanałów telewizyjnych, telefonię komórkową i messenger, ludzi nie czytających książek? Na te kłujące pytania stara się odpowiadać poetka w *Ciasteczkach z ironią*. Wydawałoby się po tytule, że to liryka dla każdego, a trzeba się gnać do pokładów wiedzy, obserwacji, przeżyć, lektur klasyków. Z biegiem pisania recenzji, wielokrotnego czytania pomieszczonych liry-

ków, odkrywamy wielkość tej poezji. *Trzcina myśląca* stawia mnie do pionu. Nie pomyliłem się:

Piszę, więc jestem.

Ja,

Homo Viator,

pielgrzym

do prywatnego nieba.

Nie przestanę,

choćby mnie nie było.

(„TRZCINA MYŚLĄCA, OP. CIT. STR. 17)

Nasuwa się Ciceron z jego pięknym rytmem i w tej poezji, jak w Odrodzeniu, widzę odrodzenie poezji współczesnej, prowadzącej nas przez meandry zwykłej egzystencji człowieka XXI wieku, gdzie bez internetu świat upada. A jeszcze niedawno najpiękniejsze sonety powstawały przy blasku świec. W salonach księżnej Wołkońskiej słuchali ich setki. Dzisiaj na spotkaniach autorskich publiczność można policzyć na palcach obu rąk, czasem dokładając stopy. Media elektroniczne zabiły ducha żywego słowa. Małgorzata Kulisiewicz próbuje wskrzesić salony. Ale czy Kraków to rozumie?

Ja sięgam do „Jonasza nad brzegiem morza”. I nie boję się przypowieści biblijnej, choć jako człowiek jestem ułomny i mogę wypaść poza orbitę metafory poznania, budującej głos poezji Małgorzaty.

W brzuchu wielkiej

ryby matki

człowiek oddychał głęboko.

Narodzisz się powtórnie

- straszli od dzieciństwa.

A co jeśli matki nie ma,

jest tylko mit,

nie przejdę przez wąski tunel

do nieskończoności?

Nie zdążył się zamartwić

na śmierć.

Narodził się na nowo.

(„JONASZ NAD BRZEGIEM MORZA”, w: OP. CIT.,

STR. 35)

Powtarzam wersy jak modlitwę:

A co jeśli matki nie ma,

jest tylko mit,

nie przejdę przez wąski tunel

do nieskończoności?

(„JONASZ NAD BRZEGIEM MORZA”, w: OP. CIT.,

STR. 35)

Brzmiały one jak zaklęcia kobiet-wróźberek przy ogniu podsycanym jęczmieniem. Bo strach tnie trzewia, gdy odczytuje się przepowiednię:

Niedługo w wierszu nie będzie już słów,

pusta strona,

nicość,

nic.

(„NOWE AWANGARDY”, w: OP. CIT., STR. 60)

JERZY STASIEWICZ

¹ Ewangelia wg Łukasza, 15
Małgorzata Kulisiewicz, *Ciasteczka z ironią*, Wydawnictwo Książkowe IBIS 2019, s. 68

Jerzy Stasiewicz

Obojętność na skargę Jakuba

Wielu ludzi, a wśród nich i ja, potęgą rozumu nie może pojąć, zrozumieć, ośwoić Holokaustu. Wiedzą, że on był. A może i jest nadal? Wielokrotnie rozmawiali z dziesiątkami ofiar „ludźmi cieniami”, którzy w norach, kanałach, piwnicach, szafach, zapłach ze słomą w stodółach, gnojownikach wegetowali oczekując Armagedonu wyzwolenia. Jakież gigantyczny musiał być instynkt przeżycia, że wytrwali miazdzeni strachem znalezienia. Głód nie był męką strasliwą. Z głodu się tylko umierało u siebie, na swoim, razem. Ale to o ocalałych, nielicznych. Bo masowy mord został dokonany na milionach przez niemieckich (hitlerowskich) oprawców. Przy przyzwoleniu świata, który jak Piłat umył ręce.

Zastanawiam się co pchnęło Ewelinę Pilawę do podjęcia tego tematu. Znałem ją przecież z liryków o tematyce miłosnej. Tomy: *Inna miłość* (2013), *obce sukienki* (2015), *Między Zasianiem a wolą* (2017).

Do podjęcia takiego tematu potrzebna jest gruntowna wiedza, ale i ból zgłodzonych klujący mózg skorodowanym drutem. To klucie Ewelina Pilawa czuła od dawna, nosiła w sobie. I kiedy bólu nie mogła znieść jak Jan z Czarnolasu wylała jego gorzyc światu lamentem udręconego Hioba, Jeremiaszowym płaczem.

Mamo nie płacz nade mną

tak

pogonił mnie strach na druty

zapamiętaj mnie w barwnej sukience

pomyśl

żem jak motyl na szpilce

Upodleni, czekający na pewną śmierć. Psychicznie rozstrojeni poza granicę wytrzymałości wyręczają oprawców z przywileju rozporządzania życiem.

Wertując liryki Eweliny z tomu *Skarga Jakuba* odżywa w mojej pamięci wstrząsające dzieło Icchaka Kacenelsona *Pieśń o zamordowanym żydowskim narodzie*, które ocalało z gigantycznego cmentarza kilku milionów zamordowanych. Ten wybitny poeta i dramaturg piszący po hebrajsku i żydowsku. Znaną szeroko przed wojną jako autor wierszy i sztuk teatralnych dla dzieci, z którymi jako nauczyciel przez szereg lat był związany. Jego utwory dla milusińskich nacechowane były miłością, humorem, pogodą optymizmu. Dziś w świadomości świata funkcjonuje jako autor wstrząsają-

cego pisanego w obłądnym pośpiechu poetyckiego opisu wielkiego mordu na przemysłową skalę. Znad krawędzi grobu, który się zbliżał do poety miłowymi krokami. A on to wiedział.

Boję się, że Ewelina Pilawa zapamiętała zostanie przez czytelników jako piewca dramatu zagłady Żydów w czasie II wojny światowej. Ale z drugiej strony marzeniem każdego poety jest aby choć jeden wiersz pozostał na zawsze w pamięci pokoleń. I daj Boże by był on z omawianego tomu.

Trzeba osiągnąć dojrzałość artystyczną by porwać się na tak trudny temat jak Holokaust i ulepić wiersze pełne miąższu kapiące gęstością treści.

Stacja nieznana

tyłu nas a cisza taka

jakby ten transport przywiózł milczenie

do celu

Stacja wroga

nikt nas nie wita z podróży

tylko psy się zerwały

do gardeł

Oszczędność słów, a jaki ładunek emocjonalny budujący nastrój dramatu. Czuję ciarki przechodzące po plecach jakbym był w tym wagonie. Boże ... Tyle lat minęło od tamtych straszliwych wydarzeń, a tych maleńkich odston nie da się czytać bez drżenia warg. To zasługa poetki, jej talentu, wrażliwości, warsztatu wypracowanego przez lata, terminowaniem w wybitnych poetów, czytając opasłe księgi...

Brakło wody

chleba

i węgla na opał

Brakło zapalek

przestrzeni

i lekarstw

Brakło matki

ojca

i okien otwartych

Brakło światła

powietrza

i trumien zabrakło

Ten opis powszedniego dnia w getcie daje nam wyobrażenie – to jest za trudne dla mnie – jakie było to życie. Czym w tym życiu należało się kierować by zachować człowieczeństwo. Czy w ogóle udawało się w takich warunkach zachować człowieczeństwo i doczekać się dnia następnego? I jeszcze następnego? A przecież ludzi za murami przybywało. Trupy nieustannie wywożono, a i tak setki leżały na chodnikach, ulicach, w bramach kamienic. Gdzie jest Bóg pyta Kacenelson: „Niebiosa, czy wy to widzicie. Dlaczego oto na całej ziemi nie ma już dla nas schronienia”¹. Po nim pyta wielu. I to samo pytanie zadaje poetka. Odpowiedzi nie otrzymaliśmy do dzisiaj. Tak jak do dzisiaj świat nie rozumie albo nie chce przyjąć tego faktu do swojej świadomości, że tylko w Polsce za ukrywanie Żydów Niemcy zabijali całe polskie rodziny, a nawet i sąsiadów.

Jest człowiek córeczko

który też się boi

moja wdzięczność – jedyna zapłata

Bądź grzeczna dziecino

mama kiedyś wróci

a do sprawiedliwego mów córeczko

tata

A takich heroicznych czynów było w naszej Ojczyźnie tysiące, czego dowodem medale dla rodaków „Sprawiedliwy wśród narodów świata” i drzewka w ogrodzie Jad Vashem.

Chwalebne jest to, że są poeci jak Eliza Segiet, Ewelina Pilawa, którzy przypominają, że na naszej planecie miał miejsce straszliwy mord dokonany przez człowieka na człowieku. I trzeba o tym pisać i przypominać by historia się nie powtórzyła.

¹ IX. Do niebios *Pieśń o zamordowanym żydowskim narodzie*

Ewelina Pilawa *Skarga Jakuba*, Instytut Wydawniczy „Świadectwo” Bydgoszcz 2019 str.58

JERZY STASIEWICZ

Jerzy Stasiewicz

Wiersze z papierowych serwetek

Dobra poezja ma szczęście być prezentowana w miejscach wyjątkowych. Takiego zaszczytu dostąpiły *Papierowe serwetki*. Najnowszy tom poezji Matgorzaty Anny Bobak – Końcowej, poetki, malarki, ilustratorki książek, animatorki kultury. Autorki zbiorów poetyckich: *Brzydka*, *Żywo! Pliszki*, *Medalik bez łańcuszka*, *Juzine*, *Co pachnie ciszej*. Członka – założyciela Polskiego Stowarzyszenia Haiku, gospodarza Nyskich Salonów Literackich.

Kawiarenka artystyczna „C'est la vie” w Nysie przy Bielawskiej. Założona przez państwa Ewę i Ireneusza Kasprzyków jest od lat

miejszem wernisaży malarskich, wieczorów poetyckich, twórczych nasiadówek. Tutaj sztuka wypełnia wnętrze, ocieka ze ścian jak w bromowskim klasztorze, czuć jej moc w obrazach – Mirka Zakrzewskiego, podpisującego ostatnio prace pseudonimem MirZak gustującego w aktach kobiecych; kształty rubensowskie. Ucznia prof. Edwarda Sytego. – W wystroju wnętrza, płomieniach świec, bukietach serwowanych win, rozmowach przy stolikach, ubiorze gości, zapachu kadzideł. Pęka w szwach od nadmiaru publiczności kiedy jest wydarzenie artystyczne. A takim była niewątpliwie

promocja *Papierowych serwetek*, pod redakcją i ze słowem wstępnym Marty Klubowicz, która także zaszczyliła wieczór zdradzając na chwilę świątynię sztuki – teatr. Gnając ze stolicy do miasta dzieciństwa. I dałbym głowę, że ten mały, garbaty łysy pan w okrągłych okularach i dopasowanym garniturze, siedzący w rogu sali przy bufecie – notujący coś skrupulatnie w ogromnym sztabuchu to Max Herrmann – Neißer. A obok piękna, wysoka kobieta w jedwabnym szalu na odsoniętych ramionach to jego muza Leni Gebek, roześmiana z niezapalonym papierosem w długiej szklanej



Papierowe serwetki

Małgorzata Anna Bobak-Kończowa

fifce. Myślałem, że zmierza do winiarni Jerzy Kozarzewski którego charakterystyczna sylwetka w kapeluszu z laską mignęła mi na mostku Bielawki. W tłoku, o pomyłkę nie trudno, tym bardziej że napój Bachusa zaczyna działać. A w sali ascetycznie jak echo rozbrzmiewa saksofon Pawła Brzeźnickiego przenosząc świat dzisiejszy w lata trzydzieste XX wieku, kiedy kafejki były pełne, a na bilet do nyskiego teatru czekało się miesiąc.

niektórzy ludzie emitują światło
podobne do latarni morskich
nie znam wielu
ale wiem że zostali powołani
do dobrych zadań
i przenoszenia ważnych informacji
adresaci potrzebują czasu
by odebrać sygnały

W wierszu „dopóki ocean” Małgorzata językiem prostym, zrozumiałym dla zwykłego zjadacza chleba, spragnionego słowa – wyobraźni - przepojonego duchem przeszłości, zastłuchanego w opowieści ojców, wujów, dziadków daje nam sygnał, że ci nasi najbliżsi opowiadacze „zostali powołani / do dobrych zadań / i przenoszenia ważnych informacji”. Ale, żeby to odkryć trzeba osiągnąć dojrzałość psychiczną. I sięgnąć granicy, kiedy nie wstydzimy oglądając się za siebie. Z przeszłości czerpać motywację działania. Nie zawsze wyciągając naukę z błędów czasu minionego. Jednak ten rekwizyt poetki „światło” napawa nas nadzieją. Słowa Boga: „Niech się

stanie światłość”. I stała się światłość. Ujrzeć światło dzienne - to nasze narodziny, przyjście na świat. Światło to także świat - miejsce naszego jestestwa. Poetka rozumie, nie krzyczy „więcej światła” jak to uczynił u końca drogi Goethe. Wie, że linia światłą jest bardzo cienka i można skończyć jak Światogor (bohater ruskich bylin) nie mogąc dźwignąć niewinnie wyglądającej sakwy – zawierała ciężar całego wszechświata – grzęźnie po kolana w glebie i umiera. Woli „bąbelkami powietrza” pukać do wnętrza kamieni. Chce „rozumieć świat”. W tym pomagają jej mistrzowie poezji zwłaszcza Herbert, którego przywołuje w wierszu: „noli me tangere”

Herbert napisał że świat
wypełnia nieustanna krzątania poetów
pośród ptaków i kamieni
Poetka dołącza się do tej krzątania -
tknięta iskrą Bożą utrwalania przemysłów dla
pokoleń, ale ludzkim odruchem zwątpienia
w sens pracy pisarski wyznaje:

a ja jestem pomarszczoną serwetką
umieszczono na mnie kilka słów
szkicowano twarze i wiersze
boję się że wytrą mną gęby
i wilgotne oczy
nie wiedzą
że i ja i wiersze nie służymy
jako chusteczka

Od poezji nie ma ucieczki. Ona powraca jak Odys zataczając ogromne koło.

Takim Odysem w mikro skali jest Małgorzata. Opuściła przed laty nyską Itakę – względy egzystencjonalne – cały czas wytrwale pracując nad kunsztem warsztatu poetyckiego. Ta praca nie poszła na marne. Czego dowodem są wymienione tomy i dziesiątki publikacji w czasopismach i almanachach o zasięgu światowym. Co się jej słuszenie należy. Gruntując pozycję w hierarchii polskiej poezji współczesnej. Największy drogowskazem:

to Herbert zwabił ptaki
na moje ramiona
kilka kamieni położył na progu
jak na macewie

nie bierzcie ich w dłonie
noli me tangerebądźcie czas

Czas zmusza do powrotu, goi rany, przecieka przez palce. Lustro odbija korę twarzy. Nie rozpoznajemy miejsc bliskich, związanych z naszym życiem w dzieciństwie. Budynki są inne, drzewa dziwnie rozłożyste, niebo szare. A przecież... takie same. Oczy patrzą z innej perspektywy, kąt jest ostrzejszy. A jednak światło się załamuje doświadczeniem życiowym – kamieniami „jak na macewie”. Widzimy płaskorzeźby i inskrypcje nie rozumiejąc. Może nie chcąc rozumieć jak poezji. Bo trzeba przysiąc, przeczytać w skupieniu. Głęboko się zastanowić nad sensem. Ale po co? Wystarczy włączyć telewizję – wleje nam papkę bzdur, która nie poruszy, nie wstrząśnie i uleci – to dobrze. Poetka z tym walczy, wrażliwa na otaczający świat. Zauważa - nad czym inni przechodzą obojętnie. Znakomitym przykładem spojrzenia - pełnego ducha – jest metafizyczny opis relacji między wybitnym twórcą rzeźby portretowej prof. Marianem Molendą, a jego postaciami uwiecznionymi: w glinie, kamieniu, brązie. Pracownia nad rzeką (Plac Kilińskiego) staje się teatrem pełnym światła, w którym różnice między twórcą, a dziełem zacierają się. Powstaje dialog równorzędnych partnerów.

żywego znacznie trudniej podziwiać
mówiłeś nawet poetę którego słowa
są dźwiękiem mosiądzu
jakby nie pochodziły z wnętrza
lecz z dźwięku ziemi
wszystko to dzieje się wolno
stopień po stopniu
zaokrągla ostre kanty schodów
a słowa wlewają się do uszu
sprawiają że obcy są bliscy
jakby byli cząstki miedzi i cyny w brązie
oprócz rozproszonych rozmów
i wyrwanych materii kształtów
rzeźbisz światłodla ich żywota

Te filozoficzne rozmowy pozwalają wydożyć z rozmówcy: psyche, dorobek życiowy, rysy twarzy, gesty, kształt sylwetki, nawet przywary – oddające prawdę pierwowzoru. Rzeźbiarz dzięki wrodzonemu talentowi (siła sprawcza) nakreśla; cierpienie, ból, troskę, głębię spojrzenia. To wszystko wychwyca Małgorzata w metaforze swojej poezji. I nie będzie chyba przesadą kiedy powiem, że na tej liryce powinni się uczyć młodzi adepci pragnący czci Apolla. Muszą jednak pamiętać - to także bóg śmierci zabijający młodzińców i mężczyzn strącał ze srebrnego łuku, przynoszący zarazy. Niech nikogo nie zwiedzie jego muzyka i głos.

Małgorzata Anna Bobak - Kończowa „Papierowe serwetki”
Wydawnictwo ANAGRAM Warszawa 2019 s.76

JERZY STASIEWICZ

Jerzy Stasiewicz

Karl Grenzler – poeta znaczenia słów

Dotąd przy omawianych przeze mnie książkach zaczynałem od ich treści. Ten tekst rozpocznę inaczej, od przedstawienia autora, a raczej naszego zapoznania. Miało ono miejsce niedawno, na dwudziestych jubileuszowych dniach poezji w Broumovie organizowanych nieprzerwanie rok w rok przez Věru Kopecką. Tutaj zwrócił moją uwagę poeta niewysoki, w okularach, krępej budowy ciała, z szpakowatą fryzurą uczesaną na pazia. W sali reprezentacyjnej benedyktyńskiego klasztoru czytał wiersz szybko, jakby się spieszył na ostatni autobus. Dziwnie w moich uszach zabrzmiało jego nazwisko – Karl Grenzler. Zamieszkały w Wiesbaden, uzupełniła – Věra. W przerwie kawowej uścisnęliśmy sobie dłonie. Piękną literacką polszczyznę na moje imię odpowiedział; Karol – dodając – w książce jest błąd w moim nazwisku, takie przekłamanie nie powinny się zdarzać.

Po części oficjalnej zabratem Karola samochodem do Krynicy, bazy festiwalu. Marzył tylko o kąpieli... Od dwudziestu sześciu godzin był w drodze. Poczułem, że zawiązała się między nami intelektualna więź. Po wieczornych warsztatach prowadzonych skrupulatnie przez gospoдинię festiwalu, zasiedliśmy w męskim pokoju – nazywanym pospolicie kotłoch – do filozoficznych rozmów. Dołączyli do nas: Leszek Brągiel z Ogrodu Górskiego Wiatru, który większą część świata przeszedł piechotą, bez grosza przy duszy. Darek Pawlicki znakomity eseista i poeci słowaccy Mirosław Kapusta i Vlado Petrowicz częstując ich lokalnym przysmakiem – śliwowicą o diabelskiej mocy. Nasza sześćdziesięcio procentowa gruszkówka miała smak wody mineralnej i stosowaliśmy ją jako popitkę.

Karol Grenzler oprócz wytrawnego smaku okazał się znakomitym gawędziarzem i znawcą kultury islamskiej. Od czasów starożytnych po podbój Hiszpanii przez Arabów. Miał okazję zwiedzić wiele krajów znaczących meczetami i nawoływaniem muzeina. Omal nie został ukamienowany w Teheranie. Więc wiedział co mówi... Dzisiaj w zalewie Europy widzi strach wśród rdzennej ludności, zamachy na porządku dziennym. W przyszłości trudnej do przewidzenia, zamknięte enklawy i zagrożenie dla państw narodowych. Dawał przykłady bydlęcych zachowań uchodźców w rodzimych Niemczech i paletę praw ich chroniących. Polska na uboczu tych zjawisk ma chwilowy spokój, bezpieczeństwo i czas na przygotowanie jak z tym problemem w przyszłości sobie radzić. Grenzler podjął decyzję po dziesiętkach lat spędzonych za łabą, wraca do drugiej Ojczyzny i osiada w Borach Tucholskich gdzie żyje jeszcze stara matka, w mleku której wyszał stowiańską wolność i umiłowanie duchów przeszłości. On etniczny Niemiec urodzony w Łebie w 1954 roku. Absolwent Bibliotekarstwa i Informatyki Uniwersytetu Jagiellońskiego, później zarządzający Biblioteką Instytutu Geografii tejże uczelni. Następnie pracownik kilku instytucji kulturowych za zachodnią granicą w Soest i Hamm.

Zasiadając nad podarowanym tomem: *Strażnicy tajemnic* ze szczerą aż do bólu dedykacją. Uchwyciłem się nici wiążącej tego kulturowego Polaka łączącego tradycję europejską najbliższą Polsce, nadbałtycką sięgającą Skandynawii poprzez kraje za wschodnią granicą i Rosję, z tradycją

niemiecką i anglosaską. Dziwić się nie ma czemu bo rodowód i lata spędzone po obu stronach Odry odcisnęły piętno międzykulturowe. To zaowocowało tomem liryków o powinnościach poetów wobec słowa jako tworzywa i historycznym jego uwarunkowaniu.

dotarli

do zakola rzeki

w kamiennym kręgu

zatrzymali się

przed monolitem ołtarza

ręce złożyły się same

do modlitwy

ucichły odgłosy

wygasły światła

kamień załamał czas

jak kryształ światła

dotknęli zimnej powierzchni

centrum świata światów

i milcząc

szukali

słowa

„I milcząc szukali słowa”. Nie będzie tu w moim porównaniu przesady, kiedy powiem, że Grenzler jak Horacy – obydwaj wywodzą się z ludu – ważna dla nich jest mowa – „sermo”. I system języka – „lingua”. Obaj mają/mieli zdolność przemawiania – „oratio”, podbudowaną znakomitym uniwersytetem i udoskonaloną przez lata samokształceniem. Tego można tylko pozazdrościć i dawać za przykład młodym adeptom pióra. Myślę, że Grenzlera można identyfikować z Jaksą z Miechowa (zm. 1176 r.) pielgrzymem do Palestyny – strażnik grobu bożego – skąd sprowadził do Polski zakon Bożogrobców, osadzając ich w Miechowie. Przywędrowali oni i do Nysy, budując kościół pw. Św. Piotra i Pawła. To chciałem poecie pokazać wioząc go na nyski dworzec. Ale na nic nie starczyło czasu, żelazne terminy odjazdu pociągów. Przez okna samochodu pokazałem w gęstwinie leśnej altanę Eichendorffa posadowioną na betonowej podkowie działu artyleryjskiego. Grób w kształcie rozłożonej książki na cmentarzu jerozolimskim. Popiersie przy ekonomiku. Kopułę wieży ciśnień i spadzisty dach bazyliki. Wiem, że poeta z takich widoków czerpie inspirację dla swojego poetyckiego świata. Budulcem tego wszystkiego jest kamień, wiodąca metafora jego utworów; od przydrożnego, leżącego na poboczu, na którym przysiadł pielgrzym podążający do Rzymu, poprzez kurhan kryjący pochówek młodego wojownika z koniem, wyposażonego w złote okucia łuku, pochwy miecza, ubioru i uprząży. Możliwe, że zmarły był Hunem co potwierdza zależność południowej Polski od państwa Attyli – mgła słowiańszczyzny

w której poeta porusza się pewnie. Kamień to także droga, nierozłączna część jego życia. To świątynia i dom do którego powraca i tęskni wiedząc gdzie rodzinne korzenie, a gdzie czasowa przystań. Powroty to także błądzenie Odysa i ból człowieczy.

Kapłanko

chmielu i źródlanej wody

orędowniczko

jadących przed siebie i

tych którzy nie dojechali

(...)

rozpal kamienny krąg

wygaś wszystkie słońca

Czyż to nie pieśń sama cisnąca się na usta? Poezja długo była śpiewem. Wiersze Karola powracają do źródła intonacją językową.

Ta poezja to świat tajemny labiryntami którego podążać mogą tylko czytelnicy wysublimowani intelektualnie, obcy w filozofii, która oparami wielkich myślicieli wzmacnia głębie treści. I nie dajmy się zwieść wszechobecnym aniołom, czarnoksiężnikom, kobietom – boginiom, wróżkom. To tylko rekwizyty poetyckie potrzebne do osiągnięcia celu – budowy wiersza pełnego znaczenia słów. Ale to dane tylko niewielu...

w nieznanym języku

nucą prastare wersy

z świętej księgi

płonącymi runami

napisanej

oni

bezskrzydli anieli

boją się usłyszeć

tyknięcia zegara

pęknięcia bańki mydlanej

wdarcia się śmiertelności

po omacku poznają

nieznaną rzeczywistość

próbują

znaleźć

tę jedyną więź

między światami

dotknąć

tutaj ukrytego słowa

którego strażnikami

zostali powołani

Wypada chylić czoła przed takim utworem, smakując echo odniesień.

JERZY STASIEWICZ

Karl Grenzler *Strażnicy tajemnic* Wydanie polsko-niemieckie s.108.

Między wsią, a miastem

Dziś bawiłem się gdzieś indziej" to druga książka poetycka, urodzonego w 1978 roku Roberta (Robura) Feszaka. Jego debiut pt. „Wnętrza gór” został wyróżniony w Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Artura Fryza na najlepszy debiut książkowy 2015 roku. Jednakże z twórczością autora spotykam się po raz pierwszy, gdyż jak wiadomo tylko skromna część tomików wydawanych w Polsce trafia do ogólnopolskiego obiegu, no i nie natrafiłem na żadne pismo, w którym drukował swoje wiersze autor. Poza tym jest kolejnym poetą należącym do tzw. Roczników 70-tych, który debiutował o wiele później niż wielu jego rówieśników, przez co można jeszcze raz stwierdzić, że niegdysiejsze rysowanie mapy młodej polskiej poezji na początku XXI wieku było zupełnie tymczasowe.

Poezja Feszaka charakteryzuje się spokojną frazą, nieco sproszkowaną i tendencją do opisywania różnych zdarzeń z niedalekiej przeszłości, ale także z dzieciństwa. W jego poezji znajdujemy opisy pejzaży miejskich i tych związanych z przyrodą – wieś, las – przy zniwelowaniu zaskakujących środków poetyckich. Przez te zabiegi literackie jego twórczość wydaje się mocno osobista, choć wolna od skrajnych emocji i odczuć, no i zupełnie autorska, ale także nieco outsiderska jak np. w „Żabie”, w którym podmiot liryczny, czy bohater „z piwem

na ławce” opisuje okoliczny plac zabaw i to co może zobaczyć podczas tego siedzenia na ławce.

Bliskość i nastawienie ku naturze mocno zaznaczone jest w wierszu „Na prog”, który zaczyna się od apostrofy: „Drzewa, góry, rzeki, doliny, rozległe łąki, mroczne jaskinie – moi bracia i siostry”. Natura pojawia się w tomiku Feszaka jakby w trzech różnych postaciach – po pierwsze, jako miejsce wizyty poza miastem podczas wycieczek i wędrówek, kiedy słysząc odgłosy rąbania drewna gdzieś obok lasu, albo podczas wypadu w pobliskie góry, niedaleko od miejsca zamieszkania, po drugie we wspomnieniach z dzieciństwa związanych z jakąś wsią, w której mieszkała także jego prababcia Ukrainka, po trzecie jako natura w pejzażu miejskim. Miasto w poezji Feszaka jest jak w poezji nowoczesnej synonimem barbarzyństwa, obcym miejscem zamieszkania i pracy, w którym tętni ruch. Oprócz takich geograficznych tematów w poezji Feszaka można znaleźć także namysł nad starościami, miłośnością, dziećmi i ich widzeniem świata. W poezji Feszaka mimo kultury takiego na sposób ponowoczesny, i jej wyidealizowania jest miejsce i na technologii – komputer, telefon komórkowy. Choć w „Zabawie trwającej dalej” ta techno-

logia jest jakby czymś mu wrogim, gdyż opisuje przemiany w zabawach młodych ludzi, którzy kiedyś dręczyli zwierzęta, dzisiaj zabijają „potwory” w grach komputerowych.

Mimo wszystko – wielu tematów jakie porusza autor, sporej sprawności warsztatowej, czegoś brakuje mi w jego poezji, gdyż w żaden sposób ona nie zaskakuje. Nie ma w niej elementów ryzyka, jakiejś odkrywczości. Jest skrupulatna, opisowa i drobiazgowa, ale mimo outsiderskości w siedzeniu przy piwie, albo podczas pobytu w górach, kiedy autor snuje refleksje na temat bliskiego świata wokół niego, w żaden sposób buntownicza. Więcej w niej jest skupienia na swojej pamięci, uczuciach, zdarzeniach, w których brało się udział, niż próby badania rzeczywistości. Tak jakby poeta nie zawierał takim artystycznym próbom przemiany świata i zostawiał go w swojej poezji takim jakim go zastał. Co nieco momentami dziwi i moim zdaniem nie pozwala tej poezji jakoś zostać na dłużej w pamięci, mimo jej dopracowania.

MATEUSZ WABIK

Robert (Robur) Feszak, Dziś bawiłem się gdzie indziej, Fundacja Kultury AFRONT 2017

Pisanie i mrok

Gdybym miał tak w dwóch słowach napisać o czym traktują wiersze Jerzego Ł. Kaczmarka zawarte w „Niewidzialnym stygmacie” jego drugiej książce poetyckiej, a pierwszej, którą czytałem, nie byłoby mi trudno. Wcale mi nie chodziło o to, że to takie łatwe wiersze i łatwo przyswajalne, bo byłaby to na pewno negatywna ich ocena, ale o to, że te wiersze, albo może i cały tomik zwróciły na siebie moją uwagę, także i tym, że są takie niedzisiejsze, ale nie przedwczorajsze. To znaczy książka Kaczmarka nie wydawała mi się kolejnym tomem pop poezji, poezji o internecie, poezji grającej chwyłami z tekstów z gazet wysokonakładowych, nie była także książką krzykliwą, czy błyskotliwą. Nie, żadne z tych stwierdzeń nie przypominało poezji Kaczmarka. Urodzony w Jarocinie poeta jakby próbował wycisnąć z poetyki wiersza lat 90-tych ubiegłego wieku metafizykę, odczucia religijne, ale także świadomy był raczej artystyczności wiersza, niż jego dokumentalności polegającej na faktach. Tak jak Grzebalski, Podsiadło, czy Świetlicki skupiał się poeta często na drobiazgach – np. grzebieniu („Grzebień”), nie obce było mu także pisanie przypominające malowane obrazy, na których ktoś uchwycił czyjąś zwyczajną egzystencję – np. „Frau am Fenster”, który był niczym innym jak opisem niezwykle obrazu niemieckiego malarza epoki romantyzmu Caspara Davida Friedricha. Poeta nie zaszyfrował tego odniesienia, gdyż tytuł obrazu niemieckiego malarza stał się tytułem wiersza. Sporo w jego wierszach było namysłu religijnego i odniesień do religii, ale nie były to nachalne przekonywania czytelnika do religii, ani jakieś polityczne frazesy. Wiersze Kaczmarka często działają się na granicy dnia i nocy, co pogłębiało nastrój książki, wyczuwało się w nich fascynację kulturą niemiecką, nie tylko w przywołanym wierszu. Wiersze nie były przegadane, chociaż nie były awangardowe w zapisie (oprócz tych bez kropki i przecinków), ale poeta czasem dorzucał wymyślne metafory, czy porównania do opisu różnych sytuacji lirycznych.

Nieco od tematyki i nastroju książki odstawał ciekawy poemat „Podróż do Stuttgartu”, w którym poeta opisał swoje spotkania z niemieckimi przyjaciółmi, podróżowanie po Niemczech (opisane dosyć skrótowo), wieczór poetycki w Buchcafé w Mannheim, wędrówki po różnych miejscach – „Neckar dotyka leniwie brzegów/świąteczny obrus, po którym/ przepływają statki.”

W „Zmroku” pojawił się za to dzisiaj już zapomniany motyw – zaznaczenie ważności pisania, poprzez wspomnienie o niepisaniu – „Nie napiszę już wiersza, myśli./ Nie zapalę lampy nowych słów./To ciemność mnie pisze, rzeźbi/ moją twarz, wystrza wzrok i słuch.” Ten przytoczony fragment wiersza ukazał ważność aktu pisania. Noc przerwała pracę twórczą. Czuć w tych wersach gram pietyzmu jaki dla poety miała czynność tworzenia. Samo zaznaczenie w wierszu motywu pisania, czy zaprzestania pisania mogło wskazywać na świadomość literacką poety, no bo poeci-ideolodzy zapominali o tym, że pisanie było sztuką wartą szacunku, gdyż dla nich było ważne, że skroili wiersze pod dyktando modnych trendów politycznych. Tak samo poeci popkulturowi też rzadko w wierszach ukazywali ten moment pisania, czy niepisania. Wiersz miał być wg nich być tak chwyliwy by dostał nagrodę.

Poezja Kaczmarka z „Niewidzialnego stygmatu” to poezja nie oczekująca poklasku, tworzona była przez poetę świadomego tworzenia. Nie była to poezja pop, która narzucała się z ideologią i tworzona była przez maestro słowa, który pisał pod kątem jakiś wymaganych odbiorców, którzy zapewniłby mu powodzenie przez to, że stali się nie tyle czytelnikami jego poezji, ale klientami księgarni z jego książkami. Poezja Kaczmarka była poezją, którą poeta tworzył jakby dla własnej satysfakcji. I dlatego odczuwałem satysfakcję czytając te wiersze, gdyż poeta nie pisał ani dla mnie, ani dla kogoś innego. Napisałem pozytywnie o tej książce mimo tego, że często odrzucała mnie od poezji nachalna religijność, a tu mimo, że byłem niewierzący potrafiłem ją docenić, ponieważ poeta raczej chciał oddać swoje niepokoję i namysły metafizyczne poprzez tworzenie i dlatego sięgał

po motywy religijne, a nie tylko chciał się wpisać do jakiejś koterii literacko-politycznej.

Wśród wierszy pisanych przeciwko głupawej komercyjności we współczesnym świecie, najciekawiej wypadł wiersz pt. „Nowoczesna księgarnia”. Poeta opisał w nim księgarnię, w której głównymi książkami były książki kucharskie, te o feng shui i dotyczące mody. Z beletrystyki znalazło się zaledwie kilka książek i to głównie noblistów. Tak jakby nie warte było wstawienie do księgarni książek nie znanych twórców. Tak jakby ta nagroda nie miała tylko nobilitujących funkcji, ale także marketingowe. I to pewnie bardziej odrzuciło poetę, bo nie sądzę, by same książki uznanych twórców. Ale ta marketingowość, która wg niego jest uproszczeniem. Czasem się zapomniało, że nagroda Nobla jest nagrodą nie tyle dla wybitnych twórców, ale dla wybitnych twórców literatury idealistycznej (dlatego Tadeusz Różewicz nigdy jej nie dostał) i z tego co już dotarło do mnie w pewien sposób pro szwedzkiej, nie tyle politycznie, co kulturowo.

Podczas lektury tomiku cieszyło mnie to, że nadal istnieli tacy twórcy jak Jerzy Ł. Kaczmarek i pisali w tym stylu. W notce biograficznej czytałem o zagranicznych stypendiach twórcy, no bo negując komercję w literaturze, zabawne nagrody literackie dla koterii, czy za książki, których poza jurorami (albo poza sekretarzami jurorów) nikt nie czyta – poeta warty był docenienia. Po prostu dla niego literatura miała wymiar metafizyczny, nawet sakralny, a samo docenienie jej nie było jego głównym powodem pisania. Nieco słabiej wyszły drobne wiersze pod koniec książki przypominające haiku, gdyż były mało odkrywcze. A jeśli chodzi o nagrody literackie, to z książek wyróżnionych Nagrodą Literacką „Nike” przeczytałem dopiero 3 książki, z noblistów poznałem utwory nieco ponad 20 autorów, więc naprawdę nagrody literackie nigdy nie były dla mnie najważniejsze podczas lektury poezji.

MATEUSZ WABIK

Jerzy Ł. Kaczmarek, Niewidzialny stygmat, Jerzy Ł. Kaczmarek, Niewidzialny stygmat, Biblioteka „Toposu”, Sopot 2019

Uczucia, groza i poszukiwanie ostoj

Ostatnio nie dostałem żadnej książki poetyckiej do recenzji, więc postanowiłem wybrać się do empiku w Galerii Krakowskiej i przeczytać coś niecoś na miejscu i wynotować sobie co ciekawsze fragmenty. Ku mojemu zdumieniu po remoncie sklepu, mimo zmniejszenia się powierzchni użytkowej, szafka z poezją nieco podrosła. Na półce znalazłem kilka ciekawych tomików znanych i uznanych poetów, ale także sporą garść książek twórców, o których poezji nigdy nie czytałem. Zdecydowałem się napisać recenzję z tomiku Wiesława Junka pt. „77 wierszy”, a to dlatego, że wydawała się ciekawsza od kilku przejranych w pośpiechu, a na pewno specjalści od poezji współczesnej napisali już niejedną recenzję z najnowszych tomików uznanych i znanych twórców.

Wiesław Junk urodził się w 1977 roku, ukończył anglistykę i zamieszkał w Anglii, a jego debiutancki tomik wydało Wydawnictwo Poligraf z Brzeziej Łąki koło Wrocławia. W notce biograficznej na czwartej stronie okładki ponadto można było przeczytać, że Junk był także lingwistą. I nie wiadomo było czy chodziło o jego zainteresowania językoznawcze, czy o wpisanie się do nurtu poetów lingwistycznych. Mimo sporej sprawności warsztatowej uznałem po lekturze „77 wierszy”, że jego poezja nie miała żadnych znamion poezji lingwistycznej polegającej na wyginaniu materii językowej w różne strony, budowaniu nowych związków frazeologicznych na bazie starych. Sprawność i potoczność frazy jaką operował w swoich rymowanych i nierymowanych wierszach Junk przypominała mi wiersze Williama Blake’a. Jednakże znalazłem także w jego poezji kilka odniesień do poezji młodopolskiej i PRL-owskich buntowników – Stachury i Wojaczka (np. w „Synu wilka”). Niektóre jego wiersze przypominały piosenki.

Do głównych tematów w jakich poruszał się Junk zaliczyłbym samotność, opuszczenie, poznanie nowej miłości, założenie rodziny, analizowanie uczuć, poszukiwanie ostoj w grze na gitarze, poezji, wspomnianiu dzieciństwa, alkoholu i narkotykach. Także

poeta w swoim tomiku dyskutował na tematy religijne i deklarował w „Sonecie” – „Nie wierzę w nic; wyzbyłem się woli życia”, „Nie wierzę w myśli, uczucia ni w odkrycia”, czy „Nie wierzę w piekło i krainę zbawienia.” Jednakże w jego tomiku poetyckim można było znaleźć wiersz, w którym poeta zwracał się do Boga lub wyznawał, że jego wiara jest chwilejną.

We wspomnianym już „Sonecie” Junk nawiązał do wiersza „Nie wierzę w nic...” z „Poezji” z 1883 Kazimierza Przerwy-Tetmajera i pod względem formalnym, gdyż napisał sonet i pod względem tematycznym, gdyż przejął światopogląd poety zawarty w tym wierszu, w którym Przerwa-Tetmajer deklarował wątplenie w wiarę, ideaty, pragnienia i poszukiwał w sensu w kontemplacji oderwanej od spraw zwykłych, poza wolą i pragnieniami, czyli w buddyjskiej i hinduistycznej nirwanie. Kiedyś w latach 90-tych czytałem czasem wiersze w konwencji młodopolskiej na łamach niektórych zinów metalowych i denerwowały mnie dlatego, że były bardzo niewolnicze i bazowały na inspirowaniu się najbardziej znanymi motywami z tej poezji. Podczas lektury tomiku Junka nie miało się wrażenia nijakości tych młodopolskich nawiązań, pojawiały się one nie raz np. w poezji uczuciowej przypominającej twórczość Stanisława Przybyszewskiego, ponieważ rozwój rynku kapitalistycznego pozwolił jakby na nowo odczytać polskim współczesnym twórcom, młodopolską poezję i bardzo ją przybliżył do czasów współczesnych. Maria Podraza-Kwiatkowska pisała w „Młodej Polsce” o soku jaki przeżywali artyści młodopolscy wraz z rozwojem kapitalizmu w zaborze austriackim. Także nie wydało mi się by „sonet” był tylko postmodernistycznym grą konwencjami w obrębie archiwum literackiego.

Bardzo ciekawymi wierszami Junka w „77 wierszach” okazały się wiersze odwołujące się do romantyzmu i poetyki grozy, które przypominały swoją atmosferą, tą znaną z twórczości E. A. Poe’go, ale także Gra-

hama Mastertona, który oprócz szeregu powieści grozy napisał kilkanaście wierszy, czy H.P. Lovecrafta. Na pewno nie były to wiersze bliskie poetyce prozy Stephena Kinga. W „Szatanie” można było przeczytać o przyjsciu złego bezszelestnie, który „prowadził w ciemność”. Wiersz pojawił się na samym początku zbioru i przez to Szatan jako prowadzący w ciemność zastąpił poetę Wergiliusza, który po piekle oprowadzał Dantego w „Boskiej komedii”. Bardzo ciekawie to poeta zestawiał. W „Sonecie szaleństwa” pojawił się motyw pojawienia się zła określonego jako „Legion”, którego atmosfera była nieco frenetyczna z typowym romantyczno-młodopolskim motywem niepokoju w nocy. Na szczęście bohater opanował nawiedzenie przez złe moce im bliżej było ranka. Mimo pewnych ogranych motywów wiersz porażał sugestywną atmosferą znaną choćby z „Kruka” E.A. Poe’go, czy „Marii” Malczewskiego.

Kilka wierszy Junka miało ciepły, emocjonalny nastrój. W niektórych znalazłem za dużo motywów znanych motywów z sielanki, ale poeta też potrafił zaakcentować swój pogodny nastrój zupełnie współczesnymi frazami jak w „Dobrym wieczorze”: „Mam rodzinę/Mój synek uczy się chodzić/Więc piję piwo”.

Pisząc czasem o tomikach z Mamiko i Miniatury nie raz zauważałem, że pojawili nieznanymi poeci urodzeni w latach 70-tych i 80-tych, których mało obchodziły aktualia literackie, poezja brulionu, wpływ poezji anglojęzycznej na poezję polską, a inspirowała Młoda Polska i twórczość PRL-owskich buntowników. Jednakże w poezji Junka było więcej niż w ich tomikach różnorodnej nastrojowości, większa biegłość warsztatowa i mniej skrajnego egotyzmu. Najbardziej mnie zdziwiło to, że nic w internecie o Junku nie znalazłem, nawet w dokładnych przeglądach Biblioteki Narodowej i PBL/IBL-u.

MATEUSZ WABIK

Wiesław Junk, 77 wierszy, Wydawnictwo Poligraf, Brzezia Łąka, 2018

Andrzej Walter

Na zgłiszczach wierszy

Poezja Joanny Babiarcz wydarza się w świecie barbarzyńców. Dokonuje się w świecie: zgietku, hałasu, chaosu i krzyku, a w zasadzie ten opisany, przedstawiony wszechświat, to jedynie tło dla metafory, to specyficzna narracja skrótu z wykorzystaniem. Ich celem (celem owych anonimowych barbarzyńców) jest jej skuteczne unieszkodliwienie, destrukcja poezji, aż po jej ostateczną eutanazję. Chodzimy więc po zgłiszczach wierszy, wygładzamy zmarszczki metafor i przenosimy je w bezpieczniejsze miejsca. Po każdym z nas powiększa się cisza, a każda ułomna codzienność to jakby mikro koniec świata. Czujemy, że tonąc odebrano nam nawet brzytwę, której można by się desperacko chwycić, a nasza egzystencja to coś, jakby zgrzyt żelaza na szkle, że sparafrazuję, czy też swobodnie posłużyć się narracją Autorki...

W takim kręgu słów obraca się poezjowanie Joanny Babiarcz, ale przecież nie tylko. Po drugiej stronie tych słów znajdziemy bowiem przepiękną i znakomitą warsztatowo lirykę, która poniesie nas daleko, hen, poza ten brzydki świat chropowatości i zgrzytu, ku

krainom łagodności, piękna i nieustannego zadziwiania się (z zachwytem włącznie) tym właśnie światem. Właściwie te doskonale wyważone proporcje przedstawienia w pełni kontrastu pomiędzy współczesnością, a czymś co jest i zawsze pozostanie poezją w tym zdegradowanym świecie stanowią o sile i niepowtarzalności tego tomu.

Poezja ta przekracza samą siebie. W każdym wierszu czai się podświadomy kontekst, słowa nienapisanej banalności trwania, zmierzania ku śmierci, aż po receptę na domniemaną możliwość ucieczki przed dramatycznym i zgoła bezsensownym przeznaczeniem, będącym właściwie losem każdego z nas. Poezja ta wytwarza tym samym aurę jakiejś innej tajemnej warstwy, która kryje się poza nią samą i emanuje na czytelnika zmuszając go do lektury powtórnej, zwielokrotnionej, poszukiwawczej. Czytelnik podejmując ten dialog z Autorką może nagle stać się sam eksploratorem tej przestrzeni, próbującym odkrywać i odnawiać te ukryte tu sensy, podskórne pokła-

dy znaczeń i przestań, aż po niepostawione pytania, których jednak chyba nie ma, ale ja też wciąż nie jestem już sam tego do końca pewien tak ostatecznie.

To wcale nie jest taka prosta, jak by się wydawało, poezja. Świadczą o tym nawet już przeprowadzone przez krytyków analizy. Podkreślają one: cudowność faktu istnienia (Ignacy Ś. Fiut), wołanie o lepszy świat (Wojciech Kudyba) czy choćby dojrzałość Autorki i oszczędne gospodarowanie słowem przy jednoczesnym wydobywaniu zeń (właśnie) nowych znaczeń (Bolesław Faron). Andrzej Krzysztof Torbus z rozbrajającą szczerością konstatuje – „dawno nie czytałem tak świetnego zbioru wierszy”, a Magdalena Węgrzynowicz-Plichta, autorka postawia i jednocześnie wydawca tomu stara się przeprowadzić wręcz proces dowodowy na oryginalność i artyzm poezji Joasi Babiarcz.

Pomimo wielu użytych słów widać jak na dłoni, że tom „Porastanie” posiada pewną moc, która w taki sposób przykuwa uwagę

zarówno krytyków jak i prostego, zwyczajnego czytelnika tak mocno, iż ulega on presji wieloznaczności czy wielopłaszczyznowości tej poezji i nie potrafi wobec tego tomu przejść obojętnie, a to już podstawa do uznania tomu za ważny i ponadczasowy.

Posłużę się teraz jednym bardzo mocnym wierszem, jakby potwierdzeniem tego, co zostało już tutaj napisane:

wskazówki zegara przesuwają nas coraz dalej

jeszcze stoimy obok siebie
wyciągamy dłonie

linie papilarne
rozmywają się
mieszą z linią życia
miłości i śmierci

zarzucamy sobie
na szyje wiersze
obręcze nieczułości
litanie wykrzykników

już nie można
złapać za brzytwę

Grafika Eduard Nikonorow

wątpliwy ratunek
to wszystko na nic

spłonęły nasze rękopisy
chodzimy po zgłiszczach wierszy
ostrożnie
tańczymy w parach
przed orkiestrą
jak zgrzyt żelaza
po szkle

Ten zgrzyt żelaza po szkle wywołuje gęsią skórę oraz ciarki na plecach. Brrr...

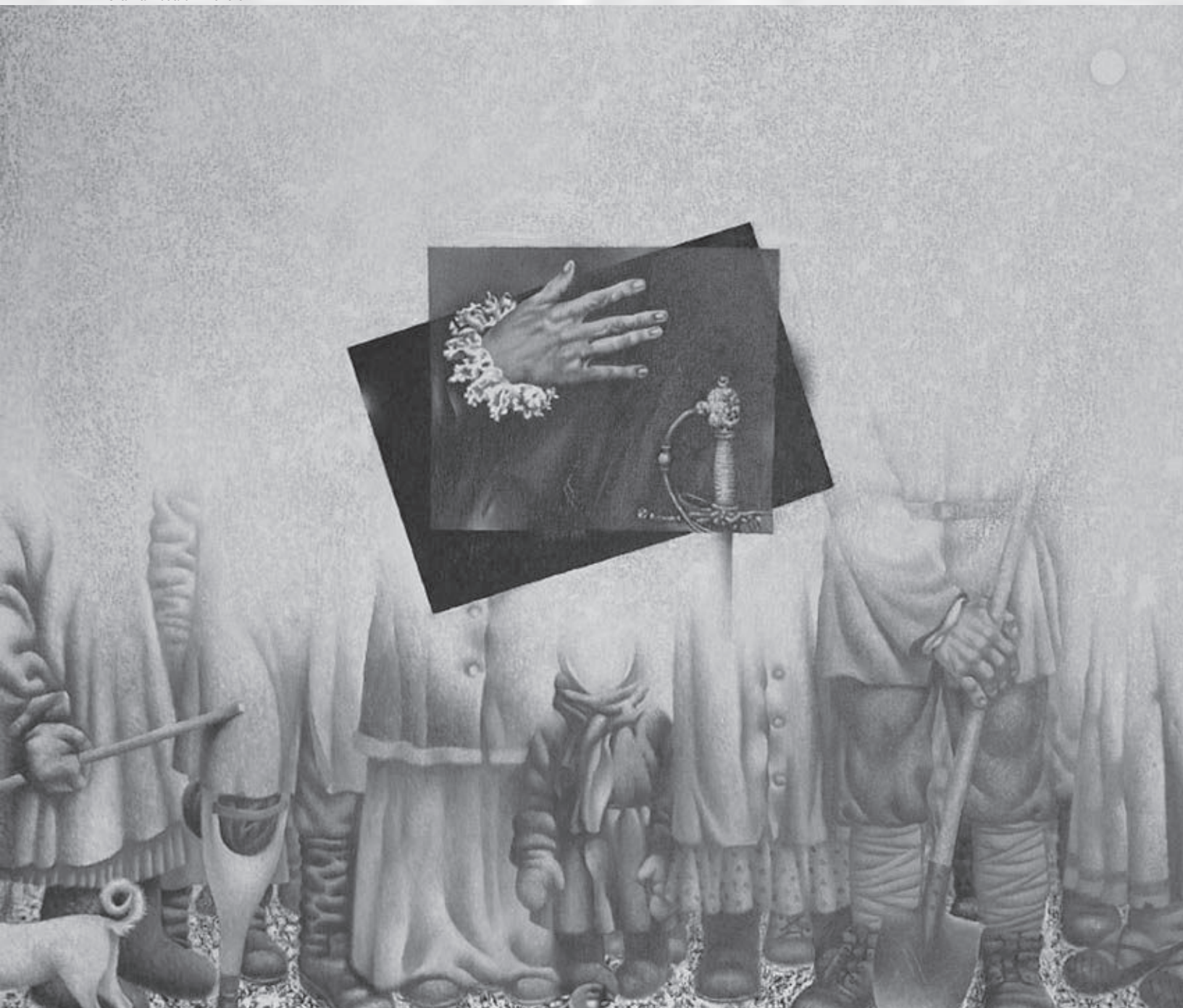
Trudno może też o cięższą prowokację. No, jakże to tak? Czy naprawdę chodzimy już po zgłiszczach wierszy? Czy też jeszcze chodzimy po zgłiszczach kultury narodowej, w których co rusz się majstruje na przykład dotacyjną czy też grantową (projektową, czy budżetową) żonglerką. W której czytelnictwo jest na poziomie jednego z najgorszych w Europie, a niektórzy chcieliby dalszego i głębszego jego upadku, w której uzurpatorzy i lanserzy mają coraz więcej do powiedzenia (wydając kasę) niż tradycyjny wydawca, który ledwo zipie, ale jednak wydaje, gdyż wciąż ma poczucie przyzwoitości i jakiejś straceńczej, literaturotwórczej misji dla przykładu. Ech, tematy upadku i zażenowania czasem i tubylcami nasuwają się same i do tego w nadmiarze – dość więc na

tym, wróćmy do poezji. Poezji powiedzmy otwarcie nader wyjątkowej, ciekawej, poezji w końcu – ujmę to nieskromnie, poezji naszego pokolenia - poezji przełomu wieków i ustrojów czy też wręcz formacji społecznych, taka *stachuriada* wcielona, zakażona wielkimi mistrzami (Miłosz, Herbert, Szymborska i Różewicz, a może i inni – Grochowiak, Gąsiorowski... itd), którzy dopiero co od nas odeszli, acz ich duch wciąż nad nami krąży i nie wyznaczył nam jeszcze jednolite właściwego kierunku. A może i my sami jeszcze tego kierunku nie obraliśmy, bo obierze go za nas samoistnie wiek XXI wraz z jego zarysowującą się już społecznie karykaturalnością. To podróbka postrewolucji seksualnej podniesionej do potęgi entej i wycinającej w pień subtelność, delikatność, wrażliwość, słowa i ciała utylizując znaczenia do pornograficznego jęku i zdawkowej przyjemności prymitywnego, bezmózgiego, człekokształtnego ... barbarzyńcy, pół-alfabetcy... i wróciliśmy niejako do punktu wyjścia. Poezja Joanny Babiarz wydarza się w świecie barbarzyńców. Chcąc, nie chcąc

- chodzimy (w niej)
po zgłiszczach wierszy.

ANDRZEJ WALTER

Joanna Babiarz „Porastanie”. Wydawnictwo SIGNO
Magdaleny Węhrzynowicz-Plichty. Kraków, 2019. Stron
104. ISBN 978-83-60874-95-0



Andrzej Walter

Krajobrazy znad wierszy, których nikt nie czyta

Siłą współczesnej poezji jest: lapidarność, uproszczenie, komunikatywność oraz metaforyczna wizja. Jest nią też głębia ducha autora oraz moc intelektualnej przygody, którą poezja ta oferuje.

Te nasze słowne misteria muszą się jednak odbywać w sposób przejrzysty i świeży, muszą być jakąś wykładnią, czy choćby odzwierciedleniem: zarówno języka, którym się dziś porozumiewamy, ale i wszystkich kodów kulturowych krążących po naszej zabłąkanej świadomości. Wtedy poeta przerywa ciszę, a dziś chyba głównie do tego został powołany.

Poezja powinna być też wedle poszukiwań wyznaczonych Różewiczem – konkretna i zrozumiała, a zarazem i prawie jednocześnie, szukająca swoich własnych metafor, swojego indywidualnego piękna i wreszcie intymnego, prywatnego języka, czy też kumulacji treści w subtelnej przestrzeni dialogu pomiędzy autorem i odbiorcą. Jest to dziś trudniejsze niż przypuszczamy.

Może trzeba zaczerpnąć aż u Herberta, który wyznaczył poecie zadanie ciągłego poszukiwania źródeł, płynięcia pod prąd, w odróżnieniu od rozrastających się mas płynących z prądem. Jak powiedział Herbert: z prądem, płyną tylko śmieci...

W dobie wyparcia społecznej funkcji i jakiegokolwiek wręcz znaczenia czy rangi poezji poeta musi uwolnić od chęci bycia zrozumiałym, a odbiorca musi chcieć, na przekór zdrowemu rozsądkowi, choćby usiłować zrozumieć poezję. Wektory te unoszą się dziś gdzieś w nieznanych przestrzeniach i mijają się drastycznie, a jedyne słuszne kierunki rozmywają w chaosie tego świata. Poeta zaczyna dryfować po krajobrazie, a krajobraz to coraz bardziej naznaczony ciszą, coraz silniej jałowy, zagubiony, wymarły.

Krajobraz brzemienisty w sygnały, w krzyk, a czasem w zbyt wiele ciszy w ciszy. Brzemienność ta jest też wielobarwna, peryferyjna i zanurzona w symbole, skróty i labirynty znaczeń, pytań oraz braku odpowiedzi.

Nie będę ukrywał, że docieram powoli do fascynującej poezji publikowanej niezwykle rzadko przez warszawskiego Autora, wykładawcę i nauczyciela akademickiego, krytyka literackiego, słowem fachowca z najwyższej półki Andrzeja Wołoszewicza. Jego tom „Krajobraz spod zatrzymanych słońc” wydany na sam koniec roku 2019 zadziwia i wciąga. Jest wyjątkowy, unikalny, przerasta swym poziomem te setki spłodzonych nie wiadomo po co tomów, których „nikt nie czyta”.

Bardzo na ten tom czekałem, wręcz oczekiwałem go na owym horyzoncie brzemienności. To bowiem tom rzadki, wypowiedziany jakby mimochodem, wypowiedziany jako potężny ładunek emocji wobec sztuki, jako jednocześnie anty-akademicka forma ogłoszenia świata, a ja wam jednak o kilku sprawach chciałem opowiedzieć po mojemu, bez naukowego czy terminologicznego wypaczenia i ten tom właśnie wyraża, tę wręcz ogromną wolność głoszenia poezji, która jest w nim jakże głęboko odczuwalna. Donośny głos poety jest spokojny, wyważony, jakby zrezygnowany i stonowany, jakby

głęboko osadzony w duchu czasów, jest też: bezkompromisowy, naturalny i bardzo intymny, ale też wybrzmiewają tu echa swoistego cynizmu, czy może delikatnego sarkazmu wobec zastanej rzeczywistości... rzeczywistości negatywnej, rzeczywistości ponowocześnie znów (choć inaczej) dekadentckiej, rzeczywistości przejmującej, acz przecież jakże swojskiej

Tu

tu gdzie nawet krajobrazy
brzemienne są w ludzkie gadanie
i w kapliczkach przy drogach

a z drugiej strony tu
gdzie bez mrugnienia okiem
stawia się skutek przed przyczyną

skarżąc się zawsze na innych
miast do lustra najpierw
żeby tę belkę zobaczyć

tu gdzie kapliczki przydrożne
brzemienne na przemian
w ból i nadzieję

tu mój dom i moje radości
płochy jak kurz na meblach
acz – jak i on – wracające stale

Kiedy czyta się Wołoszewicza, czyta się życie, odczytuje się kim jest dziś poeta, czym jest dziś poezja, o nie, przecież nie tylko. Wołoszewicz dociera przecież dużo dalej – rozpoznaje, tak naprawdę – czym jest dziś: wrażliwość, subtelność, delikatność, prawda i znaczenie słów, czym jest poza i pozerstwo, czym jest właściwie cała ludzkość i współczesne człowieczeństwo w niej zawarte (ile dziś człowieka w człowieku), czym jest bycie sobą i dla siebie i poprzez siebie, aż wreszcie Wołoszewicz zadaje mnóstwo arcyważnych pytań o nasz wymiar w obliczu pewnych krajobrazów, jak napisałem na początku to krajobrazy, które odnajdziemy podążając do źródeł, (pod prąd) i mijając po drodze sterty płynących z prądem śmieci... Co zrobić, aby samemu śmieciem się nie stać i nie zostać porwanym z prądem?

Z takiej oto perspektywy, tylko poezja może nas ocalić, choć diagnoza Andrzeja Wołoszewicza jest nader drastyczna:

Dlaczego poeci nie są realistami

Poeci nie mogą być realistami
gdyby byli nie pisaliby tych swoich wierszy
których nikt nie czyta chyba że
kilkoro przyjaciół i ewentualnie
jakiś złośliwy krytyk dla zaspokojenia
rządu swojej nienasyconej żółci
oraz jurorzy konkursów ale oni
to co innego im za to płacą
Poeci nie mogą być realistami
bo dziewczyn już nie podrywa się

na wiersze co najwyżej na smsy do czego nie potrzebna jest znajomość gramatyki a poza tym one wiedzą że z wierszy nie ma chleba a taki poeta to może nawet i przewinąć dziecka nie potrafi bo jakoś nie spotkały wielkiej poezji na ten temat

Poeci więc nie mogą być realistami
i uchowaj nas Panie Boże aby kiedykolwiek
nimi się stali

Smutny i zarazem też nie jest tak do końca smutny to wiersz. Smutny, gdyż poeta, świadom czym jest poezja, że przecież jest sztuką najwyższą, wyrefinowaną i najgłębszą, że jest ponad tym wszystkim co nas spotyka, że unosi się nad wodami, a jednocześnie, że nikt, albo prawie nikt już dziś nie traktuje tego serio, że poeci spłoneli (zdaje się) w krematorium słownego holokaustu serwowanego nam przez brutalną, butną i coraz bardziej się panoszącą sprymityzowaną kulturę obrazkową. Z drugiej strony przecież tak ma być, taka jest kolej rzeczy, tak to się toczy, tak się świat zmienia i nie będzie inaczej – nasz czas jest czasem tylko naszym, naszym tu i teraz, takim jakim jest i w nim szukamy poezji i pozbadzmy się roszczeń: misji dziejowej, nie zbawimy świata, nie uratujemy ludzkości, nie będziemy już wieszczami, rewolucjonistami, wizjonerami. Mamy chyba tylko szansę na intymny dialog z wyselekcjonowanym i najtrudniejszym (bo krytycznym) czytelnikiem. Mamy szansę w te obrazki wetknąć ziarno czy zarzewie myśli, niepokojącego sygnału, impulsu do pęknięcia pewnej obcej nam całości tworzonej przez ten szalony dziś i niezrozumiały dla nas świat. I dlatego być może poeta pyta nas (sztywno, czy też trochę też cynicznie) – dlaczego poeci... dlaczego nie są, ale i nie chcą być – realistami. (bo dziś realista to standard, wręcz wymagany obywatel obywatelskiej demokracji – ideału pospółstwa)

Wiele jest tu wierszy świetnych. W zasadzie każdy nadaje się na odrębny komentarz. Każdy wiersz z tomu „Krajobraz spod zatrzymanych słońc” to punkt wyjścia do myśli, do dyskusji, do rozważań. Są wiersze bardziej liryczne, czułe, obnażające wrażliwość poety, a przeplatają się one z wierszami nasączonymi buntem, przerywaniem ciszy, prowokacją. Właściwa proporcja pomiędzy tymi stanami daje nam iście męską poezję, poezję, którą świetnie się czyta i do której z przyjemnością się powraca. Wiersz „Wieczór z Sarah Vaughan” czytałem już ze dwadzieścia razy i wciąż, kiedy go kończę przechodzi mnie jakiś dreszcz wrażliwości, coś, jakby gęsia skórka właściwa uniesieniom muzycznych doznań, reakcja na piękno, stan rzadki i niespotykany. Kojący. I dlatego do niego wracam i go wciąż od nowa czytam. Takich wierszy chyba dziś potrzebujemy, aby żyć. Żyć i wierzyć. W co? Być może w miłość... w (nie) realizm, w nicność i nicości wszystkie donośne zaprzeczenia.

ANDRZEJ WALTER

Andrzej Wołoszewicz „Krajobraz spod zatrzymanych słońc”.
Zaulek Wydawniczy Pomyłka, Szczecin 2019. ISBN :
9-788364-346385, stron 64, okładka miękka.

Na przekór codzienności

(o poezji Mariana Zembali)

Kiedy rodzi się poezja, to w takiej chwili zatrzymuje się cały świat. Nasze łaknienie piękna zamraża wtedy na utamki sekund wszystkie trudy trwania i właśnie te chwile, uwieczniane słowem i wyobraźnią twórcy pozwalają poczuć choć na moment niepowtarzalność misterium sztuki. Wtedy każdy może stać się artystą i nagle dotknąć cudu; dosięgnąć hen, do swojego nieba i wniknąć w niecodzienne rejony prawdy i wrażliwości. Odrzuca się wtedy od ziemi i doznaje być może tego samego dotyku, którym Michał Anioł ukazał „stworzenie Adama” w środkowej części sklepienia Kaplicy Sykstyńskiej.

W poezji sytuacja ulega odwróceniu. Oto człowiek staje się stwórcą i jednocześnie występuje wbrew okowom: czasu, losu i przeznaczenia i staje najważniejszą naprzeciw własnej przemijalności; zatrzymuje ten czas: sytuację, przeżycie, stan wyższy swojej duszy, który nie jest przecież staty, a raczej wręcz przeciwnie, jest: unikalny, niezwykle rzadki, płochy i jakże ulotny.

To właśnie dzieje się w poezji Mariana Zembali, w poezji zatrzymanego czasu, w poezji próby zapisu ulotności naszych chwil, zapamiętaniu wyjątkowego wzruszenia, czy czasami wręcz wzburzenia, ale też powiedzmy otwarcie w poezji doznawania wyjątkowości własnego spotkania z kondensacją wrażliwości. Lawina tych uczuć działa niczym katalizator, czynnik poruszający, sprawczy, silniej niż proza codzienności. Następuje nieoczekiwana erupcja słowa i tak oto rodzi się poezja. Poezja uszlachetniona przeszłością, ale i życiem, tym prawdziwym, realnym życiem, którego profesor doznał jakby więcej niż inni, zwykli śmiertelnicy. Powołano go bowiem, jak sam skromnie przyznaje, aby: „**ratować, leczyć i przywracać nadzieję**”.

Wiersze Zembali nie są monumentalne, barokowe czy wyrafinowane. Są za to do bólu szczere, prawdziwe, fotograficznie czyste i przejrzyste, właściwie jakby poszukujące wciąż swoich korzeni czyli odniesień czy metafor. Są wyrazem życia w swej kulminacji, kiedy dotyka się czasu i siebie samego w zadziwieniu i tej jakże nieodłącznej artyście próbie dzielenia się opłatkiem słowa. Ogromne znaczenie ma tu to prawdziwe, realne życie i poświęcenie go, aż do zatracenia: medycynie i ludzkości. Zauważmy tu zdecydowanie ów niesamowity kontekst sytuacyjny: wydarzenia, spotkania i ... ludzie, bo najważniejsi dla Zembali są ludzie.

Pogrzeb Marka Edelmana, niecodzienność spotkania z Tadeuszem Różewiczem, olśnienie pooperacyjne jako nagroda za trud i wytrwałość wielogodzinnej walki o życie, kiedy w iluminacji dostrzega się o maleńkim pacjencie samego Boga wcielonego, czy też choćby bardziej przyziemnie - trudna Wigilia roku 2012, kiedy nie było tak, jakby się oczekiwało, kiedy coś drażniło, uwiarota, doskwierało. Te wszystkie stany, aż po reminiscencje wspomnień i refleksji nad stanem świata, obecnego kondominium strachu znajdziemy w poezji Mariana Zembali, która broni się jak już wspomniatam koncentracją prawdy i szczerości.

W wierszu „Postaniec” wybrzmiewają jakże ważne słowa: „**Czas, który idzie / nie**

zrozumie Fausta”. Słowa te jednak, realna przecieć i coraz powszechniej podzielana obawa przed nadchodzącym wyraźnie barbarzyństwem przyszłości, nie oddają kontekstu i powagi całego wiersza, który jest jakby hołdem dla ojca współczesnej polskiej poezji Tadeusza Różewicza.

„**Zapatrzeni w Twoje słowa / Uwierzylimy nawet w moc szarości.**”

I znów, zastanawia tu przenikliwość Mariana Zembali, który w roli poety jakby intuicyjnie odnosi się do setek naukowych już analiz twórczości Tadeusza Różewicza, których przecieć jedną z licznych konkluzji jest fakt, że to właśnie On uczynił z nas wszystkich poetów i to mówiących swoim własnym, nowym, odzwierciedlającym współczesność i jej ponowoczesną frazę językiem cienia i szarości. Językiem dekadencjonalnej depresji i lęku przed wyzwaniem nowego, nieznanego jeszcze wieku. Jakby brzemienne w tragizm nadchodzących wydarzeń. Nie dziwnym się jednak tym właściwością wyczucia ducha czasów u naszego niecodziennego Autora. Zanurzył się On bowiem nad wyraz głęboko w moc egzystencji, po czym ujarzmił ją brawurą i do prawie ostatniego tchu stara się aktywnie realizować swoje powołanie.

Tych kilkanaście wierszy uderza swoją prostotą. Ich lapidarność jest ich ogromną siłą w tym samym stopniu co choćby odwaga zwrócenia się i przywołania nieco niestety zapomnianej dziś postaci stańczyka, było, nie było królewskiego błazna, który ma nam wszystkim przywrócić zdrowy rozsądek. Może to jest jakiś pomysł na konflikt, deformację i karykaturalność obecnych czasów, w których hedonizm i siła przewartościowania dobra i zła, a w zasadzie ich defraudacji pojęciowej, przewrócili nam ten świat dostojnie do góry nogami.

Wreszcie dostrzegam w poezji Mariana Zembali niezwykłą świeżość spojrzenia i ukryty jeszcze potencjał przyszłej twórczości. To Autor, który absolutnie nie powiedział jeszcze ostatniego słowa, a wręcz przeciwnie – te wiersze to dopiero jak sądzę początek Jego szczerzego rozrachunku literackiego z tym światem i stawiania całkiem nowych kroków na niwie choćby i poezji. Przenikliwość obserwacji codzienności, występowanie wbrew tej codzienności, jakby na przekór sztampie, zasadom i regułom, ten tłący się odwieczny bunt ku zmianie świata na lepszy, to są przecieć elementarne cechy prawie każdego poety, który rzuci wyzwania nawet samemu Bogu, a potem doznaje procesu własnej ewolucji ku wyciszeniu i stateczności – jak to powiedział inny wielki poeta współczesny *bunt nie przemija, bunt się ustatecznia...* (z Grochowiaka; wiersz „Do S”)

„**Zabierając doktora Marka / popełnilesz błąd**”

Te mocne słowa, które padły nad grobem Marka Edelmana niosą za sobą bardzo ważną symbolikę naszego losu. Ileż to już błędów nasz pan Bóg popełnił, i ile jeszcze popełni? A nasze błędy? Naszym błędem jest być może popełnianie poezji, być może próba nazywania nieskończoności czy jakże naiwna próba osiódłania

wieczności, a przecieć wieczność jest na wyciągnięcie ręki, w każdej chwili, w każdym geście, w każdym spotkaniu z obcym, tu i teraz i właśnie z drugim człowiekiem, w każdej próbie dotknięcia piękna czy nieuchwytności sztuki.

Marian Zembala w swoich wierszach wystąpił więc jawnie na przekór codzienności, za co mu **sercem i z serca** dziękuję. Codzienność bowiem to śmierć życia. Im silniejsze poczucie powtarzalnej rytmiki codzienności, tym mniej do życia chęci. W tym kontekście każde moje spotkanie z profesorem Marianem Zembalą było jakże niecodzienne. Wymykało się sztamie. Burzyło tę codzienność. Zaburzało każdy schemat i przerywało ciszę. Tak jest i teraz w przypadku wierszy Mariana Zembali.

Czyż nie o to też chodzi w poezji, aby jak najskuteczniej przerwać ciszę...? Aby zmusić do myślenia...? Poezja to coś więcej niż słowa. To każda decyzja, każdy wybór, cała ta, misternie budowana konstrukcja życia, stawiana i przeżywana, na przekór codzienności, na przekór zwyczajności, banalności trwania i na przekór wszystkiemu. To, wreszcie, po emocjach, spotkaniach, doznaniach i doświadczeniach, każda zarejestrowana w świadomości myśl, każda chwila, każdy obraz, aż w końcu każdy nasz wymiar. Chyba tylko w tym sensie – wszystko jest poezja – wedle obrazoburczych słów Edwarda Stachury, z którymi przecieć nie sposób się zgodzić. Jednakowoż albo jest w nas dusza poety, albo jej nie ma. Ona się jedynie potem uaktywnia – wobec silnego przeżycia, wstrząsu, rozgrzanych emocji...

Paktujemy na co dzień z pustką, z namiętnościami, z trywialnością Wszechświata. Gryziemy samotność jak czerstwą bułkę egzystencji pomimo tej błyszczącej i propagandowej oferty świata, który proponuje nam zawsze drogę na skróty. Dokąd ta droga? Nie pytajcie Mariana Zembali, gdyż On nigdy na skróty nie chodził. Jego skrót w poezji niesie za sobą pokłady głębi. Jego lekkie pchnięcia spadają prawdy pozostają w czytelniku i nie goją się. Czytelnika pozostawia jednak głodnym.

To głód „czegoś więcej”, głód piękna i wzruszeń, głód lęku i smutek Dedala, lęk Kaina, prawdziwa nostalgia Fausta. Oto nowy obraz Doriana Graya. Poezja dziś to coś więcej niż dusza. To coś więcej niż portret, niż systemy wersowania, gatunki, style i epoki. To coś więcej niż smutek. To niedotykalność. I tego można dopatrzyć się również u Zembali jako kolejnego adepta Mistrza Różewicza. To klucz. Do wieczności, do absolutu, do całej wielowymiarowej prawdy o człowieku. Klucz do najprawdziwszej iluminacji Słowa. Słowa, które ciałem się stało. Czy można, z tak rozumianą poezją uczynić coś jeszcze? Czy można ją ogarnąć, ująć i zrozumieć?

A po co? Niech żyje zwyczajność.

Po co? Zapytam.

I powrócę do słów. Słów, które koją i jednocześnie niepokoją.

Słów, które: **ratują, leczą, przywracają nadzieję.**

ANDRZEJ WALTER

16-01-2020, Gliwice

Zbigniew Joachimiak

31 grudnia 2019

Dostałem ciekawy tekst od Eugeniusza Kurzawy, pójdzie już w numerze z 2020 roku. Poza własnymi niewielkimi tekstami literackimi, przysłał też obszernie omówienie książki Bartosza Żurawieckiego, „Festiwałe wykłete”. Chwała obu autorom, zarówno omawiającemu tytuł, jak i samej książce, bo obaj świetnie reprezentują rzadkie i nietatwe postawy nonkonformistyczne, z trzeźwym oglądem przeszłości i terażniejszości. Obaj są świadomi, że łatwo ulegać bieżącemu - jak to się mówi teraz - narracjom historycznym i propagandowym. Obu ich irytują. Mnie też, dlatego z dużym entuzjazmem opublikuję tekst Kurzawy.

Książka jest o festiwalach muzycznych, które umarły już kretelem. O zielonogórskim Festiwalu Piosenki Radzieckiej oraz o Festiwalu Piosenki Żołnierskiej w Kołobrzegu. Ale tak naprawdę jest to książka o czymś znacznie ważniejszym. Szukam trafnego określenia. Może tak: Jest to analiza zachowań konformistycznych na przykładzie powstawania i zamierania wybranych zjawisk z obszaru kultury popularnej, a konkretnie festiwalu muzyki popularnej. Analiza tego jak kultura popularna poddawała się aktualnościom politycznym i propagandzie. Analiza ta obejmuje dzieła muzyczne i wykonawców, organizatorów, popularyzatorów i krytyków. Pokazuje też pewien schemat, jak tego rodzaju zjawiska powstają i gasną niezależnie od aktualnych preferencji. Tak więc nie dziwi, że obok festiwalu kołobrzegskiego autor zestawia Festiwal Piosenki Prawdziwej (z innej już epoki), ukazując, że oba zjawiska są podobnymi kulturowo. Wbrew pozorom nie łatwo zobaczyć te podobieństwa, wszak siła rażenia propagandy (aktualnych narracji) jest porażająca i trzeba wiele trzeźwości umysłowej by popatrzyć z góry na odległe pozornie od siebie zjawiska. Taką trzeźwością wykazuje się i Żurawiecki, i recenzent jego książki, Eugeniusz Kurzawa. Przy okazji: w monografii tej dość bezceremonialnie autor rozprawia się z piosenkarzami, którzy pozapominali, że kiedyś chętnie tam zdobywali laury, a teraz głównie - gdy mówią o przeszłości - koncentrują się na swojej bohaterowości w tych „ponurych” latach 50’, 70’ i 80’, gdy to ich siłą zwożono na te obrzydliwe festiwałe i siłą im wręczano nagrody oraz wyróżnienia.

Dzięki Eugeniuszu, przydała mi się ta chwila refleksji, bo i ja - tapie się na tym - często ulegam bieżącemu narracjom, co mnie łości.

2 stycznia 2020

Wczoraj czytałem Biegunów, Olgi Tokarczuk. Bardzo dobrze się to czyta. Gładko napisane. Język nie stawia oporu. „Historie” ciekawe. Może nieco nuży powtarzalność niektórych motywów, np. niechęci do muzeów a zachwyt nad panoptikami. Ale to nie obniża wartości książki. A jednak jest coś dziwnego w tej książce, a może we mnie? Miałem sporo czasu dzisiaj i mogłem sięgnąć ponownie do lektury, a jednak czułem jakiś opór, niechęć, zatrzymanie. Jest coś w tej książce, co mnie odpycha, choć jest to bardzo nieadekwatne i zbyt mocne określenie. Coś, co mnie wstrzymuje, coś, co pomimo, że planowałem czytać, to zrobiłem wszystko, aby tego nie uczynić. Czułem to tak mocno, że aż przerodziło się

Aneks do kalendarza (7)



w uświadomienie tej niechęci. Być może jest w tej prozie pewien rodzaj bolesności, która wymaga zaciekawienia, chęci przyswojenia, a ja na to nie mam ochoty. Bo nie każdy rodzaj bolesności chcemy sobie uświadamiać, percypować. Najbardziej kłopotliwe dla mnie jest to, że podskórną czuję, że Tokarczuk ujawnia bolesności, które są również moim udziałem, choćby, a może nawet przede wszystkim, w sensie intelektualnym. Może książka musi poczekać aż dostruję się do niej. To dobra książka, nie chcę jej utracić.

8 stycznia 2020

Do książki „Bieguni”, Tokarczuk wróciłem. I jednak z wielkim zapamiętaniem. Minęła mi też dziwna niechęć. Od rana czekam na dalszy ciąg lektury. Ale jednocześnie nie chcę czytać zbyt pośpiesznie, bo szkoda mi, że nieuchronnie się zakończy. To, co mi w książce odpowiada, to jej quasi dziennikowy charakter. To jest bardzo nowoczesna literatura. Jej postmodernizm mnie nie zniechęca, w tym wydaniu jest wręcz odwrotnie.

Czytam kilka książek naraz. Konkurentami Tokarczuk jest Gibbon (Upadek Cesarstwa Rzymskiego), a też książka z modnego, nowego gatunku powieści po upadku świata. W „Gdy ucichną miasta” Jurkowska napisała bardzo sprawny kawałek science fiction. Leży obok też Dzikowska, Warszawskiego. Zaglądam do „Wariatk, która czyta”.

18 stycznia 2020

Przejrzałem rozmowy z książki Fox, m. innymi z Adzikiem Zawistowskim, Marianem Kisielem, a też ze mną. Mam wrażenie, że o coś nam chodziło w tamtych czasach. Dzisiejsi młodzi poeci, to nawet piękne gwiazdy, ale ich zbiory nie układają się w wyraźne konstelacje. Czasami mocno świecą, ale czy coś oświecają? Oczywiście, nie chodzi o to, że są młodzi, że są nowymi pokoleniami. Postępujący postmodernizm spowodował, że nie tworzą ideowych więzi, żyją monadycznie. Jeszcze zaraz po nowoprywatnościowych poetach powstawały ideowe grupy twórcze (niekoniecznie mi bliskie, np. brulionowcy). Ale co ja tam wiem? Bo nie ma mediów, które mogłyby sensownie pokazać dzisiejsze zjawiska. Nie ma pism literackich, które obejmują całość zjawisk pokoleniowych, grupowych, nurty i kierunki współczesne. Ja nie mam wyrzutów sumienia, bo jestem otwarty na młodszych od mnie twórców w Migotaniach. Ale z tego migotaniowego tłumku nie wyłania się jakaś wiedza o najnowszej poezji jako nowego zjawiska..

Ale gdy popatrzyć na nowe pokolenia nie od strony literatury, ale właśnie id strony idei i ideologii, to zaskakuje zaangażowanie nowego pokolenia, nowego tzn. dojrzewającego teraz do życia społeczno-politycznego. Niestety najbardziej widoczne zaangażowane grupy to przede wszystkim te po stronie idei prawicowych, często faszystujących. Chyba wolę już ludzi o słabym instynkcie społecznym. Gdy ich obserwuję, to tapie mnie strach z gardło, bo ich brak instynktu historycznego, brak wiedzy historycznej, szczególnie dotyczący mechanizmów, które doprowadzały do największych dramatów w historii ludzkości, musi budzić lęk. A oni właśnie chcą iść tą drogą.

Świat skreślił w jakieś manowce. W ma-

nowce destrukcji. Zbyt długo panuje pokój i bezpieczeństwo w Europie a też Ameryce? Społeczeństwa zaczynają się samo napędzać jakąś niszczycielską adrenaliną i ślepnie.

Hania spędzić potrafi ze mną po kilka godzin dziennie. Z tego co wiem, to nie jest wielka rzadkość, że dziadkowie mają doskonałe relacje z wnuczkami. Ja pod tym względem - nawet jako przyszywany dziadek - trzymam standard. Ale relacja z Hanią uświadomiła mi ważną sprawę. Od wyjazdu z Cincinnati uważałem, że nie podołam ewentualnemu nowemu ojcostwu i to zaważyło na moich późniejszych związkach. Teraz wiem, że się bardzo myliłem. Nawet jako 70 letni stary dziad wciąż dysponuję energią emocjonalną a też zwykłą konieczną do codziennych obowiązków, która doskonale pozwala mi na spełnianie potrzeb małego, młodego człowieka. Nie chcę przez to powiedzieć, że teraz takie obowiązki wypełniam, nie, jednak jestem tylko dziadkiem. Ale jasne jest, że mogłem spokojnie nie bać się ojcostwa 20 i 30 lat temu. I może to byłoby bardzo, bardzo konstruktywne. Pomijam kwestię szczęścia, która nieomal automatycznie pojawia się wraz pojawieniem się nowego człowieka w naszym życiu.

luty 2020 cd. rozmowy z MF

Nie odpisałem natychmiast po przeczytaniu dziennika, bo byłem w jakiejś takiej gorączce, w ciągłym zamyśleniu, myśleniu, w obecności tamtych chwil.

Trudno wciąż mi się zdystansować i zobaczyć Twój dziennik, jako akt literacki tylko. A jest to bez wątpienia materia na powieść. Na powieść romantyczną w stylu modernistycznym. Z erupcjami uczuć i z upadkami. Bardzo łatwo byłoby mi wyobrazić sobie książkę napisaną na podstawie Twojego dziennika. (...) w powieści pewnie musiałaby się znaleźć jakaś pozytywna interpretacja dla mizerii bohatera męskiego... Hmm.

06 marca 2020

Patrzę na zdjęcie Krępy Krajeńskiej, na budynek z czerwonej pruskiej cegły. Na starą nieczynną, umartą stację. Jest lato, wszystko oświetlone miękkim popołudniowym światłem słonecznym. Puste zabudowania, dziurawe okna bez okiennic w rozpaczliwym zapytaniu. Biały napis nazwy stacji przetrwał. Na kolorowym zdjęciu ledwie widoczne pordzewiałe czerwone szyny przerośnięte żółtą trawą, ale niezbyt wyraźne. Wydaje się, że słychać jakiś stukot, może nadjeżdżającego, ale raczej odjeżdżającego pociągu. Z kominów się nie dymi. Wszystko zatopione w jakiejś nie-rzeczywistości mojej pamięci pomieszanej z tym konkretnym widokiem. Poruszyło mnie to zdjęcie do głębi. Ale zaraz odzywa się we mnie krytykant, co to powiada, że to tandetne wrzucenie, że jeśli coś warte, to trzeba by się najpierw natrudzić, wdrożyć w słowa, zdania, sensy. A przecież nie te sensy mnie poruszyły. Poruszyła mnie wewnętrzna fala, która poprzez ten obrazek się wzbudziła się w moim umyśle i pamięci. Nie napiszę dzisiaj więcej o tym obrazku, bo jest zbyt wiele wart, abym go zniekształcił swoją nieporadnością literacką językową i stylistyczną.

Na stacyjce dawno umarli moje wspomnienia. Tam ich nie ma już. Wypadły poprzez dziurawe i całkowicie zamarte okna. Zardzewiały na rudych szynach. A i nawet trawa, która jest w wietrznym pokłonie nie chce się poruszyć, jest tylko schyłona do przodu, do mojego przodu przyszłości. Wskazuje kierunek, ale już nie czas. Bo tam na tym zdjęciu czas się definitywnie zatrzymał. A nieopisywalnie delikatna, pastelowa w odcieniach trawa zarastającej stare już wtedy - gdy zdjęcie było robione - tory, jest po prostu małym osobistym darem tamtego miejsca dla mnie dzisiaj, gdy siedzę przy komputerze i wpatruję się w obrazek czekając na ruch, drgnienie, poruszenie.

9 marca 2020

Wstaję ostatnio zmęczony a to przede wszystkim przez to, że tuż przed obudzeniem śni mi się koszmary. Ale nie chcę o nich pisać, wręcz przeciwnie, bo dzisiaj obudziłem się niechętnie, ale dlatego, że ostatnie momenty snu były całkiem miłe. Może nie *miłe*, ale zaskakująco intrygujące. Był to sen typu science-fiction, ze światem fantastyki, techniki i nierzeczywistości. Miłe było, że w pomieszczeniu księgarzianym, gdzie się chowałem było ciepło i bezpiecznie. Oczywiście, nie bardzo wierzę w proroctwo snów, uważam, że są niczym więcej niż niesamowitym wytworem uwolnionego z rygorów racjonalności umysłu, ale nie sposób je przecenić. Dzisiaj klimat mojego snu zaciążył na całym dniu. Jest mi miło. Jest mi pogodnie. Chętnie wróciłem do niego.

Nadal czytam Księgi Jakubowe. I robię wszystko, aby nie kończyć czytania szybko. Zwalniam lekturę do granic przyzwoitości czytając po kilka stron dziennie, wolno, zdanie po zdaniu. Okazało się, że ta erudycyjność, ta kompetentna erudycyjność Tokarczuk w przedstawianiu siedemnastowiecznego świata, zakątką dawnej Polski, świata na mnie bardzo kojąco. Lubię to czytać. Z niepokojem myślę, co będzie, gdy książka mi się skończy. Nie przeszkadza mi to jednak, aby nie zauważać pewnych jej dziwności, lub jak kto woli słabości. Na przykład, jak na tak wielką książkę i na tak trwale obecnych bohaterów, to zarysy psychologiczne postaci są dość schematyczne, niegłębokie. A wszystko, co głębokie w tych postaciach, to wynik kontekstów, domysłów i wyobrażeń, np. moich, czyli czytelnika. Niby kreska Tokarczuk nieustannie rysuje swoich bohaterów, a jednak, gdy już coś ma się mocniej wyrazić w ich psychologii, rozpoczyna się inny wątek lub rozdział. Chętnie bym zapytał Tokarczuk, czy taki był jej zamiar. Oczywiście nie narzekam. Lubię wielu jej bohaterów, np. księdza Chmielowskiego, a to już na pewno zasługa Tokarczuk w umiejętnym tworzeniu postaci.

9 marca 2020

Nie ma zmiłuj, do końca roku muszę zakończyć nowy tom wierszy. Bo... dostałem stypendium Urzędu Marszałkowskiego. Całe 5 tysięcy złotych, uchucho! Co ja zrobię z tą górą forsy. Jednakowoż to mnie zobowiązuje do wywiązania się z deklaracji, że napiszę ten tom do końca 2020 roku. I pewnie tak się stanie. Bo chcę. Tak czy owak. Mam już sporo wierszy lub raczej szkiców wierszy do tego tomu. Roboczko nazywa się "Córka". Dość nieporadny tytuł, choć może wcale nie, może jest adekwatny do zamierzenia literackiego. Chcę zamknąć książkę te moje łańcuchowe pisanie o Sybilce, o moje córce, której zawsze miałem zbyt mało.

14 marca 2020

Córeczko Droga, Sybilko, piszę ten kawałek dziennika do Ciebie, choć przecież teraz tekstu tego nie przeczytasz. Świat szaleje. Wciąż trwają wojny. Wielkie migracje biednych i skrzywdzonych ludzi do ludzi,

którym jest nieco lub dużo lepiej. Losy się mieszają a jednocześnie się oddzielają. Nigdy do Ciebie ani do mnie nie dotrze strach, zagubienie, zziębienie dzieci z barek przyprawiających z dalekich krajów do Europy. Nigdy nie dotrze do nas determinacja, uczucia rozpacz matek tych dzieci. A teraz zaczyna się chaos i powszechny lęk, niepokój związany z pandemią koronawirusa. Mnie też ten niepokój dosięga. (...) Wiem, bez względu na te okoliczności, że mam 70 lat. Że moje życie w najważniejszej części już minęło. (...) Napisałem dzisiaj wiersz dla Ciebie. Dużo ich w życiu napisałem. (...) Wiersze są dobrym gatunkiem literackim, bo pozwalają mówić o najważniejszych sensach, o relacja ludzkich, o najbardziej przepastnych uczuciach. (...)

Mój osobisty kompas

Tysiące słońc wzeszło i zaszło,
tysiące księżyców bezustannie pulsowało,
miliony ptaków odleciało
zawsze w tym samym kierunku.
Już podrzewiała wskazówka kompasu,
ale wciąż drga
i pilnuje kierunku

do tej istoty, do tego rozedrganego i prze-
płoszonego
serca, pogryzionych paznokci,
do tej tancerki samotnie tańczącej na kru-
chym lodzie.
Gasną gwiazdy,
przekwitają tulipany, niezapominajki wscho-
dzą, przebiśniegi wędną

i wkluwają mi się wiosną, każdą wiosną,
w moje pomarszczone
dłonie zawsze wyciągnięte w tym samym
kierunku, tam
gdzie wskazuje ta coraz bardziej krucha
wskazówka
zawieszona w kompasie,
w małym pudełku, jak w sercu pełnym
pereł
i twardych diamentów,
i rdzy.

I prochu, i piasku, pokruszonych drobin
lodu,
drobnych patyków, zeschniętych płatków
róży,
resztek całego świata.

Pudełko ledwie trzyma ten dorobek świata
i utrzymuje kruchą wskazówkę

i uparcie wskazuje
jej wolną przestrzeń.

Pozwala wciąż odróżniać
od nicości kierunek.

Pomimo zalewającego mnie mroku.

18 marca 2020

Tak, więc mogę rozwijać swój wątek o nadejściu czasów z fantastyczno-naukowych fantazji. Wciąż jestem zanurzony w XX wieku, a właściwie jeszcze stopami deptam po XIX wiecznym bruku i bardziej realne są czasy, gdy w niedzielę, w całkiem sporym

mieście wojewódzkim po nawet głównych ulicach samochody przejeżdżały raz może na 5 minut, a niezdarne tramwaje raz na pół godziny wiozły nielicznych pasażerów. Wciąż nowoczesną literaturą są dla mnie powieści Faulknera, Prousta, a głównym skandalistą jest Gombrowicz. A tu nagle co się dzieje? Prezydentem mojego kraju może lada chwila zostać homoseksualista, przecież nie powiem gej, bo to wyrażenie z XXI wieku. Chińczycy wybijają się na liderów światowych i to nie w stylu witkacowskim, ponurym i dziwacznym, ale po prostu nowoczesnym i postępowym w technologiach i gospodarce. Nawet fakt, że nowy car Rosji, Putin, rządzi chyba już 30 lat (a jak mniej, to będzie najpewniej tak długo przy władzy), nie zmniejsza mojego zaskoczenia, że świat fantastyczny staje się rzeczywistością. Clark, Brin a w Polsce np. Szmidt, najwybitniejsi wizjonerzy, futuro-fantastki łącznie z Lemem i Strugaccikami byłiby absolutnie zgodni, że to, co się dzieje w roku 2020 jest czymś, co powinno i miało się zdarzyć. To nieco gorzka konstatacja, gdy pomyślę, o aktualnie przeżywanej fantastyczno-naukowej epidemii tzw. koronawirusa. I o wszelkich okolicznościach z tym związanych: upadku gospodarek światowych, zawieszonych w działalności szkołach, o zamykanych sklepach, histeriach zakupowych. Oto rzeczywistość science-fiction 2020 roku: każdy może być zarażony lub zagrożony, na każdego czeka złośliwy wirus, każdy może się udusić na zapalenie płuc. Ludzie tracą pracę. Podstawy codziennego życia. A przed wszystkimi stoi szara, czarna, niewyraźna zasłona przyszłości – co to będzie, jak to będzie? Czy to jest już naprawdę?

W moim domu przeżyliśmy krótką próbę grozy. Agnieszkę powiadomiono, że miała kontakt z osobą, która najprawdopodobniej jest zarażona wirusem. Oboje wyładowaliśmy na kwarantannie. Do czasu zbadania, wykonania testu na jej osobie my wszyscy w domu zostaliśmy poproszeni o kwarantannę, o wyizolowanie, aż sprawa się wyjaśni. Wyjaśniła się, osoba nie okazała się nosicielem. Ale zrobiono nam wymazy i jesteśmy czysti. A zatem ja dzisiaj mogłem wyjść z domu i obejrzeć ten świat w nowym wymiarze. I jest to rzeczywistość inny świat. W sklepach - o dziwo - mało ludzi. Wszyscy trzymają się z dala od siebie. Mnóstwo sklepów pozamykanych. Do aptek wpuszcza się po jednej osobie, do innych publicznych miejsc limituje się liczbę osób. A ludzie zaskakująco są dla siebie grzeczni, grzeczniejsi, choć ostrożni, z 2-3 metrów. Niektórzy nerwowo prześmiewają się z tej nowej sytuacji, inni z przejęciem dzielą się plotkami, ale zasadniczo panuje klimat powściągliwości.

Gdyby, ktoś czytał te słowa np. w powieści z 1979 roku, informując, że opisywane miejsce i czas akcji to świat z marca 2020 roku.

20 marca 2020

Odwiódził mnie Romek Warszawski.

Roman bardzo zyskuje, gdy się z nim jest twarzą w twarz podczas dłuższej rozmowy. Schodzi z niego wtedy jego nieufność. A może nawet podejrzliwość. Ktoś kto go mało zna może uznać, że jest trudnym człowiekiem w kontaktach. Ja – po wielu latach – tak nie uważam. Jest otwarty i serdeczny. Jest też wielkim erudyta w różnych dla mnie niedostępnych dziedzinach. Jako podróżnik jest przede wszystkim znawcą kultury andyjskiej i peruwiańskiej, ale tak naprawdę wie bardzo wiele o sąsiednich cywilizacjach, meksykańskiej, Majów. Gdy jednak go przycisnąć, to okazuje się, że wiele wie o starych kulturach Azji i Afryki. Może naprawdę zaimponować. Rozmawialiśmy o różnych sprawach. (...), ale najciekaw- ➔

cd. str. 90

→ sze były jego słowa o pisarstwie. O jego pisarstwie. Zaimponował mi ostatnią grubą, piękną księgą biograficzną o Dzikowskiej. Teraz siedzi nad innym dużym projektem – pisze dzieje rodu Fidlerów. Nieco zazdrośnie go dopytywałem, czy łatwo mu się pisze (z zazdrością, bo dla mnie pisarstwo to męka). Powiedział, że wręcz uwielbia proces pisarski i że nie sprawia mu on trudności. Że pisanie to najlepszych chwile w jego życiu. Tak, to rzeczywiście Romek może być profesjonalnym pisarzem. Dzikowską pisał 9 miesięcy. Bez trudu dziennie może pisać 4-5 stron i poświęcać temu 6 godzin, tak aby się nie specjalnie przemęczać. To było udane spotkanie. Sensowne. Interesujące. A pointa? Zazdrość mogę Romkowi talentu i łatwości pisarskiej.

Rozmawialiśmy też o pandemii. Obaj podobnie myślimy: rzecz jest bardzo niebezpieczna, ale reakcje są w tym sensie przesadzone, że przynoszą być może globalnie więcej strat niż sam wirus. Czas pokaże. I wydarzenia.

22 marca 2020

Zapytała mnie dzisiaj M., czy nie uważam, że mój dziennik jest zbyt osobisty, czy nie piszę zbyt otwarcie o swoich najbardziej osobistych sprawach, wydarzeniach i przemyśleniach. Otóż nie uważam tak. Po pierwsze nie piszę (i nie napiszę) o wielu osobistych sprawach, bo nie jestem w stanie, nie posiadam takich umiejętności pisarskich, aby opisać swoje życie w wielu szczegółach. Po drugie nie mam takiego planu. Po trzecie, jest wiele spraw, które ukrywam i po które nie sięgnę w swoich zapiskach. Piszę szczerze, choć lepiej powiedzieć, że staram się tak pisać, ale wiele wydarzeń zaciera mi się w pamięci, o wielu nie chce pamiętać. Jednak, tak, chcę pisać jak najbardziej osobiście ten dziennik. Tak też piszę wiersze. W tym sensie jestem prawdziwym „nowoprywatnościowym” poetą i pisarzem. Od zawsze tak było. Nawet znacznie wcześniej, niż nastąpiła „nowoprywatnościowa” refleksja, nim ukuto ten termin. To jednak był wybór, a nie takie mimowolne osobiste pisanie. Zacząłem swoje poezjowanie od bardzo skonwencjonalizowanych formalnie form. Dużo metafor, stylizacji, wszelkich zabiegów artystycznych, z ukrytym autorem i wysoce zorganizowanym podmiotem lirycznym. Wieczne Amazonki są tego dowodem. (...) Dla mnie większość mojego skromnego ilościowo pisarstwa jest funkcją mojego osobistego przeżywania rzeczywistości. Dlatego tak piszę, dlatego tak osobiście, tak bezwstydnie. Droga M., ale jednak jest to tylko w ¼ prawdą. Reszta jest ... nieprawdą, fikcją, wymysłem, czystą kreacją. A i dziennik nie umyka tej proporcji.

28 marca 2020

Pomimo, że jak dotychczas udało mi się nie wpadać w histerię związaną z epidemią, to jednak zakręca mi się w duszy specyficzny nastrój refleksji, smutku, zagrożenia. Wokół mnie nie ma ludzi zarażonych, a jednak są blisko, coraz bliżej. Po pierwsze, za każdym razem, gdy Agnieszka wraca ze szpitala i przynosi specyficzny, lekarski solidny styl mycia rąk, wycierania zegarka, odkazania telefonu, to moje serce drży. Zresztą nie tylko ona pobudza we mnie niepokój. Sybilka jest w kwarantannie od tygodnia. Śledzę uważnie jej stronę FB i wyglądam na to, że na szczęście nie jest chora. W kwarantannie domowej jest też mój Pan Leszek od książek z Londynu. Obserwujemy się coraz dokładniej. Mierzmy gorączkę, nosimy rękawiczki, gdy udajemy się do sklepu lub w innych sprawach poza dom. Groza narasta. Ale jeszcze mnie nie dopadła. Zachowuję spokój i dystans. Ale inni nie koniecznie. Np. MF w korespondencji do mnie pisze, że bardzo

jej dokucza ta pandemia. Co prawda nie używa smakowanego teraz przez wielu słowa *zaraza*, ale dużo bardziej ekspresyjnie opisuje swój stan, bo powiada, że czuje się przez epidemię *okradana*. To dobre określenie. Cały ten zgiełk i faktyczne dramaty okradają nas z życia, z życia takiego, jakie sobie ułożyliśmy, na które bardziej lub mniej zasłużyliśmy. A to choróbko zabiera nasze życie, zmienia je, nie pyta, nie obiecuje, kiedy przestanie straszyć i paraliżować.

Sklepy są jak nigdy puste. Ale co tam sklepy, ulice są puste. Teatry i kina nie działają. Ale ludzie, co ciekawe, są serdeczniejsi. Ciepłsi. Grzeczniejsi. Ten zewnętrzna uliczny nastrój przypomina i rymuje się do okresu Stanu Wojennego. Ale tym razem nie ma czołgów. Żtych milicjantów albo żołdaków, jest cichy, mały zbój.

Dotykaj

Dobrze wiedzieć, że są sprawy, które trzeba
prędzej lub później uporządkować.
Na przykład liście na podjeździe przed domem,
lub podobne do nich listy na biurku.
Liście można włożyć pomiędzy karty ulubionej książki
- gdy poleżą w ich zacisznym cieple stron,
nabiorą polotu dobrej powieści,
staną się miłe i delikatne w dotyku.

Z dotykiem przychodzi dużo miłych rzeczy,
łatwo o tym zapomnieć, gdy jest nadmiar
i gdy nie doświadczamy jego braku.
Gdy byłem młodym jeszcze pisarzem
wierszy
lubilem dotykać cudzych rąk, twarzy,
przybliżać innych do siebie uściskiem lub innym
gestem zdecydowanym i czułym.

Potem zacząłem się wstydzić tego mojego pociągu
do mówienia dłońmi, ramionami lub opuszkami palców.
Moje ciało jednak było uparte i wciąż
dotykało czule liście, koty domowe,
rękawiczki mojej mamy pozostawione na stole,
ale już stawałem na krok dalej od przyjaciół,
kolegów z ławki, a nawet dziewczyny
w której się podkochiwałem.

Wciąż jednak lubilem witać się ze starą jabłonią dotykając jej kory.

Myślałem wtedy, że dużo ważniejsze są
ważniejsze sprawy,
takie jak niedotykalne idee i myśli,
długie poematy, metafory strzeliste,
nawet praca wydawała mi się ważniejsza.

- - -

Dzisiaj poczułem twoją nieobecność
i wszystkie te dotyki dziecka, potem dziewczynki,

a jeszcze później dorosłej kobiety, która
głaskała korę
starej jabłoni w domowym ogrodzie,
gdy stała w długiej fioletowej sukni,
sięgając po niedojrzałe jeszcze jabłko.

To wtedy zrozumiałem i zapamiętałem,
to jest dobre, to jest właściwe i to trzeba
uporządkować.

To jest dobre, gdy depcze cię twoja mała córeczka,
gdy wskrabuje się na ciebie,
który jesteś górą bezradności,
gdy rozplaszcza się na tobie,
liże ci twarz, maluje dżemem usta
i ręce,
wrywa ci w gwałtownym uścisku włosy.

Wytrzymaj to wszystko. Nie spiesz się.
Nie szukaj w dziecku starej kobiety,
sam wróć do czasu, gdy krople deszczu
były ogromne
jak dojrzałe śliwki mirabelki
a niebo było pełne wiśniowej marmolady.

Bądź jak te liście w starej książce na jeszcze starszym biurku.
Ciesz się dotykiem ciasnych stron,
ciasnych dotykiem wypisanych na nich opowieści.
Im tam jest dobrze, lubią być w uściskach księgi.
Jest im przytulnie, mięciutko.
Ciemność stron, ich bliskość gasi płomienie niepokoju,
z kart uciekają strach i samotność.

W dotyku twoich dłoni, w ich bliskości,
w bezwstydzie bliskości twojego ciała
jest więcej zdarzeń niż w całej, wielkiej bibliotece.

Gdy się dobrze przyjrzyć na półkach zobaczysz nie książki,
ale przytulone do siebie liście. Jak te, które
znalazłem na biurku,
pod książką od ciebie na pożegnanie.

Dotykaj, Moja Miła, dotykaj,
To jest właściwe,
nie bój się.

GDAŃSK 18 KWIETNIA 2020

5 kwietnia 2020

Mija pierwsza sobota kwietnia i wielkimi krokami zbliża się wiosna. W ogrodzie kwitną hiacynty, żonkile, wychylają się tulipany. A ledwie co przekwitły morela. Ale to jedyna jasna strona tych czasów. Nadal szaleje pandemia. Wciąż przyrasta liczba zarażonych i chorych. Jeszcze w żadnym miejscu poza Chinami nie obniża się ilość ofiar. Nie przeżyłem czasu wojny, za to przeżywam czas, jak to powiadają, zarazy. Po ulicy można chodzić zasadniczo pojedynczo, do sklepu wpuszczają po parę osób. Wciąż jednak zachowuję spokój i optymizm. Bo właściwie jak się inaczej zachowywać w obliczu wydarzeń losowych? Można wpadać, albo w histerię, albo zachować spokój ducha i czekać cierpliwie, aż epidemia minie. Bo minie. Bo nie

po raz pierwszy ludzkość przechodzi przez katastrofę. Oczywiście liczę, że będę miał szczęście, ale gdy myślę, że może nie, to też nie budzi to we mnie dramatycznego niepokoju. Będzie jak będzie. A tyle było dobrego!

Większość moich znajomych znajduje ten czas jako przymusowy okres wypoczynku. Marek Wawrzkiwicz pisał, że nadrabia lektury. Podobnie Romek Warszawski korzysta z okazji, że pracuje w domu. Ale urzędy niestety też odpoczywają. Taką dostałem informację o ministerstwie kultury, które ponoć nie działa. Ale dobra wiadomość, to że w ministerstwie kultury odpowiedzieli pozytywnie na odwołanie *Migotań* i przyznali skromne finansowanie 20 000 zł na ten rok. Będę mógł redagować pismo bez niepokoju organizacyjnego.

18 kwietnia 2020

Doszedł dzisiaj do mnie esej Urszuli Benki, rodzaj omówienia książki profesora Krzysztofa Dołowego, *Wbrew bogom, czyli od magii i religii do metody naukowej... i z powrotem*. Bardzo mnie ten tekst podniecił, bo jest o tym, co mnie bardzo emocjonuje od lat. Trudno to krótko nazwać, jeśli już, nazwałbym to „wielkim skretem”. Czyli zwrotem w kulturze a w konsekwencji i cywilizacji europejskiej. Od kilkuset lat wydawało się kultura wielkim susami, zakosami i cofnięciami, ale jedna idzie do przodu. Od ciemności do światła. Od niewiedzy i lęku do coraz większej pewności wynikającej z poszerzającej się WIEDZY. Też budzącej niepokój, ale nie strach. Od ciemności w jaskini, od wprowadzających nas w dygot strasznych kapłanów, do czasów, gdy pomimo wielości niepoznania, to jednak poczucia, że strzygi, kosmary i potwory z ciemności już nas tak łatwo nie doganiają. Wydawało mi się, że mój świat to świat arytmetyki, fizyki i przyrodoznawstwa, psychologii, filozofii, coraz jaśniejszego kosmosu i coraz głębszego świata cząstek, a też głębszej (nie obrazkowej) religii oraz metafizyki, która stawia na zrozumienie i pogodzenie najgłębszych intuicji ze światem nauki. Ale tak nie jest. Od co najmniej 30 lat, a może i dłużej świat przystanął. Książki powstają zasadniczo dla tych, którzy je sami piszą lub chętnie by je pisali, chcą przez to powiedzieć, że systematyczne, metodyczne i konsekwentne myślenie stało się paradoksalnie bardziej elitarne, niż można by sądzić po łatwości dostępu do wytworów myśli i kultury. Dominuje zwrot. Skreć. Do tyłu. Do zapomnienia o tym, co już wiemy, powrót do przesądzonego rozumienia świata. Zauważa to i Benka i bohater jej książki Krzysztof Dołowy. Boga poznajemy nie z ksiąg i pism świętych, ale od tępych kapłanów z wystrojonych świętyń. I nie Bóg tam jest ważny, lecz wystrój. Nie chodzi tylko o zwrot do religijności, chodzi o zwrot do tępej religijności, która nic nam nie wyjaśnia, a tylko straszy lub przeciwnie, daje wygodne uspokojenie. Ale też nie tylko o ten zwrot chodzi. Przestają być waleczną myślą, mądrością, etyką, osobowością, inteligencją.... Benka ten skreć kapitalnie puentuje. W jednym zdaniu, że *Sakralność wolno rozpatrywać jako cykliczne uwalnianie się od norm, od rozumowania w kategoriach socjo-centrycznych*, a w drugim, że *Sinusoida po pewnym czasie ocierania się o nikczemność, o obłąd, odegnie się ku górze*. Oby to był nowy paradygmat, rozumienia także dla istnień człowiekowi (nagiej małpie) niepotrzebnych a nawet dokuczliwych.

UMB to mądra poetka. Mądra eseistka.

ZBIGNIEW JOACHIMIAK

Grafika: Eduard Nikonow



Mateusz Wabik

Wdzięczność

Bardzo się cieszę, że nie uwzględniono mnie podczas doboru nazwisk i imion pisarzy na tabliczki, które przykręcono do ławek na krakowskich Plantach.

Nie chciałbym nikomu zawracać głowy sobą, kiedy odpoczywa się po zwiedzaniu Sukiennic i Muzeum Narodowego i jeszcze jakiegoś, o którym nie pamiętam.

Nie nasra na moją tabliczkę gołąb, a ja nie będę węszył spisku wśród jakże zacnych koterii rynkowo-knajpianych, które bym podejrzywał o złapanie

gołębia i zmuszenie go do defekacji na moją tabliczkę. Żaden kibol nie wyrwie

mojej tabliczki, ani nikt nie wyrzyga się na nią po nocnym rajdzie po knajpach. Chociaż raz, albo drugi raz jestem wdzięczny za coś Krakowowi. Naprawdę się cieszę,

że żadna skąpo ubrana turystka, nie zaciągnie oczka na sukience opierając się o moją tabliczkę.

Naprawdę bardzo dziękuję.

Sporty

Jakiś poeta ostatnio pisał, że skoczkowie narciarscy skaczą na nartach do nieba.

Kiedyś jednak czytałem, że skoki narciarskie były pamiętką po ucieczce germańskiego boga Lokiego.

Nie pamiętałem już skąd uciekał, dokąd i kto go uwięził.

Kiedyś pewnie ktoś będzie przekonywał, że pierwszą drużyną piłkarską było FC Betlejem, w której Jezus był napastnikiem, a Judasz przekupionym obrońcą.

A koszykówka to pamiętka po wniebowzięciu.

Znicz

Nie byłem na pogrzebie wujka Maćka w Radomiu. Zapaliłem po miesiącu z dużym hakiem jak na wieloryba, znicz pod grobowcem Matejki – nie znalazłem jakiegoś innego ciekawszego miejsca na Rakowickim, ale pomyślałem o nim. Na cmentarzu krzątały się tego dnia najbardziej wiewiórki w poszukiwaniu jedzenia – co one mogły znajdować w świeżych grobowcach? Szkoda, że nie króliki, które hodował wujek

Długi dzień

Dzień ciągnie się jak pięciosetowy mecz siatkówki. Podczas tie-breaku palę papierosy, przeglądam ogłoszenia o pracę, gram w gry internetowe. Nic nie zapowiada zwycięstwa.

Jak ukradłem gołębiowi 1 hrywnę

Idąc w niedzielę pod halę przez plac Nowaka-Jeziorańskiego zauważyłem, że w przechodzącym

stadzie gołębi jeden ptak przerzuca coś przez łeb, a potem dziobem podnosi i nadal przerzuca, ale w drugą

stronę. Wyglądało to coś jak banknot wyciągnięty z prażynki, ale pamiętając o tym, że takich przysmaków nie

produkuje się, albo produkuje się i rozprowadza z dala od rynku, podszedłem do gołębia i jak

upuścił owe coś, podniosłem i okazało się to banknotem o nominale 1 hrywna.

Co może kryć się w gniazdach gołębi, tego jeszcze nikt nie sprawdził.

Maciej Stępnia

Larry się powiesił

o tym że jest zbędny dowiedział się przypadkiem
gdy twarz ogoliła mu się sama bez patrzenia w lustro
w pierwszej chwili nie zrozumiał tego znaku
pomyślał pośpiech przywidzenie przeoczenie

zignoruj to

uwaga nie jest niezbędna
kiedyś czytał życie na przemiał czy coś w tym rodzaju
ale to nie o nim przecież - to o tobie
szybko bez śniadania nie wyszedł do pracy
której nikt nie potrzebował ale za którą wszyscy
nie zapłacili i wrócił donikąd nigdy się stamtąd nie ruszając

napisał wiersz którego nikt nie przeczytał
ty też nie
wydał wszystkie oszczędności
na największą w historii wyszukiwarke
(Larry powiesił się)
przyszedł rachunek z elektrowni
ach

koniec pewnego złudzenia

świata nie ma albo prawie
tylko wspomnienie po trawie
upojnej zabawie z muchami na stole
ja pierdołę
po śledziu dawno wymarłym niezdarłym
co skończył się fin finito wesoły wróżbito
jak ty

świata nie ma
krzyki paniki z nagłówków półgłówek
śmierdzą strachem patałachem
bardzo skutecznym
niedorzecznym wiecznym
jak nie

świata nie ma
kolejne ranne zaciągnięcie zadzierzgnięcie
życiem byciem gniciem
szeroko wewnątrz gdzie brokuł mózgu zzieleniał z tęsknoty
za zupą ciepłą i grzeczną
konieczną
świata jaźni crème de la crème
z myśli dżem
jak tlen

świata nie ma
że istnieje nadzieja dnieje
jest słodko spokojnie dojnie nie znojnje
i bogobojnie na wojnie
z niebytem zgrzytem
odbytem

dość

świata nie ma
masz tylko mapę
kartografie z bożej łaski

ogromnie zabawna historia

Ockham beknał i zsunął się z piedestału
leżąc w kałuży wydalonych hipotez o świecie stawał się zbędny
ponad miarę po kawałku psuł atmosferę wyczekiwania na cud
lub Armagedon
już go nie ma nie będzie
może nie było

czując się jak on nie tak znany za to bardziej zbędny
ogoliłem myśli tępy ostrzem i zapytałem z włosem czy pod włos
tak jakby różnica nadawała sens może jedyny
pijacko co chwilę łapałem cię za rękę istniejesz li? jesteś? jam jest?
który? jest?

wyrazy twarzy tylko twarzy wyrazy
słowa
ach, cóż mogą, cóż mogą Książę
to tylko zabawy
w rojenia
w brojenia
w byty zbędne w aktualnej hipotezie świata
jak ty
jak ja

zabijając muchy

tutaj dokąd doszedłeś wabiony
hałasem z drugiej strony skóry
nie słuchając lecz słysząc
wciąż lub bardziej czując
jedenostajnie nakrapiane igielkami kąsań bycie
jesteś

z palcami wrośniętymi w czoło
gdy znów coś się zdarzyło
ale nie się nie stało
i nie ma niczego oprócz setek tysięcy
małych ciemnych myśli
poskręcanych zbyt długim lotem lub zbyt krótkim konaniem
zmarłychwstających w twoich ustach

zabij je wszystkie
lepiej



W numerze prezentujemy prace Eduarda Nikonorowa



Zasady współpracy z autorami w Gazecie Literackiej „Migotania”:

- Przekazując materiały do redakcji Pisma:
- autor wyraża zgodę na ich nieodpłatne rozpowszechnianie w formie druku i w internecie.
- autor oświadcza, że teksty i zdjęcia są w całości jego/jej autorstwa i nie naruszają praw osób trzecich.
- autor udziela zgody na wykorzystanie swojego wizerunku i danych osobowych (nazwisko, imię a w notkach biograficznych rok i miejsce urodzenia).
- autor ponosi wyłączną odpowiedzialność z tytułu ewentualnego naruszenia przez siebie prawa spowodowanego publikacją nadesłanych utworów.
- autor zezwala redakcji na dokonywanie skrótów i korektę merytoryczną w nadesłanych materiałach.

WSZYSTKICH CZYTELNIKÓW, Autorów oraz Przyjaciół „Migotań” zapraszamy do wsparcia finansowego naszej Gazety. Tylko dzięki Waszej pomocy będziemy w stanie przetrwać na trudnym rynku oraz drukować Wasze teksty.

Dziękujemy za pomoc! Redakcja

Papierową mutację pisma Migotania można otrzymać bezpośrednio od redakcji. Wystarczy złożyć zamówienie i opłatę za przesyłkę 25 zł za 1 numer. Możliwa jest przesyłka za zaliczeniem pocztowym.

Jak zamawiać kwartalnik? Proste:

1. Zadzwoń pod numer 782-022-502 i złóż zamówienie
2. Wyślij zamówienie mailem do: joa@migotania.pl
3. Ewentualnie pocztą:
Fundacja Światło Literatury, ul. Grunwaldzka 303, 80-314 Gdańsk
4. W tytule przelewu podać:
"Na przesyłkę Migotań. Zamawiane numery i za jaki okres.

Zamawiane numery otrzymasz po wpłaceniu odpowiedniej kwoty za przestanie na konto: Bank Millennium 7411602202000000170195866

gazeta literacka

Migotania

www.migotania.pl



ISSN 2083-2494

numer 1, 2, (66, 67) 2020

Redakcja:

Redaktor naczelny: **Zbigniew Joachimiak**

Dział PR: **Adam Buszek**

Dział tekstów, redakcja i korekta: **Agata Foltyn**

Dział fotografii: **Sybilka Storie**
Redaktorzy: **Maria Jentys-Borelowska**
(Warszawa),

Andrzej Wołosewicz (Warszawa),
Zbigniew Kresowaty (Łądek Zdrój)

Stale współpracują:

Anna Frajlich (Nowy Jork),
Grzegorz Musiał (Bydgoszcz),
ks. **Jan Sochoń** (Warszawa),
Leszek Szaruga (Warszawa),
Olga Śmiechowicz (Łódź),
Roman Warszewski (Gdynia),
Marek Wawrzekiewicz (Warszawa),
Krystyna Śmiechowicz (Łódź),
Aleksandra Naróg,
Urszula M. Benka,
Leszek Żuliński (Warszawa)

Redakcja niekoniecznie podziela poglądy autorów.

Opracowanie graficzne:

Baltox Jolanta Rakowska

Wydawca: Fundacja Światło Literatury
Adres redakcji: Fundacja Światło Literatury,
ul. Grunwaldzka 303, 80-314 Gdańsk
tel. 782-022-502
601-840-302

joa@migotania.pl,

Fundacja



ŚwiatłoLiteratury

Migotania.

Redakcja uprzedza, iż nie odsyła tekstów nie zamówionych. Staramy się odpowiadać na propozycje tekstowe, ale nie zawsze możemy to zagwarantować. W korespondencji z Redakcją prosimy używać przede wszystkim adresów e-mailowych.

W sprawie zamieszczania reklam prosimy o kontakt mailowy na adres:

joa@migotania.pl



WOJEWÓDZTWO
POMORSKIE

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW
SAMORZĄDU
WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW
MINISTRA KULTURY
I DZIEDZICTWA NARODOWEGO



WYPRASOWANIE (31)

Potączenie pandemii (globalnego) oraz epidemii (lokalnego): wirus i świrus - aż chce się sięgnąć po starego dobrego Miłosza i jego *Traktat poetycki*, by dokonać śmiałej przeróbki wersu mówiącego, że „jest ONR-u spadkobiercą Partia” na doraźne i smutne, a powiadające, że „jest Partii spadkobiercą PiS”, co zdaje się potwierdzać starą tezę, że mimo zmieniających się okoliczności mechanizmy polityki pozostają niezmiennie, ale też i to, że „historia powtarza się jako farsa”, a czasami nawet tragifarsa, co, choć przykre, stanowi przynajmniej interesujące wyzwanie dla politologów i teoretyków literatury, zwłaszcza zaś specjalistów od genologii. Inaczej mówiąc: koronawirus, który zaatakował ludzkość od strony Chin – ale Chińczyki, jak wiadomo skądinąd, trzymają się mocno – spowodował potężny kryzys, w wyniku którego stało się życie gospodarcze i społeczne. Pamiętać należy wszakże, że kryzys nie musi oznaczać wyłącznie jakiegoś kolapsu czy choćby tylko zapaści, ale też pobudzać może nadzieję na przesilenie – tu hasło: „Kto się na dzieje nadzieje niech straci wszelką nadzieję” okazuje się nie do końca trafne. Tak też rozwój wydarzeń pandemicznych potraktował jeden z moich ulubionych autorów, Paweł Lisicki – po tekście którego sięgam chętniej niż po dzieła takich tużów jak Wildstein, Rokita, Ziembkiewicz czy nawet Wencel – który w wypracowaniu wielkanocnym na łamach swego tygodnika zatytułowanego „Do Rzeczy” (nr 15/2020) a zatytułowanym odważnie i odkrywczo *Koniec pewnej epoki* radośnie wskazuje efekty kryzysu: „Pierwszym i chyba najważniejszym będzie renesans idei państwa narodowego. Doskonale widać to już po pierwszych reakcjach polityków. W zderzeniu z pandemią okazało się, że Unia Europejska jest organizmem słabym, powolnym. To rządy poszczególnych państw same podejmowały decyzje o zamknięciu granic, o wprowadzeniu konkretnych środków – zamknięciu szkół, poszczególnych branż, zawieszeniu obowiązujących dotychczas ustaw – w walce z pandemią. To państwo narodowe stało się dla swoich obywateli najważniejszym punktem odniesienia”.

Rozumiem radość Lisickiego, ale bez przesady, nie będę razem z nim cofał się do XIX stulecia. „Idea państwa narodowego” jako idea ma się nieźle zwłaszcza w środowiskach konserwatywnych, ale pomysł, że powrócimy do dumnego samostanowienia w zglobalizowanym świecie – a nie odglobalizuje się on, mimo rojeń niektórych publicystów, zbyt rozuhaną jest i wzajem powiązana sieć firm i przedsiębiorstw – taki pomysł jest jeśli nie wprost głupi, to w każdym razie równie dziwny jak zamiar spacerowania w tuzurku owiniętym pasem stukim: można, ale niewygodnie. Co prawda premier Polski – nomina sunt odiosa – wmawia nam, że doganiamy i wyprzedzamy nie tylko Europę, ale i świat cały we wszystkich dziedzinach, ale te zapewnienia jakoś mi dziwnie przypominają przemówienie trzymane przez Ericha Honeckera, pierwszego sekretarza energetycznej partii komunistycznej, w czasie wielkiej ucieczki swych obywateli z NRD w roku 1989, który w ponad godzinnej mowie zachwalał wynalazony w Niemczech Wschodnich największy mikroprocesor na świecie wyraźnie nie zdając sobie sprawy w jakich okolicznościach przyrody przyszło mu występować.

Zanim więc wsiądę do jednego z miliona elektrycznych samochodów rodzimej produkcji, to zapewniam, że przyszłość krajów Europy raczej we wspólnotach typu Unii widzieć należy niż w indywidualnej egzystencji. I owszem – pewne decyzje będą tu podejmowane lokalnie, a tym samym szybciej, gdyż na lokalnym poziomie nie ma konieczności ich uzgadniania z innymi podmiotami, a inne wolniej, gdyż w ramach wspólnoty takie uzgodnienia są koniecznością w trosce o ich skuteczność i powszechność. Ja rozumiem, że to trudno zrozumieć, ale, jak pisał Staszek Barańczak, „taka jest prawda nieprawda i innej prawdy nie ma”... Rzecz jasna, można takiej wspólnoty przeciwstawić inną, jak choćby forsowane Trójmorze, które określam nieco ortograficznie innym mianem – „Trujmoże”: koncept, wedle którego Polska ma być „siłą wiodącą” dla grupy państw środkowoeuropejskich: oto istota mrzonki o roli „państwa narodowego” alla polacca – ma być ono mianowicie głównym rozgrywającym przez siebie konstruowanej antyunii, by skutecznie móc się przeciwstawić brukselskim szatanom.

W dalszej części swego wypracowania rozpędza się Lisicki na całego: „Renesans państw narodowych może też mieć wpływ na zmiany dotychczasowej, tak bardzo motywowanej ideologicznie polityki Unii. Zdrowy rozsądek podpowiada, że na śmietniku historii powinny wylądować słynna polityka neutralności klimatycznej i inne brukselskie pomysły. Ktoś, kto walczy o przetrwanie (...) powinien być w mniejszym stopniu gotów uciekać się do wielkich, globalnych, utopijnych projektów. (...) Być może zresztą kolejnym efektem politycznym będzie wzrost znaczenia ruchów i sił politycznych, które kontestowały lewicowy europejski establishment”. Jak widać, wiążąc Lisicki z pandemią poważne nadzieje na isticie epokowe przemiany, choć dość trudno dociec, dlaczego wykombinował sobie istnienie europejskiego establishmentu akurat w Brukseli – zapomniat widać młodzieniec, że Unia powstała z korzeni chrześcijańskodemokratycznych i że nadal ta właśnie frakcja w parlamencie i władzach tej wspólnoty dominuje. Ale cóż – przywykłem do tego, że lewica nie jest z punktu widzenia takich ludzi jak Lisicki lewicą dlatęgo, że jest lewicą, lecz lewicą jest określane to, co się nie mieści w światopoglądzie konserwatystów – czy będzie to ruch LGBT, czy papież Franciszek, im to za jedno. Co zaś do neutralności klimatycznej to na horyzoncie zdarzeń pojawiło się coś dla Lisickiego mało fajnego – otóż, niezależnie od walki o przetrwanie z koronawirusem czeka nas w Polsce walka o przetrwanie z nadciągającą suszą i zapewniam, że nie będzie to byle epizodyczna potyczka, przynajmniej w doraźnej perspektywie, zaś w tych zmaganiach prawdopodobnie trzeba się będzie do tej lewackiej Unii zwrócić o posiłki, gdyż jeśli sami mielibyśmy się z tym zmagać, wówczas i tak czekający nas kryzys gospodarczy może się okazać koszmarem. Niby to z perspektywy wieczności drobiazg, ale nie takie drobiazgi okazywały się katastrofą.

Dla równowagi zatem sięgam po „lewicowy” zapewne w oczach Pawła Lisickiego konkurencyjny wśród pism opiniotwórczych

„Tygodnik Powszechny” (nr 16/2020), by przeczytać w nim wywiad – swoją drogą: co otwieram pismo, to roi się od wywiadów, jakby nie było już samodzielnie piszących dziennikarzy – z filozofką Ewą Bińczyk zatytułowany (podobnie jak przed laty głośna książka eseistyczna Adama Zagajewskiego) *Solidarność i samotność*. W przeciwieństwie do wysublimowanych dywagacji Lisickiego filozofka wali wprost: „Nigdy jeszcze ludzkość nie stała przed takim wyzwaniem jak kryzys klimatyczny. Empirycznie udokumentowanym w tysiącach badań. Nasza planeta i nasze życie nie mają przyszłości, jeśli szybko czegoś nie zmienimy. A my nie umiemy wytrzymać nawet tego, że koronawirus odbiera nam przyszłość na kilka miesięcy. Tamtym się nie przejmujemy, to nas kompletnie rozbiła. Ranga problemu taka sama, bliskość perspektywy wszystko zmienia. (...) O tym, jak bardzo nie jesteśmy sobie równi, pisze nie tylko Olga Tokarczuk, wspomina o tym także papież Franciszek w encyklice „*Laudato si*”. Z 7,8 mld ludzi na Ziemi miliard najuboższych nie emituje do atmosfery prawie nic – bo prawie nic nie konsumuje, głodując. Naprawdę potrzebujemy w tej sytuacji planetarnej solidarności”.

Zastanawiam się, co ma na myśli Ewa Bińczyk, gdy mówi o „szybkiej zmianie”. Co znaczy „szybko”: w ciągu roku, dziesięciu lat, pięćdziesięciu? Sprawa wydaje się dramatycznie skomplikowana. Gdy uświadamiam sobie, że jako chłopak czułem, że glob nasz jest zapchany tymi 3,5 miliarda jednostek osobowych określanych przez Tadeusza Różewicza mianem „gadającej pleśni”, to dziś, kiedy tego się nazbierało ponad dwa razy więcej, wydaje mi się, że daleko już nie da się. Ale okazuje się, że jestem pesymistą. Specjaliści od demografii zapowiadają w najbliższych latach eksplozję przyrostu naturalnego na kontynencie afrykańskim. Z tej Afryki, w miarę narastania efektu cieplarnianego sprawiającego, że nie da się tam żyć, ludzie ruszą (nawiasem mówiąc śladami homo sapiens, który spotkał w Europie czekającego nań neandertalczyka, po którym odziedziczył m.in. białą skórę) na północ po to także, by korzystać z zasobów wody pitnej, której na Czarnym Łądzie zabraknie. Ten napływ sprawi, że także w naszej kochanej Polsce (ale też – niech się kolega Orban nie łudzi – na Węgrzech) tubylcy znajdą się w etnicznej mniejszości. I co wtedy z tak dumnie podnoszoną „ideą państwa narodowego”? Zważywszy zaś, że napływ imigrantów – już zresztą także na ulicach Warszawy widoczny – jest procesem żywiołowym i niemożliwym do powstrzymania, jest o czym myśleć, a myśl o planetarnej solidarności nie wydaje się tu myślą bezużyteczną, raczej przeciwnie. Co na to powie Lisicki, Paweł Lisicki? Wiem: powie, że to lewackie strachy na Lachy i że Trujmoże da temu odpór.

LESZEK SZARUGA



Powszechnie znana historia Orfeusza daje przykład mitu okaleczonego i tym samym kłamiwego (mówiąc wyłącznie prawdę, można wprowadzać w błąd; mit w pełnej wersji przeciwnie, rzuciłby uśmiech z aforyzmem Jeana Cocteau: „Zawsze kłamię, więc zawsze mówię prawdę”). Poruszyłam to komentując esej Andrzeja Saja *Gest Orfeusza*, tekst ważny za przyczyną refleksji nad metafizycznością fotografii – ale i kolejnej lawinki uchybień wobec mitu, winiąc zresztą nie tyle autora, co tradycję i jej swoistą zmoję. Dla Saja Orfeusz to właśnie tylko ikona przejęta od Rilkego i Kołakowskiego, którzy na użytek Orfeusza sprowadzili przestrzeń sakralną do świeckiej, do zrozumiałego nieszczęścia, jakie spada na kogoś; możliwe, że były to iskry eksplozji kultu świeckości w XX wieku.

Mieli nowożytni Europejczycy jeszcze w powiackach myśli o tym micie – wedle słynnego słownika Pierre’a Grimal – inspirowanym Homera i Hezjoda, jednym z najstarszych, najbardziej niejasnych i obciążonych symbolizmem, jakie zna mitologia śródziemnomorska (co w świetle badań nad mitami wolno rozumieć jako pochodzący ze średniego paleolitu, epoki Neandertalczyka; mit narodził się razem ze sztuką) – gdy przyjęli za pewnik, iż sztukę i zwykłe życie dzieli przepaść. U podstaw naszej ostrej antynomii leży inne ugruntowane przeświadczenie, że oto byłyby wyższe od niższych dzieła ściana, tedy również i między poezją a modlitwą **zawsze** pozostaje nieprzekraczalna granica. Św. Jan od Krzyża, będąc jednocześnie i mistykiem, i najczystszej wody artystą, nigdy nie uważał, że napisanie wiersza jest aktem kontemplacji¹, co tyczyćby nawet wersów z *Noche oscura del alma*; wyraz *alma* oznaczać może duszę, ducha, jądro, kanał, sedno, serce, lufę broni – każdy z odpowiedników rozkręca tu odrębną metaforę, odrębny ekran dla nocy „rozpalonej udręczeniem miłości”. W uchu Leszka Kołakowskiego twarde „nigdy” hiszpańskiego mnicha-ascety niosło głębokie echo, zgola jak w jakimś mrocznym tunelu na Tamten Świat. Filozof akademicki czuł się w powinności skłonić przed ekstatykami. Musiał tedy postawić nowoczesne pytanie, czy aby z każdą poezją tak jest? Bo może tylko poważne stance, świadome swoich znaczeń, dostojne stance klasyczne, są zbyt ciężkie, aby przeskoczyć tę Szczelinę? Ale lekka pićczka da-da? Lekuchna, pustota pełna pićczka absurdalności i dziecięstwa, jeśli nawet nie przeleci, to da się użyć przy innych – oby wszelkich! – głuchych ścianach do zabawy w ping-pong, nawet w ciemności. W kulcie świeckości kontemplacja artystyczna i prawda naukowa, a ostatnimi laty zabawa względnie gra z adrenalina wypierają kontemplację i prawdę religijną. Tyle, że Orfeusz był muzykiem, dopiero gdzieś daleko, daleko potem śpiewakiem i poetą.

Chodzi o inną materię tworzenia, a mianowicie wolną od dyrektyw rozumu – który „stwarza cienie rzeczy”. Słowa kurczowo trzymają się rozumu. Kołakowski to, rzecz jasna, instynktownie wie, zdaje sobie sprawę z różnicy między muzyką i światem sztuk, choćby tylko w wyobraźni, jak poezja, dotykanych. Muzyka była duchem wnikałym w fizjologię słyszenia, wysłizgiwała się jak wąż nawet rytmowi bębna, nie wspominając już o lekkich aulosach i lirze, których głos na górskiej łące napotykał wietrzyki i wichry, odgłosy owiec i pasterskiego psa. Stapiął się z nimi jak w filiżance herbata z miodem,

jak tlen z hemoglobina. To coś, co wieki później notowano na partyturach, było tylko solówką jakiejś pan-symfonii. Partię na lirę i flet w symfonii obejmującej całość, z przesyconą życiem i śmiercią górską scenografią. Kiedy mit mówi, że podczas gry Orfeusza w lesie i na upłazach zalegała cisza (ba, także w Tunelu Hadesu, gdzie tłem muzycznym byłoby owo echo, z którego nijak wydłubać i przenieść w odpowiednim szyku na partyturę orfickie nutki), to Rilke – w tłumaczeniu Mieczysława Jastruna – doda od siebie:

Wszystko zamilkło (...)

Z zasluchania. Ryk, wycia, skomlenie
Zmalały w sercach ich. A gdzie przed
chwilą

Ledwie dawała im chata schronienie,

Kryjówka w najciemniejszym pożądaniu,
Z wejściem, gdzie drżące węgary się
chylą –

Tam wzniosłeś im świątynię w zasluchaniu.

Co Rilke dodał? Świątynię zasluchania. Wyczuwam zgrzyt. Wyczuwam, po pierwsze, idolatrię Orfeusza zredukowanego do artysty, ustawiającego go ponad kosmosem. Przypomnijmy już od razu konstatację Henry’ego Fuseli, malarza, który uchodzi za twórcę „gotyckiego romantyzmu” a może sztuki nowoczesnej: „kiedy artysta, chcąc indywidualnie się podobać, próbował zmonopolizować zainteresowanie należne sztuce, wyróżniać się nowością i pochlebiać rzeszom, (...) wówczas zmierzał ku swej zagładzie”. Wilde zaś zawzięcie utrzymywał, że „Objawiać piękno, ukrywać artystę, oto sens sztuki”. Dzisiaj odwrócenie na opak tej zasady wydaje się już dogmatem celebryctwa. A po drugie – nawet już antyczny (późny) Orfeusz przez Greków kojarzony jest z inicjowaniem misterii², bynajmniej nie wzniesieniem świątyni, choćby i piękniejszych od ateńskiego Partenonu.

U początku kultury egejskiej (a przecież mity są starsze od kultury!) miejsca sakralne wskazuje Niebo, mianowicie oddaje tonu Ziemi część swojej materii, swojego ciała albo po prostu swojego ja – meteoryt. częstokroć żłobiąc ją, przy czym wyciśnięty krater zaczyna zapełniać się wodą lub oparami z jej trzewi. Rilke zdaje się to widzieć okiem mieszczanina, jakiemu już trudno sobie wyobrazić zaniechanie sporządzenia konstrukcji i pozostawienie świętości miejsca względnie zdarzenia, takiego jak zasluchanie, na łasce i niełasce natury. Któżby trafił w ludzką ręką nieoznaczone miejsce? – rozumuje Europejczyk. Świętość? Toż igła w stogu siana! Jakże bez przypieczętowania budowlał wytropić w lesie ślad po milczeniu zwierzęcia? Epoka megalitów położyła zapewne kres egalitaryzmowi ludzkich skupisk, rozdartych odgąd na elity i pospólstwo. Archeolog znajduje, że skromnym, płasko rozlokowanym żalnikom zwykłych ludzi przeciwstawił się grób już osobny, wypchany miedzią i złotem, „metalicznego” władcy, który nawet genotypem odciął się, co obnażyły badania DNA, od kobiet tubylczych. Elity zawsze sięgają po sakrę, po widome menhiry tego,

że ich inność uprawnia do sprawowania władzy i przemocy wobec reszty. Zatem, gdyby ta reguła miała być powszechna, to objęłaby Orfeusza. Spójrzmy: Orfeusz płynął z Argonautami, był ich prokeleustesem, nadającym grą święty rytm dla wioślarzy; kiedy na morzu rozpętała się burza, jego gra na dziewięciostrunnej lirze – tyle strun, ile Muz – uciszyła góry wodne, wstrzymała gromy. Jakżeby wznosić templum w przestworzach nieba, odszukać odcisk błyskawicy? Templum z niebios spada więc ciężko na ziemski padół. W tłumaczeniu Juliana Przybosa mamy też więc stworzenie świątyni w słuchu słuchacza, aczkolwiek znowu akcent pada na świątynię.

Misteria orfickie zmieniały świadomość. Oczyszczali. Pojawiające się w nich logoi upewniały tylko, „że istnieją jakieś drzwi do tajemnicy, które otwierały się dla tych, którzy jej szczerze poszukiwali. Oznaczało to, że istniała szansa wyrwania się z zamkniętych i jałowych dróg możliwej do przewidzenia egzystencji. Takie nadzieje (...) dawały możliwość doświadczenia jakiegoś wspaniałego rytmu, w którym rezonans poszczególnej psychy mógł się włączyć dzięki niezwykłemu zdarzeniu *sympatheia*.”² Znałe nam a najprzeróżniej objaśniane echa eschatologii orfików mówią o „kole żywotów” i o wędrówce dusz przez następujące po sobie wcielenia. I o spokoju pod niebem Kronisa już, a nie Zeusa, z dala od ludzi, na krańcach świata dla tych, którzy uniknęli podłości. W tej perspektywie nie jesteśmy indywiduami, osobami, a tylko przemieszczamy się fragmentami, składnikami naszych ciał, po bezmiernym organizmie życia. Gdyby móc oglądać ekosferę przez mikroskop elektronowy, ujrzelibyśmy galaktykę. Jakąś wielką galarety energii. Oddają to narracje poświęcone egzystowaniu w trzewiach, od Jonasa po Pinokia. Kiedy bohater wydołuje się, jest już „kimś innym”, co tutaj na chwilę potraktujemy dosłownie, bo może już dość przenośni w ogóle dla słuchacza niewiążących.

Gdyby jednak poprzestać na uznaniu w tych narracjach tylko oczyszczenia, napotkamy problem: oczyszczenie na głębszym planie okazuje się zmażyć; ta ambiwalentna natura oczyszczania jako zmiany struktury a więc tożsamości daje się zauważyć w znanym hinduskim rytuale obmywania się ze świętości po to, aby móc powrócić do funkcji koniecznych do przetrwania, jak odżywianie się, zakładanie wieloletnich ubrań, seks, rozmowy z innymi ludźmi i prace gospodarskie. W stanie świętości wszystko to było objęte zakazem. Związany ciasno z orfickością kult Dionizosa wiele zawdzięczał inspiracjom hinduskim; bóg wina i szaleństwa wedle wielu mitów pochodził właśnie z tego subkontynentu, gdzie fenomen natury, jak przykładowo rzeka Kriszna – jest bogiem Kriszną, a ponieważ w Trójcy-Trimurti zlewa się w nią jeszcze Wenna, kojarzona z bogiem Śiwą, i Kojana, kojarzona z bogiem Brahmą, to Kriszna jest bogiem Wisznu: stwarzając uniceśwta. Dionizos narodził się w Indiach, sama kąpiel w nurcie Indusu żołnierzy Aleksandra Wielkiego była bakchiczna.

Oczyszczanie się z pożądania Eurydyki względnie, jak długo utrzymywano w chrześcijańskiej Europie, i jak to podjął Freud – sublimacja libido w wenę twórczą (pogląd bliski oczywiście św. Janowi od Krzyża) z tego punktu widzenia okazuje się splamieniem

Orfeusza; jest tym bardziej plugawy, im mniej pożąda. Epizod z odwróceniem się za siebie dlatego też fascynuje aż tak, bo zawiera kulminację tęsknoty, przeczącej czystości, rozumianej jako rozłączność. Można to wyrazić nieco inaczej; tęsknota przerasta zaufanie do *sacrum* wyobrażonego postacią Persefony, która zezwoliła na wyjście zmarłej z Hadesu.

Ikona Orfeusza, nierozłączna z tym, że Eurydyki nie potrafił grajek wyprowadzić z krainy umarłych, pomija fakt, że poszedł nie po Eurydykę, ale po jej cień. Tęsknota, jaka odebrała zaufanie do *sacrum*, była tęsknotą do cienia. Wolno ją rozumieć w pryzmacie platońskim albo Cervantesa (Don Kichote ujrzy wprawdzie realną dziewczynę, ale – owa Dulcynea z Tobosso to chłopka, łuszcząca groch na przyzbie. Sancho Panza opisze ją: silna, głośna i łasa na załoty. Marzenie o miłości z nią też rozwieje się

w nicość; zabawne, bowiem według Leo Löwenthala Dulcynea jest uosobieniem... twórczości).

I dlatego przerwanie ciągłości z Eurydyką kala, brudzi, zohydza, zanieczyszcza także sztukę bohatera mitu – traci on bowiem moc również artystyczną, te same tony, które „onego czasu” (chwilę przedtem) poruszały do żywego bóstwa podziemne, teraz są puszczane mimo uszu. Ich formalna maestria nie zda się na nic. Sztuka, oznajmia mił, żyje w upragnieniu prawdy, ale nie cienia i utłudy. Doskonałość formalna sztuki jest tylko cieniem, utłudą. Niewiele czasu trzeba, aby zwiędła i stawała się krępująco *demodée*. Jak sam Rilke: Mieczysław Jastrun wyznaje, że nigdy tak nie odczuwał **obcości Rilkego**, jak po swoim doświadczeniu ostatecznym, wyjściu z piekła wojny i okupacji.

Ta surowa, nieprzejeżdżalna granica postawiona mocy artyzmu przynębia kultu-

rę Zachodu. Człowiek ma tu obsesję na punkcie efektywności poczynañ. Ma też nie mniejszą obsesję w kwestii przeciwstawiania geniuszu temu co zwyczajne, przyziemne, co niekoniecznie powoduje zamarcie w uwielbieniu. Zresztą, o ile „chrześcijaństwo posiada artykuły wiary, w które trzeba uwierzyć i je wyznawać, podczas gdy w misteriach mamy do czynienia jedynie z odwołaniem się do sekwencji spełnionych zachowań rytualnych”, to „rytuał jednak nie potrzebuje żadnej wyraźnej teologii, by zyskać skuteczność”, a nawet nie utworzono w Grecji terminologii, jaka by orfików pozwalała odróżnić od wtajemniczanych w misteria o innym charakterze.³

Już pod tym względem widnokrąg Rilkego odpowiada regułom utworzonym przez wycofujące się z mistyki chrześcijaństwo. Skupiło ono świętość w kościołach i wyimaginowało sobie sfery świeckie, a nawet bezbożne. W wieku XX z upływem dekad coraz trudniej w świeckości i „bezbożności”, jeśli nie jest się Leśmianem, dostrzegać terytoria równie sakralne jak Delfy albo Lourdes. Co więcej, towarzyszy temu upewnienie, iż miłość to sprzeczność – „jak wszelkie dzieła człowieka”, jest „najwyższym szczęściem i najwyższym nieszczęściem (...) We wszystkich epokach i miejscach na ziemi język codzienny obfituje w wyrażenia podkreślające ową kruchość i wrażliwość kochanków (...) Okrutny paradoks: skrajna wrażliwość kochanków jest odwrotną stroną ich równie skrajnej obojętności na wszystko, co nie jest ich miłością.⁴ Oh, daß Ihr hier, Frauen, einhergeht, hier unter uns, leidvoll, nicht geschoner als wir und dennoch imstande, selig zu machen wie Selige. [„Ach, że to wy, kobiety bolesne wśród nas przechodzicie, nie bardziej niż my oszczędzane, a przecież szczęśliwością jak wieczność darzące” [przekład A. Pomorskiego].

Hans Georg Gadamer, „autor Prawdy i metody tak wyjaśnia zacytowany, inicjalny fragment *Anty-strof* [elegii wyłączonej z *Duinejskich*]: 'Przedmiotem skargi jest nieosiągalność dla kochanków prawdziwego szczęścia, albo raczej niezdolność kochanków, zwłaszcza kochającego mężczyzny, do takiej miłości, która dałaby prawdziwe spełnienie. A tym samym temat elegii zyskuje na ogólności. Chodzi wszak o odwieczną słabość ludzkiego serca, które nie potrafi oddać się całkowicie uczuciu. *Anty-strofy* żałują, że kochająca kobieta przewyższa pod tym względem mężczyznę. W *Elegiach* mówi się podobnie o bezgranicznie kochających – kochających w opuszczeniu. Ale to nie wszystko. Z doświadczeniem miłości wiąże się doświadczenie śmierci, oba te doświadczenia są probierzem dla ludzkiego serca, które nie mogąc im sprostać, uświadamia sobie własną zawodność. Ta zawodność, słabość uwiadamia się zwłaszcza wtedy, gdy śmierć następuje przedwcześnie. Nie jesteśmy w stanie przyjąć śmierci dziecka czy młodzieńca taką, jaką ona jest w smutku i w lamencie, ale bez wyrzekania na okrucieństwo losu. *Anty-strofy* są swego rodzaju streszczeniem *Elegii* (...), zakończone nieco przed ostateczną redakcją całości, towarzyszyły niejako cyklowi *duinejskiemu* w jego dziesięcioletnim wykluwaniu się. Rilke nadał swej poetyckiej wyobraźni podwójny, a nawet potrójny kształt. Za komplementarną wobec charakterystyki kobiecości, zawartą w *Anty-strofach*, można bowiem uznać tę dotyczącą chłopięcości (męskości), zapisaną w *tetrastychu* z 9 lutego 1922”⁵.

W załączonej do *Rozmów z diablem* w 1965 *Apologii Orfeusza, śpiewaka i błazna, rodem z Tracji, syna królewskiego* powraca surrealistyczna, ale wciąż świecka przestrzeń dramatu a potem filmu Jeana

Grafika Eduard Nikonorow



Cocteau Orfeusz z 1926, a potem drugiego filmu z 1950 – *Testamentu Orfeusza* (temat najwyraźniej nie dawał spokoju Cocteau, co dzieje się, kiedy rozpoznajemy swoją zdawkowość). Aczkolwiek, w złośliwostkach o Eurydyce Kołakowski zdaje się sięgać nie tyle w mit, co do kolorowych pism z czasów, kiedy był marksistą i cieszył się pełnią sił męskich, np. kącika humoru „Przekroju” – jeśli nie „Playboya”, obwieszczającego Męski Punkt Wzroku, które w rozkosznych, jak je zwano na Zachodzie, latach 60’ lansowały dowcipną gderaninę żonkosioń na wegetowaniu pod pantoflem. To właśnie oddawał genialny polski kabaret: „Rodzina, ach, rodzina! Rodzina nie cieszy, nie cieszy, gdy jest...”

Orfeusz więc epoki zimnej wojny, epideмии rozwodów, rozstań, zmiany obyczajowości, w Polsce filmów od *Kochanków z Merony* po *Wszystko na sprzedaż*, *Polowanie na muchy* i wreszcie wirtuozersko grane ale płytsze, bo z tezą *Bez znieczulenia* – jest tworem dyskretnego uroku burżuazji oraz inteligentów z aspiracjami, aby stać się guru, pełnych jednak rozczarowania, że miłość mija, że nie satysfakcjonuje. Poza kruchością „naturalną” ofiarowana bywa niegodnym. Ba, jeżeli nie jest doskonała, czyż jest warta doświadczenia Piekła? Lata 60’ nie wzięły się znikąd, są mocno ukorzenione w tym, czemu się namiętnie sprzeciwiały. Ich instynktowne zmierzanie ku wyzwoleniu doprowadziło do konsumpcjonizmu i chorób z obżarstwa (wedle obliczeń WHO wydatki na ich leczenie wystarczyłyby na likwidację światowego głodu), że oklapło w bezkrytyczne samouwielbienie Zachodu – *the big is beautiful*, a wreszcie w tęsknotę za silną władzą, silną pięścią, głośną komercyjną wiarą i – tu by trzeba wyliczać hasła wyborcze Donalda Trumpa co do obecnej mutacji American Dream.

Tak czy owak, wyimkom mitu u Rilkego w przestrzeni *Sonetów do Orfeusza*, to jest przestrzeni opiniotwórczej, brakuje nawet nerwu polskiego spektaklu Jerzego Grotowskiego, w jakiej „Koń [czyli muza u Cocteau – UMB] wystukiwał Orfeuszowi kopytem frazę, którą nazywał on ‘melodią marzenia, kwiatem z najtajniejszych głębin śmierci’”, jak pisał na łamach „Od Nowa” Bogdan Danowicz w 1960. Chociaż i ta wersja, ponowoczesna (Grotowski w rozmowie z Danowiczem podkreślił, że sztuka Cocteau była, owszem, nowoczesna, ale dawno temu, przed wielką wojną, kiedy zainicjował modę w Europie na tematykę mitologiczną), jest okrojona do wątku Eurydyki jako realnej kobiety paryskiej czy polskiej. Kobiety postrzeganej jako partnerka artysty, znosząca jego depresję, natłogi, szarpaninę o honoraria, ponadto jego chrapanie, historie, domaganie się spędzenia płodu, uwikłania w środowiskowe rozgrywki. On ma z nią kontakt dorywczy, właściwie jako jednym z kamieni milowych na drodze do wolności – w gruncie rzeczy świat też okazuje się takim niechętnie, znośnie mijającym kamieniem milowym. Wychwyliła to bezwiednie Symborska w wierszu *Film – lata sześćdziesiąte*: mężczyzna „i świat nie mają ze sobą nic wspólnego”. Bowiem Orfeusz jest już mężczyzną. Takim właśnie przedstawiała go, takim go narzuciła zbiorowa wyobraźnia.

Można by utworzyć opasty leksykon Eurydyk, które zeszyły na drugi brzeg Styksu wskutek samobójstwa (przy czym leczenie psychiatryczne też ma cechy rozmowy z kimś, kto poznał Drugą Stronę, jaką dla umysłu stanowi szaleństwo). Gdyby te wybranki geniuszy zgromadzić na wrocławskim Rynku, ich tłum siegałby fosi... Wszak Orfeusz był artystą, a mit bynajmniej nie

sugeruje, aby Eurydyka też uprawiała którąś ze sztuk. Nie sugeruje nawet, aby była natchnieniem. To dopiero w dedykacji Rilkego powstaje jeden po drugim w ciągu ledwie trzech tygodni *Sonetów* stanowią epitafium dla zmarłej córki przyjaciół, dziewczynastoletniej tancerki Very Ousckama Kropp. Eurydyka jest – powie Rilke – „dzieweczką”, ale mit mówi o żonie, a zatem zmysłowym spełnieniu jak najdalszym od późniejszej, postantycznej adoracji panieństwa jako „nie-winności”. Eurydyka znika więc w pewnej chwili. Dalsze perypetie bohatera wydawały się unieważnione jego niekłamną romantyczną, męską rozpaczą.

Fragmentaryzację mitu należy analizować w kategoriach eskapizmu psychicznego, zamierzonej bądź bezwiednej nachalności manipulowania odbiorcą – a to znaczy, że własną psychę. Tu już tylko dorzucę, że widzenie filozoficzne „nie ma nic wspólnego z filozofią mającą skonstruować jakąś rozumną koncepcję świata i co jest przedstawiane jako metafizyka.”⁶ Tak jak mężczyzna ze światem, którym wciąż czuje się w prawie zawiadywać, na którego temat stworzył i buduje naukę, jeden z ośrodków, mówi Jung, „służących zbawieniu duszy i zjednaniu demonów; można to porównać z wyobrażeniami magicznymi ludów pierwotnych”⁷, choć jeszcze bardziej z zamartwą ścianą, oddzielającą od prawdy zupełnie jak teologia ustawiona cegła po cegle i blok po bloku, pomiędzy człowiekiem i *sacrum*. Powiem więc obcesowo: każda z postaci mitu objawia jakiś aspekt psychiki bohatera. **Wina, za jaką jest ukarany, ma źródło w nim samym**, gdyż, oglądana z perspektywy mitu, równa się dojmującej potrzebie terknięcia poza ściany konkretnych kulturowych ustaleń co do dobra i zła. Wolno tutaj postawić pytanie, na czym polega wino, albo wprost, mityczna zbrodnia Orfeusza? Z Edypem i Tantalem nie wiąże Orfeusza neurastenia, ale zbrodnia.

Żeńska postać tego mitu, Eurydyka, uosabia psychę: wiedza o niej przychodzi w „piekle” i powoduje stan piekła. Dusza jako coś odrębnego, coś rozłącznego, to jednocześnie dowód rozerwania obupłciowej pierwotnej jedności i spostrzeżenie siebie już tylko po „męskiej” stronie krawędzi. Ktoś tak rozpołowiony traci to, co – wedle analizy psychologicznej – kuliste i wszechstronne, i zwłaszcza dające się czuć, dokładnie tak jak w akcie seksualnym: ekstatyczny. Orfeusz doświadcza innymi słowy szczególnego *coitus sacralis interruptus*.

Orfeusz opuszcza Piekło bez Eurydyki, ponieważ dopiero pozostawiając ją za sobą, wkracza w Piekło. Przywołam tu iście bańkowe, eksponowane przez Stefana Symotiuka, pojęcie „stada bram”. Owe bramy wiodą na kolejne dziedzińce, podwórze, patia, piętra, każda z nich, z osobna, okazuje się błahostką, niczego bowiem nie rozstrzyga w losie bohatera, a przekroczenie jej, nawet po stoczeniu walki z kimś, kto jej strzeże, nie wyklucza jeszcze groźniejszych wyzwań, trudniejszych zadań. Część Piekła nazywana Hadesem to wszak ciągłe przestrzeń nadziei, przestrzeń wyboru a co więcej, dialogu. Tak je właśnie Orfeusz doświadczył; gra, jest słyszany, oczarowuje. Wpierw Cerbera, strażnika: wszystkie trzy głowy Cerbera są zastuchane. Tu, w Hadesie, gra Orfeusza (jego gest czyli czyn) ma moc sprawczą. Z chwilą przekroczenia progu „zwykłego świata” pojawia się doświadczenie dokładnie odwrotne, beznadziej i jałowości.

Eurydyka, jak to wychwylił Sój w *Geście Orfeusza*, daje się sprowadzić do notacji zupełnie jak na klatce taśmy fotograficznej, do znaku – ale znaku bez desygnatu. Sferę Piekła nazywaną Hadesem mit ukazuje

poprzez audytorium – tworzą je bogowie oraz dusze (dusze zmarłych – właśnie w ich wypadku śmierć zostaje podważona, bo nie są wcale głuchymi słuchaczami, wręcz przeciwnie, bez wezwania zlatują się zewsząd i rezonują każdy takt). W sferze Piekła natomiast nazywanej zwykłym światem audytorium jest substancjalne, cielesne. Tutaj dialog ustaje lub raczej zamienia się w serię ciosów pełnych odrzasy. Ulegamy w niej entropii. Otacza nas jakaś materia ukąszeń, szarpnięć, rozczłonkowania; pierwsze wszak spotkanie Orfeusza z boskością w zwykłym świecie to natknięcie się na Dionizosa, boga zresztą w misteriach eleuzyńskich i orfickich tożsamego z Hadesem, małżonkiem Persefony. Ten Hades zatem młodszy, skóra twarzy mu się wygładza, włosy ciemnieją i zwijają się w miękkie loki, i wyglądają jak winogrona. Niemniej, Orfeusz **nie ma duszy** czyli Eurydyki. Ci, co twierdzą, iż po ujrzaniu jej i jej znikania, rozpływania się po tym, jak się obejrzał i odtąd miał być dogłębnie nieszczęśliwy, czynią z Eurydyki jakąś wersję Meduzy, na którą wystarczyło rzucić okiem, a stawało się głazem. Wystygłe, na czar kobiecy zobojętniałe żałobą serce Orfeusza byłoby wszak odpowiednikiem owych zaklętych monolitów (ba, kiedyś śmiatków pełnych ikry) u wejścia do pieczary najbrzydszej z Gorgon. Eurydyka faktycznie jawiła się niejednemu artyście podobniejszą do Gorgony: skrzywiona sekutnica, zaniedbana, w podomce, w papilotach na tapczanie małżeńskim, kłujących go w policzek, gdy, zamknąwszy powieki próbuje sobie wyobrazić, że jest nie żoną, ale sąsiadką lub dziewczątkiem z kawiarni, lub młodą kuzynką, by ocknąć się z tych wizji, bo żona wita śmiechem jego impotencję męską i twórczą, za której sprawą odeszło go wszelkie natchnienie a na domiar całymi miesiącami ani jednej propozycji występów przed publicznością. Skrzynka na listy pusta, impresario nie odbiera telefonów. Niemniej – ślubna żona i codzienne piekło aż do śmierci. W głowie legło mu się niejedno z powieści *Auto da fé* (był Kienem) oraz filmu *Rozwód po włosku* (był Fernandinem).

Bezduszny artysta jest dla *sacrum* irytacją, wzbudza wściekłość, ściąga na siebie zęby i pazury. Żyjemy w Piekle, powiadamia mił, my, bezduszni. Przypisujemy agresywność temu, co boskie. Radosny Dionizos, rozmieniony na tłum menad wrących Orfeusza na strzępy, na ochłapy, odpokupuje wzgardliwie jego głowę i oto bohater staje przed kolejną bramą Piekła, bo głowa toczy się, toczy stokiem górskiej tkli i wpada do rzeki jak do bramy, a nurt wynosi ją na morze i ciska na kamienistym brzegu kolejnej bramy – wyspy Lesbos. Piekło jest więc w jakiejś swojej fazie, w jakimś aspekcie, w jakimś stanie – nurtem, prądem, grawitacją i wektorem. Ląd wyspy to znowuż brama, mijana, kiedy zdążamy Symotiukową amfiladą (to genialne porównanie do stada uczuła, iż amfilada faktycznie potrafi rozbiegnąć się jak tabun koni na stepie, i że mamy do czynienia z żywym organizmem, z modelem ogromnie dynamicznym i nieprzewidywalnym). Głowę Orfeusza wniesiono uroczyście do świątyni, do sanktuarium Apollona, boga sztuki. Świątynia zatem jako kolejny krąg piekła. Tutaj właśnie narasta statyczność, wręcz wpisana w samą architekturę brył świątynnych, zamartych i przygniatających ogromem.

W *Narodziinach tragedii* Nietzsche określił apollińskość jako „dążność do obrazowania świata, tworzenia jego pozoru, który przestania prawdą o życiu i przez to pozwala je znosić. Z żywiołu apollińskiego wyrastają sztuki obrazowe – malarstwo, poezja i rzeźba. Muzyka jest inna, rzadzi się formą od-

→ wróconą do wnętrza". Apollińskie obrazy ku pokrzepieniu serc, apollińskie palatywy, uśmierzające bojaźni i drżenia, tworzą nie tylko to, co zobaczy w nich Platon: mianowicie falsyfikaty falsyfikatów, ale też utrwalenie i wmuszenie za pomocą sankcji kulturowych tego, co Nietzsche nazywa „szklanym okiem”: okiem niewidzącym, aczkolwiek częstokroć ładniejszym niż żywe. Nowożytna Europa widzi więc Orfeusza powracającego bez Eurydyki z Hadesu, po czym spiera się już tylko o to, czy jego dumna samotność jest zwycięstwem męskości nad kobiecością, wiecznotrwałości nad efemerydą, czy też – może? – rodzajem tantry, mającej wysublimować sztukę *ad infinitum*.

W kulturach chorych istotnie, następuje jakiś proces skłaniający do zastępowania rzeczywistości jej modelem, a następnie poznawania modelu tegoż – zamiast rzeczywistości. Włącznie z zakazami sięgania do źródeł. I faktycznie, jest to jakaś mroźna krew w żyłach analogia do zamiany oka widzącego na sztuczne. Tyle, że tym jest właśnie powszechna, ujednolicona edukacja, szkolna, akademicka i medialna, wdrażająca nam tematy oraz formy, gotowe zestawy instrumentów analitycznych, gotowe języki komunikacji. Bez jednostkowego, dogłębnego doświadczenia, jakiego udzielały archaiczne rytmy przejścia. Człowiek z plemienia w Papui uświeca to, czego doznał. Europejczyk nie doznał miłości – dla przykładu, ponieważ ma dwadzieścia lat i bałby się pójść na randkę: dowiaduje się o niej wstępując w szkolnej ławce opowieść o Maryli i Adamie. I bierze jako wyraz miłosnego zachwyty dziewczyną opis jej sukienki, zarazem potakując, że psychicznie jest puchem marnym... Na lekcji o Heloizie i Abelardzie nie ma doświadczenia, co to znaczy być, jak Abelard, wykastrowanym.

W przeciwieństwie do apollińskiej, przesłucha dionizyjska nie potrzebuje nauczania, gdyż odwołuje się do tego, co jest w pełni nieomal niewiadomością. Orfeusza głowa przeto wniesiona w świat szklanego oka Apolla (można też powiedzieć, że wlała się wodnym nurtem w owe oko), przez pewien czas, nie wiem, czy dłużący się, czy krótki jak mgnienie, jest w tym piekle do zaakceptowania. Piekło mełdów. Jednak, ponieważ ciągle śpiewa i sama jest dla siebie instrumentem, okazuje się antagonizmem. Jak ktoś, kto wszedł do telewizyjnego studio bez telewizyjnego makijażu i wydaje się niedomyty, niewyspany, albo jak postać z filmu bez charakteryzacji. Jak milioner bez karty płatniczej. Aczkolwiek przydarza się to nieustannie, każde najważniejsze, kluczowe wydarzenie historii, kompletnie zaskakuje współczesnych jako „niemożliwe”. Jakby bloki pochodzące z innego wymiaru nagle zjawiały się w naszej najwyczynliwszej codzienności. Przeczuliwali to surrealiści. Mity wydają się logiczne, ponieważ operują fabułkami, ale to są prościutkie fabułki, swoiste całostki, zaskakujące podobne do bloków materii przybyłych z innego wymiaru.

Otóż zaryzykuję, że, przynajmniej w jakimś sensie, jest takowym blokiem materii z innego wymiaru Eurydyka w Hadesie na ścieżce Orfeusza. Jest obcym ciałem w świecie cieni, mar pośpynych, tak nieoswojonym z przestrzenią już „typową” dla Orfeusza jako osoby rozporządzającej dziedzictwem kultury, zatem wiedzą o sprawach ostatecznych, szacowną wiedzą swojego społeczeństwa, że sama w sobie konstatacja Eurydyki jako faktu powoduje gwałtowną, odruchową repulsję z okrzykiem „Przecież to niemożliwe”. I „dlatego” to spontaniczne przeżycie światłości, jakie Andrzej Saj kojarzy z notacją na fotograficznej kliszy, z, ja powiem, świetlistością hieroglifu,

za Claudelem i wedle dosłownego znaczenia wyrazu „fotografia”, przerasta Orfeusza jako *homo socius*, chcącego sprowadzić ekstazę ujżenia światłości w jakieś tryby społecznych, trwałych więzi. Piekło bowiem to nie tylko same zjawy ale i nasze do nich nastawienia, nasze imputowania im ról, jakie mają pełnić, nasze oczekiwania, by pojawiały się celowość wszelkich przedsięwzięć. Dla mistyków zawsze był to symptom nieudanej inicjacji. Wiedzieli z zawstydzającej autopsji, że w Piekło nie wolno pozostawać antropocentrycznym, nie wolno myśleć w kategorii „mieć”. Trzeba „być”. Bo inaczej ugrzęźniemy w obrazach, skazani na narcyzm.

Urojony świat to dzisiaj istotnie, łaty do rozpoznania piekielny krąg, krąg lawiny fotografowania, filmowania, nagrywania na taśmy, notacji zupełnie nonsensownych, który skutecznie wmówił człowiekowi, że nie być odbitym w Facebooku, na Youtube, nie mieć swojej strony, nie mieć numeru telefonu, numeru bankowego konta i do wodu osobistego ze zdjęciem, w oczach innych, w pamięci potomnych nie odbić się, to nie być, tak jak nie było się bohaterem opozycji bez zapisków poczynionych przez SB. Przeciwnieństwem owego nie-być jest totalitarnie zobrazowane życie pod okiem słońca w Roku 1984.

Głowę Orfeusza w końcu roześlony bóg obrazowości czynionej ze strachu przed prawdą, powiedziałby Nietzsche, ciska świętym w piekło. Tak więc wyobraźmy sobie tę scenę z największym jak się da, realizmem. Miękkie usta trackiego grajka drgają przy wydawaniu wciąż śpiewie, a świniaki trącają jej, zaciekawione. Śmierdzi tajno, nadlatuje jedna mucha, druga. Jakaś sroka uparcie wpatruje się w półprzymknięte oko Orfeusza. I w końcu napotyka wzrok tego oka, i raptem straszy pióra. Dostakuje, ale liczy się z wieprzkiem. Ktoś jednak musi zacząć, a Orfeusz nie ma rąk, żeby chociaż trochę się ostonić. Ba, skoro tak zalecam maksymalny realizm, to czy śpiew Orfeusza zamieni się na koniec we wrzask? W historyczny śmiech? Czy śpiewak poprzestanie na melodyjności cenniejszej od klejnotów, czy też zapadnie cisza? Jeśli cisza, to przesycone chrumkaniami, bzyczeniem, skrzękiem. Chyba, że coś wgrzyzie się w ucho grajka. Oszczędzi mu tej smrodliwej kakofonii.

Wszak jest to scena ostatniego śpiewu Orfeusza. Łabędzie śpiewy wydają się najważniejsze, wydają się puentą. W wypadku Apollona zazdrość o artyzm pasuje do wielu innych sytuacji, kiedy „pan obrazów” brutalnie niszczy konkurencję. Dionizos jest atystycznie bezinteresowny. Tu trudniej powód furii odgadnąć. Możliwe, że Dionizos wcześniej nie nadczył za komiczności Orfeusza? Orfeusz wykroczył poza kanoniczną dychozmię Meluzyny i Talii, rozpoznał jakąś obrzydliwość sformalizowanej sztuki, obrzydliwość formy samej w sobie; być może jego głowa została nie tyle odepnięta, co wyśliznięta się spod nogi boga. Jak wąż Orfeusz śmiga przez piekielne sale i dziedzińce, i kiedy jego głowa jest ćpana, w tym samym czasie inne jakieś zwierze na tacy menad przetyka jego serce, jego genitalia rozkoszne wlecze do swojej nory inna bestia. Dramat głowy i aparatu mowy to zaledwie fragmenty cudu entropii i stawiania się ruchliwymi na ziemi i na niebie mieszkańcami kosmosu w jego pokarmowym tańcu. Inne jeszcze zatem piekielne zakątki, bo piekło okazuje się być w ruchu, być w nieprzeliczalnych pozach tańca, być powiększoną *ad absurdum* Lalką Hansa Bellmera. Lalka owa daje się na wiele sposobów składać i rozkładać. Możemy jej głowę umocować u dołu, pod tułowiem. Zakładać jej męskie spodnie i czarne lakierki,

a goły tors zamienić w goły brzuch, określić ją pasmami czarnych włosów, czarnego wdowego szyfonu, uskutecznić oślawione Bellmerowskie „gry Lalki”, czemu niemało uwagi poświęcono przy okazji pierwszej w Polsce wystawy Bellmera w Katowicach. Lecz odbiorca dzisiaj doskonale wie o uhoronorowanej Noblem kosmologicznej teorii bricolage'u. Nieoswojeni jesteśmy chyba tylko z jej stosowaniem w humanistyce. Humanistyka kultury Zachodu ma zakonotowane, że piekło jest „gdzie indziej”. Powtórzę za Sajem: „Być może całe życie schodzimy do podziemi własnej jaźni, by odnaleźć tam (...) oczywistości”, a „niejawne zrazu i nie dla wszystkich dostępne, ścieżki prowadzące włąb inferno mogą znajdować się wszędzie, niekiedy we własnym pokoju, tuż przy regale z książkami”, gdzie, dodałabym, posadzona jest lalka z czasów dzieciństwa. Jeśli nie zobaczymy, że kosmos to lalka, że piekło to lalka, będziemy obłudnie ronić łezki nad biednym Orfeuszem. On zaś dał w misteriach poznanie spraw, bez których życie jest *abiotos* – nie do życia.

Okiem Eurydyki

Gdy kobieta staje się w życiu mężczyzny cieniem, docieka częstokroć, czy ta zmiana statusu nastąpiła powoli, czy nagle, i czy kryje jakąkolwiek logikę. Czy powód tkwi w niej, czy w mężczyźnie? Czy była owszem, kochanką, wszakże nie dość bliską mu duchowo, czy przeciwnie, zbyt siostrzana, eteryczna, ulotna, toteż sięgnął po trwalszą w dotyku formułę grobowca oraz posągu? A może cała przyczyna to po prostu jej płęć, o której tyle mówią – że zmienna? Jak uczucia, postanowienia, pantofle, kapelusze, jak zmienna gotowość do poczęcia, zmienny powab z upływem lat, a wreszcie zmienna materia, kiedy ciało traci spójność i rozpyływa się cuchnąc kałużą trupiego śluzu, aby wlecieć się, rozdrobnione na kaski w gębach robactwa, aby wbić się w przestworza w trzewiach much, w dziobach sępów.

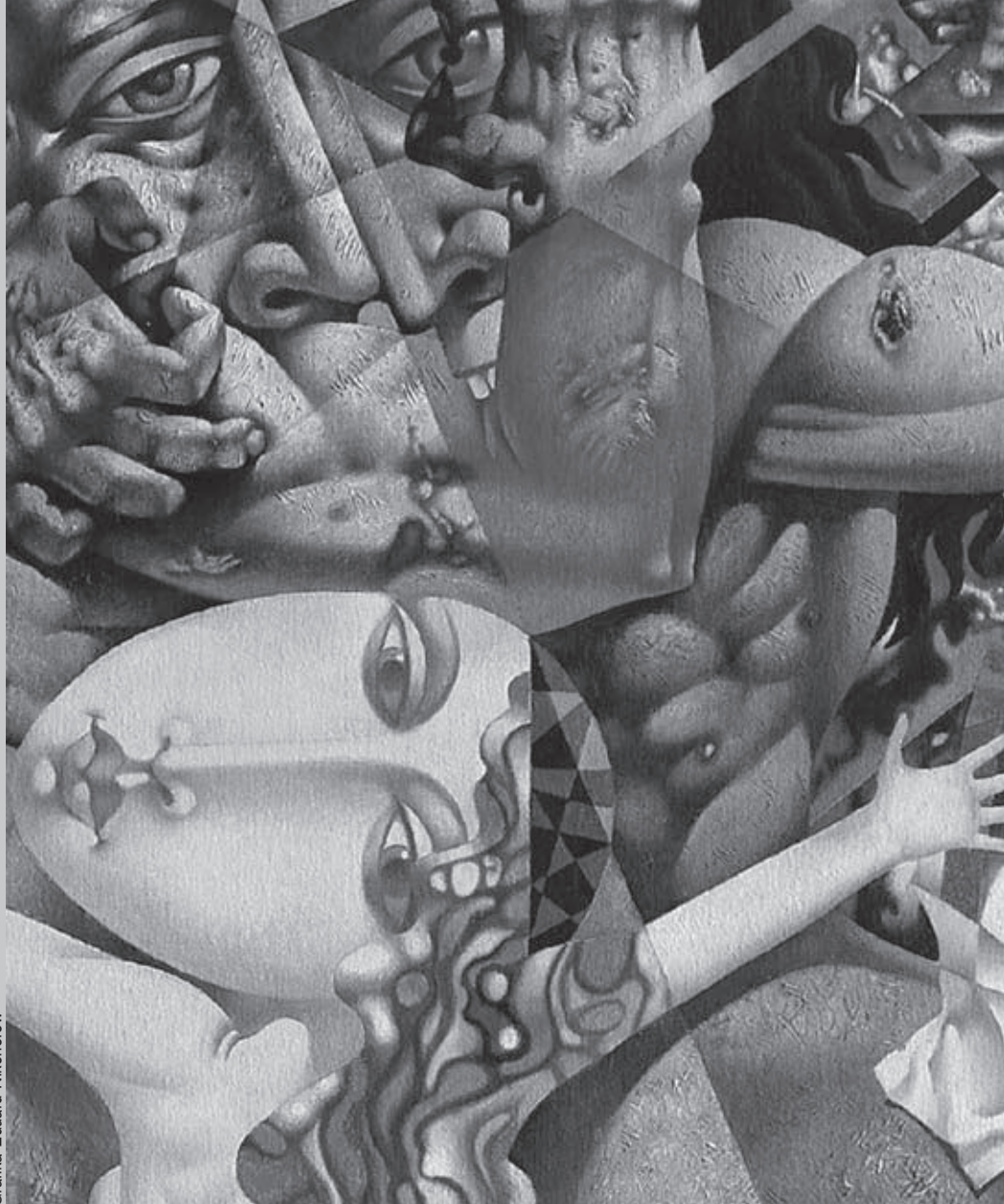
Ta bez wątplenia ohydna pod koniec ścieżka skojarzeń z wymykaniami się sobie, jakiego doznajemy próbując samopoznania, wyprowadza – zamknijmy oczy – w znane skądinąd miejsce nad głęboką dolinę, którą ongiś po części wypełniało słodkie jezioro, a po części gliniane miasto podobne do puebla. Za jego bramą długo jeszcze zieleniaty rozciąga kanałami pola i pastwiska. Młodzież lubiła pod jakimś, doprawdy byle jakim pretekstem spacerować tam w cieniu, krzaki potrafiły być wielkie jak drzewa, przechodzące w las, a las biegł hen – cały krak nazywano Doliną Leśną; przypominał oczko pierścienia w oprawie pagórków stępu i wreszcie starych pustyń. Więc właśnie wtedy żyła ta kobieta, żona Łota. Mąż obudził ją w środku nocy, użył bardziej zdawkowo niż zwykle, bez wstępnej gry, po czym nakazał szybko wstać. Sam wyspał sobie w zanadrze garść ładnie oszlifowanych lazurytów, kilka grudek wulkanicznego szkła i złota, na plecy zarzucił bukłak, a jej poleciał zgarnąć do tobołka najprostszyszy sprzęt – jak igły, gotowe sznury z palmy, z konopi, ze lnu. Kilka naczyni, placki jęczmienne, nie dbając o meble, ale też umieścić dwa ciężkie melony w koszu, a do tego fig, granatów. Obie córki, wyrwane ze snu, zrozumiały w mig i rozdzieliwszy dobytek między siebie, pozgarniały jeszcze to i owo. Wszystkie trzy usłyszały, że teraz trzeba będzie iść. Jak najdalej. Bez odwracania się za siebie. Dzień tedy wstawał jakiś mglisty, jakiś świerzbący, córki były nastolatkami i trochę je ta niespodziana wyprawa bawiła, podskakiwały na ścieżce krok za ojcem, ale koło południa już i one wlokły się wolniej, w sku-

pieniu. Młodzieńcy, których Łot ostrzegł, aby również uciekali, zapewne szykują właśnie biwak w wąwozie po drugiej stronie góry Sodom. Tam gęsto od dzikiej winorośli i fioleto-
 letowe gronka tłoczą się jedno przy drugim, kwaskawe i soczyste. Do wierzchołka jeszcze daleko. Gdy kobieta próbowała wypatrzeć go przed sobą, słońce wydawało się szaleć, cisza wydawała się przyczajona jak lampart. Kobieta rzuciła okiem odruchowo, ale na stromych zakosach odstąpionego zbocza nie dostrzegła śladów drapieżnika. Kozły też poznały. Coś się działo za nimi. Zapatrzo-
 na teraz w coraz bardziej odległy, coraz bardziej niedotykany kark męzowski, szła i tyle. I zaczęło jej świtać w głowie, że gdyby z powodu uderu upadła teraz w pył, to on się nie odwróci i nie poda ręki. Córki też. A jej robiło się słabo. Czarna, długa do bioder chusta mężatki była rozgrzana, pot ściekał policzkiem. Powiedziała najgłośniejszym jak tylko pozwoliło suche gardło, że brak jej tchu, że w skroniach jej pulsuje. Nic. Po godzinie, że skaleczyła sobie stopę. Zwolnijcie! – Nic. Chyba tylko pogroził pięścią uzbrojoną w kij. Młodsza córka z wyprostowaną głową na-
 wet nie zachwiała dżbankiem. Nie będzie się odwracać, bo chce rodzić jak każda wartościowa kobieta. Żeby rodzić, musi przetrwać, a płynnie kołyszące się biodra tylko to potwierdzały. Przez boczne rozcięcia spódnicy migają jej opalone, smukłe łydki. Starsza z dziewczyn wykonała jakiś gest, lecz niepewny i z półskretem, powściągnięty nim jeszcze przeminął brzęk miedzianych kótek na piersi, coś syknęła. Matce nie chciało się słuchać, co. Zaczęło do niej docierać, że mężem powoduje nie żadna nadzieja, ale trwoga udrapowana na bogobojność, że gdyby wdepnęła w żmijowisko, nikt z ro-
 dziny nie przystanie nawet: idą, jakby ktoś przed nimi z fletem u warg prowadził ich niemy tercet. Ludzi tyleż łatwiej nagiąć do swojej woli niż martwe przedmioty. Za fletem jeszcze węże właśnie wylażyły na oślep, robią to chłopcy, żeby stuknąć gada pałką w łeb, robią to sztukmistrze. One obie, star-
 sza i młodsza, podążają za ojcem postusz-
 nie jakby nie były już sobą, tylko naprawdę jakimś węzycami.

A ona zostaby, umierająca, a potem to coś, co nazywały pocatunkiem śmierci, co zamienia nas w trupy. Gdyby więc jakimś cudem mąż przykleknął nad nią z powodu żądz, byłaby, jak wołaty kapłanki ze szcze-
 ściem w oczach, padliną Aszery.

Kobieta przysiadła, złożyła z ulgą brzmie, odpięta nożyk u pasa, rozkroiła owoc grana-
 tu, wbiła zbęby i przetykała rubinowy sok. Uczyniwszy to, wolnym ruchem odwróciła twarz w tył. Nie było nic strasznego. Przeciwnie. Ujrzała mgłę, a w niej o ileż wyrazistszą postać młodzieńca w kapeluszu ze skrzy-
 dełkami nektarnika. Nektarniki są malutkie, uwielbiają rosiste zarośla. Och, jak przybyło sił! Podbiegła tam, jakby ze dwadzieścia lat jej ubyło. I napiła się od razu z dłoni wody z rzeki, bo przed nią wartkim nurtem płynęła spora rzeka. Wyciągnęła ramiona do młodzieńca, ostatecznie wychowała się w mieście, gdzie pannom na wiele pozwa-
 lano, było tam nawet porzekadło, że wstyd iść za mąż w dziewictwie, że takie zimne młódki nadają się w domu chyba tylko do roboty, nie do pieśczoły.

Szymborska opowiada to podobnie, jakkolwiek wpatrzona w pobożny kark mitu o żonie Łota, sama nie odwraca się już nigdzie poza ten sakramentalny wręcz stęp soli. Czy ma to coś wspólnego z Orfeuszem? Co bardziej tączycoby obie sytuacje: obej-
 rzenie się w tył, ujrzanie czegoś, co jest tabu i sprowadza śmierć na nas albo najbliższych, czy też podążanie za kimś w nieuniknione? Jak wąż za melodią fletnisty? W wyobraźni



Grafika Eduard Nikonorov

chrześcijan węża zawsze kojarzono z ko-
 biętą, rzecz prosta kobietą słabą, nazbyt uległą, dającą się skusić, dającą się wieść i uwieść, jednak ten wąż ma na niektórych obrazach piersi jak rozpustnica, bo nie są to ani drobnutkie pączki dziewczątka, ani sterane karmieniem liczego potomstwa piersi błogosławionej matki. Są jędrne, ster-
 czące, zaczerwone, oblubienicy albo rozpust-
 nicy. Żona Łota mogła takie mieć, rodziła tylko dwa razy a córki poznajemy jako już podrośnięte, tak więc wolno zgadywać, że unikała ciąży, co w Sodomie było zapew-
 ne zwyczajną sprawą. Sodomianie, zresztą i Chaldejczycy z Ur, skąd pochodził ród Łota, lubili seks, ale dla przyjemności. Rodacy Eu-
 rydyki, z nią samą włącznie, też – nie wydaje się prawdopodobne, aby mąż szedł aż do piekła za sztywnym kotkiem na pościeli a na domiar pozostał już do ostatnich potem dni wierny jej pamięci.

Łot, jak wiadomo, pocieszył się z córkami. Dopuścił się kazirodztwa w pieczarze obrośniętej gęsto winoroślą: był w tym ba-
 chiczny i ponury, ale należy pamiętać, że bóg winnego upojenia ma w sobie wiele z tytana, jest wnukiem tytanów Atlasa i Oke-
 anosa, z matki Hiady imieniem Selene, w sie-
 roctwie wykarmiony przez Hady, a „hiada” to znaczy dżdżownica... Tak więc odziedziczył niemało z brutalności i gwałtowności tych pierwotnych sakralnych eksplozji, sam rozerwany na ocltapy i następnie ugotowa-
 ny, i pożarty przez tytanów, a następnie scalony tak, jak gdyby to była szamańska albo tantryczna inicjacja. Powiadano też, że kobiety wiodące jego rozspiewany po-
 chód odwróciły się raptem w tył, a – że

kto ujrzy boga, wpada w szal – po prostu go pożarli. W ciemności pieczary pijane córki, jak to poganki, oddawały się tedy na przemian ni to ojcu, ni to bogu, ni to tytanowi. Któryś z nich puścił w obiegu negatywny obraz swojej zmarłej (czy też zamartej) potowicy. Jeśli to był faktycznie Dionizos, to krępujące nas postępowanie bez wą-
 pienia w jego przeświadczeniu wyrażało i fizyczną tężyźnę, i wewnętrzną niezgodę na jakikolwiek koniec świata – zrobił wszyst-
 ko, co leżało w jego możliwościach. Może przypominał sobie, przez mgły upojenia, że w Ur naczelną bogini trzyma węże w obu garściach jak męskie członki, że księżyc stroi jej czoło. Że w jej świątyniach uprawiano sakralną prostytucję, a ta dotrwała epoki królów Izraela i Judy, i lud pokątnie wciąż zmagął się z pokusą oddawania czci cze-
 muś pod imieniem Asztarte, Aszera, Inanna, Ishtar, Anat lub Anat-Jahwe, pani niebios i podziemnego świata, a po cichu Naj-
 starszej z trzech Przadek, której malarskie i rzeźbiarskie wizerunki zawsze miały znamie pierwotnego teatru czyli rytuału.

Ta bogini się rozdawała na mroczną i świetlistą, na morderczą i na łaskawą, na ożywczą i grobową (przecież pieczary skalne są podobne do grobów, ba, nawet grota po Drugiej Stronie góry Sodom mogła być nekropolią), rozdawała się, roztrajała, wreszcie powstałe trójce potrafiły się zbiec i stworzyć gwiazdy, pentagramy zwane póź-
 niej pieczęciami Salomona, i heksagramy, dzięki którym spływa na język po słowie 'gwiazda' słowo 'Dawid', i w ich formie wskoczyć w symboliczne emblematy izra-
 elskich i judzkich regaliów, albo, podczas

→ Zagłady, stygmatów śmierci. Jedna z legend o królu Salomonie powiada, że sam demon Astaroth wcielił się w króla, co kapłani jerozolimscy odgali po tym, że miasto się woli królewskiej zapętniło się rozpustnymi przybytkami, niby dla mnostwa bogiń jego żon i nałożnic, tyle że w każdym przybytku rytuał okazywał się ten sam, nagi i bezwstydnie rozpasany. Nierząd świątynny uprawiały zresztą, mówi Biblia, prababka, babka i matka Dawida, matka zaś Salomona przywabiła Dawida kąpielą nago w basenie, toteż zabił jej męża Uriasza, aby ją pościć.

Żona Lota jako Eurydyka? Rzecz jasna, to, iż mīt o Eurydyce zaczął krząć jeszcze na długo, nim Dolina Leśna zamieniała się w Morze Martwe, nie będzie nas interesować w aspekcie żadnej wspólnej genezy, zresztą czas mityczny jest zawsze czasem teraźniejszym, a mīt znaczy tyle, ile sami dla siebie nazwemy. Dla Roberta Gravesa tożsamość obu bohaterów była oczywista, każda z nich podążała za swoim psychopompossem tak jak bezimienna nieboszczka wymalowana na jednej z apulijskich amfor: włosy ma upięte w wysoki kok, coś niesie. Idzie pospiesznie, obfite fałdy jej tuniki namiętnie falują, wspięta na palce, więc właściwie byłby to bieg, aczkolwiek jej wyciągnięta prawa dłoń o wyprężonych palcach oddaje gest, jakim wstrzymujemy intruzów. Trudno się dziwić, ponieważ zmarła zamieniła się w menadę, a prowadzi ją Eros. Jako menada powinna go rozszarpać. Powinna go rwać paznokciami i odwrócić rolę goźdźwie przy spotkaniu z bogami, mianowicie jęć przeznaczony ludziom dotąd (odda go Eurypides w *Oszalałym Heraklesie*: „Od bogów straszne cierpiemy bóle”) należałby już niepodzielnie do wodzącego ją w otchłań Erosa. Niech on tedy teraz zawyje z bólu – och, niewdzięczny Eros, wedle hymnów orfickich ojciec Nocy,

Bo na drogach Pańskich ciemno,
I często jest krwią zbryzgana
Ta ciemna i nocna droga,
Krwia szaleńców roztrąconych o Boga⁸

Owszem, znaczyłoby to, że nadeszła pora, aby z kolei bóg został „roztrącony” jak o skatę, jak o coś zakamieniałego, o menadę, a wraz z Erosem roztrząskałby się także i mąż – jakkolwiek go nazwiemy, Lot czy Orfeusz. Eros z naszej zacnej amfory jest młodzieńcem, wszakże miewał liczne postaci, a w tym głazu tępijskiego. Będzie też kłasnany, przetykany; zjeść równa się pościć, przejąć esencję.

Dalekie zdaje się skojarzenie nieprzejeźdanego głazu, martwego stupa soli i usztywnionego pobożnością karku Lota. Są jednak sobie dziwnie bliskie. Ów męzowski kark stanowi właściwie *punctum* wiersza Symborskiej. To on jest osią liryczną, masztem podróży, drzewcem chorągwi lęku i osobno – egoistycznego strachu. Oś tego karku niczym zaostrowany kij przebija sens małżeństwa z punktu widzenia żony. To taki kij, którym przesądni chrześcijanie w Europie przebijali trupy podejrzane o wampiryczność. Miały spowodować śmierć raz na zawsze. Faktycznie, śmierć żony Lota trwa i trwa, wszem i wobec, na kartach Biblii i na stoku góry Sodom, i można ją oglądać, można zbliżyć się całymi wycieczkami turystów, gapić do woli, wydrapać swoje inicjały na powierzchni, wnieść je sprayem, siąść w cieniu stupa soli i popijać z butelki świeżą wodę.

Bohaterki obu mītów podążają tedy za mężczyzną. Obie – choć w odwróconej kolejności zdarzeń i ról – doznają czegoś progowego, co urywa bezpowrotnie

kontakt z małżonkiem. Właśnie podczas tej drogi jedność rozdwa się, coś je unieruchamia, paraliżuje, obie są pozostawione samym sobie jak sakralna nieczystość. Orfeusz i Lot rozpoczną nowe życie, zdobędą swoistą nieśmiertelność w stawie artysty albo protoplasty, a semicka Eurydyka nie ma nawet własnego imienia. Imię greckiej cóż znaczy? – „Rozległa Sprawiedliwość”. To nic nie znaczy. Sprawiedliwość powinna być precyzyjna. Powinna być jak skalpel, a nie młot. Powinna operować spoleczny organizm zamiast go miażdżyć. Aczkolwiek ma sporo majestatu taki cios w rozległą przestrzeń grzechu. Wyczuwamy tym niemniej w Eurydyce namiętną bezgraniczność; owdowiarty Orfeusz nigdy więcej nie tknął innej kobiety, został za to zniechęcony. Wieśniaczki w Tracji, opowiada jeden z mītów, podczas bachanalii rozswawolone, upokorzone obojętnością, rozszarpały go na strzępy. Próbowali, owszem, zmorzyć je grą i śpiewem, ale mało co równie doprowadza kobiety do szału, jak sztuka oferowana zamiast żądzy. Poezjowanie? Muzykowanie? Dobre sobie. ‘Kuśka, kuśka, hop do łóżka!’, znana przysłówka. Wszak korowód pijanych kobiet poprzedzała wielka umajona pałka, podobna do lulawy żydowskiej i do chrześcijańskiej palmy wielkanocnej, i do umajonych patek niesionych podczas Falagoriów, i do inicjacji dionizyjsko-orfickiej z rytualnym obnażeniem fallosa. Dziewuchy brały się w boki, przytupywały rażno, zarzucały ramiona na kark, okręcały upatrzonych młotków. I raptem wiankiem wszystkie rrrymy, na wznak w wysoką trawę, z zadartymi pod brodę tunikami.

Muzykę kojarzono z seksem i węzem. Orfeusz jednak łączy muzykę z ascezą; jest platonikiem.

Pierwszym śmiertelnikiem, który otrzymał dar wieszczenia, a przy tym praktykował sztukę leczenia i wzniosł pierwszy ołtarz Dionizosowi, był niejaki Melampos. Rozumiał on język ptaków i robactwa, bowiem uszy jego liżał wdzięczny miot młodych węzów, uratowanych przezeń z rąk czeladzi domowej; rodziców tychże węzów Melampes uroczyście pochował. Węże uchodziły za duchy wieszczych herosów; umiejętność wglądnięcia w przyszłe wydarzenia dla kultur archaicznych zawsze przedstawiała uzdrowicieli dar. Tenże Melampos uleczył kobiety argiwickie z obłądki; wiele z nich pozabijało swoje dzieci, opuściło domy i snuły się blisko wypasanych stad: rzuciły się na nie zębami i pazurami, i pożerały na surowo. Robert Graves widzi w nich kapłanki względnie epifany, względnie symbole potrójnej bogini, etymologią imion ściśle powiązane z wierzeniami Kanaanu, konkretnie kananejskich osiedleńców w Argolidzie. A co więcej, z rytualnym zabijaniem dzieci. Szalona kobieta to nieomal zawsze dzieciobójczyni – hebrajską patronką takich czynów była oczywiście Lilith, ta sama bogini w jej postaci niszczycielskiej. Pamiętajmy cały czas, iż Lot pochodzi z Sodomy, że żyje w czasach dionizyjskich, czasach wściekłych krów ulatujących niebem jak na obrazach Chagalla, lecz bez niebiańskiej słodyczy różowych i kremowych jak obłoczki krów Chagalla.

Te ekstatyczki dopadają Orfeusza i są zemstą Eurydyki, dzierżącej węża władczyni świata podziemnego; Orfeusz okazał się bezsilny jako mężczyzna i jako muzyk, mianowicie owszem, potrafił zainicjować jakiś zryw, jakiś wzlot, po czym następowała kolapsa. Orfeusz nadawał swoją grą rytm wodłarzom na Argo. Owszem, zdobyli Złote Runo, ale skalane osobą Medeji. To także była podróż *ad absurdum*, jak jego wejście do Piekieł.

Ale czy okiem pozostawianej kobiety

widzi się tylko tę jałowość? Czy raczej nie powinno się dopuścić wyzwolenia Eurydyki od Orfeusza, żony Lota od Lota? Czy zamieniona w cień, czy w skamieniałą sól, jest już ostatecznie odseparowana od tego czegoś, co mąż w gruncie rzeczy uosabia: sensu jej zaistnienia. Zaistnienia w świadomości. Bez Orfeusza Eurydyka po prostu byłaby i umarłaby, jak każdy. Żona Lota bez Lota byłaby zwykłą babą z Sodomy, zwykłym egzemplarzem malowniczej formacji skalnej, rozwiana w nicość jak miliardy ludzi na Ziemi. Odseparowanie od źródła sensu nadało im autonomię.

Nadto, obie coś zobaczyły. Eurydyka ujrzana bez wątpienia wyraz tej odwróconej ku niej twarzy Orfeusza. Gdyby ją więc filmować, to klatka po klatce studiować można by zapis, kliniczny zapis tego, jak przeistaczała się tęsknota i zachwyt w rozczarowanie i rosnące przerażenie, albo jak nieufność i strach (gdyby to nieufność powodowała Orfeuszem) zamienia się z każdym drgnięciem mięśni twarzy, w ból i może wielką, ogromną, wstydliwą ulgę, jaką zawsze wieńczy dopełnienie obaw. To o niej pisał Aleksander Sołżenicyn w kontekście grozy czystek stalinowskich. Czujesz, przeczuwasz, że po ciebie przyjdą. Nie wiesz kiedy. Zaczynasz źle spać. Tracisz apetyt. Wódka nie pomaga. Potrafisz siedzieć wyprężony na krześle i nadstuchiwać, a byle zgrzyt bramy do kamienicy, byle odgłos kroków na schodach sprawia, że raptem podskakujesz; jeśli to trwa miesiącami (Stalin uwielbiał taką zabawę kota z myszką), to kiedy wreszcie przyjdą, czujesz ulgę. Rzucam to porównanie, ponieważ Orfeusz naprawdę był w piekle i Eurydyka naprawdę była w piekle, i tylko lapidarność mitologicznej relacji pozwala myśleć, iżby droga ku wyjściu z Eurydyką za plecami trwała krótko. Mogła ciągnąć się jak oczekiwanie na arest. Mogła trwać miesiącami, może rok? Są mity opowiadające, że cały rok bohater maszeruje przez jakieś podziemia w Indiach. Że sto lat trwa sen Śpiącej Królowej. Że to coś trwa niemiłosiernie długo, że się dłuży, że jest ponad psychiczną wytrzymałość. I dotyczy to też ratowanych. Eurydyce też dłuży się owa droga ku słońcu, w kompletnej zależności od sił psychicznych Orfeusza. Z każdym krokiem jest coraz mniej cieniem, a coraz bardziej stęsknioną kochanką. Stęskniona kochanka przeżywa całą gamę emocji, radości i zwątpienia, zarówno wtedy, kiedy wie, że on przyjdzie, jak kiedy wie – że nie przyjdzie. Gdy wpatruje się w aparat telefonu, w ekran smartfona. Gdy szasta nią chęć, by ponaglić, by odezwać się pierwszą, by dać jakiegokolwiek znak ze swej strony.

Żona Lota wie, że on się na pewno nie odwróci, że albo nie dosłyszysz wołania, albo ona nie dosłyszysz ponaglenia względnie szepotu otuchy. Można sobie jednak wyobrazić dialogi Eurydyki z Orfeuszem i żony Lota z Lotem. Mīt proponuje ciszę, milczenie, ale zapominamy, że mitu nikt nie odczytywał jak bajki: mīt odgrywano, każdy pojedynczy spektakl reżyser rozgrywał po swojemu. A słuchaczy oszałamiała nie tyle estetyka literacka, co najprawdziwsze piwo z bluszczu, rośliny sakralnej, jak nazwał ją sir Artur Evans, odkrywcy w Knossos wszechobecność mistycznej flory, a i domysławiając się, że podwójna, bachniczno-cmentarna natura bluszczu, wijącego się żwawo nawet zimą po ośnieżonych pninach jak menada pragnąca obtańczyć Dionizosa⁹, dziwnie pasuje do cienkich, iście węzowych talii młodzieńców i panien na freskach. Odbiorców mītów oszałamiała też najprawdziwszy ból od nacinania sobie nożem skóry na twarzy i piersiach. Och, oni nie zasiadali w skupieniu jak dzisiaj na spotkaniach autorskich, oni

tańczyli i uprawiali orgię. Mił śpiewał ktoś w tle obrzędu, albo nie śpiewał go nikt i tylko całą zbiorowość porывała ta wspólna pantomima. Ta archetypalna wyobraźnia. I tylko dlatego nikną słowa dialogu, bo byłyby sztuczne jak operowe arie umierających, wlokące się w swoim napuszeniu.

Eurydyka jako wyłanianie się z cienia, jako stawanie się wręcz Leśmianowskie, widzi więc w lustrze twarzy Orfeusza, w jej mimice, opis siebie być może straszliwej jak każda kategoryczność, och, jak sama Persefona. Tyle, że jeśli Persefona, a do tego lustro, to miałyby na twarzy dwie maski, tragedii i komedii. Persefona, kiedy wraca z wiosną na świat, jest na powrót niewinną dziewczeczką, Kore. Dziecięca! Biegnie nie do kochanka, lecz do mamy. I nie szuka ziemskich kochanków. Zbyt młodziutka, zbyt zachwycona; jeśli spełnienie erotyczne daje ekstazę, to ona trwa w ekstazie, do jakiej fizyczny erotyzm nie jest konieczny; w kulistej przestrzeni mitycznej jest, w tej fazie albo w tym wymiarze, samą Psyche (która też zstąpiła do Piekieł), czyli duszą.

Eurydyka jako dusza jest faktycznie niedotykalna. Jest dionizyjska w aspekcie nieśmiertelności życia, o jakiej pisze Kerényi w *Dionizosie*, a jako zoe, życie samo w sobie, jest esencją Dionizosa. Właśnie dlatego śmierć „sama w sobie” nie nadaje jej granicy i pojawia się owa możliwość wyprowadzenia jej z Hadesu. Przyczyna kłeski – jeśli to była kłeska? – nie tkwi więc w fakcie, że umarła, głą w Orfeuszu. Z punktu widzenia Junga mógłby on być jej animusem, męską rzeczywistością duszy, rozumną i logiczną, z jej aforyzmem, że historia naucza nas życia – co czyni minionemu, nieistniejącemu prawo wzbogacania, unerwiania tego te-

rażniejsze – a to w zaufaniu do analogii. On faktycznie poszedł po jej cień. Mogłaby zawołać: czemuż pragniesz nie mnie, tylko mojego cienia? Czemu zakładasz, że, skoro doznałam stanu trupa, skalanie ekstremalnego, to nie ma mnie? Czyżbyś nie przeczuwał, że skalanie jest uświęcaniem?

Ciszej to wszystko brzmi, niewyraźniej, w micie o żonie Lota, aczkolwiek erupcja seksualności i vitalności zaskoczy nas w scenie, gdy Lot zaczyna współżyć z ich wspólnymi córkami. Nie obejrzał się, nie dopuścił wiedzy o swojej zakamieniałej animie, o podobieństwie swojej duszy do soli złośliwie rozsypanej w ogrodzie. Córki uosabiają matkę w rozdwojeniu, matkę-oblubienicę, pornę – po grecku rozkosznicę, która odgaduje tę męską erotyczną fantazję, aby kochać się naraz z dwiema kobietami, żądze purytańsko przypisaną grzesznej Sodomie i na jakiej pomysł ślubna żona (czyli, pamiętajmy cały czas – chodzi o duszę, o psyche) w kulturze nowożytnej czuje się jak uderzona w twarz (aby to ukryć, robi wykład o chorobach wenerycznych albo biegnie do prawnika). Lecz mowa tu o dzikiej kobiecie, o psychice nie tyle archaicznej, co uwolnionej. Piekło mogłoby stanowić, z tego punktu widzenia, miejsce katharsis, uświadomienia sobie bowiem całą, tkwiącą w psychice ludzkiej, Sodomę wewnętrzną. W jednych kulturowych wyobraźniach potępia ją, a w innych ją nakazuje – nakazuje ją przeżyć w całej agresji i całej rozpacz. Jest więc Eurydyka szczęśliwa. Na pieczęciowym pierścieniu z Knossos wyciąga przed siebie węży wyprężonego niczym kij, kij wędrówca lub maszt żeglarza lub oś świata. Stoi na

stromiej górze podobnej do stosu, u stóp ma dwa lwy wspięte na tylnych łapach. Ma węzeł włosów w tył odrzucony, nagie piersi, od pasa w dół szeroką faldzistą spódnicę, a wskazuje na długowłosego, węzowo wysmukłego tancerza. Ten trzyma lewą rękę u czoła, odchylony w kornej postawie: może przestania sobie oczy.

Tak, wiem, że chaotyczne są przedstawione tutaj skojarzenia. Ani świat egejski, ani Kanaan nie dążyły otwarcie do tego, aby anima poszła za animusem *ad absurdum*. Zadowolają się grą aluzji z dopuszczeniem własnej autopsji, zadowolają się uwalnianiem, w tym także wściekłych krów szybujących ponad obłoki, w tym zaciekleści skamienienia oraz wirującego dryfu po tym, co niewerbalne.

URSULA.M. BENKA

¹ T. Merton, *Drogowskazy, Imprimatur* Kraków 1983, Stanley, Wrocław, s. 7.

² W. Burkert, *Starożytne kultury misteryjne*, przeł. K. Bielawski, Homini, Kraków 2007, s. 195.

³ W. Burkert, *Starożytne kultury misteryjne*, s. 104-105.

⁴ O. Paz, *Podwójny płomień. Miłość i erotyzm*, przeł. P. Fornelski, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1996, s. 222.

⁵ Cyt. za: K. Kuczyńska-Koschany, *Rycerz i śmierć. O 'Elegiach diuineskich' Rainera Marii Rilkego*.

⁶ *Pisze o tym w fascynującym szkicu Cień światła* Michał Fostowicz. Por. M. Fostowicz, *Świat bez prawdy*, Biblioteka Rity Baum, Wrocław 2009, s. 174.

⁷ Jung ma na uwadze raczej religie i ideologie społeczno-polityczne (K.G. Jung., *Dzieła* 1998, .201. Aczkolwiek religie oraz ideologie tego rodzaju przedstawiają się jako nauka, na domiar, zwłaszcza w wypadku religii – nauka prawdziwa.

⁸ J. Słowacki, *Książd Marek*.

⁹ Por. K. Kerényi, *Dionizos. Archetyp życia niezniszczalnego*. Przeł. Ireneusz Kania, Wydawnictwo Baran i Suszczyński, Kraków 1997, s. 66-67.



Grafika Eduard Nikonorow

Leokadia Komaiszko

Wiersze z emigracji

Emigracja

Patrzę na krzewy różane - o nadciętych żyłach korzeni
i w kwiatach. Bucha lato. A je trzeba zasadzić.
Bukietów głów szyje łądyg nie są w stanie utrzymać.
Płatek wypada po płatku. Liść za liściem się kruszy.
Ręce drżą ze zmęczenia, leją wodę. Lecz pojutrze
wbrew wszystkiemu moje róże przeżyją !
Tak i my: przyszlismy tutaj i trwamy.

2006, BELGIA

Tam, gdzie dziecięły

Tam, gdzie od świtanie z czerwonymi
czapkami dziecięły rytmicznym stukaniem
możolnie leczą wielowiekowe drzewa...
Gdzie skowronki nad zasianymi skromnie
polami radośnie ćwierkają że pokarm
im rośnie... Gdzie długonogie żurawie
przeprzeżń krokami przemierzają i krzyczą,
i płaczą... I godzinkami zawodzą poematy
żałosne za wszystkimi, co stąd poodjeżdżali...

W tych lasach liściasto-iglastych, koronką
do Matki Ostrobramskiej wymodlonych...
Sokiem żurawinowym z bagien na bezdennych
jeziorkach nasyconych... W wielgachnych
pokrzyw zapachach... Z drobnymi
poziomkami w wiejskim mleku na śniadanie...
Kwiatami georgiń bordowych i malw
popielatych przystrojone... Roześmiane i
smutne, płochliwe i piękne, czasami ufne
to znów strapione – przesiadują koleżanki
z dzieciństwa mojego. Po przywitaniu Jutrzni
na ganku drewnianym i kuli Słońca Jarzyły,
sprytnie obiegają świat komputera okiem.
Tego oddanego nowo-przyjaciela, ma dzisiaj
każda. A bajki stare – gdy człowiek tęskni
za człowiekiem – którażby chciała zakupić?..

Tam, gdzie od świtanie z czerwonymi
czapkami dziecięły...

BELGIA, MAJ 2019



Poetka Leokadia Komaiszko portret wyk. Z Kresowaty

Śpiew na czosnkowych polach

Na polach rozległych czosnkowych,
październikowym słońcem zalanych,
owoc - jak w zauralskich bajkach -
wielkości pięści, pachnący, napęczniały.
A ostry wiatr w Gorzowie i Żwirowej
od świtanie gwiżdże: Kresy, Kresy, Kresy !..

Jeszcze klony w Zieleńcu zielone...
Mało szlachetne czy... serca ciepłem są
ich barwy trzymane. Przybywają goście
z Bydgoszczy. I stają posągami z Leodium.
Na książek stronicach, w myśli ukryciach,
w brzoź złotych liściach : Kresy, Kresy, Kresy !..

Ostrobramska w katedrze. Młodych
śluby i zapłakane ze szczęścia matki.
Tutaj bywali Halina i Bolek, Zygmunt
i Tosia. Plac Staromiejski. Biały kościółek.
Jedno piwo za Ojca i wędlina za Ciocię.
Tramwaj miasto przecina: Kresy, Kresy, Kresy !..

GORZÓW WLKP, PAŹDZIERNIK 2015

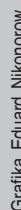
Ziemia i my

Ziemia bardzo zmęczona. Głos jej skrzypiący
mnie co rano dobiega. Jest jak kobiety,
która przez lata notorycznie paliła.

Ludzie niby światła w pasażu kina – ledwo zabłysną,
już muszą zgasnąć. Generacji wiedza
z takim trudem zdobyta, nam przez palce przecieka.

Wyniszczanie się ciągle modne. A przecież
- by przeżyć – iść trzeba razem! Brniemy...
na wpół uśpieni, w złudny odbłask pieniądza wpatrzeni.

LIÈGE 2006/2007



Marian Lech Bednarek

DIABEŁ I DWIE KROWY (LIST DO SKRZYNA)

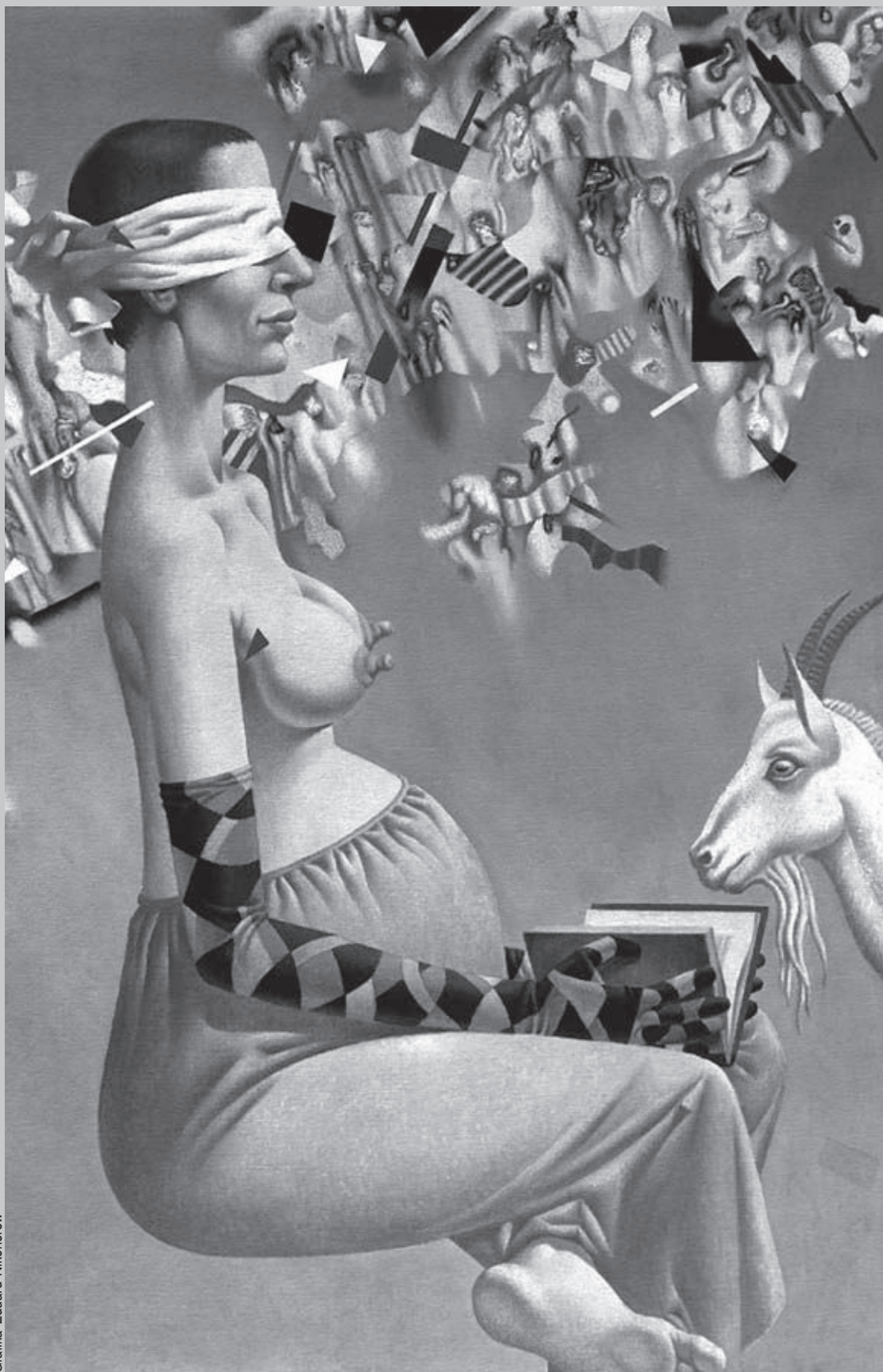
Cześć Skrzyno. U nas nadal śmierdzi prowincją, ale nie zmócimy się do cna, bo wczoraj nowy „Wytrych” po-u-stawiał wszystkim piątek w głowach. Ja musiałem grać diabła do południa i przyszedłem cały śmierdzący diabelskimi sztuczkami. Wyobraź sobie świńską skórę na sznurku. Wywijąłem nią nad głowami publiczności jak wędką lub lassem, tykając ich co chwilę tą wysuszoną, przejmującą skórą. Dzieciaki sikały do majtek ze strachu i z radości. Panowałem nad całą publiką, starsi też się dali wciągnąć. Czy to była prowokacja Świętego Mikołaja? Nie wiem. Potem w „Halo! Rybnik” pisałem choinkowe wiersze na pocztówkach. Właściwie nie chodziło o wiersze, tylko o kawę, ciastka i żeby dotknąć coś Nowego. Nikt nie miał marychy, więc wszyscy polowali na Indiankę i na początkującą poetkę. Wodnik nie mógł się od Indianki oderwać. Dajcie cycka! Dajcie Cycka! krzyczał, pieprzyć wiersze choinkowe! Okiennik Keszkelko styrany był jak górnik, więc nic nie pisał. W „Wytrychu” dużo nowych autorów. Znalazłem tam trochę mięty, niezapominajek i ryb, więc na razie końca świata nie będzie. Niech publikują. Festiwal teatralny już chyba umarł w naszym miasteczku, bo władze wolą disco-polo, więc nie wiem czym cię zmuszę do przyjazdu tutaj. Ciągłe śmierdzące diaboladą. Z tej początkującej poetki nie buchało żadnym żarem. A w Szczyrku buchało, żar gazu rozwalił cały dom, 8 trupów. Kapelusz Mroka Flecisty w tym pejzażu poetyckim, to bardzo ważny element, może najważniejszy z tego co zawiera w sobie i podpowiada rytm. Po skleceniu kilku choinkowych wierszy poszliśmy na Strunnika Tederko. Śpiewał w galerii „Oblicza”. Dużo tych oblicz było. Zastaniały wszystkie obrazy. Jedno oblicze rozpoznałem od razu. Całe życie zajmowało się wypalaniem masek innych oblicz, z gliny. To zgarbione teraz oblicze z uśmiechem szarpało moją ściśniętą dłoń. Rozśpiewany Tederko ściągnął wszystkich utrapieńców z okolicy, tak zwaną publikę, marząc by Tederko ich pogłaskał. I on ich pogłaskał, zwłaszcza Cohenem, za garść kwiatków. Łało się czerwone i białe wino. Okiennik Keszkelko i Mrok Flecista polowali na dobry nastrój sponsora „Wytrycha”, lecz upolowali ciastko. Gąszcz obrazków na ścianach. Ujęły mnie dwie krowy, rysunek i linoryt. Właścicielka krów tonęła w pocatunkach i w gratulacjach.

Uważam że w każdym mieście powinien obowiązkowo stać pomnik krowy, na wiosce także. Krowa może być w sukience jakby ktoś chciał. To jest przekonujące jak dźwięk dźwięku Dylana. Ale jeśli smród diabła może czymś pachnieć, to dwie krowy mogą ukrywać niebo. A srać to wszystko, Benc Banc Bonc, co nie rezonuje.

Dbaj o oko
i się czasem odezwij, knocie.

MARIAN LECH BEDNAREK 8.12.2019

Grafika Edward Nikonorow



Agnieszka Rykowska -
Kowalik

SPOTKALIŚMY SIĘ

w twoim światopoglądzie
nawet nie znasz słowa: matka
jest tylko ta która urodziła
ojciec za biurkiem czyta o Stalinie
zbyt zajęty by zobaczyć co robisz

znowu spotkaliśmy się
mówiłeś o córce Adeli
doradziłam kupno prezentów
potem doszło do kłótni
ale zdążyłeś wyjąć
z kieszeni spodni tusz do powiek:
- to dla Adeli - uśmiechnąłeś się

GDY WE MNIE UMIERASZ

ja ze „szkółki niedzielnej” przyznaję
ostatnio cię obserwowałam
„kto czyta nie błądzi”
i wybaczyć znowu piszę
żyjesz
ale jak umarły
zagłuszam myśli
kompensuję utratę pisaniem

gdy drugi człowiek w nas umiera
próbujemy nawiązać kontakt
czyjaś śmierć może pobudzić do życia

czasem jesteś zbyt szorstki
nawet nonszalancki
jednak przyznaj otwarcie
wczoraj
gdy czule o niej mówiłeś
szukałeś słów wykwintnych
a nawet słodko się jąkałeś

PRZERABIANIE PRZESZŁOŚCI

ciągle chcesz coś wyciąć przyciąć

mówisz że nie jesteś moim wrogiem
czy musisz używać takiego słowa?
- muszę
zasłaniaś twarz
nie słyszę echa
chyba dzięcioł uderza w pień
może śpiewa „a mury runą”
ptaki są mądre wiedział o tym już Ptasiek

pląsa w powietrzu piórko
unoszą się noż
jakby rozpoczynał hymn do miłości Pawła Apostoła
to dziwne że robi to noż
ale piórko poddaje się od razu

DRUGIE DNO

dzisiaj przejrzałam się w lustrze
i zrozumiałam jestem niczym
wiedza służy bo
Gombrowicz już pisał
że dzięki „niczym”
może sobie pozwolić na wszystko

potrzebuję cię jak burzy
błyskawica najbardziej
łączy niebo z ziemią

potrzebuję cię jak gościa
usiądź pod moim głosem
odpocznij sobie

nie bój się
nikt się nie dowie
że w syndromie
sztokholmskim pozwalam
ci zniekształcać moje słowa

Z DNIA NA DZIEŃ

z dnia na dzień zostałam
ością w palcach malca
o którego przyszłość się boję

tracę kolory
osadzona osaczona jak ryba
przez oczka w sieci

Z. popełnił samobójstwo
może wróci szybko w innym wcieleniu
będzie przystojny inteligentny jak tato

ale to nic skoro telewizor sam się wyłączył
został tylko kicz - dziewczynka
z czarnego ekranu

facet który od dawna przenikał lodowatym spojrzeniem
powiesił się na grubej gałęzi starej jabłoni
wtedy przestałam wpływać do obcego stawu

gdyby tak Z. wrócił pewnie by pomógł
może Z. się obraził na Boga albo na mnie
hartuję się jak szkło z wiosną pęknię

Agnieszka Rykowska-Kowalik wiersze publikowała
w „Afroncie”, „Akancie”, „Helikopterze”, „Odrze”,
na stronie e-dwutygodnika: „Pisarze.pl”. Była biblio-
tekarka. Prywatnie mama Michała.

Gabriel Korbus

Pieśń rybaka

Gdy miałem piętnaście lat,
Mój brat zabrał od nas naszą wolność,
Bo niebo srożyło się na nas.
Wyruszyć postanowił na przekór mórz,
By zdobyć nagrodę wiecznej odwagi,
Statek jego na skałach się rozbił daleko,
Tam, gdzie tylko chyba oczy Atlantydy mogłyby zobaczyć.

Stanął ten dawny bohater na opoce,
Dzielnie spoglądał na turkus fali,
Co rzuciła się na niego i wydarła życie,
Że tylko jego krzyk powrócił do nas.

Mój krwawy brat, powrócił razem z gorącą nocą,
Opromieniony szczęściem jak Boewulf,
Lecz nie na naszą radość je zdobył.

Mam dwadzieścia lat i jestem jego karykaturą,
Dorównać mu nie potrafię, nie mam odwagi,
Ani jego wzroku ostrego co potrafił,
Oddzielić ułudy od morskich potworów.

Ale morza też już nie ma, uciekło daleko,
I nie ma już ręki, co wyrzywałaby,
Ludzi ku przysgodom lub śmierci,
By byli ludźmi.
Jest tylko lęk i gnuśność,
Unikanie bólu i tchórzostwo,
Nazywane czasami rozsądkiem.

Nienawidzę was, nienawidzę, nienawidzę.
Złym być byle by tylko nie żalosnym.

Nie mamy prawa do naszego życia,
To tylko okup zapłacony przez tych,
Którzy życie stracili w zamian za wieczne życie,
Jakiego nie pojmą ludzie.

Ten, który nie żył za życia,
Powinien umrzeć też i po śmierci.

Ci, którzy nic nie mają,
Utracą także to czego nie mają.
Bo taka jest sprawiedliwość,
Nie ma większej zbrodni niż morderstwo duszy.
Boże zabij mnie, jeśli zabiję swoją duszę.

Jakże szczęśliwi byli ci, których nie pytano,
Którym nie dano wątpić. Wrzuceni w świat,
Targani przez przygody nie z własnej woli,
Którzy chcieli tylko trwać,
A musieli stać się ludźmi.

Tak łatwo jest nie spostrzec,
Że spogląda się w oczy śmierci,
Tak łatwo posłuchać szeptu otchłani,

Co mówi „nie przesadzaj,
Młody jesteś, wszystko przed tobą.”

Uwierzyłbym gdybym nie stał nad grobem
Dwóch moich umarłych lat,
Dwóch mi darowanych przez wieczność,
Jedynych i konkretnych lat z nieskończoności,
A ja, poruszyciel, nie zrobiłem nic.

Tak bardzo nie wiem, tak bardzo mnie nie ma,
Lecz daleko nade mną nadal jest kosmos,
Daleko, wokoło mnie, nadal jest życie
I ludzkość, czy nie jest to warte płaczu?

Zapłaczmj jeszcze raz i stańmy razem
Wokół globu i schwyćmy się za ręce,
By być jeszcze raz ludźmi i ocalić świat.

Mówię choć nikt mnie nie usłyszy,
Nie znając swego losu, nie wierząc w Boga,
Ni w sens ruchów kosmosu,
Mówię by sobie przypomnieć,
Odnaleźć odwagę, jeśli nie by żyć,
To chociaż by myśleć i marzyć,
By wziąć narkotyk wizji i umknąć szponom ludzi.

Wierzyć, śmierć ma sens,
Pochłonąć się w smutku i szaleństwie,
Nic z tego, zwycięży rozsądek,
Zwycięży zdrowe ciało a nad chorem
I tak zapłacze żądza.

Ani we śnie bez przebudzenia,
Ani w szaleńczej trzeźwości,
Tylko w półśnie,
Gdzie wyboru nie ma, ale jest odpowiedzialność.
Ja jestem wszystkiemu winny,
Bo kogóż innego obarczyć.

Andrzej Katzenmark

FEMININUM CZY MASCULINUM?

Few men think, yet all have opinions. Hence men's opinions are superficial and confused.¹

Nie jestem mizoginem. Nie jestem seksistą. Lubię kobiety. Mam nadzieję, że w ich uszach nie zabrzmiała ta deklaracja, jak brzmiałoby zdanie barana na temat owiec. Nie czuję się baranem i nie uważam kobiet za owce. I nie znam się na zwierzętach. Ostrożność moja jest może zbyt przesadna, ale nadszedł czas, kiedy uważać trzeba na każde słowo o kobietach, ważyć je, jakby na szali leżały diamenty, jakby mierzyło się je w karatach. Posądzanie o seksizm może nastąpić po każdym dowcipie o blondynkach, po każdej aluzji nawiązującej do różnicy płci, nie mówiąc już o słusznej krytyce ad personam feminae. Wszędzie czyha przepastna czeluść granicznego kanionu między genus kobiet i mężczyzn. A wszystko to ku rzekomej równości w czerpaniu z życia i praw.

Nim przejdę do gramatycznego sedna rzeczy, słów kilka na temat pierwiastków męskiego i żeńskiego. W „Uczcie” Platona podczas mów o Erosie Arystofanes przedstawia ciekawą historię płci. Opowieść jego nie jest ani składna, ani logiczna, ani konsekwentna, ale bardzo barwna i znamionująca ówczesną modę na orfizm, swoistą teogonię i religię pod auspicjami Dionizosa i Orfeusza. „Otóż cała postać człowieka każdego była krągła, piersi i plecy miała naokoło, miała też cztery ręce i nogi w tej samej ilości, i dwie twarze na krągłej walcowatej szyi, twarze zgoła do siebie podobne. Czworo było uszu, dwie okolice wstydlive. [...] Strasznie to były silne istoty i okropnie wolnomyślne [...], że już zaczęły robić schody do nieba,

żeby potem bogów napastować”². Wreszcie Zeus się zdenerwował i rzekł: „Ja ich teraz poprzecinam, każdego na dwie połowy; zaraz się ich tym osłabi, a równocześnie będziemy z nich mieli większy pożytek, bo ich będzie więcej na ilość”³.

Już z tych krótkich fragmentów widać, że Arystofanes opowiada dzieje płci w sposób jowialny, miejscami rubaszny. Wyraźnie jednak zarysowuje seksualne różnice, którym do dziś nie można zaprzeczyć. Różnice między kobietą i mężczyzną są niewątpliwe i niepodważalne. Komedio pisarz wniosek koronny z owego przecięcia płci odkrywa na koniec. I oto w miłości odnajduje dążenie człowieka (mężczyzny i kobiety) do uzupełnienia siebie o utraconą połowę, jakby ścigania przedwiecznej całości. Taki obraz dopełniania płci przypomina odnajdywanie własnego ego nie w głębi siebie, lecz w świecie zewnętrznym. Wynika z tych poszukiwań wniosek, że istotą problemów pogranicza pierwiastków, męskiego i żeńskiego, nie są ich podobieństwa, lecz różnice.

Zaiste różnice te istnieją także w języku, który jest dużo młodszy od dwójga płci. Polska gramatyka także wyrosła na tym dyferyncyjnym polu. Drogie panie, pięknie się różnimy na gramatycznym wybiegu. Wszak język nie powstał jako narzędzie niesprawiedliwości, jako wyraz męskiej supremacji. Nie lepmy leksyki polskiej na żeńską modłę, bo język nie jest z gliny!

Kobiety narzekają na brak femininów w polskiej mowie, zwłaszcza jeśli idzie o nomina potestatis. Ta lingwalna tęsknota przypomina niezbywalny żal niewieści: dlaczego nie jestem piękna? Lustreczko powiedz

przecie... Język nie jest narzędziem poddającym się jakimukolwiek zarządzaniu. Jeżeli ktoś odnajduje w języku tradycyjalistyczną (maskulinistyczną) niesprawiedliwość, myli się podwójnie. Primo, oskarżanie języka o tkwiące w nim jakoby seksistowskie uprzedzenia nie ma sensu, albowiem mowa, ani polska, ani żadna inna, nie ma uczuć, nie myśli i nie słucha arbitralnych wskazówek, choćby były nadzwyczaj mądre czy szlachetne. Poszerzanie więc arbitralne języka o żeńskie odpowiedniki wydaje się donkiszotersko śmieszne. Secundo, atomem mowy ludzkiej jest zdanie. Jak powiada Wittgenstein⁴, logicznym obrazem faktów jest myśl, która w zdaniu wyraża się w sposób zmysłowo dostrzegalny; tylko fakty mogą wyrażać jakiś sens, zbiory nazw nie mogą. A w tę sferę języka chcą wdrzeć się walczący (walczące) o językowe równouprawnienie: arbitralnie zmieniać i dodawać słowa.

Język nie przenosi męskiej dominacji. W interseksualnej dyskusji często pada argument, jakoby masculinum rzeczowników nazywających rozmaite synekury i zaszczyty wynikało z świadomych i odgórnych oddziaływań mężczyzn nie tylko na bieg dziejów, z czym można by się jeszcze zgodzić, ale też – na rozwój języka. Należy natychmiast zaprzeczać takim humbugom. O wiele więcej słów, frazeologizmów i gramatycznych zasad powstaje bowiem na straganach w dni targowe, niż w akademickich czy politycznych gabinetach, o czym powiada uczenie Faucault⁵. A przy straganach gromadzą się koedukacyjnie i mężczyźni, i kobiety, rzekłbym nawet, zwłaszcza kobiety.

Przejdźmy do prezydenta. Słowo to pochodzi od participium praesentis activi →

Grafika Eduard Nikonorow



→ czasownika łacińskiego *praesideo*, -ere (stać na czele, dowodzić): *praesidens*, *praesidentis*. Z genetivu po odrzuceniu końcówki -is pozostaje temat *praesident-*, od którego powstał nasz *prezydent*. Istotne jest to, że łacińskie słowo *praesidens* brzmi jednako dla trzech rodzajów, a ponadto femininum i masculinum tegoż imiestowu odmienia się tak samo. Żadnych płciowych różnic. A zatem Rzymianie, miłośnicy tradycyjnej rodziny z *pater familias* na czele, okazali się mniej seksistowscy niż my w XXI wieku i nie zdołali niczego zwojować na polu gramatycznym łaciny. Mówię to, oczywista, z przekorą, żeby wykazać, że nie z męskiej supremacji i sięgania po *summum imperium* wynikają gramatyczne (rodzajowe) prawidła języka.

Analogiczna zasada polszczenia nazw osób dotyczy takich wyrazów jak: regent, regent, agent, docent, petent, pacjent a także aplikant, mutant, sekundant i dziesiątki innych. Łatwość tworzenia form żeńskich: aplikantka, regentka, agentka itp., nie oznacza, że wszystkie te słowa taką formę znalazły. Lecz wyciąganie stąd wniosku, jakoby stało za tym męskie lobby, to lingwistyczna legenda.

Należy pamiętać, że oprócz nazw urzędów, zawodów i zaszczytów występują w rodzaju męskim rzeczowniki mniej chciane: włóczykij, włóczęga, pętań, nicpoń, nierób, leń, drań, łazęga, birbant, opój i mnóstwo innych, co do których panie zgoda pretensji nie zgłaszają. Czyżby nie istniały w rzeczywistości kobiety nicponie, lenie czy opoje? Skoro głupiec, czemu nie głupka? Skoro gołodupiec, czemu nie gołodupka? Skoro truteń, to dlaczego pszczołka, a nie trutka? Dlaczego skurwysynowi brak żeńskiego odpowiednika? Przykłady można mnożyć, ale paniom nie przyszło do głowy upominać się o rodzajowe braki w tak pejoratywnie ocenianej grupie. Pragną bowiem przebiec leksykalny *cursus honorum*, sięgnąć ambicjonalnych szczytów języka, takich jak: *prezydentka*, *premierka*, *doktorka*, *ministerka* (*ministra*), *sekretnika stanu*, *konstulka* itd. Przecież to język. Sam potrafi zadbać o swoje niedostatki. Snadź *prezydentka* jest jego najmniejszym utrapieniem.

Gdybyśmy powiedzieli: *Angela Merkel jest najbardziej lubianą kanclerką Niemiec*, znaczyłoby to ni mniej, ni więcej, że oprócz niej były jakieś inne kanclerki. Brakuje bowiem w tym zdaniu odniesienia do urzędu kanclerza. O ileż trafniej brzmi: *Angela Merkel jest najbardziej lubianym kanclerzem Niemiec*? Rozróżnienie rodzajów (*kanclerka*) w tego typu zdaniach

Grafika Eduard Nikonorow

ogranicza możliwość wyrażania jednoznacznej opinii. Należałoby raczej zmierzać w stronę ujednolicenia rodzajowego, ale do tego gramatyka nasza nie jest gotowa. A już z pewnością niemożliwe jest poszukiwanie żeńskich odpowiedników dla księdza czy ojca.

Niech pogodzi nas *fujara*, *pokraka*, *ciapa*, *niedotęga*, *niezguła*, *niezdara*, *fajftapa* i szereg brzydszych. To rzeczowniki o odmianie żeńskiej i męskiej. Różnić je może (nie musi) dopełniacz liczby mnogiej.. Odmiana męska dopuszcza w tym przypadku również -ów. A zatem odmiana żeńska: *ciap*, a męska: *ciap* lub *ciapów*. To znamienne, że w szeregu tych potocznych słów o zakończeniu na -a, dalekich od prezesów, generałów czy marszałków, znajdujemy skromny pomost damsko-męskiego porozumienia na niwie języka. Bez sztucznej reżyserii i odgórnych poleceń wydawanych językowi.

Język polski dostarcza nam jednak dalszych problemów. Bezceremonialnie – język zawsze kroczy swoimi drogami – przyjął na swój grunt wiele greckich neutrów i zaadaptował jako męskie. *Plektron*, *organ*, *plankton*, *hormon*, *sympptom*, *poemat*, *epos*, *sofizmat* są w naszej rodzimej mowie rodzaju męskiego. Nie odczuwam bólu z powodu tej przemiany. Rozstrzygnęły o niej tendencje języka. Profetycznie zaś zauważam pewien rozdziewiek, jeśli idzie o *embryon*. Dopóki tkwił w greckim rodzaju nijakim, mógł bezkarnie oscylować pomiędzy płciami. Polski język atoli przyszpilił go w rodzaju męskim jak motyla na makatce. Greckie *embryon* stało się rodzimym *embriem*. A skąd wiadomo jaki jest *embryon*, nim się narodzi? Jak to skąd? Z USG. Dlaczego kobiety nie wojują o sfeminizowanie *embryonu*, jeśli jest płci żeńskiej? Powstałaby męska i żeńska odmiana płodu na podobieństwo *ciapy*. Znowu język staje okoniem wobec tak drastycznych pomysłów. Owszem, pomysł to wydumany, ale konsekwentnie powiązany z *prezydentką*, *niezgułą* czy *ministerką* (*ministą*).

W liczbie pojedynczej dość sprawiedliwie rozłożyły się reprezentacje rodzaju żeńskiego i męskiego. Mimo to na ich pograniczu wciąż dochodzi do potyczek. A ileż spektakularnych bitew mogłoby się rozegrać na polu liczby mnogiej. Tu bowiem majaczą jak zmora dwa dodatkowe rodzaje: męskoosobowy i niemęskoosobowy. Może budzić zazdrość istnienie samodzielnego, niezależnego od kobiet, roślin, zwierząt i rzeczy rodzaju, któremu podporządkowały się przymiotniki, czasowniki w czasie przeszłym i przyszłym złożonym oraz w trybie

przypuszczającym. Dziwi mnie brak głosów wołających o sprawiedliwość. Dlaczegożby nie stworzyć rodzaju żeńskoosobowego albo lepiej: jednego wspólnego rodzaju dla liczby mnogiej? Na szczęście język giętki stawia opór temu, co pomyśli głowa.

A teraz: baczność! Idzie generał, za nim pułkownik, major, kapitan... Maszerują męskim krokiem. Dlaczego nie słyszę brzęku krzyżujących się pałaszy w pojedynku o generałkę, pułkowniczkę, majorkę czy kapitanekę? A cała reszta szarż: porucznik, chorąży, sierżant itd.?

W księgowości istnieją od dawien dawna dwa terminy: *winien* i *ma*. Powiedzmy, że to męskie konto księgowe. Zarysowany powyżej antagonizm wymaga, bym zmienił brzmienie owych rubryk na *winna* i *ma*. I oto w kolumnie *winna* znajduje się sześć pozycji niezaprzeczalnego długu: *Europa*, *Azja*, *Afryka*, *Ameryka*, *Australia* (z *Oceanią*) i *Antarktyda*, cała ziemia zapełniona kontynentami płci żeńskiej. Że *Atlantyck*, *Pacyfik* i *Ocean Indyjski* nasz, po stronie *ma*? Oddam wszystkie oceany za skrawek suchego lądu. Panie wywalczyły sobie równowagę w nomenklaturze huraganów i tajfunów. Wiodły prym w tej dziedzinie do lat siedemdziesiątych; dopiero wówczas pojawiły się również nazwy męskie. Dlaczego my, mężczyźni, siedzimy cicho, jeśli idzie o nazwy kontynentów? Czyżby tak wybrzmiewała nasza męska słabość? Wnoszę więc jako pierwszy o ustanowienie dla połowy kontynentów paritetu męskiego – nazw w masculinum. Może być *Ameryk*, *Europ* (tak nazywają się dwa pierwiastki) i *Austral* (tak nazywała się argentyńska moneta). To znowu żart, perskie oko puszczane ku paniom, ponieważ nie może ani mężczyzna, ani kobieta *ex cathedra* kształtować języka. Przed takim arbitrium język potrafi się obronić.

Czy wiecie państwo, dlaczego koronawirus jest rodzaju męskiego? To proste: dla płciowej równowagi. Po *hiszpance*, *ptasiej* i *świńskiej* grypie nie było innego wyjścia, niż wziąć ten gramatyczny ciężar na męskie barki.

ANDRZEJ KATZENMARK

1 George Berkeley, *Three Dialogues between Hylas and Philonous w: The Works of George Berkeley*, vol. I, printed by J. F. Dove, London 1820, s. 162.

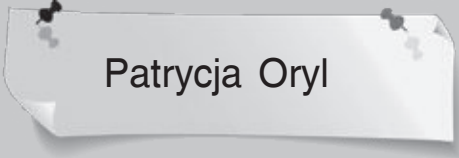
2 Platon, *Uczta*, przeł. W. Witwicki w: *Dialogi*, t. II, Wyd. Antyk, Kęty 1999, s. 191.

3 Platon, *ibidem*.

4 Ludwig Wittgenstein, *Tractatus logico-philosophicus*, PWN, Warszawa 1997.

5 Michel Foucault, *Słowa i rzeczy. Archeologia nauk humanistycznych*, przeł. T. Komendant, Wyd. Słowo/Obraz Terytoria, Gdańsk 2006, s. 111/112.





Patrycja Oryl

Już tylko na zdjęciach
wracamy do miejsc,
w których potrafiliśmy
oddychać
bez siebie.
Dziś dusimy się
w sosach
tego miasta,
w wynajętej kawalerce,
gdzie nie pomalujemy
nawet mebli,
a co dopiero mówić
o ubarwianiu
sobie
życia.

WYJĄTKOWY

Pingwin albinos
widzialny jest
tylko w nocy,
gdy tworzy
oblicze samosztuki.
Nie prosi o uwagę.
Uwaga prosi się sama.

Pingwin albinos za dnia
wsiąka w śnieg.

ZWĄTPIENIE

Nawet poza wymiarami
nie czuję już Boga.
Po świątyniach
porozsyłał swoich
nadludzi
i pozwolił
im
włożyć
tobie
rękę pod bluzkę.
Z taką siłą, że bałaś się
odejść.

SŁOWA

Brakuje nam.
NIE padły.
I my NIE padniemy sobie.
A na pewno NIE
na do widzenia.

POWRÓT

Chmury spadają
z nieba ciężkie,
rozbryzgują się
na tęcze miasta płyty.
Chodnik się zbryla
w śnieżne asfaltu kule,
a ja,
to ja,
wypływam
na powierzchnię.

GRUDNIOWE LISTY (1993-2019)

Zostaw mi
pod choinką
żywego starszego brata,
przyjaźnie bez gnoju,
wybiegowe rysy,
nieodrzućcie
i liposukcję.

Położ mi
wierność chudego chłopca
i inteligentne miłości,
pracę w zawodzie,
etat,
pieniądze.

I chęć do życia
mi oddaj.

SANATORIUM POD

Czarny pies
kundel
typu rottweiler
przechadzał się
snuł
po oddziale geriatrycznym
zaglądał przez
dziurki od klucza
do sal
w których przez otwarte usta
uwalniało się
życie
spotkał
mgliste spojrzenie
babci Apolonii
skulił się
przy jej ostatnim łóżku
położył pysk
na opadającej dłoni

jej opadły
powieki

Jerzy Stasiewicz

SZLAKIEM FESTIWALI I SALONÓW 2019 ROKU

Tradycyjnie w ostatni weekend lipca, szturm wojsk napoleońskich na pruską Nysę i nasza „Bitwa w tle”. W tym roku zaproszenie Stasiewiczówki przyjął i spotkanie plenerowe poprowadził Zbyszek Niedźwiedzi Ravic - prozaik i dramaturg. Autor: *Grzechu przemilczenia, Przypadków małżeńskich, Błękitnej tożsamości* – powieści o księżnej Daisy von Pless ostatniej pani na zamku Książ i w Pszczynie (po przeczytaniu, której ruszyliśmy z Violą ponownie w tamte miejsca). Zbyszek zaprezentował zebrany fragmenty powieści. Opowiedział o dziesiątkach godzin spędzonych nad studiowaniem epoki, wizytach w archiwach i muzeach oraz wertowaniem starych katalogów mody. Rozmowach z ostatnimi, żyjącymi świadkami pamiętającymi „angielską panią”. Głos Zbyszka zagłuszał huk armat, rżenie atakującej konnicy, jęki rannych. Altanę Stasiewiczówki spowijał gęsty dym prochowy grzyczący gardło. Tylko płukanie czerwonym, gronowym winem wyrabianym przez gospodarza pozwalało prowadzić zaciętką dyskusję. Pojawił się i Napoleon, któremu szpica doniosła, że przy Orlą Lwowskich biesiadują literaci. Bo w 1807 roku w czasie oblężenia Śląskiego Rzymu przebywał w Gdańsku.

Tydzień później z Jassem Szczurkiem ruszyliśmy na kolejny festiwal poetycki "Po obu stronach Morawy" przypadający w tym roku na Słowację w malowniczej choć pełnej kontrastów Senicy. Lubimy jeździć przez Czechy bo w kraju naszych południowych sąsiadów czas płynie wolniej. Drogę dobre przecinają pagórkowate zielonkawe zbocza na których pasą się smutne mięsne krowy przeznaczone na rzeź. Nie to co w Polsce łąciate, mleczne, głaskane przez hodowcę po wymięczku w oczach mają radość i zalotnie zerkają na byczka przy miedzy. To obserwacja znudzonego pasażera, gdyż w czasach nawigacji rola kierowcy polega głównie na zmianie biegów, trzymaniu kurczowo kierownicy i posłusznym wykonywaniu poleceń „Zośki” – skręć w prawo, skręć w lewo, trzysta metrów prosto! A gdy ona zamilknie stajemy się bezradni jak niemowlęta. Tego doświadczaliśmy w Hodoninie parę kilometrów od mostu granicznego na Morawie. Czy to złośliwość czeska?... Chyba nie. Przypuszczam, że byli nami zachwyceni w zeszłym roku (zwłaszcza poetki) i nie chcieli oddać nas konkurencji. Jakoś dotarliśmy. Kto pyta ten błądzi... ale mniej.

Wielkie słowa uznania dla Vlado Petrowicia historyka, poety, potrafiącego połączyć wieczór poetycki w Zachorskiej Galerii sztuki współczesnej z muzyką klasyczną. Spotkanie ze starostą Sobotíšte, okraszone zwiedzeniem muzeum bohatera narodowego Samuela Jurkoviča, prelekcją na jego temat. Kosztowaniem regionalnej śliwowicy. Do dziś czuję jej moc. Wieczorną biesiadę poetycką w Habańskim dworze. I prezentacją liryków na świeżym powietrzu. Program bardzo napięty, ale był czas na rozmowy kularowe. Czego owocem zaprezentowanie polskiemu czytelnikowi wyimka twórczości bułgarskiej poetki Dimany Iwanowej.

Żal było odjeżdżać, w oczach kobiet widziałem łzy. Pewnie jak zniknęliśmy za pierwszym zakrętem, policzki otarły i ruszyły do swoich mężczyzn.

Sierpień to Łądek Zdrój i Noc Poetów która w ostatniej chwili została odwołana, a jednak poeci dotarli by wesprzeć zdruzgotanego Zbyszka Kresowatego. W kawiarni artystycznej u „Klahra” wystąpili: Andrzej Dębowski, Je-

rzy Stasiewicz, Leszek Bragiel, Andrzej Walter, Joasia Massakowska. Barwił muzycznie poznański duet

„Niebieska trawa”. Kilka słów o pomnikach piosenkarzy i poetów powiedział rzeźbiarz, profesor Marian Molenda. Po północy przenieśliśmy się do galerii

„Krezbi”, racząc się chlebem ze smalcem i czerwonym winem, dyskutując o literaturze do białego rana.

Dwa miesiące później całkiem przypadkiem znalazłem się w stolicy w czasie 48 Warszawskiej Jesieni Poezji. Zaszedłem do „Domu Literatury”. Była akurat przerwa. Zostałem obdarowany przez Aldonę Borowicz antologią. Poznałem czytwanego sporadycznie lecz z przyjemnością Stanisława Stanika. Nazywając go bazarzem - gawędziarzem z czego się ucieszył. Usiadłem wśród publiczności, którą by policzył na palcach jednej ręki wsłuchując się w prezentowane teksty.

W październiku miałem zaszczyt być gościem Nyskiego Salonu Literackiego. Założone przed laty na wzór salonów Anny Dymnej przez znakomitą aktorkę i krótki okres dyrektora domu kultury w Nysie Martę Klubowicz. Od tamtego czasu nabrał szalonego rozpędu. Dziś salon swoim nazwiskiem firmuje Małgorzata Anna Bobak - Końcowa – poetka, malarka, ilustratorka książek. Sala małej sceny im. Jerzego Kozarzewskiego pękała w szwach. Aż trudno uwierzyć, że w dzisiejszych czasach jest tylu miłośników poezji. Przedstawiłem utwory z ostatniego tomu: *Powróciłem*. Spotkanie ubarwił muzycznie na saksofonie Paweł Brzeźnicki. Wieczorem przenieśliśmy się do Stasiewiczówki bo poeci nie tylko słowem pisanym żyją. Tu kulinarnie zaprezentowała się Viola, a wypieki Danusi Zajac zniknęły w oczach.

Końcem miesiąca ruszamy z Joasią Stodczką przynagana przez dobre wiatry z Raby Wyżnej do Stasiewiczówki na XX jubileuszowe Dni Poezji w Broumovie. Lubię tu przyjeżdżać do ogromnego, posadowionego na wzgórzu klasztoru benedyktyńskiego, gdzie znajduje się kopia *Całunu Turyńskiego* z 1651 roku i gdzie został napisany największy rękopis świata *Codex Gigas*. W 1648 roku wywieziony do Szwecji jako zdobywc wojenna. Tu Verze Kopeckiej udało się stworzyć miejsce magiczne dla poetów. Mury klasztoru ociekają poezją. Poezja wypełnia sale i cele klasztorne, unosząc się na kłatkach schodowych i dziedzińcu. Jestem tu po raz ... nawet nie wiem który? Tak ucieka rok za rokiem, a na półce przybywa kolejna antologia i kolejna. W tym roku oprócz festiwalowej *Na křídlech slov*, ukazała się jubileuszowa: *Pegas nad Broumovem* podsumowująca ostatnie dziesięciolecie. Zostałem w niej pomniejszony co uważam za zaszczyt. Miałem także przyjemność napisać kilka słów wstępu pt.: „Będę tu powracał”. Rozpropagowałem go w polskiej prasie. Korzystając z tej antologii nasi czytelnicy mieli okazję poznać wiersze: Mirostava Kapusty, Vlado Petrowiča, Věry Kopeckiej, Sergieja Selkoviya w przekładzie na język polski Antoniego Matuszkiewicza.

Festiwal u Věry to także warsztaty literackie i referaty omawiające twórczość poetów pogranicza mających wpływ na literaturę światową. Wystawy malarstwa i fotografii, wycieczki w ciekawe miejsca i spacer po okolicy. W tym roku otworzyła swoje drzwi Galeria Sztuki Niezależnej w Ludwikowicach Kłodzkich prezentując twórczość artystów fotografików

z Polski i Czech. Wielką salę byłego kościoła ewangelickiego wypełnił głos poezji w kilku językach. W czasie tego spotkania odbył się benefis Věry Kopeckiej, otwarto wystawę jej zdjęć. Publiczność poznała Věru jako poetkę, fotografikę, rękodzielniczkę artystycznego, twórcę i gospodarza Dni Poezji w Broumovie, które na trwałe wpisały się w Polsko-Czeskie Dni Kultury Chrześcijańskiej. Tacy ludzie jak Věra Kopecká są motorem działań kulturotwórczych i nie znają barier urzędowo – biurokratycznych. Tutaj dane mi było spotkać poetę polsko-niemieckiego Karla Grenzlera o którym napisałem kilka słów.

W listopadzie na Międzynarodowy Festiwal Poezji "Poeci bez granic" im. Andrzeja Bartyńskiego do Polanicy Zdrój ściągają poeci z całego świata. Motorem tego przedsięwzięcia jest Kazimierz Burnat, prezes Dolnośląskiego Oddziału ZLP we Wrocławiu. Impreza zorganizowana z ogromnym rozmachem rozpoczyna się od lekcji poetyckich w szkołach w Polanicy Zdroju, Kłodzku, Bystrzycy Kłodzkiej, Nowej Rudzie. Składamy kwiaty przy pomniku Adama Mickiewicza recytując utwory wieszczów. Jest Hyde Park w kawiarni Bohema. Noc poetów połączona z prezentacją antologii festiwalowej: *Polanickie inspiracje* nr 16 zgodny z edycją festiwalu. Starannie wydana, mieszcząca utwory uczestników i gości. Opatrzona szczegółowymi biogramami. Najdłuższą drogą do Ziemi Kłodzkiej przebył Hassanul Abdullah urodzony w Bangladeszu, wyedukowany na Uniwersytecie Nowojorskim, osiadły w USA skąd przybył. Nie mało kilometrów pokonała Maria Mistrioti zamieszkała na wyspie Chalkida-Eubea (Grecja), bo kraje ościenne to prawie tutejsi.

Panele dyskusyjne, w tym roku hitem był esej Dariusza Pawlickiego „O bezkrytycznych krytykach”, który rozgrzał dyskutantów do krwiści w oczach. Ciekawie zaprezentowali się Andrzejujowie: Walter i Dębowski, Agnieszka Tomczyszyn - Harasymowicz i Marek Wawrzekiewicz.

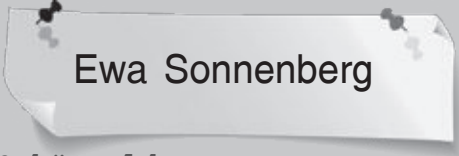
Szukaliśmy inspiracji w Parku Zdrojowym. Tu był czas na luźne rozmowy, wymianę książek, zanotowanie kontaktów. Wieczorem biesiada artystyczna, najbardziej luźny punkt programu. Widać kto ma zacięcie kabaretowe, kto spokój sumienia, a na kogo patrzeć nie można bo ugryzie. A wiadomo czy szczepiony? Duszę wszystkim był Kazio, ale wielu, także i ja odnieśliśmy wrażenie jakby się żegnał. Oby to było mylne spostrzeżenie.

W grudniu długo oczekiwana promocja almanachu *Powrót do Wieszczyny* będącego podsumowaniem zeszłorocznego pleneru poetycko-malarskiego, zorganizowanego przez niezmordowanych animatorów kultury Teresę i Witka Hreczanuków. Do maleńkiej Wieszczyny posadowionej na granicy jak kiedyś dysydenci ciągną poeci i malarze z Polski, Czech, Słowacji. Willa Frankla w Prudniku godnie przyjęła twórców pomieszczonych w tym wydawnictwie.

W tym samym czasie w Czechach ukazała się *Návratnost nóny* Františka Všeňički. Utwory stylizowane na czeski renesans, dziesięciozgłoskowiec, dziewięć wersów, średniówka, układ rymów: abababccb. Czeski profesor poświęcił trzy utwory polskim przyjaciółom nadając tytuły: Kresowaty, Stasiewicz, Ossoliński.

Tyle zeszły rok.

JERZY STASIEWICZ



Ewa Sonnenberg

Schönwald

mówią że klęska rozpocznie się na zachód od miasta gór
mówią o okrucieństwie nieznany dotąd
mówią że to będzie początek końca
krzyże pokutne odżyją płaczem więzionych win
od morza sunie fala zwycięskich i zwyciężonych
stopieni w jedno bezkształtne cierpienie
tłumy gonią tłumy zgłodniałe przebaczenia
trumny gonią trumny ciekawe zniszczenia
śmierci nie żal przegrywać Przegrywa

Mój dom jest daleko stąd
w przerwany wymiarze czasu
Trwa cały las
Przed wejściem po dwóch stronach
powtarza jedno i to samo za Trwałym:
Nie wymawiaj imienia złota
nie grzesz mówiąc że grzeszysz
nie pytaj to nie ma znaczenia
nie oskarżaj
nie uciszaj płaczącego dziecka
to jego rozmowa z kosmosem
idź za pierwszą myślą
zawsze powracaj w stronę dzieciństwa
nigdy nie przerywaj tego powrotu
niech trwa i stale dąży w odwrotność
idąc tam
nie oglądaj się za siebie

szczęśliwi którzy nie muszą znać innych
szczęśliwi którzy nie muszą być blisko
szczęśliwi zapalają lampki na grobach
rozpinając krzyże zapięte napisem
powrót:
z wielości tylko jeden
wysunie się z powietrza
prawdę zamieni w żywioł
na skórze zostawi blizny
skończy się luksus wyborów
pomiesza funkcję czasu na dwukierunkowość
otworzą się książki na spełnionej obietnicy

Mój dom jest daleko
na skróty przez las cmentarz las
moment to zdolność rozumienia granic
u stóp Srebrnej Góry pobożowiska rycerzy i rozbójników
drzewa wspominają przysięgi zakopane na polach
porośniętych księżycowym bluszczem
koczowali na stokach tej góry w poszukiwaniu życiorysów
figlowali z wiatrem i z duszą świata
poszukiwali legendarnej nieznajomej z zielonym proszkiem
na powiekach
chudej madonny z duszą rafaela
nazywana diabłem bo nikt jej nie miał
urodziła ją wieża przypadkowa wiejska campanilla
zagadkowa mantra ostrosłupa zwilżona nasieniem kamienia
bez domu bez imienia w torebce nosi kamienie i motyle
oblicza ilość skrzydeł i porównuje do ilości gwiazd
deklamuje rozpuszczone w deszczu wiersze
podrzuca globus w górę gdzieś tam
ktoś jest szczęśliwy lśni
echem starych sukien welonów i rozgniecionych czereśni
tak krótko trwa moje królowanie tyle co dla liści
kochankowie spóźnieni o całe stulecia
poszukiwacze baśni jeden z rycerzy obiecał jej
taniec skąd się wziął nigdy go przedtem nie spotkała

ogród w obie strony tak samo daleki
ogród i ziemia są kochankami
wydają zapach rodzenia
nerwowa zmienność pór roku
wsiała w powietrze punkt zero
w oknie nagość dziecka prosto z kosmiczny wód
w oknie nagość dziewczynka dziewczyna kobieta staruszka
na korze drzewa chronologicie powtórzeń

radikalne ciepło słońca tępi ostrze w odorze cmentarza
kamień opowiada ludzkim głosem:
tylko jeden zna czas
tylko jeden zauważa
tylko jeden napelni ciało widokiem
rozbije sekret na dziesiątki zrozumiałych sylab
zasłony chmur
pomarańcza zakrwawiona śliną
miedziane wrzosa lechtane próżnią
otchłań odwrotnie proporcjonalna do ciała
seledynowy kafel jezdni
bladorożowe świty wchłaniane powiekami
na wylot zmiotł mnie tamten świat
nierzeczywisty złożony z rzeczywistego
nie atakuje stawia na swoim
piętnuje niewyraźnym
mijała epoka krzyży
ojciec jak długa fala myśli
zawsze cię goni
przejdę magię
przejdę przez kapliczki
przejście na odbiór i całość

jest czas klęski
i czas tryumfu
jest czas nadziei
i czas zaniechania
w trakcie

Tylko ten człowiek bez głowy który przeszedł obok
i dalej idzie w kółko
skąd się wziął nigdy go przedtem nie widziała
z oddali słysząc siermiężne zbroje
pamięta jeden z rycerzy obiecał jej taniec
idą wciąż idą
nabrmiewają w oparciu krzesel
Na pustym niebie pas krwi Dwie połowy błękitu
w jednej ręce słońce w drugiej księżyc
ta głowa rozdziera trylogię snu

Mój dom nie dom
bo tam nikogo już nie ma
umarli którzy naprawdę umarli
zacierają po sobie ślady
ich domy ogrody drogi wykruszają się niszczej
Zamieniają w ruiny

Nie boję się ruin
są jakby wyższą formą tego co już było

JESIEŃ, 1993

Ewa Sonnenberg- poetka, publikowała we wszystkich pismach literackich w Polsce [informacja od autorki] oraz wielu pismach zagranicznych. Wiersze tłumaczone na język angielski, francuski, hiszpański, niemiecki, szwedzki, turecki, rosyjski, węgierski, słoweński, słowacki, czeski, serbski, macedoński, bośniacki, włoski, ukraiński. Opublikowane tomiki: „Hazard” (Wrocław, 1995), „Kraina tysiąca notesów” (Dzierżonów, 1997), „Planeta” (Katowice, 1997), „Smycz” (Wrocław, 2000), „Płonący tramwaj” (Kraków, 2001), „Lekcja zachwyty” (Kraków, 2005), „Pisane na piasku/Written on sand” (Kraków, wyd. Ha-art., 2007), w angielskim przekładzie Katarzyny Jakubiak, „Rok Ognistego Smoka” (Kraków, 2009), „Wiersze zebrane” (Wrocław 2014, Biblioteka Rity Baum), „Hologramy” (Poznań 2015, WBPiCAK), poemat prozą „Obca” (Szczecin 2015, wydawnictwo Forma).

Stypendystka m.in. Kultury Niezależnej w Paryżu, wielokrotnie nagradzana, w 2016 została finalistką Orfeusza – Nagrody Poetyckiej im. K. I. Gałczyńskiego za tom „Hologramy”.

Należy do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Marek Wawrzekiewicz

PISZEMY WIERSZE

CZYLI SAMI SOBIE SIEBIE TŁUMACZYM

Wyzbądźmy się zarozumiałości, postawmy na zrozumienie: nie potrafimy opisać świata. Opisujemy nasze **widzenie świata**. Wiersz trafia do odbiorcy wówczas, kiedy on, czytelnik czy słuchacz, widzi świat tak samo, albo podobnie jak my. Ale jest to krańcowo rzadkie. Czy mamy wobec tego inną szansę? Tak – jeśli nasza perswazja, czyli wiersz, jest na tyle sugestywna, tak przekonująca, że czytelnik przyjmuje ją jako swoją.

Opórcz czterech żywiołów świat składa się z miliarda drobniaków: krajobrazów, temperatur, wiatrów, przedmiotów, zapachów, barw. I ludzi, którzy świat zamieszkują – z pożytkiem dla tego świata lub nie. Boję się, że zaczyna rosnąć w siłę ta dryga kategoria. O tym potem. Najpierw o zmysłach. Bo one rozpoznają świat, który próbujemy opisać.

I.

Przeczytałem gdzieś, że istnieje przeszło ćwierć miliona kolorów. Dobry malarz kolorysta widzi ich około 30 tysięcy. My rozróżniamy kilkadziesiąt, ale z pewnością nie wszystkie umiemy nazwać. W międzywojennej i jeszcze wcześniejszej poezji polskiej było bardziej kolorowo. Występował w nich amarant, szkarłat, pąs, karmazyn („Karmazynowy poemat” Lechonia). Teraz w poetyckim użyciu jest prawie wyłącznie kolor czerwony, a przecież ma on 33 odcienie. Jeśli więc umawiamy się na spotkanie w świetle **czerwono zachodzącego słońca**, to miejmy świadomość, że dla każdego z nas słońce zachodzi w nieco innym czerwonym kolorze. A kiedy się uprzymy, że musimy uzgodnić w jakim, to pewnie będziemy to robić metodą porównań: czerwone jak poziomka, jak owoc róży, jak kalina, jak jarzębina... Świat widziany przez malarzy inspirował i inspirował wielu poetów. Wielkie dzieła malarskie i rzeźby znalazły interpretację w olbrzymiej ilości wierszy i ta mnogość dobrze świadczy o wrażliwości poetów. Chciałbym się mylić, wydaje mi się jednak, że nie działa to w drugą stronę. Pewnie nasze widzenie świata nie przekłada się na obraz. Nie jestem pewien, czy możemy mieć o to pretensje. Kilkanaście lat temu w czasie przygotowań do kolejnej Warszawskiej Jesieni Poezji wystawiałem wiersze do malarzy skupionych w stowarzyszeniu pastelistów z prośbą, aby artyści nie tyle zilustrowali te wiersze, ale żeby się nimi zainspirowali. Otrzymałem 40 obrazów, które potem wystawiliśmy dotychczas do każdego z nich rękopis wiersza. Tylko trzech poetów rozpoznało w obrazach swoje utwory. Pomyślałem, że tak właśnie powinno być: poeta pisząc wiersz tworzy pewien obraz. Ale odbiorca wiersz czytając widzi obraz zupełnie inny. A to znaczy, że wiersz jest dobry, bo niejednoznaczny.

Dawno temu towarzyszyłem pewnej damie w ceremonii zakupu perfum.

Dama kilka lat przedtem poddała się operacji laryngologicznej, w wyniku której straciła zmysł węchu. Pytała mnie jak pachnie zawartość kolejnego flakonika. Zadanie to okazało się niewykonalne: mówiłem, że zapach jest słaby albo mocny, słodki albo gorzki (i tu wkroczyłem w sferę innego zmysłu – smaku). Ponieważ wyjaśnienia były niewystarczające, próbowałem dalej: perfuma pachniała mi konwalią, jaśminem, maciejką, fiołkowym łubinem kwitnącym na Su-

walszczyźnie, kwitnącą lipą, bzem, a nawet piżmem – jakbym wiedział jak to pachnie. Ale uświadomiłem sobie, że mimowolnie wkroczyłem na tereny poezji, bo czymże innym jest porównanie zapachu cieczy w butelce z wonią kwiatów. A w dodatku zapachy te nie bywają jednorodne, komponowanie perfum jest sztuką podobną do komponowania symfonii. Trud mój oceniam jako bezowocny, bo przecież nie sposób **opowiedzieć** zapachu nikomu, a już tym bardziej osobie o przetraconym powonieniu. Antoni Słonimski w wierszu „Żal” napisał ... i bez pachniał jak bez. Uważam, że jest to konstatacja genialna. Mamy w pamięci zapachy, których nie da się opisać w żadnym wierszu, bo są one naszą wyłączną, prywatną, niezrozumiałą dla innych własnością: zapach świeżo żaranej ziemi, zapach włosów ukochanej kobiety, zapach wody w zakolu rzeczki z dzieciństwa, zapach farby drukarskiej płynącej z pierwszego egzemplarza debiutanckiego tomiku... Próbujemy to zapisać w wierszu i prawie nigdy nam się to nie udaje. Ale to optymistyczne, bo mamy jeszcze coś do zrobienia.

W drugiej połowie lat osiemdziesiątych pojechałem do domu pracy twórczej pisarzy ormiańskich. Miejsowość Cachkadzor w Armenii położona na wysokości 2000 m wtedy odznaczała się tym, że po uliczkach przechadzały się wielkie dziewczyny o barach żubra – obóz treningowy miały tam pływakczki reprezentacji Związku Radzieckiego. Przyjechałem po obiedzie, do kolacji było sporo czasu, a że byłem głodny, udałem się do przydrożnej knajpy. Zamówiłem karafkę wina, kebab i sałatkę z pomidorów. Jedząc tę sałatkę męczyłem się, bo nie mogłem sobie przypomnieć co mi ten smak przypomina. Ale ponieważ jestem wybitnie inteligentny, to już po piętnastu minutach wiedziałem: pomidor przypominał mi smak pomidorów. Takich, jakie jadłem w dzieciństwie. Od lat szukam tego smaku i nie znajduję, mimo, że jem to coś, co na oko wygląda jak pomidor. *Addio, pomidory* – napisał Jeremi Przybora. Nawiasem mówiąc piosenka ta jest swojego rodzaju źródłem historycznym, dokumentuje bowiem czasy, kiedy pomidory występowały tylko w porze roku im przypisanej. Ale to tylko na marginesie.

Może ten sam prehistoryczny poeta, który jako pierwszy porównał kobietę do kwiatu, napisał też, że jego ukochana miała słodkie usta. I tak zostało aż do dziś, zaakceptowaliśmy to bez zastrzeżeń, z wyłączeniem trzęźwego myślenia. Gdybyśmy je włączyli, to doszlibyśmy do konkluzji, że kobieta ma usta słodkie po zjedzeniu łyżki miodu, gorzkie po zjedzeniu np. gorzkiej czekolady albo garści piołunu, a upajające – nie będę tłumaczył po jakiej konsumpcji. W sferze tych porównań poezja nie dokonała przełomu, choć nie ustawała w próbach. Poeci baroku byli rubaszni, a niekiedy i sprośni, poeci romantyzmu najczęściej tragiczni, na ich uczucia kładł się czarny cień przecucia miłosnej kłębki. A poeci współcześni? W pierwszej fazie zakochania piszą wiersze młodzieńcze, później, już na zgłiszczach miłosnych zapachów, zawstydzające ich samych, w fazie katastrofy – bardziej udane, co dowodzi, że wszystkich nas zrodził romantyzm. Zresztą sprawa

jest dodatkowo skomplikowana w epoce, kiedy poetki piszą męskie wiersze, poeci zaś wiersze zniżające. Wróćmy jednak do zmysłu smaku.

Proza światowa, ale także polska, pełna jest wspaniałych opisów uczt oraz pochwał dla jednego z grzechów głównych – obżarstwa. *Dobre wino i dobre mięswo to są rzeczy dobre* powiada Colas Breugnon w powieści Romain Rollanda. Brakuje nam dziś tego hedonizmu. Poezja, szczególnie polska, jest pod tym względem uboga, choć tworzyli ją często ludzie – łagodnie mówiąc – biesiadni, nie gardzący uciechami stołu. Grzebię w ułomnej pamięci i znajduję niewiele. Mistrz Gałczyński rozpoczął pewien wiersz od słów – cytuję z pamięci – *Kiedy żeśmy się zeszli, zasiądźmy za stołem/ chłopy roste, pleczęysze, z obliczem wesołem...* Ale menu znajdujemy dopiero w innym wierszu poety, w „Balladzie o mrówkojadzie” – opisującym losy tego zwierzęcia w spotkaniu z poetami: ... *siedzą, jedzą poeci/... golonka z dużym chrzanem/ piwo pod fortepianem...* Historie o biesiadowaniu poetów znamy nie z wierszy, a z anegdot o nich, przy czym potrawy czyli zakąski występują jako drugie tło. Tadeusz Przytkowski do spółki z Magdaleną Samozwaniec (ilustracje Mai Berezowskiej) napisał uroczą książkę pod tytułem „Łyżka za cholewą, a widelec na stole”. Jest w tym dziele przepis kulinarny z XVIII wieku, mówiący o tym, co zrobić, kiedy w spiżarni nic nie ma, a zjawia się gromada niezapowiedzianych gości: ... *weź żubra świeżego, a jak nie masz, to łosia...*

Jak się kształtuje smak? Wg mojej amatorskiej teorii w niemowlęctwie i pacholectwie wmuszają w nas kaszki i przeciery, co ma katastrofalne skutki, potem, zając ważnymi sprawami młodości, jemy dużo, pospiesznie, byle do syta. A dopiero w wieku dojrzałym, kiedy możemy sobie pozwolić na wybredność i kiedy odbyliśmy parę podróży zagranicznych, zaczynamy się rozsmakowywać i gustować – a to w tradycyjnej, ale prawdziwej kuchni polskiej, a to bałkańskiej, a to włoskiej, francuskiej, a to o matkę wszelkich kulinariów – kuchni chińskiej; jej wielkość polega m.in. na łączeniu smaków, które w innych recepturach nie występują. Ale smak, jak wszystkie inne zmysły, z upływem lat się tępi i rozróżniamy tylko podstawowe: słony, słodki, gorzki, kwaśny i ten piąty, najbardziej powszechny – bez smaku. Choć są wyjątki – mistrzowie kuchni i prawdziwi smakosze zachowują ten zmysł do śmierci. Wspomniany wyżej Tadeusz Przytkowski, potomek znakomitego polskiego rodu, był nie tylko założycielem i kustoszem muzeum zegarów słonecznych, znawcą światowej renomy, ale też smakoszem, kanclerzem międzynarodowej kapituły kulinarnej. Kiedyś w Jędrzejowie pokazał mi opatrzone pieczęciami pergamin – któryś z Jagiellonów nadawał dalekiemu przodkowi tytuł pod czasowego koronnego, a ten godności nie przyjął. Pan Tadeusz skwitował to słowami: *dureń, wina nie chciał nalewać...*

Potrawy i w ogóle rozkosze stołu pojawiają się współcześnie w wierszach żartobliwych i satyrycznych. W „prawdziwej” poezji występuje jabłko, brzoskwinia, malina, pomarańcza. Natomiast niegodne są pióra liryka pietruszka, burak, ziemniak (a przypominam, że wieszcz Adam napisał poemat

o kartoflu), seler i rzodkiewka. Choć przecież Krzysztof Gąsiorowski nie próbował opisywać wszechświata, za to w jednym z wierszy zadał fundamentalne pytanie: z czego zrobiona jest rzodkiewka...

Zapewne wszyscy tego doświadczamy: ni z tego, ni z owego przyplątuje się melodia czy piosenka i natrętnie nam towarzyszy, nie umiemy się jej pozbyć przez kilka dni. Ale kiedy w samotności próbujemy ją zaśpiewać na głos – łapiemy się na tym, że fałszujemy. I cieszymy się, że naszego wokalu nikt nie słyszał. Rzecz w tym, że nasza pamięć zachowuje melodię bezbłędnie, ale szwankuje nasz aparat głosowy.

Tymoteusz Karpowicz opowiadał kiedyś, że był w Paryżu na osobliwym koncercie. Mianowicie w doskonale odizolowanej od zewnętrznych hałasów sali wyświetlano na ekranie partyturę, a prawdziwi, obdarzeni absolutnym słuchem melomani słyszeli muzykę w całkowitej ciszy. Jest w tym pomyśle coś ekstremalnego: muzyka bez dźwięku, bez muzyki. Może ten eksperyment wynikał stąd, że nawet mistrzowskie wykonanie symfonii czy koncertu skrzypcowego nie jest doskonałe. W wielkim symfonicznym ansambli jakiś muzyk po prostu musi zdefonować, chociażby o pół, ćwierć tonu. Ale niedoskonałość też bywa fascynująca. Miałem szczęście słuchać na żywo Artura Rubinsteina, który z tódkimi filharmonikami pod batutą Henryka Czyży grał koncert f-moll Chopina. Nigdy, ani wcześniej, ani później, nie słyszałem wolniejszego wykonania. A przecież było wolnie.

Czy poeta musi mieć słuch muzyczny? Dawniej było to niezbędne, trzeba było umieć słyszeć rytm, prozodię wiersza. Dziś, kiedy wiersz klasyczny jest w zaniku, albo przynajmniej w głębokiej defensywie, nie jest to już konieczne. Ale przecież poeci wiele muzyce zawdzięczają. Gałczyński jest muzyczny nie tylko dlatego, że w jego wierszach roi się od Chopinów, Bachów, Scarlatti i Vivaldich, że tłoczno w nich od terminów muzycznych – te wiersze są melodyjne. Muzyczne są wiersze Jarosława Iwaszkiewicza – też nie tylko dlatego, że kochał muzykę, grał na fortepianie, a nawet próbował komponować. Muzyczne są wiersze Szymborskiej, Nowaka, Grochowiaka i kilku tuzinów innych poetów.

Każda próba opisu muzyki słowami – także poetyckimi – jest ułomna. Znakomite eseje muzyczne pozwalają nam lepiej zrozumieć utwory. Ale czy na pewno utwory, czy tylko interpretację esejistę? Czy – tym bardziej – wiersz chcący oddać wielkość kompozycji i jej wykonanie, dochowuje jakiegokolwiek wierności temu dziełu?

Proporcje między poezją i literaturą w ogóle, a muzyką są inne niż w przypadku związków muzyki i sztuki pięknych: literatura znacznie częściej była dla muzyki źródłem inspiracji. Prawdopodobnie zapomnieniu uległoby wiele utworów poetyckich, gdyby nie to, że kompozytorzy stworzyli z nich pieśni. Ocalały więc teksty do których muzykę napisali Liszt, Schubert (autor około 600 pieśni), Moniuszko, Schumann, który próbował swych sił w rzemiośle poetyckim, Gershwin i wielu innych. Wspaniały Carl Orff skomponował oratorium „Catulli Carmina” do tekstów rzymskiego poety Katullusa, czym wydobył go z wielowiekowego zapomnienia. Kiedy przypominamy sobie jak „Nessun dorma” śpiewał Pavarotti czy Plácido Domingo, nie zastanawiamy się nad treścią tej arii. Podobnie jest z operami. Gdybyśmy libretto, często oparte na dziełach literackich, przeczytali bez muzyki, to okazałoby się, że jest to czysta grafomania. Ale dzięki Bizetowi, Czajkowskiemu, Verdiemu czy Puc-

ciniemu nie czytamy, nie zwracamy uwagi na durne recitativy, tylko zachwyceni słuchamy. Literatura jest w operze wartością trzeciorzędną.

Przez całe lata panowała u nas moda na poezję śpiewaną, wykonywano ją wszędzie, organizowano nawet festiwale. Miała ta moda dobre i złe strony. Dobre – bo popularyzowała poezję, która z natury rzeczy jest sztuką elitarną. Złe – bo domorośli artyści po opanowaniu czterech chwytów gitarowych komponowali melodie do wierszy bezbronnym i Bogu ducha winnym poetów; zdarzało się też, że sami układali teksty „poetyckie”. Tak czy owak był to krok w dobrą stronę, potwierdzający związki muzyki z poezją.

Zmysłem słuchu rejestrujemy muzykę, choć stanowi ona niewielki procent tej rejestracji. Dźwięki otaczają nas tak przeźroczysto, są tak wszechobecne, że jeśli nie są bardzo dokuczliwe, przestajemy na nie zwracać uwagę. Kiedy znajdujemy się w ciszy wypełnionej szumem lasu lub szelestem liści czujemy się nieswojo – tak, jakbyśmy przestali być częścią natury. Zastanawiam się kiedy ostatnio słyszałem śpiew skowronka. Wolalbym, aby to była wina mojego niedosłuchu, a nie nowoczesnego rolnictwa, które temu płaskowemu odebrało warunki egzystencji.

Dźwięki, zapachy, obrazy, smaki. To, w czym żyjemy i czym żyjemy tu i teraz. Ale również to, co zapisało się w naszej pamięci.

II.

Pamięć – zdolność do rejestrowania i ponownego przywoływania wrażeń zmysłowych, skojarzeń, informacji, występująca u ludzi, niektórych zwierząt i w komputerach.

Nie wiem jak i od kiedy – od jakiego wieku – pamięć gromadzi swoje zasoby. Nieuchronne są postępy sklerozy. Ale – rzecz dziwna – nawet w wieku podeszłym w hipokampie, czyli części mózgu, rodzą się neutrony formujące wspomnienia. Może dlatego starzy ludzie lepiej pamiętają bardzo wcześnie niż przedwczorajsze zdarzenia. Nie mam na ten temat naukowej wiedzy, pewnie błędzę po omacku. Nie wiem jak działa mechanizm selekcji i jak to się dzieje, że nie możemy z pamięci usunąć zdarzeń i faktów, o które radzi byśmy wymazać i po co w niej zostają sprawy błahie, nieważne, zbyteczne. Napisałem kiedyś w jakimś wierszu, że pamięć bywa jak stara, wyrobiona i wypełniona piaskiem kopalnia, która jednak pod wpływem niespodziewanego impulsu ożywa – odzywa się coś, co wydawało się zapomniane, pogrzebane. Jest – pamięć – rodzajem lamusa, w którym bezwiednie gromadzimy niepotrzebne z pozoru przeżycia, obserwacje, spostrzeżenia; okazuje się po latach, że są one przydatne, nadają się do wiersza.

Przeglądam wiele, może zbyt wiele tomików wierszy autorstwa nieznanego mi czasem poetów, jako juror czytam setki wierszy nadsyłanych na rozliczne konkursy. Wiele z nich złożonyby się na jeden wspólny wiersz.

Oto jest dom – chata, może chatupa, a przed domem niewielkie podwórko ze studnią, nad którą sterczy skrzypiący żuraw. Trochę dalej sad z kwitnącymi białymi różami, drzewami owocowymi. Obszerna kuchnia, ściany ozdobione świętymi obrazami i makatkami, wielki, stary stół na krzyżakach, a na stole w wyszczerbionych talerzach zalewajka lub kapuśniak i pyzy ze skwierzącymi skwarkami. I małomówny, mądry dziadek o stwardniałych, szorstkich dłoniach. Tak skonstruowany zbiorczy wiersz z daleka zalałuje sentymentalizmem, ale jeśli jego elementy rozsiać po kilku albo kilkunastu utworach, to otrzymamy coś, co może nas

wzruszyć, przekonać do autentyczności przeżycia. Autorami wierszy są ludzie dorośli, ci, którzy od dawna nie mieszkają w rustykalnych krajobrazach, a to znaczy, że zainspirowała ich pamięć. Pamięć, która zachowała obrazy, wonie, dźwięki, smaki. Jest w tym coś z tęsknoty za rajem utraconym...

W drugiej połowie lat osiemdziesiątych po raz pierwszy pojechałem do Chin w pięcioosobowej grupie delegowanej przez Związek Literatów Polskich. Był to czas, kiedy nie tłoczyły się w tym kraju wycieczki z całego świata, na ulicach Pekinu i Szanghaju widywało się polskie małe fiaty sprawujące funkcję taksówek, a na nas, białych, wielkonosych, patrzono z zaciekawieniem, a czasem z wrogością. Rok później członek delegacji, znaczny w owym czasie poeta, wydał tomik składający się z kilkudziesięciu wierszy będący plonem tej dziesięciodniowej podróży. Wystąpił w charakterze przydrożnego malarza landszaftów, nie u wierzył w ani jeden wiersz. Myślę, że każda podróż w kraje nieznanne jest zapładniająca, ale nie ufam zapłodnieniu, które natychmiast owocuje. Zostaje jednak coś, co nawet po długich latach pojawia się w wierszu. Coś, co utkwiło w zakamarkach pamięci.

Zapomniane pozornie wrażenia zmysłowe budzone są przez bodźce. Kiedy chcemy sprawić przyjemność pani domu, która ugościła nas zrazem zawijającym lub rumsztykiem z cebulką, powiadamy, że tak właśnie danie to przyrządziła nam mama lub babcia. I jeśli przypadkiem mówimy prawdę, to pewnie wychynął z pamięci tamten, albo bardzo zbliżony smak.

Bywa tak, że po przyjeździe do miasta, w którym nigdy nie byliśmy, nie oceniamy tego miasta jako brzydkie, przeciętne czy piękne, a uświadamiamy sobie z niewiadomych powodów, że tu właśnie moglibyśmy zamieszkać. Bywa tak, że przychodzimy do obcego domu i od razu czujemy się w nim dobrze. I kiedy zaczniemy te wrażenia analizować, dochodzimy do ich przyczyn: jakieś architektoniczne fragmenty i detale pochodzą z miasta naszej młodości (wzrok), a dom pachnie tak, jak pachniał dom naszego dzieciństwa (woni). Możemy co do tego nie mieć pewności. Możemy tego nie wiedzieć, a zaledwie podejrzawać albo przeczuwać. Ale zawsze piszemy, żeby siebie sobie wytłumaczyć. Dojść do tego skąd się wzięliśmy, z czego jesteśmy, kim jesteśmy.

Próbujemy. Tylko nielicznym to się udaje.

III.

Jarosław Iwaszkiewicz w którejś ze swoich gawęd o książkach zamieszczanych w śp. "Życiu Warszawy" napisał, że być poetą to znaczy przez całe życie pozostawać w dziecięcym pokoju. Nie każdy w dzieciństwie dysponował swoim pokojem, ale Iwaszkiewicz chciał tymi słowami powiedzieć, że poeta powinien oglądać świat oczami dziecka. A dziecko patrzy na świat jako na coś wielkiego, tajemniczego, czasem groźnego, a czasem przyjaznego, patrzy spojrzeniem zadziwionym. Być poetą to znaczy zachowywać nieustanną czujność. I może – jak chce Olga Tokarczuk – czułość.

Nie pochlebiamy sobie – jesteśmy zwyczajni. Może tylko odrobinę bardziej wrażliwi. Ale wszyscy przeżywamy to samo i tak samo czujemy: miłość i nienawiść, tęsknotę i obojętność, przyjaźń i wrogość, bunt i rezygnację, myśli o przemianach i niejasną, niesprawdzałą nadzieję. Ta powtarzalność ludzkich uczuć jest naszą szansą, szansą dotarcia do czytelnika. Chcemy ją wykorzystać pisząc wiersze – listy do nieznanego adresata. Listy, w których sami siebie sobie tłumaczymy.

MAREK WAWRZKIEWICZ

Pisane w czasie zarazy.

Dariusz Tomasz Lebioda

W PĘDZIE

Brzegiem szerokich ulic wciąż pędzą
ludzie na motocyklach rowerach
na skuterach i elektrycznych
hulajnogach

światła oślepiają przechodniów
klaksony ranią uszy warkot
dobija ostatnie akordy
ciszy

i nie znajdzie się chiński mędrzec
ani mag – nikt nie zatrzyma
Chin w pędzie

nie wypowie zaklęcia klatki
kolorowych filmów będą
sunęły jedna za drugą

liczyć się będzie szybkość
refleks bystre spojrzenie
ocena odległości i start
donikąd

start do ostatniej gonitwy
przed ostatnim snem

XIAAN 2016

OGRÓD CESARZA DYNASTII MING

Jakże byłem samotny jakże szczęśliwy
w ogrodzie cesarza dynastii Ming

przyglądałem się srokom błękitnym
i kroplom rosy na płatkach piwonii

krew płynęła w moich żyłach
serce pracowało miarowo
usta szeptały słowa wierszy
jeszcze nie napisanych

nikt nigdy tak nie czuł
łączności ze światem

nikt nigdy tak nie czuł
oddalenia od osobnych
istnień

niebo traciło majestat błękitu
cykady szeptały miliardy
świętych słów

i tylko śmierć i tylko rozpad
nie milkły w cesarskim
ogrodzie

NANKIN 2015

DOWÓDCA

Młody mężczyzna śpi w wagonie kolei
podziemnej w Pekinie – nie widzi
wsiadających i wysiadających ludzi
nie wie że ktoś zrobił mu zdjęcie
i kiedyś napisze o nim wiersz

ale przecież najważniejsze pytanie
zadaje mu we śnie jego ojciec
umęczony przez hunwejbínów

ale przecież opowieść o godności
snuje we śnie jego zagłodzona
matka

śpi spokojnie na ławce choć wojska
Mao i Czang Kaj-szeka ścierają się
bezlitośnie

może we śnie dowodzi oddziałem
może wygłasza mowę nad grobem
towarzysza

może wchodzi do podziemnych galerii
grobowca pierwszego cesarza

młody mężczyzna śpiący twardo
w wagonie chińskiej kolei
podziemnej

PEKIN 2015

SROKI BŁĘKITNE

Wydawały z siebie srebrne głosy
i wyglądały jak wysłanniczki
z rajskich krain

przelatywały z drzewa na drzewo
a ich błękitne pióra połyskiwały
w słońcu

patrzyłem na nie jak osłupiały
wśluchiwałem się w wibrujące
tony w oniemieniu

a one heroicznie trwały w swym
pięknie i nie zwracały na mnie
uwagi

patrzyłem na nie długo ale dopiero
nad kartką papieru
zrozumiałem

że zawsze tu na mnie czekały
i nawoływały
subtelnie

choć starczyłby jeden
nieostrożny ruch

a wleciałyby w górę
i wylądowały

w innym
życiu

NANKIN 2015

PLAKAT ARTYSTYCZNY

Eduard Nikonorow

Shufan

LVDMILA MARJAŃSKA

Prześwit

Tylko tyle, że jesteś. Aż tyle.
Że cię można widzieć. Twoje oczy.
Bliskość. Ciepło. A wszystko na chwilę.
Zanim zbudzi mnie głębokość nocy.
Zwykłość tego, co mogło być z nami:
list, że żyjesz, spotkanie, spojrzenie,
to, że mogę mówić do ciebie,
że przez moment jesteśmy sami.
Tylko tyle. Aż tyle. Ukląkłeś
I na piasku układasz podłogę.
W moim domu. W naszym domu. W domu.
Drzwi zamknięte i wejść nie mogę.
Czy już nikt, nic nie może pomóc?
Ta podłoga, piach, żółte deski?
I w gęstej, głębokiej nocy
prześwit. Przejście tam.
Blask niebieski.

Katedra

Pamięci księdza Janusza Pasierba
Co jest prawdą? Te zielone pola,
żywopłoty kolczaste bez liści?
Stado owiec, dziewczyna na koniu
jak na starym angielskim sztychu?
Czy to, co się nigdy nie ziści,
czego nie dotkniesz dłonią,
o czym ani widu, ani słyhu?
Warstwy czasu, warstwy pamięci,
jak pokłady kopalnianych sztolni,
niestrudzona archeologia,
nakładanie kolejnych pieczęci.
Wstęp wzbroniony. Prywatna posiadłość.
Dotyk grozi śmiercią. Uwaga!
Nic nas nie może uwolnić.
Ani zakaz, ani śmierć nie pomaga.
Przez muł, przez glinę, przez skałę
na dno serca intruz się wdrze
i stanie oniemiały
w przedwiekowej, cudownej katedrze.

Niebo nad Krzemieńcem

Ile tutaj błękitu
czerni
głębi
A na błękicie skrzydła kruków
zamiast gołębi
A w czerni szczerozłote bryłki
rozbity księżyc
I stajesz – zdziwione dziecko
z zadartą głową –
aby w przestrzeni rozgwieżdżonej
znaleźć
najgłębsze słowo

Na sekundę przed

Jeszcze trochę jesieni
odrobinę świata
i wygaśnie pragnienie
przyciemnieje poświata
i zagasną obrazy
i zamilknie wołanie
nic się więcej nie zdarzy
nic się więcej nie stanie

Ale teraz w tej chwili
na sekundę przed końcem
chcę nad różą się schylić
wyprostować pod słońcem
spojrzeć w jesienną jasność
i pod niebo zawołać
niech pozwoli mi zasnąć
pod skrzydłami anioła

(z tomu: *A w sercu pełnia. Wybór wierszy*, 2003).

PIAKAT POETYCKI